



# Francuska

IRÈNE NÉMIROVSKY

suita

# Némirovsky Irène

## Francuska suita

*Akcja „Czerwcowej burzy” toczy się w czasie masowej ucieczki mieszkańców Paryża, przerażonych pogłoskami o zbliżających się okupantach. Losy bohaterów, przedstawicieli wszystkich stanów – bogaczy i robotników, intelektualistów i urzędników, m.in. Gabriela Corte i jego kochanki Florence, bankiera Corbina, rodziny Péricandów – splatają się w niezwykle barwnym obrazie chaosu, egoizmu i wygodnictwa, tworząc prawdziwą tragikomedię obyczajów.*

*W części drugiej – „Dolce” – poznajemy mieszkańców małego miasta, w którym stacjonuje niemiecki pułk. Nawiązują się przyjaźnie, intrygi, rodzi się miłość. Młoda Francuzka, Lucile, niezbyt szczęśliwa w małżeństwie, i przystojny Niemiec z arystokratycznej rodziny, czują do siebie pociąg. Ale okoliczności muszą ich rozdzielić – młody porucznik wyjedzie na rosyjski front, a do Lucile najprawdopodobniej wróci z niewoli niekochany mąż.*

# 1

## Przedmowa

W 1929 roku Bernard Grasset zachwycony lekturą nadesłanego pocztą maszynopisu pod tytułem *David Golder* od razu postanowił książkę wydać. Dopiero wtedy, pragnąc podpisać umowę, zorientował się, że autor w obawie przed porażką nie podał ani nazwiska, ani adresu, jedynie numer skrytki pocztowej. Dał więc ogłoszenie do gazet, zapraszając tajemniczego pisarza, by się ujawnił.

Kiedy po kilku dniach pokazała się u niego Irène Némirovsky, Bernard Grasset nie mógł uwierzyć, że ta młoda kobieta, pogodna i skromna, mieszkająca we Francji zaledwie od dziesięciu lat, może być autorką błyskotliwej, okrutnej, odważnej, a przede wszystkim bardzo zdyscyplinowanej książki. Takie dzieło udaje się twórcom, którzy osiągnęli dojrzałość. Grasset, już pełen podziwu, choć jeszcze pełen wątpliwości, wypytywał ją szczegółowo, by się przekonać, czy kobieta nie służy za parawan jakiemuś znanemu pisarzowi, który pragnie pozostać w cieniu. *David Golder* od razu spotkał się z jednogłośnym uznaniem krytyki, a Irène Némirovsky natychmiast stała się sławna, podziwiali ją pisarze tak różni jak Joseph Kessel, który był Żydem, i Robert Brasiliach, skrajnie prawicowy monarchista i antysemita. Chwalił on czystość prozy tej nowicjuszeki w świecie francuskiej literatury. Choć Irène Némirovsky urodziła się w Kijowie, uczyła się francuskiego od guwernantki już od wczesnego dzieciństwa. Równie biegle władała rosyjskim, polskim, angielskim, baskijskim i fińskim, rozumiała jidysz,

czego ślady znajdujemy w książce *Les Chien et les Loups*, napisanej w 1940 roku.

Głośne wkroczenie do literatury nie przewróciło w głowie Irène Némirovsky. Dziwiła się wręcz, że robi się tyle hałasu wokół powieści *David Golder*, którą bez fałszywej skromności określała jako „powiastkę”. 22 stycznia 1930 roku pisała: „Jak możesz przypuszczać, że zapomniałabym o starych przyjaciółkach z powodu książki, o której mówi się przez dwa tygodnie, a potem równie szybko zapomina, tak jak zapomina się w Paryżu o wszystkim?”.

Irène Némirovsky przyszła na świat 11 lutego 1903 roku w Kijowie, w kraju jidysz, jak często się obecnie mówi. Ojciec, Léon Némirovsky (hebrajskie imię Arieh), wywodził się z rodziny przybyłej z ukraińskiego miasteczka Niemirów, jednego z ważnych ośrodków ruchu chasydzkiego w XVIII wieku, i miał nieszczęście urodzić się w 1868 roku w Jekaterynburgu, mieście, w którym w 1881 roku miała rozlać się wielka fala pogromów przeciwko rosyjskim Żydom, trwająca wiele lat. Léon Némirovsky, którego rodzina z powodzeniem handlowała zbożem, dużo podróżował, zanim zrobił fortunę jako finansista, stając się jednym z najbogatszych bankierów w Rosji. Na jego wizytówce można było przeczytać: „Leon Némirovsky, przewodniczący Rady Banku Handlowego w Woroneżu, administrator de la Banque de l'Union w Moskwie, członek Rady Prywatnego Banku Handlowego Piotrogradu”. Zakupił rozległą posiadłość na jednym z wielu miejskich wzgórz, na spokojnej ulicy pełnej ogrodów i wysadzonej lipami.

Irène, powierzona pieczy guwernantki, kształcili doskonali nauczyciele. Rodzice nieszczęśliwie interesowali się domem, toteż dziecko czuło się nieszczęśliwe i osamotnione. Ojciec, uwielbiany i podziwiany przez Irène, zajęty prowadzeniem interesów, większość czasu spędzał albo w podróży, albo w kasynie. Matka, która kazała się nazywać Fanny (od swego hebrajskiego imienia Fejga), urodziła Irène, pragnąc się przypodobać bogatemu małżonkowi. Ale narodziny dziewczynki przyjęła jako pierwszą oznakę zmierzchu swojej kobiecości i od razu powierzyła ją opiece mamki. Fanny Némirovsky (Odessa 1887 — Paryż 1989) odczuwała rodzaj awersji do

córki, nigdy też nie przejawiała wobec niej najdrobniejszych uczuć. Spędzała długie godziny przed lustrem, tropiąc pojawianie się zmarszczek, malowała się i poddawała masażom. Resztę czasu przebywała poza domem w poszukiwaniu przygód. Niezwykle próżna, ze zgrozą obserwowała wiotczenie skóry i przeistaczanie się w osobę, która wkrótce będzie musiała korzystać z usług żigolaków. Toteż pragnąc sobie udowodnić, że jest jeszcze młoda i ponętna, traktowała dorastającą Irène jak małą dziewczynkę, zmuszając ją do ubierania się i czesania, jakie przystoi uczennicy.

Irène, pozostawiona sama sobie podczas urlopów guwernantki, znalazła ucieczkę w lekturze, zaczęła pisać. Broniła się przed rozpaczą, podsycając nienawiść wobec własnej matki. Takie silne i sprzeczne z naturą stosunki między matką a córką zajmują centralne miejsce w twórczości Irène Némirovsky. I tak w powieści *Le Vin de solitude* czytamy:

„Żywiła w sercu dziwną nienawiść do matki, nienawiść, która zdawała się rosnać wraz z nią...”.

„Mówiąc »mamo« nigdy nie wymawiała obydwu sylab; z trudem przechodziły przez jej zaciśnięte wargi; »ma« brzmiało jak gwałtowny pomruk, który z wysiłkiem i głuchym, skrytym bólem wyrывała z serca”.  
I dalej:

„Twarz matki, wykrzywiona wściekłością, zbliżyła się do jej twarzy; zobaczyła, jak błyszczą znienawidzone oczy, rozszerzone złością i strachem...”.

„Bóg powiedział: »Zemstę zostawiłem dla siebie«, trudno, nie jestem świętą, nie potrafię jej przebaczyć! Poczekaj, tylko poczekaj, a sama się przekonasz! Będiesz płakała przeze mnie, tak jak ja płakałam przez ciebie!... Tylko poczekaj, stara!”.

Szczytem owej zemsty są książki *Bal*, *Jezabel* i *Vin de solitude*.

Akcja najlepszych utworów Irène Némirovsky rozgrywa się w świecie żydowskim i rosyjskim. W *Les Chiens et les Loups* opisuje burżuazję ze środowiska kupców pierwszej gildii, którzy mieli prawo mieszkania w Kijowie, mieście zasadniczo zamkniętym dla Żydów ukazem Mikołaja I. Irène Némirovsky nie odcinała się od żydowskiej cywilizacji

Europy Wschodniej, w której żyli jej dziadkowie (Jaków Margulis i Bella Szczedrowicz) i rodzice, choć ci ostatni po zrobieniu fortuny nabrali do tego świata lekkiego dystansu. Ale jej zdaniem sposób traktowania pieniędzy i akumulacja dóbr związane z ową specyficzną kulturą stanowiły powód do wstydu, mimo że sama i jako młoda dziewczyna, i jako osoba dorosła wiodła tryb życia wielkiej burżuazji.

Opisując awans społeczny Żydów, wykorzystuje wszystkie antysemityczne przesady i nie wyrzeka się pełnych uprzedzeń stereotypów epoki. Spod jej pióra wyłaniają się portrety Żydów malowane w sposób najbardziej okrutny i pejoratywny. Autorka kontempluje je z rodzajem pełnej przerażenia fascynacji, mimo świadomości, że dzieli z nimi wspólne przeznaczenie. Tragiczne wydarzenia przyznają jej rację w tym względzie.

Jakiż nienawistny stosunek do siebie samej odkrywamy w tych tekstach! Przede wszystkim autorka przyjmuje ideę, zgodnie z którą Żydzi należą do „rasy żydowskiej” o niższej wartości, o łatwo rozpoznawalnych cechach charakterystycznych, choć nie można mówić o rasach ludzkich w takim sensie, w jakim używano tego określenia w latach trzydziestych i w jakim uogólniono je w hitlerowskich Niemczech. Oto kilka specyficznych cech przypisywanych w jej twórczości Żydom, kilka zestawów leksykalnych, które stosuje, by stworzyć grupę złożoną z podobnych jednostek: włosy kędzierzawe, haczykowaty nos, dłoń wiotka, palce i paznokcie krzywe, cera ciemna, żółtawa lub oliwkowa, oczy czarne, wilgotne, osadzone blisko siebie, postura wątła, gęste i czarne bokobrody, policzki pobladłe, zęby nierówne, nozdrza ruchliwe, do tego dodać należy chęć zysku, zادیorność, histerię, atawistyczną umiejętność „sprzedawania i kupowania tandety, handlowania dewizami, pracy komiwojażera, pośrednika w handlu podrabianymi koronkami czy przemycaną bronią...”.

Wciąż na nowo rozszarpując słowami ten „żydowski mot-łoch”, napisała w *Les Chiens et les Loups*: „Jak każdy Żyd, był znacznie żywiej i znacznie boleśniej niż chrześcijanin oburzony typowo żydowskimi wadami. Ta uparta energia, ta niemal dzika potrzeba zdobycia tego, czego się pragnie, ta ślepa pogarda dla tego, co inni pomyślą, wszystko to w jego umyśle składało się

na »żydowską bezczelność«. Paradoksalnie zakończyła powieść z rodzajem czułości i rozpaczliwej wierności: „Tacy są moi, to moja rodzina”. I niespodziewanie, po raz kolejny odwracając perspektywę, wypowiadając się w imieniu Żydów, napisała: „Och, jakże nienawidzę tych waszych europejskich komedii! To, co nazywacie sukcesem, zwycięstwem, miłością, nienawiścią, ja nazywam pieniędzmi! To inne określenie tych samych rzeczy!”.

Przy tym Némirovsky całkowicie ignorowała duchowość żydowską, bogactwo i różnorodność cywilizacji żydowskiej w Europie Wschodniej. W wywiadzie udzielonym „rUnivers israélite” 5 lipca 1935 twierdziła, że bycie Żydówką napawają dumą, a tym, którzy widzieli w niej wroga własnego narodu, odpowiadała, że w *Davidzie Golderze* przedstawiła nie tyle „Izraelitów francuskich osiadłych we Francji od wielu pokoleń, dla których w rzeczywistości kwestia rasy nie ma znaczenia, ile Żydów wystarczająco kosmopolitycznych, u których miłość do pieniędzy zastąpiła wszystkie inne uczucia”.

Powieść *David Golder*, którą Némirovsky zaczęła pisać w 1925 w Biarritz, a zakończyła w 1929 roku, opowiada dzieje żydowskiego magnata międzynarodowej finansjery pochodzącego z Rosji: awans, okres świetności, a potem spektakularny krach jego banku. Starzejąca się żona Gloria, notorycznie niewierna, prowadząca wystawny tryb życia, wymaga coraz więcej pieniędzy na utrzymanie kochanka. Stary Golder, zrujnowany i pokonany, niegdyś postrach giełdy, staje się znów nędznym Żydkiem jak w latach młodości w Odessie. Z miłości do niewdzięcznej i lekkomyślnej córki nagle postanawia odbudować majątek. Po zwycięskim ostatnim akcie umiera z wyczerpania, szepcząc kilka słów w jidysz na handlowym statku podczas groźnego sztormu. Ostatnie tchnienie wydaje na rękach żydowskiego imigranta, który podobnie jak on wsiadł w Symferopolu i płynął do Europy z nadzieją na lepsze życie. Można by powiedzieć, że Golder umiera wśród swoich.

Rodzina Némirovsky prowadziła w Rosji życie na wysokiej stopie. Każdego tata wyjeżdżała z Ukrainy na Krym, do Biarritz, Saint-Jean-de-Luz, Hendaye czy na Lazurowe Wybrzeże. Matka Irène zajmowała apartament w pałacu, a córkę z guwernantką umieszczano w pensjonacie.

Po śmierci nauczycielki francuskiego Irène Némirovsky w czternastym roku życia zaczęła pisać. Zasiadała na tapczanie z zeszytem na kolanach. Wypracowała technikę powieściową wzorowaną na pisarstwie Turgieniewa. Kiedy zaczynała powieść, zapisywała nie tylko sam tekst, ale także wszystkie refleksje, jakie jej nasuwał, bez żadnych ograniczeń czy skreśleń. Poza tym znała doskonale wszystkich swoich bohaterów, nawet drugoplanowych. Zapisywała całe zeszyty, prezentując ich wygląd, charakter, wykształcenie, dzieciństwo, chronologiczne fazy życia. Kiedy już wszystkie osoby zyskiwały ten stopień szczegółowości, podkreślała dwoma ołówkami, czerwonym i niebieskim, zasadnicze cechy, które należy zachować; czasami było to zaledwie kilka linijek. Szybko przechodziła do kompozycji powieści, ulepszała ją, a następnie redagowała wersję ostateczną.

W chwili wybuchu rewolucji październikowej rodzina Némirovsky mieszkała już od 1914 roku w wielkim i pięknym domu w Sankt Petersburgu. „Apartament [...] zbudowany był w taki sposób, że z westybulu można było spojrzeć na pomieszczenia w głębi; przez ogromne otwarte drzwi widziało się amfiladę biało-złotych salonów”, pisała w *Le Vin de solitude*, powieści w dużej mierze autobiograficznej. Dla wielu pisarzy i poetów rosyjskich Sankt Petersburg był miastem mitycznym. Irène Némirovsky widziała w nim jedynie ponure, zaśnieżone ulice, po których hulał lodowaty wiatr unoszący się nad brudnymi i cuchnącymi kanałami i Newą.

Léon Némirovsky, którego interesy często wzywały do Moskwy, podnajmował tam umeblowany apartament od oficera gwardii cesarskiej, oddelegowanego wówczas do ambasady rosyjskiej w Londynie. Wierząc, że chroni rodzinę przed niebezpieczeństwem, Némirovsky sprowadził ją do Moskwy, ale rewolucja akurat tutaj rozszalała się z największą gwałtownością w październiku 1918. Podczas ostrej strzelaniny Irène penet-



rowała bogate zbiory biblioteki oficera Des Esseintes. Odkryła Huysmansa, Maupassanta, Platona i Oscara Wilde'a. *Portret Doriana Graya* stał się jej ulubioną książką.

Dom wraz z przyległymi budynkami był niewidoczny z ulicy, oddzielony dziedzińcem, który z drugiej strony zamykała znacznie wyższa budowla. Dalej był kolejny okrągły dziedzińiec i kolejny dom. Kiedy dziedzińce pustoszały, Irène schodziła tam potajemnie zbierać łuski. Przez pięć dni rodzina nie ruszała się z domu, przy czym zapasy żywnościowe składały się z worka kartofli, tabliczek czekolady i sardynek. Korzystając z chwilowego uspokojenia rodzina Némirovsky wróciła do Sankt Petersburga, a kiedy bolszewicy wyznaczyli cenę za głowę ojca Irène, musiał zacząć się ukrywać. W grudniu 1918 roku, wykorzystując fakt, że granica nie została jeszcze zamknięta, Némirovsky zorganizował ucieczkę rodziny do Finlandii w chłopskim przebraniu. Irène spędziła rok w wiosce złożonej z trzech drewnianych domów pośród zaśnieżonych pól. Miała nadzieję, że powrót do Rosji będzie możliwy. Podczas tego długiego oczekiwania jej ojciec często wracał incognito do Rosji, próbując ocalić majątek.

Dla Irène był to okres względnego spokoju. Stała się kobietą, próbowała pisać poematy prozą inspirowane twórczością Oscara Wilde'a. Sytuacja w Rosji pogorszyła się, a bolszewicy zaczęli się niebezpiecznie przybliżać, toteż rodzina Némirovsky po długiej podróży dotarła do Szwecji. Spędzili w Sztokholmie trzy miesiące. Irène zachowała z tego okresu wspomnienie fiołkowych bzów zakwitających wiosną na dziedzińcach i w ogrodach.

W lipcu 1919 roku wszyscy wsiedli na niewielki statek handlowy, który miał zawieźć ich do Rouen. Żeglowali dziesięć dni bez zawijania do portów w czasie straszliwego sztormu, który stał się inspiracją dramatycznej ostatniej sceny w *Davidzie Golderze*. W Paryżu Léon Némirovsky został dyrektorem jednej z filii swojego banku, dzięki czemu mógł odbudować majątek.

Irène Némirovsky zapisała się na Sorbonę i otrzymała dyplom z wyróżnieniem na wydziale nauk humanistycznych. Pierwsza powieść, *David Golder*, nie była jej pierwszą próbą literacką.

Debiutowała jako pisarka, wysyłając „zabawne bajeczki”, jak je nazywała, do ilustrowanego dwutygodnika „Fantasio”, który ukazywał się pierwszego i piętnastego każdego miesiąca, i dostawała sześćdziesiąt franków za każdy tekst. Później zaproponowała bajkę pismu „Matin”, i tam również ją wydrukowano. Następnie jedna bajka i nowelka ukazały się w „Oeuvres libres”, podobnie jak pierwsza powieść osiemnastoletniej pisarki, *Le Malentendu*, ukończona w 1923 roku. Opowiadanie *L'Enfant génial*, ostatecznie zatytułowane *Un enfant prodige*, ukazało się u tego samego wydawcy w lutym 1926 roku.

Jest to tragiczna historia Ismaela Barucha, żydowskiego dziecka urodzonego w odeskiej ruderze. Jego dziecinne i naiwne uzdolnienia poetyckie urzekły pewnego arystokratę, który zabrał go z rynsztoka do pałacu, by zabawić swoją znudzoną metresę. Dzieciak jest teraz rozpieszczany przez „księżniczkę”, która traktuje go jak przemądrzałą małpę.

Kiedy chłopak zaczyna dojrzewać, traci talenty, które zdobył w dzieciństwie, niezbyt sobie ceni pieśni i wiersze, stanowiące dotychczas o jego powodzeniu. Ismael szuka inspiracji w lekturze, ale znajomość literatury bynajmniej nie robi z niego geniusza, wprost przeciwnie, niszczy jego oryginalność i spontaniczność. Wtedy księżna porzuca go jak niepotrzebny przedmiot; chłopiec wraca do swojego świata, żydowskiej dzielnicy Odessy, pełnej ruder i spelunek. Ale w młodym mężczyźnie nikt już nie rozpoznaje Ismaela. Odrzucony przez swoich, nie znajduje dla siebie miejsca, skacze więc w brudną wodę portu.

Życie Irène Némirovsky we Francji nie ma tak gorzkiego zabarwienia. Rodzina się asymiluje i prowadzi w Paryżu wspaniałą żywot bogatej burżuazji. Światowe wieczory, kolacje z szampanem, bale, luksusowe wilegiatury. Irène uwielbia ruch, taniec. Biega z rautu na przyjęcie, Jak sama przyznaje, po prostu hula. Czasami grywa w kasynie. 2 stycznia 1924 pisze do przyjaciółki: „Spędziłam zupełnie szalony tydzień, z balu na bal, jeszcze jestem trochę wstawiona i z trudem wracam na drogę obowiązków”.

Innym razem pisze z Nicei: „Miotam się jak wariatka, aż mi wstyd. Tańczą od wieczora do rana. Codziennie w jakimś hotelu jest bardzo elegancka gala, a moja szczęśliwa gwiazda obdarowała mnie kilkoma żigolakami, więc bawię się nieźle”.

I znowu z Nicei: „Nie byłam rozsądna... dla odmiany... W przeddzień mojego wyjazdu był u nas wielki bal w hotelu Negresco. Tańczyłam jak szalona do drugiej nad ranem, a potem flirtowałam w lodowatym przeciągu i piłam zimnego szampana”. Kilka dni później: „Przyszedł do mnie Szura, przez dwie godziny prawił mi morały: rzekomo za dużo flirtuję, to bardzo niedobrze tak zawracać chłopakom w głowach. Wiesz, że odprawiłam Henry’go, kiedy przyszedł któregoś dnia, pobladły, z dzikim wzrokiem, z okropną miną i rewolwerem w kieszeni!”.

W wirze jednego z takich wieczorów poznaje Michaiła, czyli Michela Epsteina, „...niewielkiego bruneta o bardzo ciemnej karnacji”, który natychmiast zaczyna się do niej zalecać. Ma dyplom inżyniera fizyki i elektryczności z uczelni w Sankt Petersburgu. Pracuje jako prokurent w Banku Krajów Północnych przy ulicy Gaillon. Podoba się Ireń, flirtuje więc z nim i wychodzi za niego za mąż w 1926 roku.

Zamieszkują pod nr. 10 przy alei Constant-Coquelin w pięknym apartamencie, którego okna wychodzą na wielki ogród klasztoru na lewym brzegu Sekwany. Cóрка Denise przychodzi na świat w 1929 roku. Fanny daje Ireń pluszowego misia na wieść o tym, że została babcią. Druga córeczka, Elisabeth, urodzi się 20 marca 1937 roku.

Dom rodziny Nemirovsky odwiedzają przyjaciele, tacy jak Tristan Bernard i aktorka Suzanne Devoyod, oni sami bywają u księżnej Oboleńskiej. Ireń leczy astmę w uzdrowiskach. Producenci filmowi kupują prawa do adaptacji *David Goldera*. Główną rolę w filmie Juliena Duviviera zagra Harry Baur.

Mimo zdobytego rozgłosu Ireń Nemirovsky, zakochana we Francji i francuskich elitach, nie otrzyma obywatelstwa. W atmosferze psychozy wojennej roku 1939, po dziesięcioleciu

gwałtownego antysemityzmu, który przedstawia Żydów jako szkodliwych najeźdźców, merkantylnych, wojowniczych, spragnionych władzy, podżegaczy wojennych, zarazem burżujów i rewolucjonistów, Irène Némirovsky postanawia przejść na chrześcijaństwo wraz z dziećmi. Przyjmuje chrzest wczesnym rankiem 2 lutego 1939 w kaplicy Sainte-Marie w Paryżu od zaprzyjaźnionego z rodziną monsignora Ghika, rumuńskiego księcia kościoła.

W przeddzień wypowiedzenia drugiej wojny światowej 1 września 1939 roku Irène i Michel Epsteinowie odwożą córeczki, Denise i Elisabeth, do Issy-l'Évêque w departamencie Saône-et-Loire, razem z ich nianią Cécile Michaud, która pochodzi z tego miasteczka. Niania oddaje dziewczynki pod opiekę swojej matki, pani Mitaine. Irène i Michel Epsteinowie wracają do Paryża, skąd będą jeździli w odwiedziny do dzieci aż do czerwca 1940 roku, kiedy zostanie wprowadzona linia demarkacyjna. Pierwsze rozporządzenie w sprawie Żydów z 3 października 1940 roku wyznacza obywatelom żydowskim niższy status socjalny i prawny, czyniąc z nich pariasów. Przede wszystkim definiuje na podstawie kryteriów rasowych, kto jest Żydem w oczach francuskiego państwa. Némirovscy, po raz kolejny objęci rejestracją w czerwcu 1941 roku, są równocześnie Żydami i cudzoziemcami. Michel traci prawo do pracy w Banku Krajów Północnych; wydawnictwa „arianizują” swoich pracowników i autorów, Irène nie może więc niczego publikować. Obydwoje wyjeżdżają z Paryża i razem z córkami zatrzymują się w Hôtel des Voyageurs w Issy-l'Évêque, w którym rezydują także żołnierze i oficerowie Wehrmachtu.

W październiku 1940 roku zostaje ogłoszone prawo dotyczące „obcych obywateli rasy żydowskiej”. Na mocy tego prawa mogą oni być internowani w obozach koncentracyjnych lub osiedleni w wyznaczonym miejscu. Prawo z 2 czerwca 1941 roku zastępujące pierwsze rozporządzenie o Żydach z października 1940 roku stawia ich w jeszcze bardziej niepewnej sytuacji. Stanowi preludium do aresztowań, internowania i deportacji do hitlerowskich obozów zagłady.

Metryka chrztu jest dla rodziny Nemtrovsky całkowicie bezużyteczna. Niemniej jednak mała Denise przystępuje do pierwszej komunii. Kiedy noszenie żydowskiej gwiazdy staje się obowiązkowe, uczęszcza do komunalnej szkoły z czarno-żółtą, dobrze widoczną gwiazdą naszytą na rękawie.

Nemirovscy po roku mieszkania w hotelu zdołali wreszcie wynająć duży porządny dom.

Michel Epstein pisze wierszowaną tabliczkę mnożenia dla małej Denise. Irène Nemirovsky, bardzo trzeźwo myśląca, przewiduje tragiczny rozwój wydarzeń. Ale dużo czyta i pisze. Codziennie po śniadaniu wychodzi z domu. Czasami idzie dziesięć kilometrów, zanim znajdzie miejsce, które jej odpowiada. Wtedy zabiera się do pracy. Ponownie wychodzi po południu po zjedzeniu obiadu i wraca dopiero wieczorem. Od 1940 do 1942 roku wydawnictwo Albin Michel i dyrektor antysemickiego pisma „Gringoire” godzą się publikować jej opowiadania pod dwoma pseudonimami; Pierre Nerey i Charles BlancaŁ

W latach 1941—1942 w Issy-l'Évêque Irène Némirovsky, która podobnie jak mąż nosi żółtą gwiazdę, pisze *La Vie de Tchékhev*, *Les Feux de l'automne* — obie książki ukażą się dopiero wiosną 1957 roku — i podejmuje ambitne zadanie, *Suitę francuską*, na której zdąży postawić słowo „koniec”. Utwór składa się z dwóch części. Pierwsza, *Czerwcowy burza*, to zbiór epizodów i scen ucieczki i klęski. Część druga, zatytułowana *Dolce*, została napisana w formie powieści.

Némirovsky zaczyna jak zwykle od notatek dotyczących aktualnie pisanej książki i refleksji wywołanych sytuacją we Francji. Sporządza listę bohaterów, głównych i drugoplanowych, sprawdza, czy znalazła dla wszystkich prawidłowe zatrudnienie. Marzy o tysiącstronicowej książce, skonstruowanej na wzór symfonii, ale w pięciu częściach. Wzoruje się na *V Symfonii* Beethovena.

Dwunastego czerwca 1942 roku, kilka dni przed aresztowaniem, wątpi, czy zdąży dokończyć swoje wielkie dzieło. Ma przecucie, że nie pozostaje jej zbyt wiele czasu. Kontynuuje

jednak redagowanie notatek, równoległe z pisaniem książki. Tym przenikliwym i cynicznym uwagom nadaje tytuł *Zapiski o stanie Francji*. Świadczą o tym, że Irenę Nemirovsky nie ma żadnych złudzeń, zarówno co do postawy bezwolnej „nienawistnej” masy Francuzów wobec klęski i kolaboracji, jak i co do własnego losu. Czyż nie napisała w nagłówku pierwszej strony:

*Twój, o Syzyfie, trzeba wskrzesić gest,*

*By taki udźwignąć ciężar.*

*Choć serce słabość zwycięża.*

*Cel jest daleki, a czas krótki jest\*.*

Piętnuje strach, tchórzostwo, zgodę na upokorzenia, prześladowania i masakry. Jest osamotniona. W środowisku literackim i wydawniczym tylko nieliczni nie wybrali kolaboracji. Codziennie wychodzi na spotkanie listonosza, ale nie ma dla niej przesyłek. Nie próbuje uniknąć przeznaczenia, uciekając chociażby do Szwajcarii, która dość niechętnie, ale jednak przyjmuje Żydów z Francji, zwłaszcza kobiety i dzieci. Czuje się opuszczona do tego stopnia, że 3 czerwca sporządza testament przeznaczony dla opiekunki swoich córek, żeby ta mogła zajmować się dziewczynkami, kiedy zabraknie rodziców. Irenę Nemirovsky daje precyzyjne wskazówki, wylicza wszystkie cenne rzeczy, które zdołała zachować, a które mogą zapewnić środki na zapłacenie komornego, ogrzanie domu, zakup pieca, zaangażowanie ogrodnika, by prowadził ogródek warzywny, co zagwarantuje jarzyny w okresie racjonowania żywności; podaje adresy lekarzy dziewczynek, pisze, jak należy je odżywiać. Ani słowa buntu. Prosty opis istniejącej sytuacji. Rozpaczliwej. Trzeciego lipca 1942 pisze: „Aby to nie potrwało długo i nie skomplikowało się w trakcie trwania! Ale niech się już skończy, dobrze albo źle!”. Postrzega sytuację jako serię gwałtownych wstrząsów, które mogą ją zabić.

\* Parafraza przekładu B. Wieniawy-Długoszowskiego.

Jedenastego lipca 1942 pracuje w sosnowym lesie, siedząc na swoim niebieskim pulowerze „w oceanie zgniłych liści zmoczonych ulewą ostatniej nocy jak na tratwie z nogami podwiniętymi pod siebie”.

Tego samego dnia pisze do dyrektora wydawnictwa Albin Michel list niepozostawiający najmniejszych wątpliwości co do tego, że wie, iż nie przeżyje wojny, jaką Niemcy i ich sojusznicy wydali Żydom.

„Drogi Przyjacielu... Niech Pan o mnie myśli. Bardzo dużo napisałam. Przypuszczam, że będą to dzieła pośmiertne, ale gdy piszę, czas płynie szybciej”.

Trzynastego lipca 1942 roku francuscy żandarmi zadzwonili do drzwi rodziny Nemirovsky. Przyszli po Irene. 16 lipca internowano ją w obozie koncentracyjnym Pithiviers w departamencie Loiret. Następnego dnia została wywieziona do Auschwitz w konwoju numer 6. Po pobycie w Rewirze\* znalazła się w obozie zagłady Birkenau. Została zamordowana 17 sierpnia 1942.

Michel Epstein nie chciał przyjąć do wiadomości, że aresztowanie i deportacja oznaczają śmierć. Codziennie czeka na powrót żony i do każdego posiłku każe stawiać dla niej nakrycie. Przebywa z córkami w Issy-1'Eveque. Zrozpaczony pisze do marszałka Pétaina, że żona ma słabe zdrowie, i prosi o zgodę na to, by mógł zająć jej miejsce w obozie pracy. Odpowiedzią rządu Vichy będzie aresztowanie Michela w październiku 1942 roku. Zostanie internowany najpierw w Creusot, później w Drancy, gdzie, jak wynika z protokołu przeszukania, skonfiskowano mu osiem tysięcy pięćset franków. Teraz on z kolei zostanie wywieziony do Auschwitz 6 listopada 1942 i zagazowany zaraz po przybyciu.

Natychmiast po aresztowaniu Michela Epsteina żandarmi pojawili się w szkole komunalnej po małą Denise, ale nauczycielce udało się ukryć dziewczynkę za swoim łóżkiem.

\* Rewir; mfirmieria w Auschwitz, gdzie w strasznych warunkach przetrzymywano więźniów chorych, niezdolnych do pracy. Od czasu do czasu esesmani ładowali ich na ciężarówki i wieźli do komór gazowych.

Francuscy żandarmi nie dają za wygraną i z zapałem zaczynają poszukiwanie dwóch małych dziewczynek, by zgotować im los rodziców. Ich opiekunka wykaże się przytomnością umysłu i odpruje żydowską gwiazdę z ubrań Denise, a potem wyprawi obie siostry w podróż przez całą Francję, Dziewczynki spędzą wiele miesięcy najpierw ukryte w klasztorze, a potem w piwnicach w regionie Bordeaux.

Straciwszy po wojnie nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek zobaczą rodziców, udały się po pomoc do babki, która przeżyła wojnę w Nicei w największym komforcie. Nie otworzyła im, krzycząc przez drzwi, że jeśli rodzice nie żyją, powinny się zgłosić do sierocińca. Zmarła w wieku stu dwóch lat w swoim wielkim apartamencie przy avenue du President-Wilson. W sejfie znaleziono jedynie dwie książki Irène Némirovsky, *Jezabel* i *David Colder*.

Z publikacją *Suity francuskiej* wiąże się historia często zakrawająca na cud, którą warto tu przytoczyć.

Opiekunka uciekała z dziewczynkami, taszcząc walizkę ze zdjęciami, rodzinnymi papierami i ostatnim rękopisem Irène, zapisanym mikroskopijnymi literami, by oszczędzać atrament i kiepski wojenny papier. W tym ostatnim dziele Irène Némirovsky nakreśliła bezlitosny portret Francji, bezwolnej, pokonanej i okupowanej.

Waliza towarzyszyła Elisabeth i Denise Epstein z jednej niepewnej i przelotnej kryjówki do drugiej. Najpierw była to katolicka pensja. Tylko dwie zakonnice wiedziały, że dziewczynki są Żydówkami. Denise nadano nowe imię, ale nie mogła się do niego przyzwyczaić i nieustannie upominano ją na lekcjach, ponieważ nie reagowała, kiedy ją wywoływano. Następnie żandarmi, zacierzewieni i niemający nic lepszego do roboty jak wydawanie hitlerowcom żydowskich dzieci, wpadli na ślad dziewczynek. Pośpiesznie opuściły pensję. W piwnicach, gdzie spędziły wiele tygodni, Denise nabawiła się zapalenia opłucnej; osoby, które ją ukrywały, nie miały odwagi zaprowadzić jej do lekarza i leczyły ją żywicą sosnową. Dziewczynkom znowu groziło zdemaskowanie i ponownie musiały uciekać, a cenna walizka zawsze stała w pogotowiu na wypadek alarmu. Przed wejściem do pociągu opiekunka przypominała Denise: „schowaj nos”.



Kiedy ocaleni z hitlerowskich obozów koncentracyjnych zaczęli przyjeżdżać na Dworzec Wschodni, Denise i Elisabeth chodziły tam codziennie. Chodziły też ze swoim nazwiskiem wypisanym na kartonie do hotelu Lutetia, gdzie zorganizowano ośrodek rozdzielczy dla deportowanych. Pewnego razu Denise puściła się biegiem, przekonana, że rozpoznała na ulicy postać matki.

Denise ocaliła cenny zeszyt. Nie śmiała go otworzyć, wystarczało jej, że na niego patrzy. Jednak kiedyś spróbowała zapoznać się z jego zawartością, ale okazało się to zbyt bolesne. Mijały lata.

Podjęły decyzję wraz z siostrą Elisabeth, która jako Elisabeth Gille została dyrektorem literackim wydawnictwa, by powierzyć ostatnie dzieło matki Instytutowi Pamięci Współczesnego Edytorstwa i w ten sposób je ocalić.

Jednak przed rozstaniem się z tym kajetem Denise postanowiła przepisać na maszynie jego zawartość. Pomagając sobie dużą lupą, rozpoczęła długi i żmudny trud odcyfrowania tekstu. *Suitą francuską* powierzono następnie pamięci komputera i przepisano po raz trzeci w ostatecznej formie. Nie były to, jak pierwotnie przypuszczała Denise, proste zapiski, osobisty dziennik, ale mocne dzieło, niezwykle przenikliwy fresk, fotografia Francji i Francuzów: exodus na drogach, miasteczka zatłoczone kobietami i dziećmi, wyczerpanymi, wygłodzonymi, walczącymi o miejsce do spania na zwykłym krześle na korytarzu wiejskiej oberży, samochody, którym zabrakło benzyny na środku drogi, zapakowane meblami, materacami, narzutami i naczyniami, burzuje zde gustowani ludem, próbujący ocalić swoje bibeloty, kokoty zostawione na lodzie przez amantów pośpiesznie opuszczających Paryż w towarzystwie rodziny, ksiądz konwojujący do bezpiecznego miejsca sieroty, które pozbywszy się zahamowań, w końcu go zamordują, żołnierz niemiecki na kwaterze w mieszczańskim domu uwodzący młodą wdowę na oczach teściowej. W tym żalonym obrazie tylko niezamożne małżeństwo, których syn został ranny w pierwszych potyczkach, zachowa godność. Na próżno rodzice próbują odnaleźć syna pośród zwyciężonych żołnierzy włóczących się po drogach,

pośród chaosu wojskowych konwojów transportujących rannych do szpitali.

Z ciężkim sercem Denise Epstein przekazała rękopis *Suity francuskiej* kustoszowi Instytutu Pamięci. Nie wątpiła w wartość ostatniego dzieła matki, ale nie dała go do czytania żadnemu wydawcy, ponieważ Elisabeth Gille, jej siostra, już poważnie chora, pisała właśnie *Le Mirador*, wspaniałą, zrodzoną w wyobraźni biografie tej, której nie zdążyła poznać, bo miała pięć lat, kiedy zamordowali ją hitlerowcy.

Myriam Anissimov

# CZERWCOWA BURZA

# 1

## Wojna

Ciepło, myśleli paryżanie. Wiosenna aura. Noc wojny, alarm. Ale noc się kończy, wojna jest daleko. Ci, którzy nie spali, chorzy w swoich łóżkach; matki, których synowie byli na froncie; zakochane kobiety o oczach wyblakłych od łez, usłyszeli pierwsze tchnienie syreny. Był to zaledwie głęboki wdech podobny do westchnienia wydobywającego się z uciśnionej piersi. Upłynęło kilka chwil, zanim całe niebo wypełniły zawodzenia syreny. Nadchodziły z daleka, z głębi horyzontu, bez pośpiechu. Śpiący śnili o morzu z falami i piaszczystych plażach; o burzy wstrząsającej iasem w marcu, o stadzie bydła biegnącego ciężko, ryjącego kopytami ziemię. Wreszcie sen ustępował i mężczyzna mamrotał, przecierając oczy.

— Czy to alarm?

Kobiety, bardziej żywe i bardziej nerwowe, już były na nogach. Niektóre po zamknięciu okien i okiennic wróciły do łóżek. Poprzedniego dnia, w poniedziałek 3 czerwca, po raz pierwszy od początku wojny na Paryż poleciały bomby, ale lud nie tracił spokoju. Choć wiadomości nie były dobre. Nie dawano im wiary. Zresztą nie uwierzono by też w ogłoszenie zwycięstwa. „Nic z tego nie rozumiemy”, mówili ludzie. Przy świetle latarki ubierano dzieci. Matki tuliły ich drobne ciała rozgrzane podczas snu. „Nie płacz, nie bój się”. To tylko alarm. Wszystkie lampy zgasły, ale pod czerwcowym niebem, wyłocnym i przezroczystym, widoczny był każdy dom, każda uliczka. Sekwana zdawała się skupiać wszystkie rozproszone

światła i odbijać je po stokroć niczym szlifowane szkło. Przyciągała, więziła i odbijała w swoich falach niewystarczająco zasłonięte okna, dachy migoczące w lekkim mroku, słabe błyski zamków w drzwiach. Z góry musiała wydawać się biała jak rzeka mleka. Naprowadza nieprzyjacielskie samoloty, sądzili niektórzy. Inni utrzymywali, że to niemożliwe. W istocie nikt nic nie wiedział. „Nie wstaję, mamrotały zaspane głosy, nic boję się”. „Pamiętaj, wystarczy raz nic wstać”, odpowiadali mądrzy ludzie.

W witrażowych oknach schodów dla służby w nowoczesnych kamienicach widać było schodzące w dół płomyczki: to uciekali lokatorzy z szóstego piętra i wbrew zakazowi oświetlali sobie drogę latarkami. „Nie chcę potłuc sobie gęby na schodach. Idziesz, Emile?”. Instynktownie ściszano głos, jakby przestrzeń wypełniły nieprzyjacielskie oczy i uszy. Słyszać było odgłosy kolejno zamykanych drzwi. W biednych dzielnicach tłum zbierał się zawsze w metrze, w tym cuchnącym schronie, natomiast bogaci zadowalali się zejściem do konsjerżki i tam, czujni i napięci jak zaniepokojone zwierzęta w lesie przed nadchodzącym polowaniem, nasłuchiwali huków i wybuchów bomb. Biedni nie byli bardziej strachliwi od bogatych, nie byli bardziej przywiązani do życia, natomiast bardziej stadni, potrzebowali siebie nawzajem, trzymali się za ręce, razem jęczeli czy śmiali się.

Wkrótce wstanie dzień. Niebieskie i srebrne refleksy prześlizgiwały się po jezdniach, po balustradach nabrzeży, po wieżach katedry Notre-Dame. Worki z piaskiem otaczały główne budynki do połowy wysokości, zasłoniły tancerki Carpeaux na fasadzie Opery, zagłuszały krzyk *Marsylianki* na Łuku Triumfalnym.

Huk armatnich strzałów dochodził jeszcze z dość daleka, potem zbliżył się, a odpowiadała mu drzeniem każda szyba. Dzieci rodziły się w przegrzanych pokojach, w których dokładnie zasłonięto okna, żeby nie wydostał się na zewnątrz nawet promyczek światła. Ich płacz kazał kobietom zapomnieć o dźwięku syren i o wojnie. W uszach umierających strzały armatnie zdawały się ciche i pozbawione jakiegokolwiek znaczenia, stanowiły jeszcze jeden szmer w tym ponurym i niewy-

rażnym hałasie, który otacza umierającego jak woda. Dzieci przytulone do matek spały spokojnie, a od czasu do czasu z ich ust wydobywało się cmoknięcie, które przypominało ssące jagnię. Wózki handlarzy warzywami, porzucone podczas alarmu, stały na ulicy pełne świeżych kwiatów.

Słońce, jeszcze całkiem czerwone, wchodziło na bezchmurny firmament, kiedy rozległ się wystrzał armatni, teraz już tak blisko Paryża, że ze szczytów wszystkich pomników poderwały się ptaki. Najwyżej unosiły się wielkie czarne ptaszyska, zazwyczaj niewidzialne, teraz rozpościerały w świetle słońca lśniące różowo skrzydła, potem wzbiły się w górę piękne gołębie, tłuste i gruchające, potem jaskółki i wróble, które zazwyczaj skakały spokojnie na pustych ulicach. Nad brzegiem Sekwany na każdej topoli wisiało grono niewielkich brązowych ptaszków, wyśpiewujących ze wszystkich sił swoje trele. W głębi piwnic usłyszano nareszcie bardzo dalekie wezwanie, przytłumione przez odległość, rodzaj fanfary w trzech tonacjach. Alarm się skończył.

U Pericandów wysłuchano w radiu informacji wieczornych w pełnym konsternacji milczeniu, powstrzymano się jednak od wszelkich komentarzy. Pericandowie należeli do ludzi dobrze myślących; tradycje rodzinne, usposobienie, dziedzictwo burżuazyjne i katolickie, związki z Kościołem (najstarszy syn Philippe Pericand był księdzem) skłaniały ich do nieufnego traktowania rządu republiki, A z drugiej strony stanowisko pana Péricanda, kustosza w jednym z muzeów, wiązało ich z reżimem, który nie szczędził swoim sługom zaszczytów i korzyści.

Kot trzymał podejrzliwie w ostrych zębach kawałek ryby naszpikowany ośmi: bał się go połknąć, ale żał mu było go wypluć.

Zresztą Charlotte Pericand uważała, że jedynie męski rozum może spokojnie ocenić tak dziwne i poważne wydarzenia. A tymczasem ani jej męża, ani najstarszego syna nie było w domu; jeden jadł kolację z przyjaciółmi, a drugi wyjechał z Paryża. Pani Pericand trzymała żelazną ręką sprawy codziennej egzystencji — co dotyczyło w równym stopniu prowadzenia domu, kształcenia dzieci czy kariery męża — i nie słuchała niczyich opinii, ale ta sytuacja dotyczyła zupełnie innej dziedziny, Przede wszystkim potrzebowała, żeby ktoś obdarzony autorytetem powiedział jej, w co wypada wierzyć. Raz skierowana na dobrą drogę, biegła nią pędem, nie zwracając uwagi na przeszkody. Gdyby udowodniano jej, czarno na białym, że jej

opinia jest błędna, odpowiedziała z wyniosłym i zimnym uśmiechem: „Ojciec mi to powiedział. Mój mąż jest dobrze poinformowany”. I dłonią w rękawiczce wykonywała gest wykluczający dalszą wymianę zdań. Imponowała jej pozycja męża (choć ona sama wołałaby bardziej domatorski tryb życia, ale wszak na podobieństwo naszego Zbawiciela każdy z nas musi dźwigać swój krzyż!). Właśnie weszła do domu pomiędzy wizytami, żeby dojrzeć lekcje dzieci, smoczek najmłodszego, prace służby, nie miała jednak czasu, żeby zdjąć swoją zbroję. W pamięci młodych Pericand matka zawsze musiała być gotowa do wyjścia z domu, w kapeluszu i białych rękawiczkach, (Ponieważ była oszczędna, reperowane rękawiczki stale zalatywały zapachem benzyny, świadczącym o licznych praniach).

Tego wieczoru właśnie weszła do domu i stała w salonie przed odbiornikiem radiowym. Była ubrana na czarno, w małym, uroczym, modnym kapelusiku, ozdobionym trzema kwiatami i jedwabnym pomponem z przodu. Twarz pod kapelusikiem była blada i pełna niepokoju z bardzo widocznymi śladami wieku i zmęczenia. Pani Pericand miała czterdzieści siedem lat i pięcioro dzieci. Bóg najwyraźniej chciał, żeby była ruda. Miała niezwykle delikatną cerę, zniszczoną upływem lat. Wyraźny i majestatyczny nos pstrzyły plamy piegów. Zielone oczy rzucały spojrzenia o kociej przenikliwości. Jednak w ostatniej chwili Opatrzność niewątpliwie zawahała się lub uznała, że krzykliwe owłosienie nie przystoi ani nienagannej moralności pani Pericand, ani jej pozycji, więc obdarzyła ją matowymi włosami szatynki, które wypadały garściami po urodzeniu ostatniego dziecka. Pan Pericand był człowiekiem zasadniczym: skrupuły religijne zabraniały mu wielu pragnień, a dbałość o reputację trzymała go z dala od nieodpowiednich miejsc. Toteż najmłodszy Pericand miał zaledwie dwa latka, a między księdzem Philippe'em a nim była trójka dzieci żyjących i to, co pani Pericand nazywała wstydliwie trzema wypadkami, kiedy dziecko donoszone niemal do końca ciąży nie przeżyło, a matka trzykrotnie stanęła nad grobem.

Salon, w którym właśnie rozbrzmiewały dźwięki radia, był duży, miał doskonale proporcje, a cztery okna wychodziły na



bulwar Delessert. Umeblowany był staroświecko wielkimi fotelami i kanapami o żółtozłoty obiciach. Przy balkonie siedział na wózku inwalidzkim starszy pan Péricand, który był tak wiekowy, że najczęściej powracał do okresu dzieciństwa. Odzyskiwał jasność myślenia tylko wtedy, gdy dotyczyło to jego niebagatelny majątku (pochodził z rodziny Péricand--Maltète i był dziedzicem lionskich Maltête). Jednak wojna i jej nieszczęścia już do niego nie docierały. Słuchał obojętnie, unosząc rytmicznie swoją piękną srebrną brodę. Za matką stały półkolem dzieci, najmłodszego trzymała na rękach bona. Jej trzech synowie byli na froncie i teraz przyniosła małego, żeby przywitał się z rodziną, sama chciała przy okazji skorzystać z chwilowego prawa wstępu do salonu, by z niepokojem wysłuchać słów spikera.

Pani Péricand domyśliła się obecności reszty służby za uchylonymi drzwiami: pokojówka Madeleine wiedziona lękiem posunęła się aż na próg, to odstępstwo od przyjętych zwyczajów wydało się pani Péricand złą wróżbą. Kiedy statek tonie, wszystkie klasy spotykają się na mostku. Tyle że lud nie ma wytrzymałości nerwowej. Zupełnie się nic kontrolują, pomyślała z wyrzutem. Pani Péricand należała do tych mieszczan, którzy mieli do ludu zaufanie. „Nie są źli, jeśli umie się do nich podejść”, mawiała tonem pełnym wyższości i lekkiego zasmucenia, z jakim mówiłaby o zwierzęciu w klatce. Chłubiła się tym, że swoją służbę trzymała długie lata. Jeśli ktoś ze służących zachorował, sama się nim opiekowała. Kiedy Madeleine miała anginę, pani Péricand przygotowywała jej płyn do płukania gardła. A że nie miała czasu w ciągu dnia, robiła to wieczorem po powrocie z teatru. Madeleine, gwałtownie rozbudzona, okazała wdzięczność dopiero znacznie później, a i to w dość zimnych słowach, myślała pani Péricand. Tacy właśnie są prości ludzie, zawsze niezadowoleni, a im bardziej człowiek się stara coś dla nich zrobić, tym bardziej niewdzięczni i zmienni się okazują. Dlatego pani Péricand spodziewała się zadośćuczynienia dopiero w niebie. Teraz zwróciła się w kierunku przedpokoju i oznajmiła dobrotliwie: — Możecie posłuchać wiadomości.

— Dziękujemy pani — wymamrotały głosy pełne uszanowania i służący wślizgnęli się do salonu na czubkach palców.

Byli to Madcleine, Marie i pokojowicc Augustę, ostatnia weszła kucharka Maria, skrepowana faktem, że jej ręce śmierzdzą rybą. Zresztą wiadomości akurat się skończyły. Teraz słuchano komentarzy do sytuacji

„niewątpliwie poważnej, ale nie alarmującej”, jak zapewniał spiker.

Mówił głosem gładkim, spokojnym i dobrodusznym, a ilekroć wymawiał słowa „Francja, ojczyzna czy armia”, dźwięczały w jego głosie jakby nuty trąbki, toteż nappełniał optymizmem serca słuchaczy. W sposób

charakterystyczny przypominał komunikat informujący, że „nieprzyjaciel nadal zajadłe atakuje nasze pozycje, gdzie spotyka się z energicznym oporem naszych oddziałów”. Pierwszą część zdania czytał tonem niedbałym, ironicznym i pogardliwym, jakby chciał powiedzieć

„przynajmniej to chcą nam wmówić”. Za to podkreślał każdą sylabę drugiej części, wybijając szczególnie przymiotnik „energiczny” i słowa „nasze oddziały” z taką pewnością, że ludzie nie mogli się oprzeć myśli „na pewno niepotrzebnie się tak przejmujemy”.

Pani Pericand poczuła na sobie pytające i pełne nadziei spojrzenia, więc oświadczyła stanowczo:

— Chyba nie jest bardzo źle!

Wcale tak nie myślała, ale jej obowiązkiem było podniesienie morale.

Marie i Madelcine wyszeptały:

— Tak pani myśli?

Jedynie Hubert, drugi z synów państwa Péricand, puciołowaty i różowiutki osiemnastolatek, wydawał się zrozpaczony i oniemiały ze zdumienia. Nerwowo wycierał szyję chustką do nosa zwiniętą w kulkę i wykrzykiwał głosem przenikliwym, chwilami ochrypłym:

— To niemożliwe! Wprost nie do wiary, że do tego doszło! Mamo, na co oni czekają? Dlaczego nic powołują do wojska wszystkich mężczyzn? Od szesnastego do sześćdziesiątego roku życia, wszystkich mężczyzn, i to natychmiast? To właśnie powinni zrobić, nie uważa mama?

Pobiegł do gabinetu i wrócił z wielką mapą. Rozłożył ją na stole, odmierzając nerwowo odległości.

— Jesteśmy zgubieni, mówię wam. Jesteśmy zgubieni, chyba że...  
Odzyskiwał nadzieję.

— Rozumiem, co chcą zrobić — oświadczył w końcu, pokazując białe zęby w radosnym uśmiechu. — Doskonale rozumiem. Pozwolą im się posuwać do przodu, coraz dalej, po czym zatrzymają ich tu i tu, proszę, niech mama popatrzy! Albo...

— Dobrze, dobrze — przytaknęła matka. — Idź umyć ręce i zrób coś z tym lokiem, który wpada ci w oczy. Zobacz, jak ty wyglądasz.

Z sercem pełnym złości Hubert złożył mapę. Tylko Philippe traktował go poważnie, tylko Philippe rozmawiał z nim jak z równym sobie.

„Wszystkich was nienawidzę”, powtarzał bezgłośnie, a wychodząc z salonu, w ramach zemsty kopnął zabawki braciszka Bernarda, który zaczął płakać. To go nauczy życia, pomyślał Hubert. Niania pośpiesznie wyprowadziła Bernarda i Jacqueline, na jej ramieniu spał już maleńki Emmanuel. Szła szybko, ciągnąc za rękę Bernarda i oplakując swoich synów, bo wyobraźnia podpowiadała jej, że cała trójka zginęła. „Bieda i nieszczęście, bieda i nieszczęście”, powtarzała półgłosem, kiwając siwą głową. Puściła wodę do wanny, położyła szlafroczyki dzieci na grzejniku, mamrocząc bez przerwy te same słowa, które zdawały się wyrażać nie tylko sytuację polityczną, ale także, czy raczej przede wszystkim, jej własne życie: w młodości praca na roli, wdowieństwo, paskudne charaktery synowych i mieszkanie pod dachem obcych od szesnastego roku życia.

Pokojowiec Auguste wszedł do kuchni bezszelestnym krokiem. Na jego nadętej i tępej twarzy malował się wyraz bezbrzeżnej pogardy pod adresem wielu rzeczy. Pani Péricand wróciła do siebie. Ta niezwykle aktywna kobieta wykorzystywała wolny kwadrans pomiędzy kąpielą dzieci a kolacją, by sprawdzić lekcje Jacqueline i Bernarda. Słysząc było czyste głosy: „Ziemia jest kulą, która nie wspiera się na niczym”. W salonie pozostał tylko starszy pan Péricand i kot Albert. To był wspaniały dzień. Światło wieczoru rozjaśniało łagodnie gęste drzewa kasztanów. Albert, niewielki, szary dachowiec, stanowiący własność dzieci, zdawał się ogarnięty radosnym

delirium: tarzai się po dywanie i kładł na grzbiecie. Wskakiwał na kominek, chwycił zębami koniuszki piwonii stojących w wielkim granatowym wazonie ozdobionym pyskiem wilka wyrzeźbionym w brązie, który stał w kącie konsoli; po czym jednym susem znalazł się na oparciu fotela starszego pana, któremu miauknął w ucho. Stary Péricand wyciągnął do niego rękę, zawsze lodowato zimną, fioletową i drżącą. Kot przestraszył się i umknął. Właśnie podano kolację i Auguste zawiózł inwalidę do jadalni. Siadano już do stołu, kiedy pani domu nagle znieruchomiała, trzymając w powietrzu łyżeczkę, na której podawała Jacqueline wzmacniającą miksturę.

— Dzieci, to wasz ojciec — oznajmiła, słysząc obracający się w zamku klucz.

Rzeczywiście był to pan Péricand, niewielki pulchny człowieczek, o łagodnych, choć niezręcznych ruchach. Jego twarz, zazwyczaj różowa, wypoczęta, dobrze odżywiona, była pobladła i zdawała się nie tyle wystraszona czy zaniepokojona, co niepomierne zdziwiona. Podobny wyraz można zobaczyć na twarzach ludzi, którzy w ciągu kilku sekund zginęli w wypadkach, nie mając czasu ani na cierpienie, ani na strach. Czytali akurat książkę, wyglądali przez okno auta, myśleli o swoich sprawach, udawali się do wagonu restauracyjnego i nagle znaleźli się w piekle. Pani Péricand uniosła się lekko na krześle.

— Adrien? — zawołała pełna niepokoju.

— Nic, nic — wymamrotał pośpiesznie, wskazując wzrokiem dzieci, ojca i służbę.

Pani Péricand zrozumiała. Dała znak, żeby podawać. Zmuszała się do przetykania jedzenia, ale każdy kęs wydawał się twardy jak kamień i pozbawiony smaku, z trudem przechodził jej przez gardło. Powtarzała jednak słowa należące do kolacyjnego rytuału od trzydziestu lat. Mówiła dzieciom:

— Nie pij, zanim zaczniesz jeść zupę. Uważaj na nóż... Kroiła starannie filet z soli dla starszego pana Péricand.

Przygotowywano dla niego dania delikatne i wyszukane, a pani Péricand zawsze sama go obsługiwała, nalewała mu wody, smarowała tartinkę masłem, zawiązywała serwetkę pod brodą, bo miał zwyczaj ślinić się na widok ulubionych potraw.

— Myślę — mawiała do przyjaciół — że ci biedni starcy cierpią, kiedy dotyka ich służba.

— Dzieci, musimy się pośpieszyć z okazywaniem dziadkowi naszego przywiązania — pouczała, patrząc na staruszkę z przerażającą czułością. Pan Pericand w wieku dojrzałym zajmował się filantropią. Szczególnie leżała mu na sercu jedna z własnych fundacji dobroczynnych: Skruszeni Winowajcy z XVI Dzielnicy. Celem tej wspaniałej instytucji było moralne podniesienie nieletnich skompromitowanych w sprawach obyczajowych. Wiadomo było, że w chwili śmierci stary pan Pericand zostawi tej organizacji pewną sumę pieniędzy. Jednak bardzo irytujące było to, że nigdy nie sprecyzował wysokości sumy. Kiedy jakaś potrawa nie znalazła jego uznania albo dzieci zbyt hałasowały, budził się nagle ze swojego ośpienia i oznajmiał słabym, ale wyraźnym głosem:

— Zapiszę pięć milionów na dobroczynność. Następowala bolesna cisza. Za to kiedy dobrze się najadł i wyspał w swoim wózku przy oknie na słońcu, podnosił na synową wyblakłe oczy, niewyraźne i mętne jak oczy noworodków i nowo narodzonych szczeniaków.

Charlotte odznaczała się taktem. Nie wykrzykiwała jak inne synowe: „Ojciec ma absolutną rację”, ale odpowiadała słodkim głosem:

— Mój Boże, ma ojciec dużo czasu, żeby to przemyśleć. Pericandowie posiadali znaczny majątek, niesprawiedliwością byłoby oskarżanie ich o to, że pragną dziedziczyć po starszym panu. Nie byli przywiązani do pieniędzy, bynajmniej, to raczej pieniądze przywijały się do nich. Całości tego, co im się należało, między innymi „milionów lionskich Maltete”, nigdy nie wydadzą, zachowają jako rezerwę dla dzieci swoich dzieci. A co do instytucji Skruszonych Winowajców, to interesowali się nią do tego stopnia, że pani Pericand dwa razy do roku organizowała dla tych nieszczęśników koncerty muzyki klasycznej: sama grała na harfie i twierdziła, że przy niektórych fragmentach z głębi ciemnej sali rozlegały się szlochy.

Stary pan Pericand z wielką uwagą wodził wzrokiem za dłońmi synowej. Była tak rozkojarzona i zgnębiona, że zapom-

niała o sosie. Jego biała broda ożywiła się niepokojąco. Pani Péricand powróciła do rzeczywistości, szybko połała rybę w kolorze kości słoniowej świeżym stopionym masłem z posiekaną natką pietruszki, jednak staruszek rozpogodził się dopiero, kiedy położyła na brzegu talerza plasterki cytryny. Hubert pochylił się do brata i wyszeptał:

— Jest źle?

— Owszem — odpowiedział brat gestem i spojrzeniem.

Hubert opuścił na kolana drżące ręce. Porywała go wyobraźnia, malując żywe sceny bitwy i zwycięstwa. Był harcerzem. Wraz z kolegami stworzyli grupę wolontariuszy partyzantów, którzy do końca będą bronili kraju. W ciągu sekundy odbył podróż w czasie i przestrzeni. On i jego koledzy, niewielka grupa zjednoczona pod znakiem honoru i wierności. Będą się bili, będą się bili całą noc, uratują zbombardowany, podpalony Paryż. Cóż za ekscytujące, wspaniałe życie. Serce mu waliło. A przecież wojna była czymś strasznym, nieludzkim. Oszłomiły go te wizje. Tak mocno ścisnął nóż, że kawałek rozbefu spadł z talerza na podłogę.

— Niezdara! — szepnął siedzący obok Bernard, pokazując mu pod obrusem rogi.

Bernard miał osiem, a Jacqueline dziewięć lat, stanowili parę chudych blondynków z zadartymi nosami. Po deserze tę dwójkę odesłano do łóżek, stary pan Péricand zasnął na swoim zwykłym miejscu przy otwartym oknie. Łagodny czerwcowy dzień przedłużał się, nie miał ochoty umierać. Każde migotanie światła stawało się coraz słabsze i delikatniejsze, jakby stanowiło czułe i pełne żalu pożegnanie ziemi. Kot siedzący na parapecie wpatrywał się nostalgicznym wzrokiem w horyzont, w jego kryształową zieleń. Pan Péricand chodził po pokoju w tę i z powrotem.

— Pojutrze, a może już jutro Niemcy staną u bram Paryża. Podobno najwyższe dowództwo zdecydowało się bić pod Paryżem, w Paryżu, za Paryżem. Na szczęście jeszcze tego nie ogłoszono, bo już od jutra zrobiłby się nieprzytomny ścisk na dworcach i na drogach. Charlotte, trzeba wyruszyć o świcie, żeby dotrzeć do twojej matki w Burgundii. Co do mnie — oznajmił pan Péricand nie bez pewnej dumy — będę dzielił los skarbów, które mi powierzono.

— Sądziłem, że muzeum ewakuowano we wrześniu — wtrącił Hubert.

— Owszem, ale prowizoryczne schronienie w Bretanii okazało się nieodpowiednie, bo jest tam wilgotno jak w piwnicy. Nic z tego nie rozumiem. Powstał komitet ocalenia skarbów narodowych, podzielony na trzy grupy i siedem podgrup, z których każda wyłoniła komisję ekspertów odpowiedzialnych za przechowanie dzieł sztuki podczas wojny i oto w zeszłym miesiącu strażnik nas poinformował, że na płótnach pojawiły się podejrzane zacieki. Cudowny portret Mignarda miał ręce przeżarte jakimś zielonym trądem. Szybko przywieziono z powrotem do Paryża bezcenne skrzynie i teraz oczekuję polecenia, które zapewne wkrótce dostanę, żeby wywieźć je dalej.

— No a my? Jak mamy jechać? Sami?

— Pojedziesz spokojnie jutro rano z dziećmi, dwoma samochodami. Oczywiście zabierzecie ile się da i mebli, i bagaży, bo nie należy się łudzić, Paryż zostanie zniszczony, spalony i dodatkowo splądrowany, nim tydzień dobiegnie końca.

— Jesteś niezwykły! — wykrzyknęła Charlotte. — Mówisz o tym tak spokojnie!

Pan Pericand zwrócił w stronę żony twarz, która powoli nabierała różowej karnacji, ale był to odcień matowy jak u świeżo ubitych świń.

— Bo nie mogę w to uwierzyć — wyjaśnił łagodnie. — Mówię do was, słucham, postanawiamy porzucić nasz dom, uciekać samochodami, ale nie mogę uwierzyć, że taka jest rzeczywistość, rozumiecie? Charlotte, idź się pakować, żeby wszystko było gotowe na rano, musicie na kolację dotrzeć do twojej mamy. Dołączę do was, jak tylko będę mógł.

Pani Pericand zrobiła minę zrezygnowaną i gorzką, jaką przybierała zazwyczaj razem z włożeniem fartucha pielęgniarki, kiedy dzieci chorowały; na ogół chorowały wszystkie równocześnie, choć na zupełnie inne przypadłości. W takie dni pani Pericand wychodziła z dziecinnych pokoi, dzierżąc w dłoni termometr, którym wymachiwała jak palmą męczeństwa, a jej wygląd zdawał się mówić: „Słodki Jezu, w ostatnim dniu rozpoznasz, kto należy do Ciebie!”. Teraz zapytała jedynie:

— A Philippe?

— Philippe nie może wyjechać z Paryża.

Pani Pericand wyszła z podniesioną głową. Musi być dzielna.

Przypilnuje, żeby jutro rano wszystko było gotowe do odjazdu: stary inwalida, czwórka dzieci, służba, kot, srebra, najcenniejsze naczynia, futra, rzeczy dzieci, zapasy, i apteczka na wszelki wypadek. Zadrzała.

W salonie Hubert błaga! ojca:

— Proszę mi pozwolić nie wyjeżdżać! Zostanę z Philip-pe'em. I... proszę nie kpić ze mnie! Czy ojciec nie sądzi, że gdybym poszukał moich kolegów, młodych, zdrowych, gotowych na wszystko, moglibyśmy stworzyć kompanię ochotników... Można by..

Pan Péricand popatrzył na niego i powiedział jedynie:

— Mój biedaku!

— To już koniec? Wojna przegrana? — wymamrotał Hubert. — To... nieprawda?

I nagle, ku swojemu przerażeniu, zorientował się, że wybucha płaczem. Płakał jak dziecko, tak jak mógłby płakać Bernard, z wykrzywionymi ustami, ze strumieniami łez płynącymi po policzkach. Nadchodziła noc, słodka i spokojna. Przeleciała jaskółka, niemal zawadzając o balkon w zapadających ciemnościach. Kot wydał krótki okrzyk pożądania.



Pisarz Gabriel Corte pracował na tarasie pomiędzy ciemnym, rozedrganym laskiem a złotozielonym zachodem, który gasł na wodach Sekwany. Jaki spokój wokół! Blisko niego znajdowali się dobrze wytresowani domownicy, dwa wielkie białe psy, które nie spały, ale leżały bez ruchu z nosami na chłodnych płytach posadzki, z półprzymkniętymi oczami. U jego stóp kochanka spokojnie zbierała stronice, które spadły z biurka. Reszta domowników i sekretarka pozostawali niewidoczni za błyszczącymi szybami, kręcili się gdzieś na dalszym planie, w kulisach życia, które zgodnie z pragnieniem pisarza miało być świetne, wystawne i zdyscyplinowane jak balet. Gabriel Corte miał pięćdziesiąt lat i własne rozrywki. W zależności od dnia bywał Panem Niebios lub skromnym autorem złamanym trudem ciężkim i daremnym. Na biurku, przy którym pisał, kazał wygrawerować napis: „Twój, o Syzyfie, trzeba wskrzesić gest, by taki udźwignąć ciężar”. Koledzy po fachu zazdrościli mu, ponieważ był bogaty. Sam opowiadał z goryczą, że kiedy po raz pierwszy kandydował do Akademii Francuskiej, jeden z wyborców namawiany do głosowania na niego, odpowiedział niechętnie: „On ma trzy linie telefoniczne!”. Był urodziwy, miał okrutne i omdlewające ruchy kota, dłonie miękkie, ekspresyjne, a oblicze lekko utuczonego Cezara. Jedynie Florence, oficjalna metresa, którą tolerował w swoim łóżku aż do rana (inne nigdy nie spały u jego boku), mogłaby powiedzieć, ile masek potrafił przywdziewać ten stary kokiet

z podpuchniętymi oczami, z kobiecymi brwiami, ostrymi, trochę zbyt cienkimi.

Tego wieczoru zgodnie ze swoim zwyczajem pracował półnagi. Jego dom w Saint-Ooud zbudowano w ten sposób, że nie dosięgały go spojrzenia ciekawskich, nawet na tarasie, wielkim, wspaniałym, obsadzonym niebieskimi cynerariami. Niebieski był ulubionym kolorem Gabriela Corte'a. Nie mógł pisać, jeśli nie stał obok niego mały puchar z lapis-lazuli, intensywnie niebieskiej barwy. Czasami Corte przyglądał mu się i pieścił jak metrese. Zresztą to, co najbardziej podobało mu się u Florence, to jej absolutnie niebieskie oczy, co jej często powtarzał, oczy, które dawały mu takie uczucie świeżości jak ów puchar. „Twoje oczy niosą mi ukojenie”, szeptał. Miała łagodny podbródek, lekko zaokrąglony, nadal piękny kontrast i trochę cielecy wzrok, jak wyznał przyjaciółom Gabriel Corte. Lubię to, mawiał. Kobieta powinna przypominać jałówkę, łagodna, ufna i hojna, z karnacją białą jak śmietana, wicie, taką jak skóra starych aktorek, uelastyczniona masażami, nasiąknięta szminkami i pudrem. Corte wyciągnął delikatne palce i strzelił jak kastanietami. Florence podała mu cytrynę, potem zjadł pomarańczę i kilka truskawek posypanych cukrem; pochłaniał olbrzymie ilości owoców. Florence patrzyła na niego, klęczała na aksamitnym pufie w postawie adoracji, która mu się podobała (zresztą innej w ogóle sobie nie wyobrażał!). Czuł się rozleniwiony, ale było to wynikiem przyjemnego zmęczenia po udanej pracy, zmęczenia lepszego niż wyczerpanie miłością, co niejednokrotnie podkreślał. Spoglądał na kochankę życzliwie.

— Sądzę, że nie poszło najgorzej. I wiesz, środek — narysował w powietrzu trójkąt wskazując jego wierzchołek — już przekroczony. Rozumiała, co chciał powiedzieć. Natchnienie rozkwitło w środku powieści. Corte pracował więc jak koń, próbując wyciągnąć wóz, który ugrzązł. Florence złączyła dłonie we wdzięcznym geście podziwu.

— Już! Gratuluję, mój drogi. Teraz już pójdzie samo, na pewno.

— Oby Bóg cię wysłuchał! — wymamrotał w zatroskaniu. — Niepokoi mnie jednak Lucienne.

— Lucienne?

Zmierzył ją wzrokiem, a w jego oczach było coś twardego, zimnego i nieprzyjemnego. Kiedy miał dobry humor, Florence mawiała: „Znowu popatrzyłeś tym swoim wzrokiem bazyliuszka”, a on śmiał się, bo to mu pochlebiało; jednak w twórczym ferworze nienawidził żartów.

Florence zupełnie nie mogła sobie przypomnieć postaci Lucienne. Skłamała.

— Rzeczywiście! Gdzie ja mam głowę!

— Też sobie zadaję to pytanie. — Głos Gabriela był pełen goryczy i urazy.

Ona jednak zdawała się tak zasmucona i pokorna, że poczuł litość. Rozchmurzył się.

— Zawsze ci powtarzałem, że nie przywiązujesz wystarczającej wagi do statystów. Powieść powinna przypominać ulicę pełną nieznanym, po której idą dwie czy trzy osoby, nie więcej, znane nam na wylot. Popatrz, jak inni, na przykład Proust, potrafili wykorzystać statystów. Posłużyli się nimi, by upokorzyć, pomniejszyć rolę głównych bohaterów. Trudno o coś bardziej pouczającego w powieści niż ta lekcja pokory udzielona bohaterom. Przypomnij sobie w *Wojnie i pokoju* tę scenkę, kiedy dziewczęta, śmiejąc się, przebiegają drogę przed powozem księcia Andrzeja. Kiedy go zobaczą, dalej mówią do siebie, rozmawiają między sobą. Wizja czytelnika wtedy się zmienia, nie dotyczy już tylko jednej twarzy, pojedynczej duszy. Czytelnik odkrywa wielorakość form. Poczekał, przeczytam ci ten fragment, jest naprawdę niezwykły. Zapal światło, bo nadeszła noc.

— Samoloty — odpowiedziała Florence, wskazując na niebo.

— Kiedy wreszcie dadzą mi spokój! — zrzędził.

Nienawidził wojny, zagrażała nie tylko jego życiu czy samopoczuciu, niszczyła w każdym momencie świat fikcji —jedyne świat, w którym czuł się szczęśliwy — niczym odgłos trąbki, brzmiały fałszywie i strasznie, który kruszył delikatne mury z kryształu wzniesione z takim trudem pomiędzy nim a światem zewnętrznym.

— Boże! — westchnął. — Co za nuda, co za koszmar!

Wrócił jednak na ziemię.

— Masz gazety?

Przyniosła mu je bez słowa. Weszli do domu. Corte przerzucił gazety z nachmurzoną miną.

— W sumie nic nowego — stwierdził.

Niczego nie chciał widzieć. Odsuwał rzeczywistość gestem znudzenia i lęku, jak ktoś obudzony z najgłębszego snu. Nawet zasłonił dłonią oczy, jakby w obronie przed zbyt ostrym światłem.

Florence podeszła do radioodbiornika. Zatrzymał ją.

— Nie, nie rób tego.

— Ależ Gabrielu... Pobladł z wściekłości.

— Nie chcę niczego słuchać, powtarzam. Jutro. Jutro będzie na to dosyć czasu. Niedobre wiadomości (a mogą być tylko niedobre z takimi k... w rządzie) teraz oznaczają koniec mojego natchnienia, koniec zapału, niewykluczone nawet, że nocne koszmary. Lepiej będzie, jak poprosisz pannę Sudre. Chyba podyktuję kilka stron.

Florence bez zwłoki spełniła polecenie. Kiedy wracała do salonu po rozmowie z sekretarką, zadzwonił telefon.

— Pan Jules Blanc z zarządu rady chciałby rozmawiać z panem — poinformował pokojowiec.

Florence pozamykała dokładnie wszystkie drzwi, żeby żaden dźwięk nie przedostał się do pomieszczenia, w którym pracował Gabriel z sekretarką. Tymczasem pokojowiec, jak zwykle, przygotował zimną kolację, by pan mógł zaspokoić głód, kiedy zechce. Gabriel jadał niewiele przy posiłkach, ale często w nocy czuł się głodny. Czekały na niego resztki kuropatwy na zimno, brzoskwinie i wspaniałe paszteciki z serem, które Florence osobiście zamówiła w sklepie na lewym brzegu, i butelka pommery. Po wielu latach prób doszedł do wniosku, że przy swojej chorobie wątroby może pić wyłącznie szampana. Florence słuchała w telefonie głosu Jules'a Blanca, głosu zmęczonego, niemal bezdźwięcznego, a równocześnie dochodziły do niej wszystkie znajome dźwięki domowe, cichy brzęk talerzy i szklanek, lekko znudzony, ochrypy i głęboki głos Gabriela. Miała wrażenie, że przeżywa jakiś niejasny sen. Odwiesiła

słuchawkę, przywołała pokojowca. Od dawna u nich pracował, był więc wdrożony, jak mawiał, w „domowy mechanizm”. Ten nieświadomy pastisz Wielkiego Wieku zachwycał Gabriela.

— Marcelu, co robić? Pan Jules Blanc radzi, żebyśmy wyjechali...

— Wyjechali? Ale dokąd, madame?

— To nieważne. Do Bretanii. Na Południe. Niemcy podobno przeszli już Sekwanę. Co robić? — powtórzyła.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, madame — odparł Marcel lodowatym tonem.

Już najwyższy czas, żeby zapytali go o zdanie. Zamyślił się:

„Powinniśmy byli wyjechać wczoraj, żeby się udało. Naprawdę smutno patrzeć, że ludzie sławni i bogaci nie są mądrzejsi od zwierząt! Chociaż zwierzęta przynajmniej wyczuwają niebezpieczeństwo!”. On sam nie bał się Niemców. Widział ich w roku 1914. Teraz już nie został zmobilizowany, więc dadzą mu spokój. Oburzało go jednak, że nikt się w porę nie zatroszczył o dom, o meble i srebra. Pozwolił sobie na ledwo słyszalne westchnienie. On wszystko by zapakował, ukrył w skrzyniach i już dawno umieścił w kryjówce. Czuł wobec swoich państwa rodzaj pogardy, niepozbowionej czułości, ale przypominającej uczucie, jakie budzą białe charty, piękne, ale bez rozumu.

— Lepiej, jeśli madame uprzedzi monsieur — oznajmił. Florence skierowała się w stronę salonu, ale ledwie zdążyła uchylić drzwi, dobiegł do niej głos Gabriela; głos z jego najgorszych dni, powolny, ochryply (przerywany chwilami nerwowym kaszlem), jaki miewał w chwilach uniesienia.

Wydała polecenia Marcelowi i pokojówce, pomyślała o najcenniejszych przedmiotach, takich, które zabiera się z sobą, uciekając w niebezpieczeństwie. Kazała postawić na swoim łóżku lekką i solidną walizę. Najpierw schowała biżuterię, którą czujnie wcześniej wyjęła z sejfu. Na wierzch położyła trochę bielizny, przybory toaletowe, dwie bluzki na zmianę, skromną suknię wieczorową, żeby mieć w co się ubrać zaraz po przyjeździe, bo należało się spodziewać opóźnień na drodze, szlafroczek i kapcie, pudełko z kosmetykami (zabierało dużo miejsca) i naturalnie rękopisy Gabriela. Na próżno usiłowała zamknąć walizę. Przełożyła kuferek z biżuterią i spróbowała jeszcze raz.

Nie, zdecydowanie trzeba z czegoś zrezygnować. Ale z czego? Wszystko było niezbędne. Popychała wieko kolanem, na próżno przyciągała zamek. Denerwowała się. W końcu zawołała pokojówkę.

— Julie, może tobie uda się to zamknąć?

— Za bardzo napchane, madame. Nie da się.

Florence przez moment wahała się między pudłem kosmetyków a rękopisem, po czym wybrała kosmetyki i zamknęła walizę.

Włożyła rękopisy do kartonowego pudła na kapelusze, pomyślała. Ale nie! Żnam go, te wybuchy wściekłości, ataki lęku są zabójcze dla jego serca. Jutro się zobaczy, lepiej przygotować teraz wszystko do wyjazdu, żeby nic nie wiedział. Potem się zobaczy...

Liońska linia rodziny Maltce zostawiła Péricandom nie tylko majątek, ale także skłonności do suchot. Ta choroba zabrała w dzieciństwie dwie siostrzyczki Adriena Péricanda. Kilka lat wcześniej zaatakowała też księdza Philippe'a, jednak zdawało się, że dwuletni pobyt w górach wyleczył go, i to w chwili gdy wreszcie miał otrzymać święcenia kapłańskie. Ale płuca pozostały słabe i po wypowiedzeniu wojny uznano go za niezdarnego do służby wojskowej, choć wyglądał raczej na silnego mężczyznę. Miał ciemną karnację, gęste czarne brwi, robił wrażenie człowieka zdrowego, który wiele czasu spędza na świeżym powietrzu. Był proboszczem w małym miasteczku w Owernii. Pani Péricand odstąpiła go Bogu, kiedy ujawniło się jego powołanie. Chciałaby w zamian cieszyć się odrobiną światowej sławy i pewnością, że przeznaczeniem syna są raczej wysokie dostojeństwa niż wpajanie katechizmu chłopskim dzieciom w Puy-de-Dôme. W braku wysokich godności w Kościele wolałaby widzieć go w klasztorze niż w tej biednej parafii. „To czyste marnotrawstwo, powtarzała z przekonaniem, marnujesz dary, jakie otrzymałeś od Pana Boga”. Pocieszała się jednak myślą, że dobrze mu robi ostry klimat. Powietrze na dużych wysokościach, jakim przez dwa lata oddychał w Szwajcarii, zdawało się dla niego idealne. Teraz, po przyjeździe do Paryża, odnajdował znajome ulice i przemierzał je długimi, swobodnymi krokami, które wywoływały uśmiechy przechodniów, nie pasowały bowiem do sutanny.

Tego ranka zatrzymał się przed szarym budynkiem, wszedł na podwórze, gdzie pachniało kapustą; instytucja Skruszonych Winowajców XVI Dzielnicy znajdowała się w niewielkim gmachu usytuowanym za wysoką czynszówką. Jak wyrażała to pani Pericand w dorocznym Uście adresowanym do przyjaciół instytucji (członek założyciel 500 franków rocznie, dobroczyńca 100 franków, sympatyk 20 franków), dzieci żyły tu w lepszych warunkach materialnych i dobrej atmosferze moralnej, uczyły się rozmaitych zawodów, oddawały się zdrowej aktywności fizycznej. Obok domu zbudowano niewielki oszklony hangar, znajdował się tam warsztat stolarski i szewski. Ksiądz Pericand widział przez szyby okrągłe główki wychowanków, które podniosły się na moment na dźwięk jego kroków. Na podwórzu, między schodami a hangarem, dwóch chłopców w wieku piętnastu i szesnastu lat pracowało pod okiem opiekuna. Nie nosili mundurków. Nie chciano utrwalac wspomnienia zakładów poprawczych znanych już niektórym. Ubierano ich w rzeczy uszyte przez miłosierne osoby z resztek materiałów. Jeden z chłopców miał jasnozieloną koszulę, spod której wyglądały długie i owłosione ręce. Wychowankowie przekopywali ziemię, wrywali zielsko, przesadzali kwiaty, bardzo przy tym zdyscyplinowani i milczący. Pozdrowili księdza Pericand, który odpowiedział uśmiechem. Twarz duchownego była spokojna, malował się na niej wyraz powagi i lekkiego smutku. Uśmiech odznaczał się niezwykłym ciepłem, nieśmiałością i czułym wyrzutem. Zdawał się mówić: „Kocham was, dlaczego wy mnie nie kochacie?”. Chłopcy patrzyli na księdza w milczeniu.

— Jaka piękna pogoda — zauważył cicho.

— Tak, proszę księdza — odpowiedzieli chłodno i niechętnie.

Philippe skierował do nich jeszcze kilka słów i wszedł do holu. Dom był szary i czysty, pomieszczenie, w którym się znalazł, prawie zupełnie puste. Stały w nim jedynie dwa wyplatane krzesła; była to bowiem rozmównica, w której można było odwiedzać wychowanków.

Odwiedziny tolerowano, lecz nie zachęcano do nich. Zresztajmwie wszystkie dzieci były sierotami. Od czasu do czasu przypominała sobie o nich jakaś sąsiadka, która znała nieżyjących rodziców, czy starsza siostra



przebywająca na prowincji. Nigdy jednak, ksiądz Pericand nie spotkał w tej rozmównicy żadnych istot ludzkich. Na tym samym piętrze znajdował się gabinet dyrektora.

Dyrektor był niewielkim człowieczkiem, twarz miał bladą, powieki różowe, nos ostry i ruchliwy jak chrapy wężące pożywienie.

Wychowankowie nazywali go „szczurem” albo „tapirem”. Wyciągnął do Philippe'a obydwie ręce, dłonie miał zimne i wilgotne.

— Nie wiem, jak księdzu dziękować za tę przysługę! Naprawdę zgodził się ksiądz zaopiekować naszymi wychowankami?

Dzieci miały być ewakuowane nazajutrz. A dyrektora pilnie wezwano na Południe do łóża chorej żony...

— Opiekun obawia się, że będzie przeciążony i nie da sobie rady z trzydziestką naszych chłopców.

— Robią wrażenie bardzo potulnych — zauważył Philippe.

— To dobre dzieci. Staramy się je utemperować, układamy najbardziej buntowniczych. Ale nie chwaląc się, to ja wszystko tutaj robię.

Wychowawcy są lękliwi. Zresztą wojna pozbawiła nas paru...

Skrzywił się.

— Wszystko dobrze, jeśli pozostają w starych koleinach, ale są niezdolni do najdrobniejszej inicjatywy, należą do osób, które potrafią się utopić w szklance wody. Zastanawiałem się, którego świętego prosić o pomoc, żeby przeprowadzić sprawnie tę ewakuację, kiedy ojciec księdza powiedział mi, że jest tu ksiądz przejazdem, że jutro wraca w te swoje góry i na pewno nie odmówi nam swojej pomocy.

— Pomogę bardzo chętnie. W jaki sposób zamierza pan przewieźć te dzieci?

— Udało nam się załatwić dwie ciężarówki. Mamy wystarczający zapas benzyny. Ksiądz wie, że cel ewakuacji znajduje się w odległości pięćdziesięciu kilometrów od parafii księdza. To chyba nie wydłuży zbyt długo drogi.

— Mam czas do czwartku — wyjaśnił Philippe. — Zastępuje mnie jeden z kolegów.

— Och, podróż nie potrwa tak długo. Od ojca księdza wiem, że ksiądz zna ten dom, który oddała do naszej dyspozycji jedna

z naszych dobrodziejek. To wielka budowla w sercu lasu. Właścicielka odziedziczyła ją w ubiegłym roku, a całe wyposażenie, bardzo piękne, sprzedano jakiś czas przed wojną. Dzieci rozbijają obóz w parku. Będzie to dla nich ogromną atrakcją. W tak pięknej porze roku! Na początku wojny spędziły w ten sposób trzy miesiące w zamku w Corrcze, uprzejmie użyczonym przez jedną z pań. Nie było tam żadnego ogrzewania. Rano trzeba było rąbać lód w kubelkach. Dzieci nigdy nie były tak zdrowe. Minęła pora drobnych wygod, przyjemności czasu pokoju — stwierdził dyrektor. Duchowny popatrzył na zegarek.

— Czy zrobi mi ksiądz tę przyjemność, by zjeść ze mną obiad?

Philippe odmówił. Przyjechał do Paryża rano po całonocnej podróży. Obawiał się jakiegoś nieoczekiwanego szaleństwa Huberta i przyjechał go zabrać, ale rodzina wyjeżdżała jeszcze tego dnia do Nièvre. Philippe zamierzał asystować przy tym wyjeździe. Para rąk do pomocy na pewno się przyda, pomyślał z uśmiechem.

— Zaanonsuję uczniom, że ksiądz mnie przy nich zastąpi — oznajmił dyrektor. — Może zechce ksiądz powiedzieć kilka słów, żeby jakoś nawiązać z nimi kontakt. Zamierzałem sam do nich przemówić, uświadomić im ciężary wojny, jakie gnębią ojczyznę, ale wyjeżdżam o czwartej, więc...

— Ja z nimi pomówię — zgodził się ksiądz Péricand. Opuścił oczy, złączył dłonie i czubkami palców dotknął warg.

Na jego twarzy pojawił się wyraz powagi i smutku, przy czym ich powodem były jego własne odczucia. Nie kochał tych nieszczęsnych dzieci. Podchodził do nich z łagodnością, z całą dobrą wolą, na jaką mógł się zdobyć, ale w ich obecności czuł jedynie chłód i obrzydzenie, nie budziła się w nim żadna miłość, nic z tych boskich palpacji, których doznawali najwięksi grzesznicy błagający o łaskę. W fanfaronadach starego ateisty czy zatwardziałego świętokradcy było więcej pokory niż w słowach czy spojrzeniach tych chłopców. Ich pozorna potulność była obrzydliwa. Mimo chrztu, mimo sakramentu komunii i pokuty żaden zbawczy promień do nich nie dotarł. Dzieci ciemności nie miały nawet tyle siły ducha, by wznieść się na

wysokość pragnienia światłości; nie przeczuwały jej, nie pragnęły, nie żałowały jej braku. Ksiądz Pericand z czułością pomyślał o swoich uczniach z lekcji katechizmu. Nie miał bynajmniej żadnych złudzeń co do nich. Wiedział, że w tych młodych duszach zło zdążyło zapuścić solidne korzenie, choć chwilami, kiedy opowiadał o cierpieniach Chrystusa, budziły się w nich ludzkie uczucia — litości i zgrozy. Chciał jak najprędzej do nich wrócić. Myślał o ceremonii pierwszej komunii wyznaczonej na następną niedzielę.

A tymczasem wszedł za dyrektorem do sali, w której zgromadzono wychowanków. Okiennice były zamknięte. W ciemności potknął się o próg i musiał złapać dyrektora za ramię, żeby się nie przewrócić. Popatrzył na dzieci, spodziewając się przytłumionych wybuchów śmiechu. Czasami jakiś zabawny incydent wystarczy, by przełamać lody między nauczycielem a uczniem. Jednak żaden z chłopców nawet nie drgnął. Ujrzał blade twarze, zaciśnięte wargi, opuszczone powieki. Wychowankowie stali półkolem, oparci plecami o ścianę, najmłodszych ustawiono z przodu. Mieli od jedenastu do piętnastu lat. Byli zbyt mali i drobni jak na swój wiek. W głębi stali starsi, od piętnastu do siedemnastu lat. Niektórzy mieli niskie czoła i ciężkie dłonie morderców. Patrząc na nich, ksiądz Pericand poczuł dziwną niechęć i niemal strach. Musi je przewyciężyć za wszelką cenę. Zrobił krok w stronę chłopców, a oni cofnęli się niepostrzeżenie, jakby chcieli wtopić się w mur.

— Moje dzieci, od jutra aż do końca podróży będę zastępował pana dyrektora — zaczął. — Postanowiono, że wyjedziecie z Paryża. Bóg jeden wie, jaki los czeka w najbliższych dniach naszych żołnierzy i naszą kochaną ojczyznę, a także nas wszystkich. Niestety, jest bardzo prawdopodobne, że ucierpi serce każdego z nas, bo wszak nieszczęścia publiczne składają się z mnóstwa nieszczęść prywatnych i jest to jedyny przypadek, kiedy my wszyscy, nędzni ślepi niewdzięcznicy, mamy świadomość, że stanowimy części jednego ciała, połączone wspólnym losem. Chciałbym wzbudzić w was akt ufności w Boga. Powtarzamy cicho: „Bądź wola twoja”, ale w głębi duszy krzyczymy na cały głos: „Panic, niech będzie tak, jak ja chcę”. A tymczasem po co szukamy Boga? Ponieważ mamy nadzieję,

że znajdziemy szczęście: człowiek jest tak skonstruowany, że pragnie szczęścia, a Bóg może mu dać to szczęście od razu, bez czekania na śmierć i zmartwychwstanie, jeśli człowiek zaakceptuje Jego wolę, jeśli uzna ją za własną. Moje dzieci, niech każde z was zawierzy Bogu. Niech zwróci się do Niego jak do ojca, niech złoży własne życie w Jego ręce godne uwielbienia, a natychmiast wstąpi w niego pokój boży.

Odczekał chwilę, popatrzył na chłopców.

— Odmówimy wspólnie krótką modlitwę.

Trzydzieści przenikliwych i obojętnych głosów odmawiało *Ojcze nasz*, trzydzieści mizernych twarzy otaczało księdza; czoła pochyliły się gwałtownym, mechanicznym ruchem, kiedy wykonał nad nimi znak krzyża. Jedynie chłopiec o dużych, wyrażających gorycz ustach odwrócił głowę do okna i promień słońca, który wślizgnął się przez szparę między okiennicami, oświetlił delikatny policzek pokryty piegami i nieduży wąski nos.

Żaden z nich się nie poruszył ani nie zareagował. Na gwizdek opiekuna ustawili się w szeregu i wyszli z sali.

Ulice pustoszały. Zamykano żelazne okiennice sklepów. W panującej ciszy słychać było jedynie ich metaliczny brzęk, który w zagrożonych miastach tak ostro atakuje rankiem uszy podczas zamieszek lub wojny. Idąc do pracy, państwo Michaud widzieli wyładowane ciężarówki czekające u bram ministerstw. Pokręcili głowami. Z przyzwyczajenia wzięli się pod rękę, żeby przejść na drugą stronę avenue de l'Opéra, naprzeciwko biura, mimo iż tego dnia jezdnią nic nie jechało. Obydwoje pracowali w banku i byli zatrudnieni w tym samym oddziale, tylko że mąż od piętnastu lat miał etat księgowego, a ona została przyjęta za ledwie przed kilkoma miesiącami „tymczasowo na czas trwania wojny”. Nauczycielka śpiewu straciła we wrześniu wszystkich uczniów, dzieci z dobrych rodzin wysłano na prowincję w obawie przed bombardowaniami. Zarobki męża nigdy nie wystarczały, a ich jedyne go syna powołano do wojska. Dzięki tej posadzie sekretarki dawali sobie radę, bo jak mawiała pani Michaud: „Mój biedny mężu, nie należy żądać niemożliwego”. Zawsze było im trudno, od chwili gdy postanowili się pobrać wbrew woli jednych i drugich rodziców. Na mizernej twarzy kobiety zachowały się jeszcze ślady urody. Włosy miała siwe. Mężczyzna był niewysoki, zniechęcony i zaniedbany, ale w chwilach gdy patrzył na żonę, gdy się do niej uśmiechał, w jego oczach zapalał się kpiący i czuły płomyczek. Taka sama, myślał, naprawdę, niemal zupełnie taka sama jak dawniej.

Pomógł jej wejść na chodnik i podniósł upuszczoną rękawiczką. Podziękowała mu, lekko ściskając palcami jego dłoń. Inni pracownicy śpieszyli w stronę otwartych drzwi banku. Jeden z nich zapytał, przechodząc koło Michaudów; — Czy wreszcie wyjeżdżamy? Nie mieli pojęcia. Był poniedziałek 10 czerwca. Opuścili biuro w sobotę i wszystko zdawało się w porządku. Ewakuowano na prowincję papiery wartościowe, ale nie podjęto żadnej decyzji w sprawie pracowników. Ich los rozstrzygał się na pierwszym piątrze, w gabinetach dyrekcji, za wielkimi wyściełanymi i pomalowanymi na zielono drzwiami. Państwo Michaud przeszli koło nich szybko i bez słowa. Rozstali się na końcu korytarza, on szedł wyżej do księgowości, a ona zostawała w regionach uprzywilejowanych: była sekretarką jednego z dyrektorów, pana Corbina, rzeczywistego szefa banku. Drugi dyrektor, pan hrabia de Furieres (ożeniony z niejaką Salomon-Worms) zajmował się raczej zewnętrznymi sprawami banku, którego klientela była ograniczona, ale doborowa. Przyjmowano jedynie wielkich właścicieli ziemskich i przemysłowców, najchętniej z branży metalurgicznej. Pan Corbin od kilku lat oczekiwał, że hrabia de Furieres ułatwi mu przyjęcie do Jockey Clubu, lecz hrabia uważał, że uprzejmości takie jak zaproszenia na kolacje czy polowania w rezydencji państwa Furieres stanowią wystarczającą rekompensatą za pewne nadużywanie kasy. Pani Michaud wieczorami opowiadała mężowi o rozmowach dwóch dyrektorów, naśladowała ich kwaśne uśmiechy, grymasy Corbiera, spojrzenia hrabiego, co urozmaicało nieco monotonię codziennej pracy. Ale od pewnego czasu brakowało również i tej rozrywki: pan de Furieres został wysłany na front w Alpy i Corbin samodzielnie prowadził bank.

Pani Michaud weszła z pocztą do niewielkiego pomieszczenia sąsiadującego z gabinetem dyrektorskim. W powietrzu unosił się lekki zapach perfum. Po tym poznała, że Corbin jest zajęty. Zajmował się jedną tancerką: panną Arlette Corail. Jego kochankami zawsze były tancerki. Wydawał się niezainteresowany innymi kobietami. Żadnej maszynistce, choćby nie wiem jak młodej i urodziwej, nie udało się go zniechęcić do tancerek.

Wobec wszystkich pracownic, pięknych czy brzydkich, młodych czy starych, demonstrował tę samą wściekłość, prostactwo i skąpstwo. Mówił dziwnie cieniutkim i słabym głosem, wydobywającym się z olbrzymiego i dobrze odżywionego cielska; kiedy wpadał we wściekłość, jego głos stawał się piskliwy i drżący jak u kobiety.

Dzisiaj zza zamkniętych drzwi dobiegał przenikliwy dźwięk, tak dobrze znany pani Michaud. Wszedł jeden z pracowników i powiedział cicho:

— Wyjeżdżamy.

— Kiedy?

— Jutro.

Po korytarzu przesuwwały się szepczące cienie. Zbierano się w wgłębieniach okien, na progach pokoi. W końcu Corbin otworzył drzwi i wypuścił swoją tancerkę. Miała na sobie kostium z różowego płótna, a na farbowanych włosach wielki słomkowy kapelusz. Była smukła i dobrze zbudowana, pod szminką i różem kryła się zacięta i zmęczona twarz. Na czole i na policzkach wykwitły czerwone plamy. Najwyraźniej była wściekła. Pani Michaud usłyszała:

— Chcesz, żebym poszła pieszo?

— Idź natychmiast do warsztatu i obiecaj im tyle, ile zechcą, a na pewno zreperują samochód.

— Przecież ci mówię, że to niemożliwe! Niemożliwe! Rozumiesz po francusku?

— Moja droga przyjaciółko, co mam ci powiedzieć? Niemcy stoją u bram Paryża. A ty wybierasz się drogą na Wersal. Właściwie po co chcesz tam jechać? Wsiądź do pociągu.

— Zdajesz sobie sprawę, co się dzieje na dworcach?

— Na drogach nie będzie lepiej.

— Jesteś... jesteś po prostu... nie masz o niczym pojęcia. Wyjeżdżasz, masz dwa samochody...

— Przewożę dokumenty i część personelu. Gdzie według ciebie mam wetknąć personel?

— Proszę cię, nie bądź wulgarny. A samochód żony?

— Chcesz jechać samochodem mojej żony? Co za wspaniały pomysł! Tancerka obróciła się do niego tyłem i gwizdnęła na swojego

pieska, który podbiegi w podskokach. Włożyła mu obrożę, ręce trzęsły jej się z oburzenia.

— Całą młodość poświęciłam takiemu...

— Dosyć! Żadnych historii. Zadzwoń do ciebie wieczorem, zobaczę, co się da zrobić...

— Nie! Widzę, że nie pozostaje mi nic innego jak umrzeć w przydrożnym rowie...

— Ach, uspokój się, doprowadzasz mnie do furii... Zorientowali się wreszcie, że słucha ich sekretarka. Ściszyli głosy, Corbin wziął kochankę pod rękę i odprowadził do drzwi. Wracając, spojrzął na panią Michaud, a że akurat ona znalazła się na jego drodze, więc na niej przede wszystkim wyładował swój zły humor.

— Proszę zebrać kierowników działów w sali konferencyjnej.

Natychmiast!

Pani Michaud wyszła wydać polecenia. Kilka minut później pracownicy znaleźli się w wielkiej sali, gdzie królował portret aktualnego prezesa banku, pana Auguste'a-Jeana w pełnej postaci. Od pewnego czasu prezes cierpiał na rozmiękczenie mózgu spowodowane bardzo podeszłym wiekiem. Było tu też marmurowe popiersie założyciela banku.

Pan Corbin przyjął ich, stojąc za owalnym stołem, na którym leżało dziewięć suszek, oznaczających miejsca członków rady administracyjnej.

— Panowie, wyruszamy jutro o dziewiątej do naszej filii w Tours.

Zabieram do swojego samochodu dokumenty rady. Pani Michaud, pani z mężem pojedzie ze mną. Właściciele samochodów mają się stawić jutro o szóstej przed bankiem, żeby zabrać resztę personelu. Dotyczy to osób, które wyznaczyłem do wyjazdu. Postaram się coś zaaranżować, jeśli chodzi o pozostałych, w przeciwnym razie pojedą pociągiem. To wszystko, dziękuję.

Zniknął, a w tym samym momencie na sali rozległ się szmer zaniepokojonych głosów. Jeszcze przedwczoraj Corbin oświadczył, że nie przewiduje żadnego wyjazdu, że zdrajcy rozsiewają alarmistyczne pogłoski, że bank pozostanie na swoim miejscu i będzie wykonywać swoje obowiązki, jeśli inni im nie sprostają.

Ponieważ „przegrupowanie”, jak mówiono nieśmiało, zostało



zdecydowane tak nagle, niewątpliwie dzieje się coś złego! Kobiety ocierały oczy pełne łez. Państwo Michaud stanęli pomiędzy dyskutującymi grupkami. Oboje myśleli o swoim synu Jeanie-Marie. Jego ostatni list nosił datę 2 czerwca. Minęło zaledwie osiem dni. A co mogło się od tamtej pory wydarzyć, wielki Boże! Pocieszali się tylko tym, że są razem.

— Jakie to szczęście, że nas nie rozdzielono — szepnęła pani Michaud.

Zbliżała się noc, a samochód Pericandów nadal czeka! przed bramą. Na dachu przywiązano miękki i gruby materac, który od dwudziestu ośmiu lat zdobił małżeńskie łóżko. Do kufra bagażowego przymocowano wózek dziecienny i rower. Na próżno próbowano upchać w środku wszystkie torby, walizki i kufierki, wraz z koszykami kanapek i termosem, butelkami mleka dla dzieci, kurczakiem na zimno, szynką, chlebem i puszkami mleka w proszku dla starszego pana Pericand. Nie mówiąc o koszyku kota. Początkowo całe spóźnienie wynikło z tego, że pralnia uuu dostarczyła bielizny i nie można było się z nią porozumieć przez telefon. Wydawało się niewyobrażalne porzucenie wielkich haftowanych prześcieradeł stanowiących część nienaruszalnego dziedzictwa rodziny Péricand-Maltete, tak samo jak biżuteria, srebrne naczynia i książki. Cały ranek zszedł na poszukiwaniach właściciela pralni, który też wyjeżdżał. W końcu oddał pani Pericand wilgotne i pomięte tłumoki. Pani Pericand nic zjadła śniadania, żeby osobiście dopilnować pakowania bielizny. Wcześniej postanowiono, że służba, a także Hubert i Bernard pojedą pociągiem. Ale już zamknięto bramy wszystkich dworców, których pilnowało wojsko. Tłum czepiał się krat, potrząsał nimi, po czym bezładnie wylewał się na sąsiednie ulice. Biegały zapłakane kobiety z dziećmi na rękach. Za-irzymywano ostatnie taksówki; proponowano dwa lub trzy tysiące franków, byle wydostać się z Paryża. „Tylko do Orleanu...”. Ale taksówkarze odmawiali, bo nie mieli już benzyny.

Pericandowie musieli wrócić do domu. W końcu udało im się zdobyć furgonetkę, którą miała pojechać Madeleine, Maria i Augustę z Bernardem i jego małym braciszkiem na kolanach. Hubert będzie towarzyszył karawanie na rowerze.

Na bulwarze Delessert przy wejściu do domów widać było grupki gestykujących kobiet, starców i dzieci. Mężczyźni najpierw spokojnie, potem gorączkowo, a wreszcie z szaloną i chorobliwą ekscytacją próbowali upchnąć rodzinę i bagaże w jakieś renault, w samochód turystyczny czy sportowy. W żadnym oknie nie paliło się światło. Zaczęły się pojawiać gwiazdy, wiosenne gwiazdy o srebrzystych błyskach. Paryż pachniał swoim najśłodszym zapachem, zapachem kwitnących kasztanów i benzyny z kilkoma ziarenkami kurzu, które zgrzytały w zębach jak pieprz. W mroku niebezpieczeństwo zdawało się większe. Niepokój wdychało się wraz z powietrzem, z ciszą. Najbardziej spokojne i opanowane osoby nie mogły się ustrzec śmiertelnego przerażenia. Każdy patrzył na swój dom ze ściśniętym sercem i myślał: „Jutro zostanie zburzony, jutro nie będę miał nic. Nikomu nie zrobiliśmy nic złego. Więc dlaczego?“, ale pojawiała się w myślach także fala obojętności: „Co za różnica? przecież to tylko kamienie, drewno, martwe przedmioty! Najważniejsze, żeby ocalić życie!“. Czy myślano o nieszczęściach ojczyzny? Na pewno nie tu, na pewno nie myśleli o tym ci, którzy szykowali się do wyjazdu. Panika tłumiała wszystko, co nie było instynktem, zwierzęcym odruchem wprawiającym w drżenie. Zabrać to, co najcenniejsze i...! Tej nocy wartość miało tylko to, co żyje, oddycha, płacze, kocha. Mało kto żałował swoich bogactw; ścisnęło się w ramionach kobietę lub dziecko, a reszta się nie liczyła, reszta mogła szczeznąć w płomieniach.

Nadstawiając uszu, można było usłyszeć warkot samolotów. Francuskie czy nieprzyjacielskie? Nie wiadano. „Szybciej, szybciej“, pogał pan Pericand. Jednak co chwila decydowano, że trzeba jeszcze zabrać pudło z koronkami czy deskę do prasowania. Nie sposób było przemówić służbie do rozsądku. Trzęśli się ze strachu, chcieli wyjechać, ale rutyna była silniejsza niż strach, upierali się więc, by przestrzegać wszystkich rytuałów towarzyszących wyjazdom na wieś na wakacje. Wszystko

powinno się znaleźć w kufrach na zwykłym *miejscu*. Nie zrozumieli do końca, co się naprawdę dzieje. Można by powiedzieć, że działali na dwóch płaszczyznach czasowych, do połowy w czasie teraźniejszym, a do połowy pogrążeni w przeszłości, jakby wydarzenia dotarły tylko częściowo do ich świadomości, na samą jej powierzchnię, resztę pozostawiając w absolutnym uśpieniu i błogości. Niania z potarganymi siwymi włosami, z zaciśniętymi ustami, z powiekami zaczerwienionymi od łez, składała w sposób zadziwiająco energiczny i precyzyjny świeżo wyprasowane chusteczki do nosa Jacqueline. Pani Péricand nawoływała ją, siedząc już w aucie, ale stara kobieta nie reagowała, nawet nie słyszała. Philippe musiał po nią pójść.

— Nianiu, co się dzieje? Trzeba jechać. Co ci się stało? — dopytywał łagodnie, biorąc ją za rękę.

— Zostaw mnie, biedny chłopcze — jęknęła, zupełnie zapominając, że teraz zwraca się do niego albo „panic Phillipie”, albo „proszę księdza”, instynktownie wróciła do dawnej poufałości. — Daj mi spokój. Dobry z ciebie chłopiec, ale jesteśmy zgubieni!

— Nic podobnego, nie martw się tak, staruszko, zostaw te chusteczki, ubierz się i szybko schodź, bo mama czeka.

— Philippe, już nie zobaczę moich chłopców!

— Nic podobnego, zobaczysz — zapewniał, osobiście poprawiając fryzurę starej kobiety, uporządkował niesforne kosmyki i włożył jej na głowę kapelusz z czarnej słomki.

— Pomodlisz się do Najświętszej Panienki za moich chłopców?

Cmoknął ją w policzek.

— Obiecuję. A teraz chodźmy.

Na schodach minęli szofera z dozorcą, którzy szli po starego pana Péricand. Do ostatniej chwili trzymano go z daleka od całego rozgardiaszu. Auguste z pielęgniarzem skończyli go ubierać. Staruszek niedawno przeszedł operację. Miał skomplikowany opatrunek, a w przewidywaniu nocnych chłódów lakże flanelowy pas tak duży i szeroki, że owijał jego ciało jak mumię. Auguste zapiął staroświeckie buty z cholewkami, ubrał go w ciepły i lekki sweterek, następnie w marynarkę.

Starszy

pan Pericand, który do tej pory pozwalał się ubierać bez słowa, niczym stara i sztywna lalka, jakby obudził się ze snu.

— A wełniana kamizelka?!... — wymamrotał.

— Będzie panu za gorąco — stwierdził Augustę i chciał zamknąć sprawę. Jednak pan utkwił w nim wzrok wyblakły i szklany, powtarzając trochę głośniejsze:

— Wełniana kamizelka!

Dostał ją. Ubrano go w długi płaszcz, szalik dwukrotnie owinięty wokół szyi i przypięty z tyłu specjalną agrafką. Usadowiono go w fotelu inwalidzkim i zniesiono z piątego piętra. Wózek nie mieścił się do windy. Pielęgniarski, postawny Alzarczyk z rudą czupryną, schodził tyłem ze schodów, niosąc w wyprostowanych rękach ciężar, który Augustę z uszanowaniem podtrzymywał z tyłu. Obaj mężczyźni zatrzymywali się na każdym podeście schodów, by otrzeć pot z czoła, podczas gdy starszy pan Pericand pogodnie kontemplował sufit, kiwając lekko swoją piękną brodą. Nie dało się zgadnąć, co myślał o tym pośpiesznym wyjeździe. Jednak, wbrew temu co można by przypuszczać, ostatecznie wydarzenia nie uszły jego uwagi. Kiedy go ubierano, mamrotał:

— Piękna jasna noc... wcale bym się nie zdziwił... Zdawało się, że śpi, dokończył to zdanie dopiero po jakimś czasie.

— Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nas po drodze zbombardowali.

— Co za pomysł, panie Pericand! — wykrzyknął pielęgniarski z całym optymizmem właściwym jego profesji.

Jednak starzec wrócił do zwykłego stanu głębokiej obojętności. W końcu udało się wyprowadzić wózek inwalidzki przed dom. Starszego pana Pericand umieszczono w kącie z prawej strony auta, poza zasięgiem przeciągów. Synowa własnymi rękami, drżącymi z niecierpliwości, otuliła go szkockim pledem, którego długie frędzle lubił zaplatać w warkoczyki.

— Wszystko w porządku? — pytał Philippe. — To już jedźcie jak najszybciej.

Jeśli przekroczą bramy Paryża, nim nastanie świt, to mają szansę, myślał.

— Moje rękawiczki — przypominał stary człowiek.

Podano mu rękawiczki. Z trudem zapinamy się na nadgarstkach pogrubionych warstwami wełny. Pan Pericand nic darował ani jednej szlufki. Wreszcie wszystko było gotowe. Emmanucl płakał w ramionach niani. Pani Pericand pocałowała męża i syna. Przytuliła ich do siebie; nie płakała, ale obydwaj czuli, jak tłucze się jej serce. Szofer uruchomił silnik. Hubert wsiadł na rower. Stary pan Pericand podniósł rękę.

— Chwileczkę — odezwał się wyraźnie spokojny i słaby głos.

— Ojczy, o co chodzi?

Dawał znaki, że nie może tego powiedzieć synowej.

— Czy ojciec czegoś zapomniał?

Pochylił głowę. Auto się zatrzymało. Pani Pericand, pobladła z irytacji, wychyliła się przez okno.

— Tata chyba czegoś zapomniał — wykrzyknęła w stronę niewielkiej grupki stojącej na chodniku, złożonej z jej męża, l'hilippe'a i pielęgniarza.

Kiedy samochód się cofnął i zatrzymał przed drzwiami kamienicy, starszek dyskretnym ruchem ręki przywołał pielęgniarza i szeptał mu coś do ucha.

— Ale o co chodzi? To jakiś nonsens! Będziemy tu stać do jutra — wykrzykiwała pani Pericand. — Ojczy, czego ojciec chce? O co chodzi? — dopytywała się.

Pielęgniarz spuścił wzrok.

— Pan chce, żebyśmy weszli z powrotem na górę... ma tam sprawę...

Charles Langelet klęczał na podłodze w swoim ogołoconym salonie i własnoręcznie pakował porcelanę. Był otyły i chorował na serce; westchnienie, które wydobywało się z jego udreżonej piersi, przypominało rzeżenie. Został sam w opustoszałym apartamencie. Małżeństwo, które służyło u niego od siedmiu lat, wpadło w panikę tego ranka, kiedy paryżanie obudzili się w oparach sztucznej mgły, spadającej na nich jak deszcz popiołu. Służący wyszli wcześniej rano po zakupy i więcej nie wrócili. Pan Langelet z goryczą myślał o pensjach i hojnych prezentach, jakie dostawali od niego, które niewątpliwie pozwoliły im kupić jakiś spokojny domek czy fermę leżącą na uboczu w ich rodzinnych stronach.

Pan Langelet powinien był już dawno wyjechać. Teraz to wiedział, ale nie potrafił zrezygnować ze swoich przyzwyczajeń. Kochał jedynie swój apartament i przedmioty rozrzucone teraz u jego stóp na podłodze; dywany zostały zwinięte z naftaliną i ukryte w piwnicy. Na wszystkie okna naklejono długie paski różowego i jasnoniebieskiego papieru. Pan Langelet własnymi tłustymi białymi rękami ułożył je tak, że wyglądały jak gwiazdy, statki czy jednorożce. Przyglądali się temu z podziwem jego przyjaciele, ale on po prostu nie potrafiłby żyć w otoczeniu bezbarwnym, nijakim. W jego domu wszystko, co stanowiło część jego sposobu życia, składało się z cząsteczek piękna, czasami skromnych, czasami cennych, które w sumie wytwarzały ten szczególny klimat, słodki, świetlisty, jedyny, jaki jego

zdaniem godny był człowieka cywilizowanego. W wieku lat dwudziestu nosił pierścionek z wygrawerowanym wewnątrz napisem: *This thing of Beauty is a guilt for ever*. To była dziecinada i pozbył się tego pierścienia (pan Langelet bardzo chętnie mówił po angielsku do siebie; poetyckość i siła tego języka doskonale korespondowały z pewnymi stanami jego duszy), jednak nie zapomniał owej dewizy i pozostał jej wiemy. Teraz klęczał na jednym kolanie, spoglądał dokoła głębokim i smutnym spojrzeniem, które obejmowało wszystko: Sekwanę za oknami, wdzięczny łuk oddzielający dwa salony, kominek ze starymi rusztami, wysokie sufity, z których spływało jasne światło o zielonym zabarwieniu i przezroczystości wody, ponieważ przesiewały je na balkonie zasłony z płótna koloru migdałów.

Czasami dzwonił telefon. Byli jeszcze w Paryżu niezdecydowani, szaleńcy odwlekający wyjazd, oczekujący nie wiadomo jakiego cudu. Powoli, wzdychając, pan Langelet przystawił słuchawkę do ucha. Mówił głosem nosowym i spokojnym, z dystansem i ironią, który jego przyjaciele — niewielkie, bardzo zamknięte grono, bardzo paryskie — nazywali „niepowtarzalnym tonem”. Tak, postanowił wyjechać. Nie, niczego się nie bał. Paryża nikt nie będzie bronił. Gdzie indziej sprawy wcale nie przedstawiają się lepiej. Niebezpieczeństwo istnieje wszędzie, ale nie przed niebezpieczeństwem uciekał. „Widziałem dwie wojny”, mawiał. Rzeczywiście przeżył wojnę 1914 w swojej posiadłości w Normandii, bo jako chory na serce zwolniony był ze służby wojskowej.

— Droga przyjaciółko, mam sześćdziesiąt lat, i nie boję się śmierci.

— Więc dlaczego pan wyjeżdża?

— Nie mogę znieść tego bałaganu, wybuchów nienawiści, całego odrażającego spektaklu wojny. Pojadę w zaciszne miejsce, na wieś. Przeżyję za tych kilka su, jakie mi zostały, dopóki ludzie znowu nie zmądrzeją.

Odpowiedział mu nieco drwiący śmiech, miał bowiem opinię skąpca i człowieka niezwykle ostrożnego. Mówiono o nim: „Charlie wszywa sztabki złota do wszystkich starych ubrań”.



Uśmiechnął się gorzko i zimno. Doskonale wiedział, że zazdrozczono mu wygodnego, dostatniego życia. Zaprzyjaźniona dama wykrzyknęła: — Och, nie będzie pan nieszczęśliwy. Ale niestety nic wszyscy mają taki majątek!

Charlie zmarszczył brwi; uznał, że kobieta jest nietaktowna.

— Dokąd pan pojedzie? — podjął głos.

— Do swojej chałupy w Ciboure.

— Blisko granicy? — kobieta zdecydowanie traciła wszelki umiar.

Pożegnali się zimno. Charlie ponownie ukląkł przed prawie pełną skrzynią, pieszcząc przez słomę i bibułę swojaporcelanę: filiżanki z Nankinu, patery Wedgwooda, wazy z Sèvres. Z nimi nie rozstałby się nigdy w życiu. Ale serce mu się kroilo, bo nie mógł zabrać toaletki z lustrem ozdobionym różami z saskiej porcelany, która stała w jego pokoju. To pójdzie na zmarnowanie! Przez chwilę siedział nieruchomo, a monokl na czarnym sznurku sięgał do podłogi. Charlie był mężczyzną postawnym i silnym, na delikatnej skórze czaszki rzadkie włosy ułożył z niezwykłą starannością. Zazwyczaj miał minę obłudną i nieufną jak stary kocur mruczący w kącie przy piecu. Zmęczenie ostatniego dnia dało mu się we znaki, nagle rozluźniona szczęka zwisała jak u nieboszczyka. Co powiedziało to babsko przez telefon? Insynuowała, że on zamierza uciec z Francji! Biedna kretynka! Wyobrażała sobie, że go zdenerwuje, zawstydzi! Jednak co do wyjazdu, to na pewno wyjedzie. Wystarczy, żeby dotarł do Hendaye, a poradzi sobie z przekroczeniem granicy. Zatrzyma się na krótko w Lizbonie, a potem wyjedzie z tej ohydnej, spływającej krwią Europy. Wyobraził sobie na pół rozłożone ciało, podziurawione setkami ran. Zadrżał. Nie nadawał się do takiego życia. Nie był stworzony do świata, który narodzi się z tego ścierwa, jak robak wychodzący z grobu. Świat brutalny, okrutny, w którym trzeba będzie się bronić przed pokąsaniem. Popatrzył na swoje piękne, nienawykłe do pracy dłonie, które pieściły jedynie posążki, stare wyroby złotnicze, skórzane oprawy książek i czasami jakiś elżbietański mebel. Co miałby robić on, Charles Langelet, ze swoim wyrafinowaniem, ze swoimi skrupułami, z tą wyniosłością, którą sam

dostrzegał, a która stanowiła podstawę jego charakteru, pośród tego oszalałego tłumu? Zostałby okradziony, pozbawiony wszystkiego i zamordowany jak biedny psiak wydany na pastwę wilków. Uśmiechnął się blado i wyobraził sobie, że jest pekińczykiem o złotej sierści, zagubionym w dżungli. Nie należał do zwykłych ludzi. Obce mu były ich ambicje, lęki, tchórzostwa i awantury. On żył w świecie pokoju i światła. Zgodnie ze swoim przeznaczeniem miał być przez wszystkich znienawidzony i zdradzony. W tym momencie przypomniał sobie swoich służących i zaśmiał się. To zapowiedź nowych czasów, ostrzeżenie i przepowiednia! Z trudem podniósł się z kolan, bo bolały go stawy, przesunął ręką po plecach i poszedł do służbówki po młotek i gwoździe do zabicia skrzyni. Potem sam zniósł ją do auta; dozorca nie musieli wiedzieć, co zabiera.

Michaudowie wstali o piątej rano, żeby przed wyjściem dokładnie posprzątać mieszkanie. Niewątpliwie dziwna wydawała się aż taka dbałość o rzeczy skazane według wszelkiego prawdopodobieństwa na zagładę, kiedy na Paryż spadną pierwsze bomby. Ale przecież ubiera się odświętnie zmarłych, o których wiadomo, że zgniją w ziemi, myślała pani Michaud. To ostami hołd, ostatni dowód miłości wobec tego, co było drogie. A do tego niewielkiego mieszkania byli przywiązani. Spędzili w nim szesnaście lat. Teraz nie mogą zabrać ze sobą wszystkich drogich im rzeczy. Muszą zostawić je tutaj, w tych nieszczęsnych murach. Ułożyli więc książki na dnie szafy obok niewielkich amatorskich zdjęć, które mimo ciągłych obietnic nie zostały wklejone do albumu, i teraz leżą pomięte, zmatowiałe, zgniecione rantem szuflady. Tylko fotografia Jeana-Marie z dzieciństwa była już schowana na dnie walizki, owinięta jedyną suknią, bo bank zalecał, żeby zabrać tylko to, co absolutnie niezbędne: trochę bielizny i przybory toaletowe. Wreszcie wszystko było gotowe. Po śniadaniu pani Michaud przykryła łóżko wielkim prześcieradłem, by ochroniło przed kurzem trochę już podniszczony różowy jedwab obicia.

— Pora iść — powiedział mąż.

— Schodź, dogonię cię— odpowiedziała żona zmienionym głosem. Posłuchał, zostawił ją samą. Weszła do pokoju Jeana-Marie. Za zamkniętymi okiennicami było cicho, ciemno, pogrzebowo.

Uklękła na moment przy jego łóżku, powiedziała głośno: „Boże, ocal go”. Potem zamknęła drzwi i zeszła na dół. Mąż czekał na nią na schodach. Przyciągnął ją do siebie i bez słowa przytulił tak mocno, że wyrwał jej się cichy okrzyk.

— Maurice, to boli!

— Nie szkodzi — wymamrotał ochryple.

W wielkim holu banku zebrali się pracownicy, każdy trzymał na kolanach niewielką torbę. Wymieniali półgłosem ostatnie nowiny. Corbina nie było. Personalny rozdawał kolejne numerki, każdy wywołany powinien wsiąść do samochodu, w którym ma zarezerwowane miejsce. Do południa odjazdy odbywały się składnic, niemal w całkowitym milczeniu. W południe zjawił się Corbin, zniecierpliwiony i zły. Zszedł do podziemi do sali sejfów i wyniósł jakiś pakiet, starając się ukryć go pod płaszczem. Pani Michaud szepnęła mężowi do ucha:

— To biżuteria Arlette. Biżuterię żony zabrał przedwczoraj.

— Miejmy nadzieję, że o nas nie zapomni — westchnął Maurice zarazem ironicznie i z niepokojem.

Pani Michaud odważnie zastąpiła drogę Corbinowi.

— Panie dyrektorze, czy my na pewno jedziemy z panem? Skinął głową i polecił, by poszli za nim. Pan Michaud wziął walizkę i wszyscy troje wyszli. Samochód Corbina stał przed bankiem, ale kiedy podeszli bliżej, Michaud, mrużąc krótkowzroczne oczy, oznajmił swoim miłym, nieco monotonnym głosem:

— Widzę, że nasze miejsca są zajęte.

Tylne siedzenie zajmowała Arlette Corail, jej pies i bagaże.

— Może mnie wyrzucisz na bruk? — wrzasnęła tancerka, z furią otwierając drzwiczki.

Rozpoczęła się kłótnia. Michaudowie odeszli kilka kroków, nic słyszeli każde słowo. — Przecież w Tours mam się spotkać z żoną! — krzyknął wreszcie Corbin, kopiąc psa.

Zwierzak zapiszczał i schronił się pod nogami swojej pani.

— Brutal!

— Zamilcz. Gdybyś nie włączyła się przedwczoraj z tymi angielskimi lotnikami... których chciałbym zobaczyć na dnie oceanu, tak jak tamtych dwóch...

Arlette powtarzała „brutal! brutal!” coraz bardziej przenikliwym głosem. Po czym zupełnie niespodziewanie oznajmiła z absolutnym spokojem: — Mam przyjaciela w Tours. Nie będziesz mi tam potrzebny. Corbin obrzucił ją wściekłym spojrzeniem, zdawało się jednak, że już podjął decyzję. Odwrócił się w stronę Mi-chaudów. — Żałuję, ale nie mam dla was miejsca, sami widzicie, Samochód pani Corailjest po wypadku. Błaga, żebym ją zabrał do Tours. Nie mogę odmówić. Za godzinę macie pociąg. Może będzie dosyć tłoczno, ale to przecież niedaleka podróż. W każdym razie postarajcie się dojechać jak najszybciej. Liczę na panią, pani Michaud. Jest pani energiczniejsza od męża, a nawiasem mówiąc, pan musi wykazać więcej inicjatywy, panie Michaud (wyraźnie wymówił sylaby), niż ostatnio. Nie będę tolerował niedbalstwa. Jeśli chce pan zachować posadę, niech pan o tym pamięta. Bądźcie obydwójce w Tours najpóźniej pojutrze. Muszę mieć personel w komplecie.

Pożegnał ich ruchem ręki, usadowił się obok tancerki i samochód odjechał. Michaudowie zostali na chodniku. Popatrzyli na siebie.

— To doskonały sposób — stwierdził Michaud nonszalanckim głosem, wzruszając lekko ramionami. — Ruganie ludzi, którzy mają powody się skarżyć, to się zawsze sprawdza!

Mimo woli się roześmieli.

— Co teraz zrobimy?

— Zjemy obiad — powiedziała żona wściekłym tonem. Mieszkanie było sprzątnięte, w kuchni zasłonięte okna, meble w pokrowcach. Panowała przyjazna, nieco tajemnicza atmosfera. Poczuli się uspokojeni, jakby głos w mroku szeptał: „Czekaliśmy na was. Wszystko w porządku”.

— Zostańmy w Paryżu — zaproponował Maurice. Usiedli na tapczanie w salonie, jej delikatne i szczupłe dłonie pogłaskały skronie męża.

— Mój biedaku, to niemożliwe, musimy z czegoś żyć, a doskonale wiesz, że po mojej operacji nie mamy żadnych oszczędności. Na książeczkę zostało mi siedemdziesiąt pięć franków. Domyślasz się, że Corbin szybko skorzysta z okazji,

żeby nas zwolnić. W obecnej sytuacji wszystkie instytucje będą redukować personel. Za wszelką cenę trzeba dotrzeć do Tours.

— Myślę, że to się okaże niemożliwe.

— Musimy — powtórzyła.

Już wstała, wkładała kapelusz, wzięła znowu walizkę. Wyszli z domu i skierowali się na dworzec.

Nie udało im się dostać do wielkiej zakratowanej hali, zamkniętej na kłódki, bronionej przez wojsko i nacierający tłum rozplaszczony na kratkach. Zostali tam do wieczora, tocząc próżne batalie. Ludzie wokół mówili:

— Trudno. Pójdziemy pieszo.

Wypowiadali te słowa z rezygnacją i obezwładniającym otepieniem. Najwyraźniej w nie nie wierzyli. Rozglądali się wokół, oczekując cudu: samochodu, ciężarówki, kogoś, kto ich zabierze. Ale na próżno.

Wyruszyli więc w stronę paryskich rogatek, minęli je, ciągnąc w kurzu bagaże, maszerowali, mijali przedmieścia, znaleźli się na wsi i nie przestawali myśleć: To chyba sen!

Michaudowie tak jak inni wyruszyli piechotą. Była ciepła czerwcową noc. Przed nimi kobieta w żałobie, w przekrzywionym kapeluszu z krepą na siwych włosach, potykała się o kamienie na drodze, mamrocząc i gestykułując jak oszalała:

— Módlcie się, żebyśmy nie musieli uciekać zimą... Módlcie się... módlcie!

Noc z 11 na 12 czerwca Gabriel Corte i Florence spędzili w samochodzie. Przyjechali o szóstej po południu i w hotelu zostały już tylko dwa duszne i rozgrzane pokoiki na poddaszu. Gabriel przemierzył je wściekły wielkimi krokami, gwałtownie otworzył okna, wychylił się na chwilę przez oświetloną poręcz, wyprostował się i oznajmił krótko:

— Nie zostanę tutaj.

— Przykro mi, proszę pana, ale nic innego nie mamy. Przy takiej masie uciekinierów kładziemy ludzi na stołach bilardowych — tłumaczył dyrektor, wybladły i udręczony. — Dla pana zrobiliśmy wyjątek.

— Ja tutaj nie zostanę — powtórzył Gabriel, skandując słowa metalicznym tonem, jakim posługiwał się zwykle na zakończenie dyskusji z wydawcami, którym rzucał od progu: „W tych warunkach nie będziemy mogli się porozumieć!”. Wydawca wówczas miękł i z osiemdziesięciu franków podnosił sumę do stu tysięcy.

Dyrektor ograniczył się jednak do pokiwania głową ze smutkiem.

— Nie mam nic innego, absolutnie nic.

— Czy pan wie, kim jestem? — zapytał Gabriel, nagle niebezpiecznie spokojny. — Jestem Gabriel Corte i oświadczam, że wolę spać w samochodzie niż w tej pułapce na szczury.

— Po wyjściu stąd, panie Corte — odpowiedział urażony

dyrektor — zobaczy pan na korytarzu dziesięć rodzin błagających na kolanach, żebyśmy wynajął im ten pokój.

Corte wybuchnął teatralnym śmiechem, lodowatym i pogardliwym.

— Ja na pewno nie będę z nimi współzawodniczył. Żegnam pana.

Nikommu, nawet czekającej na korytarzu Florence, nie wyznał, dlaczego zrezygnował z tego pokoju. Podchodząc do okna, w jasności czerwcowej nocy zobaczył bardzo blisko hotelu zbiornik benzyny, a trochę dalej coś, co wziął za czołgi i samochody pancerne zaparkowane na placu.

Zostaniemy zbombardowani, pomyślał, i ogarnęło go drżenie tak nagłe i silne, że zaczął się zastanawiać: „Jestem chyba chory, mam gorączkę”. A może to strach, Gabrielu Corte? Nie, nic mógł się bać. No dalej!

Uśmiechnął się z pogardą i politowaniem, jakby odpowiadał niewidzialnemu interlokutorowi. Oczywiście nie bał się, ale kiedy wychylił się jeszcze raz, zobaczył to ciemne niebo, z którego w każdej chwili może spaść na niego ogień i śmierć, i znowu ogarnęło go to straszne uczucie, najpierw drżenie w kościach, a potem słabość, mdłości, wewnętrzny skurcz poprzedzający omdlenie. Strach czy nie, to nieważne! Teraz uciekał, a z nim Florence i pokojówka.

— Prześpimy się w aucie, jedna noc szybko minie — oznajmił.

Później myślał, że przecież mógł pojechać do innego hotelu, ale zrobiło się za późno: drogą z Paryża bez końca płynął powolny strumień aut, ciężarówek, wozów konnych, rowerów, mieszały się z nimi zaprzęgi wieśniaków, którzy porzucali swoje gospodarstwa i udawali się na południe, wlokąc za sobą dzieci i stada. O północy w całym Orleanie nie było ani jednego wolnego pokoju, ani jednego łóżka. Ludzie spali na podłodze w kawiarniach, na ulicach, na dworcach z głową opartą na walizkach. Był taki korek, że o wyjeździe z miasta nie należało nawet myśleć. Niektórzy mówili, że postawiono zaporę, żeby ułatwić przemarsz wojska.

Bezszerowo, z wygaszonymi reflektorami, nadjeżdżały jeden za drugim auta, wypełnione do niemożliwości, przeciążone bagażami i meblami, dziecinnymi wózkami i klatkami dla



ptaków, kuferkami i koszami na bielizną, na dachu każdego spoczywał solidnie przymocowany materac; te chwiejne piramidy poruszały się po pochyłych ulicach prowadzących do placu na wygaszonym silniku, jedynie siłą własnego ciężaru. Teraz zamknęły wszystkie wyjazdy z miasta i stały stłoczone jak ryby w wiaćcierzu, a tym samym zdawało się, że można jednym ruchem zebrać je w sieć i odrzucić na brzeg. Nie słyhać było płaczów ani krzyków, nawet dzieci milczały. Panował absolutny spokój. Chwilami w opuszczonym oknie auta pojawiała się twarz i długo wpatrywała się w niebo. Nad tą masą unosił się cichy i głuchy pomruk, na który składały się chrapliwe oddechy, westchnienia, słowa wymieniane półgłosem, jakby w obawie, że usłyszy je stojący na czatach nieprzyjaciel. Niektórzy drzemali z głową opadającą na kant walizki, z nogami obolałymi od ciasnoty, z rozpalonym policzkiem przytkniętym do szyby. Młodzi mężczyźni i kobiety nawoływali się z jednego samochodu do drugiego, czasami nawet wesoło się śmiali! Ale kiedy po niebie rozświetlonym gwiazdami sunęła ciemna plama, wtedy wszyscy robili się czujni, milkły śmiechy. Nie płynęło to z autentycznego niepokoju, raczej z dziwnego smutku, który nie miał w sobie nic ludzkiego, nie zawierał bowiem ani męstwa, ani nadziei, przypominał reakcje zwierząt czekających na śmierć. W taki sposób ryba schwyтана w oczka sieci widzi pojawiający się i znikający cień rybaka. Samolot wyłonił się nagle nad ich głowami, słyhać było jego przenikliwy warkot, który oddalał się, milkł, po czym znów dominował nad tysiącem odgłosów miasta, powodował wstrzymanie przyśpieszonych oddechów. Rzeka, metalowy most, tory kolejowe, dworzec, kominy fabryki błyszcząły łagodnie, tyle „punktów strategicznych”, tyle celów dla nieprzyjaciela. I tyle zagrożeń dla tej milczącej gromady! Optymiści mówili: „To chyba Francuz!”. Francuz, nieprzyjaciel, nikt tego nie wiedział. Ale teraz znikał. *Czasami* rozlegała się jakaś daleka eksplozja. To nie u nas, myśleli ludzie z ulgą: To nie u nas, to gdzie indziej. Mamy szczęście.

— Co za noc! co za noc! — jęczała Florence.

Ledwo słyszalnym głosem zza zaciśniętych warg Gabriel rzucił jej jak kość psu:

— Ja nie śpią, prawda? Rób to samo co ja.

— Ale przecież mieliśmy pokój! Przecież mieliśmy szansę, żeby spać w łóżku!

— Nazywasz to szansą? Tą nądną mansardą, która cuchnęła pluskwami i zlewem. Nie zauważyłaś, że była usytuowana nad kuchnią? Ja miałem tam zostać? Wyobrażasz to sobie?

— Ależ Gabrielu, robisz z tego problem miłości własnej.

— Daj mi spokój, dobrze? Zawsze myślałem, że są pewne niuansy, pewne... — szukał słowa — ...pewne subtelności, których nie czujesz.

— Czują, że boli mnie tyłek — wykrzyknęła Florenc, zapominając błyskawicznie o ostatnich pięciu latach życia i dłonią pełną pierścionków trzepnęła się po udzie z prostackim wigorem. — Och, mam już dosyć! Gabriel zwrócił w jej stronę bladą twarz o drgających nozdrzach.

— Wynoś się! No już!

Dokładnie w tym momencie plac oświetliło nagłe i ostre światło. Była to rakietka wyrzucona z samolotu. Słowa zamarły na ustach Gabriela. Rakietka zgasła, ale niebo zdawało się zapełniać samolotami. Przelatywały nad placem w jedną stronę i w drugą, można by powiedzieć, bez najmniejszego pośpiechu. Ludzie zrzędzili:

— A gdzie są nasi?

Z lewej strony samochodu Corte'a znalazło się nieszczęsne małe autko, na którego dachu prócz materaca jechał okrągły salonowy stolik o ciężkich i wulgarnych ozdobach z brązu. Wewnątrz siedział mężczyzna w kaszkiecie i dwie kobiety, jedna trzymała na kolanach dziecko, druga klatkę na ptaki. Niewątpliwie mieli po drodze wypadek. Karoseria była porysowana, zderzak wgnieciony, a gruba kobieta przyciskająca do serca klatkę na ptaki miała głowę owiniętą bielizną.

Po prawej Gabriel zobaczył furgonetkę wypełnioną kojcami, w jakich chłopcy transportowali na targ drób, teraz była wypakowana manatkami. We wnętrzu jednego z najbliższych samochodów dostrzegł twarz starej prostytutki z potarganymi czerwonymi włosami, niskim i tępym czołem, z pomalowanymi

oczami. Wpatrywała się w niego uporczywie, żując skórkę chleba.  
Wstrząsnął nim dreszcz.

— Co za brzydota — mruknął. — Jakie ohydne twarze! Przygnębiony, wtulił się w kąt auta i zamknął oczy.

— Jestem głodna — oznajmiła Florence. — A ty? Zaprzeczył ruchem głowy.

Florence otworzyła koszyk i wyjęła kilka kanapek.

— Nie jadłeś dzisiaj kolacji. Bądź rozsądny.

— Nie mam apetytu. Myślę, że już nie będę mógł przełknąć ani kęsa.

Widziałaś tę starą i okropną babę w pokrwawionych szmatach trzymającą klatkę na ptaki?

Florence wzięła kanapkę, a pozostałe podzieliła pomiędzy pokojówkę i szofera. Gabriel przytknął swoje wąskie i wysmukłe dłonie do uszu, żeby nie słyszeć chrupania chleba w zębach służących.

Pericandowie byli w drodze już prawie od tygodnia, prześladował ich pech. Dwa dni zatrzymali się w Gien z powodu awarii. Potem w tym pomieszczeniu i niewyobrażalnym ścisku zderzyli się z furgonetką, którą jechała służba z bagażami. To się wydarzyło w okolicach Nevers. Na szczęście nie było takiego zakątka na prowincji, gdzie Pericandowie nie znaleźliby osoby zaprzyjaźnionej czy spokrewnionej, do której należał wielki dom, piękny ogród i pełna spiżarnia. Kuzyn z linii Maltete-Lyonnais gościł ich przez czterdzieści osiem godzin. Panika przez cały czas rosła, rozprzestrzeniała się jak płomień z jednego miasta do drugiego. Jakoś zreperowano auto i Pericandowie ruszyli w drogę. W sobotę w południe nie ulegało już niestety wątpliwości, że samochód nie pojedzie dalej bez kolejnej reperacji. Pericandowie zatrzymali się w małym miasteczku, nieco oddalonym od głównej szosy. Mieli nadzieję, że znajdą tu wolny pokój. Jednak ulice były już zapchane różnymi pojazdami; rozlegał się zgrzyt przeciążonych hamulców; plac nad rzeką przypominał cygańskie obozowisko; udręczeni mężczyźni spali na ziemi; inni golili się na trawniku. Młoda kobieta powiesiła lustro na drzewie i stojąc przed nim, malowała się i czesała. Inna prała w fontannie pieluszki. Mieszkańcy pojawili się na progach domów i obserwowali ten spektakl z wyrazem najgłębszego osłupienia.

„Biedni ludzie! Na co im przyszło!”, powtarzali ze współczuciem i z pewną ukrytą satysfakcją; ci uchodźcy jechali

z Paryża, z północy, ze wschodu, z prowincji ogarniętych wojną. A jeśli chodzi o nich, to byli spokojni. Dni mijają, żołnierze walczą, a tymczasem sprzedawca artykułów żelaznych z głównej ulicy i panna Dubois z pasmanterii mogą nadal sprzedawać swoje rondle i wstążki, jeść ciepłą zupę w kuchni, zamykać wieczorem drewnianą furtkę oddzielającą ich ogródek od reszty świata.

Samochody czekały na nadejście ranka, żeby się zaopatrzyć w benzynę. Już zaczynało jej brakować. Pytano uchodźców o nowiny. Nic nie wiedzieli. Ktoś oświadczył, że „oczekuje się Niemców na wzgórzach Morvan”. Te słowa przyjęto sceptycznie.

— Ale nie doszli tak daleko w czternastym — stwierdził gruby aptekarz, kręcąc głową, a wszyscy to potwierdzili, jakby krew przelana wtedy stworzyła mistyczną tamę broniącą przed nieprzyjacielem na wieki. Nadjeżdżały kolejne samochody i jeszcze następne.

— Jacy są zmęczeni! Tak dziś gorąco! — powtarzali ludzie, ale nikomu nie przyszło do głowy, by otworzyć przed nimi drzwi, zaprosić do siebie któregoś nieszczęśnika, wpuścić do zacienionego raju, który dawało się zauważyć za domem, z drewnianą ławeczką pod grabem, z krzewami porzeczek i róż. Uchodźców było za dużo. Wszystkie twarze zmęczone, wy-bladłe, spocone, zbyt wiele zapłakanych dzieci, zbyt wiele drżących ust, które pytają: „Gdzie można znaleźć pokój? Łóżko? Czy pani mogłaby nam wskazać gospodę?”. To zniechęcało do miłosiernych gestów. Owa nieszczęsna masa nie miała już nic ludzkiego, przypominała zabłąkane stado. Pogniecione ubrania, umęczone twarze, ochryple głosy — wszystko ich do siebie upodobiało. Wykonywali te same gesty, wypowiadali te same słowa. Wysiadając z samochodu, chwiali się lekko jak po winie, a potem podnosili ręce do czoła, do zbolątych skroni. Wzdychali: „O Boże! co za podróż!”. Kpili: „Nieźle wyglądamy, co?”. Mówili: „Jednak wydaje się, że tu jest troszkę lepiej!”, wskazując jakiś niewidoczny punkt.

Pani Pericand zatrzymała swoją karawanę w małej kafejce koło dworca. Rozpakowano koszyk z zapasami. Zamówiono piwo. Przy sąsiednim stoliku grzecznie jadł tartinkę śliczny

chłopczyk. Był bardzo elegancko ubrany, ale zielone palteczko miał podarte. Na krześle obok niego płakało niemowlę, ułożone w koszyku do bielizny. Wprawne oko pani Péricand od razu dostrzegło, że to dzieci z dobrej rodziny i można się do nich odezwać. Zwróciła się więc dobrodusznie do chłopczyka, a kiedy pojawiła się matka, podjęła rozmowę z nią. Kobieta pochodziła z Reims i rzucała zazdrosne spojrzenia na pożywny podwieczorek młodych Péricand.

— Mamo, chciałbym czekolady do chleba — dopominał się chłopczyk w zielonym płaszczku.

— Moje biedactwo! — Młoda kobieta wzięła na kolana niemowlę, żeby je uspokoić. — Nie mam czekolady — zwróciła się do synka — nie miałam czasu kupić, wieczorem zjesz dobry deser u babci.

— Czy pozwoli pani poczęstować się kilkoma herbatnikami?

— Och, jest pani zbyt uprzejma...

Rozmawiały tonem najpogodniejszym, najwdzięczniejszym, któremu towarzyszyły gesty i uśmiechy dokładnie takie, jakimi posługiwałyby się w zwykłych czasach, by przyjąć herbatnik lub podziękować za filiżanką herbaty. Tymczasem niemowlę wrzeszczało, a do kawiarni wchodzili coraz to nowi uchodźcy z dziećmi, bagażami i psami. Jeden z psów wyczuł zapach Alberta w koszyku i rzucił się z radosnym ujadaniem pod stół Péricandów, przy którym chłopczyk w zielonym powoli jadł herbatniki.

— Jacqueline, masz w torebce cukierki — powiedziała pani Pericand z dyskretnym gestem ręki, a jej spojrzenie znaczyło: „Wiesz doskonale, że trzeba się dzielić z tymi, którzy nie mają, i wzajemnie sobie pomagać w nieszczęściu. Przyszła pora, by zastosować w praktyce to, czego się uczyłaś na lekcjach religii”.

Odczuwała satysfakcję, że jest równocześnie tak obdarowana wszelkiego rodzaju bogactwami i tak miłosierna! Świadczyło lo o zapobiegliwości i o dobrym sercu. Poczęstowała słodyczami nie tylko chłopczyka, ale i belgijską rodzinę, która przyjechała furgonetką załadowaną kojcami na kury. Dzieciom dołożyła jeszcze bułeczki z rodzynkami. Kazała sobie przynieść wrzątek i sporządziła lekki napar dla starego pana Péricand. W tym czasie Hubert wyprawił się na poszukiwanie jakiegoś lokum.

Pani Péricand wyszła z kawiarni. Zapytała o drogę; szukała kościoła, który znajdował się w centrum. Na chodnikach i na wielkich schodach przed kościołem biwakowały całe rodziny.

Kościół był biały, zupełnie nowy, jeszcze pachniał świeżą farbą.

Wewnątrz toczyło się podwójne życie: zwykły codzienny rytuał i ta druga egzystencja, gorączkowa i dziwna. Zakonnica w kącie zmieniała kwiaty u stóp Najświętszej Panny. Bez pośpiechu, ze słodkim uśmiechem pokory obcinała zwiędłe łodyżki i układała świeże róże w wielkie bukiety.

Słychać było trzask sekatora i ciche kroki na posadzce. Potem poprzycinała knoty świec. Wiekowy ksiądz kierował się w stronę konfesjonału. Na krześle drzemała staruszka z różańcem w palcach. Przed posągami Joanny D'Arc paliło się wiele świec. W pełni słońca, w oślepiającej bieli ścian tańczyły blade i przezroczyste płomyczki. Na marmurowej tablicy między oknami błyszczwały złote litery, którymi wypisano nazwiska poległych w czternastym roku.

Tymczasem coraz większy tłum napływał do kościoła. Kobiety z dziećmi przychodziły podziękować Bogu za to, że udało im się dotrzeć aż tutaj, lub błagać o dalszą bezpieczną podróż; niektórzy płakali, byli też tam ranni z obandażowaną głową czy ręką. Wszyscy mieli twarze pocętkowane czerwonymi plamami, ubrania pomięte, podarte i brudne, jakby nie zdejmowali ich do spania przez wiele nocy. Po pobladłych policzkach, szarych od kurzu, wielkie krople potu płynęły jak łzy. Kobiety wchodziły energicznie, rzucały się do środka kościoła jak do pewnego azylu. Były tak podekscytowane, tak rozgorączkowane, że zdawały się niezdolne do bezruchu. Przenosiły się z jednego klęcznika na drugi, klękały, wstawały, niektóre potykały się o krzesła z miną tak zaleknioną i zaaferowaną jak nocne ptaki w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Jednak powoli się uspokajały, ukrywały twarz w dłoniach i wreszcie, do głębi wyczerpane wysiłkiem i płaczem, znajdowały ukojenie pod czarnym drewnianym krucyfiksem.

Pani Péricand, odmówiwszy modlitwy, wyszła z kościoła. Chciała teraz uzupełnić zapasy sucharków mocno nadwątlone niedawną hojnością.

Weszła do dużego sklepu spożywczego.

— Niczego już nie mamy, proszę pani — wyjaśniła ekspedientka.

- Jak to? nawet herbatników czy pierniczków? Nic?
- Absolutnie nic. Wszystko poszło.
- To poproszą funt herbaty. Najlepiej cejlońskiej, dobrze?
- Proszą pani, herbaty też nie ma.

Pani Péricand kazała sobie wskazać inne sklepy z żywnością, ale w żadnym nie udało jej się niczego kupić. Uchodźcy ogołocili miasto. W pobliżu kawiarni dołączył do niej Hubert. Nic znalazł żadnego pokoju. Pani Péricand wykrzyknęła:

- Nie ma niczego do jedzenia, sklepy są puste!
- Ja odkryłem dwa dobrze zaopatrzone — wyznał Hubert.
- Naprawdę? Gdzie? Hubert roześmiał się szczerze.
- W jednym sprzedawano pianina, a w drugim artykuły pogrzebowe.
- Jakież ty jesteś głupi, mój biedny chłopcze — powiedziała matka.
- Jak tak dalej pójdzie, to wieńce z koralików będą równie poszukiwane
- stwierdził. — Można będzie je przechowywać. Nic uważa mama?

Pani Péricand zadowolona się wzruszeniem ramion. Na progu kawiarni zobaczyła Jacqueline i Bernarda. Mieli pełne ręce czekolady i cukierków i rozdawali wszystkim naokoło. Pani Péricand znalazła się przy nich jednym susem.

- Wejdźcie do środka! Co wy robicie? Zabraniam wam dotykać zapasów. Jacqueline, zostaniesz ukarana. Bernard, ojciec się o tym dowie
- powtarzała, ciągnąc za rękę dwójkę zdumionych winowajców, stanowcza jak skała. Chrześcijańskie miłosierdzie, wyrozumiałość wieków cywilizacji opadły z niej jak niepotrzebne ozdoby, ujawniając duszę jałową i nagą. Byli sami we wrogim świecie, ona i jej dzieci. Musiała karmić swoje małe i znaleźć dla nich schronienie. Reszta już się nie liczyła.



Maurice i Jeanne Michaud maszerowali gęsiego po szerokiej szosie obsadzonej topolami. Uciekinierzy otaczali ich, szli przed nimi, za nimi. Kiedy dotarli na szczyt jednego z niewielkich wzniesień, jakie od czasu do czasu urozmaicały drogę, rozciągnął się przed nimi widok aż po horyzont, tak daleko, jak sięgał wzrok, rozlewała się bezładna masa w tumanach kurzu. Szczęśliwcy mieli taczki, dziecinne wózki, a nawet konstrukcje złożone z paru desek na prymitywnych kółkach, i na tym ciągnęli bagaże, pozostałych przyginał do ziemi ciężar toreb, manatków, śpiących dzieci. To byli biedacy, pechowcy, słabeusze, ci, którzy nie umieli sobie radzić; zawsze spychani do ostatniego szeregu, ale także nieliczni bojaźliwi, kilku skapców, którym do ostatniej chwili szkoda było pieniędzy na bilet, przestraszyli się wydatków i ryzyka podróży. Jednak nagle ich także ogarnęła panika. Właściwie nie bardzo pojmowali powód swojej ucieczki: cała Francja stała w płomieniach, niebezpieczeństwo czyhało wszędzie. Nie wiedzieli, dokąd idą. Kiedy upadali na ziemię, mówili, że już się nie podniosą, że umrą tutaj, bo wolą umrzeć i mieć w końcu święty spokój. Oni pierwsi podrywali się na nogi, kiedy pojawiał się samolot. Panowało między nimi współczucie, miłosierdzie, owa czujna i aktywna litość, którą lud okazuje jedynie swoim, biednym, a i to tylko w sytuacjach zagrożenia. Już z dziesięć razy jakieś grube i silne kobiety chciały pomóc w marszu Jeanne Michaud, która sama też prowadziła za rękę jakieś dzieci, podczas gdy jej mąż niósł na plecach czyjś toból

bielizny albo koszyk z żywym królikiem i kartoflami, jedyne doczesne dobra staruszki wędrującej pieszo z Nanterre. Mimo zmęczenia, głodu, niepokoju Maurice Michaud nie czuł się szczególnie nieszczęśliwy. Nie przywiązywał zbyt wagi do własnej osoby, nie uważał siebie za kogoś niezastąpionego, jak niektórzy często myślą o sobie. Towarzysze cierpienia budzili w nim litość, była ona jednak bardzo trzeźwa i chłodna. W końcu lymi wielkimi migracjami ludzkimi rządzą prawa naturalne, myślał. Niewątpliwie okresowe masowe przemieszczenia były równie konieczne dla narodów jak przepędzanie na kolejne pastwisko dla stad bydła. Ta myśl dawała mu dziwną pociechę. Ludzie wokół niego uważali, że los szczególnie się uwziął na nich, na to nieszczęsne pokolenie; ale on pamiętał, że takie exodusy miały miejsce od zawsze. Iluż ludzi padło na tej ziemi (podobnie jak na wszystkich ziemiach świata), płacząc krwawymi łzami, uciekając przed nieprzyjacielem, pozostawiając miasta w płomieniach, tuląc do serca dzieci; nikt nie pomyślał ze współczuciem o tych niezliczonych ofiarach. Dla przyszłych pokoleń nie znaczyli więcej niż kurczaki z poderżniętym gardłem. Wyobrażał sobie ich żalosne cienie pojawiające się na drodze i szepczące mu do ucha:

Doświadczyliśmy tego wszystkiego dużo wcześniej. Dlaczego tobie miało przypaść więcej szczęścia? Gruba babina, idąca obok, jęczała:

— Nikt jeszcze nie widział takiego koszmaru!

— Widział, proszę pani, widział — odpowiedział spokojnie. Po trzech dniach marszu natknęli się na pierwsze oddziały

w rozsypce. Na widok żołnierzy uchodźcy pomyśleli, iż zgodnie z rozkazem naczelnego dowództwa jeszcze nienaruszone siły m mii zmierzają w małych grupach bocznymi drogami do wyznaczonego punktu. Ta nadzieja podniosła ich na duchu. Żołnierze nie byli zbyt rozmowni. Prawie wszyscy mieli ponure i zamyślane miny. Niektórzy spali pod plandekami w głębi ciężarówek. Czołgi poruszały się powoli w kurzu, zakamuflowane drobnymi gałązkami. Spomiędzy liści wyblakłych w upalnym słońcu ukazywały się blade, zmęczone twarze wyrażające wściekłość i skrajne wyczerpanie. Pani Michaud nieustannie zdawało się, że rozpoznaje wśród

nich swojego syna. Ani razu nie widziała numeru jego pułku, ale ogarnęła ją rodzaj halucynacji: każda nieznana twarz, każde spojrzenie, każdy młody głos, który dobiegł do jej uszu, powodował tak silne wzruszenie, że zatrzymywała się nagle i z ręką na sercu mamrotała niewyraźnie:

— Och, Maurice, czy to nie jest...

— Co takiego?

— Nie, nic.

On nie był naiwny. Kręcił głową.

— Moja biedna Jeanno, wszędzie widzisz syna!

— Ale jest do niego podobny, prawda? — westchnęła.

W końcu mogło się to zdarzyć. Mógł wyłonić się nagle obok niej syn, jej Jean-Marie ocalony od śmierci, wołając swoim radosnym i czułym głosem, głosem równocześnie męskim i ciepłym, który ciągle brzmiał jej w uszach: „A co wy tutaj robicie?”.

Och, tylko go zobaczyć, przytulić, dotknąć wargami świeżego i szorstkiego policzka, zobaczyć z bliska blask jego pięknych oczu o tak przenikliwym i żywym spojrzeniu. Miał orzechowe oczy z rzęsami długimi jak u dziewczyny, a oczy te dostrzegały tak wiele! Już w dzieciństwie nauczyła go zwracania uwagi i na komiczny, i na wzruszający aspekt spraw. Sama lubiła się śmiać i potrafiła współczuć ludziom. „Twoje dickensowskie podejście”, mówił syn. Jak dobrze się rozumieli! Wesoło, a czasem złośliwie podkpiwali z tych, którzy im dokuczali, a potem często rozbierało ich jedno słowo, jeden gest, jedno westchnienie. Maurice był inny, miał więcej powagi i chłodu. Kochała i podziwiała Maurice'a, ale Jean-Marie był... Mój Boże, był tym wszystkim, czym ona chciała kiedyś być, o czym marzyła. Był jej radością, nadzieją. Mój synek, mój skarb, mój Jeannot, myślała, nazywając go tak, jak wtedy gdy miał pięć lat, kiedy delikatnie przytrzymała go za uszy, żeby go pocałować, odchylając mu główkę do tyłu i łaskocząc wargami, a on się zaśmiewał.

Podczas tej wędrówki jej myśli stawały się coraz bardziej gorączkowe i chaotyczne. Była dobrym piechurkiem, oboje z Maurice'em jako młodzi ludzie często włączyli się z plecakiem po okolicy w czasie krótkich urlopów. Nie stać ich było

na hotel, więc wyruszali piechotą z niewielkimi zapasami i śpiworami. Toteż teraz mniej niż innym dokuczało jej zmęczenie. Jednak ten nieustanny kalejdoskop, obce twarze, które pojawiały się, oddalały, znikwały, był znacznie gorszy od wyczerpania fizycznego. Karuzela w pułapce, myślała. W tym tłumie auta zdawały się uwięzione jak trawa unosząca się nad wodzie, przytrzymywana przez niewidzialne więzy, podczas gdy wokół pędzą prądy. Jeanne odwracała się, żeby ich nie oglądać, zatruwały powietrze zapachem benzyny, ogłuszały kluksonami, domagając się przejazdu, którego nie mogły uzyskać. Bezsilna wściekłość kierowców, ich posępna rezygnacja uspokajała uciekinierów. „Nie poruszają się szybciej niż my!”, powtarzali sobie z ust do ust w poczuciu wspólnego nieszczęścia.

Szli grupami. Tylko przypadek zetknął ich ze sobą na paryskich rogatkach, ale teraz się nie rozstawali, choć nikt nie znał nawet imienia najbliższego sąsiada. Z małżeństwem Michaud szła wysoka i chuda kobieta, w nędznym znoszonym płaszczu. Miała na sobie sztuczną biżuterię i Jeanne zadawała sobie pytanie, co może skłonić kogoś do ucieczki z dwiema wielkimi perłami w uszach otoczonymi mnóstwem diamentów, pierścionkami z zielonymi i czerwonymi kamieniami, z przypiętą do bluzki strasową broszką zdobioną maleńkimi topazami. Szła również konsjerżka z córką, matka była niewysoka i blada, dziewczynka przysadzista i silna, obydwie ubrane na czarno. W walizce miały zdjęcie potężnie zbudowanego mężczyzny z długimi czarnymi wąsami. „Mój mąż, strażnik cementarza”, mówiła kobieta. Towarzyszyła jej ciężarna siostra, która pchała wózek z dzieckiem. Ta kobieta była taka młoda! Ona także drżała na widok każdego wojskowego konwoju i wypatrywała kogoś w tłumie. „Tam jest mój mąż”, mówiła; tam, a może tutaj...wszystko było możliwe. A Jeanne zwierzała jej się, niewątpliwie po raz setny, chociaż nie bardzo wiedziała, co mówi: „Mój syn też, mój też...”.

Nie zostali jeszcze ostrzelani. Kiedy do tego doszło, najpierw nic nie rozumieli. Słyszeli odgłos jednej eksplozji, drugiej, a potem krzyki: „Ratować się! Na ziemię! Kładźcie się!”. Natychmiast rzucili się twarzą do ziemi, a Jeanne myślała:

„Ależ musimy groteskowo wyglądać”. Nie bała się, ale serce jej waliło tak mocno, że przyciskała je drżącymi rękami i opierała się na kamieniu. Czuła na ustach muskanie łądyżki, na której końcu zwisał różowy dzwoneczek. Potem przypomniała sobie, że kiedy tak leżeli na ziemi, niewielki biały motyl fruwał bez pośpiechu z kwiatka na kwiatek. Wreszcie usłyszała jakiś głos mówiący jej do ucha: „Już po wszystkim. Odlecieli”. Podniosła się i machinalnie otrzepała zapiaszczoną spódnice. Zdawało się, że nikt nie został trafiony. Jednak po drodze zobaczyli pierwszych zabitych: dwóch mężczyzn i kobietę. Ich ciała były zmasakrowane, ale przypadek zrządził, że twarze pozostały nietknięte, trzy posepne, zwyczajne twarze, zdumione tym, co im się przydarzyło i tak zupełnie nieprzygotowane do wojennej śmierci i w ogóle do śmierci. Kobieta przez całe życie nie mówiła pewnie nic innego jak „pory znowu zdrożały” czy „co za świnia ubrudziła mi podłogę?”.

Ale może pod tym niskim czołem, pod tymi matowymi i rozczochranymi włosami kryły się skarby inteligencji i czułości, myślała Jeanne. Czymże jesteśmy oboje, Maurice i ja, w oczach ludzi, jak nie parą nędznych urzędników? Z jednej strony to prawda, ale równocześnie jesteśmy wielo warci i niepowtarzalni. To też wiem. I tak się tu marnujemy, pomyślała jeszcze.

Oparła się na ramieniu Maurice'a, cała drżąca, z twarzą mokrą od łez.

— Odejdźmy dalej — zaproponował, pociągając ją łagodnie.

Obydwoje myśleli „po co?”. Nigdy nie dotrą do Tours. Czy bank w ogóle jeszcze istniał? Czy pan Corbin nie został pogrzebany w gruzach razem ze swoimi dokumentami, papierami wartościowymi, tancerką, z klejnotami żony? Ale to byłoby zbyt piękne, pomyślała Jeanne w przypływie okrucieństwa. A tymczasem powoli oboje z Maurice'em podjęli marsz. Nie pozostawało nic innego jak iść naprzód i oddać się w ręce Boga.

Niewielką grupkę, do której należeli państwo Michaud, załadowano w piątek wieczorem na wojskową ciężarówkę. Jechali przez resztę nocy, ułożeni między skrzyniami. Zatrzymali się w mieście, którego nazwy nigdy nie mieli poznać. Powiedziano im, że tory kolejowe pozostały nienaruszone. Będą mogli się udać bezpośrednio do Tours. Jeanne weszła do pierwszego napotkanego domu na przedmieściu i poprosiła, by pozwolono jej się umyć. Kuchnia była już wypełniona uciekinierami, którzy płukali bieliznę w zlewie, ule zaprowadzono Jeanne do ogrodu i tam umyła się pod pompą. Maurice kupił maleńkie lustro na łańcuszku; powiesił je na gałęzi drzewa i strzygł brodę. Od razu poczuli się lepiej, gotowi znieść trudy długiej kolejki do koszar, gdzie wydawano zupełną i jeszcze dłuższą przed kasami trzeciej klasy na dworcu. Kiedy po posiłku przechodzili przez plac przed dworcem, zaczęło się bombardowanie. Samoloty nieprzyjacielskie latały nad miastem bez przerwy od trzech dni. Nieustannie ogłaszano alarm. Za syrenę służył dawny sygnalizator pożarowy, ale w hałasie jadących samochodów, płuczących dzieci, szumu zaniepokojonej ludzkiej masy jego słaby i śmieszny dzwoneczek był ledwo słyszalny. Ludzie przybywali, wysiadali z pociągów i pytali: „Czy to alarm?”. Odpowiadano im: „Nie, to już koniec”, a pięć minut później słaby dzwonek słychać było znowu. Śmiano się. Tutaj sklepy były jeszcze otwarte, małe dziewczynki grały w klasy na

chodniku, psy biegały w pobliżu starej katedry. Nawet samoloty włoskie i niemieckie latające nad miastem nie budziły niepokoju. Zdażono się do nich przyzwyczaić.

I nagle jeden z nich oddzielił się od nieba, zanurkował nad tłum. Jeanne pomyślała „spada”, potem „on strzela, będzie strzelał, koniec z nami”. Instynktownie podniosła rękę do ust, żeby stłumić krzyk. Bomby spadły na dworzec i trochę dalej na tory. Stłuczone szkło dachu poleciało na plac, raniąc i zabijając ludzi. Kobiety ogarnięte paniką porzuciły swoje dzieci jak kłopotliwe pakunki i uciekały. Inne ścisnęły dzieci z taką siłą, jakby z powrotem chciały je wtłoczyć między biodra, jakby było to jedyne pewne schronienie. Jakaś nieszczęśnica padła u stóp Jeanne, była to kobieta w sztucznej biżuterii. Kamienie błyszczały na jej szyi i na palcach, a z poturbowanej głowy trysnęła krew na suknię Jeanne, na pończochy i na buty. Na szczęście nie miała czasu przyglądać się zabitym! Ranni wołali o pomoc spod kamieni i potłuczonych szyb. Dołączyła do Maurice<sup>1</sup>a i kilku innych mężczyzn, którzy próbowali usuwać gruz. Ale było to ponad jej siły. Nie dawała rady. Pomyślała o dzieciach, które rozpaczliwie krążyły po placu w poszukiwaniu matek. Przywoływała je, brała za rękę i ustawiała z boku na schodach katedry, potem wracała w tłum i na widok kobiety zagubionej, płaczącej i biegającej z miejsca na miejsce mówiła głosem mocnym i spokojnym, tak mocnym i tak spokojnym, aż ją samą to dziwiło:

— Dzieci są przy drzwiach do kościoła. Proszę tam iść. Komu zginęły dzieci, proszę iść do wejścia do kościoła.

Kobiety rzuciły się w stronę katedry. Niektóre płakały, inne wybuchały śmiechem, jeszcze inne wydawały jakiś dziki okrzyk, zduszony, nieprzypominający żadnego znajomego dźwięku. Dzieci zachowywały się znacznie spokojniej. Ich łzy szybko obsychały. Matki zabierały je, przyciskając do serca. Żadnej nie przyszło do głowy, by podziękować Jeanne. Wróciła na plac, a tam powiedziano jej, że samo miasto ucierpiało nieznacznie, jednak trafiony został konwój sanitarny akurat wjeżdżający na dworzec; mimo wszystko linia do Tours ocalała. W tym momencie formuje się skład pociągu, który ruszy

niebawem. Ludzie, zapominając już o rannych i zabitych, śpieszyli w stronę dworca, trzymając swoje walizy i pudła na kapelusze jak tonący koła ratunkowe. Toczyły się bitwy o miejsce. Michaudowie zobaczyli pierwsze nosze, na których niesiono rannych żołnierzy. Ścisk był taki, że nie mogli ani się zbliżyć, ani zobaczyć ich twarzy. Rannych ładowano na ciężarówki, do samochodów wojskowych i cywilnych zarekwirowanych w pośpiechu. Jeanne zobaczyła oficera, który zmierzał do ciężarówki pełnej dzieci pod opieką księdza. Usłyszała:

— Bardzo mi przykro, proszę księdza, ale będę zmuszony zabrać ciężarówkę. Musimy zawieźć rannych do Blois.

Na znak księdza dzieci zaczęły wysiadać.

— Bardzo mi przykro. To pewnie szkoła?

— Sierociniec.

— Odeślę ciężarówkę, jeśli znajdę benzynę.

Dzieci, подростki w wieku od czternastu do osiemnastu lat, każdy ze swoim bagażem w ręku, wysiadały i zbierały się wokół księdza. Maurice zwrócił się do żony:

— Idziesz?

— Tak. Poczekaj.

— Ale na co?

Usiłowała wypatrzeć nosze, które niesiono wśród tłumu, jedno za drugim. Ale był za duży tłok, nic nie widziała. Obok niej inna kobieta również wspinała się na czubki palców. Poruszała wargami, ale nie wydobywało się z nich ani jedno wyraźne słowo; modliła się albo powtarzała jakieś imię. Popatrzyła na Jeanne.

— Zawsze się wierzy, że zobaczy się swoich, prawda? Westchnęła leciutko. W istocie nie było żadnego powodu, żeby przed jej oczami nagle pojawił się raczej swój niż obcy, akurat jej syn, jej skarb. A może przebywa w spokojnym zakątku? Przy najstraszniejszych bitwach pozostają nienaruszone strefy, zachowane między zaporami płomieni. Zapytała sąsiadki:

— Nie wie pani, skąd jechał ten pociąg?

— Nie.

— Czy jest dużo ofiar?



— Podobno dwa wagony pełne poległych.

Jeanne przestała się opierać Maurice'owi, który ją ciągnął na dworzec. Z trudem się tam przedarli, przechodząc przez zawalone mury, kamienne bloki i sterty potłuczonego szkła. Dotarli wreszcie na trzeci, niezburzony peron, gdzie formował się skład do Tours, prowincjonalna ciuchcia, spokojna, czarna, plująca dymem.

Jean-Marie został ranny dwa dni wcześniej, jechał właśnie lym zbombardowanym na stacji pociągiem. Tym razem kula go ominęła, ale w wagonie wybuchł pożar. Wysilek, jakiego wymagało zejście z pryczy i dotarcie do drzwi, spowodował, że rana się otworzyła. Kiedy go zabrano i wrzucono na ciężarówkę, był prawie nieprzytomny. Leżał na noszach, głowa mu się zsunęła i na każdym wyboju uderzała boleśnie o pustą skrzynię. Trzy samochody pełne żołnierzy posuwały się wolno jeden za drugim po drodze podziurawionej pociskami i prawie nieprzejezdnej. Nad konwojem przelatywały nieprzyjacielskie samoloty. Jean-Marie ocknął się na moment z niespokojnego delirium, by pomyśleć: „Tak musi się czuć drób, kiedy nadlatuje k rogu lec”.

Widział niewyraźnie farmę swojej mamki, dokąd w dzieciństwie wysyłano go na ferie wielkanocne. Podwórze zalane słońcem; kurczęta dziobią ziarno i baraszkują na kupie popiołów, potem wielka koścista ręka mamki chwyta jedno z nich, wiąże mu łapy, zabiera, a pięć minut później... ten strumyczek krwi wydobywający się z cichym szmerem, bulgoczącym i groteskowym. To była śmierć... I mnie też schwymano i zabrano, pomyślał... schwymano i zabrano... a jutro, wychudzony i nagi, wrzucony do ziemi, nie będę wyglądał lepiej od kurczaka...

Uderzył czołem w skrzynię tak mocno, że słabiutko jęknął, nie miał już siły krzyknąć, ale zwrócił uwagę towarzysza leżącego obok, który był tylko lekko ranny w nogę.

— Michaud, o co chodzi? Lepiej ci?

Daj mi pić i ułóż mi głowę wygodniej, i przepędź mi z oczu tę muchę, chciał powiedzieć Jean-Marie, ale zdołał jedynie westchnąć:

— Nie.

I zamknął oczy.

— Znowu zaczynają — jęknął towarzysz.

W tym samym momencie wokół konwoju posypały się bomby. Trafiono w niewielki most, droga do Blois została odcięta, trzeba było wracać, przebijać się przez tłum uchodźców albo jechać przez Vendôme. Nic dojedzie się przed nocą.

Biedne chłopaki, myślał major, patrząc na Michauda, naj-ciężej poszkodowanego. Zrobił mu zastrzyk. Samochody znowu ruszyły. Dwie ciężarówki z lżejszymi przypadkami pojechały na Vendôme, ta, w której znajdował się Jean-Marie, ruszyła drogą na przełaj, co miało skrócić jazdę o kilka kilometrów. Wkrótce ciężarówka stanęła, skończyła się benzyna. Major wyruszył na poszukiwanie domu, w którym mógłby zainstalować swoich ludzi. Znaleźli się z dala od uciekających, fala samochodów przepływała niżej. Ze wzgórza, na którym stał major, widać było w spokojnym i łagodnym czerwcowym fiołkowiebieskim zmierzchu czarną masę. Wydobywały się z niej niezharmonizowane dźwięki, niewyraźne ryki klaksonów, krzyki, wołania, głuchy i złowieszczy rumor, który ścisnął serce.

Major zobaczył kilka farm usytuowanych blisko siebie. Były zamieszkane, ale wyłącznie przez kobiety i dzieci. Mężczyźni poszli na front. Na jedną z nich przetransportowano Jeana-Marie. W sąsiednich domach rozlokowano pozostałych żołnierzy, a tymczasem major, znalazłszy damski rower, oznajmił, że jedzie do najbliższego miasta w poszukiwaniu pomocy, benzyny, ciężarówki, czegokolwiek, co uda mu się znaleźć... Jeżeli ma umrzeć, myślał major, zostawiając Michauda leżącego na noszach w wielkiej kuchni na farmie, podczas gdy kobiety przygotowywały łóżko, jeśli ma tu zostać, lepiej niech to się stanie w czystej pościeli niż na drodze...

Pedałował w kierunku Vendôme. Miał właśnie wjechać do miasta, ale wpadł w ręce Niemców, którzy wzięli go do niewoli. A tymczasem kobiety, widząc, że major nie wraca, pobiegły do

najbliższego miasteczka powiadomić doktora i siostry ze szpitala. Szpital był przepełniony, ponieważ przywieziono ofiary ostatniego bombardowania, więc żołnierze zostali w wiosce. Kobiety narzekały: mężczyzn nie ma, a one mają dosyć roboty w polu i przy inwentarzu, żeby jeszcze zajmować się rannym! Jean-Marie z trudem unosił powieki rozpalone gorączką i widział przy swoim łóżku starą kobietę z długim żółtym nosem, która robiła na drutach i patrząc na niego, wzdychała: „Gdybym tylko wiedziała, że tam gdzieś jest mój biedny stary, i opiekują się nim tak jak tym obcym...”. W swoim niespokojnym śnie Jean-Marie słyszał stukanie metalowych drutów i patrzył na kłębek wełny podskakujący na jego kołdrze. W delirium sądził, że ten kłębek ma spiczaste uszy i ogon, i wyciągnął rękę, by go pogłaskać. Chwilami zbliżała się do niego ładna córka gospodyni, była młoda, miała świeżą różową cerę, rysy twarzy trochę prostackie, oczy brązowe, czyste, pełne życia. Pewnego dnia przyniosła mu bukiet czereśni i położyła na poduszce. Nie pozwolono mu ich jeść, ale gdy zbliżał je do policzków rozpalonych jak płomienie, czuł się uspokojony i prawie szczęśliwy.

Gabriel Corte i Florence opuścili Orlean i kontynuowali drogę do Bordeaux. Sprawę komplikował fakt, że nie bardzo wiedzieli, dokąd jada. Najpierw skierowali się na Bretanię, ale potem postanowili pojechać na Południe. W końcu Gabriel oznajmił, że wyjadą z Francji.

— Nie wydostaniemy się stąd żywi — mówiła Florence. Czowała nie tyle zmęczenie i strach, ile złość; rosła w niej ślepa, szalona wściekłość, która ją dusiła. Uważała, że Gabriel zerwał ich cichy kontrakt. W końcu miłość mężczyzny i kobiety w ich sytuacji i wieku to handel wymienny. Oddała mu się, oczekując w zamian nie tylko materialnego, ale i duchowego wsparcia, i dotychczas otrzymywała je w gotówce, prestiżu. Płacił, jak należało. Nagle jednak wydał jej się istotą słabą i godną pogardy.

— Może mi powiesz, co będziemy robili za granicą? Z czego będziemy żyli? Wszystkie pieniądze ulokowałeś tutaj, ponieważ zrobiłeś głupstwo i ściągnąłeś je z Londynu, czego zresztą nigdy nie mogłam zrozumieć.

— Wydawało mi się, że Anglia jest bardziej zagrożona niż my. Miałem zaufanie do swojego kraju, do armii mojego kraju, chyba tego nie będziesz mi wyrzucać, prawda? A zresztą czym ty się martwisz? Dzięki Bogu, mam wpływy wszędzie, jak sądzę!

Nagle zamilkł, wychylił się przez szybę, po czym poirytowanym gestem odrzucił głowę do tyłu.

— Co znowu? — wymamrotała Florence, wznosząc oczy do nieba.

— Ci ludzie...

Wskazał samochód, który ich wyprzedzał. Florence spojrzała na pasażerów; noc w Orleanie spędzili obok siebie, na placu: łatwo było rozpoznać powgniataną karoserię, kobietę z dzieckiem na kolanach i tę drugą z zabandażowaną głową, a także klatkę na ptaki i mężczyznę w kaszkiecie.

— Więc nie patrz na nich — poradziła znużona Florence. Kilkakrotnie postukał nerwowo palcami w niewielki neseser ozdobiony złoceniami i kością słoniową.

— Jeśli już istnieją tak bolesne chwile jak klęska i exodus, to powinny być uwzniośnione odrobiną szlachetności, wielkości! Nie mogę pogodzić się z tym, że ci sklepikarze, konsjerżki, ci wszyscy niedomyci ze swoimi skomleniami, paplaniem, ze swoim prostactwem i wulgarnością brukają atmosferę tragedii. No, popatrz na nich, tylko popatrz! Znowu są. Słowo daję, prześladują mnie.

— Henri, przyspiesz trochę! — ponaglił szofera. — Nie możesz się odzepić od tej zgrai?

Henri nawet nie odpowiedział. Auto posuwało się trzy metry i zatrzymywało się w niewyobrażalnym nagromadzeniu pojazdów, rowerów i pieszych. Gabriel znowu zobaczył w odległości dwóch kroków kobietę z zabandażowaną głową. Miała gęste posępne brwi, mocne białe zęby, nad górną wargą lekki zarost. Gabriel zadrżał z odrazy, widząc bandaże splamione krwią, i czarne włosy przyklepione do waty i szmat. Odwrócił głowę, nic kobieta uśmiechnęła się do niego i próbowała nawiązać rozmowę.

— Nie poruszamy się szybko, co? — zaczęła przyjaźnie, zaglądając przez opuszczone okno samochodu. — I tak dobrze, że jedziemy tędy. Tam, po drugiej stronie, mieli niezłe bombardowanie! Zniszczono wszystkie zamki nad Loarą...

W końcu zauważyła nieruchomy i lodowaty wzrok Gabriela. Zamilkła.

— Czy ty nie rozumiesz, że nic mogę się od nich uwolnić?

— Nie patrz na nich!

— To nie takie proste! Co za koszmar! Och, ta brzydota, wulgarność, obrzydliwość tego tłumu!

Dojeżdżali do Tours. Już od pewnego czasu Gabriel ziewał: był głodny. Od Orleanu prawie nic nie jadł. Jak sam mawiał, podobnie jak Byron miał wstrzemięźliwe obyczaje, zadowalał się jarzynami, owocami i wodą gazowaną, ale raz czy dwa razy w tygodniu miał ochotę na obfity i ciężki posiłek. I właśnie teraz odczuwał taką potrzebę. Pozostawał nieruchomy, milczący, oczy miał zamknięte, jego piękna twarz naznaczona cierpieniem przypominała chwile, kiedy układał w głowie pierwsze suche i czyste frazy swojej książki (starał się, by były równie lekkie i szumiące jak cykady, potem następował ton głuchy i namiętny, który określał jako „moje skrzypce”. „Niech zagrają moje skrzypce”, mawiał). Ale tego wieczoru zajmowały go inne myśli. Przypomniał sobie kanapki, którymi Florence częstowała go w Orleanie; wtedy wydały mu się niezbyt apetyczne, lekko naruszone upałem. Były to niewielkie *brioche*s posmarowane musem z gęsich wątróbek, a także czarny chleb z plasterkiem ogórka i liściem sałaty, co niewątpliwie nadawało im świeży i cierpki smak. Gabriel znowu ziewnął, otworzył koszyk, ale znalazł w nim tylko poplamioną serwetkę i słoik pikli.

— Czego szukasz? — zapytała Florence.

— Kanapek.

— Skończyły się.

— Jak to? Jeszcze przed chwilą były tu trzy.

— Majonez się zepsuł, były nie do jedzenia, więc je wyrzuciłam. Mam nadzieję, że uda nam się zjeść kolację w Tours — dodała.

Na horyzoncie widać było przedmieścia Tours, ale samochody już się nie poruszały; na skrzyżowaniu dróg postawiono zaporę. Trzeba było czekać na swoją kolej. W ten sposób minęła godzina. Gabriel zbladł. Nie marzył już tylko o kanapce, ale o lekkich i ciepłych zupach, o pasztecikach pieczonych w maśle, które jadł kiedyś w Tours, wracając z Biarritz. (Był wtedy z kobietą. Wracał z Biarritz. Ciekawe, że nie przypominał sobie ani jej imienia, ani twarzy; w jego pamięci zostały jedynie paszteciki na maśle, z których każdy krył w sobie kawałek trufli w gładkiej i soczystej masie). Później pomyślał o mięsie:

wielki kawał rozbefu, czerwony i krwisty, a na nim muszelka masła, delikatnie się topiącego, co za pycha... Tak, tego właśnie (rzeba... rozbef... befszytk... chateaubriand... może nawet eskalop czy kotlet barani. Westchnął głęboko.

Był lekki złoty wieczór bez najłżejszego powiewu wiatru czy nadmiernego upału, zwykły koniec boskiego dnia, kiedy słodki cień kładzie się jak skrzydło na polach i drogach. Z pobliskiego lasu dobiegał słaby zapach poziomek. Czulo się go momentami w powietrzu, pełnym odorów benzyny i dymu. Samochody, poruszając się na zwolnionych obrotach, znalazły się na moście. Kobiety spokojnie prały w rzece bieliznę. Ten sielski obrazek podkreślał jedynie koszmar i niezwykłość wydarzeń. Gdzieś daleko kręciło się młyńskie koło.

— Tu powinno być dużo ryb — powiedział rozmarzony Gabriel.

Dwa lata wcześniej, w Austrii, nad małą bystrą rzeczką, równie czystą jak ta, jadł pstrągi w szarym sosie! Ich mięso pod perłową i błękitną skórą było różowe jak mięso niemowlęcia. I te kartofle na parze... takie proste, zwykłe, z odrobiną świeżego masła i siekanej pietruszki... Patrzył z nadzieją na mury miasta. Wreszcie, w końcu je przekraczają. Ledwie jednak zdążyli wychylić głowę przez okno, zobaczyli kolejkę uchodźców stojących na ulicy. Kuchnia polowa rozdawała żywność zagłodzonym, jak mówiono. Nic innego do jedzenia nie było.

Dobrze ubrana kobieta, trzymająca za rękę dziecko, odezwała się do Gabriela i Florence.

— Jesteśmy tu od czterech godzin. Dziecko płacze, to straszne.

— Straszne — powtórzyła Florence.

Zza nich wyłoniła się kobieta z obandażowaną głową.

— Nie warto czekać. Zamykają. Już nic nie ma. Wykonała pełen rezygnacji gest ręką.

— Nic, absolutnie nic. Nawet okruszka chleba. Moja przy-|aciółka, która jedzie ze mną, przed trzema tygodniami urodziła dziecko i od wczoraj nic nie jadła, a karmi je piersią. I po czymś takim słyszymy: miejcie dzieci! Nieszczęście. Dzieci, dobre sobie! Naprawdę chce mi się śmiać! Wzdłuż kolejki przebiegł przygnębiający szmer.



— Nic, nie mają już absolutnie niczego. Mówią: „proszę przyjść jutro”. Podobno Niemcy się zbliżają, a pułk wychodzi tej nocy.

— Była pani w mieście, żeby sprawdzić, czy naprawdę niczego już nie ma?

— Oczywiście! Wszyscy wyjeżdżają, można by powiedzieć wymarłe miasto. A niektórzy już robią zapasy, może pani sobie to wyobrazić!

— To straszne! — ponownie jęknęła Florence.

Była tak poruszona, że zwróciła te słowa do pasażerów zniszczonego auta. Kobieta z dzieckiem na kolanach była blada jak trup. Ta druga potrząsała głową z ponurą miną.

— To jeszcze nic. To wszystko bogaci, a najbardziej cierpi robotnik.

— Co zrobimy? — spytała Gabriela zrozpaczona Florence. Dał znak, żeby szła za nim. Maszerował wielkimi krokami.

Właśnie wszedł księżyc i w jego blasku można było poruszać się bez trudu po mieście z zamkniętymi okiennicami, zatrzaśniętymi drzwiami, mieście, w którym nie paliła się żadna latarnia, nikt nie podchodził do okna.

— Rozumiesz — mówił cicho — to wszystko są brednie... Niemożliwe, żeby za pieniądze nie można było znaleźć nic do jedzenia. Uwierz mi, jest stado wystraszonych, ale są i tacy, którzy bezpiecznie ukryli zapasy.

Chodzi o to, żeby odnaleźć tych cwaniaków.

Zamilkł.

— To Paray-Ie-Monial, prawda? Chodź, właśnie tu dwa lata temu jadłem kolację. Właściciel powinien mnie pamiętać, zaraz zobaczysz.

Ze zdwojoną energią uderzał w zamknięte drzwi i krzyczał rozkazującym tonem:

— Otwieraj, otwieraj, mój stary! Tu przyjaciel!

i zdarzył się cud! Słysząc kroki, w zamku obrócił się klucz, pokazał się zaniepokojony nos.

— Poznaje mnie pan! Jestem Corte, Gabriel Corte. Umieram z głodu.

Tak, tak, wiem, że nic nie ma, ale dla mnie... no, niech pan dobrze poszuka... Nic panu nie zostało? Aha, teraz pan sobie przypomina?

— Proszę pana, bardzo mi przykro, ale nie mogę pana wpuścić — wyszeptał gospodarz. — Jesteśmy otoczeni. Proszę zejść aż do rogu ulicy i czekać na mnie. Przyjdę. Chcę pana zadowolić, panie Corte, ale nas nieszczęsnych pozbawiono wszystkiego. Chociaż, jak się dobrze poszuka...

— No właśnie, jak się dobrze poszuka...

— Nie powie pan nikomu? Nie może pan sobie nawet wyobrazić, co się dzisiaj wydarzyło. Po tych scenach szaleństwa moja żona nadal nie może przyjść do siebie. Ci ludzie pochłaniają wszystko i odchodzą, nie płacąc.

— Liczę na pana, staruszkule — powiedział Gabriel, wsuwając mu do ręki pieniądze.

Pięć minut później obydwójce z Florence wracali do auta, niosąc koszyk owinięty serwetą.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, co jest w środku — powiedział Gabriel tonem obojętnym i marzycielskim, który przybierał, zwracając się do kobiet, kobiet pożądanym, a czasem nawet zdobytych. — Nie, w żadnym razie... Ale chyba czuję zapach pasztetu z gęsich wątróbek...

W tym samym momencie między Gabrielem a Florence przemknął cień, ktoś wyrwał im koszyk i rozdzielił ich ciosami pięści. Wystraszona Florence chwyciła się obydwoma rękami za szyję z okrzykiem: „Mój naszyjnik! mój naszyjnik!”, ale naszyjnik nadal był na miejscu, podobnie jak kasetka z biżuterią. Złodzieje zabrali tylko zapasy żywnościowe. Florence, cała i zdrowa, stanęła u boku Gabriela, który wycierał bolącą szczękę i nos, powtarzając:

— To dżungla, znaleźliśmy się w dżungli...

— Nie powinienesz był tego robić — westchnęła kobieta trzymająca w ramionach niemowlę.

Na jej policzki wracała odrobina koloru. Stary citroen, do połowy wgnieciony, wymanewrował dość zręcznie, by wydostać się z konwoju, i teraz jego pasażerowie odpoczywali na mchu w niewielkim lasku. Świecił okragły i czysty księżyc, ale gdyby nawet zabrakło księżyca, wielki pożar na horyzoncie wystarczyłby do oświetlenia całej sceny: grupkę ludzi siedzących tu i ówdzie pod sosnami, unieruchomionych samochodów. Obok młodej kobiety i mężczyzny w kaszkiecie stał otwarty koszyk zjedzeniem, do połowy opróżniony, i złota szyjka odkorkowanej butelki szampana.

— Nie, nie powinienesz... to mnie dobija, Jules, to straszne, że trzeba uciekać się do czegoś takiego.

Mężczyzna niewielkiego wzrostu, wąły, w którego twarzy uderzało przede wszystkim czoło i oczy, a dopiero potem zauważało się cienkie wargi i trójkątną brodę fretki, zaprotestował:

— To co? Mamy umrzeć z głodu?

— Aline, daj spokój, on ma rację — wtrąciła kobieta z obandażowaną głową. — Co według ciebie mamy robić? Tych dwoje w ogóle nie zasługuje na to, żeby żyć, możesz mi wierzyć!

Umilkli. Kobieta była dawną służącą, poślubiła robotnika pracującego w fabryce Renault. Udało się zatrzymać go w Paryżu przez pierwsze miesiące wojny, ale w lutym musiał w koń-

cu wyjechać i teraz bił się Bóg wie gdzie. To, że brał udział w poprzedniej wojnie, że był najstarszy z czwórki dzieci, nic nie pomogło. Przywileje, zwolnienia, znajomości — to wszystko było tylko dla burżujów. W głębi jej serca układały się sukcesyjnie warstwy nienawiści, zachodziły na siebie, nie mieszając się ze sobą: nienawiść chłopki instynktownie nieznoszącej ludzi z miasta, nienawiść służącej rozgoryczonej i zmęczonej mieszkaniem u obcych, i wreszcie nienawiść robotnicy, bo w ostatnich miesiącach zastąpiła męża w fabryce. Nie nawykła do wykonywania pracy męczyzny, przy której nie tylko wzmocniły się jej ramiona, ale stwardniała dusza.

— Doskonale im zrobiłeś, Jules — pochwaliła brata. — Naprawdę nie podejrzewałam, że będziesz zdolny do czegoś takiego!

— Kiedy zobaczyłem, jak Alinę odwraca wzrok, a ci dranie mieli pełno butelek, gęsich pasztetów i wszystkiego, przestałem nad sobą panować. Alinę, która robiła wrażenie bardziej nieśmiałej i łagodnej, zaryzykowała:

— Hortense, nie uważasz, że mogliśmy ich poprosić o coś do zjedzenia. Mąż i szwagierka wykrzyknęli:

— Co za pomysł! Dobre sobie! Ty ich nie znasz! Mogliby patrzeć, jak zdychamy z głodu jak najędzniejsze psy! Już ja ich znam! — stwierdziła Hortense. — A ci są najgorsi! Jego widziałam u hrabiny Barral du Jeu, starej jędzy; on pisze książki i sztuki do teatru. Jak mówił szofer, to wariat, a tępy jak noga stołowa.

Nie przestając mówić, Hortense układała resztę zapasów. Duże czerwone dłonie poruszały się zadziwiająco zręcznie i lekko. Po chwili wzięła niemowlę i rozwinęła z powijków.

— Biedactwo, co za podróż! Ale przynajmniej wcześniej pozna życie. Może to i lepiej. Czasami nie żałuję, że wychowałam się w ciężkich warunkach, nie każdy może powiedzieć, że umie się posłużyć własnymi rękami. Pamiętasz, Jules, jak umarła mama, nie miałam nawet trzynastu lat; chodziłam do pralni bez względu na pogodę, w zimie musiałam kruszyć lód i dźwigać na plecach toboły. Płakałam, chowając twarz

w popękane dłonie. Ale równocześnie nauczyłam się, jak sobie radzić i nie bać się.

— Na pewno niełatwo cię zbić z tropu — powiedziała z podziwem Alinę. Kiedy dziecko było przewinięte, suche, umyte, Alinę odpięła bluzkę i przytuliła synka do serca. Pozostała dwójka patrzyła na nią z uśmiechem. — Przynajmniej dzieciak będzie miał coś do jedzenia! Szampan uderzał im do głowy; czuli przyjemne i dziwne zamroczenie. Patrzyli w głębokim otepieniu na płomienie w oddali. Chwilami zapominali, dlaczego w ogóle znaleźli się w tym miejscu, dlaczego opuścili swoje niewielkie mieszkanko przy Dworcu Liońskim, przemierzali drogi, las Fontainebleau, dlaczego okradli Corte'a. Wszystko stawało się mroczne i zadymione jak we śnie. Klatkę zawiesili na niskiej gałęzi inakarmili ptaszki. Wyjeżdżając z domu, Hortense nie zapomniała o paczce ziaren dla nich. Wyjęła z głębi kieszeni kilka kostek cukru i wrzuciła je do filiżanki wrzącej kawy; termos nie ucierpiał podczas wypadku. Piła kawę głośno, wysuwała grube wargi, a dłoń położyła na obfitej piersi, żeby uchronić ją przed poplamieniem. Nagle między ludźmi rozeszła się pogłoska: „Dziś rano Niemcy weszli do Paryża”. Hortense upuściła do połowy tylko opróżnioną filiżankę, nalana twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. Pochyliła głowę i rozplakała się.

— Tu mi się coś robi, tu — mówiła, wskazując na serce. Z jej oczu płynęły łzy rzadkie i gorące, jak przystało na kobietę twardą, która nieczęsto lituje się nad sobą czy nad innymi ludźmi. Przepęniało ją uczucie złości, smutku i wstydu tak gwałtowne, że sprawiało wręcz fizyczny ból w okolicach serca, ostry i przeszywający. W końcu odezwała się:

— Wiesz, że kocham swojego męża. Biedny Louis, jesteśmy tylko we dwoje, on pracuje, nie pije, nie lata za babami, no i kochamy się, zresztą mam tylko jego, jednak gdyby ktoś mi powiedział: już go nie zobaczysz, bo nic żyje, ale zwyciężyliśmy... no to chyba to bym wołała! Naprawdę, nie bujam, to bym wołała!

— Nie ulega wątpliwości — potwierdziła Alinę, na próżno szukając jakiegoś mocniejszego wyrażenia — że to przykre.

Juies milczał, myśląc o swojej na pół sparaliżowanej ręce, dzięki której udało mu się uniknąć służby wojskowej i wojny. Mówił sobie „ale miałem szczęście”, tyle że równocześnie coś go niepokoiło, nie wiedział co, ale było to niemal jak wyrzut sumienia.

— Tak to jest, nic na to nie poradzimy — pocieszał kobiety z ponurą miną.

Znowu zaczęli mówić o panu Corte. Z satysfakcją myśleli o wspaniałej kolacji, którą zjedli niejako w zastępstwie. Teraz osądzali go trochę łagodniej. Hortense, która u hrabiny Barral du Jeu widywała pisarzy, członków akademii, a kiedyś nawet hrabinę de Noailles, rozśmieszyła ich do łez, opowiadając o tych ludziach.

— Nie o to chodzi, że są źli. Po prostu nie znają życia — stwierdziła Aline.

Péricandowie nie znaleźli miejsca w mieście, tylko w sąsiednim miasteczku. Okazało się, że naprzeciwko kościoła w domu zamieszkanym przez dwie stare panny był jeszcze wolny wielki pokój. Padające ze zmęczenia dzieci położono spać w ubraniu. Jacqueline drżącym głosem domagała się, by postawić koło niej koszyk z kotem. Prześladowała ją myśl, że kot ucieknie, zginie, że o nim zapomną i umrze z głodu na drodze. Włożyła rękę za kratki koszyka, tworzące niewielkie okienko, przez które widać było błyszczące oko i długie wasy zjżone wściekłością, i dopiero to ją uspokoiło. Emmanuela przerażał ten nieznany, ogromny pokój i dwie stare panny biegające tam i z powrotem jak zaaferowane chrabąszcze, powtarzające przy tym jękliwie: „Niesłychane rzeczy... trudno się nie litować... biedne niewiniątka... biedne małe dzieci...”. Bernard leżał na plecach i obserwował obie panie, bez mrugnięcia powieką, spojrzeniem poważnym i otepiałym, a równocześnie ssał kawałek cukru, który od trzech dni nosił w kieszeni, ale pod wpływem upału cukier zmieszał się z grafitem ołówka, zamazanym znaczkiem pocztowym i kawałkiem sznurka. Pozostałe łóżko w pokoju zajął stary pan Pericand. Pani Péricand, Hubert i służba spędzali noc na krzesłach w jadalni. Przez otwarte okno widać było niewielki ogródek oświetlony światłem księżyca. Spokojne i jasne promienie migotały na pachnących kiściach białego bzu i srebrnych kamyczkach alejki, po której maszerowała delikatnie kotka. W jadalni zebrali się

uciekinierzy i mieszkańcy miasteczka, słuchając wspólnie radia. Kobiety płakały. Mężczyźni w milczeniu opuszczali głowy. Nie odczuwali autentycznej rozpacz, była to raczej odmowa zrozumienia. Otepienie podobne do tego, jakiego doznajemy we śnie w chwili, kiedy zbliża się dzień, i mroki snu zaraz się rozproszą. Otwierając oczy, myślimy z ulgą: „To tylko koszmar, zaraz się obudzę”. Nikt się nie poruszył, każdy odwracał głowę, unikając wzroku pozostałych. Kiedy Hubert wyłączył radio, mężczyźni wyszli bez słowa. W pokoju pozostała jedynie grupka kobiet. Słysząc było ich szepty, westchnienia; oplakiwały nieszczęścia ojczyzny, widząc ją w drogich rysach twarzy małżonka, syna, którzy nadal się bili. Wyładowywały swój ból, pomstując i wykrzykując: „Tylko tego brakowało! Żeby to się skończyło! To nie najgorzej... Zostaliśmy zdradzeni, mówię pani... sprzedano nas i teraz biedni cierpią”.

Hubert słuchał i z wściekłością zaciskał pięści. Zastanawiał się, co tu robi, w tej gromadzie starych plotkarek. Ach, gdyby tylko był o dwa lata starszy! W jego umyśle, tak dotychczas beztroskim i niemal dziecinnym, obudziły się nagle pasje i udreki dojrzałego mężczyzny: niepokój patriotyczny, gorące pragnienie poświęcenia, wstyd, ból i wściekłość. W końcu po raz pierwszy w życiu stanęła przed nim sprawa wymagająca jego osobistej odpowiedzialności. Nie wystarczy płakać czy wykrzykiwać o zdradzie, przecież jest już mężczyzną, nie ma co prawda wymaganych prawem lat, by iść na wojnę, ale jest silniejszy, bardziej odporny na zmęczenie, zręczniejszy, bardziej przebiegły od tych starych trzydziestopięcio- czy czterdziestoletnich, których wysyłano na front. Poza tym był wolny. Nic zatrzymywała go żadna rodzina, żadna miłość! — Och, tak bardzo chcę pójść — wyszeptał. — Tak bardzo... Rzucił się w stronę matki, wziął ją za rękę i odciągnął na bok.

— Mamo, daj mi trochę jedzenia, czerwoną koszulę, która jest w mamy neseserze... i pocałuj mnie. Idę.

Dusił się. Po policzkach płynęły mu łzy. Matka spojrzała na niego i zrozumiała.

— Synu, chyba oszalałeś...

— Mamo, idę. Nie mogę tu zostać... Umrę, zabiję się, jeśli będę musiał tu zostać, bezużytecznie, z założonymi rękami,



podczas gdy... nie rozumie mama, że przyjdą Niemcy i siłą wciela wszystkich chłopców do wojska, każą nam się bić w ich sprawie. Nie chce.! Pozwól mi iść.

Nieświadomie podniósł głos i teraz krzyczał, nie potrafił się opanować. Otaczał go przerażony wianuszek drżących starych kobiet; dołączył do niego młody chłopak, niewiele od niego starszy siostrzeniec właściciela, o różowej cerze i kręconych włosach blond, o wielkich niebieskich, naiwnych oczach, który powtarzał z lekkim śródziemnomorskim akcentem (jego rodzice byli urzędnikami państwowymi, a on urodził się w Tarascon):

— Oczywiście, że trzeba iść, i to jeszcze tej nocy! Niedaleko stąd, w lesie Sainte, stoi wojsko... Wystarczy wziąć rowery i pojechać..,

— René — zajęczały ciotki, czepiając się chłopca. — René, dziecko, pomyśl o matce!

— Niech ciocia da spokój, to nie jest sprawa kobiet — odpowiedział, odpychając je, a na uroczej twarzy pojawił się rumieniec zadowolenia, był dumny ze swego argumentu.

Patrzył na Huberta, który stał przy oknie, ponury i zdecydowany.

Podszedł do niego i szepnął mu do ucha:

— Jedziemy?

— Oczywiście — odpowiedział cichutko Hubert i po chwili dodał: — O północy przy wyjeździe z miasteczka.

Ukradkiem uściśnieli sobie ręce. Kobiety wokół nich mówiły wszystkie naraz, błagając, by zrezygnowali ze swojego planu, by zachowali na przyszłość swoje tak cenne życie, by mieli litość nad rodzicami. W tym momencie z wyższego piętra dobiegły przeraźliwe krzyki Jacqueline:

— Mamo, mamó, chodź szybko, Albert uciekł!

— Albert? Pani drugi syn? O mój Boże! — przeraziły się stare panny.

— Nic, Albert to kot — uspokoiła je pani Péricand, która była bliska szaleństwa.

Tymczasem powietrze wypełnił głuchy łoskot, w oddali grzmiała armata, naprawdę zewsząd czyhało niebezpieczeństwo! Pani Péricand opadła na krzesło.

— Hubert, posłuchaj mnie. Pod nieobecność ojca ja tu

rzadzę. Jesteś dzieckiem, masz zaledwie siedemnaście lat, twoim obowiązkiem jest zachować życie na przyszłość...

— Na przyszłą wojnę?

— Na przyszłą wojnę — powtórzyła machinalnie pani Péri-cand. — A tymczasem nie pozostaje ci nic innego, jak siedzieć cicho i mnie słuchać. Nic pojedziesz! Gdybyś miał serce, to taki okrutny i głupi pomysł w ogóle by ci nie przyszedł do głowy! Może uważasz, że nie jestem jeszcze dosyć nieszczęśliwa? Czy zdajesz sobie sprawę, że wszystko stracone? Że nadchodzą Niemcy i możesz zostać zabity albo wzięty do niewoli, zanim przejdiesz sto metrów? Zamilcz! Nie mam ochoty z tobą dyskutować, wyjdiesz stąd po moim trupie!

— Mamo, mammo! — nawoływała tymczasem Jacqueline. — Ja chcę Alberta! Niech ktoś go poszuka! Niemcy go zabiorą! Zostanie zbombardowany, ukradną go, zginie! Albert! Albert! Albert!

— Jacqueline, uspokój się, pobudzisz braci!

Wszyscy krzyczeli równocześnie. Hubert z drżącymi wargami oddalił się od tej grupy starych kobiet, niepewnych, gestykulujących, potarganych. Czy one niczego nie rozumieją? Życie miało wymiar dramatu szekspirowskiego, było zachwycające i tragiczne, a one jedynie je pomniejszały. Upadał świat, z którego zostały zgliszcza i ruiny, ale one się nie zmieniały. Istoty niższe, pozbawione zarówno heroizmu, jak i wielkości; pozbawione i wiary, i ducha poświęcenia. Dopasowywały wszystko, czego się tknęły, do swojej nędznej miary. Wielki Boże, spotkać mężczyznę, uścisnąć dłoń mężczyzny, nawet papy! pomyślał Hubert, ale przede wszystkim kochanego, dobrego, wspaniałego Philippe'a. Tak bardzo odczuwał potrzebę obecności brata, że po raz kolejny łzy napływały mu do oczu. Nieustające odgłosy strzałów armatnich niepokoiły go i ekscytowały; jego ciało przebiegały dreszcze, obracał gwałtownie głowę w lewo i w prawo, jak młody wystraszony koń. Ale nic odczuwał strachu. Co to, to nie. Nie bał się. Pieścił ideę śmierci i grał z nią. To byłaby piękna śmierć za tę straconą sprawę. Lepsza niż tkwienie w okopach w czternastym roku. Teraz bito się pod otwartym niebem, w pięknym słońcu czerwca albo w promiennym świetle księżyca.

Mama poszła na górę do Jacqueline, ale przezornie zamknęła drzwi do ogrodu. Walił w nie, potrząsał. Właścicielki zaczęły protestować:

— Niech pan zostawi te drzwi! Już późno. Jesteśmy zmęczone i śpiące. Proszę nam pozwolić spać.

Jedna z nich dorzuciła:

— Drogi przyjacielu, idź się położyć. Z wściekłością wzruszył ramionami.

— Przyjacielu... stara wiedźma! Wróciła matka.

— Jacqueline dostała histerii — wyjaśniła. — Na szczęście noszę w torebce flakon kwiatu pomarańczy. Nie obgryzaj paznokci! Hubercie, denerwujesz mnie! Ułóż się w tym fotelu i śpij.

— Nie chce mi się spać.

— To mnie nie obchodzi. Śpij — poleciła tonem rozkazującym i niecierpliwym, jakby zwracała się do Emmanuela.

Zbuntowany Hubert rzucił się na stary, obity kretonem fotel, który jęknął pod jego ciężarem. Pani Péricand wzniosła oczy do nieba.

— Jaka z ciebie niezdara! Połamiesz ten fotel. Siedź spokojnie.

— Dobrze, mam — zgodził się z pokorą.

— Pamiętałeś, żeby zabrać z samochodu płaszcz nieprzemakalny?

— Nie.

— O czym ty myślisz?

— Przecież nie będzie mi potrzebny. Jest pogoda.

— Jutro może padać.

Pani Péricand wyjęła z torby robótkę. Zastukały druty. Kiedy Hubert był mały, siadywała koło niego, robiąc na drutach, podczas gdy miał lekcję fortepianu. Zamknął oczy i udawał, że śpi. Po jakimś czasie ona też usnęła. Wtedy Hubert wyskoczył przez otwarte okno, pobiegł do szopy, gdzie wstawiono rower, otworzył cichutko bramę i wymknął się na zewnątrz. Wszyscy wokół spali. Działo umilkło. Koty płakały na dachach. Zachwycający kościół z witrażami niebieskimi w świetle księżyca stał pośrodku starego placu, gdzie uchodźcy zaparkowali samo-

chody. Ci, którzy nie znaleźli miejsca w domach, spali w autach albo na trawie. Wybladłe twarze, spocone z niepokoju, nawet we śnie pozostawały napięte i wystraszone. Niektórzy spali tak twardo, że przed nastaniem dnia nic nie zdoła ich obudzić. Widać ich było wyraźnie. Mogli niezauważenie przejść ze snu w śmierć.

Hubert przemknął pomiędzy nimi, przepelniony litością i zdumieniem. Nie czuł zmęczenia, był zbyt podniecony i zapalony do działania. Pomyślał o swojej porzuconej rodzinie ze smutkiem i wyrzutami sumienia, ale to jeszcze bardziej powiększało jego egzaltację. Oto poświęca dla swojego kraju nie tylko własne życie, ale także życie wszystkich najbliższych. Sunął na spotkanie ze swoim przeznaczeniem jak młody bóg obładowany prezentami. W każdym razie sam tak siebie postrzegał. Wyjechał z miasteczka, dotarł do drzewa czereśni i położył się pod nim na trawie. Nagle serce zabiło mu mocniej, pomyślał ciepło o swoim nowym towarzysz, z którym będzie dzielił i sławę, i niebezpieczeństwa. Choć prawie nie znał tego chłopca o jasnych włosach, niezwykle mocno odczuwał łączącą ich więź. Słyszał, że jakiś niemiecki pułk na północy przechodząc przez most, musiał iść po ciałach towarzyszy poległych w boju i że zrobił to, śpiewając „Miałem towarzysza.... Doskonale rozumiał to uczucie czystej, niemal dzikiej miłości. Szukał podświadomie kogoś na miejsce Philippe'a, którego tak bardzo kochał, a który zbyt surowy, zbyt święty, oddalał się od niego, nie kochając już nikogo prócz Chrystusa.

Przez dwa ostatnie lata Hubert naprawdę czuł się bardzo osamotniony, a jakby na złość koledzy w jego klasie byli brutalami lub snobami. Niemal nie zdawał sobie z tego sprawy, ale był również wyczulony na urodę fizyczną, a ten René miał twarz anioła. Czekał na niego. Drżał i podnosił głowę przy każdym szmerze. Do północy brakowało pięciu minut. Przebiegł koń bez jeźdźca. Chwilami pojawiały się dziwne wizje, które przypominały o kłesce i o wojnie, ale poza tym panował spokój. Urwał wysokie źdźbło trawy i skubnął je wargami, potem sprawdził zawartość swoich kieszeni: skórka chleba, jabłko, orzechy, trochę pokruszonego piernika, scyzoryk, niewielki kłębek sznurka, mały czerwony notesik. Na pierwszej stronie

napisał: „Jeśli zginę, proszę zawiadomić mojego ojca, pana Pericand, bulwar Dellscrt 18 w Paryżu, albo matkę...”. Podał adres w Nimes. Przypomniał sobie, że nie odmówił wieczornej modlitwy. Uklęknął na trawie i pomodlił się w intencji rodziny. Wstał z kolan z głębokim westchnieniem. Czuł się w porządku wobec ludzi i wobec Boga. Kiedy się modlił, minęła północ. Teraz trzeba być gotowym do wymarszu. Księżyc oświetlał drogę. Nikt nie nadjeżdżał. Czekał cierpliwie przez pół godziny, potem zaczął się niepokoić. Położył rower w rowie i wyruszył w stronę miasteczka na spotkanie René, który jednak się nie pojawiał. Hubert zawrócił, znowu czekał pod czereśnią, sprawdzając tym razem zawartość drugiej kieszeni: trochę pogniecione papierosy, pieniądze. Wypalił papierosa bez najmniejszej przyjemności. Nie przywykł jeszcze do smaku tytoniu. Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania. Zerwał kwiaty i wyrzucił. Minęła pierwsza, czy to możliwe, żeby René...? Nie, nie, to niemożliwe, żeby nie dotrzymał słowa. Został zatrzymany, może nawet uwięziony przez ciotki. Jemu, Hubertowi, zapobiegawczość matki nie przeszkodziła w ucieczce. Matka pewnie jeszcze śpi, niedługo się obudzi i co wtedy zrobi? Zaczną go szukać. Nie może pozostać tak blisko miasteczka. Ale jeśli nadejdzie René?... Poczeka na niego, póki się nie rozwidni, a o wschodzie słońca wyruszy.

Pierwsze promienie słońca oświetlały drogę, kiedy Hubert zdecydował się pójść do lasu Sainte na zboczu wzgórza. Ostrożnie piał się do góry, zostawił rower i przygotowywał tekst, jaki wystosuje do żołnierzy. Usłyszał głosy, śmiechy, rzenie konia. Ktoś krzyknął. Hubert zatrzymał się, a oddech uwiązał mu w gardle: ten głos krzyczał po niemiecku. Skrył się za drzewo, a kiedy zobaczył całkiem blisko zielony mundur, rzucił się do ucieczki. U podnóża górki pomylił kierunki, pobiegł prosto przed siebie i dotarł do miejscowości, której nie znał. Potem wrócił na główną drogę i znalazł się między autami uciekinierów. Jechały z szaloną, absolutnie szaloną szybkością. Zobaczył, jak wielki szary pojazd zepchnął rurgonetkę do rowu, a kierowca nawet na moment nie zwolnił. Im dalej szedł, tym szybciej płynął potok aut, zupełnie jak na przyśpieszonym filmie. Ujrzał ciężarówkę pełną żołnierzy. Zaczął dawać rozpaczliwe znaki.

Ktoś wyciągnął rękę i wtaszczył go pomiędzy działa i skrzynie, jeszcze zakamuflowane liśćmi.

— Chciałem uprzedzić — zaczął Hubert niepewnym głosem. —  
Widziałem Niemców w lasku niedaleko stąd.

— Oni są wszędzie, mój chłopcze — odpowiedział żołnierz.

— Czy mogę z wami jechać? — zapytał nieśmiało Hubert. — Chciałbym  
(tu głos mu się załamał z emocji), chciałbym się bić.

Żołnierz popatrzył na niego i nic nie odpowiedział. Zdawało się, że tych ludzi nie zdziwią już ani żadne słowa, ani widoki. Hubert dowiedział się, że po drodze zabrali ciężarną kobietę, dziecko ranne podczas bombardowania, które zostało porzucone czy zabłądziło, i psa ze złamaną łapą. Doszedł do wniosku, że zamiarem żołnierzy było wstrzymywanie marszu nieprzyjaciela i w miarę możliwości utrudnienie mu przejścia przez rzekę.

Nie opuszczę ich, pomyślał Hubert. Teraz już nie ma wyjścia, już wpadłem.

Ciężarówkę otaczał rosnący strumień uchodźców, tak że chwilami tkwili w miejscu. Hubert siedział z tyłu ze zwieszonymi nogami. W głowie kłębiło mu się mnóstwo myśli i uczuć, choć w sercu dominowała głęboka pogarda dla całej ludzkości. Kilka miesięcy wcześniej kumple po raz pierwszy namówili go do picia i teraz — odnajdował ten ohydny smak żółci i popiołu, jaki zostawia w ustach kiepskie wino. Był takim grzecznym chłopcem! Świat w jego oczach wydawał się tak prosty i piękny, a ludzie godni szacunku. Ludzie... stado tchórzliwego i dzikiego bydła. Choćby ten René, który namówił go do ucieczki, a sam teraz wygrzewa się pod pierzyną, podczas gdy Francja ginie... Ludzie, którzy odmawiali uchodźcom szklanki wody, noclegu, kazali sobie płacić majątek za jajka; którzy obladowywali swoje samochody bagażami, paczkami, zapasami, nawet meblami, a śmiertelnie zmęczonej kobiecie z dziećmi idącej pieszo z Paryża mówili: „Nie może pani wsiąść... przecież pani widzi, że nie ma miejsca...”. Walizki z beżowej skóry i te wymalowane kobiety na ciężarówce pełnej oficerów; przerażała go taka dawka egoizmu, tchórzostwa i okrucieństwa. A z drugiej strony nie mógł nie dostrzec poświęceń, heroizmu czy dobroci niektórych ludzi. Na przykład Philippe był święty, a ci żołnierze,

którzy obywali się bez jedzenia i picia (oficer zaopatrzeniowy nie wrócił od rana) i mieli się bić za beznadziejną sprawę, byli bohaterami. Wśród ludzi zdarzała się odwaga, altruizm czy miłość, ale już samo to było przerażające, że dobrzy zdawali się skazani. Philippe tłumaczył to na swój sposób. A kiedy mówił, wydawało się, że równocześnie jaśnieje i płonie, jakby oświetlało go światło nieskalanej pochodni. Hubert jednak przeżywał teraz religijny kryzys, a Philippe znajdował się daleko. Niespójny i ohydny świat zewnętrzny przybrał kolory piekła, do którego Jezus nigdy nie zstąpi, bo rozszarpaliby go na sztuki, myślał Hubert. Konwój ostrzelano. Śmierć unosiła się pod niebem i pośpieszała znienacka, spadała z firmamentu z rozpostartymi skrzydłami, ze stalowym dziobem skierowanym na tę długą drżącą nić pełznącą po drodze. Wszyscy rzucali się na ziemię, kobiety kładły się na dzieciach, żeby osłonić je własnym ciałem. Kiedy ogień ustawał, w tłumie pozostawały głębokie bruzdy, niczym łany zboża położone przez burzę czy powalone drzewa, które tworzą wąskie i głębokie okopy. Zaledwie po kilku sekundach ciszy rozlegały się jęki i wołania, jęki, których nikt nie słuchał, wołania, na które nikt nie odpowiadał...

Wsiadano z powrotem do aut zostawionych na poboczu i ruszano w dalszą drogę. Niektóre stały puste z otwartymi drzwiczkami i bagażami na dachu, inne wjechały jednym kołem do rowu, bo kierowca uciekł w popłochu i już na pewno nie wróci. Czasami w samochodzie, pośród zapomnianych pakunków, znajdowano psa, który skomlał, szarpał smycz, albo kota miauczącego wściekle w zamkniętym koszyku.

Gabriel Corte reagował jeszcze jak człowiek z innej epoki: kiedy zrobiono mu krzywdę, najpierw myślał o złożeniu skargi, a dopiero potem o obronie. Ciągnąc za sobą Florence, wyruszył na poszukiwanie mera, żandarmów, prefekta, jakiegokolwiek reprezentanta władzy, który mógłby mu zwrócić utraconą kolację. Ale sytuacja okazała się dość szczególna, ulice opustoszały, domy milczały. Na jakimś skrzyżowaniu natknął się na grupkę kobiet, które zdawały się błądzić bez celu, ale starały się odpowiedzieć na jego pytania.

— Nic nie wiemy, nie jesteśmy tutejsze. Tak samo jak pan, jesteśmy uciekinierkami — usłyszał od jednej z nich.

Leciutki zapach spalenizny unosił się w powietrzu, niesiony łagodnym czerwcowym wiatrem.

Po pewnym czasie zaczęli się zastanawiać, gdzie jest ich samochód. Florence zdawało się, że zostawili go w pobliżu dworca. Gabriel stwierdził, że powinni iść w kierunku mostu. Miasteczko oświetlał spokojny i wspaniały księżyc, ale wszystkie uliczki były do siebie podobne. Takie same szczyty domów, stare kamienie, pochylone balkony, ciemne zaułki.

— Kiepska operowa dekoracja — stękał Corte.

Nawet pachniało tu jak za kulisami, kurzem i nie wiadomo czym z lekką domieszką odległej latryny. Było bardzo gorąco, po czole Gabriela płynął pot. Słyszał nawoływania Florence, która nie mogła za nim nadążyć:

„Poczekaj na mnie! Czekaj, ty nędzny tchórze! Gabrielu, gdzie jesteś?

Nie widzę cię! Gdzie



jesteś? Świnia!". Okrzyki odbijały się od starych murów i wracały echem jak kule: „świnia, tchórz, drań”.

W końcu dogoniła go w okolicach dworca. Rzuciła się na niego, biła, drapała, napluła mu w twarz, a on bronił się z przenikliwym krzykiem. Nikt by się nie domyślił, że w niskim i leniwym głosie Gabriela Corte kryły się tak wibrujące i ostre tony. Głód, strach, wyczerpanie doprowadzały wszystkich do szaleństwa. Nagle zobaczyli opustoszałą ulicę prowadzącą do dworca i zrozumieli, że wydano rozkaz ewakuacji miasta.

Pozostali byli już daleko na moście oświetlonym przez księżyc. Jacyś udęczeni żołnierze siedzieli na bruku w maleńkich grupkach. Jeden z nich, młodzieńcy, blady chłopiec w grubych okularach, wstał z trudem i podszedł, by uspokoić klójącą się parę.

— Spokojnie, proszę pana. Czy pani nie wstyd?

— Ale gdzie są samochody?! — krzyczał Corte.

— Wydano rozkaz i pojechały.

— Kto wydał? Dlaczego? A nasze bagaże? Moje rękopisy! Jestem Gabriel Corte!

— Wielki Boże! Odnajdzie pan te swoje rękopisy. Niech pan zrozumie, że inni stracili znacznie więcej!

— Bałwan!

— Oczywiście, proszę pana, tylko...

— Więc kto wydał ten głupi rozkaz?

— Co do tego, proszę pana... to przyznaję, że wydano bardzo wiele rozkazów, do których można mieć wiele zastrzeżeń. Ale jestem pewien, że odnajdzie pan swoje auto i swoje papiery. Teraz nie możecie tu zostać. Lada chwila wejdą Niemcy. Mamy rozkaz wysadzenia dworca.

— Dokąd mamy iść? — zajęczała Florence.

— Wracajcie do miasta.

— Ale gdzie się podziejemy?

— Miejsca nie zabraknie. Wszyscy wieją — powiedział żołnierz, który podszedł bliżej i stał kilka kroków od Gabriela Corte.

Promienie księżyca rzucały głuche niebieskie światło. Twarz żołnierza była poważna, dwie pionowe bruzdy przecinały pulch-

ne policzki. Dotknął ramienia Gabriela i bez wyraźnego wysiłku skłonił go do zawrócenia.

— No dalej! Mamy dosyć waszego widoku, jasne?! Gabriel miał ochotę rzucić się na żołnierza, jednak pod naciskiem mocnej ręki ugiął się i cofnął o dwa kroki.

— Jesteśmy w drodze od poniedziałku... i jesteśmy głodni...

— Bardzo głodni — westchnęła Florence jak echo.

— Poczekajcie do rana. Jeśli jeszcze tu będziemy, dostaniecie zupę.

Żołnierz w grubych okularach powtórzył swoim miłym, zmęczonym głosem:

— Proszę pana, nie możecie tu zostać. Proszę odejść — mówił, biorąc Gabriela za rękę i lekko go popychając takim gestem, jakim wypycha się z salonu dzieci, żeby już poszły spać.

Florence i Gabriel z powrotem szli przez plac, ale tym razem maszerowali obok siebie, powłócząc zmęczonymi nogami; przeszła im złość, a razem z nią nerwowa energia, która ich podtrzymywała. Byli tak zrezygnowani, że nie mieli siły szukać restauracji. Pukali do różnych drzwi, które się nie otwierały. W końcu opadli na ławkę w pobliżu jakiegoś kościoła.

Florence z grymasem bólu zdjęła buty.

Noc mijała. Nic się nie działo. Dworzec nadal stał na swoim miejscu.

Chwilami na sąsiedniej ulicy słychać było kroki żołnierzy. Raz czy dwa mężczyźni przeszli obok ławki i nawet nie spojrzeli na Florence i Gabriela, skulonych w milczącym mroku. Do ławki dotarł smród zepsutego mięsa, rzeźnie na przedmieściach zapaliły się od bomby.

Florence i Gabriel zasnęli. Kiedy się obudzili, zobaczyli żołnierzy z menażkami. Florence wydała cichutki pisk, żołnierze dali jej miseczkę bulionu i kawałek chleba. Wraz z nastaniem dnia Gabriel odzyskał nieco godności: nie ośmielił się kłócić ze swoją kochanką o odrobinę zupy i skórkę chleba! Florence wolniutko piła bulion. W pewnej chwili przestała i zwróciła się do Gabriela:

— Wypij do końca — zaproponowała. Bronił się.

— Wykluczone, ledwie starczy dla ciebie! Wyciągnęła w jego stronę aluminiową kwaterkę z ciepłym płynem, który pachniał kapustą. Gabriel chwycił naczynie

obiema drżącymi rękami i przyłożył usta do krawędzi, chłepcząc zupełnie wielkimi łykami, niemal nie oddychając. Kiedy skończył, westchnął usatysfakcjonowany.

— Lepiej? — spytał żołnierz.

Rozpoznali w nim tego, który poprzedniego wieczoru wyrzucił ich z dworca, ale światło wstającego dnia zmiękczyło twarz okrutnego centuriona. Gabriel przypomniał sobie, że ma w kieszeni papierosy, i poczęstował żołnierza. Obaj mężczyźni palili przez chwilę w milczeniu, podczas gdy Florence na próżno próbowała włożyć buty na zmęczone nogi.

— Na waszym miejscu starałbym się jak najszybciej zniknąć, bo niewątpliwie Niemcy powrócą. Dziwne, że jeszcze ich tu nie ma. Tyle że już nic muszą się śpieszyć — dodał z goryczą — pójdzie im jak po maśle aż do Bayonne.

— Myśli pan, że wszystko stracone? — spytała nieśmiało Florence.

Żołnierz nie odpowiedział i nagle odszedł. Oni też powoli zaczęli się wlec przed siebie w kierunku przedmieść. Z miasta, które wydawało się opuszczone, wynurzały się teraz niewielkie grupki uciekinierów z bagażami. Odnajdywali się wszędzie i trzymali się razem, tak jak szukają się i łączą zwierzęta rozproszone po burzy. Szli w stronę mostu strzeżonego przez żołnierzy, którzy ich przepuścili. Wśród nich byli też Gabriel i Florence. Nad ich głowami błyszczało czysto lazuruwe niebo, bez najmniejszej chmurki, bez żadnego samolotu. U ich stóp płynęła cudna połyskująca rzeka. Przed sobą widzieli drogę na południe i młody las o świeżych zielonych liściach. Nagle wydało się, że las się przemieszcza i rusza im na spotkanie. Jechały zakamuflowane ciężarówki i niemieckie działa. Corte zobaczył, jak idący przed nimi ludzie podnoszą ręce do góry i zawracają biegiem. W tym samym momencie gdy Francuzi strzelili, odpowiedziały niemieckie karabiny. Wzięci w dwa ognie uchodźcy biegali we wszystkie strony, inni kręcili się w miejscu jakby dotknięci szaleństwem; jakaś kobieta siadła okrakiem na barierze mostu i rzuciła się do rzeki. Florence chwyciła Gabriela za rękę i z krzykiem wbiła w nią paznokcie.

— Wracajmy!

— Ale most wyleci w powietrze! — zawołał Corte.

Wziął ją za rękę i nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl, gorąca i przenikliwa jak błyskawica, że biegną ku śmierci. Przyciągnął do siebie Florence, siłą pochylił jej głowę i ukrył ją pod swoim płaszczem, tak jak zawiązuje się oczy skazańca. Potykając się i przystając, niemal ją niósł. W ten sposób pokonał kilka metrów dzielących ich od przeciwległego brzegu. Chociaż serce waliło mu w piersi jak serce dzwonu, to naprawdę wcale nie czuł strachu. Z dziką zaciętością pragnął ocalić życie Florence. Zaufał jakiejś opiekuńczej ręce wyciągniętej do niego, słabego, nieszczęsnego, małego, tak małego, że los może oszczędzi go, jak burza oszczędza źdźbło słomy. Przeszli przez most, otarli się o Niemców, minęli karabiny i zielone mundury. Droga była wolna, śmierć została za nimi i nagle zobaczyli — nie, nie mylili się, doskonale rozpoznali — tam, na początku leśnej drogi, stał samochód z wierną służbą domową, który na nich czekał. Florence potrafiła jedynie jęknąć: „Julie, Bogu niech będą dzięki. Julie!”. Głosy szofera i pokojówki dobiegały do uszu Gabriela jak ochryple i dziwne dźwięki, które przenikają częściowo przez mgłę omdlenia. Florence płakała. Powoli, z niedowierzaniem, z przebłyskami jasności umysłu, Corte zaczynał rozumieć, że oddano mu samochód, oddano rękopisy, że odzyskiwał życie, że nigdy już nie będzie człowiekiem cierpiącym, wygłodniałym, zarazem odważnym i tchórzliwym, ale istotą uprzywilejowaną i chronioną od wszelkiego zła — Gabrielem Corte!

Hubert wraz ze spotkanymi po drodze żołnierzami dotarł nareszcie na brzeg Allier. Było południe siedemnastego czerwca. Po drodze do żołnierzy dołączyli ochotnicy — stróże porządku publicznego, Sencgalczycy, wojskowi, których rozbite oddziały na próżno próbowały się uformować na nowo i czepiały się każdej wysepki oporu z rozpaczliwą odwagą, niedorostki typu Huberta Pericand oddzielone podczas ucieczki od rodzin lub opuszczające nocą dom rodzinny, by „dołączyć do wojska”. Te magiczne słowa biegły z wioski do wioski, z farmy na farmę. „Dołączymy do wojska, uciekniemy Niemcom, przeformujemy się za Loarą”, powtarzały szesnastoletnie usta. Te dzieciaki niosły na plecach tobołki (resztki podwieczorku z poprzedniego dnia zawinięte pośpiesznie w sweter czy koszulę przez zapłakaną matkę); chłopcy mieli różowe i pucołowate buzie, palce poplamione atramentem, głosy w trakcie mutacji. Trzem towarzyszyli ojcowie, kombatanci z czternastego roku, których wiek, dawne rany i sytuacja rodzinna od września trzymały z dala od ognia. Punkt dowodzenia szefa batalionu ulokowano pod kamiennym mostem w pobliżu przejazdu kolejowego. Hubert naliczył prawie dwustu mężczyzn na drodze i na brzegu. Brak doświadczenia kazał mu uznać, że mocarna armia stoi teraz naprzeciw nieprzyjaciela. Zobaczył, jak na moście układa się tony meliniru; nie wiedział tylko, że nie udało się odnaleźć lontu do ich podpalenia. Żołnierze pracowali bez słowa albo spali na gołej ziemi. Od poprzedniego dnia nie jedli. Pod wieczór

rozdano butelki piwa. Hubert nie był głodny, ale gorzki smak i niezbyt świeża piana jasnego piwa dostarczyły mu uczucia szczęścia. To było potrzebne, by dodać sobie odwagi. W istocie zdawało się, że on sam nikomu nie jest potrzebny. Kiedy chodził od jednego do drugiego, proponując swoje usługi, to albo mu nie odpowiadano, albo nawet nie spoglądano na niego. Widział, jak dwaj żołnierze ciągną w stronę mostu słomę i chrust, trzeci toczy przed sobą beczkę smoły. Hubert schwycił wielką gałąź, ale tak niezdarnie, że igły pokaleczyły mu dłonie, aż krzyknął z bólu. Sądził, że nikt tego nie zauważył, ale chwilę później mało nie umarł ze wstydu, bo kiedy już cisnął swój ciężar na most, jeden z żołnierzy zawołał:

— Co tu robisz, do cholery? Nic widzisz, że przeszkadzasz? Nie? Głęboko dotknięty Hubert odszedł. Stojąc nieruchomo na drodze do Saint-Pourçain twarzą do rzeki Allier, obserwował wykonanie zadania, które wydawało mu się niezrozumiałe: słoma i gałęzie polane smołą zostały umieszczone na moście obok pięćdziesięciolitrowego pojemnika z benzyną. Liczono, że ta zaporę powstrzyma siły nieprzyjaciela, a tymczasem strzał z działa kalibru 75 powinien zdetonować melinit. Reszta dnia upłynęła podobnie, potem noc i cały następny ranek: godziny puste, dziwne, niespójne jak majaczenie w gorączce. Nadal bez jedzenia i bez picia. Nawet twarze młodych wieśniaków traciły świeżość; żołnierze, pobladli z głodu, czarni od kurzu, nieuczesani, z błyszczącymi oczami, nagle wydawali się starsi, więksi, robili wrażenie zaciętych, obolałych i twardych.

O drugiej na przeciwległym brzegu pojawili się pierwsi Niemcy. Była to zmotoryzowana kolumna, która tego samego ranka przejechała przez Paray-le-Monial. Hubert patrzył z otwartymi ustami, jak wpadają na most z niesłychaną szybkością, jak dzika i wojownicza błyskawica przelatująca przez spokojną wieś. Trwało to ledwie chwilę: wystrzał z działa wysadził tony melinitu tworzące zaporę. Do Allier wpadły fragmenty mostu, maszyn i jadących na nich mężczyzn. Hubert zobaczył przed sobą biegnących żołnierzy.

W porządku! Ruszamy do ataku, pomyślał i poczuł zimno na

skórce. W gardle zaschło mu dokładnie tak samo jak w dzieciństwie, kiedy słyszał na ulicy pierwsze akordy wojskowej orkiestry. Rzucił się do przodu i nadział się na słomę i gałęzie, które właśnie podpalono. Usta i nozdrza wypełnił mu czarny dym zapalonej smoły. Zza tej ochronnej kurtyny karabiny maszynowe zatrzymywały niemieckie czołgi. Dusząc się, kaszląc i kichając Hubert uskoczył kilka kroków do tyłu. Był zrozpaczony. Nie miał broni. Nic nie mógł zrobić. Toczyła się bitwa, a on stał z założonymi rękami, beczynny, niepotrzebny. Trochę pocieszał się myślą, że wokół niego nie reagowano na ogień nieprzyjaciela.

Przypisywał to jakimś wyższym racjom taktycznym, póki nie zrozumiał, że ludzie po prostu nie mają amunicji. A jednak, mówił sobie, skoro kazano nam tu zostać, to znaczy, że jesteśmy niezbędni, użyteczni, że chronimy, kto wie, może nawet całość francuskiej armii. Zdawało mu się, że lada moment pojawią się nowe oddziały atakujące nieprzyjaciela na drodze do Saint-Pourcain z okrzykami wojennymi typu: „Jesteśmy, nie martwcie się! Teraz im pokażemy!”. Ale nikt nie przybywał. Obok zobaczył żołnierza z zakrwawioną głową, który szedł niepewnie jak pijany, aż wreszcie padł w gęste zarośla i siedział wśród gałęzi w dziwacznej i niewygodnej pozycji z brodą na piersi i nogami podkurczonymi pod siebie. Usłyszał wściekły okrzyk jakiegoś oficera: — Nie ma lekarza ani sanitariusza! Co mamy zrobić? Ktoś odpowiedział: — Tu w ogródku też jest jeden ranny. — Co z nim zrobić? — powtórzył oficer. — Zostawcie go. Od pocisków zapaliła się część miasteczka. W cudownym świetle czerwca płomienie zdawały się przezroczyste i różowe, a długa kolumna dymu wzbijała się w niebo jak pióropusz przetykany złotem promieni słonecznych z błyskami w kolorze siarki i popiołu. — Chłopaki odchodzą — powiedział do Huberta jakiś żołnierz, pokazując obsługę działka schodzącą z mostka. — Dlaczego? — zawołał skonsternowany Hubert. — To już nie będą się bić? — A niby czym? To klęska, westchnął w myślach Hubert. Porażka! Obserwuję

wielką klęskę, gorszą niż Waterloo. Wszyscy jesteście zgubieni, nie zobaczę już ani mamy, ani nikogo z rodziny. Umrę. Poczuję się zgubiony, obojętny na wszystko, straszliwie zmęczony i zrozpaczony. Nie słyszał, by wydano rozkaz odwrotu. Widział mężczyzn biegnących pod kulami karabinów, sam też rzucił się do ucieczki, przeskoczył przez płot do ogródka, w którym walał się dziecinny wózek. Bitwa jednak się nie skończyła. Broniono jeszcze — bez czołgów, bez artylerii, bez amunicji — kilku metrów kwadratowych ziemi, przyczółka mostu, podczas gdy ze wszystkich stron zalewali Francję zwycięscy Niemcy. Hubert nagle poczuł rozpaczliwy kryzys odwagi, podobny do szaleństwa. Uznał, że ucieka, a przecież jego obowiązkiem jest ruszyć z powrotem w stronę ognia, w stronę karabinów maszynowych, które uparcie odpowiadały niemieckim pistoletom maszynowym, i umrzeć razem z nimi. I znowu, ryzykując życie w każdej sekundzie, przebiegł przez ogródek, gniotąc pod nogami rozrzucone zabawki. Gdzie byli mieszkańcy tego niewielkiego domu? Czy uciekli? Pod salwą kul przeskoczył metalowy płot i znalazłszy się na drodze, zaczął pełzać, kalecząc sobie dłonie i kolana, w stronę rzeki. Nie dałby rady do niej dotrzeć, gdyby nagle, w połowie drogi, wszystko nie umilkło. Zorientował się, że jest noc i że chyba stracił przytomność ze zmęczenia. To właśnie ta dziwna, niezwykła cisza sprawiła, że oprzytomniał. Usiadł. Pusta głowa dzwoniła jak dzwon. Drogę oświetlały wspaniałe promienie księżyca, ale Hubert znalazł się w cieniu drzewa. Dzielnica Villars nadal płonęła, strzelanina ucichła. Zboczył z drogi, bojąc się spotkania z Niemcami, i przeszedł przez niewielki lasek. Chwilami przystawał, zastanawiając się, dokąd pójść. Zmotoryzowane kolumny, które w ciągu pięciu dni zalały połowę Francji, jutro znajdą się niewątpliwie na granicach z Włochami, Szwajcarią, Hiszpanią. Nie wymknie się im. Zapomniał, że nie ma munduru i że nic nie świadczy o jego udziale w bitwie. Nie wątpił, że zostanie wzięty do niewoli. Uciekał kierowany tym samym instynktem, który zaprowadził go na miejsce starć, a który teraz odciągał go jak najdalej od tego pożaru, zniszczonych mostów, od tych snów, w których po raz pierwszy w życiu zobaczył z bliska trupy.



Gorączkowo obliczał trasę, jaką Niemcy zdołają przebyć do rana. Wyobrażał sobie miasteczka poddające się kolejno, pokonanych żołnierzy, porzuconą broń, ciężarówki zostawione na drodze z braku paliwa, czołgi, działa przeciwlotnicze, których modele tak podziwiał, cały ten łup w rękach wroga! Drżący i zapłakany posuwał się na czworakach po polu oświetlonym blaskiem księżyca, choć nadal nie mógł uwierzyć w klęskę. W ten sposób młoda i zdrowa istota odpycha myśl o śmierci. Żołnierze spotkają się trochę dalej, przegrupują się, znowu podejmą walkę, a on razem z nimi. On... z nimi... Ale co ja robię?, zastanowił się nagle. Przecież nie oddałem nawet jednego strzału. Tak bardzo się zawstydził, że z oczu znowu popłynęły mu łzy, piekące i bolesne. To nie moja wina, nie miałem broni, miałem tylko ręce. Zobaczył siebie ciągnącego gałęzie w stronę rzeki. Tak, nawet tego nie potrafił, chociaż chciał pobiec na most, pociągnąć za sobą żołnierzy, rzucić się na nieprzyjacielskie czołgi i umrzeć z okrzykiem: „Niech żyje Francja”. Był pijany zmęczeniem i rozpaczą. Chwilami w jego głowie pojawiały się zadziwiająco dojrzałe myśli: zastanawiał się nad klęską, nad jej najgłębszymi przyczynami, nad przyszłością, nad śmiercią. Potem zastanawiał się nad samym sobą, nad tym, co z nim będzie, i powoli wracało mu poczucie rzeczywistości: „Jak bardzo mi będzie brakowało mamy, nie do wiary!”, wyszeptał, a jego pobladłą, ściągniętą twarz, postarzałą i wychudłą w ciągu dwóch dni, rozjaśnił na sekundę dobry uśmiech dziecka, naiwny i szczery.

Między polami odnalazł dróżkę prowadzącą gdzieś w dal. Tutaj nic nie mówiło o wojnie. Płynęły strumyki, śpiewał słowik, zegar wydzwaniał godziny, wszędzie rosły kwiaty, na drzewach świeże zielone liście. Poczuł się lepiej, kiedy zanurzył ręce i usta w strumieniu i napił się wody ze zwiniętej dłoni. Rozpaczliwie szukał owoców na gałęziach. Doskonale wiedział, że to nie ta pora roku, ale w jego wieku jeszcze wierzy się w cuda. Na końcu dróżki znowu zobaczył szosę. Przeczytał na kamieniu: „Cressange, dwadzieścia dwa kilometry”, i zatrzymał się nie-zdecydowany, po chwili zobaczył farmę i po bardzo długim wahaniu zapukał w okiennicę. Usłyszał kroki we wnętrzu domu. Zapytano, kim jest. Kiedy odpowiedział, że zabłądził i chce mu

się jeść, wpuszczono go. Zastał tam trzech śpiących żołnierzy francuskich. Poznał ich. Bronili mostu w Moulins. Teraz chrapali rozłożeni na ławach, twarze mieli wynędzniałe i zasmolone, głowy odrzucili do tyłu, jakby byli nieboszczykami. Czuwała nad nimi kobieta robiąca na drutach, a na leżący na podłodze kłębek wełny polował kot. Było to zarazem tak znajome i tak niezwykle po wszystkim, co Hubert od tygodnia oglądał, że usiadł, niemal nie mogąc utrzymać się na nogach. Na stole leżały hełmy żołnierzy zwieńczone liśćmi, żeby nie odbijały światła księżyca. Jeden z mężczyzn się obudził, oparł się na łokciu.

— Widziałeś ich, chłopcze? — spytał głosem głuchym i chrapliwym. Hubert zrozumiał, że chodzi o Niemców.

— Nie, nie — wyjaśnił szybko. — Od Moulins nie widziałem ani jednego.

— Wygląda na to — powiedział żołnierz — że już nawet nie biorą jeńców. Mają za dużo. Rozbrajają ich i puszczają w cholere.

— Chyba tak — zgodziła się kobieta.

Zapanowało milczenie. Hubert jadł; postawiono przed nim talerz zupy i ser. Kiedy skończył, zapytał żołnierza:

— Co teraz zrobicie?

Drugi żołnierz otworzył oczy. Dyskutowali. Jeden chciał iść do Cressange, drugi oponował:

— Po co? Oni są wszędzie, wszędzie. — Miał przygaszony głos i rozglądał się wokół wzrokiem zboliałym i wylęknionym jak zaniepokojony ptak.

Rzeczywiście zdawało mu się, że wszędzie widzi wokół siebie Niemców, gotowych go pojmać. Od czasu do czasu wybuchał gorzkim i urywanym śmiechem.

— Mój Boże! Przeżyć czternasty rok i zobaczyć coś takiego...

Kobieta spokojnie robiła na drutach. Była bardzo stara. Miała na głowie biały karbowany czepek.

— Ja pamiętam rok siedemdziesiąty. Wtedy... — wymamrotała.

Hubert słuchał ich i obserwował z przerażeniem. Wydawali

mu się niezupełnie realni, podobni do zjaw, do jęczących cieni ze stron szkolnej historii Francji. Mój Boże! Czas teraźniejszy i jego klęski były więcej warte niż owa martwa chwała i ten odór krwi dochodzący z przeszłości. Hubert wypił filiżankę bardzo czarnej i bardzo gorącej kawy, odrobinę alkoholu, podziękował kobiecie, pożegnał się z żołnierzami i ruszył w drogę, zdecydowany dotrzeć rano do Cressange. Stamtąd może uda mu się skontaktować z rodziną i uspokoić ją, że żyje. Maszerował do siódmej i doszedł do małego miasteczka oddalonego kilka kilometrów od Cressange. Znalazł się przed hotelem, z którego dobiegały wspaniałe zapachy kawy i świeżego chleba. Hubert poczuł, że nie ma siły iść dalej, że nogi już go nie poniosą. Wszedł do pomieszczenia oberży wypełnionego uchodźcami. Zapytał, czy znajdzie pokój. Nikt nie umiał mu odpowiedzieć. Wy tłumaczono mu, że właścicielka poszła poszukać jedzenia dla całej tej wygłodniałej gromady i że wkrótce wróci. Hubert wyszedł na ulicę i w oknie pierwszego piętra zobaczył kobietę, która robiła makijaż. Szminka wypadła jej z ręki prosto do stóp Huberta, który pośpieszył ją podnieść. Kobieta wychyliła się z okna, zobaczyła Huberta i uśmiechnęła się do niego.

— Co muszę zrobić, żeby dostać to z powrotem? — zapytała. I wystawiła za okno gołe ramię, białą dłoń. Lakierowane paznokcie lśniły w słońcu, w oczy Huberta wpadały drobne błyskawice. To mlecznobiałe ciało, te rude włosy raniły go jak zbyt jaskrawe światło. Pośpiesznie spuścił oczy i wymamrotał:

— Ja., mogę pani przynieść.

— Więc proszę to zrobić.

Znów się uśmiechnęła. Hubert wszedł do budynku, przeszedł przez kawiarnię, wspinał się na górę po czarnych schodkach i zobaczył otwarte drzwi do różowego pokoju. Słońce przeświecało przez nędzną czerwoną zasłonę, całe pomieszczenie wypełniał ciepły, żywy półmrok, chwilami karmazynowy jak krzew róży. Kobieta skinęła na Huberta, teraz polerowała paznokcie. Wzięła szminkę, popatrzyła na chłopca.

— Ależ on zaraz zemdleje!

Hubert czuł, że wzięła go za rękę, że pomogła mu pokonać

odległość dwóch kroków dzielącą go od fotela, że podsunęła mu pod głowę poduszkę. Jednak nie stracił przytomności, serce biło mu bardzo mocno. Wokół niego wszystko się poruszało, jakby cierpiał na morską chorobę, wpadał w olbrzymie fale na przemian lodowate i parzące.

Był onieśmielony, ale dosyć dumny z siebie. Kiedy kobieta zapytała:

— Zmęczony? Głodny? Co się stało, mój biedny chłopcze? —

odpowiedział przesadnie drżącym głosem:

— To nic... tylko szedłem aż z Moulins, gdzie broniliśmy mostu.

Kobieta przyglądała mu się zaskoczona.

— A ile masz lat?

— Osiemnaście.

— Ale nie jesteś żołnierzem?

— Nie, podróżowałem z rodziną. Zostawiłem ich. Dołączyłem do oddziału.

— To bardzo dobrze.

Chociaż mówiła tonem pełnym podziwu, zgodnie z jego oczekiwaniami, z niewiadomych powodów nagle się zarumieniła. Z bliska nie wydawała się młoda. Na lekko uszminekowanej twarzy widać było drobne zmarszczki. Była bardzo szczupła, bardzo elegancka, miała wspaniałe nogi.

— Jak się nazywasz? — zapytała.

— Hubert Pericand.

— Czy Pericand nie jest kustoszem w Muzeum Sztuk Pięknych?

— To mój ojciec.

Nie przerywając rozmowy, kobieta wstała i podała mu filiżankę. Właśnie skończyła śniadanie i na stole stała jeszcze taca z do połowy opróżnionym dzbankiem kawy, dzbanuszką śmietanki i grzankami.

— Nie jest bardzo ciepła, ale proszę wypić, dobrze ci zrobi. Posłuchał.

— Na dole jest takie zamieszanie z tymi uchodźcami, że mogłabym

wzywać do jutra, i tak nikt by nie przyszedł. Oczywiście idziesz z Paryża?

— Tak. Czy pani też?

— Tak. Jechałam przez Tours, gdzie przeżyłam bombardowanie. Teraz chcę jechać do Bordeaux. Sądzę, że Operę ewakuowano do Bordeaux.

— Pani jest aktorką? — spytał z uszanowaniem Hubert.

— Tancerką. Arlette Corail.

Hubert widział tancerki jedynie na scenie teatru Chatelet. Jego zaciekawiony i pożądlivy wzrok instynktownie przeniósł się na smukłe kostki i muskularne łydki w obcisłych lśniących pończochach. Był niezwykle poruszony. Jasny kosmyk spadł mu na oczy. Kobieta łagodnie odgarnęła go dłonią.

— A ty dokąd się teraz udajesz?

— Nie wiem — przyznał Hubert. — Moja rodzina zatrzymała się w jakiejś dziurze trzydzieści kilometrów stąd. Chętnie bym do niej dołączył, ale tam już pewnie są Niemcy.

— W każdej chwili oczekuje się ich tutaj.

— Tutaj?

Wykonał gest przerażenia i zerwał się do ucieczki. Zatrzymała go ze śmiechem.

— Nic ci nie robią. Takiemu dzieciakowi...

— Jednak się biłem — protestował urażony.

— Oczywiście, ale przecież nikt im o tym nie powie, prawda?

Zastanawiała się, leciutko marszcząc brwi.

— Posłuchaj. Zrobimy tak. Zejdę na dół i poproszę o pokój dla ciebie.

Znają mnie tutaj. To małe hotel, ale kuchnia jest wspaniała, więc spędziłam tu kilka weekendów. Dadzą ci pokój syna, którego wzięto do wojska. Odpoczniesz dzień lub dwa i będziesz mógł skontaktować się z rodzicami.

— Nie wiem, jak pani dziękować — wyszeptał. Zostawiła go samego.

Kiedy po jakimś czasie wróciła, spał.

Chciała mu wygodniej ułożyć głowę, objęła więc jego szerokie bary i tors unoszący się w rytm spokojnego oddechu. Przyglądała mu się uważnie, znowu odgarnęła złote włosy, które bezładnie opadły na czoło, patrzyła na niego z miną zamyśloną i łakomą, jak kotka obserwująca ptaka, i westchnęła:

— Całkiem ładny jest ten mały...

Miasteczko czekało na Niemców. Niektórzy mieszkańcy na myśl o zobaczeniu po raz pierwszy zwycięzców odczuwali rozpaczliwy wstyd; inni niepokój, ale wielu czuło jedynie nerwową ciekawość, z jaką przyjmuje się zapowiedź zadziwiającego i nowego spektaklu.

Poprzedniego dnia urzędnicy państwowi, żandarmi, pracownicy poczty otrzymali rozkaz wyjazdu. Mer pozostał. Był to stary wieśniak cierpiący na podagrę, na ogół tak spokojny, że niełatwo było wyprowadzić go z równowagi. Miasteczko zostałooby bez szefa, co bynajmniej by mu nie zaszkodziło! W południe w hałaśliwej jadalni, gdzie Arlette Corail właśnie skończyła obiad, zjawili się podróżni z wiadomością o zawieszeniu broni. Kobiety wybuchwały płaczem. Mówiono, że sytuacja jest niejasna, gdzieś tam żołnierze jeszcze stawiają opór, dołączają do nich cywile; zgodnie to potępiano, bo wszystko już stracone i nie pozostaje nic innego jak ustąpić. Wszyscy mówili jednocześnie. Dawał się odczuć brak powietrza. Arlette odsunęła talerz i wyszła do niewielkiego hotelowego ogródka. Wzięła z sobą papierosy, leżak, książkę. Przed tygodniem wyjeżdżała z Paryża w stanie paniki bliskim szaleństwa, jednak po przeżyciu chwil grozy odnalazła swój zwykły chłód i opanowanie; co więcej, zdobyła pewność, że w każdych okolicznościach potrafi jak nikt zapewnić sobie maksymalną wygodę i komfort. Zręczność, przenikliwość, rezerwa to były cechy bardzo przydatne w karierze i w życiu uczuciowym, jednak dotychczas nie domyślała się, że przy-

dadzą się także w życiu codziennym czy w sytuacjach wyjątkowych. Na myśl o tym, że błagała Corbina o opiekę, uśmiechała się teraz z politowaniem. Gdy dojechali do Tours, rozpoczęło się bombardowanie miasta; waliza Corbina z rzeczami osobistymi i papierami banku znalazła się w gruzach, podczas gdy Arlette wyszła z katastrofy, nie tracąc nawet chusteczki do nosa, jednej szminki czy pary butów. Widziała twarz Corbina wykrzywioną strachem i ze złośliwą satysfakcją myślała, że nigdy nie da mu zapomnieć tych chwil. I jeszcze ta jego szcząka, która opadła jak u nieboszczyka; miało się ochotę podać mu chusteczką do jej podwiązania. Żalotne! Zostawiła go w Tours, nie bacząc na zamieszanie, wzięła samochód, zdobyła benzynę i wyjechała. Od dwóch dni przebywała w tym miasteczku, gdzie dobrze spała, dobrze jadła, podczas gdy żalotne tłumy koczowały w stodołach i na placu. Mogła sobie nawet pozwolić na luksus dobroczynności, oddając swój pokój temu uroczemu chłopcu, małemu Pericand... Pericand? Była to mieszczańska rodzina, bezbarwna, szacowna, bardzo zamożna, ciesząca się wspaniałymi koneksjami zarówno w oficjalnym świecie ministerialnym, jak i najwyższych sferach przemysłowych dzięki związkom z klanem Maltet z Lyonu... Koneksje... Westchnęła ze znużeniem, myśląc o tych wszystkich znajomościach, które teraz trzeba będzie zrewidować, i o wysiłku, jaki włożyła niedawno w uwiedzenie Gerarda Salomona-Wormsa, szwagra hrabiego de Furieres. Zupełnie niepotrzebna konkieta, która kosztowała wiele zachodu i czasu.

Arlette zmarszczyła lekko brwi i przyglądała się swoim paznokciom. Widok tych dziesięciu błyszczących lusterek zdawał się usposabiać ją do abstrakcyjnych rozważań. Jej amanci wiedzieli, że kiedy wpatrywała się w swoje ręce z wyrazem zadumy i nieżyczliwości, kończyło się to na wyrażeniu opinii w takich sprawach jak polityka, sztuka, literatura i moda, a jej opinie zazwyczaj były przenikliwe i słuszne. Przez kilka chwil, siedząc w tym ukwieconym ogródku, tancerka wyobrażała sobie przyszłość, podczas gdy trzmiele wokół niej oblatywały krzaczek amarantowych dzwoneczków. Doszła do wniosku, że dla niej nic się nie zmieni. Na jej majątek składały się klejnoty — które

mogą jedynie nabrać wartości — i nieruchomości, przed wojną bowiem dokonała kilku udanych zakupów na Południu. Zresztą były to tylko akcesoria. Jej najważniejszym dobrem były nogi, sylwetka, umiejętność intrygowania, a temu zagrażał jedynie czas. I w tym był cały szkopuł... Przypomniała sobie swój wiek i w tej samej chwili, tak jak dotyka się amuletu, by odegnać zły los, wyciągnęła z torebki lusterko i uważnie przyjrzała się swojej twarzy. Przyszła jej do głowy nieprzyjemna myśl: używała amerykańskiego różu, niezastąpionego. Za kilka tygodni niełatwo będzie go dostać. To jej zepsuło humor. Cóż, wszystko zmieni się na powierzchni, ale w głębi pozostanie nienaruszone. Pojawią się nowobogacy i jak zwykle po każdym kataklizmie mężczyźni gotowi zapłacić bardzo wiele za własne przyjemności, ponieważ pieniądze zdobyli bez trudu, a miłość i tak pozostanie taka sama. Ale, mój Boże, niech to całe zamieszanie jak najszybciej się skończy! Niech rozpocznie się jakieś życie, obojętne jakie. To wszystko, cała ta wojna, rewolucje, wielkie wstrząsy historii mogły ekscytować mężczyzn, ale kobiety... Och, kobiety to nudziło. Nie wątpiła, że wszystkie myślą tak samo jak ona, te wielkie słowa i wielkie uczucia były nudne nie do wytrzymania, mogły wywołać tylko ziewanie! Mężczyźni... trudno powiedzieć... te proste istoty pod pewnymi względami były całkiem niezrozumiałe, ale kobiety co najmniej na pięćdziesiąt lat wyleczyły się ze wszystkiego, co nie było codziennością... Podniosła głowę i zobaczyła właścicielkę hotelu wychyloną z okna i patrzącą ciekawie.

— Co tam pani widzi, pani Goulot? — spytała. Kobieta odpowiedziała głosem uroczystym i drżącym.

— Panienko, to oni... przyszli.

— Niemcy?

— Tak.

Tancerka miała ochotę wstać i podejść do płotu, skąd widać było ulicę, ale bała się, że tymczasem ktoś zajmie jej leżak i miejsce w cieniu, więc się nie ruszyła.

To jeszcze nie byli Niemcy, to był jeden, pierwszy Niemiec. Jego przyście obserwowało całe miasteczko zza zamkniętych drzwi, ze szpar w na pół opuszczonych roletach czy z okienka na strychu. Zatrzymał motocykl na opustoszałym placu, był



w rękawiczkach i w zielonym mundurze; kiedy podniósł głowę, pod klapą hełmu widać było twarz szczupłą, różową, niemal dziecięcą. „Jaki młody!”, szeptały kobiety. Nieświadomie przygotowane były na jakąś apokaliptyczną zjawę, na jakiegoś dziwnego i przerażającego potwora. Niemiec rozglądał się wokół, jakby czegoś szukał. Wtedy właściciel trafiki, który walczył w 1914 i nosił medal wojenny w klapie wyświechtanej szarej marynarki, wyszedł ze swojego sklepu i ruszył na nieprzyjaciela. Przez moment obaj mężczyźni zastygli w bezruchu, stojąc w milczeniu twarzą w twarz. Po czym Niemiec pokazał papierosa i łamaną francuszczyzną poprosił o ogień. Sklepikarz odpowiedział łamaną niemczyzną, bo brał udział w osiemnastym roku w okupacji Moguncji. Panowała taka cisza (całe miasteczko wstrzymało oddech), że słyhać było każde ich słowo. Niemiec zapytał o drogę. Francuz mu odpowiedział, a potem odważył się spytać;

— Czy zawieszenie broni podpisane? Niemiec rozłożył ręce.

— Jeszcze nie wiemy. Mamy nadzieję.

Rezonans tych słów, tego gestu, które dowodziły, że nie chodzi o jakiegoś potwora o odmiennej krwi, tylko zwykłego żołnierza, przełamał nagle lody między miasteczkiem a nieprzyjacielem, między chłopem a najeźdźcą.

— Nie wygląda na niegodziwca — poszeptywały kobiety. Uśmiechając się, podniósł rękę do hełmu, ale nie sztywno, raczej gestem niepewnym i jakby niedokończonym, nie było to czyste pozdrowienie wojskowe, ale też niezupełnie takie, jakim jeden cywil żegna drugiego. Obrzucił zamknięte okna szybkim zaciekawionym spojrzeniem. Motocykl ruszył i zniknął. Wtedy zaczęły się otwierać wszystkie drzwi, całe miasteczko wyległo na plac i otoczyło sklepikarza, który stał nieruchomo z rękami w kieszeniach i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w dal. Na jego twarzy malowały się sprzeczne odczucia: ulga, że nic się nie wydarzyło; smutek i złość, że skończyło się w ten sposób, wspomnienia z przeszłości, strach przed przyszłością. Te wszystkie uczucia zdawały się znajdować potwierdzenie w wyrazie twarzy innych ludzi. Kobiety ocierały oczy pełne łez, milczący mężczyźni mieli twarze zacięte i twarde. Dzieci,

na chwilą oderwane od swoich zabaw, wróciły teraz do piłek czy gry w klasy. Niebo błyszczało srebrzystoświećcie, jak to się często zdarza w środku pięknego dnia; niedostrzegalna mgiełka, leciutka i opalizująca unosiła się w powietrzu wraz ze wszystkimi świeżymi kolorami czerwca, które zdawały się bogatsze i słodsze od tych, jakie tworzą się w wodzie. Godziny mijały spokojnie. Na drodze było mniej aut. Rowery pędziły jeszcze na pełnej szybkości jakby niesione wściekłym wiatrem, który od tygodnia wiał z północnego wschodu i niósł z sobą te nieszczęsne istoty ludzkie. Trochę później — zadziwiający spektakl — pojawiło się kilka samochodów jadących w kierunku przeciwnym niż obowiązujący w ciągu ostatniego tygodnia; te samochody wracały do Paryża. Na ten widok ludzie naprawdę uwierzyli, że wszystko skończone. Każdy wrócił do siebie. Znowu rozległy się odgłosy zmywania naczyń w kuchniach, lekkie kroki staruszki, która szła nakarmić króliki, słysząc było nawet piosenkę małej dziewczynki pompującej wodę. Psy staczały walki, tarzając się w kurzu.

Był wieczór, cudowny zmierzch, przejrzyste powietrze. Niebieski cień i ostatnie promienie zachodu kładły się piśszczotliwie na różach, a kościelny dzwon wzywał wiernych na modlitwę, kiedy na szosie pojawił się i wzmógł dźwięk nieprzypominający żadnego innego odgłosu z ostatnich dni. Ten głuchy pomruk zdawał się posuwać bez pośpiechu, przytłaczający i nieunikniony. W stronę miasteczka jechały ciężarówki. Tym razem rzeczywiście przybywali Niemcy. Ciężarówki zatrzymały się na placu, wysiedli z nich żołnierze; nadjeżdżały kolejne ciężarówki, i następne, i jeszcze następne. Bardzo szybko cały szary plac, od kościoła aż do merostwa, stał się jedną nieruchomą masą pojazdów o barwie żelaza, na których można było jeszcze zobaczyć jakąś przywiedłą gałąź, pozostałość kamuflażu.

Ilu żołnierzy! Ludzie znowu wyszli na progi domów, milczący, uważni, przyglądali się im, słuchali, na próżno usiłowali policzyć tę rzekę. Niemcy wynurzali się zewsząd, zaludniali place i ulice, bez przerwy pojawiali się następni. Od września miasteczko odwykło od słuchania kroków, śmiechów, młodych głosów. Teraz ogłuszał je, dusił pomruk unoszący się nad

zalewem zielonych mundurów; zapach ludzkiego zdrowia, woń świeżego mięsa, a przede wszystkim dźwięki tego obcego języka. Niemców było wszędzie pełno — w domach, sklepach, kawiarniach. Ich buty stukały na czerwonych płytkach kuchennych podłóg. Domagali się jedzenia, picia. Przechodząc, pieszczotliwie głaskali dzieci. Wykonywali przyjazne gesty, śpiewali, uśmiechali się do kobiet. Ich szczęśliwe miny, upojenie zwycięstwem, rozgorączkowanie, radość połączona z pewnym niedowierzaniem, jakby sami z trudem ogarniali swoją przygodę, to wszystko tworzyło takie napięcie, że pokonani na chwilę zapominali o swoim smutku i urazach. Przyglądali się z rozdziawioną gębą. W niewielkim hoteliku, w pomieszczeniu poniżej pokoju, w którym nadal spał Hubert, rozbrzmiewały krzyki i śpiewy. Niemcy natychmiast zażądali szampana (*Sekt! Nahrung!*), w ich rękach zaczęły strzelać korki. Jedni grali w bilard, inni biegli do kuchni z surowymi kotlecikami w rękę, rzucali je na ogień i smażyły się, wydzielając gęsty dym. Żołnierze wynosili z piwnicy butle z piwem, odsuwając niecierpliwie służącą, która chciała im pomóc; młody człowiek o rumianej twarzy, ze złocistą czupryną sam rozbijał jajka o rant kuchni, w ogrodzie inny żołnierz rwał pierwsze truskawki. Dwaj półnaczy chłopcy zanurzali głowy w wiadrze z zimną wodą wyciągniętą ze studni. Sycili się, napawali wszystkimi dobrodziejstwami ziemi, uniknęli śmierci, byli młodzi, żywi i zwycięscy! Wyrażali swoją oszałamiającą radość szybkimi, pośpieszonymi słowami, kiepską francuszczyznę zwracając się do wszystkich, którzy chcieli ich słuchać, pokazywali swoje buty i powtarzali „my iść, iść, kolegi padać, my zawsze iść”. Brzęk broni, pasów, hełmów dobiegał z dołu. Hubert rejestrował je we śnie, mylił ze wspomnieniami poprzedniego dnia, znowu widział bitwę na moście Moulins. Niepokoił się i wzdychał, odpychał kogoś niewidzialnego; skarżył się i cierpiał. Wreszcie obudził się w nieznanym pokoju. Przespał cały dzień. Teraz przez otwarte okno wpadał blask księżycy w pełni. Hubert poruszył się zadziwiony, przetarł oczy i zobaczył tancerkę, która weszła do pokoju, kiedy spał. Wymamrotał podziękowania i przeprosiny.

— Teraz pewnie jesteś głodny? — spytała. Rzeczywiście, umierał z głodu,

— Ale chyba będzie lepiej zjeść tu u mnie. Tam na dole jest nie do wytrzymania, pełno żołnierzy.

— A, żołnierzy! — odpowiedział, kierując się do drzwi. — Co mówią? Sytuacja się poprawiła? Gdzie są Niemcy?

— Niemcy? Są tutaj. To żołnierze niemieccy. Zaskoczony i przerażony odsunął się od niej gwałtownym ruchem, przypominającym skok ściganego zwierzęcia.

— Niemcy? Nie, to chyba żart!

Szukał innego słowa, powtarzając głosem niskim i drżącym „to żart?”. Arlette otworzyła drzwi: z dołu dobiegł, wraz z gęstym i gryzącym dymem, ten niezapomniany hałas oddziału zwycięskich żołnierzy: krzyki, śmiechy, śpiewy, tupania, uderzenia ciężkich pistoletów w marmurowe blaty stołów, brzęk hełmów ocierających się o metalowe klamry pasów, radosny pomruk tłumu szczęśliwego, rozgorączkowanego, upojonego podbojem. Jak zwycięska drużyna rugby, pomyślał Hubert. Z trudem powstrzymał przekleństwa i łzy. Rzucił się do okna, wyjrzał na zewnątrz. Ulica zaczynała pustoszeć, widać było jedynie czterech mężczyzn, którzy walili pięściami w drzwi każdego mijanego domu i krzyczeli: „Gasić wszystkie światła!”. Potulnie, kolejno gasły lampy. Zostało już tylko światło księżyca, które wydobywało z hełmów i szarych luf karabinów przytłumione niebieskie ogniki. Hubert chwycił obiema rękami zasłonę, gwałtownie przywarł do niej ustami i wybuchnął płaczem.

— Spokojnie, spokojnie — powiedziała kobieta, głaszcząc go po ramieniu z odrobiną litości. — Nic na to nie poradzimy, prawda? Co możemy zrobić? Wszystkie łzy świata niczego nie zmieniają. Nadejdą lepsze dni. Trzeba żyć, żeby ich doczekać, przede wszystkim trzeba żyć, trzeba trwać... Ale ty się dzielnie zachowałeś... gdyby wszyscy okazali taką odwagę... a jesteś jeszcze młodziutki, prawie dziecko!

Pokręcił głową.

— Nie? — spytała ciszej. — Mężczyzna?

Zamilkła. Palce jej lekko drżały, zacisnęła paznokcie na ramieniu chłopca, jakby brała we władanie nową ofiarę i ugnia-

tała ją przed pochwyceniem w zęby i zaspokojeniem głodu. Powiedziała bardzo cicho, zmienionym głosem:

— Nie trzeba płakać. To dzieci płaczą. A ty jesteś mężczyzną. Kiedy mężczyzna jest nieszczęśliwy, doskonale wie, czego szukać...

Czekała na odpowiedź, która nie nadeszła. Chłopiec opuścił powieki, zacisnął obolałe usta, ale marszczył nos i poruszał nozdrzami. Wtedy kobieta sama powiedziała cicho:

— Miłości.

W pokoju, gdzie spały dzieci Péricandów, kot Albert wybrał sobie posłanie. Najpierw wszedł na kocyk w kwiaty w nogach Jacqueline, zaczął go ugniatać i delikatnie gryźć kreton pachnący klejem i owocami, ale wtrąciła się niania i przepędziła go. Jeszcze trzykrotnie udało mu się wskoczyć na to miejsce ruchem bezszelestnym i pełnym wdzięku, ilekroć niania odwróciła się na chwilę, ale w końcu musiał zaprzestać walki i ułożył się w głębi fotela pod szlafrokiem Jacqueline. W pokoju wszyscy spali. Dzieci leżały spokojnie, a niania zdrzemnęła się, odmawiając różaniec. Kot, zastygły w bezruchu, wpatrywał się w błyszczące w świetle księżycy małe paciorki okiem zielonym i nieruchomym; drugie miał zamknięte. Ukrył się pod różowym flanelowym szlafrokiem. Powoli, niezwykle delikatnie wysunął jedną łapkę, potem drugą, wyciągnął je i poczuł, że drżą od górnego stawu, stalowego resoru ukrytego pod miękkim i ciepłym futerkiem, aż do twardych i przezroczystych pazurów. Wziął rozpęd, wskoczył na łóżko niani i długo przyglądał jej się bez ruchu; drgał tylko czubek delikatnego wąsa. Wysunął łapkę i dotknął paciorków różańca; najpierw ledwie nimi poruszał, potem spodobał mu się gładki i chłodny dotyk tych maleńkich i idealnych kuleczek, które kręciły się w jego pazurkach; pchnął je trochę mocniej i różaniec upadł na ziemię. Kot się przestraszył i zniknął pod fotelem.

Chwilę później obudził się Emmanuel i zapłakał. Były otwarte zarówno okna, jak i okiennice. Księżyc oświetlał dachy

miasteczka, dachówki połyskiwały jak rybie łuski. Ogród był pachnący, spokojny, a srebrzyste światło zdawało się ruchliwe jak przezroczysta woda, falowało i opadało łagodnie na drzewa owocowe.

Kot, podnosząc nosem frędzle fotela, patrzył na ten spektakl wzrokiem poważnym, zdziwionym i rozmarzonym. Był to bardzo młody kot, który znał tylko miasto: takie noce czerwcowe czuło się w oddali, czasami odetchnęło się ciepłą i oszołamiającą wonią, ale tutaj zapachy sięgały do wąsów, otaczały go, porywały, przenikały, ogłuszały. Oczy miał półprzymknięte i czuł, jak przebiegają przez niego fale zapachów mocnych i słodkich, jak zapach ostatnich bzów, zapach soków krążących w drzewach, ziemi mrocznej i świeżej, zapach zwierząt, ptaków, kretów, myszy, wszystkich ofiar, piżmowy zapach sierści, skóry, odór krwi... Ziewnął z pożądania i skoczył na parapet okienny. Długo przechadzał się po rynnie. To tutaj wcześniej pochwyciła go energiczna ręka i z powrotem rzuciła na łóżko szlochającej Jacqueline. Ale teraz nie da się złapać. Zmierzył wzrokiem odległość od rynny do ziemi. Jej pokonanie było dla niego igraszką, ale chciał się podnieść we własnych oczach, wyolbrzymiając trudność tego skoku. Starał się zbalansować tył, poruszając nim gwałtownie i zwycięsko, omiótł rynnę długim czarnym ogonem, stulił uszy, skoczył i znalazł się na świeżo skopanej ziemi. Zawahał się przez chwilę, zanurzył nos w ziemię, teraz znalazł się dokładnie w środku, w najgłębszej bruździe, na samym łonie nocy. To tu zbierały się zapachy, między korzeniami a kamieniami, jeszcze nie wywietrzały, nie uniosły się pod niebo, nie rozcieńczyły się w zapachach ludzi. Były wymowne, tajemne, ciepłe. Żywe. Każdy oznaczał jakieś życie ukryte, szczęśliwe, jadalne... Chrabąszcze, myszy, świerszcze i ta mała żabka, której głos wydaje się pełen kryształowych łez. Długie kocie uszy, różowe rożki ze srebrnymi włosami, spiczaste i delikatnie zwinięte do środka jak kwiat powoju, podniosły się: nasłuchiwały cichutkich i mrocznych szmerów, tak delikatnych, tak tajemniczych i tak oczywistych jedynie dla niego: zgniecenie źdźbła słomy w gnieździe, gdzie ptak czuwa nad swoim potomstwem, szelest piór, uderzenia dzioba w korę drzewa, ruch skrzydeł, pazurki myszy leciutko drapiące ziemię aż do głuchej

eksplozji kielkujących ziaren. Złote oczy myszkowały w ciemności: wróble śpiące pod liśćmi, wielki czarny kos, sikorka, samica słowika, samiec całkowicie przebudzony śpiewał i odpowiadał jej w lesie i nad rzeką.

Słysząc było jeszcze inne dźwięki: detonacje wybuchające w regularnych odstępach wznosiły się i rozwijały jak kwiaty, a kiedy umilkły, w miasteczku drżały jeszcze wszystkie szyby, dobiegały trzaski okiennic otwieranych i zamykanych w ciemnościach, słowa pełne niepokoju fruujące w powietrzu z okna do okna. Początkowo kot podskakiwał przy każdym wybuchu z wyprostowanym ogonem, na sierści pokazywały się błyski, wąsy sztywniały z emocji, ale potem przyzwyczał się do tego hałasu, który przybliżał się coraz bardziej i który pewnie mylił mu się z burzą. Wykonał kilka piruetów na grządkach, zawadził łapą różę, która omdlała, czekała tylko na tchnienie, by upaść i umrzeć, jej białe płatki rozsypały się wokół miękkim i pachnącym deszczem. Kot szybko wskoczył na szczyt drzewa; był to skok równie szybki jak skok wiewiórki, kora kruszyła się pod jego pazurami. Przestraszone ptaki wzbily się w górę. Na końcu jednej gałęzi kot wykonał taniec dziki, wojenny, bezczelny i śmiały, szydząc z nieba, ziemi, zwierząt, księżyca. Chwilami otwierał szeroko swój wąski pyszczek, z którego wydobywało się przeraźliwe miauknięcie, prowokujące i przenikliwe wezwanie do wszystkich kotów z sąsiedztwa.

W kurniku i w gołębniku wszyscy mieszkańcy obudzili się z drzeniem, chowano głowy pod skrzydła, czując zapach kamienia i śmierci; niewielka biała kura skoczyła pośpiesznie na cynkowy cebrzyk, przewróciła go i uciekła z przeraźliwym gdakaniem. Ale kot już zeskoczył na trawę, nie ruszał się, czekał. Jego okrągłe, złote oczy świeciły w mroku, rozległ się szmer poruszonych liści. Kot wyłonił się, niosąc w pyszczku nieruchomego ptaszka; wolno zlizywał krew spływającą z rany. Pił tę ciepłą krew z rozkoszą, powieki miał zaciśnięte. Położył pazury na sercu ofiary, to je rozluźniał, to zagłębiał w miękkie ciało, w delikatne kości, ruchem powolnym, rytmicznym, aż serce przestało bić. Zjadł ptaka bez pośpiechu, umył się, obejrzał czubek pięknego futrzanego ogona, gdzie wilgoć nocy zostawiła mokry i błyszczący ślad. Teraz kot poczuł przychylne nasta-



wienie do świata; ryjówka przemknęła mu między łapami, ale jej nie przytrzymał, zadowolił się jedynie pacnięciem w głowę kreta, zostawiając mu krwawy ślad na nosie; o mało go nie zabił, i to wszystko. Obserwował kreta z pogardliwym drganiem nozdrzy, lecz go nie ruszył. Teraz budził się w nim inny głód; poczuł ruch w lędźwiach, podniósł głowę i jeszcze raz miauknął, a miauknięcie to przerodziło się w krzyk, ochrypli i rozkazujący. Na dachu kurnika, przeciągając się w blasku księżyca, pojawiła się stara ruda kocica. Krótka czerwcową noc dobiegała końca, gwiazdy bladły, w powietrzu unosił się zapach mleka i wilgotnej trawy; księżyc ukryty częściowo za lasem pokazywał tylko różowy róg, który zamazywał się we mgle, kiedy kot, rozleniwiony, triumfujący, mokry od rosy, przeżuwiający w zębach źdźbło trawy, wsunął się do pokoju Jacqueline i na jej łóżko, szukając ciepłego miejsca przy jej chudych małych stopach. Mruczał jak czajnik. Chwilę później wyleciała w powietrze prochneria.

Prochownia wybuchła, a ledwie umilkło straszliwe echo eksplozji (powietrze w regionie uległo przemieszczeniu, zadrżały wszystkie okna i drzwi, a niski murek cmentarny się zawalił), kiedy z dzwonnicy wychynał długi, syczący płomień. Odgłos bomby zapalającej złał się z hukiem wysadzonej prochowni. W ciągu sekundy miasteczko stanęło w płomieniach. W szopach było siano, w stodołach słoma, wszystko zapłonęło; zapadały się dachy, pękały stropy; tłum uciekinierów wypadł na ulice; a mieszkańcy pobiegli do wrót obór i stajni, żeby ratować zwierzęta; konie rżały, stawały dęba, przerażone wybuchem i hałasem pożaru; nie chciały wychodzić ze stajni, tłukły głowami i kopytami w rozgrzane mury. Jedna krowa umknęła, niosąc na rogach płonąca wiązkę siana, rozpaczliwie potrząsała głową, wydając ryki przerażenia i bólu; wszędzie fruwały płonące źdźbła. Kwitnące drzewa w ogrodzie oświetlił blask szkarłatny jak krew. W normalnych czasach zorganizowałyby się pomoc. Po pierwszych momentach przerażenia ludzie zaczęli odzyskiwać trochę spokój, ale to nieszczęście po wszystkich dotychczasowych sprawiło, że potracili głowy. Wiedzieli poza tym, że przed trzema dniami straż pożarna otrzymała rozkaz wymarszu wraz z całym sprzętem. Czuli się więc zgubieni. „Gdyby przynajmniej byli tu mężczyźni”, krzyczały wieśniaczki. Ale mężczyźni byli daleko, dzieciaki biegały, krzyczały i swoim zaaferowaniem tylko pogłębiały bałagan. Uciekinierzy wrzeszczeli wniebogłosy. Wśród nich znalazła się

także rodzina Pericand, wszyscy na pół ubrani, z osmalonymi twarzami, potargani. Podobnie jak na drodze po upadku bomby, teraz też wznosiły się i mieszały nawoływania, wszyscy krzyczeli równocześnie — całe miasteczko stało się jednym wielkim okrzykiem — „Jean! Suzanne! Mamo! Babciu!”. Nikt nie odpowiadał. Nieliczna grupka młodych ludzi, którym udało się wyciągnąć swoje rowery z płonących szop, pchała je teraz brutalnie przez tłum. A co dziwniejsze, wszystkim się wydawało, że zachowali zimną krew i postępują dokładnie tak, jak powinni. Pani Pericand niosła na ręku Emmanuela, a Jacqueline i Bernard trzymali się jej spódnicy (Jacqueline udało się nawet wepchnąć kota do koszyka, kiedy matka wyciągnęła ją z łóżka; tulila go nerwowo do piersi). Pani Pericand powtarzała w myślach: „To, co najcenniejsze, uratowane! Bogu dzięki!”. Biżuteria i pieniądze zaszyte w zamszowej torebeczce spoczywały na jej piersi, przypięte od spodu do koszuli; czuła, jak się przemieszczają podczas ucieczki. Miała na tyle przytomności umysłu, by zabrać futro i kuferek ze stołowym srebrem, stojący u wezłowania łóżka. Dzieci były przy niej, trójka dzieci! Chwilami przeszywała ją myśl, gwałtowna i ostra jak błyskawica, o dwóch najstarszych wystawionych na niebezpieczeństwo z dala od niej; o Philippic i tym szaleńcu Hubercie. Ucieczka Huberta bardzo ją przygnębiła, ale równocześnie napawała dumą. Był to czyn nieprzemyślany, świadczący o niezdiscyplinowaniu, a jednak godny mężczyzny. Dla tych dwóch, dla Phillippe'a i Huberta, nic mogła nic zrobić, ale dla trójki młodszych! Poprzedniego wieczoru chyba instynkt ją ostrzegł, pokładła dzieci tylko częściowo rozebrane. Jacqueline nie miała sukienki, ale dzięki kurtce włożonej na gołe ramiona nie marzła; to było lepsze niż nocna koszula; niemowlę owinęła w koc, a Bernard miał nawet beret na głowie. Ona sama, bez pończoch, w czerwonych kapciach na gołych nogach, z zaciśniętymi zębami, tuląc w ramionach dziecko, które choć wystraszone, nie płakało, przepychała się przez ogarnięty paniką tłum, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd zmierza. A tymczasem samoloty, które wydawały jej się niezliczone (były tylko dwa!) przelatywały w tę i z powrotem z tym swoim nieprzyjemnym bzykiem chrabąszcza.

Oby tylko już więcej nas nie bombardowali! Oby tylko nie bombardowali! Oby... Te słowa, ciągle te same, powtarzała w myślach bez przerwy, idąc z opuszczoną głową. Głośno napominała:

— Jacqueline, trzymaj mnie za rękę! Bernardzie, przestań płakać! Nie jesteś dziewczynką! Cicho, maleńki, mamusia jest przy tobie! —

Wymawiała te słowa machinalnie, nie przerywając wewnętrznej modlitwy: „Niech nas już więcej nie bombardują! Boże, niech bombardują innych, nie nas! Mam troje dzieci! Chcę je ocalić! Spraw, żeby nas już nie bombardowali!”.

Wreszcie wyszła z wąskich ulic miasteczka i znalazła się na otwartym terenie. Pożar pozostał w tyle, płomienie układały się wachlarzowato na niebie. Od świtu, kiedy pocisk uderzył w dzwonnice, minęła ledwie godzina. Po drodze nadal jechały bez przerwy auta uciekające z Paryża, z Dijon, Normandii, Lotaryngii, z całej Francji. W samochodach drzemali ludzie. Czasami podnosili głowy i obojętnie spoglądali na płonący horyzont. Tyle już widzieli! Za panią Péricand szła niania, zdawała się oniemiała z przerażenia; poruszała ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Trzymała w ręku swój karbowany czepek z muślinowym wykończeniem, świeżo uprasowany. Pani Péricand obrzuciła ją oburzonym spojrzeniem.

— Naprawdę, nianiu, nie mogła niania zabrać czegoś bardziej użytecznego?

Stara kobieta wykonała szalony wysiłek, żeby coś powiedzieć, twarz jej zsiniała, oczy napełniły się łzami. Boże, pomyślała pani Péricand, teraz ta wariuje! Co ja zrobię? Jednak surowy głos chlebodawczyni w cudowny sposób przywrócił niani zdolność mówienia. Odezwała się swoim zwykłym tonem, uległym i cierpkim zarazem:

— Chyba pani nie myślała, że go zostawię? Darmo tego nie dają! Sprawa czepka stanowiła kość niezgody między nimi, bo niania nie znosiła stroików na głowę, których noszenie jej narzucano — „bardzo twarzowych i odpowiednich dla służby”, bo zdaniem pani Péricand, każda kategoria ludzi powinna nosić jakiś znak określający stan społeczny, podobny do etykiet na towarach w sklepie, żeby umknąć wszelkich mylnych ocen.

„Od razu widać, że to nie ona pierze i prasuje, stara krowa”, mówiła w kuchni niania. Drżącą ręką włożyła ten koronkowy motylek na głowę przystrojoną już w obszerny czepek nocny. Pani Péricand popatrzyła na nią, odniosła przy tym dziwne wrażenie, ale nie uświadamiała sobie dlaczego. Wszystko zdawało się niesamowite. Świat stał się straszliwym snem. Pani Péricand siadła ciężko na zboczu przydrożnego rowu, oddała niani Emmanuela i oświadczyła z wielką energią:

— Teraz trzeba się stąd wydostać.

Ale mówiąc to, bynajmniej nie wstała, jakby oczekiwała cudu. Cud się nie zdarzył, nadjechała tylko furka zaprzęzona w osła. Na widok woźnicy rzucającego spojrzenia z ukosa na nią i na dzieci w pani Péricand odezwał się instynkt, ten szczególny instynkt zrodzony z zamożności, który doskonale wie, gdzie i kiedy jest coś na sprzedaż.

— Proszę się zatrzymać! — zawołała pani Péricand. — Jaka jest najbliższa stacja kolejowa?

— Saint-Georges.

— Ile czasu potrzebuje to zwierzę, żeby tam dojechać?

— No, ze cztery godziny.

— A czy pociągi jeszcze kursują?

— Podobno tak.

— To dobrze. Wsiadam. Bernardzie, chodź. Nianiu, proszę wziąć małego.

— Ale proszę pani, ja nie jadę w tamtą stronę, a tam i z powrotem to mi zabierze osiem godzin.

— Dobrze zapłacę.

Wsiadła na furkę, kalkulując przy tym, że jeśli pociągi jeżdżą normalnie, to nazajutrz rano znajdzie się w Nîmes. Nîmes... stary dom mamy, jej pokój, łazienka; na tę myśl o mało nie zasłabła. Czy znajdzie jakieś miejsce w pociągu? Ale z trójką dzieci zawsze jakoś dojadę, pomyślała. Pani Péricand jako matka licznej rodziny zajmowała wszędzie i zawsze pierwsze miejsce, niczym osoba królewskiej krwi, a nie należała do kobiet, które pozwalały, by ktokolwiek zapomniał o należnych im przywilejach. Skrzyżowała ręce na piersi i spoglądała na okoliczne pola okiem zwycięzcy.

— A co z autem, proszę pani? — jęknęła niania.

— Teraz pewnie został z niego tylko popiół — wyjaśniła pani Péricand.

— A kufry, a rzeczy dzieci?

Kufry jechały furgonetką ze służbą. W chwili kataklizmu zostały już tylko trzy walizy, trzy walizy pełne bielizny...

— Poświęcę je — westchnęła pani Péricand, wznosząc oczy do nieba, widząc przy tym jak w czarownym śnie przepastne szuflady w szafie w Nîmes i leżące w nich skarby z płótna i cieniutkiego lnu..

Niania, która postradała swój wielki kufer z żelaznymi okuciami i torebkę z imitacji świńskiej skóry, zaczęła płakać. Pani Péricand na próżno próbowała jej uświadomić, jak wielką jest niewdzięcznicą wobec Opatrzności.

— Moja biedna nianiu, najważniejsze, że żyjesz, reszta nie ma znaczenia! Osioł człapał. Chłop jechał na skróty, drogami czarnymi od uciekinierów. Dotarli do Saint-Georges o jedenastej i pani Péricand udało się wsiąść do pociągu jadącego w stronę Nîmes. Wokół powtarzano, że zawieszenie broni podpisane. Niektórzy twierdzili, że to niemożliwe, jednak nie słyhać już było dział i nie spadały bomby. Może ten koszmar już się skończył?, zastanawiała się pani Péricand. Jeszcze raz ogarnęła wzrokiem wszystko, co wiozła, „wszystko, co uratowała”: dzieci i kuferek.

Dotykała biżuterii i pieniędzy zaszytych w zamszowej torebeczce na piersi. Trzeba przyznać, że w tych strasznych chwilach działała stanowczo, odważnie i z zimną krwią. Nic straciła głowy! Nie straciła... Nie... Nagle wydała zduszony krzyk. Podniosła ręce do szyi, odchyliła głowę do tyłu, a z jej gardła wydobyło się głuche rżenie, jakby się dusiła.

— O Boże, proszę pani! Pani zasłabła! — zawołała niania. Pani Péricand po chwili zdołała jąknąć przygaszonym głosem:

— Och, nianiu, moja biedna nianiu, zapomniałyśmy...

— Czego? czego zapomniałyśmy?

— Mojego teścia — powiedziała pani Péricand, zalewając się łzami.

Charles Langelet spędził całą noc za kierownicą między Paryżem a Montargis, miał więc swój udział w nieszczęściach publicznych.

Okazywał jednak wielki hart ducha. W oberży, gdzie zatrzymał się na śniadanie, grupa uciekinierów narzekająca na koszmary drogi próbowała wziąć go na świadka: „Prawda, proszę pana? Pan też to widział? Przecież wcale nie przesadzamy!”, więc odpowiedział sucho:

— Ja niczego nie widziałem.

— Jak to? Nie widział pan bombardowania? — pytała zdumiona oberżystka.

— Ależ nie, proszę pani.

— Ani pożaru?

— Nie widziałem nawet żadnego wypadku samochodowego.

— Najwyraźniej miał pan szczęście — powiedziała kobieta po chwili namysłu, wzruszyła jednak ramionami z powątpiewaniem, jakby myślała „to dopiero oryginał!”.

Langelet ledwie spróbował omletu, który mu podano, odsunął talerz, mówiąc półgłosem „niejadalne”, poprosił o rachunek i wyszedł.

Znajdował perwersyjną radość w pozbawianiu tych poczciwców wszystkich przyjemności, jakich się spodziewali, przepytując jego, bo przecież te podłe i wulgarne kreatury wyobrażały sobie, że powoduje nimi zwykła ludzka litość, a tymczasem to niska ciekawość melodramatu przyprawiała je o drżenie. Zadziwiająco, ile prostactwa kryje świat, myślał Charlie Langelet ze smutkiem. Zawsze czuł się oburzony i za-

smucony, ilekroć odkrywał, że świat zaludniony jest nieszczęśnikami, którzy nigdy nie widzieli katedry, posągu, obrazu. Zresztą ci *happy few*, do których przynależnością się szczycił, w obliczu ciosów losu okazywali tę samą bezwolność, tę samą głupotę co maluczcy. Boże! Wystarczy pomyśleć, co ci wszyscy ludzie zrobią później z „exodusu”, ze swojego exodusu. Niemal słyszał, jak stare babsko będzie opowiadać: „Ja to się nie bałam Niemców, podeszłam do nich i powiedziałam: Panowie jesteście u matki francuskiego oficera, a oni nawet słowa nie pisnęli”. Zawtóruje jej druga: „Wokół mnie padały kule, ale dziwna rzecz, w ogóle się nie bałam”. I wszyscy zgodnie włączają do swoich opowieści jakieś sceny grozy. Na co on odpowie: „To ciekawe, ale mnie wszystko wydało się takie zwyczajne. Mnóstwo ludzi na drogach i tyle”. Wyobraził sobie zdumienie słuchaczy i uśmiechnął się, podniesiony na duchu. A ilekroć pomyślał o swoim paryskim mieszkaniu, serce mu się ścisnęło. Chwilami spoglądał na tył samochodu, z czułością patrzył na skrzynie, w których ukrył porcelanę, swe najdroższe skarby. Niepokoila go patera Capo di Monte, młode dziewczyny tańczące z amorkami i faunami. Zastanawiał się, czy obłożył ją wystarczającą ilością wiórów i bibułki. Pod koniec pakowania zabrakło mu bibułki. Westchnął. Porównywał się w duchu z Rzymianinem uciekającym przed lawą i popiołami Pompejów, który porzucił swoich niewolników, dom, złoto, ale w fałdach tuniki ukrył jakąś statuetkę z terakoty, jakąś wazę o doskonałej formie, jakiś puchar wymodelowany na pięknej piersi. Zarazem pocieszające i gorzkie było to poczucie, że jest się tak różnym od reszty ludzi. Skierował na nich swoje jasne oczy. Potok samochodów nadal płynął, a wszystkie ponure i zaniepokojone twarze niczym się nie różniły. Nieszczęsne plemię! Czym ci ludzie się zajmują? Tym, co będą jeść? Co będą pić? Co do niego, to myślał o katedrze w Rouen, o zamkach nad Loarą, o Luwrze. Każdy z tych szacownych kamieni wart jest tysiąc ludzkich istnień. Zbliżał się do Gien. Na niebie pojawił się czarny punkt, z szybkością błyskawicy Langelet pomyślał, że ta kolumna uchodźców na przejeździe kolejowym jest dobrym celem dla nieprzyjacielskiego samolotu, więc zjechał na boczną drogę. Piętnaście minut później, w odległości kilku metrów od



niego, auta, które również postanowiły zjechać z głównej drogi, zaczęły wjeżdżać na siebie w wyniku błędnego manewru jakiegoś wystraszonego kierowcy. Podskakiwały z jednej strony na drugą, wyrzucane aż na pola, rozsiewając wokół bagaże, materace, klatki z ptakami, ranne kobiety. Charlie słyszał te dziwne odgłosy, ale nie zawrócił. Uciekał do gęstego lasu. Zatrzymał samochód, odczekał chwilę, po czym ruszył polnymi dogami, bo szosa robiła się zdecydowanie niebezpieczna.

Na jakiś czas porzucił rozważania o niebezpieczeństwach grożących katedrze w Rouen, żeby zająć się dokładniej tym, co czeka jego, Charles'a Langeleta. Nie chciał sobie tym zaprzętać myśli, ale stawały mu przed oczami bardzo nieprzyjemne obrazy. Zaciśnięte na kierownicy wielkie dłonie, chude i delikatne, lekko drżały. Tu, gdzie się znalazł, spotykał niewiele aut i nieliczne domy, tylko że zupełnie nie zdawał sobie sprawy, dokąd jedzie. Zawsze miał bardzo kiepską orientację w terenie. Nie był przyzwyczajony do podróżowania bez szofera. Przez jakiś czas krążył wokół Gien. Zaczął się bać, że zabraknie mu benzyny. Pokręcił głową z westchnieniem. Doskonale przewidział, co się wydarzy: on, Charlie, nie był stworzony do tak prymitywnej egzystencji. Tysiące drobnych zasadzek codzienności znacznie przekraczało jego siły. Samochód się zatrzymał. Nic ma benzyny. Charlie drobnym, pełnym wdzięku gestem złożył hołd własnej odwadze. Nie ma wyjścia, spędzi noc w lesie. — Nie mógłby mi pan odstąpić kanistra benzyny? — zwrócił się do przejeżdżającego automobilisty.

Ten jednak odmówił, więc Charlie uśmiechnął się gorzko i melancholijnie. Właśnie tacy są ludzie! Twardzi egoiści. Nikt nie podzieli się ze swoim towarzyszem niedoli pajdą chleba, butelką piwa czy nędznym kanistrem benzyny. Automobilista odwrócił się i zawołał: — Jest stacja niedaleko stąd, w wiosce...

Nazwę pochłonęła odległość, ale automobilista już zniknął między drzewami. Charlicmu wydało się, że widzi jeden czy dwa domy. A samochód? Nie mogę przecież zostawić samochodu!, powtarzał zdesperowany. Jeszcze spróbujmy. Nic się nie działo.

Był tak zakurzony, jakby posypano go kredą, a młodzi ludzie robiący wrażenie pijanych coś wykrzykiwali, pouczebiani jak muchy na stopniach, a nawet na dachu samochodu, który z trudem się poruszał. Co za łajdackie gęby!, pomyślał Langelet z drżeniem. Ale zwrócił się do nich swoim najbardziej przymilnym tonem:

— Czy panowie nie mają trochę benzyny? Jestem unieruchomiony. Zatrzymali się ze strasznym zgrzytem przeciążonych hamulców. Popatrzyli na Charliego i wybuchnęli drwiącym śmiechem.

— A ile też pan zapłaci? — spytał w końcu jeden z nich. Charlie czuł, że należało odpowiedzieć „Ile panowie sobie życzą”, ale był skąpy, zresztą obawiał się, że nadmierne bogactwo jedynie sprowokuje tych łobuziaków. Poza tym nienawidził być oszukiwany.

— Zapłacę rozsądną cenę — oznajmił z wyższością.

— Ale i tak nie ma — powiedział mężczyzna z roztrzęsionego, jęczącego samochodu.

Ruszyli leśną piaszczystą drogą, a tymczasem bardzo przybity Langelet wołał, wymachując rękami:

— Poczekajcie! Zatrzymajcie się! Podajcie mi przynajmniej swoją cenę! Nawet mu nie odpowiedzieli. Został sam. Ale nie na długo, bo nadchodził wieczór i stopniowo inni uchodźcy zaczęli zaludniać las. Nie znaleźli miejsc w hotelach, domy prywatne też były zatłoczone, zdecydowali się więc spędzić noc w lesie. Wkrótce sytuacja zaczęła przypominać lipiec w Elisabethville, pomyślał Langelet z niesmakiem. Darły się dzieci, na mchu lądowały pomięte gazety, brudna bielizna i puszki po konserwach. Kobiety płakały, inne krzyczały lub śmiały się, koszmarne niedomyte dzieciaki podchodziły do Charliego, który je przepędzał, nie podnosząc głosu, bo nie chciał denerwować rodziców, uciekał się raczej do przewracania oczami pełnymi złości.

— To męty z Belleville. Gdzie ja się znalazłem? — wyszeptał.

Czy rzeczywiście przypadek zebrał w tym miejscu mieszkańców jednej z najbardziej niesławnych dzielnic Paryża, czy to imaginacja Charliego, porywcza i nerwowa, płatała mu figle?

Wszyscy mężczyźni wydawali mu się bandytami, a kobiety naciągaczkami. Wkrótce zapadła noc i w gęstwinie drzew przezroczyisty mrok czerwca przeszedł w ciemność przecinaną połaciami zimnego, białego światła księżyca. Wszystkie dźwięki nabierały szczególnego, złowieszczego rezonansu: samoloty na niebie, zapóźnione ptaki, głuchoe detonacje, o których nie było wiadomo na pewno, czy to strzały armatnie, czy pękające opony. Raz czy dwa ktoś krążył wokół Charliego, ktoś podchodził i zaglądał mu w twarz. Słyszał komentarze wywołujące dreszcze. Sposób myślenia ludzi był daleki od tego, jaki być powinien... Dużo mówiono o bogaczach, którzy uciekali, żeby ratować swoją skórę i swoje złoto, i zajmowali drogi, podczas gdy biedacy mieli tylko własne nogi i mogli jedynie maszerować i zdychać. Zupełnie jakby sami nie jechali w autach, i to na pewno kradzionych, myślał oburzony Charlie.

Odczuł ogromną ulgę, kiedy obok niego ustawił się mały samochodzik, którym podróżowała młoda para, należąca wyraźnie do klasy lepszej od reprezentowanej przez resztę uchodźców. Młody człowiek miał lekko zdeformowaną rękę; trzymał ją przed sobą z taką ostentacją, jak wypisane wielkimi literami zaświadczenie „niezdolny do służby wojskowej”.

Kobieta była młodziutka, ładna i bardzo blada. Zjedli kanapki i niedługo potem zasnęli, siedząc na przednim siedzeniu, ramię przy ramieniu, dotykając się policzkami. Charlie próbował pójść w ich ślady, ale zmęczenie, nadmierna ekscytacja i strach nie pozwalały mu zasnąć. Po godzinie młody sąsiad otworzył oczy, delikatnie odsunął się od kobiety i zapalił papierosa. Zauważył, że Langelet także nie śpi.

— Ale niewygodnie! — powiedział półgłosem, pochylając się w jego stronę.

— Owszem, wyjątkowo.

— Co prawda noc szybko zleci. Mam nadzieję dojechać jutro do Beaugency bocznymi drogami, bo główna droga jest nieprzejezdna.

— Naprawdę? Wydaje się, że były duże bombardowania. Ma pan szczęście, że może pan jechać — powiedział Charlie. — Ja nie mam już ani kropli benzyny.

Zawahał się.

— Ośmieliłbym się poprosić, żeby przez chwilę popilnował pan mojego samochodu (naprawdę wygląda na uczciwego człowieka, pomyślał), poszedłbym do sąsiedniego miasteczka, gdzie jak mi powiedziano, jeszcze mają benzynę.

Młody człowiek pokręcił głową.

— Niestety, proszę pana, już nie mają. Wziąłem ostatnie kanistry, i to za bardzo wygórowaną cenę. Wystarczy mi akurat na dotarcie do Loary — oznajmił, pokazując kanistry przytroczone do bagażnika z tyłu — i przejazd przez mosty, nim wylecą w powietrze.

— Jak to? Wysadzą mosty?

— Owszem. Wszyscy tak mówią. Bitwa zostanie wydana nad Loarą.

— A więc sądzi pan, że już nie ma benzyny?

— Jestem tego pewien. Chętnie bym panu odstąpił, ale mnie samemu ledwie starczy. Muszę odwieźć narzeczoną w bezpieczne miejsce. Jej rodzice mieszkają w Bergerac. Mam nadzieję, że po przekroczeniu Loary łatwiej będzie o benzynę.

— A, to pana narzeczona? — spytał Charlie, myśląc zupełnie o czym innym.

— Tak, mieliśmy się pobrać czternastego czerwca. Wszystko było gotowe, zaproszenia wysłane, obrączki kupione, dziś rano mieli dostarczyć suknię.

Młody człowiek popadł w głęboką zadumę.

— To tylko opóźnienie terminu, nic więcej — skomentował uprzejmie Charles Langelet.

— Ach, proszę pana, kto wie, co będzie z nami jutro? Ja z pewnością nie mam powodu do narzekania. W moim wieku powinienem być żołnierzem, ale z moją ręką... tak, wypadek w college'u... wydaje mi się jednak, że w tej wojnie cywile narażeni są na nie mniejsze niebezpieczeństwo od wojskowych. Podobno niektóre miasta...

Ściszył głos.

— ...leżą w gruzach, są pełne trupów, istne cmentarzyska. Opowiadano mi straszne historie. Wie pan, że otwarto więzienia, szpitale wariatów, tak, proszę pana. Nasi rządzący potracili głowy. Więzień wędruje po drogach bez nadzoru. Mówiono mi, że dyrektor jednego z więzień został zamordowany przez swoich

pensjonariuszy, których rozkazano mu ewakuować. To się wydarzyło dwa kroki stąd. Widziałem na własne oczy splądrowane domy, wszystko przewrócone do góry nogami. Atakują też podróżnych, okradają automobilistów...

— Automobilistów...

— Nigdy się nie dowiemy, co się wydarzyło podczas exodusu. Teraz mówią: „Trzeba było zostać w domu!”. Dobrze sobie. Żeby dać się zmasakrować we własnym domu przez artylerię i samoloty. Wynająłem niewielki domek w Montfort-1'Amaury, gdzie mieliśmy spędzić po ślubie spokojny miesiąc przed zamieszkaniem u teściów. Domek został zniszczony trzeciego czerwca, proszę pana — powiedział z oburzeniem. Mówił dużo i nerwowo; wydawało się, że jest podchmielony zmęczeniem. Czule dotykał palcami policzka śpiącej narzeczonej.

— Żeby tylko zdołał ocalić Solange!

— Państwo są obydwój bardzo młodzi.

— Ja mam dwadzieścia dwa lata, a Solange dwadzieścia.

— Jej tam jest bardzo niewygodnie — stwierdził nieoczekiwanie Charles Langelet, głosem tak słodziutkim, że zadziwił samego siebie, głosem lukrowanym miodem, równocześnie serce waliło mu w piersi jak szalone.

— Dlaczego nie wyciągniecie się obydwój na trawie kawałek dalej?

— A samochód?

— Och, proszę być spokojnym, ja przypilnuję auta — oświadczył Charlie z cichym chichotem.

Miody człowiek jeszcze się wahał.

— Chciałbym wyruszyć możliwie najwcześniej. A śpię tak twardo...

— Ależ obudzę pana. O której chciałby pan wyruszyć? Proszę, dopiero północ — powiedział, spoglądając na zegarek. — Zawołam pana o czwartej.

— Jest pan naprawdę bardzo uprzejmy.

— Nie, sam też byłem zakochany w wieku dwudziestu dwóch lat...

Młodzieniec wykonał nieokreślony gest.

— Mieliśmy się pobrać czternastego czerwca — powtórzył z westchnieniem.

— Oczywiście, oczywiście... żyjemy w strasznej epoce... ale zapewniam pana, że nie ma sensu siedzieć w ciasnocie samochodu. Pańska narzeczona jest u kresu sił. Dać panu jakiś koc?

— Narzeczona ma obszerny podróżny płaszcz.

— Na trawie jest bardzo dobrze. Gdybym się nie obawiał reumatyzmu... Ach, młody człowieku, jak miło mieć dwadzieścia lat!

— Dwadzieścia dwa — poprawił narzeczony.

— Zobaczycie jeszcze lepsze czasy, wy zawsze się wy-plączecie, podczas gdy taki biedny stary pocziwiec jak ja...

Opuścił powieki jak mruczący kot. Potem wyciągnął rękę w stronę polany, która niejasno prześwitywała przez drzewa w świetle księżyca.

— Jak tam może być dobrze... zapomina się o wszystkim. Oczekał i dodał z fałszywą obojętnością:

— Słyszysz pan słowika?

Ptak śpiewał już od jakiegoś czasu. Siedział na bardzo wysokiej gałęzi i nie zwracał uwagi na hałasy, krzyki uchodźców, na wielkie ogniska, które rozpalano na trawie, broniąc się przed wilgocią. Śpiewał, a z pól odpowiadały mu inne słowiki. Młody człowiek słuchał słowika, lekko przekrzywił głowę, objął ramieniem śpiącą narzeczoną. Po kilku chwilach coś jej szepnął do ucha. Otworzyła oczy. Mówił jeszcze coś, wyraźnie nalegał. Charlie odwrócił głowę. Jednak dobiegły do niego słowa: „Skoro ten pan powiedział, że przypilnuje auta” ... i „Ty mnie nie kochasz, Solange, nie kochasz mnie... a przecież...”.

Charlie ziewnął przeciągle, ostentacyjnie, i powiedział półgłosem na stronie, z przesadą nędznego aktora:

— Chyba zasnę...

Solange przestała się wahać. Wśród nerwowych śmiechów, natychmiast dławionych protestów, pocałunków, mówiła:

— Gdyby tak mama nas zobaczyła... o, Bob! Jesteś straszny... a nie będziesz mi potem tego wypominał?

Oddaliła się uwieszona na ramieniu narzeczonego. Charlie widział ich pod drzewami, obejmowali się i wymieniali pocałunki. Wreszcie zniknęli.

Czekał. Najbliższe pół godziny wydało mu się najdłuższe

w życiu. Nie zastanawiał się jednak. Odczuwał niepokój i niezwykłą wprost radość, palpacje serca były tak gwałtowne i bolesne, aż wymamrotał: „To chore serce... temu się nie oprze!”.

Nigdy w życiu nie czuł większego pożądania. Kot, który wypoczywa na aksamitnych poduszkach i żywi się białym mięsem kurczaka, któremu przypadek pozwoli znów odkryć życie na wsi, suchą gałąź drzewa chłodną od rosy, smak krwawiącego i ruszającego się ptasiego mięsa, odczuwa pewnie identyczne przerażenie, tę samą okrutną radość, myślał Langelet, ponieważ był zbyt inteligentny, by nie rozumieć, co się z nim dzieje. Ostrożnie, delikatnie, żeby nie trzasnęły drzwiczki, wsiadł do auta sąsiada, odwiązał kanistry (wziął także olej), odkręcił korek zbiornika, kalecząc sobie dłonie, nalał do pełna benzyny i korzystając z tego, że wiele innych aut też wyruszało, odjechał z lasu.

Odwrócił jeszcze głowę, popatrzył z uśmiechem na szczyty drzew, srebrnozielone w promieniach księżyca, i pomyślał: W końcu pobiorą się czternastego czerwca...

Hałasy na ulicy obudziły starego pana Pericand. Otworzył oko, jedno, niewyraźne, wyblakłe, pełne zdumienia i wyrzutu. Czego tak krzyczą?, zastanawiał się. Zapomniał o podróży, o Niemcach, o wojnie. Wydawało mu się, że jest w mieszkaniu syna przy bulwarze Delessier, choć miał przed oczyma nieznamy pokój; nic z tego nie rozumiał. Był w wieku, kiedy wizja wewnętrzna jest silniejsza od rzeczywistej; wyobrażał sobie zielone obicie swojego paryskiego łóżka. Drżącymi palcami sięgnął do stolika, na którym codziennie po obudzeniu jakaś troskliwa ręka stawiała talerz płatków i dietetyczne herbatniki. Ale nie było talerza, nie było filiżanki, nie było nawet stolika. Wtedy usłyszał pomruk ognia w sąsiednich domach, poczuł zapach dymu i domyślił się, co się dzieje. Otworzył usta w niemym wołaniu, jak ryba wyciągnięta z wody, i zemdlął.

Tymczasem dom nie spłonął. Zniszczeniu uległa jedynie część dachu. Po straszliwym chaosie i chwilach grozy pożar przygasł. Na gruzach placu ogień tlił się i syczał cichutko, ale oberża pozostała nietknięta i pod wieczór odkryto leżącego w łóżku, opuszczonego pana Pericand. Mamrotał coś niewyraźnie. Pozwolił, by przeniesiono go do hospicjum. — Tam będzie mu najlepiej, nie mam czasu się nim zajmować — powiedziała właścicielka — tylu uchodźców, nadchodzący Niemcy i jeszcze pożar...

Milczała na temat, który najbardziej leżał jej na sercu: nieobecność męża i dwóch synów — wszystkich trzech zmobi-



lizowano i zniknęli. Wszyscy trzej znajdowali się w tej słabo określonej strefie, ruchomej, przerażająco bliskiej, którą nazywano „wojną” ... Hospicjum z oddaniem prowadziły siostry sakramentki. Pana Pericand położono na dobrym łóżku przy oknie, mógłby zobaczyć za szybą wielkie drzewa w czerwcowej zieleni, a wokół siebie piętnastu starców, milczących, spokojnych, leżących w białej pościeli. On jednak niczego nie widział. Nadal uważał, że jest u siebie. Od czasu do czasu zdawał się coś mówić do swoich słabych sinawych dłoni, skrzyżowanych na szarym kocu. Kierował do nich kilka przerywanych słów, surowych, potem dłuższy czas kręcił głową i zupełnie wyczerpany zamykał oczy. Nic tknęły go płomienie, nie odniósł obrażeń, ale miał bardzo wysoką gorączkę. Lekarz zajmował się ofiarami bombardowania w sąsiednim miasteczku. Dopiero późnym wieczorem mógł zbadać pana Pericand. Niewiele powiedział, chwiał się na nogach ze zmęczenia, nie kładł się od czterdziestu ośmiu godzin, a przez jego ręce przeszło sześćdziesięciu rannych. Zrobił zastrzyk i obiecał wrócić następnego dnia. Dla sióstr sprawa była załatwiona, miały wystarczające doświadczenie z umierającymi, żeby rozpoznać śmierć po jednym westchnieniu, jednej skardze, po kropelkach lodowatego potu, po nieruchomych palcach. Wysiały po księdza, który towarzyszył doktorowi do miasta i spał nie więcej od niego. Zajął się panem Pericand. Zdawało się, że stary człowiek odzyskał przytomność. Wychodząc z hospicjum, ksiądz proboszcz powiedział siostrzyczkom, że nieszczęsny starzec jest w porządku wobec Pana Boga i umrze jak prawdziwy chrześcijanin.

Jedna z sióstr była niska, chuda, miała przepastne niebieskie oczy, złośliwe i pełne odwagi, błyszczące pod białym kornetem; inna, łagodna, nieśmiała, o różowych policzkach, bardzo cierpiała z powodu zębów, więc nie przestając odmawiać różańca, dotykała ręką zbolełego dziąsła z pokornym uśmiechem, jakby wstydziła się, że przypadł jej tak lekki krzyż w tych dniach nieszczęścia. To właśnie do niej pan Pericand powiedział niespodziewanie (minęła już północ i hałasy dnia ucichły; słyhać było tylko zawroźnienie kotów w klasztornym ogrodzie):

— Moja córko, czuję się źle... sprowadź notariusza.

Brał ją za swoją synową. W swojej częściowej malignie bardzo się dziwił, że ubrała się w kornet, żeby się nim zajmować, ale mimo wszystko to przecież mogła być tylko ona. Powtórzył więc łagodnie, cierpliwie:

— Rejent Nogaret... notariusz... ostatnia wola...

— Co robić, siostrze? — pytała siostra Marie od Świętego Sakramentu siostrę Marie od Cherubinów.

Dwa białe komety pochyliły się nad spoczywającym w łóżku ciałem tak bardzo, że niemal się dotykały.

— Notariusz nie przyjdzie o tej porze. Niech pan śpi... będzie na to czas jutro...

— Nie... nie ma czasu.. - powiedział cichy głos. — Rejent Nogaret przyjdzie, proszę tylko zadzwonić.

Zakonnice znowu się naradziły, jedna z nich zniknęła i wróciła po chwili, przynosząc bardzo gorący napar. Starzec próbował przełknąć parę łyków, ale natychmiast je zwrócił; spływały po jego białej brodzie. Nagle przejawił niezwykle ożywienie; jęczał, wydawał polecenia:

— Proszę mu powiedzieć, żeby się śpieszył... obiecał mi... natychmiast, jak go zawołam... Pośpiesz się, proszę cię, Jeanne (teraz wyobrażał sobie, że jest przy nim nie synowa, tylko zmarła przed czterdziestu laty żona). Szczególnie ostry napad bólu chorego zęba uniemożliwił siostrze Marie od Świętego Sakramentu wyrażenie jakiegokolwiek protestu. Skinęła twierdząco głową i przyciskając chusteczkę do policzka, stała nieruchomo, gdy tymczasem jej towarzyszka zdecydowanie podniosła się z krzesła.

— Siostrze, trzeba iść po notariusza.

Miała zapalczywy i wojowniczy temperament i przygnębiała ją bierność. Chciała udać się do miasta wraz z doktorem i proboszczem, ale nie mogła zostawić piętnastu pensjonariuszy hospicjum (nie miała wielkiego zaufania do przedsiębiorczości siostry Marie od Najświętszego Sakramentu). W chwili pożaru zadrzała pod kornetem. Udało jej się wywieźć z sali piętnaście łóżek, własnoręcznie przygotowała drabiny, sznury i kubły wody, ale ogień nie tknął hospicjum, położonego dwa kilometry od zbombardowanego kościoła. Czekala więc, wzdrygając się na krzyki wystraszonego tłumu, zapach dymu i widok płomieni,

ale tkwiła na swoim posterunku, gotowa na wszystko. Jednak nic się nie wydarzyło, Ofiary nieszczęścia opatrywano w szpitalu cywilnym. Nie pozostawało nic innego poza przygotowaniem zupy dla piętnastu starców, toteż niespodziewane przybycie pana Péricand zgalwanizowało nagle całą jej energię.

— Trzeba iść.

— Tak siostra sądzi?

— On może chce wyrazić jakieś bardzo ważne ostatnie życzenia.

— Ale rejenta Charboeufa może nie być w domu? Siostra Marie od Cherubinów wzruszyła ramionami.

— Pół godziny po północy?

— Nie będzie chciał przyjść.

— Niech spróbuje! To jego obowiązek. Jeśli będzie trzeba, wyciągnę go z łóżka — oświadczyła z oburzeniem młoda zakonnica.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, zawahała się. W klasztorze były cztery zakonnice, ale dwie pojechały na rekolekcje do klasztoru w

Paray-le-Monial i dotychczas nie wróciły. Siostry miały jeden rower, ale jeszcze żadna z nich nie odważyła się z niego skorzystać, bały się, że zgorszą mieszkańców; sama siostra Marie od Cherubinów mawiała:

„Trzeba poczekać, aż dobry Bóg ześle nam jakiś nagły przypadek. Na przykład chory jest umierający i trzeba zawiadomić doktora i proboszcza! Każda sekunda jest cenna, dosiadam roweru, a ludziom to zamknie usta! Za drugim razem już nikogo to nie zdziwi!“. Do tej pory nie pojawił się nagły przypadek. A tymczasem siostra Marie od Cherubinów umierała z pragnienia, żeby wsiąść na tę maszynę. Kiedyś, kiedy należała jeszcze do rzeczywistości, pięć lat temu, ileż odbyła radosnych wypraw z własnymi siostrami, ile pikników, ile przejażdżek. Odrzuciła do tyłu poły czarnego habitu, mówiąc sobie „teraz albo nigdy“, i z radośnie bijącym sercem ujęła kierownicę roweru.

Po kilku chwilach dotarła do miasteczka. Miała trochę kłopotu z obudzeniem notariusza Charboeufa, bo sypiał twardo, a jeszcze trudniej było przekonać go, że rzeczywiście trzeba od razu iść do hospicjum.

Rejent Charboeuf, nazywany przez miejscowe młode dziewczyny „Niemowlakiem“ z powodu

pyzatyh różowych policzków i świeżych warg, miał zgodne usposobienie i żonę, która terroryzowała go nieustannie. Ubrał się, wzdychając ciężko, i ruszył do hospicjum. Zastał pana Pericand rozbudzonego, bardzo zarumienionego i rozpalonego gorączką.

— Przyszedł notariusz — oznajmiła zakonnica.

— Proszę siadać — powiedział starzec. — Nie traćmy czasu. Notariusz poprosił na świadków ogrodnika hospicjum i jego trzech synów. Widząc pośpiech pana Pericand, wyjął z kieszeni papier i przygotował się do zapisywania.

— Słucham pana. Gdyby jednak zechciał pan na początek podać mi swoje imię, nazwisko i inne dane.

— Pan nie jest Nogaretem?

Pericand przyszedł do siebie. Popatrzył na ściany hospicjum, na gipsowy posążek świętego Józefa na wprost łóżka, na dwie cudowne róże, które siostra Marie od Cherubinów zrywała przy oknie i kładła do wąskiego niebieskiego wazonu. Próbował zrozumieć, gdzie się znajduje i dlaczego jest sam, ale zrezygnował z tego. Po prostu umierał, a umierać należy zgodnie z pewnymi formami. Ileż razy wyobrażał sobie ten ostatni akt, tę śmierć, ten testament, ostatnie, błyskotliwe wystąpienie

Pericanda-Maltete na scenie świata. Być nieszczęsnym starcem, któremu wyciera się nos, którego się ubiera, i nagle po dziesięciu latach odzyskać całe swoje znaczenie! Karać, nagradzać, zwodzić, obsypywać dobrodziejstwami, rozdzielać swoje ziemskie dobra według własnej woli. Dominować nad innymi. Ciążyć nad nimi. Znaleźć się na pierwszym planie. (Potem zostanie już tylko jedna ceremonia, podczas której znajdzie się na pierwszym planie, w czarnej skrzynce, na katafalku wśród kwiatów, ale będzie tam jedynie w charakterze symbolu czy uskrzydłonego ducha, podczas gdy tutaj, jeszcze raz, pozostawał przy życiu...). — Kim pan jest? — zapytał cicho.

— Rejent Charboeuf — odpowiedział pokornie notariusz.

— Dobrze, to nie ma znaczenia. Zaczynamy. Dyktował powoli, z trudem, jakby odczytywał tekst wyryty tylko dla niego i tylko dla niego widoczny.

— Przed rejentem Charboeuf... notariuszem w., w obecności świadków...

— mamrotał notariusz — stawił się pan Pericand...

Stary człowiek podjął słaby wysiłek, żeby wzmocnić, uwypuklić jeszcze nazwisko. A ponieważ musiał oszczędzać oddech, a nie mógł wykrzyczeć tych szacownych sylab, sine dłonie tańczyły przez chwilą na prześcieradle jak marionetki; zdawały się formować czarne grube znaki na białym papierze, tak jak kiedyś na dole kart, bonów, went, kontraktów: Pericand... Peri-cand Louis-Auguste.

— Zamieszkały?

— Bulwar Delessert 89 w Paryżu.

— Chory na ciele, ale zdrowy na umyśle stawił się przed notariuszem i świadkami — powiedział Charboeuf, obrzucając chorego powątpiewającym spojrzeniem.

Ten umierający go przytłaczał. Zdobył pewne doświadczenie; jego klientela rekrutowała się głównie z okolicznych farmerów, ale wszyscy bogaci piszają jednakowe testamenty. Ten człowiek był bogaczem, co do tego nie miał wątpliwości, choć przebrano go do łóżka w zgrzebną koszulę hospicjum, musiał to być ktoś znaczny! Rejentowi Charboeuf pochlebiało to, że asystuje mu na łożu śmierci.

— A więc chce pan uczynić swego syna wyłącznym spadkobiercą?

— Tak, zapisuję wszystkie moje dobra ruchome i nieruchome Adrienowi Pericand, zobowiązując go do bezzwłocznego przekazania pięciu milionów franków fundacji dobroczynnej Skruszeni Winowajcy założonej przeze mnie w XVI dzielnicy Paryża. Instytucja ta zobowiązuje się zamówić u doskonałego artysty mój portret naturalnej wielkości na łożu śmierci albo popiersie, które stanie w holu wyżej wymienionej instytucji. Mojej kochanej siostrze Adele-Emilienne-Louise zapisuję w ramach rekompensaty za nieporozumienie, jakie zaistniało między nami w wyniku spadku po mojej szacownej matce, Henriecie Mattete, moje tereny w Dunkierce, nabyte w tysiąc dziewięćset dwunastym wraz ze wszystkimi stojącymi na nich domami i częścią doków, które też należą do mnie. Zobowiązuję mojego syna do uczciwego wypełnienia tej obietnicy. Mój zamek w Bleoville w gminie Vorhange w Calvados zostanie przekształcony w przytułek dla inwalidów tej wojny, najlepiej, by wybierano pensjonariuszy wśród sparaliżowanych i tych, któ-

rych zdrowie psychiczne zostało naruszone. Życzę sobie, by napis na prostej tablicy na murze brzmiał: „Charytatywna fundacja Pericand-Maltete ku pamięci jego dwóch synów poległych w Szampanii”. Kiedy wojna się skończy...

— Wydaje mi się... że już się skończyła — wtrącił nieśmiało rejent Charboeuf.

Nie zdawał sobie sprawy, że myśli pana Pericand wróciły do tamtej wojny, która zabrała mu dwóch synów i potroili jego fortunę. Znowu znalazł się we wrześniu 1918 roku w przededniu zwycięstwa, kiedy o mało nie powaliło go zapalenie płuc i w obecności całej rodziny zgromadzonej u wezglowia (ze wszystkimi krewniakami z północy i południa, których przygnała ta wiadomość) dokonał czegoś, co w istocie było próbą generalną własnego zgonu: podyktował wtedy swoją ostatnią wolę, teraz po prostu powtarzał ją w takiej formie, jaka zapisała się w jego pamięci.

— Kiedy wojna się skończy, proszę na placu w Bleoville wybudować pomnik poległych, na który przeznaczam sumę trzech tysięcy franków z masy spadkowej. Najpierw dużymi złotymi literami mają być wypisane nazwiska dwóch moich synów, potem odstęp i...

Wyczerpany zamknął oczy.

— ...i potem wszyscy inni małymi literami...

Zamilkł na tak długo, że notariusz spojrział z niepokojem na zakonnicę. Czy on?... Czy wszystko już skończone? Ale siostra Marie od Cherubinów pogodnie potrząsnęła kornetem. Jeszcze nie umarł. Zastanawiał się. W jego nieruchomym ciele wspomnienie przebiegało olbrzymie połączenie czasu i przestrzeni.

— Niemal całość mojej fortuny składa się z walorów amerykańskich, które jak mi mówiono, przynoszą duży zysk. Już w to nie wierzę. Posepnie potrząsnął długą brodą.

— Już w to nie wierzę. Życzę sobie, żeby mój syn natychmiast je zamienił na franki francuskie. Jest też złoto, ale teraz nie warto go trzymać. Ma być sprzedane. Kopia mojego portretu ma być umieszczona także w zamku Bleoville w wielkiej sali na dole. Mojemu wiernemu pokojowcowi zapisuję dożywotnią roczną rentę w wysokości tysiąca franków.

Wszystkim moim

prawnukom, jakie się jeszcze urodzą, rodzice powinni wybrać imiona Louis-Auguste dla chłopców i Louise-Augustine dla dziewczynek.

— To wszystko? — spytał notariusz.

Opuszczenie długiej brody pana Pericand stanowiło potwierdzenie. Przez pewien czas, który wydał się krótki i notariuszowi, i świadkom, i siostróm, który jednak chwilami był równie długi jak śmiecie, pan Pericand-Maltete przebywał w odwrotnym kierunku drogę, jaką przyszło mu przemierzyć na tej ziemi: rodzinne kolacje, bulwar Delessert, sjeisty w salonie, kot Anatole na jego kolanach; ostatnie spotkanie ze starszym bratem, z którego wyszli śmiertelnie pogniewani (odkupił cichaczem akcje interesu). Jego żona Jeannc w Bleoville, pochylona, zreumatyz-mowana, na wiklinowym szezlongu w ogrodzie, z papierowym wachlarzem w dłoni (umarła osiem dni później), i Jeanne w Bleoville trzydzieści pięć lat wcześniej, dzień po ślubie, przez otwarte okno wleciały pszczoły i oblegały lilie z bukietu panny młodej i wieniec z kwiatów pomarańczy rzucony w nogach łóżka. Jeannc ze śmiechem uciekła w jego ramiona...

Potem poczuł niewątpliwe nadejście śmierci, wykonał drobny gest, oszczędny, zdziwiony, jakby próbował przejść przez zbyt wąskie drzwi i mówił „nie, proszę przodem”, a na jego twarzy odmalował się wyraz zaskoczenia.

— Więc to jest to? — zdawał się mówić. — Tylko tyle? Zaskoczenie zniknęło, twarz stała się poważna, ponura, a rejent Charboeuf napisał pośpiesznie:

„...w chwili gdy testatorowi podano pióro, żeby złożył swój podpis pod tym testamentem, na próżno starał się unieść głowę i natychmiast wydał ostatnie tchnienie, co zostało stwierdzone przez notariusza i świadków, którzy mimo wszystko po przeczytaniu postawili swoje podpisy, by uprawomocnić to, co ma moc prawa”.

Tymczasem Jean-Marie dochodził do siebie. Przez cztery dni drzemał nieprzytomny i rozgorączkowany. Dopiero dzisiaj poczuł się silniejszy. Poprzedniego dnia mógł przyjść lekarz; zmienił opatrunek i temperatura spadła. Ze swojego miejsca w paradnym łóżku Jean-Marie widział wielką kuchnię, trochę ponurą, biały czepek staruszki siedzącej w kącie, piękne błyszczące garnki na ścianie i kalendarz, na którym wymalowano różowego i pulchnego żołnierza francuskiego obejmującego dwie młode Ałzaki — wspomnienie z tamtej wojny. Zadziwiające, jak żywe były tutaj wspomnienia z tamtej wojny. Na honorowym miejscu portrety czterech mężczyzn w mundurach, mały trójkolorowy motylek i kokardka z krepy przymocowane w rogu, roczniki „L'Illustration” z lat 1914—1918 w czarno-zielonej oprawie, które miały mu umilać godziny rekonwalescencji.

W rozmowach, które do niego dochodziły, bez przerwy powtarzało się „Verdun, Charleroi, Marna...”. „Kiedy pamięta się tamtą wojnę”, „Kiedy okupowaliśmy Miluzę”. O obecnej wojnie, o klęsce mówiło się niewiele, nie dotarła jeszcze do świadomości, formę żywą i straszną przybierze dopiero po paru miesiącach, a może latach, może wtedy, gdy wiek męski osiągną wysmotruchane dzieciaki, które Jean-Marie widywał za niewielką drewnianą barierą przed drzwiami. W podartych słomkowych kapeluszach, z różowymi lub śniadymi policzkami, z długimi zielonymi kijami w ręku, wypłoszone, zaciekawione stawały



na swoich sabotach, żeby podnieść się wyżej i zobaczyć rannego żołnierza leżącego w pokoju. Kiedy Jean-Marie się poruszył, zniknęły, nurkując jak żaby w wodę. Czasami przez otwarte drzwi wchodziła kura, ponury pies, olbrzymi indor. Jean-Marie widywał swoich gospodarzy jedynie w porze posiłków. Z nadejściem wieczoru siadały koło niego dwie młode dziewczyny. Jedną nazywano Cécile, a drugą Madeleine. Przez jakiś czas sądził, że to siostry. Ale nie! Cécile była córką właścicielki farmy, a Madeleine przygarniętą sierotą. Obydwie miały przyjemną powierzchowność, nie były zbyt urodziwe, ale odznaczały się świeżością, Cécile miała dużą czerwoną twarz i żywe piwne oczy, Madeleine była blondynką, o bardziej subtelnym rysach, policzkach aksamitnych i różowych jak kwiat jabłoni.

Od tych młodych dziewcząt dowiadywał się o ostatnich wydarzeniach tygodnia. W ich ustach ważne fakty traciły swoją tragiczną wymowę. W zwyczajnym języku młodych kobiet brzmiało to po prostu: „To bardzo smutne”, „Nieprzyjemnie na to patrzeć...”. „Ach, proszę pana, martwimy się, naprawdę!”. Zastanawiał się, czy był to sposób wypowiedzania się wspólny mieszkańcom wsi, czy może jest coś głębszego, sięgającego do samej duszy tych dziewcząt, ich młodości, instynkt mówiący, że wojny mijają, najeźdźcy odchodzą, a życie, nawet okaleczone, zdeformowane, trwa nadal. Czyż jego własna matka nie wzdychała, robiąc na drutach *Í* gotując zupę: „Tysiąc dziewięćset czternasty? To rok, w którym pobraliśmy się z twoim ojcem. Byliśmy bardzo nieszczęśliwi, że coś się kończy, ale bardzo szczęśliwi, że zaczynamy”. Ten złowieszczy rok został osłodzony, ubarwiony odblaskiem ich miłości.

Podobnie dla tych dziewcząt lato tysiąc dziewięćset czterdziestego roku pozostanie mimo wszystko wspomnieniem chwil, kiedy miały po dwadzieścia lat, myślał. Wolałby co prawda nie myśleć; myśl była gorsza od fizycznego bólu, ale wszystko wracało, bezustannie kręciło się w głowie; podanie o urlop piętnastego maja, cztery dni w Angers — pociągi już nie jeździły — żołnierze śpiący na deskach, gnębieni przez insekty, potem alarmy, bombardowania, potyczka pod Rethel, odwrót, starcie nad Sommą, znowu odwrót, ucieczka z miasta

do miasta bez dowódców, bez rozkazów, bez broni i na zakończenie ten wagon w płomieniach. Rzucił się wtedy i jęczał. Nie wiedział już, czy szarpie się w rzeczywistości, czy w niejasnym śnie zrodzonym z pragnienia i gorączki. To przecież niemożliwe... Istnieją sprawy, które są absolutnie niemożliwe... Czy ktoś nie wspomniał o Sedanie? To było w tysiąc osiemset siedemdziesiątym, czytał o tym na górze strony w książce od historii opracowanej w rdzawe płótno, którą jeszcze miał przed oczami. To było... cicho skandował słowa: „Sedan, klęska pod Sedanem... katastrofalna bitwa pod Sedanem zdecydowała o losie wojny...”. A na ścianie obrazek z kalendarza, ten roześmiany żołnierz ze zdrową cerą i dwie Alzatki pokazujące białe pończochy. Tak, to był sen, przeszłość, a on... Ogarniały go dreszcze i powtarzał: „Dziękuję, to nic takiego, dziękuję, nic trzeba...”, podczas gdy wsuwano pod pościel gorącą bańkę na jego ciężkie i sztywne stopy.

— Lepiej pan dzisiaj wygląda.

— Czuję się lepiej — odpowiedział.

Poprosił o lustro i uśmiechnął się na widok swojego podbródka, na którym rosła czarna broda jak obroża.

— Jutro trzeba będzie się ogolić...

— Jeśli będzie pan miał dość siły. Dla kogo chce pan być taki piękny?

— Dla was.

Wybuchnęły śmiechem i podeszły bliżej. Chciały wiedzieć, skąd pochodzi, gdzie został ranny. Od czasu do czasu ogarnięte skrupułami przerywały sobie nawzajem.

— Och, nie powinniśmy tyle mówić... to pana zmęczy... A potem jeszcze się pokłócimy... Pan się nazywa Michaud?... Jean-Marie?

— Tak.

— Paryżanin? Co pan robi? Jest pan robotnikiem? Nie, oczywiście, widać to po rękach. Jest pan urzędnikiem?

— Na razie studentem.

— A, to pan studiuje? Dlaczego?

— Dobrze sobie, sam się zastanawiam — powiedział w zamyśleniu.

To śmieszne... bo razem z kolegami pracowali, zdawali

egzaminy, zdobywali dyplomy, przez cały czas w pełni świadomi, że to całkowicie bezużyteczne i do niczego się nie przyda, bo będzie wojna. Ich przyszłość została określona z góry, kariera zdecydowana w niebie, zgodnie z wcześniejszym powiedzeniem, że „małżeństwa zawiązywane są w niebiosach”. Urodził się w wyniku przepustki w tysiąc dziewięćset piętnastym. Urodził się z wojny i (o czym zawsze wiedział) dla wojny. W tej myśli nie było niczego chorobliwego, tak samo myślało wielu jego rówieśników, było to po prostu logiczne i rozsądne rozumowanie. Ale skoro teraz najgorsze mam już za sobą, to wszystko zmienia, pomyślał. Znowu jest jakaś przyszłość. Wojna skończona, straszna, haniebna, ale skończona. I... jest nadzieja...

— Chciałem pisać książki — powiedział nieśmiało, zdradzając tym nieznanym chłopkom pragnienie, do którego ledwo przyznawał się sam przed sobą.

Potem chciał poznać nazwę miejscowości i gospodarstwa, w którym się znalazł. — To z dala od wszystkiego, kompletna wiocha — wyjaśniła Cécile. — Niecodziennie jest okazja do zabawy, prawda Madeleine? Zajmując się inwentarzem, łatwo zgłupieć.

— A pani jest tu od dawna, panno Madeleine?

— Miałam trzy tygodnie. Mama Cécile wychowała mnie razem z nią. Jesteśmy mlecznymi siostrami.

— Widzę, że się dobrze rozumiecie.

— Nie zawsze mamy takie same pomysły — wyjaśniła Cécile. — Ona chciałaby zostać zakonnica.

— Czasami — powiedziała z uśmiechem Madeleine. Miała ładny, niespieszny i trochę nieśmiały uśmiech. Ciekawe, skąd ona pochodzi?, zastanawiał się Jean-Marie.

Miała czerwone dłonie, ale kształtne, zgrabne były również jej nogi w kostkach. Dziecko opieki społecznej... Odczuwał ciekawość z lekką domieszką litości. Był jej wdzięczny za falę niesprecyzowanych marzeń, które w nim wzbudzała. Stanowiły rozrywkę, nie pozwalały rozmyślać o sobie i o wojnie. Szkoda tylko, że czuł się taki słaby. Trudno było żartować, śmiać się z nimi... a przecież na pewno tego oczekiwały! Na wsi między dziewczynami a chłopakami obowiązują przekomarzanki, kpi-

ny... Taki zwyczaj, tak jest przyjęte. Bytyby zawiedzione i zmieszane, gdyby się z nimi nie pośmiał. Uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Zjawi się chłopak i zmieni pani zdanie, panno Madeleine. Nie będzie pani chciała zostać zakonnica.

— Przecież mówię, że tylko czasami wpada mi to do głowy.

— To znaczy kiedy?

— Sama nie wiem... są takie smutne dni...

— Chłopców to tutaj dużo nie ma — powiedziała Cécile. — Mówię panu, że jesteśmy daleko od wszystkiego. A tych nielicznych i tak zabiera wojna. A więc? Niedobrze być dziewczyną!

— Każdy ma swoje nieszczęście — wtrąciła Madeleine. Przysiadła na łóżku rannego, ale poderwała się gwałtownie.

— Cécile, o czym ty myślisz? Podłoga nieumyta!

— Twoja kolej.

— Coś takiego! Nie brak ci tupetu! Twoja!

Przez chwilę się spierały, po czym razem zabrały się do roboty. Były niezwykle żywe i zręczne. Wkrótce czerwone płytki błyszcząły splukane czystą wodą. Zza progu dochodził zapach trawy, mleka, dzikiej mięty. Jean-Marie oparł policzek na dłoni. Jaki dziwny ten kontrast między tak absolutnym spokojem a tumultem w jego wnętrzu, bo piekielny hałas sześciu ostatnich dni nadal brzmiał w jego uszach i wystarczyła sekunda milczenia, by powrócił: trzask gnieczonego metalu, uderzenia żelaznego młota opadającego głuchymi i powolnymi ciosami na gigantyczne kowadło. Jeana-Marie przeszedł dreszcz, oblał się potem. To zgrzyt ostrzeliwanych wagonów, trzask podkładów i stali zagłuszający krzyki ludzi. Powiedział głośno:

— Trzeba by jednak o tym wszystkim zapomnieć, prawda?

— Co pan powiedział? Coś panu potrzeba?

Nie odpowiedział. Nie rozpoznawał już Cécile i Madeleine.

Zaniepokojone kręciły głowami.

— Rośnie mu gorączka.

— Przez ciebie za dużo mówił.

— No co ty! Przecież on nic nie mówił. To my mówiłyśmy cały czas.

— I to go zmęczyło.

Madeleine pochyliła się nad Jeanem-Marie. Zobaczył tuż

nad sobą różowy policzek pachnący truskawkami. Pocałował go!  
Dziewczyna wyprostowała się zarumieniona, roześmiała się,  
przyglądając niesforne kosmyki włosów.

— No i proszę, tak mnie pan przestraszył... nie jest pan taki chory!  
A on myślał: Co to za dziewczyna? Pocałował ją tak, jakby podniósł do  
ust szklanke zimnej wody. Płonął, gardło, cała jama ustna zdawała się  
spękana od gorąca, wysuszona siłą płomieni. Ta cudowna i gładka skóra  
go ukoi. Równocześnie odczuwał jasność umysłu, jaką niesie jedynie  
bezsensowność i gorączka. Zapomniał imiona tych dziewcząt, zapomniał też  
własne imię. Wysilek umysłowy niezbędny do zrozumienia swojego  
aktualnego stanu w tym miejscu, którego nie rozpoznawał, wydawał mu  
się zbyt wielki. Wyczerpywało go to, ale w tym oderwaniu od  
rzeczywistości jego duch unosił się lekki i pogodny jak ryba w wodzie,  
jak ptak unoszony wiatrem. Nie widział siebie, Jeana-Marie Michaud, ale  
kogoś innego, anonimowego żołnierza, pokonanego, który jednak się nie  
załamywał, młodego człowieka rannego, który nie chciał umierać,  
nieszczęśnika, który nie poddawał się desperacji. Trzeba będzie się jakoś  
z tego wyplątać... Uwolnić od tej krwi, błota, w które się zapada... Nie  
położy się przecież tutaj i nie umrze... Chyba nie? To byłoby zbyt głupie.  
Trzeba się trzymać... trzymać... trzymać..., mamrotał i ocknął się z  
szeroko otwartymi oczami skulony na łóżku, patrzył w noc księżycowej  
pełni, noc pachnącą, cichą, błyszczącą, tak słodką po gorącym dniu,  
przyjmowaną na fermie otwartymi drzwiami i oknami wbrew zwy-  
czajom, ale w nadziei, że ta noc odświeży i uspokoi rannego.

Kiedy proboszcz Pericand znalazł się na drodze razem z chłopcami, którzy szli, powłócząc nogami w pyle drogi, taszcząc swoje koce i chlebaki, postanowił oddalić się od Loary pełnej niebezpieczeństw i wejść do lasu. Jednak biwakowało już tu wojsko, więc ksiądz uznał, że żołnierzy prędzej czy później wypatrzy nieprzyjacielski samolot i że w zaroślach zagrożenie jest identyczne jak nad rzeką. Toteż zszedł z szosy i znalazł się na kamienistej polnej drodze, niemal ścieżce, ufając, że instynkt zaprowadzi go do jakiegoś odosobnionego domostwa, jak w górach, kiedy prowadził swoją ekipę narciarzy do jakiegoś schroniska zagubionego we mgle lub zamieci śnieżnej. Teraz był cudowny czerwcowy dzień, tak wspaniały i ciepły, że chłopcy poczuli się oszołomieni. Do tej pory milczący i grzeczni, zbyt grzeczni, przepychali się teraz, pokrzykiwali, a księdza Pericand zaskoczyły śmiechy i wyciszane strzępki piosenek. Nastawił ucha, usłyszał za sobą wyszeptywany sprośny refren, jakby bzyk półotwartych ust. Zapropomował, żeby zaśpiewali chórem piosenkę wędrowną. Zaintonował, energicznie wymawiając słowa, ale poszło za nim zaledwie kilka głosów. Po paru chwilach wszystkie umilkły. Więc maszerował w milczeniu, zastanawiając się, jakie uczucia obudziła nagła swoboda w tych nieszczęsnych dzieciach. Jakie podejrzone pragnienia? Jakie marzenia? Jeden z młodszych chłopców zatrzymał się nagle i zawołał: „Jaszczurka, och, jaszczurki! Patrzcie!”. W słońcu między dwoma kamieniami pokazały się zwinne ogonki, znik-

nęły; widać było delikatne płaskie łebki; szyje unosiły się i opadały, pulsując gwałtownie z przerażenia. Kilku chłopców przyklekło nawet na ścieżce. Ksiądz chwilę poczekał, po czym dał znak wymarszu. Dzieci podniosły się potulnie, ale w tym samym momencie z ich rąk posypały się kamienie z taką zręcznością, z tak zadziwiającą szybkością, że dwie jaszczurki, najpiękniejsze i największe, niemal niebieskoszare, zginęły na miejscu.

— Dlaczego to zrobiliście? — spytał ksiądz, a w jego głosie wyczuwało się nagane.

Nikt nie odpowiedział.

— Dlaczego? To tchórzostwo!

— Bo one tak jak żmije, gryzą — wyjaśnił chłopiec o wynędzniałej, wylęknionej twarzy, z długim, ostro zakończonym nosem.

— Co za bzdury! Jaszczurki są nieszkodliwe.

— Nie wiedzieliśmy o tym, proszę księdza — odpowiedział chłopiec tym swoim głosem włóczęgi z fałszywą niewinnością, która nie zmyliła duchownego.

Uznał jednak, że to nie czas i miejsce, żeby zatrzymać się nad tą sprawą, więc zadowolił się krótkim skłonieniem głowy, jakby usatysfakcjonowany odpowiedzią, dodał jedynie;

— Teraz już wiecie.

Ustawił ich w szeregi do dalszego marszu. Do tej pory pozwolił im iść w swobodnym szyku, ale nagle przyszło mu do głowy, że niektórzy mogą próbować ucieczki. Wykonali jego polecenie bez słowa, automatycznie, wytresowani niewątpliwie dźwiękami gwizdka do posłuchu, do obowiązkowego milczenia, że aż ścisnęło mu się serce. Przebiegł wzrokiem po twarzach, które nagle spochmurniały, zgasły, zamknęły się tak, jak można zamknąć dom, drzwi na zasuwę. Tak dusza zapada się w głąb siebie, nieobecna lub martwa. Powiedział:

— Musimy się pośpieszyć, jeśli chcemy znaleźć jakieś schronienie na noc, ale kiedy będę wiedział, gdzie nocujemy i jak już zjemy kolację (bo niedługo zaczniecie być głodni), rozpalimy ognisko i posiedzimy przy nim, jak długo zechcecie.

Szedł pomiędzy nimi, opowiadał o swoich dzieciach w Owernii, o nartach, o wyprawach w góry, starając się ich zaintereso-

wać, zbliżyć ich do siebie, ale były to próżne wysiłki. Zdawało się, że nawet go nie słuchają; rozumiał, że wszystkie kierowane do nich słowa, zachęty, potępienia, nauki nigdy do nich nie dotrą, bo ich dusza jest zamknięta, zamurowana, głuchoniema.

Gdybym mógł zatrzymać ich na dłużej, mówił sobie. Jednak w głębi serca wiedział, że tak naprawdę wcale tego nie chce. Chciał tylko jednego: jak najszybciej się od nich uwolnić, wyzwolić od odpowiedzialności i poczucia dyskomfortu, które mu ciążyło. Myślał z pokorą, że nie mógłby się teraz poddać temu prawu miłości, które dotychczas wydawało mu się właściwie łatwe, tak wielką łaską Bożą był obdarzony, „choć teraz po raz pierwszy wymagałoby to z mojej strony wysiłku, prawdziwego poświęcenia. Jakże jestem słaby!”. Przywołał do siebie jednego z młodszych chłopców, który ciągle zostawał w tyle.

— Jesteś zmęczony? Masz niewygodne buty?

Rzeczywiście buty dzieciaka były za ciasne i chodzenie sprawiało mu ból. Wziął chłopca za rękę, chcąc mu pomóc, mówił do niego cicho i łagodnie, a ponieważ chłopiec źle się trzymał, miał zgarbione ramiona, okrągłe plecy, ksiądz delikatnie ujął jego szyję dwoma palcami, zmuszając go w ten sposób do wyprostowania się. Chłopiec nie stawiał oporu. Wprost przeciwnie, patrząc w dal z obojętną miną, oparł szyję na rękę, a ten tępy, uporczywy nacisk, ta dziwna, dwuznaczna pieśczoć czy raczej to oczekiwanie na pieśczoć sprawiło, że krew napłynęła do twarzy księdza. Wziął chłopca pod brodę i próbował spojrzeć mu w oczy, ale oczy dziecka pozostawały niewidoczne pod opuszczonymi powiekami. Przyśpieszył kroku, starając się pozbierać; jak robił to zawsze w chwilach smutku, zaczął wygłaszać do siebie przemowę; nie była to bowiem modlitwa w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Często nie były to nawet konkretne słowa, tylko kontemplacja, z której zawsze wychodził skąpany w radości i pokoju. Ale dziś tak się nie stało. Litość, jaką odczuwał, zatruwało ziarno niepokoju i goryczy. Tym nieszczęsnym istotom brakowało łaski: Jego łaski. Chciałby przelać ją na nich, zaszcześcić w tych jałowych sercach wiarę i miłość. Niewątpliwie wystarczyło jedno westchnienie Ukrzyżowanego, uderzenie skrzydeł jednego z jego aniołów, by dokonał się cud, ale czyż on, Philippe



Pericand, nie został wyznaczony przez Boga po to, by zmiękczać, otwierać dusze, przygotowywać je na przyjście Boga? Cierpiał, ponieważ nie był do tego zdolny. Jemu oszczędzono chwil zwątpienia i nagłej oschłości, która ogarnia wierzącego, nie wydając go przy tym, i porzuca go w połowie drogi między szatanem a Bogiem, pogrążonego w kompletnych ciemnościach.

Dla niego pokusa polegała na czymś innym: był to rodzaj świętej niecierpliwości, chęć zgromadzenia wokół siebie tych dusz wyzwolonych; gorączkowy pośpiech, który, kiedy tylko zdobył jakąś duszę dla Boga, pchał go do kolejnych batalii, pozostawiając zawsze w stanie frustracji, nieusatisfakcjonowania, niezadowolenia z siebie. To nie wystarcza! Nie, Chryste, to nie wystarcza! Ten niewierzący starzec, który się wypowiadał, w swojej ostatniej godzinie przyjął komunię; grzesznica, która wyrzekła się swojego występku; poganin, który zapragnął chrztu. To nie dosyć, nie dosyć! Doznawał wówczas czegoś podobnego do żądzdy skąpca gromadzącego złoto. Chociaż nie, to było zupełnie co innego. Przypominało mu to godziny spędzane w dzieciństwie nad rzeką; ten dreszcz radości przy każdej schwytej rybie (teraz trudno mu było zrozumieć, jak mógł kochać tę okrutną zabawę; trudno mu było nawet jeść ryby: warzywa, nabiał, świeże pieczywo, kasztany i ta gęsta chłopska zupa, w której stawała łyżka, zupełnie mu wystarczały ale jako dziecko był zapalonym rybakim), przypominał sobie niepokój w chwili, gdy słońce chowało się w wodzie, że tak niewielki ma połów, a wolny dzień się kończył. Zarzucano mu ten nadmiar skrupułów. On sam obawiał się, że nie płyną one od Boga, tylko od tamtego... Mimo wszystko nigdy nie odczuwał tego tak mocno jak teraz, na tej drodze, pod niebem pełnym morderczych samolotów, wśród tych dzieci, którym uratuje jedynie ciała.

Szli już od jakiegoś czasu, kiedy spostrzegli pierwsze domy. Miasteczko było nieduże, niezniszczone i puste, jego mieszkańcy uciekli. Jednak przed odejściem solidnie zaryglowali drzwi i okna; zabrali z sobą psy, króliki i kury. Zostało jedynie parę kotów, które spały w słońcu na ogrodowych alejkach albo spacerowały po dachach, najwyraźniej najedzone i zadowolone.

A że był to sezon róż, nad każdym gankiem otwierał się piękny kwiat, mocno rozwinięty, roześmiany, pozwalający osom i bąkom wchodzić w swoje wnętrza i pochłaniać serce. Ta miejscowość opuszczona przez ludzi, gdzie nie słychać było ani kroków, ani głosu, ani żadnych dźwięków wsi — skrzypu taczek, gruchania gołębi, gdakania kurnika — stała się królestwem ptaków, pszczół i szerszeni. Philippe'owi zdawało się, że nigdy nie słyszał tylu radosnych i wibrujących treli, nigdy nie widział tylu rojów. Ze stert siana, z truskawek, wiśni, z niewielkich pachnących kwiatów na klombach, z każdego krzaczka, każdej kępki i źdźbła trawy dochodził dźwięk jak słodkie mruczenie kołowrotka. Ogródki były bardzo zadbane, uprawiano je z czułością, w każdym były pnące róże i altanka, wokół której zachowały się jeszcze ostatnie bzy, w środku dwa żelazne krzesła, a przed nią ławeczka na słońcu. Porzeczeki były olbrzymie, przezroczyste i złote.

— Jaki dobry deser na dzisiejszy wieczór — powiedział Philippe. — Ptaki będą musiały się z nami podzielić, nikomu nie zrobimy krzywdy, zrywając trochę owoców. Wszyscy macie dobrze zaopatrzone chlebaki, więc nie będziemy głodni. Nie liczcie na to, że będziecie spali w łózkach. Sądzę, że nie boicie się nocy pod gołym niebem? Macie ciepłe koce. Więc czego nam potrzeba? Wystarczy łąka i źródło. Domyślam się, że stodoły i stajnie mniej was interesują. Mnie też, pod gołym niebem jest tak pięknie. Zjedzcie więc trochę owoców, żeby się pokrzepić, i chodźcie za mną, musimy znaleźć dobre miejsce.

Czekał kwadrans, podczas którego dzieci napychały się truskawkami; obserwował je uważnie, żeby nie łamały kwiatów i warzyw, ale nie musiał zwracać im uwagi, naprawdę chłopcy zachowywali się bardzo grzecznie. Tym razem nie użył gwizdka, tylko trochę podniósł głos.

— No chodźcie, zostawcie trochę na wieczór. Za mną. Jeśli nie będziecie się zbyt ociągać, zwolnię was z maszerowania w szeregu.

Jeszcze raz posłuchali. Patrzyli na drzewa, na niebo, kwiaty, a Philippe nie potrafił odgadnąć, o czym myślą... zdawało się, że nie przemawia do ich serc świat widzialny, tylko ten

oszałamiający zapach czystego powietrza i swobody, tak dla nich nowy.

— Żaden z was nie zna wsi? — spytał Philippe.

— Nie, proszą księdza, nie, proszą pana, nie — odpowiadali jeden przez drugiego, ale bez pośpiechu.

Philippe już zdążył zauważyć, że zawsze odpowiadali dopiero po kilku sekundach milczenia, jakby wymyślali jakiś fortel, kłamstwo lub jakby nie zawsze dokładnie rozumieli, czego się od nich oczekuje. Stale to poczucie, że ma się do czynienia z istotami... niezupełnie ludzkimi, pomyślał. I głośno powiedział:

— Pośpieszmy się.

Po wyjściu z miasteczka zobaczyli ogromny park, źle utrzymany, z pięknym, głębokim, czystym stawem i domem na wzgórzu.

Na pewno pałac, pomyślał Philippe. Zadzwoił do bramy w nadziei, że znajdzie zamieszkaną rezydencję, ale domek strażnika był zamknięty i nikt nie zareagował na dzwonek.

— A tam jest łąka, która wydaje się jakby stworzona dla nas — powiedział Philippe, pokazując ręką brzegi stawu. — Co wy na to, chłopcy, zrobimy tu mniej szkody niż w tych małych zadbanych ogródkach, będzie nam tu lepiej niż przy drodze, a gdyby nadeszła burza, na pewno będziemy mogli się schować w kabinach kąpielowych.

Park był ogrodzony tylko drucianą siatką, którą przeszli bez trudu.

— Nie zapominajcie — mówił ze śmiechem Philippe — że daję wam przykład włamania, toteż wymagam absolutnego poszanowania tej nieruchomości, ani jednej złamanej gałęzi, żadnych papierów porzuconych w trawie, żadnej pustej puszkę po konserwach. Rozumiemy się? Jeśli będziecie grzeczni, jutro pozwolę wam się wykąpać w stawie. Wysoka trawa sięgała im do kolan; deptali kwiaty, Philippe pokazał im kwiatki Matki Boskiej, gwiazdki o sześciu białych płatkach i kwiatki świętego Józefa, jasny, niemal różowy bez.

— Czy można je zerwać, proszę pana?

— Tak, te możecie rwać w dowolnych ilościach. Wystarczy

trochę deszczu i słońca, by rosły. Tamto kosztowało wiele troski i wysiłku — wskazał na kobierce posadzone wokół zamku. Jeden z chłopców stojący obok niego podniósł drobną twarzyczkę, kwadratową i bladą, z wystającymi kośćmi policzkowymi, patrząc na wielkie zamknięte okna.

— Tam w środku to musi być dużo rzeczy!

Mówił cicho, ale z jakąś zapiekłą chciwością, która zaniepokoiła księdza. A ponieważ nie odpowiadał, dzieciak nalegał:

— Prawda, proszę księdza, że tam musi być dużo rzeczy?

— Nigdy nie widzieliśmy takiego domu — dorzucił inny chłopiec.

— Na pewno jest tam wiele pięknych przedmiotów, meble, obrazy, posągi... ale wielu właścicieli zamków jest bankrutami, więc moglibyście doznać zawodu, jeśli spodziewalibyście się cudów — powiedział wesoło Philippe. — Przypuszczam, że to, co interesuje was najbardziej, to zapasy w spiżarni. Ale ludzie z tego regionu wydają się przewidujący, więc chyba wszystko zabrali z sobą. Zresztą skoro i tak nie moglibyśmy niczego tknąć, bo to nie należy do nas, więc lepiej w ogóle o tym nie myśleć i zadowolić się tym, co mamy. Podzielimy się na trzy grupy: jedna przyniesie suche drewno, druga nabierze wody, a trzecia przygotowuje jedzenie.

Pod jego kierunkiem pracowali szybko i dobrze. Na brzegu stawu zapłonęło wielkie ognisko; najedli się, napili, nazbierali poziomek. Philippe chciał zorganizować jakieś gry, ale chłopcy grali z ponurymi minami, niezadowoleni, bez okrzyków, bez śmiechów. Staw nie błyszczał już w słońcu, wydawał słabe lśnienie, z brzegów dochodziły krzyki żab. Ogień oświetlał nieruchome sylwetki dzieci, owiniętych kocami.

— Chcecie spać? Nikt nie odpowiedział.

— Nie jest wam zimno? Znowu cisza.

Przecież nie wszyscy usnęli, pomyślał ksiądz. Wstał i przeszedł między rzędami. Czasami pochylał się, przykrywał bardziej wychudzone ciało, węższe od innych, patrzył na czaszkę z płasko przylegającymi włosami, odstające uszy. Oczy mieli

zamknięte. Albo udawali, albo naprawdę ogarnął ich sen. Philippe wrócił w pobliże ognia odmówić brewiarz. Chwilami podnosił wzrok i spoglądał na odbicia na wodzie. Te chwile milczącej medytacji pozwalały mu odpocząć po wszystkich trudach, wynagradzały wszystkie nieprzyjemności. Znowu miłość przenikała do jego serca jak deszcz w wysuszoną glebę, najpierw kropla po kropli, z trudem torując sobie drogę między kamieniami, a potem długim szybkim strumieniem, który odnalazł przejście.

Biedne dzieciaki! Jednemu coś się śniło, wypowiadał przez sen długą monotonną skargę. Ksiądz podniósł rękę w ciemności, pobłogosławił chłopców, wyszeptał modlitwę: *Pater ämat vos*. Lubił mówić to swoim uczniom katechizmu, kiedy wzywał ich do pokuty, rezygnacji, modlitwy. „Ojciec was kocha”. Jak mógł przypuszczać, że tym nieszczęśnikom brakuje łaski? Może on będzie mniej kochany od nich, traktowany z mniejszym pobłażaniem, mniejszą boską czułością niż najskromniejszy, najbardziej upadły z nich? O Chryste, wybacz mi! To dzieło pychy, zasadzka szatana! Kimże jestem? Mniej niż niczym, pyłem pod Twymi uwielbianymi stopami, o Panic! Tak, to nie ulega wątpliwości, masz prawo wymagać ode mnie wszystkiego, ode mnie, którego kochałeś, którym opiekowałeś się od dzieciństwa, którego prowadziłeś do siebie. Ale te dzieci... jedni zostaną wybrani... a inni... Święci je odkupią... Tak, wszystko jest dobrze, wszystko jest łaską... Jezu, przebac mi mój smutek.

Woda szumiała cichutko, noc była uroczysta i spokojna. Ta obecność, bez której nie potrafiłby żyć, to tchnienie, to spojrzenie spoczywały na nim w mroku. Dziecko śpiące w ciemności, przytulone do matczyngo serca nie potrzebuje światła, by rozpoznać kochane rysy, ręce, pierścionki!

Roześmiał się cichutko ze szczęścia. „Jezu, jesteś tutaj, znowu jesteś. Zostań przy mnie, Przyjacielu godny uwielbienia!”. Wysoki czerwony płomień rozblęsnął z czarnego polana. Było późno, wschodził księżyc, ale Philippe'owi nie chciało się spać. Wziął koc, rozciągnął się na trawie. Leżał z szeroko otwartymi oczami, czuł na policzku dotyk kwiatu. W tym zakątku ziemi nie było słycać żadnego szmeru.

Nic nie słyszał, niczego nie widział, szóstym zmysłem zauważył bezszelestny marsz dwóch chłopców kierujących się do pałacu. Działo się to tak szybko, że początkowo zdawało się snem. Nie chciał wołać, żeby nie pobudzić śpiących dzieci. Wstał, otrzepał sutannę, do której przylgnęły źdźbła trawy i płatki kwiatów, i także skierował się do zamku. Gęsty gazon tłumiał odgłos kroków. Przypomniawszy sobie, że w jednym z okien widział źle zamkniętą, uchyloną okiennicę. Owszem, nie mylił się. Księżyc oświetlił fasadę. Jeden z chłopców pchał okiennicę, wyważał ją. Philippe nic miał czasu krzyknąć, zatrzymać ich, bo już kamień tłukł szybę, spadały kawałki szkła. Chłopcy kocim skokiem dostali się do wnętrza.

— Ach wy nicponie, już ja się wami zajmę! — krzyknął Philippe. Podniósł sutannę aż do kolan i tą samą drogą wszedł do salonu; meble były w pokrowcach, wielki zimny parkiet błyszczał. Macał przez chwilę palcami, nim trafił na włącznik światła. Kiedy zapalił, nie zobaczył nikogo. Zawahał się, rozejrzał (chłopcy się schowali albo uciekli): kanapy, fortepian, berzery pokryte pokrowcami, niebiesko-zielone kotary w kwiaty na oknach tworzyły doskonałe kryjówki. Podeszedł do głębokiej wnęki, ponieważ poruszyła się tkanina: gwałtownym ruchem rozsunał zasłony, za nimi stał jeden z chłopców, jeden z najstarszych, już prawie mężczyzna z czemiawą twarzą, dość ładnymi oczami, niskim czołem i masywną szczęką.

— Po co tu przyszliście? — spytał ksiądz.

Za sobą usłyszał szmer, więc się odwrócił; dokładnie za jego plecami stał drugi chłopiec, on też miał siedemnaście czy osiemnaście lat, żółtawą cerę, wargi zaciśnięte i pogardliwe; można by powiedzieć, że pod skórę wstrzyknięto mu bestię. Ksiądz miał się na baczności, ale oni byli szybsi od niego; rzucili się w sekundę, jeden przewrócił go podstawieniem nogi, a drugi chwycił za gardło. Jednak Philippe bronił się w milczeniu, skutecznie. Udało mu się złapać jednego z chłopców za kołnierz, ścisnął tak mocno, że chłopak musiał go puścić. W trakcie szamotaniny z kieszeni chłopaka coś wypadło i potoczyło się po podłodze. To były pieniądze.

— Brawo, nie traciłeś czasu — powiedział Philippe, siedząc na podłodze lekko podduszony.

Przede wszystkim nie robić z niczego tragedii, wyprowadzić ich stąd, a pójść za mną jak szczenięta. A jutro zobaczymy!, myślał.

— Wystarczy, już dosyć tych wygłupów, wychodźcie stąd. Ledwie zdążył to powiedzieć, a znowu się na niego rzucili, skokiem bezszelestnym, dzikim i rozpaczliwym; jeden z nich ugryzł go, pokazała się krew.

Oni mnie zabijają, pomyślał Philippe ze zdumieniem. Wczepili się w niego jak wilki. Nie chciał im zrobić krzywdy, ale musiał się bronić; ciosami pięści, kopniakami odpychał ich, a oni wznawiali ataki z jeszcze większą zaciętością, jak obłąkane bestie. Mimo wszystko Philippe okazałby się silniejszy, gdyby nie dostał w głowę meblem, stoliczkiem o nogach z brązu; upadł, a upadając usłyszał, jak jeden z chłopców podbiegł do okna i gwizdnął. Później już niczego nie widział: ani dwudziestu ośmiu niedorostków gwałtownie obudzonych, biegnących przez trawnik, wskakujących przez okno, ani ataku na delikatne meble, które wybebeszano, łamano, wyrzucano przez okno. Chłopcy byli pijani, tańczyli wokół leżącego księdza, śpiewali i krzyczeli; mały chłopiec o twarzyczce dziewczynki skakał ze złączonymi stopami po sofie, której stare sprężyny jęczały żałośnie. Najstarsi odkryli skrzynkę na wino, przyciągnęli ją do salonu, popychali kopniakami; kiedy ją otworzyli, okazała się pusta, ale nie potrzebowali wina, żeby się oszołomić; wystarczała im jatka, stanowiła źródło przerażającego szczęścia. Ciągnęli Philippe'a za nogi, wyrzucili przez okno, ciężko spadł na trawnik. Nad brzegiem jeziora podnieśli go, rozhuścili jak paczkę — hop! leć! na śmierć!, krzyczeli głosami ochryplymi, wykastrowanymi, niektóre z nich zachowały jeszcze dziecięce brzmienie. Ale kiedy Philippe upadł w wodę, żył jeszcze. Podtrzymywał go przy życiu instynkt samozachowawczy lub ostatni przyptyk odwagi; trzymał się dwiema rękami gałęzi drzewa i usiłował unieść głowę nad wodę. Twarz poznaczona ciosami pięści i obcasów była purpurowa, spuchnięta, straszna i groteskowa. Rzucali w niego kamieniami. Początkowo trzymał się dobrze,

wszystkimi siłami wczepiony w gałąź, która chwiała się, trzeszczała, łamała. Próbował przedostać się na drugi brzeg, ale spadał na niego grad kamieni. W końcu podniósł obie ręce, zasłonił nimi twarz, a chłopcy zobaczyli, jak zanurza się wyprostowany w czarnej sutannie. Nie utopił się, wciągał go muł. I tak umarł, w wodzie po pas, z głową odrzuconą do tyłu, z okiem wybitym przez kamień.



W katedrze Najświętszej Panny w Nîmes co roku odprawiano mszę za zmarłych członków rodziny Péricand -Maltête, a ponieważ w Nîmes została już tylko matka pani Péricand, nabożeństwo to zazwyczaj trwało bardzo krótko w bocznej kaplicy, a uczestniczyła w nim stara kobieta, na pół niewidoma, otyła, której chrapliwy oddech zagłuszał słowa księdza, i kucharka pracująca u rodziny od trzydziestu lat. Pani Péricand nazywała się z domu Craquant, spokrewniona z rodziną Craquant z Marsylii, która wzbogaciła się na handlu oliwą. To pochodzenie wydawało jej się bez wątpienia zaszczytne (a jej posag wynosił dwa miliony, dwa przedwojenne miliony), ale bladło wobec blasku nowych koligacji. Zdanie to podzielała jej matka, stara pani Craquant, i po przeniesieniu się na stare lata do Nîmes bardzo wiernie przestrzegała wszystkich rytuałów rodu Péricandów, modliła się za zmarłych, żywym przesyłała gratulacje z okazji ślubów i chrzcin, jak ci Anglicy z kolonii, którzy upijali się samotnie, kiedy w Londynie fetowano urodziny monarchini. Szczególnie odpowiadała pani Craquant ta msza za zmarłych, ponieważ po ceremonii, wracając z katedry, wstępowała do cukierni, gdzie wypijała filiżankę czekolady i zjadała dwa croissanty. Była bardzo gruba i lekarz kazał jej przestrzegać ścisłej diety, ale że wstawiała tego dnia wcześniej niż zwykle i przechodziła przez całą długość katedry, od wielkiego rzeźbionego portalu aż do swojej ławki, co bardzo ją męczyło, więc

pochłaniała te wzmacniające produkty bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Czasami nawet, kiedy kucharka, której bardzo się bała, odwróciła się w drugą stronę i stała przy drzwiach sztywna i milcząca, trzymając w ręku dwie książeczki do nabożeństwa, z czarnym szalem pana Croquant na plecach, przyciągała bliżej całą paterę z ciastkami i z niedbałą miną pożerała a to kremówkę, a to tartę z czereśniami, albo i jedną, i drugą.

Na zewnątrz, wystawiona na działanie słońca i much, czekała bryczka zaprzęzona w dwa stare konie i powożona przez woźnicę niemal tak grubego jak sama pani Croquant.

W tym roku rytuał został naruszony: kiedy Péricandowie przybyli do Nîmes po czerwcowych wydarzeniach, dowiedzieli się o śmierci starego pana Péricand-Maltête'a i Philippe'a. O tej pierwszej zostali powiadomieni przez siostry z hospicjum, gdzie staruszek zmarł śmiercią „spokojną, ufną, chrześcijańską”, jak napisała siostra Marie od Najświętszego Sakramentu, przy czym swoją dobroć dla najbliższych posunął do tego stopnia, że zajął się najdrobniejszymi szczegółami testamentu, który zostanie sporządzony możliwie najszybciej.

Pani Péricand wielokrotnie przeczytała ostatnie zdanie, westchnęła, a na jej twarzy odmalował się niepokój, który jednak szybko ustąpił skrusze chrześcijanki na wieść o tym, że bliska osoba odeszła pogodzona z Panem Bogiem.

— Moje dzieci, wasz dziadek jest już z małym Jezusem — powiedziała. Dwie godziny później wyjawiono jej drugi cios, jaki spadł na rodzinę, nie towarzyszyły temu jednak żadne szczegóły, mer małego miasteczka w departamencie Loary poinformował, że ksiądz Philippe Péricand zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, i dołączył dokumenty poświadczające tożsamość księdza. Trzydziestu chłopców powierzonych jego opiece gdzieś przepadło, a ponieważ jedna połowa Francji szukała drugiej połowy, nikogo to nie zdziwiło. Mówiło się o ciężarówce, która wpadła do rzeki niedaleko od miejsca, gdzie śmierć dosięgła Philippe'a, więc jego rodzice byli przekonani, że chodziło o niego i o te nieszczęsne sieroty. W końcu powiedziano pani Péricand, że Hubert poległ w bitwie pod Moulins. Tym razem

katastrofa była kompletna. Ogrom nieszczęścia wyrwał z jej piersi okrzyk zrozpaczonej dumy.

— Urodziłam bohatera i świętego — powiedziała. — Nasi synowie płacą za cudzych synów — szepnęła posepnie, patrząc na swoją kuzynkę Craquant, której jedyny syn znalazł sobie spokojne miejsce w biernej obronie Tuluzy. — Kochana Odette, serce mi krwawi, przecież wiesz, że żyłam tylko dla moich dzieci, że byłam matką, tylko i wyłącznie matką (pani Craquant, która w młodości zachowywała się dość swobodnie, opuściła głowę), ale przysięgam ci, że duma, jaką odczuwam, każe mi zapominać o żalobie.

Wyprostowana i pełna godności, czując już unoszące się wokół siebie kiry, odprowadziła do drzwi kuzynkę, która westchnęła pokornie:

— Och, ty jesteś prawdziwą Rzymianką.

— Po prostu dobrą Francuzką — oznajmiła pani Péricand oziębłym tonem, odwracając się do kuzynki plecami.

Te słowa trochę złagodziły jej głęboki smutek. Zawsze szanowała Phillippe'a, zrozumiała jednak, że nie jest on z tego świata, wiedziała, że misje były jego marzeniem i że jeśli się ich wyrzekł, to w wyniku wyrafinowanej pokory, wybierając służbę Bogu w sposób dla siebie najtrudniejszy: podporządkowanie się zadaniom najbardziej zwyczajnym. Miała pewność, że syn jest teraz blisko Jezusa. Kiedy mówiła to o swoim teściu, odczuwała wewnętrzne wątpliwości, które sobie wyrzucała, a jednak... A co do Philippe'a, to powtarzała sobie: „Widzę go, jakbym przy tym była”. Owszem, z Philippe'a mogła być dumna, blask tej duszy oświecił ją. Najdziwniejsze jednak było to, co działało się z nią na myśl o Hubercie, tym Hubercie, który w liceum zbierał najgorsze stopnie, który obgryzał paznokcie, miał palce poplamione atramentem, o Hubercie z ładną pyzatką buzią, dużymi świeżymi ustami. Hubert, który zginął śmiercią bohatera. To wprost niewyobrażalne... opowiadała wzruszonym przyjaciołom o wyjeździe Huberta (próbowałam go zatrzymać, ale zorientowałam się, że to niemożliwe. Był dzieckiem, ale dzielnym dzieckiem i poległ za honor Francji). Jak mówi Rostand: „To tym piękniejsze, im bardziej bezużyteczne”. Odtwarzała przeszłość. Zdawało jej się, że naprawdę

wypowiedziała te wszystkie dumne słowa, że wysłała swego syna na wojnę.

Nîmes, które patrzyło na nią dotychczas nie bez pewnej uszczypliwości, teraz darzyło tę matkę bolesną niemal czułym szacunkiem.

— Dzisiaj będziemy mieli całe miasto — westchnęła stara pani Craquant z melancholijną satysfakcją.

Był trzydziesty pierwszy lipca. O dziesiątej miała zostać odprawiona owa msza za umarłych, do których tragiczny los dorzucił trzy nazwiska.

— Och, mamó, co to za różnica? — odpowiedziała córka, choć trudno było powiedzieć, czy te słowa odnosiły się do próżności takiej pociechy, czy płynęły z marnej opinii o współobywatelach.

Miasto błyszczało w gorącym słońcu. W ludnych dzielnicach ponury i suchy wiatr poruszał wiszące w drzwiach zasłony z kolorowych paciorków. Muchy dokuczały, czuło się burzę. Nîmes, zwykle śpiące o tej porze roku, było pełne ludzi. Uciekinierów, którzy zalali miasto, zatrzymał dodatkowo brak benzyny i prowizoryczne zamknięcie granicy na Loarze. Ulice i place zamieniły się w parkingi samochodowe. Nie było już ani jednego wolnego pokoju. Do tej pory ludzie spali na ulicy i garść słomy zamiast łóżka stawała się luksusem. Miasto Nîmes szczyciło się wypełnieniem obowiązku wobec uchodźców, a nawet więcej. Przyjęło ich z otwartymi ramionami, przyciskało do serca. Nie było rodziny, która nie ofiarowałaby gościny nieszczęśnikom. Szkoda tylko, że ten stan rzeczy przedłużał się ponad rozsądną miarę. Rodziła się kwestia aprowizacji, a ponadto nie należało zapominać, mówiło Nîmes, że ci wszyscy nieszczęśliwi uchodźcy wycieńczeni podróżą staną się ofiarą najstraszniejszych epidemii. I w ten sposób aluzyjnie, a za pośrednictwem prasy w sposób mniej zawoalowany i bardziej brutalny niż z ust mieszkańców, błagano ich każdego dnia, żeby odjechali jak najszybciej, na co dotychczas nie pozwalały okoliczności.

Pani Craquant, która gościła całą swoją rodzinę, mogła dzięki temu odmówić z podniesionym czołem wszelkiej pomocy innym, choćby oddania jednej zmiany pościeli. Ożywienie, które

docierało do jej uszu przez opuszczone żaluzje, wyraźnie ją podniecało. Przed pójściem do kościoła jadła rano śniadanie razem z małymi Péricandami. Pani Péricand patrzyła, jak jedzą, ale sama nawet nie tknęła podawanych dań, smakowitych mimo restrykcji, dzięki zapasom żywności gromadzonym w olbrzymich szafach od chwili wypowiedzenia wojny.

Pani Craquant ze śnieżnobiałą serwetką rozpostartą na obfitej piersi kończyła trzecią grzanekę z masłem, czuła jednak, że trawienie nie pójdzie jej dobrze; niepokoił ją nieruchomy i chłodny wzrok córki. Na chwilę przestawała jeść i nieśmiało przyglądała się pani Péricand.

— Charlotte, nie wiem dlaczego w ogóle jem, wcale mi to nie idzie.

Pani Péricand odparła z lodowatą ironią.

— Trzeba się zmuszać, mamó. Przysunęła matce dzbanek z czekoladą.

— No dobrze, Charlotte, nalej mi jeszcze pół filiżanki, ale nie więcej !

— Wie mama, że to już trzecia?

Jednak pani Craquant zdawała się dotknięta nagłą głuchotą.

— Tak, tak — mówiła niejasno, kiwając głową. — Masz rację, Charlotte, trzeba się wzmocnić przed tą smutną ceremonią. — I z westchnieniem popijała czekoladę z pianką.

Tymczasem rozległ się dzwonek i ktoś ze służby przyniósł pani Péricand paczkę. Były w niej portrety Philippe'a i Huberta. Dała do oprawy zdjęcia swoich synów. Długo się im przyglądała, po czym wstała, postawiła je na konsoli. Cofnęła się trochę, żeby sprawdzić efekt, a następnie przyniosła ze swojego pokoju dwie rozetki z krepy, dwie trójkolorowe wstążeczki, i udrapowała je na ramkach. W tym momencie rozległy się szlochy niani stojącej w progu z Emmanuelem na rękach. Jacqueline i Bernard też zaczęli płakać. Pani Péricand wzięła każde z nich za rękę, delikatnie zmusiła do wstania i poprowadziła do konsoli.

— Moi kochani, dobrze się przyjrzyjcie swoim starszym braciom. Proście Pana Boga, żeby obdarzył was łaską i pozwolił, by byli dla was wzorem. Postarajcie się być grzeczni, posłuszni i pracowici jak oni. Byli tak dobrymi synami — mówiła pani

Péricand głosem pełnym bólu. — Nic więc dziwnego, że Bóg ich wynagrodził, przyznając im palmę męczeństwa. Nie trzeba płakać. Są teraz blisko Pana Boga; widzą nas i chronią. Powitają nas tam na górze, a tymczasem my tu na ziemi możemy być z nich dumni jako chrześcijanie i jako Francuzi.

Teraz już wszyscy płakali; nawet pani Craquant odstawiła czekoladę i drżącą ręką szukała chusteczki do nosa. Portret Philippe'a oddawał niezwykle podobieństwo. To dokładnie jego spojrzenie, głębokie i czyste. Zdawał się patrzeć na bliskich z tym swoim słodkim uśmiechem, pobłażliwym i czułym.

— ...i nie możecie w swoich modlitwach zapominać o tych małych nieszczęśnikach, którzy przepadli razem z nim — skończyła pani Péricand.

— A może nie wszyscy zginęli?

— Niewykluczone — przyznała niezbyt przytomnie pani Péricand. — Całkiem niewykluczone. Biedne dzieciaki... Choć z drugiej strony ta instytucja jest wielkim obciążeniem — powiedziała, wracając myślami do testamentu teścia.

Pani Craquant wytarła oczy.

— Mały Hubert... był taki miły, taki żartowniś. Pamiętam dzień, kiedy byliście tu z wizytą, przysnęłam w salonie po śniadaniu, a ten psotnik zdjął lep na muchy wiszący na żyrandolu i powoli opuścił na moją głowę. Obudziłam się z krzykiem, a ty nieźle go wtedy ukarałaś, Charlotte.

— Nie przypominam sobie — powiedziała Charlotte oschłym tonem. — Mamo, proszę, skończ czekoladę, musimy się pośpieszyć. Bryczka czeka. Już prawie dziesiąta.

Zeszli na ulicę; babcia na czele, ciężka, oddychająca z trudem, wsparta na lasce, potem pani Péricand w przepisowych kirach i krepach, za nią dwójka dzieci w czerni, Emmanuel na biało i na końcu kilkoro służby w głębokiej żałobie. Kocz czekał przed domem; woźnica zszedł ze swojego siedzenia, żeby otworzyć drzwiczki, i wtedy Emmanuel wyciągnął paluszek i wskazał kogoś w tłumie: — Hubert, tam Hubert!

Niania odruchowo obróciła się we wskazywanym kierunku, gwałtownie zbladła, wydając zduszony okrzyk.

— Jezus Maria!

Z ust matki wydobył się chrapliwy ryk, odrzuciła do tyłu czarną woalkę, zrobiła dwa kroki w stronę Huberta, poślizgnęła się na chodniku i padła w ramiona woźnicy, który podbiegi w samą porę, by ją podtrzymać.

To rzeczywiście był Hubert, z kosmykiem włosów nad okiem, cerą świeżą i złocistą jak brzoskwinia, bez bagażu, bez roweru, bez najmniejszej rany; zbliżał się z promiennym uśmiechem.

— Dzień dobry, mammo! Dzień dobry, babciu! Wszyscy zdrowi?

— To ty? To naprawdę ty? Żyjesz? — dopytywała się pani Craquant, płacząc i śmiejąc się równocześnie. — Mój kochany Hubercie, wiedziałam, że nie umarłeś! Jesteś na to zbyt wielkim szelmą!

Pani Péricand dochodziła do siebie.

— Hubert'? To naprawdę ty? — mamrotała przytłumionym głosem.

Hubert czuł się uszczęśliwiony i zarazem zażenowany tym powitaniem.

Podszedł do matki, nadstawił oba policzki, które posłusznie ucałowała, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Syn stał przed nią, przestępując z nogi na nogę, jak wtedy gdy dostawał dwóje z łaciny w liceum.

Westchnęła „Hubert” i rzuciła mu się na szyję, obsypując go pocałunkami i zalewając łzami. Otaczał ich rozczulony tłumek. Hubert, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, poklepywał matkę po plecach, jakby się zakrztusiła.

— Nie spodziewaliście się mnie? Dała znak głową, że nie.

— Wychodziłyście?

— Biedaku! Szłyśmy do katedry na mszę za spokój twojej duszy.

Puścił ją nagle.

— Mama żartuje!

— A właściwie to gdzie byłeś? Co robiłeś przez te dwa miesiące?

Powiedziano nam, że zostałeś zabity w Moulins.

— No to widzicie teraz, że to nieprawda, skoro tu jestem.

— Ale przecież szedłeś się bić! Tylko nie kłam, Hubercie! Musiałeś się w to pakować, głuptasie! A rower? Gdzie twój rower?

— Zginął.

— Oczywiście. Ten chłopak mnie wykończy! No więc co, opowiadaj w końcu, mów, gdzie byłeś?

— Próbowałem was odnaleźć.

— Lepiej było się z nami nie rozstawać — powiedziała surowo pani Péricand. — Ojciec będzie zadowolony, jak się dowie — powiedziała w końcu przerywanym głosem.

Po czym nagle zaczęła strasznie płakać i znowu go ścisnęła. Ale czas mijał, otarła więc oczy, które ciągle zachodziły łzami.

— Idź na górę się umyć! Jesteś głodny?

— Nie, dziękuję, zjadłem bardzo dobre śniadanie.

— Weź czystą chusteczkę, krawat, umyj ręce, oporządź się trochę! I jak najszybciej dołącz do nas w katedrze.

— Jak to? Nadal się tam wybieracie? Skoro żyję, to może lepiej byłoby zastąpić tę wyprawę niezłym żarciem? Na przykład w restauracji?

— Hubert!

— O co chodzi? Że powiedziałem „żarcie”?

— Nie, ale...

To straszne, mówić mu to tak na środku ulicy, pomyślała. Wzięła go za rękę i wsiedli do powoziku.

— Kochanie, zdarzyły się dwa wielkie nieszczęścia. Dziadek, poczciwy dziadek nie żyje, a Philippe...

Dziwnie zareagował na ten cios. Dwa miesiące wcześniej wybuchnąłby płaczem, wielkie łzy, słone i przezroczyste płynęłyby po jego rumianych policzkach. Bardzo zbladł, a jego twarz przybrała wyraz, którego pani Péricand nie знаła, męski, prawie twardy.

— Dziadek. To jest mi najzupełniej obojętne — powiedział po dłuższym milczeniu. — A co do Philippe'a...

— Hubercie, czyś ty oszalał?

— Tak, jest mi to obojętne. I mamie też. Dziadek był bardzo stary i chory. Co miałby robić w tej całej rozróbie?

— Coś podobnego! — zaprotestowała dotknięta pani Craquant.

Ale Hubert kontynuował, nie zwracając na nią uwagi.

— A co do Philippe'a... ale czy to pewne? Czy to nie taka sama sztuczka jak ze mną?



— Niestety, mamy pewność...

— Philippe... — głos mu zadrżał i załamał się... — On nie był stąd. Inni ciągle mówią o niebie, a myślą tylko o ziemi. A on pochodził od Boga i teraz musi być bardzo szczęśliwy.

Ukrył twarz w dłoniach i dłuższy czas się nie poruszał. Zadzwończyły katedralne dzwony. Pani Péricand dotknęła ramienia syna.

— Jedziemy?

Skinął głową. Wszyscy wsiedli w dwa pojazdy. Udali się do katedry. Hubert szedł pomiędzy matką a babką. Były obie u jego boków, kiedy przykłęknął na klęczniku. Rozpoznano go; słyszał szept, stłumione okrzyki. Pani Craquant nie myliła się; przyszło całe miasto. Wszyscy mogli zobaczyć ocalonego, który dziękował za swoje ocalenie w tym samym dniu, kiedy modlono się za zmarłych członków rodziny. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie byli zadowoleni: taki porządny chłopiec jak Hubert uratowany spod niemieckich kul, to odpowiadało ich wyczuciu sprawiedliwości i pragnieniu cudów. Każda matka pozbawiona wiadomości od maja (a takich było wiele!) czuła, że jej serce ożywia nadzieja. Nie można było pozwolić sobie na uszczypliwość, mimo pokusy myślenia, że niektórzy to mają aż za dużo szczęścia, bo niestety ten biedny Philippe (podobno wspaniały kapłan) jednak zginął.

Toteż pomimo powagi miejsca wiele kobiet uśmiechało się do Huberta. Nie patrzył na nie, nie otrząsnął się jeszcze ze stanu otepienia, w jaki wprawiły go słowa matki. Śmierć Philippe'a rozdzierała mu serce. Był w podobnym stanie ducha, jak przed rozpaczliwą i daremną obroną Moulins. Gdybyśmy chociaż wszyscy byli jak te świnie i suki, rozmyślał, patrząc na zebranych, byłoby to przynajmniej zrozumiałe, ale tacy święci jak Philippe, po co w ogóle ich się tu przysyła? Jeśli dla nas, dla odkupienia naszych grzechów, to zupełnie tak, jakby dawać perłę w zamian za worek kamieni.

Ci, którzy go otaczali, rodzina, przyjaciele, budzili w nim uczucie wstydu i wściekłości. Widział ich wszystkich na drodze, ich i im podobnych, przypominał sobie samochody oficerów uciekających z pięknymi skórzanymi walizkami i wymalowanymi żonami; urzędników publicznych porzucających swoje sta-

nowiska; polityków gubiących w panice tajne papiery i akta; młode dziewczyny, które wyplakały się jak należy w dniu zawieszenia broni, a teraz szukały pociechy w ramionach Niemców. Pomyśleć, że nikt się o tym nie dowie, że otoczy to taki stek kłamstw, z których powstanie kolejna chwalebna karta historii Francji. Trzeba by się natrudzić, żeby spotkać akty poświęcenia czy heroizmu. Wielki Boże, czego to ja nie widziałem! Na głucho zamknięte drzwi, do których pukano na próżno po szklankę wody; uchodźcy plądrujący domy od strychu po piwnice; bałagan, tchórzostwo, próżność, ignorancję! Nie ma co, mamy z czego być dumni!

Tymczasem uczestniczył w nabożeństwie dość machinalnie, jednak z sercem tak ciężkim i twardym, że sprawiało mu fizyczny ból.

Wielokrotnie wzdychał głęboko, co niepokoiło matkę. Odwróciła się w jego stronę, pod woalką błyszczały jej oczy pełne łez. Wyszeptała:

— Coś ci dolega?

— Nie, mam — odparł i spojrzał na nią bardzo zimno, wyrzucał to sobie, ale nie potrafił inaczej.

Oceniał bliskich z goryczą i bolesną surowością; nie formułował wyraźnie swoich zarzutów, zbierał je razem w formie krótkich i gwałtownych obrazów: ojciec nazywający republikę „tym zgniłym ustrojem...” i tego samego wieczoru przyjęcie w domu na dwadzieścia cztery osoby, na najpiękniejszych obrusach, wspaniałe pasztet z gęsich wątróbek, drogie wina na cześć byłego ministra, który znowu może nim zostać, o którego względy zabiegał pan Pericand. (I mama z buzią w ciup „Drogi panie prezydencie...”). Samochody załadowane bielizną i srebrem stołowym uwięzione w tłumie uciekinierów i jego matka, która na widok kobiet i dzieci maszerujących pieszo z paroma ubraniami w węzełku z chustki mówiła; „Popatrzcie, jaki dobry jest Pan Jezus! Nie pozwolił, byśmy znaleźli się na miejscu tych nieszczęśników!”. Hipokryci! A co on robi w tym wszystkim? Z sercem pełnym buntu i nienawiści udawał, że modli się za Philippe'a! Ale Philippe był... Mój Boże! Philippe, mój kochany bracie! — wyszeptał i jakby słowa te miały boską moc ukojenia, poczuł, jak rozluźnia się ściśnięte serce, a z oczu leją się gorące i gwałtowne łzy. Ogarnęły go myśli pełne czułości,

przebaczenia. Nie miał w tym żadnego udziału, te myśli płynęły z zewnątrz, zupełnie jakby przyjaciel pochylony nad jego uchem szeptał: „Rodzina, rasa, która wydała Philippe'a, nie może być zła. Jesteś bardzo surowy, widziałeś wydarzenia tylko z zewnątrz, nie wnikałeś w dusze. Zło jest widoczne, ono płonie, rozpościera się chętnie przed wzrokiem wszystkich. Popatrzył na marmurową tablicę, na której wyryto nazwiska poległych... na tamtej wojnie. Wśród nich nazwiska Craquant i Péricand, wujów, kuzynów, których nie znał, dzieci niewiele od niego starszych, poległych nad Sommą, we Flandrii, pod Verdun, poległych niejako podwójnie, ponieważ zginęli niepotrzebnie. Powoli z tego chaosu, z tych sprzecznych uczuć, narodziła się dziwna, gorzka całość. Zdobył bogate doświadczenie: posiadał wiedzę nie w sposób abstrakcyjny, książkowy, posiadał ją sercem, które biło tak szaleńczo; rękami, które pokaleczył, pomagając bronić mostu Moulins; ustami, które pieściły kobietę, podczas gdy Niemcy świętowali zwycięstwo. Wiedział, co znaczą słowa: niebezpieczeństwo, odwaga, strach, miłość. Tak, również miłość... Teraz czuł się silny, pewny siebie. Już nigdy nie będzie patrzył na świat cudzymi oczami, a to, co odtąd będzie kochał i w co będzie wierzył, będzie jego własne, nie inspirowane przez innych. Powoli złożył ręce, pochylił głowę i wreszcie zaczął się modlić. Msza dobiegła końca. Przed kościołem Huberta otoczyli ludzie, ściskano go, gratulowano matce. — Nadal ma te śliczne policzki — powtarzały panie. — Po tylu trudach prawie nie schudł, nie zmienił się. Kochany Hubert...

Państwo Corte przybyli do Grand Hotelu o siódmej rano, ze zmęczenia ledwie trzymali się na nogach; spoglądali przed siebie z niepokojem, jakby się spodziewali że po przejściu przez obrotowe drzwi znajdą się w niezbornym świecie koszmaru, w którym uchodźcy śpią na kremowym dywanie salonu, w którym recepcjonista ich nie rozpozna i odmówi im pokoju, w którym nie będzie ciepłej wody do mycia, w którym bomby spadną w holu. Ale Bogu dzięki królowa francuskich uzdrowisk pozostała nietknięta, jezioro żyło może hałaśliwie, gorączkowo, ale w zasadzie nie odbiegało to od normalności. Personel był na miejscu. Dyrektor zapewniał, że wszystkiego brakuje, a tymczasem kawa była wspaniała, trunki w barze schłodzone, z kranów leciała na życzenie woda zimna lub gorąca. Niepokojono się początkowo: nieprzyjazna postawa Anglii rodziła obawę o utrzymanie blokady uniemożliwiającej transport whisky. Dysponowano jednak dużymi zapasami, więc można było czekać.

Już po pierwszych krokach na marmurowej posadzce holu państwo Corte poczuli, że się odradzają: panował spokój, dochodził jedynie odległy szmer olbrzymich wind. Przez otwarte drzwi balkonowe widać było na parkowych trawnikach drżącą tęczę wody ze zraszaczy. Rozpoznano ich, otoczono. Dyrektor Grand Hotelu, do którego Corte przyjeżdżał co roku od dwudziestu lat, uniósł ręce do góry i oświadczył, że wszystko skończone, że staczamy się w przepaść i teraz trzeba odbudować

w ludziach poczucie obowiązku i wielkości; po czym wyznał, że lada moment oczekuje się przybycia rządu, że apartamenty zarezerwowano poprzedniego dnia, że ambasador Boliwii śpi na stole bilardowym, ale dla niego, dla Gabriela Corte, zawsze coś się znajdzie; mniej więcej to samo, co mówił w hotelu Normandy w Deauville w czasie wyścigów, kiedy zdobywał szlify wicedyrektora!

Corte przesunął ręką po czole, gestem zrezygnowanego przygnębienia.

— Drogi przyjacielu, proszę mi rozłożyć materac choćby w toalecie.

Wokół niego wszystko odbywało się w sposób dyskretny, wyciszony, odpowiedni. Nie było już kobiet rodzących w rowie, zagubionych dzieci, mostów eksplodujących od źle obliczonych ładunków melinitu i przy okazji obracających w perzynę sąsiednie domy. Zamknięto okno, żeby nie odczuwał przeciągu, otwierano przed nim drzwi, pod stopami czuł gruby dywan.

— Mają państwo wszystkie bagaże? Nic nie zginęło? Jakie szczęście!

Niektórzy przyjechali tu bez piżamy, bez szczoteczki do zębów. Jednego nieszczęśnika eksplozja rozebrała do rosołu, od Tours podróżował całkiem nagi, zawinięty w koc i ciężko ranny.

— Ja o mało nie postradałem moich rękopisów — powiedział Corte.

— O Boże! Co za nieszczęście! Ale odnalazł je pan w całości? Co to się dzieje! Co się dzieje! Proszę mi wybaczyć, ale pójdę przodem. Oto pokoje, które dla państwa przeznaczyłem, na czwartym piętrze. Czy państwu to odpowiada?

— Ach, teraz już wszystko jest mi obojętne — szepnął Corte.

— Rozumiem — powiedział dyrektor, pochylając głowę z zasmuconą miną. — Takie nieszczęście... Z urodzenia jestem Szwajcarem, Francuzem z wyboru. Rozumiem — powtarzał.

Przez kilka chwil tkwił nieruchomo z pochyloną głową jak na cmentarzu, kiedy ze względu na rodzinę nie mamy odwagi od razu skierować się ku wyjściu. Od kilku dni tak często przybierał tę postawę, że jego przyjemna, okrągła twarz uległa całkowitej zmianie. Zawsze chodził krokiem lekkim i mówił słodkim głosem, co było niezbędne w jego zawodzie. Wzmac-

niając jeszcze swoje naturalne odruchy, nauczy! się poruszać bezszelestnie, jak w pokoju zmarłego, więc kiedy powiedział do Gabriela Corte: „Czy przysyłać śniadanie do pokoju?“, dyskretny i pogrzebowy ton głosu pasowałby do pytania krewnych, czy można po raz ostatni pocałować nieboszczyka.

— Śniadanie? — westchnął Corte, wracając z trudem do codziennej rzeczywistości i jej jałowych trosk. — Nie jadłem od dwudziestu czterech godzin — dodał z bladym uśmiechem.

Stwierdzenie to byłoby prawdziwe poprzedniego dnia, ale nie tego, bo o szóstej rano zjadł obfity posiłek. Zresztą nie było to wierutne kłamstwo: jadł machinalnie z powodu skrajnego zmęczenia i niepokoju, w jaki wpędzały go nieszczęścia ojczyzny. Miał więc wrażenie, że jest na czczo.

— Ależ proszę pana, trzeba się zmusić! Nie może się pan pokazywać w takim stanie. Musi się pan pozbierać. Jest pan to winien ludzkości.

Corte lekko poruszył głową, zdesperowanym gestem, który świadczył, że doskonale o tym wie i że nie podważa praw ludzkości do swojej osoby, ale w tej sytuacji nie można wymagać od niego więcej odwagi niż od najzwyklejszego obywatela.

— Drogi przyjacielu — powiedział, odwracając się, by ukryć łzy. — Nie tylko Francja umiera, umiera duch.

— Nigdy, dopóki pan tu jest, panie Corte — odpowiedział żarliwie dyrektor, który od dnia klęski wypowiedział tę formułkę wielokrotnie:

Corte był już czternastą ze sław przybyłych z Paryża po bolesnych wydarzeniach i piątym pisarzem szukającym schronienia w pałacu.

Corte uśmiechnął się blado i zażądał, żeby kawa była gorąca.

— Oczywiście — zapewnił dyrektor, który po wydaniu odpowiednich poleceń przez telefon wyszedł z apartamentu.

Florence schroniła się w swojej sypialni i za zamkniętymi drzwiami z konsternacją wpatrywała się w lustro. Jej twarz, zazwyczaj tak słodka, tak dobrze umalowana i wypoczęta, teraz była zlana potem jak błyszczącym podkładem; nie przyjmowała już pudru ani kremu, odrzucała je w postaci grubych grudek jak zwarzony majonez, nos wydawał się ściągnięty, oczy zapadnięte, usta zwiotczałe i miękkie. Florence ze zgrozą odwróciła się od lustra.

— Mam pięćdziesiąt lat — oznajmiła pokojówce.

Była to absolutna prawda, ale wypowiedziana z takim niedowierzaniem i przerażeniem, że Julie przyjęła ją jak należało, jako metaforę głębokiej starości.

— Po tym, co przeszliśmy, to zrozumiałe... Powinna pani się trochę zdrzemnąć.

— To niemożliwe... jak tylko zamykam oczy, słyszę bomby, znowu widzę ten most, poległych...

— Zapomni pani.

— Nigdy! A ty potrafisz zapomnieć?

— Ja to co innego.

— Dlaczego?

— Pani może myśleć o tylu innych rzeczach! Czy mam przygotować zieloną suknię?

— Zieloną? Kiedy tak wyglądam?

Florence osunęła się na oparcie krzesła, zamknęła oczy, po czym zebrała nagle całą energię jak dowódca, który mimo konieczności odpoczynku, stwierdziwszy nieudolność podkomendnych, obejmuje dowodzenie i padając ze zmęczenia, sam kieruje swoimi oddziałami na polu walki.

— Posłuchaj, najpierw przygotuj mi kąpiel i maseczkę na twarz numer trzy z Instytutu Amerykańskiego, potem zatelefonuj do fryzjera i zapytaj, czy nadal pracuje u nich Luigi. Niech przyjdzie z manikiurzystką za trzy kwadransy. A na koniec przygotuj mi szary kostiumik z różową bluzką.

— Tę z takim kołnierzem? — spytała Julie, pokazując ruchem palca rodzaj dekoltu.

Florence zawahała się.

— Tak... nic... tak., tę i ten nowy kapelusik z bławatkami. Och, Julie, sądziłam, że już nigdy go nie włożę! Wreszcie... Masz rację, nie trzeba już myśleć o tym wszystkim, bo można oszaleć. Zastanawiam się, czy mają jeszcze ten puder w kolorze ochry, ostatnio...

— Zobaczmy. Powinna pani wziąć kilka pudełek. Jest sprowadzany z Anglii.

— Tak, wiem. Widzisz, Julie, nie zdajemy sobie sprawy, co się dzieje. Te wydarzenia mają nieobliczalne konsekwencje, mówię ci, nieobliczalne... Życie ludzi zmieni się na wiele

pokoleń. Tej zimy zaznamy głodu. I wyjmij mi torebkę z szarego zamszu ze złotym zameczkiem... Ciekawe, jak wygląda Paryż — zastanawiała się Florence, wchodząc do łazienki, jednak odkręcone przez Julie kurki zagłuszyły jej słowa.

Tymczasem znacznie mniej frywolne myśli zaprzętały umysł Gabriela Corte. On też leżał w wannie. W pierwszej chwili wypełniła go taka radość, tak głęboki spokój, że przypomniał sobie rozkosze dzieciństwa: smak mrożonej bezy z kremem, moczenie nóg w zimnym strumieniu, przytulanie do serca nowej zabawki. Nie odczuwał żadnych pragnień, żalów czy niepokoju. Miał głowę pustą i lekką. Czuł, że się unosi w czymś płynnym, ciepłym, co pieści, łagodnie łaskocze skórę, zmywa kurz, pot, wciska się między palce u nóg, wchodzi pod plecy niczym czuła matka podnosząca uspięone dziecko. W łazience pachniało siarkowym mydłem, płynem do włosów, wodą kolońską, lawendą. Corte uśmiechał się, przeżył ramiona, naciągał stawy swoich wysmukłych białych palców, czerpał prostą, ale boską rozkosz z faktu znajdowania się z dala od bomb i siedzenia w odświeżającej kąpieli w upalny dzień. Nie potrafiłby powiedzieć, w którym momencie przeszła go gorycz niby nóż sięgający serca owocu. Może wtedy, kiedy jego wzrok padł na walizkę z rękopisami stojącą na krześle albo kiedy mydło wpadło do wody i żeby je wyłowić, musiał wykonać pewien wysiłek, który zmącił stan euforii; w każdym razie nagle zmarszczył brwi, a twarz, która stawała się bardziej łagodna, jakby odmłodzona, znowu przybrała wyraz ponury i niespokojny.

Co się stanie z nim, Gabrielem Corte? Dokąd zmierza świat? Jaka będzie przyszłość? Czy ludzie będą myśleli wyłącznie o jedzeniu i nie będzie już miejsca na sztukę, czy zapanuje jakiś nowy ideał jak po każdym kryzysie? Nowy ideał? Raczej „nowa moda”, pomyślał cynicznie. Ale on, Corte, był za stary, by dopasowywać się do nowych gustów. Już w tysiąc dziewięćset dwudziestym odnowił swój styl. Po raz trzeci byłoby to niemożliwe. Zadyszałby się, próbując dotrzymać kroku tej nowej rzeczywistości, która się narodzi. Ale kto może przewidzieć, jaką postać przybierze świat po wyjściu z twardej matrycy wojny, niczym ze spizowego odlewu; może okazać się gigantem lub fałszerstwem (a może jednym i drugim), czego pierwsze



objawy już daje się obserwować. Straszne było tak pochylać się, obserwować... i niczego nie rozumieć. Bo niczego nie rozumiał. Myślał o swojej powieści, o rękopisie uratowanym z ognia, spod bomb, spoczywającym na krześle. Odczuwał głębokie zniechęcenie. Namiętności, które opisywał, stany ducha, skrupuły, historia pokolenia, jego pokolenia, była stara, bezużyteczna, przedawniona. Powtórzył z rozpaczą: przedawniona! A mydło, wyslizgujące się jak ryba, po raz drugi zniknęło pod wodą. Zaklął, podniósł się i z wściekłością zadzwonił. Pojawił się służący.

— Natrzyj mnie — wyszeptał Gabriel Corte drżącym głosem.

Poczuł się lepiej, kiedy już służący natarł mu nogi rękawicą z włosia i wodą kolońską. Jeszcze całkiem nagi zabrał się do golenia, a tymczasem służący przygotowywał mu ubranie: lnianą koszulę, garnitur z lekkiego tweedu, niebieski krawat.

— Jest tu ktoś znajomy? — spytał Corte.

— Nie wiem, proszę pana. Nie widziałem jeszcze wielu osób, ale słyszałem, że ostatniej nocy zatrzymało się tu wiele samochodów w drodze do Hiszpanii. Między innymi pan Jules Blanc. Udawał się do Portugalii.

— Jules Blanc?

Corte znieruchomiał z uniesioną w górę namydloną brzytwą. Jules Blanc uciekający do Portugalii! Ta nowina uderzyła go boleśnie. Jak wszyscy, którzy starają się wyciągnąć z życia maksimum komfortu i przyjemności, Gabriel Corte miał oddanego sobie polityka. W zamian za dobre kolacje, wspaniałe przyjęcia, drobne fawory ze strony Florence, w zamian za kilka przychylnych artykułów otrzymywał od Jules'a Blanca (posiadacza teki niemal we wszystkich kombinacjach ministerialnych, dwukrotnego prezydenta rady, czterokrotnego ministra wojny) tysiące lekko pozaprawnych udogodnień bardzo ułatwiających życie. To dzięki Jules\*owi Blancowi zamówiono u niego serię audycji o Wielkich Kochankach, które wygłosił w radiu poprzedniej zimy. To Jules Blanc sprawił, że także w radiu wygłaszał patriotyczne przemowy lub umoralniające pogadanki zależnie od okoliczności. To Jules Blanc upierał się, by szef wielkiego dziennika zapłacił Gabrielowi Corte za powieść sto

trzydzieści tysięcy franków zamiast wcześniej uzgodnionych osiemdziesięciu. Poza rym obiecał mu odznaczenie. Jules Blanc był drobnym, ale niezbędnym trybem w mechanizmie jego kariery, bo geniusz nie może wyłącznie szybować w niebiosach, powinien twardo stąpać po ziemi.

Na wiadomość o upadku przyjaciela (czy człowiek, który lubił powtarzać, że w polityce klęska jest zapowiedzią zwycięstwa, musiał się wcześniej skompromitować, żeby podjąć tak desperacki krok) Corte poczuł się samotny i opuszczony na skraju przepaści. Znowu ze straszną siłą nawiedziła go wizja innego, nieznanego mu świata, w którym wszyscy ludzie jakimś cudem są cnotliwi, bezinteresowni, wierni najszlachetniejszemu ideałom. Ale już owa zdolność mimikry, ta forma instynktu samozachowawczego całej przyrody kazała mu powiedzieć: — A, wyjechał? Minęła epoka sybarytów i politykierów... Po chwili milczenia dorzucił:

— Biedna Francja...

Stanął przed lustrem w skarpetkach i podwiązkach z czarnego jedwabiu, i z aprobatą patrzył na swoje nagie bezwłose ciało. Wykonał kilka ruchów rękami, wciągał i wypinał tors.

— Jest zdecydowanie lepiej — oznajmił swojemu służącemu, jakby te słowa miały mu sprawić niezwykłą przyjemność.

Dokończył ubieranie. Zszedł do baru zaraz po dwunastej. W holu panowało pewne ożywienie, widać było, że coś się dzieje, że wielkie katastrofy w oddali zachwiały resztą świata; zapomniane tu bagaże zrzucano bezładnie na estradę, służącą zwykle za parkiet do tańca. Z kuchni dochodziły jakieś głosy; wybladłe i potargane kobiety błędziły po korytarzach w poszukiwaniu pokoju, bo windy nie działały. Jakiś starzec płakał przed portierem, który nie chciał mu dać pokoju.

— Musi pan zrozumieć, to nie zła wola, to po prostu niemożliwe, niemożliwe. Jesteśmy przepełnieni.

— Wystarczy choćby kącik — błagał nieszczęsny starzec. — Umówiłem się tutaj z żoną. Zgubiliśmy się podczas bombardowania w Etampes. Pomyśli, że zginąłem. Proszę pana, mam siedemdziesiąt lat, a ona sześćdziesiąt osiem. Jeszcze nigdy się nie rozstawaliśmy.

Drżącą ręką wyjął portfel.

— Dam tysiąc franków — powiedział.

Na uczciwej i skromnej twarzy tego przeciętnego Francuza widać było zażenowanie, że po raz pierwszy w życiu musi dać łapówkę, a także ból z powodu konieczności rozstania się ze swoimi pieniędzmi, ale portier nie przyjął banknotu.

— Przecież mówię panu, że to niemożliwe. Proszę spróbować w mieście.

— W mieście? Właśnie stamtąd wracam. Od piątej rano pukałem do wszystkich drzwi. Odganiają mnie jak psa. Nie jestem byle kim.

Wykładam fizykę w liceum w Saint-Omer. Mam odznaczenia akademickie.

Zorientowawszy się wreszcie, że portier od dawna go nie słucha i zdążył już odwrócić się plecami, podniósł niewielkie pudło na kapelusze, które niechybnie stanowiło cały jego bagaż, i odszedł w milczeniu. Portier walczył teraz z czterema Hiszpankami o mocno wypudrowanych twarzach i czarnych włosach. Jedna uwiesiła mu się na ramieniu.

— Raz w życiu, zgoda, ale dwa to już za dużo — dowodziła kiepską francuszczyzną, głosem ochryłym i mocnym. — Przeżyć wojnę w Hiszpanii, schronić się we Francji i tak wpaść, to za wiele!

— Ależ, proszę pani, ja nic na to nie poradzę!

— Może pan mi dać pokój!

— To niemożliwe, szanowna pani.

Hiszpanka szukała ciętej riposty, jakiejś obelgi, a ponieważ jej się to nie udało, rzuciła po chwili milczenia:

— Nie jest pan mężczyzną!

— Ja? — wykrzyknął portier, tracąc błyskawicznie profesjonalną obojętność na tak oburzające stwierdzenie. — Skończyła już pani z tymi wyzwiskami? Jest pani cudzoziemką? Lepiej niech się pani zamknie, bo zawołam policję — zakończył z godnością i otworzył drzwi, wypychając na zewnątrz cztery osoby wykrzykujące obelgi po kastylijsku.

— Świat chyba oszalał, proszę pana — poskarżył się Gabrielowi Corte. Corte znalazł się w długiej, przewiewnej galerii, cichej i ponurej, a potem w dużym, spokojnym barze. Tu już nie było zgiełku ani zamieszania. Zamknięte wielkie okna i okiennice

chroniły przed upalnym słońcem, wdychało się zapach skóry, wspaniałych cygar i wybornego koniaku. Barman, Włoch, stary przyjaciel Gabriela Corte, przywitał go radośnie, okazując jednocześnie smutek i współczucie z powodu nieszczęść Francji, a zrobił to niezwykle taktownie, ani na chwilę nie zapominając o niższości swojej pozycji w stosunku do pisarza, co tego ostatniego bardzo podniosło na duchu.

— Cieszę się, że cię tu widzę, stary — powiedział z wdzięcznością.

— Czy miał pan trudności z wyjazdem z Paryża?

— Ach! — Corte ograniczył się do westchnienia. Wzniósł oczy do góry. Barman Joseph wykonał drobny

dyskretny gest ręką, jakby odpychał konfidencję, nie chcąc budzić przykrych wspomnień, i przybrał ton, jakim lekarz zwraca się do ciężko chorego pacjenta, „Najpierw proszę to wypić, a potem pan mi powie, co mu dolega”.

— Przygotuję martini, dobrze? — szepnął z szacunkiem.

Oszroniona szklaneczka między dwoma maleńkimi talerzykami, na jednym były oliwki, a na drugim suszone jabłka. Corte uśmiechnął się blado jak rekonwalescent na widok znajomego otoczenia, potem spojrzał na mężczyzn, którzy akurat weszli do baru, rozpoznał wszystkich po kolei. Ależ tak! Byli tu wszyscy, ten akademik i były minister, ten wielki przemysłowiec, wydawca, dyrektor gazety, senator, autor dramatyczny i ten podpisujący jako „Generał X” swoje fachowe i doskonale udokumentowane artykuły w poważnym paryskim przeglądzie, w których komentował wydarzenia militarne i przybliżał je masom, dodając przy tym zawsze optymistyczne, choć mało precyzyjne uściślenia (mówił na przykład: „Najbliższą sceną operacji militarnych będzie północ Europy albo Bałkany, albo Zagłębie Ruhry, albo wszystkie te trzy miejsca naraz, albo jeszcze jakieś inne miejsce, które trudno określić”). Owszem, byli tu wszyscy w doskonałym zdrowiu. Przez moment Corte poczuł oszołomienie. Nie umiał powiedzieć dlaczego, ale przez dwadzieścia cztery godziny zdawało mu się, że dawny świat się wali i że on zostaje sam na gruzach. Niewyobrażalną ulgą było spotkanie tych wszystkich sławnych postaci, przyjaciół, wrogów, niezbyt dziś dla niego istotnych. Byli z tej samej gliny,

wszyscy znaleźli się razem. Stanowili dla siebie wzajemnie świadectwo, że nic się nie zmienia, wszystko pozostaje tak samo, że wcale nie dotknął ich jakiś niezwykły kataklizm, że nie jest to koniec świata, jak przypuszczano, a jedynie szereg czysto ludzkich relacji, ograniczonych w czasie i przestrzeni, które w zasadzie dotykały głównie nieznanym. Wymieniali pesymistyczne, niemal rozpaczliwe uwagi, ale pogodnym tonem. Jedni osiągnęli już w życiu sukcesy i byli w wieku, w którym patrząc na młodych, mówi się: „Niech sobie radzą”. Inni pośpiesznie przebiegali w myślach wszystkie napisane przez siebie strony, wszystkie wygłoszone odczyty, które mogłyby się przydać w nowym reżimie (a ponieważ wszyscy w mniejszym czy większym stopniu ubolewali nad tym, że Francja straciła poczucie wielkości, ryzyka, że nie płodzi już dzieci, więc od tej strony nic im nie groziło!). Politycy, trochę bardziej niespokojni, bo niektórzy z nich bardzo skompromitowani, zastanawiali się nad odwróceniem zawartych w przeszłości aliansów. Dramaturg i Corte rozmawiali o własnych dziełach i zapomnieli o świecie.

Państwo Michaud nigdy nie dotarli do Tours. Eksplozja zniszczyła tory kolejowe. Pociąg stanął. Uchodźcy znowu znaleźli się na drodze, pomieszani teraz z kolumnami niemieckiego wojska. Kazano im zawracać. Po powrocie państwo Michaud zastali Paryż opustoszały. Wrócili do siebie na piechotę; nie było ich dwa tygodnie, ale spodziewali się, że miasto zostało wywrócone do góry nogami; a tymczasem szli po nietkniętych ulicach, nie wierząc własnym oczom: wszystko było na swoim miejscu, domy z zamkniętymi okiennicami zupełnie jak w dniu wyjazdu, oświetlone gorącym słońcem, nagła fala upałów zwarzyła liście kasztanów, których nikt nie zmiatał, teraz brodziły w nich zmęczone stopy uchodźców. Zdawało się, że zamknięte są wszystkie sklepy spożywcze. Można by powiedzieć miasto, które dotknęła zaraza, ale w chwili gdy chciało się zawołać ze ściśniętym sercem „chyba wszyscy wyjechali albo poumierali”, nagle pojawiała się jakaś kobieta dobrze ubrana i umalowana albo, jak w przypadku państwa Michaud, spostrzegało się między zamkniętą na głucho piekarnią a rzeźnikiem otwarty zakład fryzjerski, gdzie klientka robiła sobie trwałą. Był to zakład, do którego przychodziła pani Michaud, więc gdy zawołała, na progu zjawił się jej fryzjer, jego pomocnik, żona i klientka. Wszyscy wykrzyknęli:

— Byliście w drodze?

Pokazała swoje gołe nogi, podarte ubranie, twarz pokrytą potem i kurzem.

— Właśnie wracamy! A co u mnie w domu? — spytała z niepokojem.

— Wszystko w porządku. Dzisiaj przechodziłam pod waszymi oknami — oznajmiła żona fryzjera. — Niczego nie ruszono.

— A mój syn? Jean-Marie? Nikt go nie widział?

— Nieszczęsna kobieto, a kto miał go widzieć? — wtrącił Maurice. — Mówisz od rzeczy.

— Ty, i ten twój spokój! Wykończysz mnie — odpowiedziała gwałtownie. — Zapytam konsjerżkę... — i już ruszała w drogę.

— Pani Michaud, niech się pani nic fatyguje. Nie ma żadnych listów, pytałam ją po drodze, zresztą poczta już nie przychodzi.

Jeanne próbowała pokryć uśmiechem ten okrutny zawód. — Więc nie pozostaje nic prócz czekania — powiedziała, ale wargi jej drżały. Usiadła odruchowo i wyszeptała:

— Co robić?

— Na pani miejscu — rzekł fryzjer, który był niskim, grubym człowieczkiem o pyzatej i słodkiej twarzy — zacząłbym od umycia głowy, to pani rozjaśni umysł; można by też trochę odświeżyć pana Michaud, a tymczasem moja żona coś upichci.

Na tym stanęło i kiedy nacierano głowę Jeanne olejkiem lawendowym, przybiegł syn fryzjera z wiadomością o podpisaniu zawieszenia broni. Jeanne była tak zmęczona i przygnębiona, że nie do końca zrozumiała konsekwencje tej informacji; podobnie u wezgłowa umierającego, kiedy wyplakało się wszystkie łzy, widzi się wokół tylko pustkę. Ale Maurice, wspominając wojnę 1914, w której walczył i został ranny, poczuł przyływ rozgoryczenia. W każdym razie i tak nie miał nic do powiedzenia, więc milczał.

Zostali ponad godzinę w zakładzie pani Josse, po czym udali się do siebie. Mówiono, że straty armii francuskiej były stosunkowo niewielkie, ale liczba jeńców osiągnęła dwa miliony. Może Jean-Marie znajdował się wśród nich? Nie ośmielali się oczekiwać niczego innego. Zbliżali się do swojego domu i mimo wszystkich zapewnień pani Josse nie mogli uwierzyć, że dom stoi i nie został obrócony w popiół jak płonące kamienice na

placu Martroi w Orleanie, przez który szli tydzień wcześniej. Rozpoznali bramę, kantorek konsjerżki, skrzynką na listy (pustą!), czekał na nich klucz i sama konsjerżka! Zmartwychwstający Łazarz na widok sióstr i zupy na ogniu musiał odczuwać podobne ośpienie i przytłumioną dumą! Mimo wszystko wróciliśmy, jesteście tu!, myśleli. Jeanne jednak powiedziała od razu:

— I co z tego? Jeśli mój syn...

Spojrzała na męża, który uśmiechnął się do niej blado, po czym powiedział głośno:

— Dzień dobry, pani Nonnain.

Konsjerżka była stara i prawie głucha. Państwo Michaud wysłuchali ile się dało z opowieści o exodusie, widzianych z jednej i drugiej strony, bo pani Nonnain towarzyszyła swojej córce, która była praczką, aż do Porte d'Italie. Kiedy tam dotarła, pokłóciła się z zięciem i wróciła do domu.

— Nie wiedzą, co się ze mną stało; bądą myśleli, że nie żyję — oznajmiła z satysfakcją. — Już im się zdaje, że mają moje oszczędności. Chociaż ona nie jest zła — dodała, myśląc

O córce. — Tylko trochę porywcza.

Państwo Michaud, tłumacząc się zmęczeniem, poszli do siebie na górę. Winda była zepsuta.

— Tylko tego brakowało! — jęknęła Jeanne, śmiejąc się mimo woli.

Podczas gdy mąż nieśpiesznie pokonywał schody, ona biegła do góry jak młoda dziewczyna. Mój Boże, pomyśleć, że wiele razy wyrzekała na te ponure schody, na to mieszkanie, w którym brakowało szaf wnękowych, w którym nie było łazienki (musieli zainstalować wannę w kuchni), w którym kaloryfery psuły się regularnie, gdy nastawały chłody! Zwrócono jej ten mały przytulny świat, w którym przeżyła piętnaście lat i który zamykał w swoich ścianach tak słodkie, tak ciepłe wspomnienia.

Wychyliła się przez poręcz. Maurice został dużo niżej. Była sama.

Pochyliła się i przyłożyła usta do drewnianych drzwi, potem wzięła klucz i otworzyła. To jej mieszkanie, jej schronienie: pokój Jeana-Marie, kuchnia, salon

i kanapa, na której wieczorami po powrocie z banku wyciągała umęczone nogi.



Wspomnienie banku przyprawiło ją o nagły dreszcz. Nie myślała o tym od tygodnia. Kiedy przyszedł Maurice, zauważył, że jest zatroskana i że opuściła ją radość powrotu.

— O co chodzi? — zapytał. — Jean-Marie? Wahala się przez moment.

— Nie, bank.

— Wielki Boże! Zrobiliśmy wszystko co w ludzkiej mocy, a nawet więcej, żeby dotrzeć do Tours. Nic nie mogą nam zarzucić.

— Nic nam nie zarzucają, jeśli będą chcieli nas zatrzymać — powiedziała

— ale ja od wybuchu wojny byłam zatrudniona jedynie tymczasowo, a ty, mój drogi, nigdy nie mogłeś się z nimi dogadać, więc jeśli będą chcieli się nas pozbyć, mają wspaniałą okazję.

— Myślałem już o tym.

Jak zawsze kiedy jej nie zaprzeczał, tylko przychylił się do jej opinii, szybko zmieniała zdanie.

— Ale jeśli nie są ostatnimi łajdakami...

— Są ostatnimi łajdakami — powiedział spokojnie Maurice. — Czyżbyś o tym nic wiedziała? Mieliśmy dosyć zmartwień. Jesteśmy razem, u siebie, i to jest teraz najważniejsze.

Nie mówili o Jeanie-Marie, nie mogli wymówić jego imienia bez łez, a nie chcieli płakać. Mieli w sobie ciągle tę gorącą potrzebę szczęścia; niewątpliwie dlatego, że bardzo się kochali, nauczyli się żyć z dnia na dzień i świadomie zapominać o jutrze.

Nie byli głodni. Otworzyli słoik konfitur, pudełko herbatników, a Jeanne niezwykle starannie zaparzyła kawę, której zostało już tylko ćwierć funta, czystej mokki zarezerwowanej dotychczas na wyjątkowe okazje.

— Czy mogą nam się przydarzyć bardziej wyjątkowe okazje? — spytał Maurice.

— Mam nadzieję, że nie — odparła żona. — Ale jeśli wojna jeszcze potrwa, nieprędko znajdziemy podobną kawę.

— Nadajesz jej niemal smak grzechu — stwierdził Maurice, wdychając aromat unoszący się z maszynki.

Po lekkim posiłku usiedli przy otwartym oknie. Każde z nich miało na kolanach książkę, ale żadne nie czytało. W końcu usnęli obok siebie, trzymając się za ręce.

W ten sposób przeżyli kilka dość spokojnych dni. Ponieważ poczta nie działała, wiedzieli, że nie dostaną żadnej wiadomości, ani dobrej, ani złej. Nie pozostawało nic prócz czekania. Na początku lipca wrócił do Paryża pan de Furieres. Hrabia de Furieres odbył piękną wojnę, jak się mawiało po zawieszeniu broni w dziewiętnastym roku; narażał się bohatersko przez kilka miesięcy, później poślubił młodą, bardzo bogatą pannę i już nie chciał nadstawiać głowy, co można było zrozumieć! Jego żona miała wspaniałe koneksje, ale on ich nie wykorzystał. Nie szukał już niebezpieczeństw, ale również nie uciekał przed nimi. Nie odniósł najmniejszej rany, był zadowolony ze swojej pięknej konduity na froncie, z wewnętrznej pewności siebie i ze swojej gwiazdy. W trzydziestym dziewiątym roku jego pozycja towarzyska osiągnęła szczyt; żona nazywała się z domu Salomon-Worms, siostra poślubiła markiza de Maigle; on należał do Jockey Clubu, jego polowania i kolacje cieszyły się sławą; miał dwie urocze córki, a starsza z nich właśnie się zaręczyła. Miał znacznie mniej pieniędzy niż w dwudziestym roku, ale lepiej potrafił teraz się bez nich obejść, a jeśli je zdobywał, to tylko przy okazji. Przyjął stanowisko dyrektora banku Corbina.

Corbin był osobnikiem prostackim; rozpoczął karierę w sposób niski i niemal haniebnym. Mówiono, że był posłańcem w instytucji kredytowej przy ulicy Trudaine, ale miał wielkie talenty bankierskie i w zasadzie rozumieli się z hrabią dość dobrze. Obaj byli bardzo inteligentni i pojmowali, że są dla siebie nawzajem użyteczni; prowadziło to do wytworzenia pewnego rodzaju przyjaźni opartej na bazie serdecznej pogardy, na podobieństwo niektórych likierów cierpkich i gorzkich, które po zmieszaniu nabierają przyjemnego smaku. „To degenerat jak cała szlachta”, mawiał Corbin. „Ten nieszczęśnik je palcami”, wzdychał Furieres. Machając przed oczyma Corbina kartą Jockey Clubu, hrabia uzyskiwał od niego, co tylko chciał.

W sumie Furieres bardzo wygodnie ułożył swoją egzystencję. Kiedy wybuchła druga wielka wojna ostatniego wieku, czuł się niemal jak dziecko, które uczciwie pracowało w szkole, ma spokojne sumienie, teraz całym sercem oddaje się zabawie, a tu znowu chcą mu odebrać zabawki. Niewiele brakowało, żeby

zawołał: „Raz można wytrzymać, ale dwa razy to za dużo! Psiakrew! Niech inni...”. Jak to? Spełnił swój obowiązek! Zabrano mu pięć lat młodości, a teraz kradnie mu się lata dojrzałe, tak piękne i tak cenne, kiedy człowiek nareszcie rozumie, co może stracić, i chce się tym nacieszyć.

— Nie, to naprawdę za wiele — mówił przygnębiony do Corbina, żegnając się z nim w dniu powszechnej mobilizacji. — Zostało napisane w górze, że tym razem się nie wymknę.

Był oficerem rezerwy... na pewno mógłby to jakoś załatwić, powstrzymała go jednak chęć zachowania szacunku dla samego siebie, chęć bardzo u niego silna, która pozwalała na zajęcie surowej i ironicznej postawy wobec reszty świata. Poszedł. Jego szofer, który był z tego samego rocznika, mówił:

— Trzeba iść, to się idzie. Ale jeśli oni myślą, że będzie tak jak w czternastym roku, to się mylą (w jego umyśle to słówko „oni” odnosiło się do jakiegoś mitycznego aeropagu, którego pasją było posyłanie ludzi na śmierć), jeśli sobie wyobrażają, że jeszcze będziemy robić coś (w tym momencie uderzał paznokciem o ząb) prócz tego, co naprawdę konieczne, to mogą się wypchać, ja wam to mówię.

Hrabia de Furieres na pewno nie wyraziłby swoich myśli w ten sposób, choć cechowała je pewna analogia z myślami szofera, które zdecydowanie wyrażały stan ducha wielu dawnych kombatantów. Wielu z nich szło z głębokim żalem lub z desperackim poczuciem buntu wobec losu, który dwa razy w życiu wyciął im taki straszny numer.

Podczas czerwcowej klęski prawie cały pułk Furieres'a wpadł w ręce nieprzyjaciela. On sam miał szansę, by się uratować, i wykorzystał ją. W czternastym roku raczej dałby się zabić, byle nie przeżyć klęski. W czterdziestym wolał żyć. Odnalazł żonę, która już go oplakiwała, urocze córki, z których starsza zawarła właśnie udane małżeństwo (poślubiła młodego inspektora z ministerstwa finansów), i swój zamek Furieres. Szofer miał mniej szczęścia; internowano go w stalagu VIIA pod numerem 55 481.

Po powrocie hrabia skontaktował się z Corbinem pozostającym w wolnej strefie i obydwaj zajęli się uporządkowaniem

nieskoordynowanej działalności banku. Rachunkowość znalazła się w Cahors, papiery wartościowe w Bayonne; sekretariat kierowano do Tuluzy, ale zagubił się między Niceą a Perpignan. Nikt nie miał pojęcia, gdzie podział się portfel akcji.

— Kompletny chaos, absolutny bałagan nie do opisania — mówił Corbin do Furieres'a rankiem podczas ich pierwszego spotkania.

Przeszedł linię demarkacyjną w nocy. Przyjmował Furieres'a u siebie, w paryskim mieszkaniu, z którego służba uciekła podczas exodusu; podejrzewał, że wraz ze służbą zniknęły walizki i nowe ubranie, co jedynie powiększało jego patriotyczny zapał.

— Zna mnie pan. Nie jestem mięczakiem! Ale o mało się nie rozpląkałem, mój drogi, o mało się nie rozpląkałem jak dziecko, kiedy zobaczyłem na granicy pierwszego Niemca, bardzo na miejscu, nie na takim luzie jak Francuzi, co to mają takie miny, jakby mówili, że „razem pilnowali świń”. Nie, naprawdę, był jak trzeba, stanowczy, ale nie sztywny, zsalutował bez przesady... I co pan na to? Co pan na to wszystko? Nieźle się spisali nasi oficerowie!

— Za pozwoleniem — ton Furieres'a był ostry. — Nie widzę, co można by zarzucić oficerom. Co pan by zrobił bez broni, z ludźmi rozpaskudzonymi, leniwymi, którzy pragną tylko jednego, żeby się od nich od... Najpierw przydaliby się żołnierze.

— No tak, ale oni twierdzą, że „nikt nimi nie dowodził” — powiedział Corbin, zachwycony tym, że zdenerwował hrabiego — a tak między nami, to widziałem sceny godne ubolewania.

— Bez cywilów, bez tych panikarzy, bez fali uchodźców zalewającej drogi byłaby jakaś szansa ocalenia.

— A, co do tego ma pan rację! Ta panika była straszna. Ludzie są niesamowici. Od lat im się powtarza „wojna totalna, wojna totalna”... Powinni byli się tego spodziewać, a tymczasem od razu panika, bałagan, ucieczka. I po co? Pytam się. To bez sensu. Ja wyjechałem, bo banki dostały rozkaz wyjazdu. W przeciwnym razie, wie pan...

— W Tours było strasznie?

— Strasznie... ale ciągle z tego samego powodu, przez napływ uchodźców. Nie znalazłem wolnego pokoju w okolicach

Tours, musiałem spać w mieście i oczywiście zostaliśmy zbombardowani, podpaleni — mówił Corbin, myśląc z oburzeniem o niewielkim zameczku na wsi, gdzie nie chciano go przyjąć, ponieważ schronili się tam wcześniej uchodźcy belgijscy. Im się nic nie stało, podczas gdy Corbin o mało nie został przysypany gruzami. — I to rozprzeżenie — powtórzył. — Każdy myślał tylko o sobie! Ten egoizm... Niezbyt dobrze to świadczy o człowieku! A już pańscy pracownicy przeszli samych siebie. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby spotkać się ze mną w Tours. Stracili ze sobą kontakt. Poleciałem, żeby wszystkie nasze oddziały trzymały się razem. I co z tego? Jedni są na południu, inni na północy. Na nikogo nie można liczyć. A właśnie w takich kryzysowych sytuacjach ocenia się człowieka, jego energię, odwagę, rozmach. Ciepłe kluchy, mówię panu, ciepłe kluchy! Myślą tylko, jak ocalić własną skórę, nie przejmują się ani bankiem, ani mną. Więc zapewniam pana, że niejednego wyrzucę. Nie przewiduję zresztą wielkiego ruchu w interesach.

Konwersacja przybrała obrót fachowy, co dało obu panom przyjemne poczucie ważności, lekko osłabione przez ostatnie wydarzenia.

— Niemiecka grupa — mówił Corbin — kupi Stalownie Wschodnie. Pod rym względem nie jesteśmy w złej sytuacji. To prawda, że sprawa doków w Rouen...

Sposepniał. Furieres wychodził. Chciał go odprowadzić i próbowali zapalić światło w salonie z zamkniętymi okiennicami, ale się nie zapaliło. Zaklął.

— Dranie! Odcięli mi prąd!

Jaki ten człowiek jest wulgarny, pomyślał hrabia. A głośno poradził:

— Niech pan zadzwoni, przyjdą naprawić. Telefon działa.

— Nawet pan sobie nie wyobraża, do jakiego stopnia wszystko tu u mnie w rozsypce — powiedział Corbin, dławiąc się z wściekłości. — Służba prysnęła. Jak jeden mąż!

I wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że zniknęła też część sreber. Żony nie ma. Jestem zagubiony w tym wszystkim.

— Pani Corbin jest w wolnej strefie?

— Tak — warknął Corbin.

Między nim a żoną doszło do przykrej sceny; w bałaganie przygotowań do pośpiesznego odjazdu nieuważna lub złośliwa pokojówka wsunęła do neseseru pani Corbin niewielką ramkę należącą do pana Corbin, w której było zdjęcie nagiej Arlette. Sama nagość pewno nie dotknęłaby prawowitej małżonki, zawsze bowiem kierowała się zdrowym rozsądkiem, ale tancerka miała wspaniały naszyjnik. „Zapewniam cię, że jest fałszywy”, tłumaczył zgnębiony pan Corbin. Żona nic chciała mu wierzyć. A co do Arlette, to nie dawała znaku życia. Mówiło się, że jest w Bordeaux i często widuje się ją w towarzystwie niemieckich oficerów. Te wiadomości tylko pogarszały zły humor pana Corbin.

— Mam już tylko maszynistkę — oznajmił. — Smarkule, którą przygarnąłem w Nicei. Głupia jak but, ale skądinąd ładna. A, to ty — rzucił opryskliwie młodej brunetce, która właśnie weszła. — Nie ma prądu, zobacz, co się da zrobić. Zatelefonuj, zrób awanturę, masz sobie poradzić, a poza tym przynieś mi pocztę.

— Poczta jeszcze nie przyniesiona?

— Nie, jest u konsjerżki. Idź po nią. Czy płacę ci za to, żebyś nic nie robiła?

— Wychodzę, pan budzi we mnie lęk — oznajmił Furieres. Corbin zauważył lekko pogardliwy uśmiezek hrabiego; wściekł się jeszcze bardziej. Pajac, hochsztapler, pomyślał. Głośno odpowiedział:

— Co pan chce? Wyprowadzają mnie z równowagi.

W poczcie był list od państwa Michaud. Stawili się w paryskiej siedzibie banku, ale nie mogli uzyskać dokładnych wskazówek. Napisali do Nicei i list przesłano Corbinowi. Michau-dowie domagali się instrukcji i pieniędzy. Zły humor Corbina nareszcie znalazł ujście.

— Dobrze sobie! — wykrzyknął. — Nie krepują się bynajmniej! Wszyscy biegają, męczą się, narażają na niebezpieczeństwo na drogach całej Francji, a państwo Michaud siedzą sobie spokojnie w Paryżu jak na wakacjach, i jeszcze mają czelność domagać się pieniędzy. Napiszesz im — zwrócił się do przerażonej maszynistki — napiszesz tak:

*Paryż, 25 lipca 1940*

*Pan*

*Maurice Michaud 23, rue Rousselei Paris*

*Szanowny Panie!*

*Jedenastego czerwca otrzymał Pan i Pani Michaud polecenie stawienia się do pracy w miejscu, dokąd ewakuuje się bank, czyli w Tours. Zdaje Pan sobie sprawę, że w tych decydujących chwilach każdy pracownik, a szczególnie Pan, cieszący się zaufaniem banku z racji swego stanowiska, staje się kombatantem. Wie Pan, co oznacza opuszczenie stanowiska pracy w podobnej chwili. Rezultatem absolutnej niefrasobliwości obojga państwa była całkowita dezorganizacja działów, które zostały wam powierzone — sekretariatu i rachunkowości. A nie jest to jedyny zarzut, jaki można wam postawić. Tak jak mówiliśmy w trakcie przyznawania nagród na 31 grudnia, kiedy to chciał Pan otrzymać gratyfikację w wysokości trzech tysięcy franków, mimo moich najlepszych intencji co do Pana, było to niemożliwe, jako że wydajność Pańskiego działu była minimalna w porównaniu z jego funkcjonowaniem pod Pańskim poprzednikiem. W tej sytuacji, żalując, że zwlekał Pan tak długo, by skontaktować się ze swoją dyrekcją, traktujemy brak wiadomości z Pańskiej strony aż do dziś jako dymisję, przy czym zarówno Pańską, jak i żony. Ta dymisja, wynikająca wyłącznie z Pańskiej winy i niepoprzedzona żadną zapowiedzią, zwalnia nas z obowiązku wypłacania Panu jakiegokolwiek odszkodowania. Biorąc jednak pod uwagę Pańską długotrwałą obecność w banku, a także aktualne okoliczności, przyznajemy wyjątkowo i wyłącznie dobrowolnie odszkodowanie stanowiące równowartość waszych dwumiesięcznych wynagrodzeń. W załączeniu przesyłamy czek na... franków, płatny w Banque de France w Paryżu. Dla porządku prosimy o potwierdzenie otrzymania czeku i przyjęcie wyrazów poważania.*

*Corbin*

Ten list pogrzyżył Michaudów w rozpacz. Nie mieli pięciu tysięcy franków oszczędności, bo studia Jeana-Marie kosz-

towały drogo. Dwa miesiące pensji plus oszczędzona suma wyniosą zaledwie piętnaście tysięcy, a w dodatku są winni pieniądze poborcy podatkowemu. Znalezienie pracy stało się prawie niemożliwe; okazje trafiały się rzadko i były na ogół źle płatne. Zawsze żyli w pewnym odosobnieniu, nie mieli rodziny, nie mieli też do kogo zwrócić się o pomoc. Byli wyczerpani drogą i przygnębieni niepokojem o syna. W trudnych chwilach, kiedy Jean-Marie był mały, pani Michaud często myślała: „Gdyby tylko był już w wieku, w którym sam będzie sobie radził, to nic mnie już naprawdę by nie dotknęło”. Wiedziała, że jest silna i zdrowa, że ma dość odwagi, nie bała się niczego ani dla siebie, ani dla męża, z którym nigdy się w myślach nie rozstawała.

Teraz Jean-Marie był mężczyzną. Jeśli żyje, to bez względu na to, co robi, już jej nie potrzebuje. Ale to wcale jej nie pocieszało. Przede wszystkim trudno jej było wyobrazić sobie, że dziecko może się bez niej obejść. Rozumiała równocześnie, że teraz to ona jego potrzebuje. Opuściła ją cała dzielność; dostrzegła kruchość Maurice'a; czuła się samotna, stara, chora. W jaki sposób znajdą pracę? Z czego będą żyli, kiedy wydadzą już te piętnaście tysięcy franków? Miała kilka drobnych sztuk biżuterii, do których była bardzo przywiązana. Zawsze powtarzała, że nie mają żadnej wartości, ale w głębi serca nie mogła uwierzyć, że tej uroczej małej broszki ozdobionej perłami czy skromnej obrączki z rubinem, podarku od Maurice'a z czasów młodości, które tak ją zachwyciły, nie sprzeda za dobrą cenę. Zaproponowała je jubilerowi w swojej dzielnicy, potem wielkiemu sklepowi na ulicy de la Paix, ale w obydwu miejscach odmówiono; i broszka, i pierścionek odznaczały się piękną robotą, ale jubilerów interesowały wyłącznie kamienie, które były tak małe, że nie opłacało się ich kupować. W głębi duszy pani Michaud była uszczęśliwiona, że może zatrzymać klejnociki, ale nie mieli żadnej innej rezerwy. A minął już lipiec i mocno nadszarpnął ich zasoby. Obydwoje chcieli najpierw pójść do Corbina i wyjaśnić, że robili, co tylko było możliwe, by dotrzeć do Tours, więc jeśli upiera się, żeby ich zwolnić, winien im jest całą należną odprawę. Jednak zbyt dobrze go znali, by nie zdawać sobie sprawy, że nic dla niego nic znaczą.



Nie mieli wystarczających środków, by wytoczyć mu proces, a Corbina niełatwo było zastraszyć. Poza tym odczuwali nieprzeparty wstręt na myśl o proszeniu o cokolwiek tego człowieka, którego nie znosili i którym pogardzali.

— Jeannc, nie mogę tego zrobić. Nawet mnie o to nie proś, bo nie mogę — powiedział Maurice swoim łagodnym i cichym głosem. — Myślę, że gdybym się z nim spotkał, to naplułbym mu w gębę, a to by niczego nie ułatwiło.

— Masz rację — przyznała Jeanne, uśmiechając się mimo woli — ale nasza sytuacja jest przerażająca, mój biedaku. Zupełnie jakbyśmy zbliżali się do ogromnej dziury, widać, że odległość zmniejsza się z każdym krokiem i nic nie można na to poradzić. To nie do wytrzymania.

— A jednak trzeba będzie to wytrzymać — odpowiedział ze spokojem. Takim samym tonem mówił do niej, kiedy został ranny w tysiąc dziewięćset szesnastym i wezwano ją do szpitala: „Liczę, że moje szanse na wyzdrowienie przedstawiają się jak cztery do dziesięciu”. Po namyśle dorzucił, nękany skrupułami; „Dokładnie mówiąc, trzy i pół”.

Położyła mu rękę na czole gestem łagodnym i czułym, myśląc z rozpaczą: „Gdyby był tu Jean-Marie, to by nas obronił, uratowałby. Jest młody, silny...”. Dziwnie mieszała się w niej macierzyńska potrzeba chronienia i kobieca chęć bycia chronioną. Gdzie jest mój mały? Czy żyje? Cierpi? Boże, to niemożliwe, żeby nie żył, myślała, a serce ścisnęło jej się na myśl, jak bardzo jest to możliwe w istocie. Z jej oczu popłynęły łzy, które tak dzielnie powstrzymywała od wielu dni. Wykrzyknęła z oburzeniem:

— Ale dlaczego zawsze tylko my mamy cierpieć? My i ludzie nam podobni? Zwyczajni ludzie? Klasa średnia? Przychodzi wojna, spada wartość franka, jest bezrobocie, kryzys czy rewolucja, inni się wymykają, a nas zawsze miażdży. Dlaczego? Cośmy takiego zrobili? Płacimy za wszystkie błędy. Oczywiście nas nikt się nie boi. Robotnicy się bronią, bogaci są silni. A my jesteśmy owcami, które nadają się na rzeź. Niech mi ktoś wytłumaczy dlaczego? Co się dzieje? Ja tego nie rozumiem. Ty jesteś mężczyzną, powinieneś to rozumieć — zwróciła się do Maurice'a ze złością, nie bardzo wiedząc, kogo

obarczać winą za tę sytuację. — Kto się myli? Kto ma rację? Dlaczego Corbin? Dlaczego Jean-Marie? Dlaczego my?

— Co chciałabyś zrozumieć? Tu nie ma nic do rozumienia — mówił, starając się ją uspokoić. — Są prawa, które rządzą światem, a które nie są ani za nami, ani przeciwko nam. Kiedy wybucha burza, nie masz pretensji do nikogo, wiesz, że piorun jest produktem dwu przeciwstawnych elektryczności, chmury cię nie znają. Nie możesz im czynić żadnych wyrzutów. Zresztą byłoby to śmieszne, bo nic by nie zrozumiały.

— Ale to nie to samo. Tu chodzi o zjawiska czysto ludzkie.

— Tylko pozornie, Jeanne. Wydają się spowodowane przez takiego lub innego człowieka, w takich czy innych okolicznościach, ale tak samo jak w przyrodzie po okresie spokoju nadchodzi burza, która ma swój początek, punkt kulminacyjny i koniec, a po niej następują kolejne, dłuższe lub krótsze, okresy spokoju. Na nasze nieszczęście urodziliśmy się w śmieciu burz i tyle. Ale w końcu cichną.

— Tak — powiedziała, choć nie podążała za jego abstrakcyjnym myśleniem. — A Corbin? On nie jest siłą natury, prawda?

— To gatunek szkodliwy jak skorpion, wąż czy trujący grzyb. Jest w tym także trochę naszej winy. Zawsze wiedzieliśmy, kim jest Corbin. Dlaczego zostaliśmy u niego? Tak jak nie dotykasz trujących grzybów, tak trzymaj się z daleka od niedobrych ludzi. Było wiele okoliczności, kiedy przy odrobinie odwagi i wytrwałości mogliśmy znaleźć sobie inną pracę. Przypomnij sobie, kiedy byliśmy młodzi i zaproponowano mi miejsce korepetytora w Sao Paolo, ale nie chciałaś mnie puścić.

— To stara historia. — Jeanne wzruszyła ramionami.

— Nie, chciałem tylko powiedzieć...

— Owszem, chciałeś powiedzieć, że ludziom nie można mieć za złe. Ale sam mówisz, że gdybyś spotkał Corbina, to naplułbyś mu w gębę. Nadal toczyli dyskusję, nie dlatego że spodziewali się czy pragnęli przekonać się nawzajem, ale dlatego że w ten sposób zapominali na chwilę o swoich okrutnych kłopotach.

— Do kogo moglibyśmy się zwrócić? — wykrzyknęła w końcu Jeanne.

— Nie rozumiałaś jeszcze, że wszyscy mają wszystkich innych w nosie?  
Popatrzyła na niego.

— Maurice, jesteś dziwny. Zetknąłeś się z największymi cynikami, całkiem pozbawionymi złudzeń, a mimo to nie czujesz się nieszczęśliwy. Czyżbym się myliła?

— Nie, nie mylisz się.

— Ale co cię podtrzymuje na duchu?

— Moja wewnętrzna wolność — powiedział po chwili namysłu — to cenne i nieodmienne dobro, i tylko ode mnie zależy, czy je stracę, czy zachowam. Namietności doprowadzone do paroksyzmu w końcu się uciszą. To, co ma początek, będzie miało koniec. Jednym słowem, niech miną katastrofy, nie należy tylko ich wyprzedzać, to wszystko. A przede wszystkim żyć: *Primum vivere*. Z dnia na dzień. Trwać, czekać, mieć nadzieję.

Słuchała go bez słowa. Nagle zerwała się i chwyciła z kominka kapelusz. Popatrzył na nią zdumiony.

— A ja uważam: Pomóż sam sobie, a niebo ci pomoże — oznajmiła. — I dlatego pójdę do Furieres'a. Zawsze był wobec mnie grzeczny i pomoże nam, choćby po to, żeby zrobić na przekór Corbinowi.

Jeanne się nie pomyliła! Furieres ją przyjął i obiecał, że obydwójce z mężem dostaną odprawę stanowiącą równowartość sześciomiesięcznych poborów, co podniesie ich kapitał do sześćdziesięciu tysięcy franków.

— Widzisz, poradziłam sobie, a niebo mi pomogło — oświadczyła Jeanne po powrocie do domu.

— A ja nie traciłem nadziei — odparł z uśmiechem. — Oboje mieliśmy rację.

Byli bardzo zadowoleni z rezultatu tych zabiegów, czuli jednak, że ich myśli, uwolnione od kłopotów finansowych, wypełni teraz całkowicie niepokój o syna.

Jesienią Charles Langelet wróci! do siebie. Porcelana nie ucierpiała w czasie podróży. Sam rozpakował wielkie skrzynie, drżąc z rozkoszy, kiedy dotykał przez wióry i bibułkę, gładkiej figurki z Sèvres i naczyń z różowej serii. Nie mógł uwierzyć, że jest znów u siebie i ogląda swoje skarby. Chwilami podnosił głowę i patrzył przez szyby, wciąż oblepione papierowym żebrowaniem, na zachwycający zakręt Sekwany.

W południe konsjerżka przychodziła posprzątać, bo nie zaangażował jeszcze służby. Poważne wydarzenia, szczęśliwe lub nie, nie zmieniają duszy człowieka, jedynie ją precyzują, tak jak podmuch wiatru wymiatający martwe liście ujawnia kształt drzewa, tak one wydobywają na światło to, co pozostawało w cieniu, pokazują duchowi kierunek rozwoju. Charlie zawsze przywiązywał wagę do swoich pieniędzy. Po powrocie z exodusu zachowywał się jak skąpiec, prawdziwą przyjemność sprawiało mu oszczędzanie, a w dodatku zrobił się cyniczny.

PRZEDTEM nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby zamieszkać w niedoprowadzonym do porządku domu pełnym kurzu; wzdrygałby się na myśl o pójściu do restauracji w dniu powrotu. Ale po tym, co przeżył, zaczął inaczej się zachowywać. Kiedy konsjerżka powiedziała, że w żaden sposób nie zdąży sprzątnąć tego dnia, że monsieur nie zdaje sobie sprawy, ile pracy to wymaga, Charlie odpowiedział łagodnie, ale stanowczo:

— Pani się postara, pani Logre. Musi pani po prostu pracować szybciej, i tyle.

— Szybko i dobrze nie idą w parze.

— Tym razem pójdą, czasy ułatwień minęły — oznajmił surowo Charlie.

— Wracam o szóstej. Mam nadzieję, że wszystko będzie gotowe — dodał.

Majestatycznym wzrokiem popatrzył na konsjerżkę, która już się nie odezwała, i wyszedł wzburzony, ale zdążył spojrzeć czule na swoją porcelanę. Schodząc po schodach, obliczał, ile oszczędza: nie będzie musiał płacić za obiad pani Logre. Przez jakiś czas będzie u niego zajęta dwie godziny dziennie; a kiedy wykona najważniejsze prace, trzeba będzie jedynie utrzymywać mieszkanie w porządku. Wtedy on spokojnie poszuka sobie służby. Najlepiej małżeństwa. Dotychczas zawsze zatrudniał małżeństwo: pokojowca i kucharkę.

Poszedł na obiad do znajomej małej restauracji na nabrzeżnych bulwarach. Zważywszy na okoliczności, wcale nie jadał źle. Zresztą nie był wielkim żarłokiem, ale pijał wspaniałe wina. Właściciel szepnął mu do ucha, że ma jeszcze niewielki zapas prawdziwej kawy. Charlie zapalił cygaro i uznał, że życie jest dobre. To znaczy, niezupełnie, nie można zapomnieć o klęsce Francji i wszystkich płynących stąd cierpieniach i upokorzeniach, ale dla niego życie było łaskawe, ponieważ brał je takim, jakim jest, nie utyskiwał na przeszłość i nie obawiał się przyszłości.

Przyszłość będzie, jaka będzie, myślał, tyle mnie to obchodzi co to...

Strząsnął popiół z cygara. Pieniądze miał w Ameryce, a ponieważ zostały szczęśliwie zablokowane, zapłaci mniejsze podatki albo w ogóle ich nie zapłaci. Osłabienie franka prędko nie minie. A kiedy już przyjdzie pora sięgnąć po swoją fortunę, będzie dziesięciokrotnie pomnożona. A co do bieżących wydatków, to od dawna się starał mieć rezerwę. Nie wolno było ani sprzedawać, ani kupować złota, więc na czarnym rynku już osiągało szalone ceny. Ze zdziwieniem wspominał teraz tamten powiew paniki, który owiał go, kiedy chciał wyjechać z Francji i zamieszkać w Portugalii lub w Ameryce Południowej. Zrobili to niektórzy z jego przyjaciół, ale on nie był przecież ani żydem, ani masonem. Bogu dzięki, myślał z pogardliwym uśmiechem. Nigdy nie zajmował się polityką, nie widział więc powodu, dla którego nie zostawiono by go w spokoju, jego,

nieszkodliwego człowieczka, który nikomu nie robił krzywdy i kochał tylko swoją porcelanę. Zastanawiając się nad tym poważnie, dochodził do wniosku, że tu właśnie kryła się tajemnica jego szczęścia pośród tylu wstrząsów. Nie kochał niczego, w każdym razie niczego żywego, co zmieniłby czas, co zabrałaby śmierć; miał absolutną rację, że się nie ożenił, że nie ma dzieci. Wielki Boże, wszyscy inni byli naiwni. Tylko on był mądry.

Wracając jednak do tego bezsensownego projektu opuszczenia ojczyzny, to zrodził się pod wpływem dziwacznej i szalonej myśli, że w ciągu kilku dni świat ulegnie zmianie, stanie się piekłem, prawdziwym koszmarem.

No i proszę... Wszystko zostało po starym. Przypomnił sobie Stary Testament i opis ziemi przed potopem. Jak to szło? Aha; ludzie budowali, żenili się, jedli i pili... no więc święta księga była niekompletna. Powinno być tam napisane: „Wody potopu się cofnęły, a ludzie znowu zaczęli budować, zawierać małżeństwa, jeść i pić...”. Zresztą ludzie nie byli szczególnie ważni. Należało zachować dzieła sztuki, muzea, zbiory.

Podczas wojny w Hiszpanii haniebne było niszczenie arcydzieł, ale teraz najważniejsze zostały zachowane, z wyjątkiem niektórych zamków nad Loarą. Trudno było się z tym pogodzić, ale pił akurat tak znakomite wino, że czuł się skłonny do optymizmu. W końcu zostały ruiny, bardzo piękne ruiny. Weźmy choćby Chinon, co może być piękniejszego niż ta sala bez sufitu, te mury, które widziały Joannę d'Arc, gdzie miały gniazda ptaki, gdzie pod dziwnym kątem rosła dzika czereśnia.

Po obiedzie chciał trochę powłóczyć się po ulicach, ale uznał, że są smutne. Prawie nie było samochodów, panowała niezwykła cisza, wszędzie łopotały olbrzymie czerwone flagi ze swastyką. Przed drzwiami mleczami kobiety stały w kolejce. Charlie widział wojnę po raz pierwszy. Tłum wydawał się posepny. Pośpieszył więc do metra, jedyne go możliwego środka lokomocji, by udać się do baru, do którego chodził bardzo regularnie albo o pierwszej, albo o siódmej wieczorem. W tych barach mógł się odprężyć. Było tam bardzo drogo, a klientela składała się z ludzi bogatych, których nie dotknęła ani mobilizacja, ani wojna. Przez jakiś czas Charlie siedział sam, ale koło wpół do

siódmej zjawili się wszyscy stali bywalcy, wszyscy w dobrej formie, zdrowi na ciele i umyśle, z pogodnymi minami, w towarzystwie uroczych kobiet ze starannym makijażem, dobrze ubranych, w uroczych kapelusikach. Rozległy się okrzyki:

— Ależ to on, Charlie! Pewnie jesteś zmęczony? Wróciłeś do Paryża?

— W Paryżu jest strasznie, prawda?

I niemal natychmiast, tak jakby się spotkali po najspokojniejszym, najzwyczajniejszym lecie, rozpoczęła się konwersacja, ożywiona i lekka, która dotyka wszystkich tematów, żadnego nie pogłębiając. Charlie mawiał, że robi się wówczas „niebezpiecznie ślisko, lepiej nie opierać się zbyt mocno”. Dowiedział się między innymi o śmierci czy dostaniu się do niewoli kilku młodych ludzi, więc zareagował;

— To niemożliwe! Nie miałem o tym pojęcia! Straszne! Biedne dzieciaki!

Małżonek jednej z dam był jeńcem wojennym w Niemczech.

— Dość regularnie dostaję od niego wiadomości, nie jest nieszczęśliwy, tylko ta nuda, rozumie pan...? Mam nadzieję, że wkrótce uda mi się go stamtąd wydostać.

Gawędząc, słuchając, Charlie odzyskiwał dobry humor, na chwilę przyćmiony widokiem paryskiej ulicy, ale doskonale samopoczucie odzyskał w pełni, kiedy zobaczył kapelusz kobiety, która właśnie weszła. Wszystkie obecne panie były dobrze ubrane, jednak rzucało się w oczy ich dążenie do prostoty, jakby chciały powiedzieć: „Nie ubieramy się teraz! Po pierwsze, nie mamy pieniędzy, a poza tym to nieodpowiedni moment... donoszą stare sukienki”. Ale ta kobieta prezentowała odwagę, wyzywająco, z tupetem swój cudowny nowy kapelusik niewiele większy od kółka na serwetki, zrobiony z dwóch sobolich skórek z rudą woalką opadającą na złote włosy. Na widok tego kapelusza Charlie rozpogodził się całkowicie. Robiło się późno, chciał jeszcze przed kolacją wstąpić do domu, należało już iść, ale nie mógł się zdecydować na rozstanie z przyjaciółmi. Ktoś zaproponował:

— A może zjedlibyśmy razem kolację?

— Doskonały pomysł — zgodził się Charlie z entuzjazmem. Teraz on z kolei zaproponował niewielką restaurację, w której

podano mu dobry obiad. Podobnie jak kot szybko przywiązywał się do miejsc, gdzie go dobrze potraktowano.

— Trzeba będzie podjechać metrem! Co to za koszmar to metro! Zatrzuwa nam życie — oznajmił.

— Ja zdobyłam benzynę. Ale nie mogę pana podwieźć, bo obiecałam poczekać na Nadine — powiedziała kobieta w kapeluszu.

— Ale jak pani to robi? To niesamowite, żeby tak sobie radzić.

— Jakoś trzeba — powiedziała z uśmiechem.

— Więc słuchajcie, spotykamy się za godzinę, za godzinę i kwadrans.

— Podjechać po pana?

— Dziękuję, bardzo pani uprzejma, ale to dwa kroki ode mnie.

— Proszę uważać, bo jest czarna noc. Bardzo tego przestrzegają.

Istotnie, co za ciemności!, pomyślał Charlie, wynurzając się na nieoświetloną ulicę z ciepłej i pełnej światła piwnicy. Padało, był jesienny wieczór, dokładnie taki, jakie uwielbiał dawniej w Paryżu, ale wtedy na horyzoncie widać było odbłaski płomieni. Teraz wszystko było ciemne i ponure jak wnętrze studni.

Na szczęście wejście do metra znajdowało się niedaleko. Pani Logre jeszcze nie skończyła sprzątać, zamiatała z miną skupioną i ponurą. Ale salon był już gotowy. Na błyszczącym blacie stołu chippendale Charlie chciał postawić statuetkę z Sèvres, którą kochał ponad wszystko, a która przedstawiała Wenus przed lustrem. Wyjął ją ze skrzyni, odwinął bibułkę, przyglądał się jej z rozmarzeniem i przyniósł do stołu, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

— Pani Logre, proszę zobaczyć, kto przyszedł. Pani Logre wyszła, a po chwili wróciła ze słowami:

— Mówiłam, że monsieur kogoś szuka, i konsjerżka spod szóstki przysłała tę osobę, która szuka miejsca.

Ponieważ Charlie się wahał, dodała:

— To osoba jak najbardziej w porządku, była pokojówką u pani hrabiny Barrau du Jeu. Wyszła za mąż i nie chciała już iść na służbę, ale mąż dostał się do niewoli i ona musi zarobić na życie. Monsieur może przecież sprawdzić.



— Dobrze, niech japani wprowadzi — zgodził się Langelet, stawiając figurkę na stoliku.

Kobieta prezentowała się bardzo dobrze, robiła wrażenie skromnej i spokojnej, najwyraźniej chciała się spodobać, ale bez uniżoności. Od razu było widać, że jest doświadczona i że służyła w dobrych domach. Była silna. W głębi duszy Charlie miał jej to za złe; lubił pokojówki drobne, niemal wychudzone, ale ta kobieta miała chyba trzydzieści pięć—czterdzieści lat, co było idealnym wiekiem dla służącej; wiekiem, w którym przestaje się już uganiać za płcią przeciwną, a równocześnie ma się jeszcze dość zdrowia i siły, by dobrze pracować. Kobieta była masywna, miała szerokie ramiona, ubrana była skromnie, ale odpowiednio; niewątpliwie suknia, palto i kapelusz należały kiedyś do dawnej chlebobawczyni.

— Jak się nazywasz? — spytał Charlie, na którym kobieta wywarła korzystne wrażenie.

— Hortense Gaillard, proszę pana,

— Bardzo dobrze. Szukasz miejsca?

— To znaczy, monsieur, dwa lata temu odeszłam od pani hrabiny Barral du Jeu, żeby wyjść za mąż. Nie zamierzałam wracać do służby, ale mąż został zmobilizowany, a potem dostał się do niewoli i monsieur rozumie, że muszę zarobić na życie. Mam na utrzymaniu bezrobotnego brata z chorą żoną i małym dzieckiem.

— Rozumiem. Zamierzałem zatrudnić małżeństwo.

— Wiem, ale może ja się nadam. Byłam pierwszą pokojową u pani hrabiny, a przedtem służyłam u matki pani hrabiny jako kucharka. Mogłabym się zająć i kuchnią, i sprzątnięciem.

— Owszem, to interesujące — powiedział Charlie, myśląc, że to bardzo korzystna kombinacja.

Oczywiście pozostaje problem podawania do stołu. Bywali u niego goście, ale tej zimy nie zamierzał zbyt wiele przyjmować.

— Umiesz prasować męską bieliznę? Uprzedzam, że pod tym względem jestem bardzo wymagający.

— Prasowałam koszule pana hrabiego.

— A co z gotowaniem? Często jadam w restauracji. Lubię potrawy proste, ale starannie przygotowane.

— Może monsieur zechce obejrzyć moje świadectwa?

Wyjęła je z torebki z imitacji świńskiej skóry. Charlie przeczytał obydwie — napisane niemal w entuzjastycznej tonacji — pracowita, doskonale ułożona, niezwykle uczciwa, umie doskonale gotować, a nawet piec.

— Nawet piec? Bardzo dobrze. Mam nadzieję, Hortense, że się porozumiemy. Jak długo pracowałaś u pani hrabiny Barral du Jeu?

— Pięć lat, proszę pana.

— A czy pani hrabina jest w Paryżu? Wolałbym osobiście zasięgnąć informacji.

— Doskonale to rozumiem, monsieur. Pani hrabina jest w Paryżu. Czy monsieur chciałby numer telefonu? Auteuil trzydzieści osiem czternaście.

— Dziękuję. Pani Logre, mogłaby pani zapisać? A pensja? Ile chciałabyś zarabiać?

Hortense zażądała sześciuset franków. On zaproponował czterysta pięćdziesiąt. Hortense zastanowiła się. Jej małe czarne oczka, żywe i przenikliwe, przejrzały na wylot tego człowieczka bezczelnego i dobrze odżywnionego. Szczur, maruda, ale dam sobie radę, myślała. A o pracę trudno. Powiedziała stanowczo.

— Nie mogę się zgodzić za mniej niż pięćset pięćdziesiąt. Monsieur zrozumie. Miałam trochę oszczędności, ale wszystkie poszły podczas tej strasznej podróży.

— Wyjeżdżałaś z Paryża?

— Tak, proszę pana. Podczas exodusu. Bomby i tak dalej, nie mówiąc już o tym, że po drodze mało nie umarliśmy z głodu. Monsieur nawet sobie nie wyobraża, jak było ciężko.

— Ależ wiem, wiem doskonale — westchnął Charlie. — Odbyłem tę samą drogę. Ach, to smutne wydarzenia. A więc pięćset pięćdziesiąt. Zgadzam się, bo myślę, że jesteś tego warta. Liczę na absolutną uczciwość.

— Och, proszę pana — Hortense wypowiedziała to tonem dyskretnego oburzenia, jakby podobne zdanie samo w sobie było obelgą, więc Charlie pospieszył dać jej do zrozumienia za pomocą uśmiechu, że mówił to tylko dla porządku, bo ani przez chwilę nie wątpił w jej nieskalaną uczciwość, a w ogóle to każda niedelikatność była dla niego tak trudna do zniesienia, że nawet nie potrafił o niej pomyśleć.

— Mam nadzieję, że będziesz pracowita i staranna. Jestem właścicielem kolekcji, na której mi zależy. Nikomu nie pozwalam odkurzać najcenniejszych przedmiotów, ale tę witrynę na przykład powierzę twoim staraniom.

Hortense rzuciła okiem na nie do końca rozpakowane skrzynie, do czego zdawał się ją zachęcać.

— Monsieur ma piękne rzeczy. Zanim zaczęłam służbę u matki pani hrabiny, pracowałam u jednego Amerykanina, pana Mortimera Shawa. U niego to była kość słoniowa.

— Mortimer Shaw? Coś podobnego! Dobrze go znam, to wielki antykwariusz.

— Już się wycofał z interesów, proszę pana.

— A długo pracowałaś u niego?

— Cztery lata. Służyłam tylko w tych dwóch miejscach. Charlie wstał i powiedział zachęcającym tonem, odprowadzając Hortense do drzwi:

— Przyjdź jutro po ostateczną odpowiedź, dobrze? Jeśli informacje ustne będą równie dobre jak świadectwa, w co nie wątpię ani przez chwilę, to cię zaangażuję. Mogłabyś wkrótce zacząć?

— Od poniedziałku, jeśli monsieur sobie życzy.

Po wyjściu Hortense Charlie szybko zmienił kołnierzyk, mankiety i umył ręce. W barze wypił sporo alkoholu. Czuł się niezwykle beztroski i zadowolony z siebie. Nie czekał na windę, która była urządzeniem powolnym i antycznym, zbiegł po schodach lekkim młodzieńczym krokiem. Spotka miłych przyjaciół, uroczą kobietę. Cieszył się, że pokaże im tę niewielką restaurację, którą odkrył.

Ciekawe, czy zostało im jeszcze to wino Corton, zastanawiał się. Z głuchym hałasem i jękiem otworzyła się i zamknęła za nim wielka brama wjazdowa z drewnianymi panelami rzeźbionymi w syreny i trytony (cudo uznane przez komisję zabytków za dzieło sztuki). Za progiem Charlie znalazł się od razu w ciemnościach. Wcsól i beztroski jak dwudziestolatek nie zwracał na to uwagi i przechodził przez ulicę w kierunku nadrzecznych bulwarów; zapomniał latarki, ale pocieszał się, że zna każdy kamień w swojej dzielnicy. Wystarczy iść wzdłuż Sekwany i przejść przez Pont-Marie. Nie powinno być wiele

aut, pomyślał. Dokładnie w chwili, gdy wypowiadał w myślach te słowa, zobaczył, że w odległości kilkunastu kroków wyłania się niezwykle szybko jadący samochód z reflektorami zamalowanymi na niebiesko, jak nakazywały przepisy, co dawało złowieszcze światło. Zaskoczony Charlie uskoczył do tyłu, poślizgnął się, poczuł, że traci równowagę. Wymachiwał rękami w powietrzu, ale nie miał się czego uchwycić, więc upadł. Auto raptownie skręciło, kobiecy głos zawołał z niepokojem: „Uwaga!”. Ale za późno.

„No to jestem zgubiony. Zostanę rozjechany. Przejsię tyle niebezpieczeństw i tak skończyć, to zbyt... zbyt głupie. Zakpiono ze mnie... Ktoś, gdzieś wciąga mnie w tę farsę, straszną i prymitywną”. Tak jak ptak przestraszony wystrzałem wylatuje z gniazda i znika, tak ta ostatnia świadoma myśl przemknęła przez mózg Charliego i opuściła go razem z życiem. Dostał straszny cios w głowę. Błotnik samochodu roztrzaskał mu czaszkę. Krew i mózg rozprysnęły się z taką siłą, że kilka kropel spadło także na kobietę za kierownicą — urodziwą kobietę w kapelusiku nie większym od kółka na serwetkę zrobionym z dwóch zeszytych razem skórek sobolich i z rudej woalki unoszącej się nad złotymi włosami. Arlette Corail wróciła z Bordeaux w ubiegłym tygodniu i teraz zgnębiona wpatrywała się w zwłoki, powtarzając: — Co za pech! No co za pech!

Była kobietąprzewidującą, miała przy sobie latarkę. Przyjrzała się twarzy ofiary czy raczej temu, co z niej zostało, i rozpoznała Charliego Langeleta. „Nieszczęśnik! Jechałam szybko, to pewne, ale dlaczego stary dureń nie uważał. Co teraz zrobić?”.

Przypomniała sobie jednak, że i ubezpieczenie, i prawo jazdy są w porządku, a знаła kogoś wpływowego, kto wszystko dla niej załatwi. Uspokojona, choć serce nadal jej waliło, usiadła na stopniu auta, odpoczęła chwilę, zapaliła papierosa, przypudrowała się drżącymi rękami i poszła szukać pomocy.

Pani Logre skończyła wreszcie sprzątanie gabinetu i biblioteki. Wróciła do salonu, by wyłączyć odkurzacz. Wykonała taki ruch, że rura odkurzacza uderzyła w stół, na którym stała

Wenus przed lustrem. Pani Logre krzyknęła: statuetka spadła na podłogę. Głowa Wenus rozpadła się na kawałki.

Pani Logre wytarła czoło fartuchem, zawahała się przez chwilę, po czym zostawiła statuetkę na podłodze i lekkim, bezszelestnym krokiem, zaskakującym u tak potężnej osoby, poszła odstawić na miejsce odkurzacz i wyszła z mieszkania.

— Do licha, powiem, że drzwi się otworzyły, zrobił się przeciąg i figurka spadła. To też i jego wina, dlaczego stała na brzegu stołu? A zresztą niech mówi co chce, niech zdechnie! — dokończyła ze złością.

Gdyby powiedziano Jeanów i-Marie, że pewnego dnia znajdzie się w jakiejś zabitej deskami miejscowości, z dala od swojego pułku, bez pieniędzy, bez możliwości porozumienia się z rodzicami, nie wiedząc, czy są zdrowi, czy są w Paryżu, czy tak jak wielu innych zostali przysypani w przydrożnym leju po bombie, gdyby jeszcze powiedziano mu, że po przegranej Francji będzie nadal żył i zazna nawet szczęśliwych momentów, toby nie uwierzył. A jednak tak było. Już sama pełnia klęski, jej nieodwracalność niosła ratunek, tak jak niektóre mocne trucizny zawierają swoje antidotum. Nie było lekarstwa na wszystkie doznane przez niego nieszczęścia. Nie mógł sprawić, by nie ominięto czy nie przerwano (nie było to dokładnie wiadome) Linii Maginota, by dwa miliony żołnierzy nie dostały się do niewoli, by Francja nie została zwyciężona. Nie mógł uruchomić poczty, telegrafu czy telefonu, nie mógł zapewnić sobie benzyny czy samochodu, żeby dojechać na dworzec oddalony o dwadzieścia kilometrów, skąd zresztą pociągi nie odjeżdżały, ponieważ zniszczono tory kolejowe. Nie mógł iść piechotą do Paryża, ponieważ odniósł ciężkie obrażenia i dopiero zaczynał wstawać z łóżka. Nie mógł zapłacić swoim gospodarzom, bo nie miał pieniędzy i w żaden sposób nie mógł ich zdobyć. Wszystko to przekraczało jego możliwości, musiał więc siedzieć spokojnie i czekać.

To poczucie absolutnego uzależnienia od świata zewnętrznego niosło pewien spokój. Nie miał nawet swoich ubrań,

a podarty mundur, w wielu miejscach nadpalony, nie nadawał się do użytku. Chodził w koszuli khaki i zapasowych spodniach jednego z chłopców z farmy. Kupił sobie w miasteczku saboty. Tymczasem po nielegalnym przejściu linii demarkacyjnej i podaniu nieprawdziwego miejsca zamieszkania został zdemobilizowany, toteż nie groziło mu już dostanie się do niewoli. Nadal mieszkał na farmie, ale odkąd wyzdrowiał, nie sypiał już w paradnym łóżku w kuchni. Dostał małą izdebkę nad stodołą z sianem. Przez okrągłe okienko widział cudowne i spokojne pola, żyzne ziemie i las. W nocy słyszał biegające w stodole myszy i gruchanie gołębi w gołębniku.

Taka egzystencja w śmiertelnym zagrożeniu jest do wytrzymania, pod warunkiem że żyje się z dnia na dzień i powtarza wieczorem: „Dzięki Bogu, że dziś nic złego się nie wydarzyło! Poczekajmy do jutra”.

Wszyscy z otoczenia Jeana-Marie tak właśnie rozumowali, a w każdym razie ich zachowanie o takim rozumowaniu świadczyło. Zajmowano się zwierzętami, sianem, masłem, nigdy nie mówiło się o następnym dniu. Przewidywano przyszłe lata, sadzono drzewa, które zaczną owocować po pięciu czy sześciu sezonach; tuczono wieprza, który zostanie zjedzony po dwóch latach, nie robiono jednak żadnych planów na najbliższą przyszłość. Kiedy Jean-Marie pytał, czy nazajutrz będzie dobra pogoda (banalne pytanie paryżanina na wakacjach), odpowiadali: „Nie wiemy, skąd możemy wiedzieć”. „A będzie urodzaj owoców?”. „Może trochę będzie — mówili, patrząc nieufnie na małe, twarde i zielone gruszki na gałązkach drzew przyciętych w szpaler — ale trudno powiedzieć... nie wiemy... to się dopiero okaże...”. Dziedziczne doświadczenie zasadzek losu, kwietniowych mrozów, gradów niszczących plony gotowe do żniw, lipcowej suszy, która pali ogród warzywny, narzucało im tę mądrość i powolność, ale równocześnie wykonywali to wszystko, co należało wykonać każdego dnia. Nie byli sympatyczni, ale budzili szacunek, myślał Jean-Marie, który prawie nie znał wsi, rodzina Michaud od pięciu pokoleń mieszkała w mieście.

Mieszkańcy tej wioski byli gościnni, pogodni, mężczyźni wygadani, dziewczyny zalotne. Przy bliższym poznaniu zauważało się pewną cierpkość, twardość, wręcz złośliwość, co

budziło zdziwienie, a być może dało się wytłumaczyć jakimiś mrocznymi pozostałościami atawistycznymi, nienawiścią i lękiem przekazywanym w genach z pokolenia na pokolenie. A równocześnie okazywali hojność. Gospodyni nie podarowałaaby sąsiadce jednego jajka, a kiedy sprzedawała drób, liczyła każde su, kiedy jednak Jean-Marie chciał opuścić farmę, tłumacząc to brakiem pieniędzy, niechęcią pozostawiania na ich utrzymaniu, zapowiadał, że spróbuje dojść do Paryża piechotą, cała rodzina słuchała go w pełnym konsternacji milczeniu, a matka oświadczyła z niezwykłą godnością:

— Proszę pana, nie trzeba tak mówić, to nas obraża...

— Więc co mam robić? — pytał Jean-Marie, który czuł się jeszcze bardzo słaby i z twarzą ukrytą w dłoniach siedział bez ruchu obok gospodyni.

— Nic nie robić. Trzeba czekać.

— Oczywiście, niedługo zacznie działać poczta — powiedział cicho młody człowiek. — I jeśli tylko moi rodzice są w Paryżu...

— Wtedy się zobaczy — dokończyła gospodyni. Nigdzie nie było tak łatwo zapomnieć o świecie. W braku

listów i gazet jedynym źródłem kontaktu ze światem pozostawało radio, ale chłopom powiedziano, że Niemcy będą konfiskować odbiorniki, więc pochowali je na strychach, w szufladach, zakopali w polu razem ze starą strzelbą myśliwską, nieoddaną podczas rekwizycji. Region znajdował się w strefie okupowanej, blisko linii demarkacyjnej, ale wojsko niemieckie jedynie tędy przeszło, nie stacjonowało tu; poza tym oddziały pokazywały się tylko w miasteczku, nigdy nie pokonywały dwóch kamienistych i trudnych kilometrów wzniesienia. W miastach i w niektórych departamentach zaczynało brakować żywności; tutaj występowała w większej niż zwykle obfitości, a ponieważ nie można było transportować produktów, zjadano je na miejscu. Jean-Marie nigdy w życiu nic jadł tyle masła, kurczaków, śmietany, brzoskwiń. Szybko przychodził do siebie. Zaczynał nawet tyć, twierdziła gospodyni, a w jej dobroci wobec Jeana-Marie wyczuwało się ukryte pragnienie ugody z Panem Bogiem: ofiarowanie mu uratowanego życia w zamian za to, które pozostawało w Jego rękach. Tak jak dawało się kurom



ziarno w zamian za jajka, tak samo gospodyni próbowała wymienić Jeana-Marie za swojego chłopaka. Jean-Marie doskonale to rozumiał, jednak w niczym nie umniejszało to jego wdzięczności wobec starej kobiety, która go pielęgnowała. Próbował się do czegoś przydać, coś tam dłubał na farmie, pracował w ogrodzie.

Kobiety pytały go czasami o wojnę, o tę konkretną wojnę, ale mężczyźni nigdy! Wszyscy byli dawnymi kombatantami, młodzi poszli na front.

Wspomnienia tych, którzy zostali, wiązały się z czternastym rokiem.

Przeszłość została już przez nich przefiltrowana, przerobiona,

oczyszczona z goryczy, z trucizny, duchowo przyswajalna, podczas gdy niedawne wydarzenia były nieprzyjemne, podszyte jadem. Zresztą w

głębi duszy uważali, że we wszystkim zawinili młodzi, którzy mieli gorsze zdrowie, mniej cierpliwości, a w szkole ich rozpieszczono. A

ponieważ Jean-Marie był młody, więc przez delikatność unikali sytuacji osądzania zarówno jego, jak i jego rówieśników.

Tak więc wszystko sprzysięgło się, by ukoić i ukołysać żołnierza, by odzyskiwał siły i odwagę. Niemal codziennie zostawał sam, był to bowiem okres ważnych prac polowych. Mężczyźni wychodzili z domu o świcie. Kobiety zajmowały się żywym inwentarzem i praniem.

Jean-Marie zaproponował swoją pomoc, ale odesłano go z kwitkiem:

„Ledwie chodzi, a mówi o robocie!“. Wtedy wymykał się z domu, szedł przez podwórze, gdzie gdakały małe indyki, i wychodził na niewielkie pole ogrodzone płotem. Konie pasły się na trawie: złocisto-brązowa klacz

i dwa źrebaki w kolorze mlecznej kawy z krótkimi, szorstkimi czarnymi grzywami. Ocierały nosy o nogi matki, która pasła się spokojnie,

machając niecierpliwie ogonem w obronie przed muchami. Czasami któryś źrebak odwracał głowę w kierunku Jeana-Marie, który leżał blisko płotu, przyglądał mu się czarnym, wilgotnym okiem i rżał radośnie.

Jean-Marie nigdy nie miał dosyć patrzenia na nie. Chciałby napisać wymyśloną historię tych uroczych koników, opisać lipcowy dzień,

krajobraz, całe gospodarstwo, jego mieszkańców, wojnę, siebie samego. I zaczął pisać paskudnym, kiepsko zatem-perowanym ogryzkiem ołówka

w małym dzienniczku ucznia, który ukrywał na sercu. Spieszył się, coś go ponaglało, pukało

do niewidocznych drzwi. Pisząc, otwierał te drzwi, nadawał impuls temu, co pragnęło się narodzić. Nagle tracił zapał, odczuwał zniechęcenie, zmęczenie. Był szalony. Co tutaj robił, wymyślając jakieś głupie historyjki, pozwalając się rozpieszczać gospodyni, podczas gdy jego koledzy siedzieli w więzieniu, a zrozpaczeni rodzice opłakiwali jego śmierć, gdy przyszłość rysowała się tak niepewnie, a przeszłość tak czarno. Jednak podczas tych rozważań zobaczył, że jeden ze źrebaków radośnie galopuje, zatrzymuje się, tarza w trawie, wymachując kopytami, i rozgląda się wzrokiem czujnym i psotnym. Jean-Marie poszukiwał sposobu opisanego tego wzroku, poszukiwał z ciekawością, z niecierpliwością, z dziwnym i słodkim niepokojem. Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, ale wyobraził sobie, co musiał odczuwać źrebak, jak dobra była świeża i chrupiąca trawa! jak nieznośne muchy! jak wolne i wspaniałe powietrze, kiedy podnosił głowę, galopował i wierzgał! Napisał szybko kilka niepełnych linijek, niezręcznych, ale to nie miało znaczenia, to nie było najważniejsze, to dopiero przyjdzie; zamknął notesik i wreszcie znieruchomiał, dłonie miał rozluźnione, oczy zamknięte, znużony i szczęśliwy.

Kiedy wrócił do domu w porze posiłku, od razu wyczuł, że coś się wydarzyło pod jego nieobecność. Jeden z młodych domowników był w miasteczku po chleb; przyniósł cztery piękne złote bochenki nawleczone niby korona na kierownicę roweru. Otoczyły go kobiety. Na widok Jeana-Marie jedna z nich zawołała:

— A, panie Michaud, ucieszy się pan, działa poczta.

— To niemożliwe! — wykrzyknął Jean-Marie. — Jesteś tego pewien? — spytał chłopca.

— Jasne! Widziałem otwarte drzwi i ludzi czytających listy.

— A więc idę napisać parę słów do swoich i pędzę z tym do miasteczka. Pożyczysz mi rower?

W miasteczku nie tylko wysłał list, ale jeszcze kupił gazety, które akurat nadeszły. Jakie to dziwne! Przypominał rozbitka, który odnajduje swój kraj, cywilizację, społeczność sobie podobnych. Na niewielkim placu czytano listy, które dotarły wieczorną pocztą; kobiety płakały. Wielu uwięzionych przysłało wiadomości o sobie, ale podawali również nazwiska poległych kolegów.

Tak jak go proszono na farmie, Jean-Marie wypytywał, czy nikt nie wie, gdzie się znajduje Benoît, syn gospodyni.

— A, to pan jest tym żołnierzem, który u nich mieszka? — powtarzały wieśniaczki. — My jeszcze nic nie wiemy, ale teraz, jak już przychodzą listy, dowiemy się, gdzie są nasze chłopcy.

Jedna z kobiet, staruszka, która wyprawiając się do miasteczka, ubrała się w czarny spiczasty kapelusik, ozdobiony na czubku różą, powiedziała ze łzami:

— Dla niektórych te wiadomości przyjdą za wcześnie. Wolałabym nie dostać tego przekłętą papierka. Mój był majtkiem na „Bretagne” i mówią, że zaginął, kiedy Anglicy storpedowali okręt. To ponad moje siły!  
— Nie należy rozpaczać. Zaginiony nie znaczy poległy. Może jest jeńcem w Anglii!

Jednak na wszystkie pocieszenia kobieta odpowiadała jedynie przeczącym ruchem głowy, za każdym razem sztuczny kwiat drżał na swojej mosiężnej łodyżce.

— Nie, straciłam już nadzieję, moi drodzy! Za dużo nieszczęścia...

Jean-Marie wyruszył z powrotem do wioski. Po drodze spotkał Cécile i Madeleine, które wyszły mu naprzeciw; obydwie w tym samym momencie zapytały:

— Wie pan coś o moim bracie? Wie pan coś o Benoît?

— Nie wiem, ale to nic nie znaczy. Pomyślcie tylko, ile jest zaległej poczty.

Matka o nic nie pytała. Pożółkłą i wysuszoną dłonią przysłoniła oczy, popatrzyła na Jeana-Marie, który pokręcił głową przecząco. Zupa stała na stole, mężczyźni wrócili z pola, wszyscy jedli. Po kolacji, kiedy naczynia zostały już wytarte, a podłoga zamieciona, Madeleine poszła do ogrodu zrywać groszek. Jean-Marie udał się w jej ślady. Myślał, że już niedługo wyjedzie z fermy, więc w jego oczach wszystko wydawało się piękniejsze, nasycone większym spokojem.

Od kilku dni dokuczał im straszny upał, można było odetchnąć jedynie wieczorem. O tej porze ogród zachwycał; słońce spiekło margerytki i białe goździki okalające warzywnik, ale krzaki róż posadzone w pobliżu studni były obsypane roz-

winiącymi kwiatami; zapach cukru, piżma, miodu unosił się nad kępą czerwonych różyczek obok uli. Księżyc w pełni miał barwę bursztynu i świecił tak jasno, że zdawał się oświetlać niebo aż do jego najgłębszych warstw, równym, pogodnym światłem, zielonkawym i przezroczystym.

— Piękne mieliśmy lato — powiedziała Madeleine.

Z koszykiem w dłoni zmierzała w stronę tyczek, na których piał się groszek.

— Tylko tydzień niepogody na początku miesiąca, a potem już ani kropli deszczu, ani jednej chmurki. Jeśli to potrwa dłużej, w ogóle nie będzie jarzyn... a w takim upale pracuje się ciężko... ale mimo wszystko jest przyjemnie, jakby niebo chciało pocieszyć biedny świat. Jeśli pan chce mi pomóc, to proszę się nie krępować — dodała.

— A gdzie Cécile?

— Cécile szyje sobie piękną sukienkę na niedzielną mszę.

Jej zręczne i silne palce buszowały wśród zielonych i soczystych liści groszku, rozłamywały strąk, wrzucały groszek do koszyka. Pracowała z pochyloną głową.

— A więc opuści pan nas?

— Nie mam innego wyjścia. Z przyjemnością spotkam się z rodzicami, a poza tym muszę poszukać pracy, ale...

Obydwoje zamilkli.

— Oczywiście, nie może pan tu spędzić całego życia — powiedziała dziewczyna, jeszcze niżej opuszczając głowę. — Wiadomo, jak to jest, ludzie się spotykają, rozstają...

— Rozstają się — powtórzył cicho.

— Przynajmniej doszedł pan do siebie. Nabrał rumieńców...

— Dzięki pani staraniom.

Palce na liściu zastygły w bezruchu.

— Podobało się panu u nas?

— Przecież pani wie.

— No, to nie można nas zostawiać bez wiadomości, trzeba do nas pisać

— powiedziała, a Jean-Marie zobaczył oczy pełne łez. Natychmiast odwróciła głowę. — Napiszę na pewno, obiecuję — mówiąc to,

Jean-Marie nieśmiało dotknął ręki dziewczyny.

— Och, tak się mówi... Kiedy pan pojedzie, to my tutaj

będziemy mieli dość czasu, żeby o panu myśleć. Mój Boże, teraz to jeszcze jest dużo pracy, człowiek zajęty od rana do wieczora... ale jak przyjdzie jesień, potem zima, trzeba tylko nakarmić zwierzęta, a resztę czasu spędza się w domu, patrzy się na padający deszcz, potem śnieg. Czasami zastanawiam się, czy nie pójść na służbę do miasta...

— Nie, Madeleine, proszę tego nie robić, niech mi pani obieca. Tutaj będzie pani znacznie szczęśliwsza.

— Tak pan sądzi? — spytała cichym i dziwnym głosem.

I oddaliła się, znikając w liściach. Jean-Marie machinalnie zrywał groszek.

— Myśli pani, że potrafię o pani zapomnieć? — spytał w końcu. — Sądzi pani, że mam tak dużo pięknych wspomnień, że to mogę zlekceważyć? Coś podobnego! Wojna, koszmar wojny.

— A wcześniej? Przecież nie zawsze trwała wojna? Więc przed wojną było...

— Co?

Nie odpowiedziała.

— Ma pani na myśli kobiety, dziewczyny?

— Oczywiście.

— Nic szczególnie ciekawego, moja droga Madeleine.

— Ale pan wyjeżdża — powiedziała, nie mając już sił na powstrzymywanie łez, spływających po pulchnych policzkach, głos jej się łamał. — Bardzo mi smutno rozstać się z panem. Nie powinnam panu tego mówić, będzie pan się ze mnie śmiał, a Cécile jeszcze bardziej... ale jest mi wszystko jedno... naprawdę trudno mi...

— Madeleine...

Dziewczyna wyprostowała się, ich oczy się spotkały. Zbliżył się i delikatnie objął ją w talii, ale kiedy chciał pocałować, odepchnęła go z westchnieniem.

— Nie, nie o to mi chodzi... to zbyt łatwe...

— Czego chcesz, Madeleine? Mam obiecać, że nigdy cię nie zapomnę?

Możesz mi wierzyć lub nie, ale to prawda, nie zapomnę cię — powiedział i ucałował jej dłoń, a ona zarumieniła się z zadowolenia.

— Madeleine, czy to prawda, że chcesz zostać zakonnica?

— Prawda. Przedtem chciałam, aie teraz... nie chodzi o to, że nie kocham już Pana Boga, ale wydaje mi się, że nie jestem do tego stworzona!

— Oczywiście, że nie. Jesteś stworzona do miłości i szczęścia.

— Co do szczęścia, to nie wiem, ale chyba jestem stworzona do tego, żeby mieć męża i dzieci, i jeśli Benoît nie poległ, no to...

— Benoît ? Nie wiedziałem...

— No tak, rozmówiliśmy się... ja wcale nie chciałam. Przyszło mi do głowy, że zostanę zakonnica. Ale jeśli wróci... to porządny chłopak...

— Nie wiedziałem — powtórzył Jean-Marie.

Jacy ci wieśniacy są skryci ! Dyskretni, nieufni, zamknięci na dwa spusty... tak jak ich przepastne szafy. Mieszkał u nich ponad dwa miesiące i nawet nie podejrzewał związku Madeleine z synem gospodarzy, a teraz zdał sobie sprawę, że właściwie nikt w ogóle nie mówił o tym Benoît... Nigdy o niczym nie mówią. Co nie znaczy, że nie myślą.

Gospodyni zawołała Madeleine. Wrócili do domu.

Minęło kilka dni, nie było żadnych wiadomości od Benoît, ale Jean-Marie szybko dostał od swoich list i pieniądze. Już nigdy nie znalazł się sam na sam z Madeleine. Zrozumiał, że są obserwowani. Pożegnał się z całą rodziną zebraną na progu. Tego ranka padało po raz pierwszy od wielu tygodni, ze wzgórz przywiewało chłodne powietrze. Kiedy Jean-Marie się oddalił, gospodyni weszła do domu. Dziewczęta jeszcze długo stały na progu, słuchając stukotu bryczki na drodze.

— Nie najgorzej się składa! — wykrzyknęła Cécile, jakby już od dawna z najwyższym trudem powstrzymywała falę wściekłych słów. — Może wreszcie uda się skłonić cię do jakiejś pracy... Ostatnio byłaś nieprzytomna, wszystko spadało na mnie...

— Akurat ty nie masz prawa robić mi wymówek, zajmowałaś się tylko szyciem i przeglądaniem się w lustrze. To ja wczoraj wydołam krowy, choć nie była moja kolej — odparowała ze złością Madeleine.

— A co ja mam do tego? To matka ci kazała.

— Nawet jeśli matka mi kazała, wiem, kto ją do tego namówił.

— Myśl sobie co chcesz!

— Hipokrytka!

— Bezwstydnica! I taka chce być moją siostrą!

— Zupełnie jakbyś się nie kręciła koło niego! Ale miał to w nosie!

— A ty? Pojechał i już więcej go nie zobaczysz. Patrzyły na siebie przez chwilę wściekłym wzrokiem, i nagle na twarzy Madeleine pojawił się wyraz zdumienia i czułości.

— Och, Cécile, byłyśmy jak siostry. Nigdy się nie kłóciłyśmy. Daj spokój, to nie ma sensu. On nie jest ani dla ciebie, ani dla mnie.

Objęła ramieniem Cécile, która się rozplakała.

— To przejdzie... wytrzymaj oczy. Matka zobaczy, że płakałaś.

— Och, matka. Ona wie o wszystkim, ale nic nie mówi. Rozdzieliły się; jedna poszła do stajni, druga do domu. Był poniedziałek, dzień prania, ledwo miały czas wymienić dwa słowa, ale ich spojrzenia i uśmiechy świadczyły o pogodzeniu. Wiatr niósł do hangaru dym z pralni. Był to jeden z tych niespokojnych i ponurych dni, kiedy w środku sierpnia czuje się pierwsze podmuchy jesieni. Mydłąc, wykręcając, płuczac bieliznę, Madeleine nie miała czasu na rozmyślanie, co uśmierzyło jej ból. Ilekroć podnosiła wzrok, widziała szare niebo, drzewa dręczone przez wichurę. W pewnej chwili powiedziała;

— Jakby lato się skończyło...

— Nie szkodzi. Paskudne lato — oświadczyła matka tonem urazy.

Madeleine spojrzała na nią zaskoczona, dopiero po chwili przypomniała sobie wojnę, exodus, nieobecność Benoît, ogólne nieszczęście, tę wojnę, która trwała w dali i przyniosła tylu poległych. W milczeniu zabrała się z powrotem do pracy.

Wieczorem po zamknięciu kurnika szła przez podwórze w strumieniach deszczu i zobaczyła na drodze szybko zbliżającego się mężczyznę. Serce jej zaczęło walić, pomyślała, że wrócił Jean-Marie. Ogarnęła ją dzika radość, rzuciła się w stronę mężczyzny i dwa kroki przed nim krzyknęła;

— Benoît?

— No, to ja.

— Ale jakim sposobem? Ale twoja matka się ucieszy! Więc ocalałeś... Benoît? Tak się baliśmy, że dostałeś się do niewoli.

Roześmiał się bezgłośnie. Był potężnym mężczyzną, miał dużą, śniadą twarz, oczy twarde i jasne.

— Dostałem się, ale nie na długo.

— Uciekłeś?

— Tak.

— Ale jak?

— Zwyczajnie, z chłopakami.

Na jego widok odnalazła niespodziewanie swoją nieśmiałość chłopki, tę umiejętność cierpienia i kochania w milczeniu, którą zatraciła przy Jeanie-Marie. Nie pytała Benoît o nic, po prostu szła obok niego bez słowa.

— A tutaj wszystko w porządku? — zapytał.

— Tak.

— Nic nowego?

— Nic.

Weszła pierwsza po trzech schodkach do kuchni i zawołała:

— Matko, chodźcie szybko, wrócił nasz Benoît.



Poprzednia zima — pierwsza zima wojny — była długa i ciężka. A co powiedzieć o tej z czterdziestego na czterdziesty pierwszy? Zimno i śnieg zaczęły się w końcu listopada. Śnieg padał na zbombardowane domy, na odbudowywane mosty, na ulice Paryża, po których nie jeździły już samochody ani autobusy, chodziły natomiast kobiety w futrach i wełnianych kapturach, podczas gdy inne drżały z zimna w drzwiach sklepów. Padał na tory kolejowe, na druty telegraficzne, które pod jego ciężarem opadały aż do ziemi, a czasem się przerywały, na zielone mundury niemieckich żołnierzy w drzwiach koszar, na czerwone sztandary ze swastyką na frontonach zabytkowych budowli. Padający śnieg wpuszczał do lodowatych mieszkań sine i posępne światło, które jedynie pogłębiało uczucie zimna i niewygody. W biednych rodzinach starcy i dzieci całymi tygodniami nie wstawali z łóżek: tylko pod kołdrą można było się rozgrzać.

Taras u Corte'ów pokrywała tej zimy warstwa śniegu, tak gruba, że chłodzono w niej szampana. Corte pisał przy kominku, który jednak nie zastępował ciepła kaloryferów. Miał siny nos, niemal płakał z zimna. Jedną ręką przyciskał do serca termofor z wrzątkiem, a drugą pisał. Na Boże Narodzenie oziębiło się jeszcze bardziej, jedynie w korytarzach metra można było troszkę odmarznąć. A śnieg ciągle padał, nieubłaganie, miękki i lepki na drzewach przy bulwarze Delessert, na który powrócili Pericandowie. Należeli

bowiem do tej wyższej klasy francuskiego mieszczaństwa, która woli, by dzieciom brakowało chleba, mięsa i powietrza, ale nie dyplomu. Za żadną cenę nie można było przerywać studiów Huberta, już i tak zakłóconych wydarzeniami ubiegłego lata, ani szkoły Bernarda, który zaczynał ósmy rok życia i zapomniał wszystko, czego nauczył się przed exodusem, matka kazała mu recytować: „Ziemia jest okrągłą kulą, która nie opiera się absolutnie na niczym”, zupełnie jakby miał siedem, a nie osiem lat (to było żałosne!).

Płatki śniegu przylepiały się do żalobnej woalki pani Pericand, kiedy przechodziła dumnie wzdłuż kolejki klientów przed sklepem i zatrzymywała się dopiero na progu, wymachując jak sztandarem kartą uprawniającą do pierwszeństwa, która przysługiwała matkom licznych rodzin.

Jeanne i Maurice Michaud czekali na śniegu na swoją kolejkę, podpierając się nawzajem jak zmęczone konie przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Śnieg przykrywał grób Charliego Langeleta na Pere-Lachaise i cmentarzysko samochodów w pobliżu mostu w Gien — samochodów zbombardowanych, spalonych, porzuconych w czerwcu i spoczywających po obu stronach drogi, opartych na jednym kole czy na boku, szeroko otwartych lub przemienionych w kupę żelastwa. Wieś była biała, rozległa, cicha, śnieg topniał w ciągu kilku dni; wieśniacy się radowali. „Dobrze, że już widać ziemię”, powtarzali. Ale następnego dnia znowu padał śnieg, kruki skrzeczały pod niebem. „Dużo ich w tym roku”, szeptali młodzi, wspominając pola bitew i zbombardowane miasta, na co starzy odpowiadali: „Nie więcej niż zwykle”. Na wsi nic się nie zmieniało, czekano. Czekano końca wojny, końca blokady, powrotu jeńców, końca zimy.

„W tym roku nie będzie wiosny”, wzdychały kobiety, widząc, jak mija luty i początek marca, a temperatura się nie podnosi. Śnieg zniknął, ale ziemia była szara, twarda, dźwięczna jak żelazo. Kartofle zamarzały. Dla bydła brakowało paszy. Powinno już żywić się na łąkach, nie pojawiło się jednak ani źdźbło trawy. W wiosce, gdzie mieszkała rodzina Sabarie, starzy barykadowali się za drewnianymi wrotami, które na noc zapierano kołkiem. Rodzina zbierała się przy piecu, kobiety robiły

na drutach rzeczy dla jeńców, nie padało przy tym ani jedno słowo. Madeleine i Cécile kroily maleńkie koszulki i pieluszki ze starych prześcieradeł. Madeleine poślubiła Benoît we wrześniu i spodziewała się dziecka. Kiedy zbyt mocny podmuch wiatru szarpnął drzwi, stare kobiety mówiły: „O Boże, za dużo tego nieszczęścia”.

W sąsiednim gospodarstwie płakał mały chłopczyk urodzony tuż przed Bożym Narodzeniem, którego ojciec był w niewoli. Matka miała już trójkę dzieci. Była to wysoka i chuda chłopka, wstydliva, milcząca, pełna rezerwy, która nigdy się nie skarżyła. Kiedy ludzie mówili: „Louise, jak ty sobie poradzisz, bez mężczyzny, tyle pracy i żadnej pomocy, a do tego jeszcze czwórka dzieciaków?”, uśmiechała się, choć oczy pozostawały zimne i smutne, i odpowiadała: „Jakoś trzeba...”. Wieczorem, kiedy dzieci posnęły, pojawiała się u Sabariech. Zasiadała ze swoją robótką blisko drzwi, żeby w nocnej ciszy usłyszeć wołanie dzieci. Kiedy nikt na nią nie patrzył, podnosiła ukradkiem powieki i przyglądała się Madeleine i jej młodemu mężowi, bez zazdrości, bez zawiści, z cichym smutkiem, po czym szybko opuszczała wzrok na druty, a po upływie kwadransa wstawała, kładła drewniane chodaki i mówiła półgłosem: „No to na mnie pora, muszę iść. Miłego wieczoru i dobranoc wszystkim”, i szła do siebie. Był marzec. Nie mogła zasnąć. Prawie wszystkie noce mijały tak samo, na próżno usiłowała zasnąć w zimnym i pustym łożu. Zastanawiała się, czy nie wziąć do łóżka najstarszego dziecka, ale powstrzymał ją przesądny lęk: to miejsce powinno pozostać puste w oczekiwaniu na nieobecnego.

Tej nocy wiał gwałtowny wiatr. Szła burza z gór Morvan. „Jutro znowu będzie śnieg!”, mówili ludzie. Kobieta w swoim wielkim pustym domu, który trzeszczał ze wszystkich stron jak dryfujący statek, po raz pierwszy nie zapanowała nad sobą i zalała się łzami. Nie zdarzyło jej się to w trzydziestym dziewiątym, kiedy mąż poszedł na wojnę, ani kiedy wyjeżdżał po krótkich urlopach, ani kiedy się dowiedziała, że dostał się do niewoli, ani kiedy urodziła podczas jego nieobecności. Była jednak u kresu sił: tyle pracy... niemowlę tak silne, że wykańczało ją swoim apetytem i krzykiem... krowa prawie wcale

niedająca mleka z powodu zimna... kury niemal pozbawione ziarna nie chciały znosić jaj, lód w pralni, który trzeba było rozbijać... To za dużo... Już nie da rady... nie ma już zdrowia... nie ma ochoty żyć... zresztą po co żyć? Nie zobaczy już swojego męża, a tak bardzo za sobą tęsknili, on umrze w Niemczech. Jak zimno jest w tym wielkim łożu; odsunęła kamionkową butlę, którą dwie godziny wcześniej gorącą wsunęła pod kołdrę, położyła ją delikatnie na kamiennej posadzce, dotknęła ręką lodowatej podłogi i poczuła jeszcze większe zimno, sięgające aż do serca. Wstrząsały nią szlochy. Jakimi słowami można by ją pocieszyć? „Nie tylko ty jesteś w takiej sytuacji”. Dobrze o tym wiedziała, ale inne miały szczęście. Na przykład Madeleine Sabarie... Nic życzyła jej źle... Aleją, Louisc, spotkało za dużo nieszczęść na tym świecie. Jej wychudzone ciało kompletnie przemarzło. Na próżno otulała się pierzyną i kapą, zdawało jej się, że zimno przenika do środka stawów. „To minie, on wróci, wojna się skończy!”, mówili ludzie. Nie, nic! Już w to nie wierzyła, to będzie trwało i trwało... Nawet wiosna nie chciała nadejść. Czy widział kto taki marzec? Wkrótce koniec miesiąca, a ziemia zmarznięta aż do serca, zupełnie jak ona. Jakie wichury! Co za hałas! Na pewno polecą dachówki! Uniosła się na łożku, przez chwilę nasłuchiwała i nagle na jej twarzy mokrej od łez i zbolącej, pojawił się wyraz łagodnego niedowierzania. Wiatr ucichł, zrodzony nie wiadomo jak, odszedł nie wiadomo gdzie. Połamał gałęzie, poruszył dachy w ślepej furii; zabrał ostatnie ślady śniegu ze wzgórz i teraz z ciemnego, poruszonego wichrem nieba padał pierwszy wiosenny deszcz, jeszcze zimny, ale już radosny, pośpieszny, przedzierający się aż do korzeni drzew, na łono ziemi czarnej i głębokiej.

DOLCE

1

U Angellierów zamykano na klucz rodzinne papiery, srebra i książki: do Bussy wchodzili Niemcy. Po raz trzeci od dnia klęski mieli okupować miasto. Była niedziela wielkanocna, pora sumy. Padał zimny deszcz. Przy wejściu do kościoła maleńkie drzewko brzoskwiniowe obsypane różowymi kwiatami rozpaczliwie wyciągało gałązki. Niemcy maszerowali ósemkami w połowych mundurach i metalowych hełmach na głowach. Ich twarze zachowały bezosobowy i nieprzenikniony wyraz właściwy wszystkim uzbrojonym żołnierzom, ale oczy spoglądały ukradkiem, z ciekawością, na szare fasady miasteczka, w którym mieli zamieszkać. Nikogo w oknach. Przed kościołem dobiegł do nich dźwięk fisharmonii i szmer modlitw, ale jakiś spłoszony wierny zamknął drzwi. Samotnie więc królował tupot niemieckich butów. Po przejściu pierwszego oddziału nadjechał jakiś podoficer na koniu. Piękne zwierzę jabłkowitej maści, wściekłe, że zmuszono je do tak wolnego marszu, potrząsało dumną głową, rżąc niespokojnie i stawiając kopyta z nerwową ostrożnością, a po jego ciele przebiegało drżenie. Żelazne gaśienice czołgów gniotły bruk. Potem nadjechały armaty na lawetach, na każdej leżał żołnierz ze wzrokiem na poziomie podstawy działa. Było ich tak wielu, że podczas całego kazania księdza pod sklepieniami kościoła dźwięczał jeden nieprzerwany grzmot. Kobiety wzdychały w półmroku. Kiedy ucichł ten jęk spiżu, pojawili się motocykliści otaczający auto dowódcy. W odpowiedniej odległości za nim podążały ciężarówki po brzegi wyładowane wielkimi

bochnami czarnego chleba. Szyby w oknach drżały. Pułkowa maskotka — wychudzony, milczący wilczur, wytresowany na wojnę — towarzyszył kawalerzystom zamykającym kolumnę. Ci z kolei, albo dlatego, że tworzyli w pułku grupę uprzywilejowaną, albo dlatego, że znajdowali się poza zasięgiem wzroku dowódcy, albo też z przyczyny niepojętej dla Francuzów, zachowywali się w sposób bardziej swobodny i poufały. Rozmawiali i śmiali się. Dowodzący nimi porucznik popatrzył z uśmiechem na różowe drzewko brzoskwiniowe, drżące, pokorne, zmaltretowane przenikliwym wiatrem, i zerwał gałązkę. Wokół siebie widział jedynie pozamykane okna. Sądził, że jest sam. Ale zza każdej opuszczonej żaluzji zwycięskiego żołnierza śledziły oczy starych kobiet, ostre jak strzały. W głębi niewidocznych pokoi rozlegały się głosy:

— Coś podobnego...

— Teraz niszczą nam jeszcze drzewa owocowe... Bezzębne usta szeptały:

— Podobno ci są najgorsi. Strasznie się zachowywali, zanim tu przyszli.

Co za nieszczęście!

— Zabiorą naszą pościel — wzdychała jedna gospodyni — aż strach pomyśleć, to pościel od mojej matki. Wszystko muszą mieć najlepsze!

Porucznik wydał jakiś rozkaz. Jego żołnierze wyglądali na bardzo młodych; mieli rumiane policzki, złote włosy, dosiadali wspaniałych koni, tłustych, dobrze odżywionych, o wielkich lśniących zadach.

Przywiązali je na placu wokół pomnika poległych, a sami wyszli z szyku, odpreżyli się. Miasteczko wypełnił tupot kroków, obce głosy, stuk ostróg i broni. W mieszczańskich domach chowano piękną pościel i obrusy.

Matka i żona Gastona Angellier, przebywającego w jenieckiej niewoli u Niemców, kończyły przygotowania. Stara pani Angellier, osoba chuda, blada, krucha i wysuszona, własnoręcznie zamykała w bibliotece każdą książkę, przeczytawszy uprzednio półgłosem jej tytuł i pogłaskawszy dłonią oprawę.

— Książki mojego syna — powiedziała. — Wolałabym je spalić niż zobaczyć w rękach Niemca!

— A jeśli poproszą o klucze do biblioteki — jęczała stara kucharka.

— Będą musieli poprosić mnie — oświadczyła pani Angellier i prostując się, uderzyła lekko dłonią w kieszonkę wszytą pod czarną wełnianą spódnicę; zadzwonił pęk kluczy, które zawsze nosiła przy sobie. — Drugi raz mnie nie poproszą — dokończyła z ponurą miną.

Synowa, Lucile Angellier, pod jej kierunkiem zdejmowała bibeloty zdobiące kominek. Chciała zostawić popielniczkę. Starsza pani Angellier początkowo się temu sprzeciwiła.

— No to będą strząsać popiół na podłogę — zauważyła Lucile, więc pani Angellier ustąpiła, przygryzając wargi.

Ta stara kobieta miała twarz tak białą i przezroczystą, jakby pod skórą nie płynęła ani jedna kropla krwi, jej włosy były śnieżnobiałe, usta przypominały ostrze noża w kolorze bladego różu, niemal fioletu.

Wsparty na fiszbinach staromodny kołnierzyk z beżowego muślinu zasłaniał, ale nie skrywał dekoltu o wystających kościach, które poruszały się pod wpływem emocji jak gardło jaszczurki. Kiedy pod oknem rozlegały się kroki lub głosy niemieckich żołnierzy, stara kobieta drżała na całym ciele, od czubka małej stopki obutej w szpiczasty bucik aż po czoło w koronie szlachetnych pukli.

— Pośpiesz się, już nadchodzą — mówiła.

Pokoju, w którym pozostawiono j edynie to, co konieczne, nie zdobił żaden kwiatek, poduszka czy obrazek. W wielkiej szafie z bielizną pod stosem prześcieradeł ukryto album rodzinny, by świętokradcze spojrzenia wroga nie skały widoku ciotecznej babki Adélaïde w stroju do pierwszej komunii czy wuja Jules'a w wieku sześciu miesięcy, golutkiego na poduszce. Schowano wszystko, nawet dwa wazony z kominka w stylu Ludwika Filipa, przedstawiające porcelanowe papużki z girlandami róż w dziobie; był to ślubny prezent od kuzynki, która czasami ich odwiedzała. Nie ośmielono się jednak urazić jej, pozbywając się prezentu, a teraz zostały ukryte nawet te dwa wazony, o których Gaston powiedział kiedyś: „Jeśli służąca je stłucze, podwyższę jej pensję”. Podarowała je francuska ręka, oglądały francuskie oczy, strzepywały z nich kurz francuskie miotełki z piór, więc nie może ich zbrukać kontakt z Niemcem. A jeszcze krucyfiks! W kącie pokoju, nad kanapą! Pani Angellier własnoręcznie zdjęła go ze ściany i umieściła na piersi pod koronkową chustką.



— Myślę, że to już wszystko — powiedziała wreszcie.  
Podsumowała w myśli: meble z dużego salonu wyniesione, zasłony zdjęte, zapasy zgromadzone w szopie, gdzie ogrodnik trzyma narzędzia — wielkie wędzone szynki przysypane popiołem, gliniane dzbanki z topionym masłem, masło solone, czysty świński tłuszcz, ciężkie kiełbasy — wszystkie te dobra, wszystkie skarby... Wino drzemało zakopane w piwnicy od dnia, w którym flota angielska ponownie odpłynęła z Dunkierki. Pianino zostało zamknięte na klucz; myśliwska strzelba Gastona leżała w bezpiecznej kryjówce. Wszystko w jak najlepszym porządku. Nie pozostawało nic innego jak oczekiwanie na zwycięzcę. Pobladła i milcząca dama drżącą dłonią zasunęła rolety do połowy jak w pokoju zmarłego i wyszła, a za nią Lucile.  
Lucile była młodą kobietą o włosach blond i czarnych oczach, bardzo ładną, ale milcząca, usuwającą się w cień. Jest zawsze Jakby nieobecna", krytykowała synową starsza pani Angellier. Wybrano ją z powodu koneksji i posagu (była córką wielkiego właściciela ziemskiego w okolicy), jednak ojciec Lucile dokonał jakichś niedobrych spekulacji, nadwątlił fortunę, obciążył hipotekę włości; małżeństwo nie należało więc do najbardziej udanych, ale przynajmniej nie było dzieci.  
Obie kobiety weszły do jadalni; stół był nakryty. Minęło południe, ale tylko na zegarze kościoła i merostwa, gdzie pod przymusem pokazywano czas niemiecki; w każdym francuskim domu za punkt honoru uważano opóźnienie zegarów o sześćdziesiąt minut; każda Francuzka mówiła z odcieniem pogardy: „My nie żyjemy według niemieckiego czasu”.  
Tworzyło to w ciągu dnia wielkie połacie pustych, niewypełnionych godzin, jak choćby ten śmiertelny przedział pomiędzy końcem niedzielnej mszy a początkiem obiadu. Niczego nie czytano. Starsza pani Angellier, widząc książkę w rękach Lucile, patrzyła na nią ze zdziwieniem i dezaprobatą: „Co to? Czytasz?”. Miała głos ciepły i wyraźny, delikatny jak westchnienie harfy: „Nie masz nic do roboty?”. Nie wykonywano żadnej pracy, wszak była to niedziela wielkanocna. Nie rozmawiano. Każdy temat rozmowy tych dwóch kobiet przypominał kolczasty krzew, należało podchodzić do niego ostrożnie; zbliżając rękę, można

było się skaleczyć. Każde usłyszane słowo budziło w pani Angellier wspomnienie żałoby, rodzinnego procesu czy dawnego żalu, o którym Lucile nie miała pojęcia. Po każdym wypowiedzianym cicho zdaniu milkła i patrzyła na synową z miną niewyraźną, zbolaną i zaskoczoną zarazem, jakby myślała: „Jej mąż jest jeńcem niemieckim, a ona może oddychać, ruszać się, mówić, śmiać? To niepojęte...”. Właściwie nie dopuszczała rozmów o Gastonie. Ton Lucile nigdy nie był bowiem taki, jak być powinien. Zwykle wydawał jej się zbyt smutny: czyżby mówiła o nieboszczyku? Zresztą jej obowiązkiem jako kobiety, jako francuskiej małżonki, było znoszenie rozłąki z odwagą, tak jak zносиła ją sama pani Angellier w latach pierwszej wojny, niemal nazajutrz po swoich zaślubinach. Kiedy jednak Lucile wypowiadała słowa pocieszenia i nadziei, matka myślała z goryczą: „Od razu widać, że nigdy go nie kochała, zawsze to podejrzewałam, ale teraz widzę to jasno, nie mam żadnych wątpliwości... Ten ton nie myli. To natura zimna i obojętna. Jej niczego nie brakuje, podczas gdy mój syn, moje biedne dziecko...”. Wyobrażała sobie oflag, druty kolczaste, strażników, wartowników. Oczy jej wypełniały się łzami, protestowała łamiącym się głosem: — Nie mówmy o nim...

Wyjmowała z torebki elegancką czystą chusteczkę do nosa, którą miała zawsze w rezerwie na wypadek, gdyby wspomniano Gastona lub nieszczęścia Francji; bardzo delikatnie wycierała powieki takim gestem, jakim zbiera się atramentowy kleks różkiem bibuły.

Dwie nieruchome i milczące kobiety czekały przy zgaszonym kominku.

Niemcy zainstalowali się w swoich kwaterach i zapoznawali się z miasteczkiem. Oficerowie szli pojedynczo lub parami, zadzierali głowy, mocno uderzali butami w bruk; żołnierze tworzyli próżniacze grupki, przemierzali w obie strony jedyną uliczkę lub zbierali się na placyku obok starego krzyża. Kiedy jeden przystawał, cała banda szła w jego ślady i długi sznur zielonych mundurów blokował chłopom przejście. Wtedy wieśniacy głębiej naciągali na czoło kaszkiety, odwracali się i bez słowa kierowali w stronę pól małymi krętymi uliczkami, które prowadziły na wieś. Gminny urzędnik pod nadzorem dwóch podoficerów naklejał plakaty na murach głównych budynków. Były to rozmaite afisze: jedne pokazywały niemieckiego wojskowego z jasnymi włosami, odsłaniającego w szerokim uśmiechu idealne zęby, który karmił tartinkami tłoczące się wokół francuskie dzieci. Tekst głosił: „Porzucona ludność powinna zaufać żołnierzom Rzeszy”. Inne za pomocą karykatury czy grafiki przedstawiały angielską dominację nad światem lub nienawistną tyranie Żydów. Większość jednak zaczynała się od słowa *Verboten* — „zabronione”. Zabronione było chodzenie po ulicach między dziewiątą wieczorem a piątą rano, nie wolno było mieć w domu broni palnej, udzielać schronienia, pomocy czy wsparcia zbiegłym więźniom, obywatelom krajów nieprzyjaznych Niemcom, angielskim wojskowym, zabronione było słuchanie zagranicznych radiostacji czy odmowa przyjmowania niemieckich pieniędzy. A na każdym obwieszczeniu

znajdowało się to samo ostrzeżenie czarnym drukiem, dwukrotnie podkreślone: „Pod karą śmierci”.

A tymczasem po skończonym nabożeństwie kupcy otworzyli sklepy.

Wiosną czterdziestego pierwszego roku na prowincji jeszcze nie brakowało towarów. Ludzie mieli takie zapasy tkanin, butów czy prowiantu, że chętnie je sprzedawali. Niemcy nie byli wymagający, wciskało się im wszystkie buble, damskie gorsety z czasów poprzedniej wojny, staromodne buciki z lat 1900, bieliznę z wyhaftowanymi flagami i wieżami Eiffla (początkowo przeznaczoną dla Anglików). Wszystko im się podobało.

W krajach okupowanych Niemcy budzili strach mieszkańców, respekt, niechęć i przewrotne pragnienie, żeby ich oszukać, wykorzystać, wyciągnąć od nich pieniądze.

To i tak nasze... to, co nam odebrali, myślała sklepikarka, proponując z najpiękniejszym uśmiechem żołnierzowi najeźdźczej armii funt robaczywych śliwek za cenę dwukrotnie większą od ich wartości.

Żołnierz oglądał towar z nieufną miną, najwidoczniej wietrzył oszustwo, ale onieśmielony nieprzeniknionym wyrazem twarzy kupcowej, milczał. Pułk stacjonował poprzednio w małym miasteczku na północy od dawna już zdewastowanym i pozbawionym wszelkich dóbr. W bogatej centralnej prowincji żołnierz znowu znalazł obiekty pożądania. Jego oczy rozpały się na widok zapelnionych półek. Sosnowe meble, komplety konfekcji, dziecinne zabawki, małe różowe sukieneczki przypominały przedwojenny dobrobyt i życie w cywilu. Oddział maszerował od sklepu do sklepu, poważny, rozmarzony, po-dzwaniając monetami w kieszeniach. Za plecami lub nad głowami żołnierzy Francuzi, wychylając się z okien, dawali sobie drobne znaki — wznosili oczy do nieba, potrząsali głową, uśmiechali się, robili miny kpiące i wyzywające; posługiwali się całym mimicznym repertuarem, który mówił, że wszystko w rękach Boga, choć sam Bóg...! Że pozostaną wolni, w każdym razie wolni duchem, jeśli nie w czynach i słowach, że ci Niemcy nie są wcale tacy sprytni, ponieważ biorą za dobrą monetę przysługi, jakie im się oddaje — jakie jest się zmuszonym oddawać — bo mimo wszystko to jednak oni są panami. „Nasi

władcy", mówiły kobiety, patrząc na nieprzyjaciela z rodzajem nienawistnej pożądlivosti. (Nieprzyjaciele? Z pewnością... ale to jednak mężczyźni, i w dodatku młodzi...). Szczególną przyjemność sprawiały im drobne oszustwa. „Myślą, że ich lubimy, a nam chodzi tylko o przepustkę, o benzynę, o zezwolenie”, powtarzali ci, którzy widzieli już armię okupacyjną w Paryżu czy w dużych miastach prowincjonalnych, podczas gdy naiwni wieśniacy na widok Niemców nieśmiało opuszczali głowy.

Wchodząc do kawiarni, żołnierze najpierw odpinali pasy, rzucali je na marmurowe blaty, a dopiero potem zasiadali przy stołach. W Hôtel des Voyageurs oficerowie urządzili w głównej sali swoją kantynę. Było to podłużne i ponure pomieszczenie wiejskiej oberży. Nad lustrem w głębi dwie czerwone flagi ze swastyką zasłaniały górę starej złoczonej ramy z rzeźbionymi amorkami i pochodniami. Mimo że było lato, w piecu jeszcze się paliło; mężczyźni postawili krzesła przed ogniem i grzali się z błogimi i tępymi minami. Wielki czarnopurpurowy piec otaczały chwilami kłęby gryzącego dymu, ale Niemcom to nie przeszkadzało. Podchodzili jeszcze bliżej; suszyli ubrania i buty; rozglądali się dokoła w zamyśleniu, wzrokiem równocześnie znudzonym, ale i lekko niespokojnym, który zdawał się mówić: „Widziało się tyle rzeczy... zobaczymy, co będzie tutaj...”. Tak zachowywali się ci najstarsi, najmądrzejsi. Całkiem młodzi robili oko do kelnerki, która dziesięć razy na minutę podnosiła kłapę piwnicy, zagłębiała się w podziemne ciemności i powracała w światło dnia, niosąc w jednej ręce dwanaście kufla piwa, a w drugiej koszyk pełen butelek musującego napoju *Sekt!*, domagali się Niemcy. Francuski szampan, panienko. *Sekt!* Kelnerka — tłusta, kragła i różowa — przechodziła zwinnie między stolikami. Żołnierze uśmiechali się do niej. A ona, z jednej strony pragnąca także się do nich uśmiechnąć, ponieważ byli młodzi, a z drugiej przestraszona, że zostanie to źle przyjęte, bo to jednak okupanci, w rezultacie marszczyła brwi i mocno przygryzała wargi. Nie mogła jednak ukryć dwóch dołeczków, które żłobiła na jej policzkach wewnętrzna radość. Wielki Boże, tylu mężczyzn! Tylu mężczyzn tylko dla niej. W innych lokalach podawały córki właścicieli trzymane w ryzach przez rodziców,

podczas gdy ona... Usta patrzących, na nią żołnierzy imitowały odgłosy pocałunków. Powstrzymywana jeszcze resztkami wstydu udawała, że nie słyszy ich nawoływań i czasami odpowiadała im na stronie: „Dobrze, dobrze, już idę! Ale wam się śpieszy!”. Mówili do niej w swoim języku, ale odpowiadała dumnie:

— Skąd mam rozumieć tę waszą mowę?

Jednak w miarę jak przez otwarte drzwi napływała coraz nowa fala zielonych mundurów, czuła się otumaniona, wyczerpana, bezbronna i na nachalne zaczepki reagowała już tylko słabymi okrzykami typu: „No nie, może wreszcie dacie mi spokój? Co za dzikusy!”.

Inni wojskowi popychali po zielonym suknie bilardowe kule. Poręcze schodów, parapety okien, oparcia krzeseł zdobiły pasy, hełmy, pistolety i ładownice.

A tymczasem dzwoniono na nieszpory.

Panie Angellier wychodziły właśnie na nieszpory, kiedy zjawił się niemiecki oficer, który miał u nich kwaterować. Spotkali się na progu. Strzelił obcasami, zasalutował. Starsza pani Angellier zbladła jeszcze bardziej i z trudem zdobyła się na milczące skinienie głową. Lucile podniosła wzrok i przez chwilę oboje z oficerem patrzyli na siebie. W ciągu sekundy przez głowę Lucile przebiegło tysiące myśli: „Może to on wziął do niewoli Gastona? Mój Boże, ilu Francuzów zabił? Ile łez wylano przez niego? To prawda, że gdyby wojna potoczyła się inaczej, to Gaston mógłby dzisiaj wchodzić jak władca do niemieckiego domu. Ale to wojna i ten chłopiec w niczym nie zawinił”.

Był młody, szczupły, miał piękne dłonie i olbrzymie oczy. Zauważyła piękno rąk, ponieważ przytrzymał dla niej drzwi. Na czwartym palcu nosił pierścień z wygrawerowanym ciemnym i matowym kamieniem; zza chmur wyjrzał promień słońca i rozświetlił pierścień purpurowym blaskiem, który odbił się na rumianej twarzy, osmaganej wiatrem i porośniętej puszką jak dorodny owoc. Wystające kości policzkowe, delikatnie, lecz wyraźnie wymodelowane, usta wąskie i dumne. Lucile mimo woli zwolniła kroku; nie mogła oderwać wzroku od tej dużej i pięknej dłoni o długich palcach (wyobrażała sobie, jak trzymają ciężki czarny rewolwer, karabin czy granat, jakąkolwiek broń siejącą śmierć), wpatrywała się w ten zielony mundur (ilu Francuzów podczas nocnej warty wypatrywało w mroku

leśnego poszycia pojawienia się podobnego munduru...), w błyszczące buty... Przypomniała sobie pokonanych żołnierzy francuskiej armii, którzy rok wcześniej podczas ucieczki przechodzili przez miasteczko, brudni, wyczerpani, powłócząc w kurzu ciężkimi buciorami. Mój Boże, właśnie tak wygląda wojna. Nieprzyjacielski żołnierz nigdy nie wydawał się sam — jedna istota ludzka naprzeciw drugiej — zawsze towarzyszyła mu, napierała na niego ze wszystkich stron nieprzeliczona gromada zjaw, tych nieobecnych i nieżyjących. Nie zwracało się do człowieka, tylko do niewidzialnego tłumu, toteż żadne ze słów nie było po prostu wypowiedziane czy po prostu wysłuchane, zawsze miało się to szczególne uczucie, że mówi się w imieniu tylu innych, milczących. A on? Co on myśli?, zastanawiała się młoda kobieta. Co czuje wchodząc do francuskiego domu, którego gospodarz jest nieobecny, wzięty do niewoli przez niego czy jego kolegów? Czy lituje się nad nami? Czy nas nienawidzi? A może wchodzi tu jak do oberży, myśląc jedynie, czy łóżko będzie wygodne, a służąca młoda? Już dawno za oficerem zamknęły się drzwi, Lucile posuwała się za teściową, weszła do kościoła, uknęła przy swojej ławce, nie mogła jednak zapomnieć tego Niemca. Teraz był sam w domu; zajął gabinet Gastona, do którego prowadziło osobne wejście. Będzie jadał poza domem; nie będzie go widywała, będzie słyszała jego kroki, głos, jego śmiech. Bo on, niestety, mógł się śmiać! Miał do tego prawo. Lucile popatrzyła na teściową, która siedziała nieruchomo z twarzą ukrytą w dłoniach, i po raz pierwszy ta nielubiana kobieta wzbudziła w niej litość i dziwną czułość. Pochyliła się i powiedziała cicho:

— Mamo, odmówmy różaniec za Gastona.

Stara kobieta wyraziła zgodę skinieniem głowy. Lucile zaczęła się modlić ze szczerym zapałem, ale myśli powoli wymykały się spod kontroli i wracały do przeszłości zarazem tak bliskiej i dalekiej, bez wątpienia z powodu ponurej przerwy spowodowanej przez wojnę. Znowu widziała swojego męża, mężczyznę tłustego i znudzonego, którego pasjonowały jedynie pieniądze, grunty i lokalna polityka. Nigdy go nie kochała. Wyszła za niego, ponieważ takie było życzenie ojca. Urodzona



i wychowana na wsi, resztą świata znała jedynie z krótkich pobytów w Paryżu u wiekowej kuzynki. Życie w centralnych prowincjach jest dostatnie i prymitywne; każdy żyje u siebie, w swojej posiadłości, zbiera swoje ziarno i liczy pieniądze. Długie uczyty i polowania wypełniają czas wolny. Miasto ze swoimi niezgrabnymi domami, których strzegły wielkie więzienne bramy, z salonami pełnymi mebli, zawsze zamkniętymi i nieogrzewanymi, by oszczędzić opału, zdawało się Lucile wizerunkiem cywilizacji. Kiedy opuściła zagubiony w lasach dom, poczuła radosne podniecenie na myśl o mieszkaniu w miasteczku, o samochodzie, o wyprawie na obiad do Vichy od czasu do czasu... Wychowana surowo i cnotliwie, nie czuła się nieszczęśliwa jako młoda dziewczyna, bo wystarczającą rozrywką był dla niej ogród, prace domowe i biblioteka — olbrzymie i wilgotne pomieszczenie, gdzie pleśniały książki — w której myszkowała ukradkiem. Po wyjściu za mąż była kobietą potulną i oziębłą. Gaston Angellier w chwili małżeństwa miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, odznaczał się jednak tą przedwczesną dojrzałością, jaką daje prowincjuszom siedzący tryb życia, ciężkie i doskonałe posiłki, nadużywanie wina i brak wszelkich żywych i silnych emocji. To bardzo mylące pozory, które dotyczą jedynie obyczajów i myśli mężczyzny, w którym nadal płynie bogata i gorąca krew młodości.

Podczas jednej z podróży w interesach do Dijon, gdzie kiedyś studiował, Gaston Angellier odnalazł swoją dawną metresę, modystkę, którą porzucił; znów się w niej zakochał, i to znacznie gwałtowniej niż poprzednio; zrobił jej dziecko, wynajął dla niej mały domek na przedmieściu i urządził się tak, by połowę życia spędzać w Dijon. Lucile wiedziała o wszystkim, ale milczała, przez skromność, pogardę, a może obojętność. Potem wybuchła wojna...

A teraz Gaston już od roku był jeńcem. Biedny chłopiec... On cierpi, myślała Lucile, przesuwając machinalnie między palcami paciorki różańca. Za czym najbardziej tęskni? Za wygodnym łóżkiem, dobrymi kolacjami czy za swoją metresą... Lucile chciałyby zwrócić mu wszystko, co stracił, wszystko, co mu odebrano. Owszem... wszystko, nawet tę kobietę. Właśnie spontanicznością i szczerością tego odczucia mierzyła pustkę

swojego serca, którego nigdy nie przepelniała ani miłość, ani zazdrosna niechęć. Mąż czasami traktował ją niegrzecznie. Wybaczała mu niewierności, on jednak nigdy nie zapomniał o spekulacjach teścia. Dźwięczały jej ciągle w uszach słowa, które nieraz odczuwała jak wymierzenie policzka: „Tylko pomyśl, gdybym wcześniej wiedział, że on nie ma pieniędzy!”.

Opuściła głowę. Ale nie, nie czuła już urazy. To, co jej mąż niewątpliwie przecierpiał od chwili klęski, te ostatnie bitwy, ucieczka, dostanie się do niewoli, wyczerpujące marsze, zimno, głód, śmierć wokół, a teraz obóz jeniecki, to przekreślało całą resztę. Niech tylko wróci i odnajdzie to, co kochał: swój pokój, futrzane kapcie, spacer po ogrodzie o świcie, zimne brzoskwinie zerwane w sadzie, smaczne potrawy, płonący ogień, te wszystkie przyjemności, których nie znam, których się domyślam, niech je odzyska! Nie prosiłabym o nic dla siebie. Chciałabym widzieć go szczęśliwego. A co się stanie ze mną?

Tak się rozmarzyła, że różaniec wypadł jej z ręki; zorientowała się, że wszyscy stoją, że nieszpory dobiegają końca. Plac na zewnątrz zapełnili Niemcy. Srebrne galony na ich mundurach, jasne oczy, czupryny blond, metalowe klamry pasów błyszcząły w słońcu i nadawały tej zakurzonej przestrzeni przed kościołem, zamkniętej wysokimi murami (resztkami dawnych murów obronnych), wesołego blasku, nowego życia.

Prowadzono konie. Niemcy zorganizowali jadalnię pod gołym niebem, stoły i ławy zrobili z desek zarekwizowanych u stolarza, który przeznaczał je na trumny. Żołnierze jedli i przyglądali się miejscowym z wyrazem rozbawionej ciekawości. Najwyraźniej nie byli jeszcze zblazowani po jedenastu miesiącach okupacji; obserwowali Francuzów z równie radosnym zdziwieniem jak na początku, wydawali im się zabawni, dziwni; nie przywykli do szybko wypowiedanych słów; starali się odgadnąć, czy są nienawidzeni, tolerowani czy kochani przez tych pokonanych. Uśmiechali się z daleka jakby ukradkiem do młodych dziewczyn, a one przechodziły obok, dumne i pełne pogardy — bo to był pierwszy dzień! Niemcy spojrzeli więc niżej, na otaczającą ich dzieciarnię z miasteczka zafascynowaną mundurami, koźmi, butami z cholewami. Matki nawoływały na próżno, dzieci ich nie słuchały. Brudne palce ukradkiem dotykały grubego sukna

mundurowych bluz. Niemcy przywoływali dzieci gestami i sypali im na dłonie cukierki i miedziaki.

A tymczasem w miasteczku panowała zwykła atmosfera niedzielnego spokoju. Zwycięzcy wnosili do tego obrazu dziwną nutę, ale tło pozostawało niezmienione, myślała Lucile. Nie obyło się bez kilku zgrzytów; niektóre kobiety (matki jeńców jak pani Angellier czy wdowy z poprzedniej wojny) szybko wróciły do domów, zamknęły okna i opuściły zasłony, żeby nie widzieć Niemców. W ciemnych pokoikach wylewano łzy, czytając ponownie stare listy; całowano poźółkle portrety ozdobione krepą i trójkolorową rozetką. Ale dziewczęta zostały na placu, żeby pogadać, jak w każdą niedzielę. Nie zamierzały z powodu Niemców stracić świątecznego popołudnia, wolnego czasu; miały na głowach nowe kapelusze, w końcu była to niedziela wielkanocna. Mężczyźni obserwowali Niemców spode łba; nie można było zgadnąć, co myślą; chłopskie twarze są nieprzeniknione. Jakiś Niemiec podszedł do grupki osób i poprosił o ogień; spełniono jego prośbę, w zamyśleniu przyjęto podziękowanie; Niemiec odszedł, a mężczyźni nadal mówili o cenach bydła. Jak w każdą niedzielę notariusz udał się do Hôtel des Voyageurs na partyjkę taroka; rodziny wracały z cotygodniowej wizyty na cmentarzu, co należało niemal do przyjemności w okolicy nieznającej rozrywek; chodzono tam grupami, zrywając kwiaty wśród grobów. Siostry z sierocińca wychodziły z kościoła z dziećmi; torowały sobie drogę między żołnierzami; ich twarze obramowane kornetami zdawały się ni ep o ruszone.

— Długo zostaną? — szepnął poborca podatkowy do ucha kancelisty, wskazując na Niemców.

— Podobno trzy miesiące — odparł tamten identycznym tonem.

Poborca westchnął.

— To podniesie ceny.

I odruchowo potarł rękę przeoraną wybuchem odłamka w piętnastym roku, po czym zmienili temat. Dzwony towarzyszące wychodzeniu z nieszpórów umilkły; ostatnie wysokie tony rozplywały się w wieczornym powietrzu.

Panie Angellier wracały do domu krętą ścieżką, na której

Lucile znała każdy kamień. Szły w milczeniu, odpowiadając skinieniem głowy na powitania wieśniaków. W okolicy nie lubiano pani Angellier, ale Lucile budziła sympatię, bo była młoda, miała męża w oflagu i nie okazywała wyższości. Przychodzono czasami do niej po radę w sprawie edukacji dzieci lub nowej bluzki. Albo kiedy trzeba było zaadresować paczkę do Niemiec. Wiedziano, że w domu pań Angellier będzie kwaterował nieprzyjacielski oficer — w końcu miały najładniejszy dom — i litowano się nad nimi, widząc, że zostały podporządkowane powszechnym prawom.

— A to się paniom przydarzyło — wyszeptwała krawcowa, mijając je.

— Miejmy nadzieję, że nie będą zwlekali z powrotem — powiedziała farmaceutka.

A drobna staruszka, która małymi kroczkami podążała za białą kozą, wspięła się na czubki palców, żeby poinformować Lucile:

— Podobno są okropni, złośliwi, unieszczęśliwiają biedny świat.

Koza podskoczyła i zaatakowała rogami długi szary płaszcz niemieckiego oficera. Oficer przystanął, roześmiał się i chciał ją pogłaskać. Koza jednak umknęła, przepłoszona drobna staruszka zniknęła, a panie Angellier zamknęły za sobą drzwi swego domu.

Był to najpiękniejszy dom w okolicy, zbudowany przed stu laty, długi, niski, z porowatego żółtego kamienia, który w słońcu nabierał ciepłej barwy złocistego chleba. Okna od ulicy (od pomieszczeń paradnych) zostały starannie zamknięte, również zamknięte były okiennice, strzeżone przed złodziejami przez żelazne kraty. Niewielkie wole oczko schowka (gdzie ukrywano słoje, dzbany, gąsiory mieszczące zakazane produkty) otaczała gęsta kratka, na której ostre końce w kształcie lilii nadziewały się bezdomne koty. W pomalowanych na niebiesko drzwiach był więzienny zamek, a do niego olbrzymi klucz, który skrzypiał żałośnie w panującej ciszy. Z pomieszczeń na dole dobiegał zapach zamknięcia, zimna woń niezamieszkanego wnętrza mimo nieustannej obecności gospodarzy. Aby nie zbladły farby i nie zniszczyły się meble, nie wpuszczano tu powietrza i światła. Przez szybki z korytarza zrobione z kolorowego szkła przypominającego szkło butelkowe wpadało niepewne światło dnia, pograżając w cieniu kufry, rogi jeleni wiszące na ścianach i stare sztychy przebarwione wilgocią.

W jadalni (tylko tutaj palono w piecu) i w pokoju Lucile, która pozwalała sobie czasami na napalenie w chłodny wieczór, oddychało się słodką wonią palącego się drewna, zapachem dymu, kory kasztana. Za drzwiami jadalni leżał ogród. O tej porze roku wyglądał najsmutniej, grusze wyciągały ramiona rozkrzyżowane na żelaznych kratkach, jabłonie przycięte pod sznurek były chropawe i powyginane, najeżone szponami gałą-

zek, z winorośli zostały tylko gołe konary. Jednak wystarczy jeszcze kilka dni słońca i zakwitnie nie tylko nieśmiałe brzoskwińowe drzewko na placu przed kościołem. Szczotkując włosy przed snem, Lucile patrzyła ze swojego okna na ogród w świetle księżyca. Na niskim murku dały się koty. Wokół ogrodu rozciągała się cała kraina, doliny pełne gęstych lasów, urodzajne, tajemnicze, perłowszare w księżycowym blasku. W swoim olbrzymim i pustym pokoju Lucile wieczorami czuła się nieswojo. Kiedyś sypiał tu Gaston, rozbierał się, pomrukiwał, przesuwiał meble; był towarzyszem, ludzką istotą. Już prawie od roku nie było tu nikogo. Żadnego dźwięku. Na zewnątrz wszystko spało. Mimo woli nadstawiała ucha, szukając znaku życia w sąsiednim pokoju, gdzie zamieszkał niemiecki oficer. Jednak niczego nie usłyszała; może jeszcze nie wrócił? A może grube mury tłumiły dźwięki? A może on był równie milczący i nieruchomy jak ona? Po kilku chwilach dobiegł do niej szelest, westchnienie, potem cichy gwizd i pomyślała, że oficer stoi przy oknie i patrzy na ogród. O czym może myśleć? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić; mimo woli odmawiała mu umiejętności refleksji czy pragnień właściwych zwyczajnym ludziom. Nie mogła uwierzyć, by patrzył na ogród całkowicie niewinnie, by podziwiał błyski w pojemniku z wodą, w którym prześlizgiwały się nieme srebrne formy: karpie na jutrzejszy obiad. Nie posiada się z radości, myślała. Przypomina sobie bitwy, minione zagrożenia. Za chwilę napisze do domu, do Niemiec, do swojej żony — nie, chyba nie jest żonaty, jest za młody — do matki, narzeczonej, kochanki napisze te słowa: „Zajmuję francuski dom, nie cierpieliśmy na próżno, Amalio (powinna mieć na imię Amalia, Kunegunda czy Gertruda, myślała, poszukując świadomie imion nieharmonijnych, groteskowych), ponieważ jesteśmy zwycięzcami”. Teraz już nic do niej nie dochodziło, nie poruszał się, powstrzymywał oddech. „Kra”, odezwała się w ciemności ropucha. Jakby cichy i słodki powiew muzyczny, nuta czysta i drżąca, wodna bańka pękająca srebrnym dźwiękiem. „Kra, kra...”. Lucile przymknęła oczy. Jaki spokój, smutny i głęboki... Chwilami coś się w niej budziło, buntowało, domagało się dźwięku, ruchu, świata. Życia, mój Boże, życia! Jak długo potrwa ta

wojna? Ile lat trzeba będzie pozostawać w tym ponurym letargu, potulnie, biernie niczym bydło w czasie burzy? Brakowało jej znajomego dźwięku radia, ale w chwili wejścia Niemców odbiornik został ukryty w piwnicy. Mówiono, że Niemcy zabiorą go lub zniszczą. Uśmiechnęła się. Francuskie domy muszą się im wydawać dość puste, pomyślała, przypominając sobie to wszystko, co pani Angellier schowała w szufladach i zamknęła na klucz, by nie wpadło w ręce nieprzyjaciela. Podczas kolacji do jadalni wszedł ordynans z liścikiem:

***Porucznik Bruno von Falk kłania się paniom Angellier i prosi, by zechciały oddać żołnierzowi wręczającemu te słowa klucze do fortepianu i biblioteki. Porucznik zaręcza słowem honoru, że nie zabierze instrumentu i nie podrze książek.***

Jednak pani Angellier okazała się niewrażliwa na ten żarcik. Wzniosła oczy do nieba, poruszała ustami, jakby odmawiała krótką modlitwę, i poddała się boskiej woli.

— Siła przed prawem, tak? — spytała żołnierza, który nie rozumiał francuskiego, więc w odpowiedzi ograniczył się do krótkiego *Jawohl*, przy akompaniamencie szerokiego uśmiechu i kilkakrotnego pokiwania głową.

— Proszę powiedzieć porucznikowi von... von (zaczynała się z pogardą), że on tu jest panem.

Od wielkiego pęku kluczy odpięła dwa i rzuciła je na stół. Potem zwróciła się do synowej tragicznym szeptem:

— Będzie grał *Wacht am Rhein*...

— Mamo, wydaje mi się, że teraz mają inny hymn narodowy.

Jednak porucznik niczego nie zagrał. Nic nie zakłóciło głębokiej ciszy, po czym odezwał się trzask bramy, który rezonował w spokojnym powietrzu wieczoru jak gong i poinformował obie kobiety, że oficer wychodzi; odetchnęły z ulgą. Teraz, myślała Lucile, odszedł od okna. Chodzi w tę i z powrotem. Buty... Tupot tych butów... To minie. Okupacja się skończy. Nastanie pokój, błogosławiony pokój. Wojna i klęska czterdziestego roku staną się jedynie wspomnieniem, stronicą w historii, nazwami bitew i traktatów recytowanymi przez uczniów w liceach, ale ja do końca życia będę pamiętała ten głuchy

i regularny odgłos butów uderzających w podłogę. Dlaczego on się nie kładzie? Dlaczego wieczorem w domu nie wkłada kapci jak cywil, jak Francuz? Pije. (Słyszała syk syfonu z wodą seltzerską i słaby syk wyciskanej cytryny. Teściowa powiedziałaaby: „Wiadomo dlaczego nie mamy cytryn. Wszystko nam zabierają”). Teraz przewraca kartki książki. Och, ta myśl jest nienawistna... Lucile zadrżała. Otworzył pianino: rozpoznała uderzenie pokrywy odrzuconej do tyłu i zgrzyt obracającego się taboretu. Nie, chyba jednak nie zacznie grać w środku nocy! Co prawda dopiero dziewiąta. Może w pozostałej części świata ludzie nie kładą się spać tak wcześnie?... No tak, gra. Słuchała, pochylając głowę, przygryzając nerwowo wargę. Z klawiatury wydobywało się nie tyle arpeggio, ile rodzaj westchnienia, mruganie nut; muskał je, pieścił, a zakończyło się to trylem, lekkim i szybkim jak śpiew ptaka. Wszystko umilkło.

Lucile dłuższą chwilę nie ruszała się, w rękę trzymała grzebień, włosy miała rozpuszczone na ramiona. Potem westchnęła i pomyślała: szkoda. (Szkoda, że cisza była tak zupełna? Szkoda, że przestał grać? Szkoda, że tu w ogóle był, najeźdźca, nieprzyjaciel, on, nie kto inny?). Wykonała pełen irytacji ruch ręką, jakby odpychała zbyt ciężkie, duszące warstwy powietrza. Szkoda... Ułożyła się w wielkim pustym łóżu.



Madeleine Sabarie była sama w domu: siedziała w pomieszczeniu, w którym przez wiele tygodni mieszkał Jean-Marie. Młoda kobieta codziennie prześcielała łóżko, w którym sypiał. Irytowało to Cécile. — Zostaw! Przecież nikt tu nigdy nie sypia, więc nie trzeba czystych prześcieradeł, jakbyś na kogoś czekała. A może czekasz?

Madeleine nie odpowiedziała i nadal każdego ranka trzepała wielki materac napełniony puchem.

Czuła się szczęśliwa, że jest sama z małym, który ssał, opierając policzek o jej nagą pierś. Kiedy przełożyła go na drugą stronę, połowę buźki miał wilgotną, czerwoną i błyszczącą jak czereśnia, a w zagłębieniu policzka odcisnął się sutek; pocałowała go czule. Po raz kolejny pomyślała: „Dobrze, że to chłopiec, mężczyzn dotyka mniej nieszczęść”. Zdrzemnęła się, patrząc w ogień; nigdy nie miała dosyć snu. Było tyle roboty, że nikt nie kładł się do łóżka przed dziesiątą czy jedenastą, a czasami w nocy słuchano angielskiego radia. Rano trzeba było wstać o piątej, żeby oporządzić zwierzęta. Przyjemnie było dzisiaj odbyć krótką sjęstę, kolacja się gotuje, stół nakryty, wszystko dokoła w największym porządku. W przyćmionym świetle deszczowej wiosny widać było świeżą zieleń i szare niebo. Na podwórzu kaczki klekotały dziobami na deszczu, podczas gdy kury i indyki jak małe kupki nastroszonych piór smutno chowały się w szopie. Madeleine usłyszała szczekanie psa.

Czyżby już wracali?, zastanawiała się.

Benoît zawiózł rodzinę do miasteczka.

Ktoś szedł przez podwórze, ale nie miał na nogach sabotów jak Benoît.

Ilekroć Madeleine słyszała kroki, które nie były krokami jej męża ani żadnego z mieszkańców fermy, ilekroć zobaczyła w oddali nieznaną sylwetkę, myślała gorączkowo: To nie Jean-Marie, to nie może być on, jestem szalona, przede wszystkim on nie wróci, a nawet gdyby wrócił, co to zmieni, skoro wyszłam za męża? Na nikogo nie czekam, wprost przeciwnie, proszę Boga, żeby Jean-Marie nigdy nie wrócił, bo powoli przyzwyczaję się do mojego męża i będę szczęśliwa. Ale słowo daję, nie wiem, o co mi właściwie chodzi, całkiem straciłam głowę, przecież jestem szczęśliwa. Jednak podczas tych rozmyślań jej serce, znacznie mniej rozsądne od niej, zaczynało bić tak gwałtownie, że zagłuszało wszystkie odgłosy z zewnątrz, nawet głos Benoît, płacz dziecka, wiatr za drzwiami, a tumult własnej krwi ogłuszał ją jak morska fala. Na kilka sekund traciła po części świadomość; odzyskując przytomność, widziała jedynie listonosza, który przyniósł katalog zbóż (tego dnia włożył nowe buty) albo wicehrabiego de Montmort, właściciela.

— Co to, Madeleine, nie mówisz dzień dobry? — dziwiła się matka Sabarie.

— Zdaje się, że panią obudziłem — mówił gość, a ona tymczasem usprawiedliwiała się niezręcznie i mamrotała:

— Tak, przestraszył mnie pan... Obudził? Z jakiego snu?

Tym razem też poczuła ten niepokój, tę wewnętrzną panikę, którą wywołał nieznajomy, wchodząc (czy wracając) w jej życie. Uniosła się na krześle i uparcie wpatrywała w drzwi. Mężczyzna? Kroki, lekki kaszel mężczyzny, zapach dobrych papierosów!... Męska ręka, zadbana i biała na klamce drzwi, a potem niemiecki mundur. Jak zwykle, kiedy okazywało się, że wchodzący to nie Jean-Marie, poczucie zawodu było tak silne, że Madeleine przez moment czuła się oszołomiona; nie pomyślała nawet o tym, żeby zapiąć bluzkę. Niemiecki oficer, miody człowiek, który miał najwyżej dwadzieścia lat, twarz prawie bezbarwną, jasnoblond rzęsy, włosy i krótkie wąsy właściwie równie pozbawione koloru, popatrzył na odsłoniętą pierś,

uśmiechnął się i zasalutował z przesadną, niemal obelżywą poprawnością. Niektórzy Niemcy potrafili salutować Francuzom (a może tak się tylko wydawało pokonanym, rozgoryczonym, upokorzonym, wściekłym?) z szyderczą uprzejmością. Nie była to kurtuazja należna istocie tego samego gatunku, ale taka, jaką okazuje się nieboszczykowi, takie „prezentuj broń” przed ciałem osobnika, którego się przed chwilą zgładziło.

— Czego pan sobie życzy? — spytała w końcu Madeleine, zapinając pośpiesznie bluzkę.

— Mam przydzieloną kwaterę na fermie Nonnains — wyjaśnił młody człowiek bardzo dobrą francuszczyzną. — Przykro mi, że sprawiam kłopot. Może zechciałaby pani pokazać mi pokój.

— Powiedziano nam, że przyślą szeregowców — nieśmiało zaproponowała Madeleine.

— Jestem porucznikiem, tłumaczem w Kommandantur.

— Będzie panu daleko do miasteczka, a poza tym obawiam się, że pokój nie spełni oczekiwań oficera. Tu jest ferma, nie będzie pan miał u nas ani ciepłej wody, ani elektryczności, ani niczego, do czego pan przywykł. Młody człowiek rozejrzał się po pokoju. Przypatrzył się wyblakłej czerwieni płytek, miejscami już różowych, wielkiemu piecowi, który zajmował środek pomieszczenia, paradnemu łóżku w kącie, kołowrotkowi (zdjęto go ze strychu, gdzie stał od ostatniej wojny, wszystkie młode dziewczyny uczyły się teraz tkać wełnę, odkąd trudno było znaleźć w sklepach gotowe materiały). Niemiec jeszcze uważnie się przyjrzał wiszącym na ścianach fotografiom w ramkach, dyplomom z konkursów rolniczych i niewielkiej pustej wnęce, w której stał niegdyś posążek świętej, otaczał ją delikatny malowany fryz; w końcu ponownie przeniósł wzrok na młodą chłopkę, która trzymała na rękach dziecko. Uśmiechnął się.

— Proszę się o mnie nie martwić. Będzie mi bardzo dobrze. Tembr jego głosu był zadziwiająco twardy i wibrujący, przypominał miażdżenie metalu. Szare, żelazne oczy, ostre rysy twarzy, szczególnie odcień jasnoblond włosów, gładkich i lśniących jak hełm nadawały młodemu człowiekowi niezwykły wygląd, przynajmniej w oczach Madeleine; uznała, że w jego

powierzchności było coś doskonałego, precyzyjnego, błyszczącego, co kazało myśleć raczej o maszynie niż o ludzkiej istocie. Mimo woli była zafascynowana jego butami i kłamrą pasa; skóra i stal rzucały wokół blaski.

— Mam nadzieję, że ma pan ordynansa. Tutaj nikt panu tak nie wyglansuje butów.

Roześmiał się i powtórzył:

— Proszę się o mnie nie martwić.

Madeleine położyła synka spać. W lustrze wiszącym nad łóżkiem pod pewnym kątem mignęło odbicie Niemca. Zobaczyła jego spojrzenie i uśmiech. Pomyślała zaleknie: „Jeśli zaczniesz się do mnie zalecać, co powie Benoît?”. Nie podobał jej się ten młody człowiek i budził w niej lęk, ale równocześnie, wbrew jej woli, pociągał ją pewnym podobieństwem do Jeana--Marie, nie tyle do Jeana-Marie mężczyzny, ile mieszczucha, monsieur. Obaj byli gładko ogoleni, dobrze wychowani, mieli białe dłonie i delikatną skórę. Zrozumiała, że obecność tego Niemca będzie podwójnie przykra dla Benoît: po pierwsze, oficer był wrogiem i nie pochodził ze wsi, a po drugie i najważniejsze, Benoît nienawidził wszystkiego, co interesowało Madeleine, budziło jej zaciekawienie klasą wyższą; nienawidził do tego stopnia, że ostatnio wyrywał jej z rąk żurnale mody, a kiedy prosiła, żeby się ogolił czy zmienił koszulę, mówił: „Trzeba się trzymać swojego. Wyszłaś za człowieka ze wsi, zwykłego chłopca, ja nie mam takich pięknych manier...”, z taką urazą, z tak głęboką zazdrością, że łatwo się domyślała, co jest tego przyczyną: po prostu Cécile musiała coś wypaplać. Cécile także zachowywała się wobec niej inaczej. Madeleine westchnęła. Tyle rzeczy się zmieniło od wybuchu tej przeklętej wojny...

— Pokażę panu pokój — powiedziała wreszcie.

On jednak odmówił, przysunął krzesło do pieca i usiadł.

— Za chwilę, jeśli pani pozwoli. Poznajmy się. Jak się pani nazywa?

— Madeleine Sabarie.

— A ja Kurt Bonnet (wymawiał Bonnett). To francuskie nazwisko, jak pani widzi. Moimi przodkami musieli być pani rodacy, wygnani z Francji za Ludwika XIV. W Niemczech jest francuska krew, a w naszym języku słowa francuskie.

— Tak? — spytała obojętnie.

Miała ochotę odpowiedzieć: „We Francji jest krew niemiecka, ale w ziemi, i to od czternastego roku”. Nie ośmieliła się jednak, mądrzej było przemilczeć. To dziwne: nie czuła nienawiści do Niemców, nie czuła nienawiści do nikogo, ale widok tego munduru zdawał się przemieniać ją, dotychczas wolną i dumną, w przebiegłą, ostrożną i przestraszoną niewolnicę, zdolną ugłaskać zwycięzcę, by potem zawołać za zamkniętymi drzwiami „żeby pozdychali!”, jak robiła to jej teściowa, która przynajmniej nie umiała udawać ani robić pieszczotliwych min wobec pogromcy. Wstydziła się za siebie, zmarszczyła brwi, przybrała lodowaty wyraz twarzy i cofnęła swoje krzesło, aby dać Niemcowi do zrozumienia, że nie ma ochoty dłużej z nim rozmawiać i że jego obecność jest dla niej przykra.

On tymczasem patrzył na nią z przyjemnością. Jak wielu bardzo młodych ludzi poddanych od dzieciństwa twardej dyscyplinie przyzwyczał się opierać swoje wewnętrzne ja na arogancji i sztywności zachowania. Uważał, że mężczyzna godny tego miana powinien być z żelaza. Zresztą takim się okazał podczas wojny w Polsce i we Francji i potem podczas okupacji. Jednak w znacznie mniejszym stopniu był posłuszny pryncypiom niż młodzieńczej impulsywności. (Madeleine dawała mu dwadzieścia lat. W istocie był jeszcze młodszy, podczas kampanii francuskiej skończył dziewiętnaście). Demonstrował życzliwość lub okrucieństwo zależnie od wrażenia, jakie robiły na nim rzeczy i ludzie. Jeśli nabrał do kogoś niechęci, starał się wyrządzić mu możliwie najwięcej zła. Podczas odwrotu armii francuskiej, kiedy polecono mu eskortować aż do Niemiec żalosne stadko jeńców, w tych strasznych dniach, kiedy zgodnie z rozkazem należało rozstrzelać wszystkich, którzy tracili siły i szli zbyt wolno, robił to bez najmniejszych wyrzutów, a nawet z przyjemnością, jeśli ktoś mu się nie podobał. Okazał się natomiast niezwykle wyrozumiały dla niektórych jeńców, którzy wydali mu się sympatyczni; część z nich jemu niechybnie zawdzięcza życie. Był okrutny, ale okrucieństwem nastolatka, pochodzącym ze zbyt żywej i subtelnej wyobraźni, nastawionej całkowicie i wyłącznie na własną osobę, własną duszę; cierpienia innych nie budzą litości, nie widzi się ich, bo dostrzega

się tylko siebie. W tym okrucieństwie było trochę afektacji płynącej zarówno z wieku, jak i pewnej skłonności do sadyzmu. Na przykład twardy wobec ludzi, okazywał wielką łaskawość zwierzętom; to pod jego wpływem Kommandantur w Calais wydała przed kilkoma miesiącami pewien rozkaz. Bonnet zauważył, że chłopcy w dni targowe niosą kurczaki głowami w dół i ze związanymi nogami. Odtąd było to zabronione „ze względów humanitarnych”. Wieśniacy nie zwracali na to uwagi, co wzmogło niechęć Bonneta do Francuzów, „barbarzyńskich i lekkomyślnych”, podczas gdy Francuzi bardzo się oburzali, czytając podobne obwieszczenie obok innego, w którym napisano, że w odwecie za akt sabotażu stracono osiem osób. W miasteczku na północy, w którym stacjonowali, Bonnet przywiązał się jedynie do swojej gospodyni, ponieważ pewnego ranka, kiedy chorował na gripę, ta kobieta zadała sobie trud i przyniosła mu do łóżka śniadanie. Bonnet przypomniał sobie matkę, lata dzieciństwa i ze łzami w oczach podziękował owej pani Liii, która była kiedyś właścicielką burdelu. Od tej pory robił dla niej wszystko, załatwiał jej wszelkiego rodzaju pozwolenia, bony na benzynę itp., spędzał wieczory z tą starą babą, ponieważ, jak mówił, była sama, stara i nudziła się, przywoził jej z Paryża, dokąd jeździł w sprawach armii, różne błyskotki, za które słono płacił, a nie był bogaty. Te sympatie brały się częściowo z impresji muzycznych, literackich czy, jak tego wiosennego ranka, kiedy wkroczył do domu Sabariech — malarskich; Bonnet był bardzo wyrobiony i uzdolniony we wszystkich dziedzinach sztuki. Ferma Sabariech w ten wilgotny i ponury dzień deszczowy, wyblakła czerwona farba na posadzce, pusta wnęka, w której łatwo było wyobrazić sobie statuetkę Matki Boskiej wyrzuconą przez ostatnią rewolucję, gałązka poświęconego bukszpanu nad kołyską, blask miedzianej patelni w półmroku — przypominały Bonnetowi „wnętrze” szkoły flamandzkiej. Ta młoda kobieta siedząca na niskim krześle z dzieckiem w ramionach i półnągą piersią świecą w mroku, z cudowną zarumienioną twarzą, o bardzo białym czole i brodzie, zasługiwała na osobny obraz. Patrząc na nią, podziwiając ją, miał wrażenie, że znowu znalazł się w muzeum Monachium czy Drezna, sam przed jednym z tych płócien,

dostarczających mu owego odurzenia zmysłów i umysłu, które cenił najbardziej na świecie. Ta kobieta może odtąd okazywać mu chłód lub wrogość, to nie będzie miało znaczenia; on nawet tego nie zauważy. Nie będzie od niej żądał, podobnie jak od całego jej otoczenia, niczego prócz dobrodziejstw czysto artystycznych: zachowania tej atmosfery arcydzieła, tej świetlistości ciał, tej miękkości tła.

W tym momencie wielki zegar wybił południe. Bonnet roześmiał się, niemal z rozkoszy. Ten poważny, głęboki, trochę głuchy dźwięk wydobywający się z antycznej maszynerii w malowanej szafce brzmiał mu w uszach, kiedy oglądał taki czy inny obraz holenderskiego malarza i wyobrażał sobie zapach świeżych śledzi przygotowanych przez gospodynię czy szum dobiegający z ulicy, częściowo widocznej za oknem o zielonkawych szybkach; na ciemnej boazerii zawsze był zegar podobny do tego.

Tymczasem chciał skłonić Madeleine do mówienia; pragnął jeszcze raz usłyszeć jej świeży, lekko śpiewny głos. — Mieszka pani tutaj sama? Mąż pewnie w niewoli?

— Ależ nie — odpowiedziała gwałtownie.

Znowu ogarnął ją strach na myśl o tym, że Benoît uciekł z oflagu; nagle przyszło jej do głowy, że Niemiec się tego domyśli i zatrzyma uciekiniera. Jaka ja jestem głupia, pomyślała, jednak odruchowo złagodziła sposób bycia, trzeba być miłym dla zwycięzcy, toteż spytała głosem szczerym i pokornym:

— Długo pan u nas zostanie? Była mowa o trzech miesiącach.

— Kto to może wiedzieć — rzekł Bonnet. — Jak to w wojsku, wszystko zależy od rozkazu, kaprysu generałów czy przypadku. Byliśmy w drodze do Jugosławii, ale tam już wszystko się skończyło.

— A? Skończyło się?

— To kwestia dni. Tak czy inaczej zjawilibyśmy się po zwycięstwie.

Toteż myślę, że zatrzymają nas tutaj przez całe lato, chyba że zostaniemy wysiani do Afryki czy do Anglii.

— I... to się panu podoba? — pytała Madeleine, przybierając celowo naiwną minę, nie mogła jednak zapanować nad lekkim grymasem obrzydzenia, jakby pytała kanibala, czy naprawdę lubi ludzkie mięso.

— Mężczyzna jest stworzony po to, by być wojownikiem, a kobieta dla rozrywki wojownika — powiedział Bonnet i uśmiechnął się, bo rozbawiła go myśl, że cytuje Nietzschego ładnej francuskiej wieśniaczce.

— Jeśli pani mąż jest młody, powinien myśleć tak samo.

Madeleine nie odpowiedziała. W gruncie rzeczy nie znała poglądów Benoit, choć wychowała się u jego boku. Benoît był milczący i zamknięty na zamek potrójnej skromności: męskiej, chłopskiej i francuskiej. Nie miała pojęcia ani czego nienawidził, ani co kochał, wiedziała jedynie, że jest zdolny do miłości i do nienawiści.

Mój Boże, żeby tylko nie uprzedził się do tego Niemca, pomyślała.

Słuchała, jak Niemiec mówił, ale prawie mu nie odpowiadała, nadstawiając ucha na odgłosy z zewnątrz: furmanki na drodze, dzwony kościelne na wieczorną modlitwę; słycać je było jeden po drugim z kolejnych kościołów: najpierw z małej kaplicy w Montmort, leciutkie jak srebrne dzwoneczki, potem poważny ton dobiegał z miasteczka, potem szybkie dzwonki od Marii Panny, które dochodziły tylko w niepogodę, kiedy wiatr wiał od wzgórz.

— Rodzina niedługo wróci — powiedziała Madeleine. Postawiła na stole fajansowy dzbanuszek z niezapominajkami.

— Chyba nie będzie pan tu jadał? — zapytała niespodziewanie.

Uspokoił ją.

— Nie, będę się stołował w mieście. Panią poproszę tylko o kawę z mlekiem co rano.

— To nic będzie trudne, proszę pana.

Był to typowy regionalny zwrot; mówiło się go z uśmiechem i przebiegłą miną, poza tym nic absolutnie nie znaczył, stanowił grzecznościową formułkę, która nikomu nie uwłaczała, nie obiecywała też, że usługa zostanie wykonana. Była to zwykła grzeczność, a jeśli obietnicy nie towarzyszyła realizacja, można było posłużyć się inną gotową formułką, wypowiedaną tym razem tonem żalu i usprawiedliwienia: „Nie zawsze można robić to, co się chce”. Jednak Niemiec był zachwycony.



— Jacy wszyscy w tym kraju są mili — oznajmił naiwnie.

— Tak pan uważa?

— Mam nadzieję, że będzie mi pani przynosiła kawę do łóżka?

— Tak się traktuje chorych — powiedziała Madeleine kpiąco.

Chciał ją wziąć za rękę, cofnęła się gwałtownie.

— Idzie mój mąż.

To jeszcze nie był on, ale niedługo nadejdzie: rozpoznawała stuk kopyt klaczy na drodze. Wyszła na podwórze, padał deszcz. Przez bramę wjeżdżał stary brek nieużywany od czasów poprzedniej wojny, a teraz zastępujący bezużyteczne auto. Benoît powoził. Kobiety siedziały pod mokrymi parasolkami. Madeleine pobiegła do męża i rzuciła mu się na szyję.

— Jest szkop — szepnęła mu do ucha.

— Będzie u nas kwaterował?

— Tak.

— Nieszczęście!

— Ach! — prychnęła Cécile — oni nie są źli, jeśli umie się z nimi postępować. Dobrze płacą.

Benoît wyprzągnął klacz i odprowadził do stajni. Cécile, skrepowana obecnością Niemca, ale świadoma tego, że ma na sobie niedzielną sukienkę, kapelusz i jedwabne pończochy, dumnie wkroczyła do domu.

Pułk przeszedł pod oknami Lucile. Żołnierze śpiewali; mieli zachwycające głosy, ale ten chór, poważny, groźny i smutny, zdawałoby się bardziej religijny niż wojskowy, zadziwiał Francuzów.

To ich modlitwa?, zastanawiały się kobiety.

Wojsko wracało z ćwiczeń: był wczesny ranek i całe miasteczko jeszcze spało. Kobiety gwałtownie wyrwane ze snu wychylały się ze śmiechem przez okna, Jaki słodki i świeży poranek! Koguty, zachrypnięte po zimnej nocy, prezentowały swoją muzykę. W spokojnym powietrzu widać było różane i srebrne odbicia. To niewinne światło padało na szczęśliwe twarze defilujących mężczyzn (jak nie być szczęśliwym tak pięknej wiosny?). Kobiety długo patrzyły za tymi wysokimi, dobrze zbudowanymi mężczyznami o twardych twarzach i melodyjnych głosach. Niektórych żołnierzy zaczynało rozpoznawać. Nie tworzyli już tak anonimowej masy jak na początku, przestali być falą zielonych mundurów, w której trudno było dostrzec jakiś rys wyróżniający, pozbawioną indywidualnej fizjonomii tak samo jak morską falą, mieszającą się i ze swoją poprzedniczką, i następczynią. Teraz żołnierze mieli imiona; mieszkańcy mówili: „To ten mały blondynek, który mieszka u szewca, koledzy mówią na niego Willy. To ten rudzielec, co zamawia omlet z ośmiu jaj i pije osiemnaście kieliszków koniaku jeden po drugim i ani się nie upija, ani nie choruje. A ten młodzik, co tak sztywno chodzi, to tłumacz. On

o wszystkim decyduje w Kommandantur. A to Niemiec od Angellierów". Tak jak dawniej nadawano farmerom nazwiska od posiadłości, w której mieszkali, przez co listonosz wywodzący się od dzierżawców ziem Montmortów do dziś nazywał się Augustę de Montmort, tak i Niemcy dziedziczyli stan cywilny swoich gospodarzy. Mówiło się; „Fritz od Durandów, Ewald z kuźni, Bruno od Angellierów".

Bruno prowadził swój oddział kawalerii. Dobrze odżywione i pełne energii konie harcowały i spoglądały na mieszkańców wzrokiem niecierpliwym i dumnym; budziły absolutny podziw chłopów.

— Mamo, widziałaś? — wykrzykiwały dzieci.

Koń porucznika miał sierść złotobrazową z satynowymi połyskami. I koń, i porucznik nie byli obojętni na okrzyki podziwu i zachwyt pań. Cudowne zwierzę przeżyło szyję, wściekle szarpało wędzidło. Oficer uśmiechał się nieznacznie, czasami pieszczotliwie klaskał wargami, co uspokajało konia skuteczniej od szpicruty. Kiedy młoda dziewczyna w oknie zawołała: „Ale trzeba przyznać, że ten szkop dobrze jeździ", podniósł urękawiczoną dłoń do czapki i zasalutował z powagą.

Zza pleców dziewczyny dochodziły nerwowe szepty.

— Wiesz, że nie cierpią, kiedy tak się ich nazywa. Chyba oszalałaś!

— No i co takiego? Po prostu zapomniałam — broniła się dziewczyna, czerwona jak burak.

Na placu oddział rozproszono. Żołnierze wracali do siebie z głośnym stukiem butów i ostróg. Słońce grzało teraz bardzo mocno, prawie jak w lecie. W podwórkach żołnierze się myli; ich nagie zaróżowione torsy były ogorzałe od wiatru i wilgotne od potu. Jakiś żołnierz oparł lusterko na pniu drzewa i golił się. Inny zanurzył głowę i ramiona w wielkim kubie zimnej wody. Jeszcze inny wołał do młodej kobiety:

— Piękny dzień, proszę pani!

— O, mówi pan po francusku?

— Trochę.

Patrzyli na siebie, uśmiechali się. Kobiety podchodziły do studni i rozwijały długie skrzypiące łańcuchy. Kiedy wynurza-

ło się wiadro wypełnione lodowatą drżącą wodą, w której odbijał się ciemny błękit nieba, zawsze w pobliżu znalazł się żołnierz śpieszący z pomocą, odbierający ciężar z rąk kobiety. Jedni chcieli pokazać, że Niemcy też są uprzejmi, inni robili to pod wpływem wrodzonej życzliwości, a jeszcze inni ulegli nastrojowi pięknego dnia, jakiejś fizycznej pełni, spowodowanej świeżym powietrzem, zdrowym zmęczeniem i nadzieją wypoczynku, co wprawiało ich w ten stan egzaltacji, siły wewnętrznej, dzięki której człowiek czuje się tym bardziej łagodny wobec słabych, im chętniej zachowałby się źle wobec silnych. (Niewątpliwie to właśnie ta siła skłania samców do wiosennych bójek i popisów przed samicami). Jeden młody żołnierz odprowadził kobietę aż do domu; z całkowitą powagą niósł dwie butelki białego wina, które wyciągnęła ze studni. Był to bardzo młody chłopak z jasnymi oczami, zadartym nosem i szerokimi, silnymi barami.

— Są ładne — mówił, patrząc na nogi kobiety — bardzo ładne, proszę pani...

Odwróciła głowę i położyła palec na ustach.

— Cicho... mój mąż...

— A, mąż, *bose*... niedobry — wykrzyknął i udawał, że bardzo się boi. Mąż przysłuchiwał się temu zza zamkniętych drzwi, a ponieważ był bardzo pewny swojej żony, nie odczuwał wściekłości, tylko rodzaj dumy. No proszę, mamy ładne kobiety, myślał. Poranny kieliszek białego wina lepiej mu smakował.

Żołnierze weszli do sklepu wytwórcy chodaków. Był to inwalida wojenny, który pracował w swoim warsztacie, powietrze wypełniał roślinny i przejmujący zapach świeżego drewna; pnie świeżo ściętych sosen płakały jeszcze żywicznymi łzami. Na etażerze ułożono saboty rzeźbione, zdobione chimerami, węzami, wolimi głowami. Jedna para miała kształt świńskich ryjków. Któryś z Niemców popatrzył na nią z podziwem.

— Wspaniała robota — powiedział.

Szewc, chorowity i milczący, nie odpowiedział, ale żona, nakrywająca akurat do stołu, nie potrafiła zapanować nad ciekawością:

— A pan czym się zajmował w Niemczech?

Żołnierz nie zrozumiał od razu, ale w końcu wyjaśnił, że jest ślusarzem. Żona szewca zadumała się i wyszeptwała mężowi do ucha:

— Trzeba mu pokazać złamany klucz do kredensu, może zreperuje.

— Daj spokój. — Szewc zmarszczył brwi.

— Wy... obiad? — dopytywał się żołnierz. Wskazał na biały chleb na talerzyku w kwiatki. — Chleb francuski... lekki... nie w żołądku... nic. Chciał powiedzieć, że ten chleb nie wydaje mu się pożywny, nie tuczy. Jednak Francuzi nie mogli uwierzyć, że ktoś może być na tyle głupi, by nie docenić wspaniałości jednego z ich narodowych specjałów, a szczególnie owych jasnych bochnów, tych wielkich chlebów w kształcie korony, które podobno ma niedługo zastąpić mieszanka otrębów z mąką pośledniejszego gatunku. Oni jednak nie mogli w to uwierzyć. Wzięli słowa Niemca za komplement i poczuli się mile połączani. Złagodniał nawet ponury wyraz twarzy szewca. Zasiadł do stołu razem z rodziną. Niemcy usiedli z boku na stołkach.

— A kraj wam się podoba? — pytała dalej żona szewca. Była z natury towarzyska, dokuczały jej więc przedłużające się chwile milczenia małżonka.

— O tak, ładny...

— A wasz? Jest u was podobnie jak tu? — zapytała drugiego żołnierza.

Po twarzy żołnierza przemknęło drzenie; widać było, że z zapalem szuka odpowiednich słów, które opisałyby jego własny kraj, chmielniki i olbrzymie lasy. Jednak niczego nie znalazł, zadowolił się jedynie rozłożeniem ramion.

— Duży... dobra ziemia... Zawahał się i westchnął.

— Daleko...

— Ma pan rodzinę? Potwierdził ruchem głowy. Tymczasem szewc powiedział do żony:

— Nie musisz z nimi gawędzić.

Kobieta się zawstydziała. Kontynuowała pracę w milczeniu, nalewając kawę, krojąc kanapki dla dzieci. Z zewnątrz dobiegał

radosny hałas. Śmiechy, szcęk broni, kroki, głosy żołnierzy tworzące pogodny harmider. Nie wiadomo dlaczego odczuwało się doskonały nastrój. Może z powodu ładnej pogody? Błękitne niebo zdawało się pochylać łagodnie na horyzoncie i pieścić ziemię. Kury przykucnęły w kurzu, od czasu do czasu wymachiwały skrzydłami z zaspanym gdakaniem. W powietrzu fruwały źdźbła słomy, pióra, nieuchwytnie pyłki. Nastała pora budowania gniazd.

W miasteczku od tak dawna nie było mężczyzn, że nawet ci najeźdźcy zdawali się na swoim miejscu. Wyczuwali to, przeżyli się w słońcu; matki jeńców czy żołnierzy poległych na wojnie rzucały po cichu bożą klątwę na ich głowy, ale młode dziewczyny nie odrywały od nich oczu.

W sali prywatnej szkoły zebrały się panie z miasteczka i kilka grubych gospodyń z okolicy na comiesięczne spotkanie „Paczka dla jeńca”.

Gmina objęła patronat nad wychowankami opieki społecznej mieszkającymi w regionie przed wybuchem wojny, którzy dostali się do niewoli. Duszą przedsięwzięcia była pani wicehrabina de Montmort, młoda kobieta, nieśmiała i brzydka, która ilekroć miała zabrać głos publicznie, straszliwie cierpiała, zaczynała się zacinać, pociły jej się ręce, nogi się trzęsły; słowem, odczuwała identyczną treść jak członkowie rodziny królewskiej. Uważała jednak, że jej obowiązkiem jest oświecenie tych mieszczek i chłopek, pokazanie im drogi, poruszenie w nich dobrych strun.

— Rozumiesz, Amaury — tłumaczyła małżonkowi — nie mogę uważać, że między nimi a mną istnieje jakaś zasadnicza różnica. Chociaż sprawiają mi wielki zawód (okazują się tak prostackie, tak małostkowe, nawet nie masz pojęcia), uparcie szukam w nich jakiegoś światła.

Owszem — mówiła, podnosząc na niego oczy wypełnione łzami, bo płakała z byle powodu — nasz Pan nie umarłby za te duszyczki, gdyby nie było w nich tego czegoś... Jednak, mój przyjacielu, niewiedza i ignorancja, w jakiej żyją, jest przerażająca. Toteż na początku każdego spotkania wygłaszam krótką pogadankę, żeby zrozumiały, dlaczego zostały ukarane i (możesz się śmiać, Amaury) czasami widzę na tłustych policzkach, że coś do nich dotarło. — Żałuję — kończyła zamyślona wicehrabina — bardzo żałuję, że nie

poszłam za swoim powołaniem: chętnie nawracałabym pustynną krainę, byłabym prawą ręką misjonarzy na sawannie czy w pierwotnej puszczy. Ale nie myślmij już o tym. Nasza misja jest tu, gdzie posłał nas Pan. Stała na niewielkiej estradzie w szkolnej klasie, w której pośpiesznie zestawiono ławki; dwanaście najbardziej na to zasługujących uczennic dopuszczono do wysłuchania słów wicehrabiny. Szurały sabotami po podłodze i wpatrywały się w przestrzeń wielkimi spokojnymi oczami. Jak krowy, myślała wicehrabina z pewnym poirytowaniem. Postanowiła zwrócić się specjalnie do nich.

— Moje drogie dziewczynki, jesteście przedwcześnie umęczone boleścią ojczyzny...

Jedna z dziewczynek słuchała z taką uwagą, aż spadła ze stołka; jednaście pozostałych próbowało ukryć za szkolnymi fartuszkami szalony chichot; wicehrabina zmarszczyła brwi i kontynuowała bardziej doniosłym głosem.

— Oddajecie się zabawom swojego wieku. Wyglądacie na beztroskie, ale wasze serca wypełnia smutek. Jakież modlitwy zanosicie rano i wieczorem do Wszechmogącego Boga, żeby ulitował się nad nieszczęściem naszej ukochanej Francji!

Przerwała, witając bardzo obojętnym gestem wejście nauczycielki z państwowej szkoły: była to kobieta, która nie chodziła do kościoła i urządziła mężowi cywilny pogrzeb; uczennice dorzucaly, że nie była ochrzczona, co wydawało się nawet nie tyle skandaliczne, ile nieprawdopodobne, zupełnie jakby mówiło się o ludzkiej istocie, która się urodziła z rybim ogonem. Zachowanie tej osoby było bez zarzutu, więc wicehrabina nienawidziła jej tym bardziej, gdyż, jak tłumaczyła wicehrabiemu, „gdyby piła lub miała kochanków, dałoby się to wyjaśnić brakiem pobożności, ale pomyśl tylko, Amaury, jakie zamieszanie powstaje w ludzkich głowach na widok cnót praktykowanych przez osoby, które nie myślają jak należy". Obecność nauczycielki była wicehrabinie nienawistna, włożyła więc w swój wykład trochę namiętnej niechęci, którą wlewa nam w serce widok nieprzyjaciela, i kontynuowała z prawdziwą swadą:

— Jednak modlitwy i łzy nie wystarczą, Nie mówię tego tylko do was, mówię to też do waszych matek. Musimy pamiętać



o dobroczynności. A tymczasem, co widzą? Nikt nie zapomina dla innych o sobie. Nie proszą was o pieniądze; w obecnych czasach, niestety, pieniądze niewiele znaczą — stwierdziła z westchnieniem wicehrabina, przypominając sobie, że za pantofle, które miała na nogach, zapłaciła osiemset pięćdziesiąt franków (na szczęście wicehrabia piastował godność mera, mogła więc dostać kartki na buty, kiedy tylko zapragnęła). — Nie, nie chodzi o pieniądze, tylko o produkty, których nie brakuje na wsi, a którymi chciałabym wypełnić paczki naszych jeńców. Każda z was myśli tylko o swoich bliskich, o mężu, o synu, bracie, ojcu wziętym do niewoli i dla niego wszystko jest możliwe; wysyła mu się masło, czekoladę, cukier i tytoń, ale co z tymi, którzy nie mają rodziny? Moje panie, pomyślcie, pomyślcie tylko o losie tych nieszczęśników, którzy nigdy nie dostają ani paczek, ani listów! Zastanówmy się, co możemy dla nich zrobić? Przyjmuję wszelakie dary, gromadzę je i wysyłam do Czerwonego Krzyża, skąd zostaną rozesłane do poszczególnych stalagów. Słucham, co macie do powiedzenia.

Nastąpiła cisza; wieśniaczki patrzyły na panie z miasteczka, a te z kolei, przygryzając wargi, przypatrywały się gospodyniom.

— No więc zaczynam — powiedziała słodkim głosem wicehrabina. — Mam taki pomysł: do kolejnych paczek można włożyć list napisany przez jedną z dziewczynek. List, w którym prostymi i wzruszającymi słowami opowie o bolesnych i patriotycznych uczuciach, przepelniających jej serce. Pomyślcie tylko — kontynuowała wicehrabina donośnym głosem — pomyślcie o radości nieszczęsnego opuszczonego jeńca, kiedy przeczyta te linijki, w których będzie biło serce kraju, które przypomną mu mężczyzn, kobiety, dzieci, drzewa i domy jego drogiej małej ojczyzny, która, jak mówi poeta, każe nam bardziej kochać tę wielką. Przede wszystkim, moje dzieci, pozwólcie przemówić sercu. Nie szukajcie górnolotnych słów, niech umilknie talent epistolamy, a przemówi serce. Serce — powtórzyła wicehrabina, przymykając oczy — bez którego nie da się zrobić nic pięknego ani wielkiego. Możecie włożyć do listu jakiś skromny polny kwiat, stokrotkę czy pierwiosnek... nie sądzę, by to było zabronione. Podoba się wam ten pomysł? — spytała

na zakończenie, lekko odchylając głowę z wdzięcznym uśmiechem. — No dobrze już, dobrze, już dosyć mówiłam. Teraz wasza kolej. Żona notariusza, z wąsikami, o ostrych rysach twarzy, powiedziała rozgoryczonym tonem:

— Mamy jak najlepsze chęci, by wspomóc naszych jeńców. Ale co możemy zrobić my, nieszczęsne mieszkanki miasteczka? Nie mamy niczego. Nie mamy wielkich włości, tak jak pani wicehrabina, ani pięknych gospodarstw jak ludzie na wsi. Z wielkim trudem sami możemy się wyżywić. Moja córka, która właśnie urodziła, nic może kupić mleka, którego potrzebuje dla dziecka. Jajka sprzedaje się po dwa franki za sztukę, a i tak trudno je dostać.

— Chce pani powiedzieć, że my handlujemy na czarnym rynku? — spytała obecna na sali Cécile Sabarie. Kiedy była wściekła, wydymała szyję jak indyk i robiła się fioletowo-czerwona.

— Nie chcę tego powiedzieć, ale...

— Moje panie, moje panie — uspokajała wicehrabina i myślała zniechęcona: zdecydowanie nie ma o czym mówić, one niczego nie czują, nie rozumieją, to nędzne dusze. Co mówię? Jakie dusze? To żołądki, które mówią.

— Przykro tego słuchać — mówiła dalej Cécile, wzruszając ramionami — przykro patrzeć na tych, którzy mają wszystko, a narzekają na nędzę. Przecież cały świat wie, że mieszcuchom niczego nie brakuje. Słyszycie? Niczego! Myślicie, że nie wiemy, kto zgarnia całe mięso? Skupuje po wsiach kartki? To powszechnie znane. Sto su za kartkę na mięso. Oczywiście, kto ma pieniądze, temu niczego nie brakuje, ale biedni ludzie...

— Musimy mieć mięso, moja pani — wtrąciła dostojnie żona notariusza, myśląc z niepokojem, że widziano, jak przedwczoraj wynosiła od rzeźnika nogę cielecą (już drugą w tym tygodniu). My nie bijemy świń! W naszych kuchniach nie wiszą szynki, połcie słoniny, nie suszą się kiełbasy, które chętniej wyda się na pożarcie robakom niż nieszczęsnym ludziom z miasta.

— Moje panie, moje panie — błagała wicehrabina — pomyślcie o Francji, poruszcie swoje serca. Opanujcie się! Ucisz-

cie te straszne urazy! Pomyślcie o naszej sytuacji! Jesteśmy zrujnowani, pobici... Pozostaje nam tylko jedna pociecha: nasz ukochany Marszałek... A wy mówicie o jawkach, o mleku, o świniach! Jakie znaczenie ma żywność? Nieładnie, moje panie, to takie prostactwo! Mamy wiele innych powodów do smutku. Bo o co w istocie chodzi? O trochę wzajemnej pomocy, odrobinę tolerancji. Zjednoczmy się jak żołnierze w okopach, jak, w co nie wątpię, nasi drodzy jeńcy w oflagach, za kolczastymi drutami...

Dziwne było to, że dotychczas prawie jej nie słuchano. Jej nawoływania przypominały kazania proboszcza, które się słyszy, nie rozumiejąc. Jednak obraz oflagu w Niemczech i mężczyzn zamkniętych za drutami kolczastymi poruszył kobiety. Każda z tych ciężkich i silnych istot miała tam kogoś, kogo kochała; to dla nich pracowały, dla nich oszczędzały, gromadziły pieniądze na ich powrót, żeby usłyszeć „dobrze wszystkim zarządziłaś, droga żono”. Każda zobaczyła w myślach nieobecnego, jednego, tego swojego; każda na swój sposób wyobrażała sobie miejsce, w którym jest uwięziony; jedna widziała sosnowe lasy, inna zimne lochy, jeszcze inna mury fortecy, a wszystkie widziały w wyobraźni kilometry drutu kolczastego, który oddzielał mężczyzn od świata. Mieszczki i chłopki poczuły, że ich oczy wypełniają łzy.

— Coś pani przyniosę — powiedziała jedna.

— Ja też coś znajdę — dorzuciła druga.

— Zobaczę, co się da zrobić — obiecała notariuszowa. Pani de Montmort pośpieszyła zapisać obiecane dary. Kobiety wstawały ze swoich miejsc, podchodziły do wicehrabiny i szeptały jej coś na ucho, ponieważ zdołała poruszyć ich serce i rozczulone pragnęły coś podarować nie tylko mężom czy synom, ale nieznanym, dzieciom opieki społecznej. Obawiały się jedynie sąsiadek, nie chciały się okazać bogatsze, niż były w rzeczywistości, obawiały się denuncjacji; we wszystkich domach ukrywano dobra; matka i córka szpiegowały się nawzajem i donosiły na siebie; gospodynie zamykały drzwi do kuchni w czasie posiłków, żeby zapachy nie zdradziły słoniny skwierczącej na patelni, kawałka zakazanego mięsa czy ciasta upieczonego z zakazanej mąki. Pani de Montmort pisała:

*Pani Bracelei, gospodyni z Roches, dwie surowe kielbasy, słoik miodu i słoik galaretki... Pani Joseph z posiadłości Rouei dwie zawekowaneperliczki, solone masto, czekolada, kawa, cukier...*

— Liczą na was, drogie panie, zgoda? — upewniała się wicehrabina.

Wieśniaczki patrzyły na nią ze zdziwieniem, przecież nie cofa się danego słowa. Pożegnały się, podawały wicehrabinie dłonie czerwone, spękane od zimowego chłodu, od obrządzania zwierząt, prania, a ona za każdym razem musiała pokonać opór przed uściśnięciem tej dłoni, z którą kontakt sprawiał jej fizyczną przykrość. Opanowała jednak to uczucie niezgodne z chrześcijańskim miłosierdziem i w ramach umartwienia zmuszała się do całowania dzieci towarzyszących matkom; wszystkie były tłuste i różowe, utuczone i wysmotruchane jak małe prosiaczki.

W końcu sala opustoszała. Nauczycielka wyprowadziła dziewczynki; chłopki powychodziły. Wicehrabina westchnęła nie tyle ze zmęczenia co zniechęcenia. Ludzkość była jednak tak brzydka i podła! Ile trudu trzeba było sobie zadać, żeby obudzić w tych smutnych duszyczkach iskierkę miłości... Uf!, jęknęła na głos, jednak zgodnie z radami przewodnika swego sumienia, ofiarowała Bogu swoje trudy i prace tego dnia.

— A co według pana myślą Francuzi o wyniku wojny? — spytał Bonnet. Kobiety popatrzyły na siebie oburzone. Tak się nie robi. Nie rozmawia się z Niemcem o wojnie, ani o tej, ani o tamtej, ani o marszałku Petainie, ani o Mersel-Kebir, ani o przecięciu Francji na dwie części, ani o oddziałach okupacyjnych czy w ogóle o czymkolwiek, co jest ważne. Istniała tylko jedna możliwa postawa: udawanie zimnej obojętności i takim właśnie tonem odpowiedział Benoît, podnosząc szklaneczkę z czerwonym winem.

— — Mają to w nosie, proszę pana.

Był wieczór. Zachód słońca, czysty i lodowaty, zapowiadał na noc przymrozki, ale nazajutrz z pewnością będzie piękna pogoda. Bonnet spędził cały dzień w miasteczku. Wrócił na noc i powodowany poczuciem wyższości, wrodzoną dobrocią, chęcią pokazania się w lepszym świetle czy pragnieniem ogrzania się przy ogniu zatrzymał się w kuchni. Kolacja dobiegała końca; tylko Benoît siedział jeszcze przy stole, kobiety już sprzątały, zmywały naczynia. Niemiec z ciekawością oglądał wielkie przykryte kapą łóżko.

— Nikt tutaj nie sypia, prawda? To niczemu nie służy? Zabawne.

— Czasami służy — powiedziała Madeleine, mając na myśli Jeana-Marie.

Sądziła, że nikt nie zwróci uwagi na to, co powiedziała, ale Benoît zmarszczył brwi; każda aluzja do przygody poprzedniego

lata natychmiast kłuła go w serce jak strzała, ale to jego sprawa... wyłącznie jego. Zgromił wzrokiem Cecile za cichy chichot i z niezwykłą uprzejmością odpowiedział Niemcowi:

— Czasami może się przydać, nigdy nie wiadomo, jeśli na przykład przytrafi się panu nieszczęście (czego bynajmniej nie życzę...). U nas na tych łózkach kładzie się zmarłych.

Bonnet przyglądał mu się rozbawiony z odrobiną pogardliwego politowania, jakie odczuwamy na widok dzikiego zwierzęcia zgrzytającego zębami za kratami klatki. Na szczęście mężczyzna zajęty pracą bywa w domu rzadko... a kobiety są bardziej przystępne, pomyślał.

— W czasie wojny nikt z nas nie może oczekiwać, że umrze w łóżku — powiedział z uśmiechem.

Tymczasem Madeleine wróciła z ogrodu z kwiatami do ozdobienia kominka. Były to pierwsze bzy, śnieżnobiałe z zielonkawymi punkcikami małych pączków, jeszcze ciasno zamkniętych, niżej rozwiniętych w pachnące kiście. Bonnet zanurzył bladą twarz w bukiecie.

— To boskie... jak pięknie układa pani kwiaty...

Przez sekundę stali obok siebie bez słowa. Benoit pomyślał, że ona (jego żona, jego Madeleine) zdawała się zawsze czuć swobodnie przy wszystkich zajęciach typowych dla damy — kiedy układała kwiaty, piłowała paznokcie, czesała się inaczej niż miejscowe kobiety, kiedy rozmawiała z nieznajomym, kiedy trzymała w ręku książkę... Nie powinno się brać dziewczyny z opieki społecznej, bo nie wiadomo skąd jest, powiedział sobie kiedyś, bardzo zgnębiony, a kiedy myślał, że nie wiadomo skąd jest, to nie obawiał się jakichś obciążeń alkoholizmu czy złodziejstwa, ale tej burżuazyjnej krwi, która kazała jej wzdychać „och, jak nudno jest na wsi...” albo „chciałabym mieć ładne rzeczy...”, która, jak mu się zdawało, łączyła ją tajemną więzią z nieznajomym, z nieprzyjacielem, pod warunkiem że był to monsieur z wytworną bielizną i czystymi rękami.

Gwałtownie odsunął krzesło i wyszedł. Była pora zamykania zwierząt. Przez dłuższą chwilę pozostawał w mroku i ciepłe obory. Poprzedniego dnia ocieliła się jedna krowa. Czule wylizywała małe cielątko z olbrzymią głową, chwiejące się na cienkich drżących nóżkach. Inna cicho dyszała w swoim kacie.

Wsluchiwał się w ten głęboki i spokojny oddech. Widział stąd otwarte drzwi do domu, na progu pojawił się cień. Ktoś zaniepokoił się jego nieobecnością, szukał go. Matka czy Madeleine? Na pewno matka... Niestety, tylko matka... Nie ruszy się stąd, póki Niemiec nie pójdzie do siebie. Zobacz, jak zapali u siebie lampę, bo przecież nie musiał płacić za elektryczność. W istocie, po kilku chwilach za oknem zapaliło się światło. W tym samym momencie cień oderwał się od progu i lekko pobiegł w jego stronę. Poczł drzenie serca, jakby niewidzialna ręka niespodziewanie zdjęła mu z piersi ciężar, który od dawna go przytłaczał.

— Benoît, jesteś tu?

— Jestem.

— Co robisz? Złękłam się.

— Złękłaś się? Czego? Jesteś szalona.

— Nie wiem. Chodź.

— Poczekaj, poczekaj chwilę.

Przyciągnął ją do siebie. Broniła się, udając rozbawienie, wyczuł jednak w nieznacznym usztywnieniu jej ciała, że nie było jej do śmiechu, że nie wydawał jej się zabawny, że nie lubiła być przyduszana na sianie czy świeżej słomie, że nie lubiła... Nie! Nie lubiła... nie zaznawiała z nim rozkoszy. Powiedział cichutko, bezdźwięcznym głosem:

— To znaczy, że niczego nie lubisz?

— Ależ tak, lubię. Ale nie tutaj, nie tak. Benoît, wstydzę się.

— Czego? Krów, które na ciebie patrzą? — pytał twardym tonem. — Odejdź!

Wypowiedziała tę rozpaczliwą skargę, budzącą w nim równoczesną chęć płaczu i zabicia jej.

— Jak ty do mnie mówisz! Można by pomyśleć, że masz do mnie pretensje. O co? To przecież Cécile...

Zakrył jej usta ręką, odsunęła ją zdecydowanie i dokończyła:

— To ona cię buntuje.

— Nikt mnie nie buntuje. Ja nie patrzę cudzymi oczami. Wiem tylko, że ilekroć zbliżam się do ciebie, zawsze słyszę: „Poczekaj. Innym razem. Nie dzisiaj, dziecko mnie zmęczyło”. Na co czekasz? — zagrzmiał nagle.

— Dla kogo się oszczędzasz? No?

— Zostaw mnie! — krzyknęła, kiedy ścisnął jej ręce i biodra. — Zostaw mnie! To boli!

Znowu odepchnął ją z taką siłą, że uderzyła czołem w niską framugę drzwi. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słów. Wziął grabie i nerwowo przerzucił słomę.

— Nie masz racji — powiedziała w końcu Madeleine i dodała czułym tonem: — Benoit, mój biedny Benoît... nie masz racji... przecież jestem twoją żoną, jeśli czasami wydaję ci się zimna, to dlatego, że dziecko mnie męczy. Po prostu.

— Wyjdźmy stąd — odezwał się ostro. — Chodźmy się położyć.

Przeszli przez kuchnię, pustą już i ciemną. Było jeszcze widno, ale tylko na niebie i wokół czubków drzew. Wszystko inne, ziemia, dom, pola, wszystko było pogrążone w niedawno zapadłej ciemności. Rozebrali się i położyli do łóżka. Tej nocy nie próbował jej wziąć. Leżeli nieruchomo, nie śpiąc, nasłuchując oddechu Niemca i skrzypienia jego łóżka nad głowami. Madeleine poszukała w ciemności ręki męża i ścisnęła ją mocno.

— Benoît!

— Co?

— Posłuchaj, przyszło mi nagle do głowy, że trzeba schować twoją strzelbę. Czytałeś obwieszczenia w miasteczku?

— Tak — odparł kpiąco. — *Verboten. Verboten.* Kara śmierci. Ci dumie nie znają innych słów.

— Gdzie ją schowamy?

— Daj spokój. Dobrze jej tam, gdzie jest.

— Benoît, nie upieraj się. To poważna sprawa. Wiesz, ile osób rozstrzelano za to, że nie oddały broni w Kommandantur.

— Chciałabyś, żebym poszedł oddać im moją strzelbę? Tylko tchórze to robią! Ja się ich nie boję. Nie wiesz, jak od nich uciekłem, co? Zabiłem dwóch. Nawet nie pisnęli. Chętnie bym jeszcze paru zlikwidował — powiedział z wściekłością i wyciągnął pięść w stronę niewidzialnego Niemca. — Nie mówię, żebyś ją oddał, tylko schował, zakopał. Kryjówek nie brakuje. — To niemożliwe.

— Ale dlaczego?

— Bo muszę ją mieć pod ręką. Uważasz, że pozwolę, żeby



podchodziły do nas lisy i inne śmierdziuchy? Park pałacu aż się od nich roi. Wicehrabia za bardzo się boi. Robi w gacie. Niczego nie zabije. On należy do tych, co oddali strzelby w Kommandantur, i to z niskim pokłonem... „Bardzo proszę, panowie, wyrządźcie mi zaszczyt”. Na szczęście razem z kumplami odwiedzam nocą jego park. Bez tego okolica byłaby zrujnowana.

— Oni nie słyszą strzałów?

— Co ty! Park jest wielki jak las.

— Często tam chodzisz? — pytała zaciekawiona Madeleine. — Nic wiedziałam.

— Nic wiesz wielu rzeczy, moja droga. Chodzimy tam po sadzonki pomidorów i buraków, po owoce, po wszystko, czego nie chcą sprzedać. Wicehrabia...

Zamilkł, zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

— Wicehrabia to jeden z najgorszych...

W rodzinie Sabarie z ojca na syna przechodziła dzierżawa ziem w posiadłościach Montmortów. I z ojca na syna się nienawidzili. Sabarie mówili, że Montmortowie są bezlitośni dla ubogich, dumni, nieszczerzy, a ci z kolei oskarżali swoich dzierżawców o „nieżyczliwość”. Było to wypowiedane cicho, ze wzruszeniem ramion, a formuła ta znaczyła o wiele więcej, niż przypuszczali sami Montmortowie. Był to sposób pojmowania biedy, bogactwa, pokoju, wojny, wolności, własności, wcale nie mniejszej niż własność Montmortów, ale tak przeciwstawnej jak ogień i woda. Teraz dochodziły jeszcze inne żale. W oczach wicehrabiego Benoît był żołnierzem roku czterdziestego, a jego zdaniem to właśnie brak dyscypliny i patriotyzmu żołnierzy, ich „nieżyczliwość” spowodowały klęskę, gdy tymczasem Benoît widział w Montmorcie jednego z tych pięknych oficerów w żółtych getrach, którzy w wygodnych samochodach z żonami i walizami uciekali za granicę hiszpańską w owe czerwcowe dni. A potem doszła jeszcze „kolaboracja”... — Liże Niemcom buty — stwierdził ponuro Benoît.

— Uwważaj — ostrzegła Madeleine. — Zawsze mówisz to, co myślisz. I nie próbuj oszukiwać tego Niemca z góry...

— Jeśli zobaczę, że krąży koło ciebie...

— Oszalałeś!

— Mam oczy.

— Teraz i o niego będziesz zazdrosny! — wykrzyknęła Madeleine. Pożałowała tych słów w chwili, gdy je wypowiedziała; nie należało nadawać wizji ani nazwy rojeniom zazdrośnika. Ale w końcu po co przemilczać to, o czym obydwójce wiedzieli. Benoît oznajmił:

— Dla mnie ci dwaj to jedno i to samo.

Obaj należeli do mężczyzn dokładnie ogolonych, starannie umytych, wysławiających się lekko i bez trudu, na których patrzyły dziewczyny... i mimo woli pochlebiało im, gdy zostały wybrane, poszukiwane przez tych panów... To właśnie chciał powiedzieć Benoît, myślała Madeleine.

Gdyby tylko wiedział! Gdyby się domyślał, że pokochała Jeana-Marie od pierwszej chwili, kiedy tylko go zobaczyła, zmęczonego, ubłoconego, w zakrwawionym mundurze, leżącego na noszach! Pokochała! Tak. W ciemnościach, w tajemnicy własnego serca powtarzała sobie tysiące razy; „Kochałam go. I tyle. Nadal go kocham. Nic na to nie poradzę”.

Po nieprzespanej nocy obydwójce wstali, kiedy świt rozdarło pierwsze ochryple pianie koguta. Ona poszła odgrzać kawę, a on obrządzić inwentarz.

Lucile Angellier usiadła w cieniu czereśni z książką i robótką. Tylko w tej części ogrodu pozwolono rosnać drzewom i innym roślinom bez troski o korzyści materialne, jakie mogły przynieść, bo czereśnie dawały niewiele owoców. Ale teraz była pora kwiatów. Pod czystym i nieruchomym błękitem nieba, bogatym i błyszczącym błękitem cennej sewskiej porcelany, kołysały się gałązki, które zdawały się obsypane śniegiem. Poruszał je chłodny jeszcze podmuch majowego wiatru, płatki broniły się delikatnie, zwijając się z czułym wdziękiem, zwracając w kierunku słońca swoje serduszka o jasnych słupkach. Słońce przenikało niektóre z nich i ujawniało splot maleńkich delikatnych żyłek, widocznych w bieli płatków, który do kruchości, do niematerialności kwiatów dodawał coś żywego, niemal ludzkiego w tym sensie, w jakim słowo „ludzki” oznacza zarówno słabość, jak i wytrzymałość. I dzięki temu wiatr mógł potrząsać owymi zachwycającymi tworami, nie niszcząc ich przy tym, nawet nie łamiąc; dawały sobą poruszać w rozmarzeniu, zdawało się, że za moment spadną. Były jednak solidnie przymocowane do delikatnych gałązek, twarde i lśniących, gałązek, w których wyglądzie było coś metalicznego, podobnie jak w samym pniu, gładkim, strzelistym, z szarymi i purpurowymi refleksami. Między białymi bukietami pojawiały się wydłużone listki, w cieniu ich zieleń zdawała się delikatna, pokrywały je srebrzyste włoski, one z kolei w słońcu zdawały się różowe. Ogród przylegał do wąskiej uliczki, wiej-

skiego zaułka, przy którym wznosiły się domki; Niemcy zainstalowali tu swój magazyn prochu; wartownik maszerował tam i z powrotem pod czerwonym afiszem głoszącym wielkimi literami:

Żołnierze czyścili konie, gwizdali, konie skubały świeże pędy młodych drzew. We wszystkich ogrodach przylegających do ulicy ludzie pracowali w atmosferze spokoju. Ubrani w koszule, robocze spodnie, w słomkowych kapeluszach na głowie kopali, zbierali, podlewali, siali, sadzili. Czasami niemiecki żołnierz popychał furtkę jakiegoś ogródka i domagał się ognia do fajki, świeżego jajka czy kufla piwa. Ogrodnik dawał mu to, czego żądał, po czym wsparty na łopacie, w zamyśleniu patrzył na oddalającego się żołnierza, by po jakimś czasie wrócić do swoich zajęć ze wzruszeniem ramion, które niewątpliwie stanowiło odpowiedź na jego myśli, tak głębokie, tak poważne i dziwne, że na ich wyrażenie nie znajdował słów.

Lucile skończyła ścieg haftu, potem odłożyła robótkę. Kwiaty czereśni nad jej głową przyciągały osy i pszczoły, które przylatywały, odlatywały, fruwały, wchodziły do kielichów i piły zachłannie z głową w dole i korpusem drżącym z radości, tymczasem, jakby kpiąc z tych zręcznych pracownic, wielki złocisty trzmiel unosił się na skrzydle wiatru jak w hamaku, ledwie się poruszając i wypełniając powietrze swoim spokojnym i złotym śpiewem.

Ze swojego miejsca Lucile obserwowała niemieckiego oficera, który kwaterował w ich domu i od kilku dni miał u siebie pułkowego wilczura. Widziała, jak oficer siedzi w pokoju Gastona Angellier przy biurku Ludwik XIV; strząsa popiół z fajki do jasnej filiżanki, do której starsza pani Angellier nalewała kiedyś zioła dla syna, niedbale uderza obcasem w ornamenty ze złoczonego brązu podtrzymujące stół; pies oparł

**VERBOTEN**

i niżej, mniejszymi, po francusku:

***Nie zbliżać się pod karą śmierci***

pysk na nodze Niemca; szczekał i ciągnął łańcuch. Oficer powiedział mu wtedy po francusku i na tyle głośno, by Lucile go usłyszała (w ciszy ogrodu wszystkie dźwięki unosiły się długo, jakby zawisały w nieruchomym powietrzu):

— Nie, Bubi, nie pójdziesz na spacer. Zjadłbyś tym paniom wszystkie sałaty i nie byłyby zadowolone; powiedziałyby, że jesteśmy źle wychowanymi prostakami. Bubi, musimy tu zostać i patrzeć na piękny ogród.

Co za dzieciak!, pomyślała Lucile. Nie mogła się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć. Oficer kontynuował:

— To pech, prawda, Bubi? Pewnie chciałbyś ryć nosem ziemię. Gdyby w domu było małe dziecko, to by się dało zrobić. Zawołałoby nas gestem ręki. Zawsze dobrze się bawiliśmy z dziećmi, ale tutaj są tylko dwie bardzo poważne i bardzo milczące panie, więc lepiej zostańmy w domu. Poczekaj jeszcze chwilę, a ponieważ Lucile milczała, zdawał się zawiedziony. Głębiej wychylił się z okna, zasalutował i spytał oficjalnie:

— Czy pozwoliłaby mi pani zerwać truskawki ze swoich grządek?

— Jest pan u siebie — odparła Lucile z ironiczną żywością. Oficer ponownie zasalutował.

— Nie ośmieliłbym się prosić o to dla siebie, zapewniam panią, ale ten pies uwielbia truskawki. Chcę zresztą powiedzieć, że to pies francuski. Został znaleziony w opuszczonym miasteczku w Normandii w czasie bitwy i moi koledzy go zabrali. Nic odmówi pani truskawek rodakowi. Zachowujemy się jak idioci, pomyślała Lucile. Powiedziała jedynie:

— Proszę przyjść ze swoim psem i zrywać, co pan chce.

— Dziękuję pani — zawołał radośnie oficer i natychmiast wyskoczył przez okno, a pies za nim.

Obaj zbliżyli się do Lucile; Niemiec się uśmiechnął.

— Wybaczy pani intruzowi, ale ten ogród, te czereśnie wydają się biednemu żołnierzowi prawdziwym rajem.

— Spędził pan zimę we Francji? — spytała Lucile.

— Tak. Na północy, skazany w niepogodę na koszary i kawiarnię. Miałem kwaterę u nieszczęsnej młodej kobiety, która

dopiero co wyszła za mąż, a jej małżonek dostał się do niewoli dwa tygodnie po ślubie. Kiedy spotykała mnie na korytarzu, wybuchła płaczem, a ja czułem się jak przestępca. A przecież to nie moja wina... mógłbym jej powiedzieć, że też jestem żonaty i z dała od żony z powodu wojny.

— Jest pan żonaty?

— Tak. To panią dziwi? Żonaty od czterech lat i od czterech lat w wojsku.

— Jest pan taki młody!

— Mam dwadzieścia cztery lata.

Zamilkli. Lucile podjęła swój haft. Oficer przykląkł na jedno kolano i zrywał truskawki: kładł je na dłoni, a Bubi dotykał ich swoim wilgotnym i czarnym nosem.

— Mieszka pani tutaj sama ze swoją matką?

— To matka mojego męża, który jest w niewoli. Może pan w kuchni poprosić o talerzyk na swoje truskawki.

— Dobrze, dziękuję pani.

Powrócił po chwili z dużym niebieskim talerzem i kontynuował zbieranie. Potem ofiarował truskawki Lucile, sam wziął kilka i powiedział, żeby zjadła resztę. Stał przed nią oparty o pień drzewa czereśni.

— Pani dom jest bardzo ładny.

Niebo zakrywały drobne chmurki i w tym zmiękczonej świetle dom miał kolor niemal różowawej ochry, co przypominało barwę skorupki niektórych jaj; Lucile w dzieciństwie nazywała je brązowymi jajkami i zdawało jej się, że smakują lepiej od innych, od tych śnieżnobiałych znoszonych przez większość kur. Uśmiechnęła się na to wspomnienie; popatrzyła na dom, na wyblakłe łupki dachu, na szesnaście okien o pół-przymkniętych okiennicach, żeby w wiosennym słońcu nie zbladły tapiserie, na zardzewiały dzwon na frontonie, który już nie dzwonił, na szklaną markizę z refleksami nieba. Zapytała: — Podoba się panu?

— Można by powiedzieć, że to siedziba któregoś z bohaterów Balzaka.

Musiał go zbudować bogaty notariusz z prowincji, szykując się na emeryturę na wsi. Wyobrażam go sobie wieczorami w pokoju, w którym mieszkam, jak liczy rulony złotych ludwików. Sam był wolnomyślicielem, ale jego żona szła co

rano na pierwszą mszę, słyszę, jak na nią dzwonią kiedy wracam rano z ćwiczeń. Żona na pewno miała różową cerę, włosy blond i chodziła w kaszmirowym szalu.

— Zapytam teściową kto wybudował ten dom. Rodzice mojego męża byli właścicielami ziemskimi, ale pewnie w dziewiętnastym wieku byli w rodzinie notariusze, adwokaci, lekarze, a wcześniej chłopci. Wiem, że sto pięćdziesiąt lat temu na tym miejscu wznosiła się ich ferma.

— Spyta pani? To pani nie wie? To pani nie interesuje?

— Sama nie wiem. O moim domu rodzinnym mogłabym panu powiedzieć, kiedy i przez kogo został zbudowany. Nie jestem tu urodzona. Jedyne tu mieszkam.

— A gdzie pani się urodziła?

— Niedaleko stąd, ale w innej prowincji. Dom stoi w lesie... a drzewa rosną tak blisko salonu, że w lecie na wszystko pada ich zielony cień, jak w akwarium.

— U mnie są lasy — powiedział oficer. — Duże, bardzo duże lasy. Poluje się codziennie. Akwarium, ma pani rację — dorzucił po namyśle. — Szyby w salonie są zielone i ciemne, mętne jak woda. Są też stawy, na których polujemy na dzikie kaczki.

— Kiedy dostanie pan urlop, żeby pojechać do domu? — spytała Lucile. Twarz oficera opromienił błysk radości.

— Wyjeżdżam za dziesięć dni, w poniedziałek ósmego. Od początku wojny miałem tylko jeden krótki urlop na Boże Narodzenie, niecały tydzień. Och, proszę pani, jakże się czeka na te urlopy! Jak liczy się dni. Jakie żywi nadzieje! A po przyjeździe okazuje się, że nie mówimy tym samym językiem.

— Czasami — powiedziała cicho Lucile.

— Zawsze.

— Pana rodzice jeszcze żyją?

— Tak. W tej chwili mama pewno siedzi tak jak pani w ogrodzie z książką albo z robótką.

— A pańska żona?

— Żona czeka na mnie, czy raczej czeka na kogoś, kto wyjechał po raz pierwszy przed czterema laty i kto już nigdy nie wróci... taki sam.

Nieobecność to bardzo ciekawe zjawisko!

— Owszem — westchnęła Lucile.

I pomyślała o Gastonie Angellier. Sajednak te, które czekają na tego samego mężczyznę, i takie, które oczekują innego mężczyzny niż ten, który odjechał; i jedne, i drugie spotyka zawód, pomyślała. Z niejakim trudem wyobraziła sobie męża, którego nie widziała od ponad roku, takiego, jakim powinien się stać: cierpiący, dręczony wyrzutami (ale czy żałował żony, czy modystki z Dijon?). Była niesprawiedliwa: na pewno boleśnie odczuwał upokorzenie klęski, utratę tylu dóbr... Nagle widok Niemca (nie! nie samego Niemca, tylko jego munduru w tym szczególnym kolorze migdałowej zieleni, niemal szarości, jego kurtki i błysków butów z cholewami) stał się dla niej nienawistny. Pod pretekstem domowych obowiązków wyszła z ogrodu. Ze swojego pokoju widziała, jak Niemiec spaceruje w wąskiej alejce pomiędzy wielkimi gruszami, które wyciągały gałęzie pełne kwiatów. Jaki piękny dzień... Światło powoli słabło i gałęzie czereśni stawały się niebieskawe i leciutkie jak puszki do pudru. Pies szedł grzecznie obok swego pana, tylko czasami przytykał pysk do ręki młodego człowieka; a ten poklepywał go łagodnie. Spacerował z gołą głową, jego jasne włosy błyszczały w słońcu. Lucile zauważyła, że spogląda na dom.

Jest inteligentny i dobrze wychowany. Ale cieszę się, że niedługo wyjeżdża; moja biedna teściowa cierpi, widząc go w pokoju syna. Istoty gwałtowne są tak proste; ona go nienawidzi i to mówi wszystko. Szczęśliwi ci, którzy mogą kochać i nienawidzić otwarcie, bez hipokryzji, bez niuansów. A tymczasem ja jestem zmuszona w taki piękny dzień siedzieć w pokoju, bo temu panu podoba się spacerować. Mam tego dość! Zamknęła okno, rzuciła się na łóżko i powróciła do lektury. Wytrwała do kolacji, choć chwilami drzemała nad książką, zmęczona upałem i zamieszaniem dnia. Kiedy zeszła do jadalni, teściowa siedziała już na swoim zwykłym miejscu, na wprost pustego krzesła, które kiedyś zajmował Gaston. Była blada, sztywna, oczy miała zapuchnięte od łez.

— Co się stało? — zapytała przerażona Lucile.

— Zastanawiam się... — odparła pani Angellier, zaciskając ręce tak gwałtownie, aż pobladły paznokcie. — Zastanawiam się, dlaczego poślubiłaś Gastona?



Człowiek na ogół zawsze tak samo wyraża złość. Pani Angellier robiła to w sposób mętny i subtelny, sycząc jak żmija; Lucile nie doznała nigdy tak gwałtownego i nagłego ataku; była nim raczej zaniepokojona niż oburzona; nagle zrozumiała, jak bardzo musi cierpieć teściowa.

Przypomniała sobie czarną kotkę, zawsze potulną, pełną hipokryzji i pieśczośliwą, która nie przestając mruczeć, podstępnie wbijała pazury. Tylko raz skoczyła kucharce do oczu i o mało jej nie oślepiła, a było to w dniu, w którym utopiono jej kocięta. Potem gdzieś przepadła.

— Co takiego zrobiłam? — spytała cicho Lucile.

— Jak mogłaś tutaj, w jego domu, pod jego oknami, podczas jego nieobecności, kiedy jest w niewoli, może chory, maltretowany przez tych brutali, jak mogłaś uśmiechać się do Niemca, przyjaźnie z nim rozmawiać! To nie do pomyślenia!

— Spytał, czy może zejść do ogrodu i zerwać truskawki. Nie mogłam odmówić. Mama zapomina, że niestety teraz on tu jest panem... zachował odruchy dobrego wychowania, chociaż mógł wziąć, co mu się podoba, wejść gdzie zechce, a nawet wyrzucić nas z domu. Egzekwuje swoje prawa zwycięzcy w białych rękawiczkach. Nie mogę mieć do niego pretensji. Nie jesteśmy na polu bitwy. Można w głębi duszy żywić nienawiść, ale dlaczego nie być uprzejmym i życzliwym przynajmniej na zewnątrz? W tej sytuacji jest coś nieludzkiego. Po co to wyolbrzymiać? To nie jest... rozsądne — wykrzyknęła Lucile z gwałtownością, która ją sama zdumiała.

— Rozsądne! — powtórzyła pani Angellier. — Moje biedne dziecko, już samo to słowo dowodzi, że nie kochasz swojego męża, że nigdy go nie kochałaś i wcale go nie żałujesz! Czy sądzisz, że ja będę kierować się rozumem, co? Nie mogę na niego patrzeć, na tego oficera! Chętnie wydrapałabym mu oczy! To ani sprawiedliwe, ani ludzkie, ani chrześcijańskie, ale jestem matką, cierpię bez mojego syna, nienawidzę tych, którzy mi go zabrali, a gdybyś ty była prawdziwą żoną, nie zniosłabyś obecności tego Niemca. Nie bałabyś się, że wydasz się wulgarna, źle wychowana, śmieszna. Wstałabyś i odeszła bez słowa. Mój Boże! Ten mundur, buty, te włosy blond, ten głos, ten wygląd zdrowy, szczęśliwy, podczas gdy mój nieszczęsny syn...

Przerwała i wybuchnęła płaczem,

— Ależ, mammo...

Jednak to tylko wzmogło wściekłość pani Angellier.

— Zastanawiam się, dlaczego za niego wyszłaś — wykrzyknęła znowu.

— Niewątpliwie dla pieniędzy, dla własności, ale...

— To nieprawda! Dobrze mama wie, że to nieprawda! Wyszłam za męża, bo byłam głupią gąską, a tata powiedział: „To porządny chłopak, będziesz z nim szczęśliwa”. Nie wyobrażałam sobie, że zacznie mnie zdradzać już nazajutrz po ślubie z jakąś modystką z Dijon!

— Co to ma znaczyć? Co to za historia?

— Historia mojego małżeństwa — oznajmiła gorzko Lucile. — Jest w Dijon kobieta, która dzierga teraz dla Gastona pulower, przygotowuje dla niego słodycze, wysyła mu paczki i pewnie pisze: „Bardzo się nudzę sama, w naszym wielkim łóżku tej nocy, mój biedny kochasiu”.

— Kobieta, która go kocha — wymamrotała pani Angellier, a jej usta nabrały koloru zwiędłej hortensji i stały się wąskie jak nitka.

W tym momencie chętnie by się mnie pozbyła i na moje miejsce wzięła modystkę, pomyślała Lucile i dorzuciła z perfidią która zawsze drzemie nawet w najlepszej kobiecie:

— Kocha, ale jest bardzo kosztowna... Wystarczy zobaczyć książeczkę czekową, którą znalazłam w biurku po jego wyjeździe.

— On wydaje na nią pieniądze? — wykrzyknęła oburzona pani Angellier.

— Owszem, ale to mnie nie obchodzi.

Zapanowało długie milczenie. Dobiegały znajome odgłosy wieczoru: radio sąsiada wydające serię monotonnych dźwięków, jękliwych i przejmujących jak arabska muzyka czy zgrzyty cykad; to BBC z Londynu zakłócone przez nieprzyjacielskie tale, tajemniczy pomruk źródła gdzieś na wsi, uporczywe, odmienione „kra” ropuchy błagającej o deszcz. W jadalni stary miedziany żyrandol, czyszczony i polerowany przez pokolenia, aż utracił różowawąłocistość i nabrał jasnego i bladego koloru księżycy w pierwszej kwadrze, oświetlał stół i dwie kobiety. Lucile poczuła smutek i wyrzuty sumienia.

Co mnie ugryzło, myślała. Powinnam była jej wysłuchać i nic nie mówić. Teraz będzie się męczyła jeszcze bardziej. Zacznie tłumaczyć syna, zechce nas godzić. O Boże, co za nuda!

Do końca posiłku pani Angellier nie odezwała się ani słowem. Po kolacji panie zainstalowały się w salonie, gdzie kucharka zaanonsowała wizytę wicehrabiny de Montmort. Oczywiście ta dama nie odwiedzała mieszkańek miasteczka, nie zapraszała ich do siebie tak samo jak nie zapraszała gospodyń wiejskich, ale kiedy czegoś potrzebowała, nie wahała się przyjść do czyjegoś domu z prostotą, szczerością, z naiwną bezczelnością, która świadczyła, że istotnie była „dobrze urodzona”. Przychodziła po sąsiedzku, ubrana jak pokojówka, w maleńkim czerwonym kapelusiku z bażancim piórem, który widział lepsze czasy; mieszczyki nie przypuszczały, że ten brak jakiegokolwiek pozy wyraźniej niż okazywanie wyższości czy ceremonialne maniery świadczył, w jak wielkiej miała je pogardzie; tak samo nie było potrzeby przejmować się toaletą z ich powodu jak przy wejściu na mijaną fermę z prośbą o szklankę mleka. Rozbrojone mieszczyki powtarzały „Wcale nie jest dumna”, co skądinąd nie przeszkadzało im przyjmować ją z niezwykłą wyniosłością, równie podświadomą jak rzekoma prostota hrabiny. Pani de Montmort wkroczyła do salonu Angellierów wielkimi krokami; powitała kordialnie gospodynię, nie usprawiedliwiając się z powodu późnej pory swojej wizyty; wzięła książkę Lucile i głośno przeczytała tytuł: *Connaissance de l'Est* Claudela.

— Ależ to bardzo dobrze — powiedziała z zachęcającym uśmiechem, jakby chwaliła jedną z uczennic prywatnej szkoły, że przez nikogo nie zmuszana czyta historię Francji. — Lubi pani poważne lektury, to dobrze. Pochyliła się, by podnieść motek wełny upuszczony przez starszą panią Angellier.

Widzicie, zdawała się mówić, że zostałam wychowana w respekcie wobec starszych osób; dla mnie nie ma znaczenia pochodzenie, wykształcenie czy fortuna; widzę jedynie ich siwe włosy.

Tymczasem pani Angellier z zimnym pochyleniem głowy, ledwie otwierając usta, wskazała wicehrabinie miejsce, a cała jej postać wyrażała jedną myśl: „Jeśli sądzisz, że okażę, że

wizyta mi pochlebia, to się mylisz. Niewykluczone, że mój prapradziad był farmerem u Montmortów, ale to stara historia i nikt jej nie zna, podczas gdy wszyscy wiedzą, ile hektarów twój nieboszczyk teść przekazał mojemu mężowi, bo potrzebował pieniędzy; zresztą twój mąż załatwił sobie powrót z wojny, podczas gdy mój syn jest w niewoli. Powinnaś szanować we mnie zbolełą matkę. Na pytania wicehrabiny odpowiadała słabym głosem, że owszem, jest zdrowa, że miała ostatnio wiadomości od syna.

— Nie ma nadziei? — dopytywała się wicehrabina, co miało oznaczać „nadziei na jego szybki powrót”.

Pani Angellier pokręciła głową i wzniosła oczy do nieba.

— Jakie to smutne! — stwierdziła wicehrabina. — Dotknęły nas ciężkie próby — dodała.

Mówiła „nas” powodowana tą skromnością, która w obliczu nieszczęścia każe nam udawać podobne cierpienia (jednak egoizm tak naiwnie deformuje nasze najlepsze intencje, że z pełną niewinnością mówimy do gruzlika w ostatnim stadium: „Bardzo mi ciebie żal, wiem, co to jest, bo od trzech tygodni nie mogę się pozbyć kataru”).

— Bardzo ciężkie, pani hrabino — wymamrotała zimno i melancholijnie pani Angellier. — Jak pani wie, mamy towarzystwo — dorzuciła, wskazując na sąsiedni pokój i uśmiechając się gorzko. — Jeden z tych panów... Pani też ich ma niewątpliwie? — spytała, choć znała krążące pogłoski, że dzięki osobistym kontaktom wicehrabiego w zamku nie było Niemców.

Wicehrabina nie odpowiedziała na to pytanie, oznajmiła natomiast tonem pełnym oburzenia:

— Nigdy pani nie zgadnie, czego mają czelność się domagać! Dostępu do jeziora, żeby łowić ryby i pływać. Ja, która spędzałam moje najlepsze godziny na wodzie, muszę się z jeziorem pożegnać na całe lato.

— A co, nie pozwolili pani tam chodzić? To jednak przesada! — wykrzyknęła pani Angellier, lekko podniesiona na duchu upokorzeniem zadanym wicehrabinie.

— Nie, wprost przeciwnie — zapewniała pani de Mont-mort. — Zachowali się jak najbardziej poprawnie: „Proszę nam powiedzieć, w jakich godzinach możemy tu przychodzić, żeby

nie przeszkadzać". Ale może sobie pani wyobrazić, że znajdę się vis-à-vis jednego z tych panów w stroju wakacyjnym? Wie pani, że do posiłków rozbierają się prawie do naga? Zajmują prywatną szkołę i jadają na dziedzińcu z gołym torsom i nogami, tylko w slipach! Nie możemy otwierać okiennic w starszej klasie, które wychodzą na ten dziedziniec, żeby dzieci nie widziały... czego widzieć nie powinny. Wyobraża pani sobie, jaka to męka w tym upale!

Westchnęła: miała bardzo trudną sytuację. Na początku wojny okazała się żarliwie patriotyczna i antyniemiecka, nie dlatego że nienawidziła Niemców bardziej niż innych cudzoziemców (obejmowała ich wszystkich uczuciem niechęci, podejrzliwości i pogardy), jednak w patriotyzmie i germanofobii, podobnie zresztą jak w antysemityzmie i później w przywiązaniu do marszałka Pétaina było coś teatralnego, co ją ekscytowało. W trzydziestym dziewiątym wygłosiła w prywatnej szkole przed audytorium złożonym z sióstr ze szpitala, pań z miasteczka i bogatych gospodyń szereg popularnych odczytów na temat hitlerowskiej psychologii, w których wszystkich Niemców bez wyjątku przedstawiała jako szaleńców, sadystów i przestępców. Nie zmieniła postawy tuż po klęsce, bo tak szybka odmiana wymagałaby elastyczności i sprawności umysłu, których jej nie dostawało. W tym okresie własnoręcznie napisała na maszynie i rozproszyla na wsi kilkadziesiąt egzemplarzy sławnych przepowiedni świętej Odile, która przewidywała eksterminację Niemców na koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Jednak czas minął, rok dobiegł końca, a Niemcy nadal tu byli, a ponadto wicehrabiego mianowano merem miasteczka, został więc osobą publiczną, zmuszoną do podzielania zapatrywań rządu; a ten ostatni z każdym dniem skłaniał się coraz bardziej do polityki zwanej kolaboracją. W ten sposób pani de Montmort widziała się codziennie zmuszoną do powściągnięcia wszelkich emocji. Tym razem też przypomniała sobie, że nie może okazywać nieprzyjaznych uczuć dla zwycięzcy, powiedziała więc z dużą tolerancją (zresztą czy Jezus nie nakazywał kochać nieprzyjaciół?):

— Rozumiem, że ubierają się lekko po tych męczących ćwiczeniach. W końcu to mężczyźni.

Jednak pani Angellier odmówiła wejścia za nią na to terytorium.

— To podłe istoty. Oni nas nienawidzą. Powiedzieli, że będą szczęśliwi dopiero wtedy, kiedy zobaczą Francuzów zajadających trawę.

— To abominacyjne — oświadczyła wicehrabina szczerze oburzona. A ponieważ polityka kolaboracji istniała dopiero od paru miesięcy, a germanofobia liczyła ponad sto lat, pani de Mont-mort instynktownie podjęła język z dawnych lat.

— Nasz nieszczęsny kraj... złupiony, udreńczony, zgubiony... A ile dramatów! Proszę popatrzeć na rodzinę kowala, z trzech synów jeden zabity, drugi w niewoli, trzeci zaginiony pod Mers-el-Kebir... U Bérardów z Montagne — mówiła, zgodnie z miejscową modą dodając do nazwiska farmerów nazwę posiadłości, na której terenie mieszkali — odkąd mąż dostał się do niewoli, ta biedna kobieta straciła zmysły ze zmęczenia i zmartwienia. Gospodarstwem zajmuje się dziadek i trzynastoletnia dziewczynka. U Clémentów matka zmarła, a czwórkę dzieciaków przygarnęli sąsiedzi. Tyle dramatów! Nieszczęsna Francja! Pani Angellier robiła na drutach; zacisnęła blade wargi, od czasu do czasu kiwała głową. Tymczasem obydwie z wice-hrabinią przestały wkrótce mówić o nieszczęściach innych, żeby zająć się własnymi kłopotami; robiły to tonem żywym i zaangażowanym, który wyraźnie kontrastował z powolnym, emfatycznym, ceremonialnym sposobem wyrażania się, gdy mówiły o nieszczęściach bliźnich. Z taką powagą, uszanowaniem i znudzeniem recytuje uczeń epizod o śmierci Hipolita, który zupełnie go nie obchodzi, ale kiedy przerywa, by poskarżyć się nauczycielowi, że ktoś mu gwizdnął kulki, jego głos jakimś cudem odzyskuje siłę przekonywania i temperaturę.

— To haniebne, haniebne — narzekała pani Angellier — płacę dwadzieścia siedem franków za funt masła. Wszystko idzie na czarny rynek. Miasta muszą żyć, to oczywiste, ale...

— Ach, proszę nawet o tym nie wspominać, zastanawiam się, po jakiej cenie sprzedaje się produkty żywnościowe w Paryżu. Dla tych, co mają pieniądze, to nie problem, ale w końcu

istnieją też ubodzy — zauważyła mężnie wicehrabina. Rozkoszowała się przyjemnością bycia dobrą, pokazywania, że nie zapomina o nieszczęśnikach, a przyjemność tę pogłębiała jeszcze świadomość, że ona sama dzięki swojej wielkiej fortunie, nigdy nie znajdzie się w sytuacji budzącej litość. — Nie myślimy wystarczająco o ubogich — powiedziała. Ale były to tylko igraszki słowne, nadeszła pora, by poruszyć cel wizyty: wicehrabina potrzebowała ziarna dla swojego drobiu. Miała kurnik znany w całej okolicy; w czterdziestym pierwszym trzeba było oddać całe ziarno objęte rekwizycją zresztą nie wolno było karmić nim kur, jednak „zakaz” nie oznaczał, niemożliwości obejścia”, tylko „utrudnienie wykonania”; była to jedynie kwestia taktu, szczęścia i pieniędzy. Wicehrabina napisała artykuł, przyjęty przez lokalną gazetę, dobrze myślący dziennik, z którym współpracował ksiądz proboszcz. Artykuł nosił tytuł „Wszystko dla Marszałka”. I zaczynał się od słów: „Trzeba to mówić! Trzeba powtarzać pod strzechami i przy kolacji, przy ogniu żarzącym się w popiele: żaden Francuz godny tego miana nie zostawi więcej swoim kurom ani jednego ziarna zboża, nie da swojej świni ani jednego kartofla; oszczędzi owies i żyto, jęczmień i rzepak, a zebrawszy wszystkie te bogactwa, owoce swojej pracy skropione własnym potem, złoży je w snop przewiązany trójkolorową wstążeczką, symbolem patriotyzmu, i zanieś do stóp Szlachetnego Starca, który przywrócił nam nadzieję!”. Jednak ze wszystkich tych kurników, w których zdaniem wicehrabiny nie powinno już zostać ani jedno ziarno zboża, wyłączała naturalnie swój, był to bowiem obiekt jej dumy i najczulszych zabiegów, miała tam okazy rzadkie, nagradzane na wielkich konkursach rolniczych we Francji i za granicą. Pani de Montmort miała najpiękniejsze posiadłości w okolicy, nie ośmieliłaby się jednak zwrócić do wieśniaczek z tak delikatną sprawą nie należało proletariuszkom dawać przewagi nad sobą; kazałyby jej słono zapłacić za wszelkie tego rodzaju sekrety, podczas gdy z panią Angellier to była zupełnie inna sprawa. Zawsze można się jakoś ułożyć. Pani Angellier powiedziała z głębokim westchnieniem:

— Może mi się uda... jeden czy dwa worki... A pani ze swojej strony może mogłaby nam załatwić przez pana mera trochę węgla? W zasadzie nam się nie należy, ale...

Lucile zostawiła panie i podeszła do okna. Okiennice nie były jeszcze zamknięte. Okna salonu wychodziły na plac. W ciemności na wprost pomnika poległych stała ławka. Wszystko zdawało się pogrążone we śnie. Była piękna wiosenna noc, pełna posrebrzanych gwiazd. Słabo lśniły w mroku dachy sąsiednich domów; kuźnia, w której starzec opłakiwał trzech straconych synów; niewielki warsztat szewca poległego na wojnie, którego starała się jak najlepiej zastąpić nieszczęsna kobiecina i szesnastoletni dzieciak. Gdyby nadstawić ucha, to z każdego z tych domostw, niskich, ponurych, spokojnych, powinna wydobywać się skarga, pomyślała Lucile. A tymczasem... z ciemności dochodził śmiech, szelest spódnic. Potem głos mężczyzny, cudzoziemski głos zapytał: — Jak po francusku, co? Pocałunek? tak? Dobrze... Dalej błędziły cienie, widać było niewyraźnie biel bluzki, węzeł kokardy we włosach, błysk cholewy buta czy pasa. Wartownik nadal robił sto kroków przed „lokałem”, do którego nie wolno było się zbliżać pod karą śmierci, ale jego towarzysze cieszyli się wolnym czasem i pięknym wieczorem. Dwaj żołnierze, otoczeni grupką młodych dziewcząt, śpiewali:

***Trink'mal noch ein Tropfchen! Ach! Suzanna...***

a one po chwili podejmowały cichutko melodię. W pewnym momencie, kiedy pani Angellier i wicehrabina umilkły, dobiegły do nich ostatnie nuty piosenki.

— Kto to śpiewa o tej porze?

— To kobiety z niemieckimi żołnierzami.

— Co za koszmar! — zawołała wicehrabina. Wykonała gest przerażenia i obrzydzenia.

— Ciekawe, kim są te bezwstydnice? Poinformuję o nich księdza proboszcza.

Wychyliła się i zachłannie wpatrywała się w noc.

— Nie widać ich. W biały dzień by się nie ośmieliły... Och, moje panie, to jest najgorsze ze wszystkiego! Teraz deprawują Francuzki! Pomyślcie tylko, ich bracia, mężowie są w niewoli, a one zabawiają się z Niemcami! Co niektóre kobiety mają



w sobie? — wykrzyknęła wicehrabina, której oburzenie miało liczne przyczyny: urażony patriotyzm, poczucie konwenansu, zwątpienie w skuteczność własnej roli społecznej (w każdy sobotni wieczór wygłaszała odczyt „Prawdziwa młoda chrześcijanka”; stworzyła wiejską bibliotekę, a czasami zapraszała młodzież z okolicy na pouczające i budujące filmy typu *Jeden dzień w opactwie Solesmes* czy *Od gąsienicy do motyla*. I po co to wszystko? Żeby francuskie kobiety tak się poniżały?) i wreszcie gorący temperament, który pobudzały niektóre obrazy, a nie mogła mieć nadziei, że w jakikolwiek sposób uspokoi go wicehrabia, nieszczerze zainteresowany kobietami, a już najmniej swoją.

— To skandal! — wykrzyknęła.

— To smutne — powiedziała Lucile, myśląc o tych wszystkich dziewczynach, których młodość mijała na próżno, bo mężczyźni nie było, polegali albo siedzieli w niewoli. Nieprzyjaciel zajmował ich miejsce. To żalosne, ale jutro nikt nie będzie o tym wiedział. To jedna z tych rzeczy, o której przyszłość albo się nie dowie, albo odwróci się od niej zawstydzona.

Pani Angellier zadzwoniła. Kucharka przyszła zamknąć okiennice i okna, wszystko ogarnęła noc: piosenki, odgłosy pocałunków, słodki blask gwiazd, kroki zdobywcy na bruku i westchnienie spragnionej ropuchy, która na próżno prosiła niebiosy o wodę.

Niemiec spotkał Lucile raz czy dwa w ciemnym korytarzu, kiedy brała kapelusz ogrodowy zawieszony na rogu jelenia; zadźwięczała przy tym miedziana blacha zdobiąca ścianę tuż pod wieszakiem. Zdawało się, że Niemiec czeka na ten cichy dźwięk w ciszy domu, by otworzyć drzwi i pomóc Lucile wynieść do ogrodu jej koszyk, sekator, książkę, robótkę, leżak, chociaż ona już z nim nie rozmawiała, a podziękowanie ograniczała do skinienia głową i wymuszonego uśmiechu; zdawało jej się, że czuje na sobie wzrok starszej pani Angellier zaczajonej za żaluzją.

Niemiec zrozumiał i przestał się pokazywać, niemal co wieczór wyruszał ze swoim pułkiem na ćwiczenia, wracał dopiero o czwartej po południu i zamykał się z psem w swoim pokoju. Wieczorami, idąc przez miasteczko, Lucile widywała go czasami w kawiarni, siedział sam z książką w ręku, na stoliku stał kufel piwa. Unikał powitania i odwracał głowę, marszcząc brwi. Lucile liczyła dni. Niemiec wyjedzie w poniedziałek. Jak wróci, pułk może tymczasem się od nas wyniesie. W każdym razie zrozumiał, że już się do niego nie odezwę.

Co rano pytała kucharkę:

— Marthe, Niemiec nadal tu jest?

— No jest, ale on nie robi złego wrażenia — odpowiadała kucharka. — Pytał, czy owoce nie sprawiłyby pani przyjemności. Chętnie by dał. Mój Boże, im to niczego nie brakuje! Mają całe skrzynie pomarańcz. Są bardzo odświeżające — dorzuciła, rozdarta między życzliwością wobec oficera, który ją częstował

i który według jej słów zawsze „był bardzo miły, przyjemny, nie wzbudzający strachu”, a złością na myśl o tym, że Francuzi są pozbawieni tych owoców.

Ta ostatnia myśl była niewątpliwie najbardziej intensywna, bo dokończyła z obrzydzeniem:

— Jednak co to za podła rasa! Ja tam podbieram temu oficerowi, co tylko mogę: chleb, cukier, ciasta, które dostaje z domu (i mogę, panią zapewnić, że robione są z dobrej mąki), a także tytoń, który wysyłam mojemu jeńcowi.

— Marthe, tak nie wolno!

Stara kucharka jedynie wzruszyła ramionami.

— Oni nam zabierają wszystko, to chociaż tyle... Wieczorem, gdy Lucile wychodziła z jadalni, Marthe otworzyła drzwi od kuchni i zawołała:

— Gdyby pani mogła tu przyjść? Ktoś chce się z panią widzieć.

Lucile weszła pełna niepokoju, że nakryje ją tutaj pani Angellier, która nie lubiła widywać obcych ani w kuchni, ani w spiżarni. Nie chodziło o to, by podejrzewała synową o podkradanie konfitur, choć ostentacyjnie sprawdzała szafki w jej obecności, była to raczej sprawa urażonej skromności artysty niepokojonego w swojej pracowni czy kobiety światowej przed toaletką ze szminkami i różem. Kuchnia była uświęconą domeną, która należała tylko i wyłącznie do niej. Marthe pracowała u niej od dwudziestu siedmiu lat. Od dwudziestu siedmiu lat pani Angellier dokładała wszelkich starań, żeby Marthe nie zapomniała, że nie jest we własnym, tylko w cudzym domu i w każdej chwili może być zmuszona do porzucenia swoich miotełek z piór, swoich rondli, swojego pieca. Tak jak wiemy według rytuałów religii chrześcijańskiej powinien zawsze pamiętać, że dobra tego świata są mu dane tylko tymczasowo i mogą zostać odebrane z dnia na dzień zgodnie z kaprysem Stwórcy.

Marthe zamknęła drzwi za Lucile i powiedziała uspokajającym tonem:

— Pani poszła do kościoła.

Kuchnia była pomieszczeniem wielkości sali balowej, dwa olbrzymie okna wychodziły na ogród. Przy stole siedział jakiś

mężczyzna. Lucile zobaczyła wspaniałego szczupaka, jego srebrzystym ciałem wstrząsały jeszcze ostatnie drgawki agonii, leżał na ceracie pomiędzy wielkim bochnem jasnego chleba a do połowy opróżnioną butelką wina. Mężczyzna podniósł głowę, Lucile rozpoznała Benoît Sabarie.

— Skąd pan to ma?

— Ze stawu pana de Montmort.

— Któregoś dnia pana złapią.

Mężczyzna nie odpowiedział. Podniósł olbrzymią rybę za skrzela; jeszcze słabo oddychała i poruszała przezroczystym ogonem.

— Czy to prezent? — dopytywała się kucharka Marthe, która była kuzynką Sabariech.

— Niewykluczone.

— Benoît, daj mi to. Pani twierdzi, że jeszcze zmniejszą przydziały mięsa. To będzie śmierć i koniec świata — dorzuciła, wrzuszając ramionami i zawieszając wielką szynkę na haku deski stropowej. — Benoît, korzystaj z tego, że nie ma starszej pani i powiedz pani Gastonowej, co cię tu sprowadza.

— Proszę pani — zaczął z wysiłkiem Benoît — jest u nas Niemiec, który kręci się koło mojej żony. Tłumacz z Kommandantur, dziewiętnastoletni szczeniak. Nie zniosę tego dłużej. — Ale co ja mogę poradzić?

— Jeden z jego kolegów kwateruje tutaj...

— Nigdy z nim nie rozmawiam.

— Proszę mi nie opowiadać takich rzeczy. — Benoît wznosił oczy do nieba.

Zbliżył się do pieca, odruchowo zgiął i wyprostował w palcach pogrzebacz, obdarzony byi bowiem niezwykłą siłą fizyczną.

— Widziano, jak pani z nim rozmawiała w ogrodzie, śmiała się z nim, jadła truskawki. Nie robię pani wyrzutów, to pani sprawa, przyszedłem tylko, żeby panią błagać. Niech przemówi koledze do rozsądku, żeby przeniósł się na inną kwaterę.

Co za kraj! Ludzie mają oczy, które przenikają ściany, myślała tymczasem Lucile.

W tym samym momencie rozszalała się burza, na którą zanosilo się od dłuższego czasu, i po jednym, krótkim i uroczys

tym grzmocie słyhać było szum ulewnego i zimnego deszczu. Niebo pociemniało, zgasły wszystkie światła, jak to się zdarzało w wietrzne dni dziewięć razy na dziesięć, a Marthe stwierdziła z satysfakcją:

— Teraz starsza pani będzie musiała dłużej zostać w kościele.

Wykorzystała to, by podać Benoît kubek gorącej kawy. Błyskawice rozjaśniały kuchnię, po chodniku płynęła woda, która w tym siarkowym świetle zdawała się zielona. Otworzyły się drzwi i do kuchni wszedł niemiecki oficer wypędzony ze swojego pokoju przez burzę. Zażądał dwóch świec.

— Jak to? Pani tutaj? — dorzucił, zauważywszy Lucile. — Bardzo przepraszam, ale nie dostrzegłem pani w ciemności.

— Świec nie ma — wyjaśniła tymczasem Marthe cierpkim tonem. — We Francji nie ma świec, odkąd wy jesteście.

Była niezadowolona, widząc oficera w swojej kuchni, w innych pomieszczeniach jakoś to znosiła, ale tutaj, pomiędzy piecem a szafą z zapasami, zdawało się jej skandaliczne, niemal świętokradcze, było pogwałceniem serca domostwa.

— Proszę mi dać chociaż jedną zapałkę — prosił oficer, przybierając żałosny ton, żeby udobruchać kucharkę, która jednak pokręciła głową.

— Zapałek też brakuje. Lucile zaczęła się śmiać.

— Proszę tego nie słuchać. Zapałki są za panem na piecu. Ale tutaj jest ktoś, kto naprawdę chciał z panem porozmawiać, chce się poskarżyć na niemieckiego żołnierza.

— Naprawdę? Więc słucham — mówił żywo oficer. — bardzo nam zależy, żeby żołnierze Rzeszy zachowywali się poprawnie wobec mieszkańców.

Benoît milczał. Głos zabrała Marthe.

— Zaleca się do jego żony — wyjaśniła tonem, po którym trudno byłoby się domyślić, jakie uczucia w niej dominują: pełne wyższości oburzenie czy żal, że nie jest już w wieku, w którym mogłoby się to jej przydarzyć.

— Ale, mój chłopcze, ma pan błędne mniemanie o możliwościach dowódców w niemieckiej armii; ja mogę oczywiście

ukarać mojego wojaka, jeśli naprzykrza się pańskiej żonie, ale jeśli on jej się podoba...

— Wypraszam sobie takie żarty! — warknął Benoît, robiąc krok w stronę oficera.

— Słucham?

— Mówię, wypraszam sobie takie żarty! Nie potrzeba nam tych świńskich...

Lucile wydała okrzyk niepokoju i ostrzeżenia. Marthe szturchnęła Benoît łokciem, bo domyślała się, że zamierza użyć zakazanego słowa „szkop”, co Niemcy karali więzieniem. Benoît z trudem zmilczał.

— Nie potrzebujemy, żebyście zalecali się do naszych żon.

— Ależ mój przyjacielu, trzeba było wcześniej zadbać o wasze żony — powiedział łagodnie oficer.

Zarumienił się gwałtownie, a jego twarz przybrała nieprzyjemny wyraz, pełen rezerwy i wyższości. Włączyła się Lucile.

— Bardzo pana proszę — rzekła cicho — ten człowiek jest zazdrosny. Cierpi. Niech pan go nie doprowadza do ostateczności.

— Jak się nazywa ten żołnierz?

— Bonnet.

— Tłumacz Kommandantur? Ależ on mi nie podlega. Mamy ten sam stopień. Nie mogę interweniować.

— Nawet po przyjacielsku? Oficer wzruszył ramionami.

— To niemożliwe. Zaraz wytłumaczę dlaczego. Przerwał mu spokojny i ochryply głos Benoît.

— Nie ma co tłumaczyć! Żołnierzowi, nieszczęsnemu durniowi można stawiać przeszkody. *Verboten* w waszym języku. Po co jednak zakłócać przyjemności panów oficerów? We wszystkich armiach świata jest tak samo.

— Z pewnością nie będę z nim o tym rozmawiał, bo miałyby to odwrotny skutek i oddałbym panu niedźwiedzią przysługę — odpowiedział Niemiec, odwrócił się plecami do Benoît i podszedł do stołu.

— Moja poczciwa Marthe, proszę mi zrobić kawy, za godzinę wychodzę.

— Znowu te wasze ćwiczenia? To trzecia noc z rzędu —

wykrzyknęła Martfae, która nie mogła definitywnie ustalić swoich uczuć wobec nieprzyjaciela; czasami widząc pułk wracający o świcie z ćwiczeń, mówiła „ale im gorąco, ale są zmęczeni... aż przyjemnie popatrzeć”, a czasami zapominała, że to Niemcy i odczuwała rodzaj macierzyńskiej litości: „Jednak biedni ci chłopcy, to nie jest życie”.

Z niewiadomych powodów właśnie ta kobieca czułość wzięła w niej górę tego wieczoru.

— No dobrze, zrobię panu kawy. Niech pan tu siada. Pani też się napije.

— Nie... — zaczęła Lucile.

Tymczasem Benoit zniknął, bezszelestnie wyskoczył przez okno.

— Och, bardzo proszę — powiedział cichutko Niemiec. — Nie będę pani długo przeszkadzał, pojutrze wyjeżdżam, a mówi się o wysłaniu pułku do Afryki po moim powrocie. Nigdy więcej się nie zobaczymy i byłoby mi lżej, gdyby nie żywiła pani do mnie nienawiści.

— Nie żywię, ale...

— Wiem. Proszę nie rozwijać tematu. Proszę tylko o dotrzymanie mi towarzystwa...

Tymczasem Marthe z uśmiechem rozczenia, oburzona i współspiskująca zarazem, jakby dawała w ukryciu tartinki dzieciom odbywającym karę, nakrywała do stołu. Na czystej serwetce postawiła dwa duże fajansowe kubki w kwiaty, dzbanek z gorącą kawą i starą naftową lampę, którą wyjęła z szafy, przygotowała i zapaliła. Miękki żółty płomień oświetlał ściany zawieszane miedzianymi naczyniami, którym oficer przyglądał się z zaciekawieniem.

— Jak to się nazywa?

— To jest grzałka do łóżka.

— A to?

— To forma na gofry. Ma prawie sto lat. Już się jej nie używa.

Marthe przyniosła monumentalną cukiernicę, która przypominała urnę pogrzebową na nóżkach z brązu i z rzeźbioną przykrywką a także konfitury w kryształowym pojemniku.

— A więc już pojutrze o tej porze będzie pan pił kawę z własną żoną? — zapytała Lucile.

— Mam nadzieję. Opowiem jej o pani. Opiszę dom.

— Ona nie zna Francji?

— Nie.

Lucile chciałyby wiedzieć, czy Francja podoba się nieprzyjacielowi, jednak słowa zamarły jej na ustach pod wpływem jakiejś wstydlivej dumy. Pili kawę w milczeniu, nie patrząc na siebie.

Potem Niemiec mówił o swoim kraju, o szerokich alejach Berlina, o zimie i śniegu, o tym ostrym i świeżym wietrze wiejącym nad równinami środkowej Europy, o głębokich jeziorach, o lasach sosnowych i piaskach. Marthe paliła się do wzięcia udziału w rozmowie.

— Długo potrwa ta wojna? — zapytała.

— Nie wiem — odparł oficer z uśmiechem i wzruszył ramionami.

— Ale jak pan myśli? — spytała z kolei Lucile.

— Jestem żołnierzem, proszę pani. Żołnierze nie myślą. Kazał mi iść tam, to idę. Bić się, to się biję. Dać się zabić, to umieram. Myślenie uczyniłoby śmierć jeszcze straszniejszą.

— Jednak entuzjazm...

— Pani wybaczy, ale to kobiece słowo. Mężczyzna wykonuje swój obowiązek nawet bez entuzjazmu. Zresztą po tym właśnie się poznaje, czy jest prawdziwym mężczyzną.

— Być może.

Słychać było szmer deszczu w ogrodzie, ostatnie krople powoli kapały na bez; sadz napelniał się wodą, wydając rozleniwiony szept. Otworzyły się drzwi wejściowe.

— Uciekajcie, to pani! — Marthe aż zatkało z przerażenia. I wypchnęła na zewnątrz oficera i Lucile.

— Przejdźcie przez ogród. Matko święta, ale ona mi teraz da! Szybko wylała do zlewu resztę kawy, schowała kubki i zdmuchnęła lampę.

— Uciekajcie szybko, mówię wam! Jakie to szczęście, że jest ciemno! Obydwoje znaleźli się na zewnątrz. Oficer się śmiał, Lucile lekko drżała. Ukryci w mroku, widzieli, jak pani Angellier



chodzi po domu poprzedzana przez Marthe niosącą światło, potem zamknęły się wszystkie okiennice, założono żelazne sztaby; słysząc skrzypienie zawiasów, zgrzyt porzewiałych łańcuchów i pogrzebowy dźwięk zamykania wielkich drzwi, Niemiec zauważył:

— Zupełnie jak w więzieniu. Którędy pani wróci?

— Przez spiżarnię. Marthe na pewno tych drzwi nie zamknie. A pan?

— Och, ja przeskoczę przez mur.

I rzeczywiście przeprawił się na drugą stronę zręcznym ruchem.

— *Gute Nacht. Schla/en sie wohl* — powiedział cicho.

— *Gute Nacht* — odpowiedziała.

Jej akcent rozśmieszył oficera. Przez chwilę słuchała tego śmiechu oddalającego się w ciemnościach. Wiatr poruszył nad jej głową mokre gałęzie bzów. Lekka i radosna wbiegła do domu.

Pani Angellier co miesiąc odwiedzała swoje posiadłości, wybierała niedzielą, żeby zastać „swoich” w domu, co doprowadzało dzierżawców do rozpacz, a na jej widok pośpiesznie ukrywali kawą, cukier i poobiedni koniak. Pani Angellier należała do starej szkoły: pożywienie tych ludzi uważała za uszczerbek tego, co jej się należy; robiła gorzkie wyrzuty wszystkim, którzy kupowali u rzeźnika najlepsze mięso. Jak mówiła, miała w miasteczku własną policję i nie trzymała dzierżawców, których żony czy córki zbyt często kupowały jedwabne pończochy, perfumy, torebki pudru czy powieści. Pani de Montmort rządziła swoim światem, posługując się podobnymi zasadami, ale jako arystokratka bardziej była przywiązana do wartości duchowych niż pani Angellier wywodząca się z pazernej i materialistycznej burżuazji; niepokoiła ją szczególnie religijna strona problemu, dopytywała się, czy wszystkie dzieci zostały ochrzczone, czy przystępuje się do komunii dwa razy do roku, czy kobiety chodzą na mszę (zbyt trudno było to wyegzekwować od mężczyzn). Toteż z dwu rodzin, które dzieliły między siebie całą krainę — Montmortów i Angellierów — bardziej zniechęcona była ta pierwsza.

Pani Angellier wyruszyła w drogę o brzasku. Po wczorajszej burzy pogoda się zmieniła, padały strumienie zimnego deszczu. Auto było bezużyteczne z braku zezwolenia na poruszanie się nim i z braku benzyny, więc pani Angellier kazała wyciągnąć z remizy powozik, który spoczywał tam od trzydziestu lat.

Zaprężony w dwa dobre konie zawoził ją gdzie trzeba. Cały dom był na nogach, żeby asystować przy odjeździe starej damy. W ostatniej chwili (i niechętnie) powierzała Lucile swoje klucze. Otworzyła parasolkę, ulewa się wzmogła.

— Lepiej by pani zrobiła, czekając do jutra — powiedziała kucharka.

— Muszę sama się zająć wszystkim, bo gospodarz jest jeńcem tych panów — odpowiedziała pani Angellier sarkastycznym tonem i bardzo głośno, niewątpliwie pragnąc obudzić wyrzuty sumienia u dwóch przechodzących akurat żołnierzy niemieckich.

Obrzuciła ich spojrzeniem podobnym do tego, o którym mówi Chateaubriand, wspominając swego ojca: „Błyszcząca źrenica zdawała się oddzielać i uderzać w ludzi jak piłka”.

Jednak żołnierze, nierozumiejący ani słowa po francusku, niewątpliwie uznali to spojrzenie za wyraz podziwu dla ich pięknej postawy, powierzchowności, wspaniałego munduru, uśmiechnęli się bowiem z nieśmiałym zażenowaniem. Zdegustowana pani Angellier zamknęła oczy. Powozik ruszył. Gwałtowny podmuch wiatru szarpnął drzwiczkami.

Trochę później tego samego ranka Lucile udała się do krawcowej, młodej kobiety, która jak mówiono, prowadziła się z Niemcami. Przyniosła kupon lekkiego materiału, z którego chciała zrobić peniuar. Krawcowa pokręciła głową:

— To szczęście, że ma pani jeszcze taki jedwab. My nie mamy już nic. Mówiła to bez wyraźnej zazdrości, raczej z szacunkiem, jakby przyznawała burżuazji nie tyle prawo pierwszeństwa, ile rodzaj wrodzonej przebiegłości, która pozwala jej zdobywać wszystko w pierwszej kolejności. Tak jak mieszkaniec równin mówi o góralu: „Nie ma obawy, żeby się poślizgnął. Chodzi po Alpach od dzieciństwa”.

Niewątpliwie uważała też, że Lucile z racji swego urodzenia i atawistycznych umiejętności miała znacznie większe niż ona zdolności obchodzenia prawa, naginania przepisów, powiedziała bowiem z porozumiewawczym mrugnięciem i życzliwym uśmiechem:

— Widać, że pani sobie radzi. To bardzo dobrze.

W tym momencie Lucile zobaczyła na łożku niemiecki pas wojskowy. Oczy obu kobiet spotkały się. Oczy krawcowej stały się przebiegłe, czujne i nieugięte; przypominała kotkę, której ktoś chce wyjąć ze szponów jeszcze żywego ptaka, podnosi wtedy pyszczek i miauczy arogancko, jakby chciała powiedzieć: „Chwileczkę, ten kawałek to ma być dla mnie czy dla ciebie?”.

— Jak pani może? — wyszeptała Lucile.

Krawcowa wahała się, jaką wybrać reakcję. Na jej twarzy malowała się bezczelność, brak zrozumienia i kłamstwo. Jednak nieoczekiwanie opuściła głowę.

— Bo co? Niemiec czy Francuz, przyjaciel czy nieprzyjaciel to przede wszystkim chłop, a ja jestem kobietą. Jest dla mnie dobry, czuły, troskliwy... To chłopak z miasta, zadbany, nie tak jak tutejsi, ma gładką skórę, białe zęby. Kiedy całuje, ma świeży oddech, nie śmierdzi alkoholem jak miejscowe chłopaki. Mnie to wystarczy. Nie szukam niczego innego. Wystarczająco komplikuje się nam egzystencję przez wojnę i całe to zamieszanie. Między mężczyzną a kobietą to nie gra żadnej roli. Gdyby był Anglikiem czy czarnuchem i gdyby mi się podobał, tobym go sobie zafundowała, gdybym mogła. Brzydzi to panią? To jasne, pani jest bogata, ma pani przyjemności, których mnie brakuje...

— Przyjemności! — wykrzyknęła Lucile z niezamierzoną goryczą, zastanawiając się, co krawcowej może się wydawać przyjemne w życiu Angellierów, pewnie odwiedzanie swoich posiadłości i lokowanie pieniędzy. — Jest pani wykształcona. Spotyka się z ludźmi. My mamy tylko pracę, codzienną harówkę. Gdyby nie miłość, można by od razu rzucić się do studni. A kiedy mówię miłość, to proszę nie myśleć, że chodzi mi tylko o te rzeczy. Na przykład ten Niemiec któregoś dnia był w Moulins i kupił mi małą torebkę z imitacji krokodylej skóry; innym razem przyniósł mi kwiaty, miejski bukiet jak prawdziwej damie. To idiotyczne, bo przecież na wsi nie brakuje kwiatów, ale *to* sprawia przyjemność, to dowód uwagi. Co do mnie, to facetów do tej pory interesowały tylko te rzeczy. Ale ten, nawet nie umiem pani powiedzieć, ale zrobiłabym dla niego wszystko, wszędzie bym za nim poszła. A on mnie kocha... Och, wystarczająco znam mężczyzn, żeby poznać, kiedy trafia się taki, co nie kłamie. Więc sama pani

rozumie, że kiedy mi mówią „Niemiec, to jest Niemiec”, ani mnie to  
ziębi, ani grzeje. To tacy sami ludzie jak my.

— Owszem, moja nieszczęsna kobieto, kiedy się mówi „Niemiec”, to  
wszyscy wiedzą, że to mężczyzna ani lepszy, ani gorszy od innych, ale w  
podtekście jest coś, co jest straszne, czyli to, że zabijał Francuzów, że  
trzyma naszych w niewoli, że nas głodzi...

— Sądzi pani, że nigdy o tym nie myślę? Czasami leżę koło niego i  
zastanawiam się „a może to jego ojciec zabił mojego?”, bo tata, jak pani  
wie, poległ na tamtej wojnie... Myślę o tym, ale w głębi duszy nic mnie to  
nie obchodzi. Z jednej strony jest on i ja, a z drugiej ludzie. Ludzie się o  
nas nie martwią, bombardują nas, powodują cierpienie, zabijają nas  
łatwiej niż króliki. No więc my też się o nich nie martwimy. Rozumie  
pani, gdyby naprawdę trzeba było nadstawiać karku za innych, byłibyśmy  
gorsi niż bydło. W okolicy mówi się, że jestem suka. Nic podobnego! Psy  
chodzą grupami i gryzą wtedy, kiedy im się każe. Ja i Willy...

Zamilkła, westchnęła.

— Kocham go — powiedziała w końcu.

— Ale pułk stąd odejdzie.

— Wiem, ale proszę pani, Willy powiedział, że po wojnie ściągnie mnie  
do siebie.

— I pani mu wierzy?

— Wierzę — odpowiedziała, a w jej głosie brzmiało wyzwanie.

— Jest pani szalona — oświadczyła Lucile. — Zapomni, jak tylko  
wyjedzie. Pani bracia są w niewoli, a kiedy wrócą... Proszę mnie  
posłuchać: niech pani uważa, to, co pani robi, jest bardzo niebezpieczne.  
Niebezpieczne i złe — dodała.

— Kiedy wrócą...

Popatrzyły na siebie w milczeniu. W tym pomieszczeniu, zamkniętym i  
zatłoczonym ciężkimi wiejskimi meblami, Lucile wyczuwała głęboki i  
sekretny zapach, który przyprawiał ją o dziwny niepokój.

Wychodząc, spotkała na schodach umorusane dzieciaki, zbiegały w dół  
po cztery stopnie naraz.

— Dokąd tak pędzicie? — spytała Lucile.

— Idziemy się bawić w ogrodzie Perrinów.

Perrinowie byli bogatą rodziną w miasteczku; uciekli w czerwcu czterdziestego roku, w przerażeniu zostawili otwarty dom, wszystkie drzwi na oścież, srebra w szufladach, suknie w szafach; Niemcy ztupili dom, a wielki ogród, porzucony, splądrowany, zdeptany, przypomina! dżunglę.

— Niemcy pozwalają wam tam chodzić? Uciekły ze śmiechem, nie odpowiadając na pytanie. Lucile wróciła do domu w deszczu. Widziała po drodze

ogród Perrinów, mimo lodowatej ulewy wśród gałęzi migwały niebieskie i różowe fartuszki miejscowych dzieciaków. Od czasu do czasu niby wilgotna brzoskwinia błyskał umorusany i świecący policzek, po którym spływał deszcz. Dzieci zrywały kwiaty czereśni i bzów, goniły się po trawnikach. Na szczycie cedru przycupnął mały chłopczyk w czerwonych spodenkach i gwizdał jak kos.

Dzieło zniszczenia niegdyś tak uporządkowanego, tak kochanego ogrodu dobiegało końca; rodzina Perrin nie zasiadała tu już po zmroku na żelaznych krzesłach, mężczyźni w czarnych marynarkach, kobiety w długich szeleszczących sukniach, by patrzeć w rodzinnym gronie, jak dojrzewają truskawki i melony. Mały chłopczyk w różowym fartuszkuszedł po szczycie żelaznej furtki, utrzymując równowagę pomiędzy wystającymi szpikulcami.

— Spadniesz, nieszczęśniku — powiedziała Lucile. Popatrzył na nią uważnie, ale nie odpowiedział; a ona nagle pozazdrościła tym bawiącym się dzieciom, nieświadomym czasu wojny, nieszczęścia. Zdawało jej się, że w narodzie niewolników tylko one są wolne „i to prawdziwą wolnością”, uznała.

Niechętnie wróciła do domu, ponurego, milczącego, smaganego ulewą.

Lucile ze zdumieniem zobaczyła wychodzącego z domu listonosza; dostawała tak niewiele listów. Na stoliku w przedpokoju leżała zaadresowana do niej kartka.

***Szanowna Pani może pamiętać starsze małżeństwo, które przyjęła Pani u siebie w czerwcu ubiegłego roku? Od tamtej pory często myśleliśmy o Pani, o serdecznym przyjęciu w Pani domu podczas tej przekłetej podróży. Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, co u Pani słychać. Czy mąż wrócił z wojny cały i zdrowy? My mieliśmy to szczęście, że syn się odnalazł. Proszę przyjąć wyrazy najszczerzego szacunku od Jeanne i Maurice Michaud 12, rue de la Source, Parts (XV!e)***

Ta kartka sprawiła Lucile przyjemność. Dzielni ludzie... Mieli więcej szczęścia niż ona... Kochali się, razem przeszli przez tyle niebezpieczeństw i wspólnie stawili im czoło... Schowała kartkę w swoim sekretarzyku i poszła do jadalni. To był zdecydowanie dobry dzień, choć ulewa nie ustawała; na stole leżało tylko jedno nakrycie; znowu ucieszyła się z nieobecności pani Angellier, będzie mogła czytać przy jedzeniu. Zjadła obiad bardzo szybko, potem podeszła do okna i patrzyła na deszcz. To ogon burzy, jak mówiła kucharka. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin pogoda zmieniła się do tego stopnia, że z ciepłej wiosny przeszła w nieokreśloną porę, dziwną, okrutną,

w której pierwsze kwiaty stykały się z ostatnim śniegiem, jabłonie w ciągu jednej nocy straciły swoje bukiety płatków; róże poczerniały z zimna, wiatr powywracał doniczki, w których rosły pelargonie i pachnący groszek. „Wszystko przepadnie, w ogóle nie będzie owoców”, pojękiwała Marthe, sprząając ze stołu.

— Napalę w dużym pokoju. Jest zimno nie do wytrzymania. Niemiec prosił, żeby rozpaść ogień w kominku u niego, ale kominek nie był czyszczony, więc może zatruć się czadem. Tym gorzej dla niego.

Mówiłam mu, ale nie chce niczego słuchać, myśli, że to tylko zła wola, jakby po tym wszystkim, co już nam zrobili, żałowało się im dwóch czy trzech polan... no proszę! Już kaszle! Matko Boska! Co za nieszczęście, żeby musieć usługiwać szkopom! Już idę, idę! — wołała niezadowolona. Lucile słyszała, jak otwiera drzwi i odpowiada poirytowanemu Niemcowi.

— Przecież uprzedzałam, że przy takim wietrze nieczyszczony kominek dymi do środka.

— *Mein Gott*, dlaczego kominek nieprzeczyszczony?

— Dlaczego, dlaczego? Nie wiem. Ja nie jestem tu panią. Sądzi pan, że przez tą waszą wojnę można robić co się chce?

— Kobieto, jeśli myślisz, że dam się tu zaczadzić jak królik, to jesteś w błędzie. Gdzie są panie? Muszą mnie przenieść do salonu, skoro nie mogą mi zapewnić pokoju nadającego się do mieszkania. Proszę napalić w salonie.

— Bardzo mi przykro, proszę pana, ale to niemożliwe — wyjaśniła Lucile, która tymczasem wyszła z jadalni. — W naszych wiejskich domach salon jest pomieszczeniem paradnym, którego się nie używa. Kominek jest tylko ozdobą, o czym łatwo może się pan przekonać.

— Co takiego? Ten monument z białego marmuru z rzeźbionymi amorkami, które grzeją sobie paluszki?

— Nigdy nie służył do palenia ognia — dokończyła z uśmiechem Lucile.

— Ale jeśli pan chce, zapraszam do dużego pokoju, w piecu napalone. To prawda, że pański pokój jest w opłakanym stanie — dorzuciła, widząc wydobywające się Htamtańd kłęby dymu.



— Droga pani, niewiele brakowało, żebym zaczął. Niewątpliwie zawód żołnierza pełen jest niebezpieczeństw! Ale za nic w świecie nic chciałbym pani przeszkadzać. W miasteczku są kawiarnie z zakurczonym bilardem, gdzie unosi się kredowy pył. Pani teściowa...

— Wyjechała na cały dzień.

— Ach tak! Bardzo pani dziękuję. Nie będę przeszkadzał. Mam pilną pracę do skończenia — powiedział, pokazując mapę i plany.

Zajął miejsce przy stole, a Lucila usiadła w fotelu przy ogniu, wyciągała ręce do ciepła i od czasu do czasu zacierała je odruchowo. Zachowuję się jak staruszka, pomyślała nagle ze smutkiem.

Opuściła ręce na kolana. Podniosła głowę i zauważyła, że oficer zostawił swoje mapy; podszedł do okna, rozsunął roletę i patrzył na grusze, nieruchome na tle szarego nieba.

— Jaka smutna okolica! — powiedział cicho.

— Co to pana obchodzi? Jutro pan wyjedzie.

— Nie, nigdzie nie wyjadę.

— O, sądziłam, że...

— Wszystkie urlopy wstrzymane.

— A to dlaczego? Lekko wzruszył ramionami.

— Tego nie wiemy. Wstrzymane i tyle. Taki los żołnierza. Zrobiło jej się go żal, tak się cieszył na ten urlop.

~— To bardzo smutne — powiedziała ze współczuciem — ale to jedynie odłożone na później...

— Na trzy miesiące, na sześć, na nigdy... Przykro mi głównie ze względu na matkę. Jest stara i krucha. Stara, siwa kobieta w ogrodowym kapeluszu, którą może przewrócić podmuch wiatru. Czeka na mnie jutro wieczorem, a dostanie tylko telegram.

— Jest pan jedynakiem?

— Miałem trzech braci. Jeden poległ podczas kampanii w Polsce, drugi rok temu, kiedy weszliśmy do Francji. Trzeci jest w Afryce.

— To bardzo smutne, także dla pana żony...

— Och, żona... Moja żona się pocieszy. Pobraliśmy się

bardzo młodo, byliśmy prawie dziećmi. Co pani myśli o tych związkach zawartych po dwóch tygodniach przyjaźni i koleżeństwa podczas wędrowki po jeziorach?

— Nie mam pojęcia! Wc Francji tak się małżeństw nie zawiera.

— Ale chyba nic jest już tak jak dawniej, kiedy szło się do ślubu po dwóch spotkaniach u przyjaciół rodziny jak u waszego Balzaka?

— Może niezupełnie, chociaż nie ma aż tak wielkiej różnicy, przynajmniej na prowincji...

— Mama odradzała mi małżeństwo z Edith. Ale byłem zakochany. *Ach, Liebe...* Trzeba by razem dorastać, razem się starzeć. Ale nadeszła separacja, wojna, różne perypetie i okazuje się, że człowiek jest związany z dzieckiem, które ciągle ma osiemnaście lat, podczas gdy ja sam... Podniósł ręce do góry i opuścił je.

— Czasami mam dwanaście, a czasami sto lat...

— Och, przesadza pan.

— Nie, żołnierz z jednej strony pozostaje dziecinny, a z drugiej jest stary, tak stary... Nie ma wieku. Jest współczesny najstarszym rzeczom na ziemi, zabiciu Abła przez Kaina, festynom kanibali, epoce kamiennej... Ale nie mówmy o tym więcej. Zamknięty jestem tutaj, w tym miejscu przypominającym grobowiec. No, niezupełnie! Grobowiec na wiejskim cmentarzu, pełen kwiatów, ptaków i cudownych cieni, ale jednak grobowiec. Jak pani może żyć tutaj przez cały rok?

— Przed wojną bywaliśmy czasami...

— Ale założę się, że nigdy nie podróżowaliście. Nie zna pani ani Włoch, ani Europy Środkowej... słabo Paryż... Proszę pomyśleć o tym wszystkim, czego nie mamy... muzea, teatry, wspaniałe koncerty. Och, najbardziej mi żal koncertów. A tutaj mam tylko nieszczęsny instrument, na którym nawet nie ośmielałam się zagrać, żeby nie urazić waszej francuskiej wrażliwości — powiedział z urazą.

— Ależ może pan grać, co się panu podoba. Proszę posłuchać, jest pan smutny, mnie też nie jest wesoło! Niech pan usiądzie do pianina i zagra. Zapomnimy o niepogodzie, o nieobecnych, o wszystkich naszych nieszczęściach...

— Naprawdę? Chce pani? Mam robotę — powiedział, spoglądając na mapy. — Ale co tam! Weźmie pani robótkę albo książkę, usiądzie koło mnie i posłucha! Gram dobrze tylko wtedy, kiedy mam publiczność.

Jestem bardzo... jak wy to mówicie we Francji? Kabotyński? Tak.

— Tak, kabotyński. Gratuluję znajomości francuskiego. Usiadł do pianina, piec grzał i cicho postękiwał, rozsiewając miły zapach dymu i pieczonych kasztanów. Po szybach spływały duże krople deszczu niby lzy; dom był cichy i pusty, bo kucharka poszła na nieszpory.

Ja też powinnam iść, ale za bardzo pada, myślała Lucile. Patrzyła na szczupłe, białe dłonie biegające po klawiaturze. Pierścień zdobiony czerwonym wytłoczonym kamieniem przeszkadzał mu grać, zdjął go i odruchowo podał Lucile, pottrzymała go przez chwilę, był jeszcze ciepły od jego palca. Popatrzyła na przezroczysty kamień w słabym szarym świetle wpadającym przez okno, zobaczyła dwie gotyckie litery i datę. Pomyślała o miłosnej pamiątce. Ale nie! Data była niewyraźna, 1775 albo 1795, niewątpliwie pamiątka rodzinna. Delikatnie odłożyła pierścień na stół. Mówiła sobie, że pewnie grywał tak wieczorami dla swojej żony, dla Edith, bo chyba tak jej na imię? Jak on dobrze gra! Rozpoznawała niektóre utwory. Spytała nieśmiało:

— Bach, prawda? Mozart?

— Widzę, że pani jest muzykalna.

— Nie, zupełnie się na tym nie znam. Trochę grałam przed ślubem, ale to wszystko. Lubię muzykę, a pan jest bardzo utalentowany.

Popatrzył na nią z powagą i smutkiem, który ją zadziwił.

— Owszem, sądzę, że mam talent.

Wydobył z klawiatury całą serię lekkich i kpiących arpeggio i powiedział:

— Proszę posłuchać tego. Grał i mówił półgłosem:

— Oto czasy pokoju, śmiech młodych dziewcząt, radosne odgłosy wiosny, widok pierwszych jaskółek, które przyleciały z południa...

Jesteśmy w niemieckim mieście, w marcu, kiedy śnieg dopiero zaczyna topnieć. Oto szmer śniegu spływającego

wzdłuż starych uliczek. A teraz czas pokoju się skończył... Bębny, ciężarówka, kroki żołnierzy... Słyszysz pani? Słyszysz? To łupanie powolne, głuche, nieubłagane... Naród w marszu... Żołnierz przestaje się wyróżniać... W tym miejscu powinien być chór, rodzaj religijnego śpiewu, który jeszcze nie dobiegł końca. A teraz proszę posłuchać! To bitwa... Muzyka była poważna, głęboka, straszna.

— Och, to piękne — powiedziała cicho Lucile. — Jakie to piękne!

— Żołnierz umiera, a w chwili śmierci znowu słyszy ten chór, który nie dochodzi z ziemi, to Boże zastępy niebieskie... Jak tu, proszę posłuchać... To powinno być łagodne i wybuchowe zarazem. Słyszysz pani niebiańskie trąbki? Dźwięki instrumentów dętych, od których padają ściany? Ale wszystko się oddala, słabnie, kończy się, znika... Żołnierz umarł.

— To pan napisał? To pańskie dzieło?

— Tak. Chciałem się poświęcić muzyce. Teraz to niemożliwe.

— Dlaczego? Przecież wojna...

— Muzyka to wymagająca pani. Nie można jej porzucić na cztery lata. Kiedy się do niej wraca, ona ucieka. O czym pani myśli? — spytał, widząc utkwiony w sobie wzrok Lucile.

— Myślę... że nie powinno się w taki sposób poświęcać jednostki. Mówię o nas wszystkich. Wszyscy zostaliśmy złapani! Miłość, rodzina... To za dużo!

— Och, to podstawowy problem naszych czasów, jednostka czy społeczność, bo wojna jest wszak dziełem wspólnym par excellence. My Niemcy wierzymy w ducha wspólnoty w takim sensie, w jakim mówi się o duchu ula u pszczół. Wszystko mu zawdzięczamy: soki żywotne, blask, miłość, zapach... Ale to bardzo posępne rozważania. Proszę posłuchać, zagram teraz sonatę Scarlattiego. Zna pani?

— Nie, chyba nie.

Myślała: jednostka albo wspólnota? Mój Boże! To nic nowego, oni niczego nie wymyślili. Dwa miliony naszych poległych w tamtej wojnie też poświęcono w imię „ducha ula”<sup>1</sup>. Oni nie żyją, a dwadzieścia pięć lat później... Co za oszustwo! Co za próżność!... Istnieją prawa regulujące przeznaczenie uli i naro-

dów, i tyle! Duchem narodu niewątpliwie rządzą prawa, które nam się wymykają, albo kaprysy, o których nie wiemy. Nieszczęsny świat, tak piękny i tak absurdalny. Jedno jest pewne, że za pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat ten problem, który według niego jest problemem naszych czasów, nie będzie istniał, zastąpią go inne... Podczas gdy ta muzyka, ten szmer deszczu na szybach, te głośne pogrzebowe trzaski cedru w ogrodzie naprzeciwno, ta godzina tak słodka i tak dziwna w czasie wojny, to się nie poruszy... Bo to jest wieczne... Nagle przestał grać i spytał, patrząc na nią:

— Pani płacze?

Szybko wytarła oczy pełne łez.

— Przepraszam. Muzyka jest niedyskretna. Może moja przypomniała pani... nieobecnego?

Wyszeptała mimo woli:

— Nie, nikogo. Właśnie o to chodzi... nikogo. Zamilkli. Opuścił klawię pianina.

— Proszę pani, wróć po wojnie. Proszę mi pozwolić wrócić. Wszystkie nieporozumienia między Francją a Niemcami przejdą do historii, zostaną zapomniane, co najmniej na piętnaście lat. Pewnego wieczoru zadzwonię do drzwi, pani mi otworzy i nie pozna mnie, bo będę ubrany po cywilnemu. Wtedy powiem: ależ ja jestem... niemieckim oficerem... pamięta pani? Teraz jest pokój, szczęście, wolność. Porywam panią. Proszę, wyjeżdżamy razem. Zawiozę panią do wielu krajów. Ja oczywiście będę sławnym kompozytorem, pani będzie równie ładna jak teraz...

— A pańska żona, a mój mąż, co z nimi zrobimy? — spytała z wymuszonym śmiechem.

Gwizdnął cichutko.

— Kto wie, gdzie oni będą? Albo my? Ale ja mówię bardzo serio, proszę pani. Ja wrócę.

— Niech pan jeszcze gra — powiedziała po krótkim milczeniu.

— Nic, już dosyć! Za dużo muzyki jest *gefährlich...* niebezpieczne.

Teraz, proszę być światową damą. Proszę mnie zaprosić na herbatę.

— *Mein Herr*, we Francji już nie ma herbaty. Mogę pana poczęstować winem z Frontignan i herbatnikami. Lubi pan?

— O tak, ale błagam, proszą nie wołać służącej. Proszą mi pozwolić pomóc w nakrywaniu do stołu. Proszę mi powiedzieć, gdzie są serwety? W tej szufladzie? Proszę mi pozwolić wybrać, przecież pani wie, że my Niemcy jesteśmy bardzo nietaktowni. Chciałbym różową... nie, białą, wyhaftowaną w małe kwiatki. To pani robota?

— Naturalnie.

— Resztę pozostawiam pani.

— Całe szczęście — powiedziała ze śmiechem. — A gdzie pański pies? Już go nie widuję.

— Pojechał na urlop, należy do całego pułku, jeden z kolegów, Bonnet, tłumacz, na którego skarżył się pani przyjaciel ze wsi, zabrał go ze sobą. Pojechali trzy dni temu do Monachium, ale nowe rozkazy sprowadzą ich z powrotem.

— A propos Bonneta, czy pan z nim rozmawiał?

— Proszę pani, mój przyjaciel Bonnet nie jest człowiekiem prostodusznym. Dotychczas mógł się oddawać jedynie niewinnej rozrywce, ale jeśli mąż go zdenerwuje, gotów w to włożyć więcej pasji. *Schadenfreude*, rozumie pani? Może nawet naprawdę się zakochać, a jeśli młoda kobieta nie jest poważna...

— O tym nawet nie ma mowy — wtrąciła Lucile.

— Kocha tego wieśniaka?

— Niewątpliwie. Zresztą proszę nie wierzyć, że skoro niektóre tutejsze dziewczyny pozwalają się obściskiwać waszym żołnierzom, to znaczy, że wszystkie są takie. Madeleine Sabarie to uczciwa kobieta i dobra Francuzka. — Zrozumiałem — powiedział oficer, skłaniając głowę. Pomógł Lucile przysunąć stolik do kart bliżej okna; ona postawiła stare kieliszki z grubo rżniętego kryształu, karafkę z korkiem z pozlacanego srebra, małe talerzyki. Pochodziły z okresu Pierwszego Cesarstwa i były na nich wymalowane sceny militarne: Napoleon przed frontem swoich wojsk, pozlacani huzarzy biwakujący na polanie, defilada na Champ-de-Mars. Niemiec podziwiał świeżość i naiwność kolorów.

— Jakie piękne mundury! Jakże bym chciał mieć haftowany złotem dolman jak ten huzar!

— *Mein Herr*, proszą jeść ciasteczka. Domowej roboty. Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

— Czy słyszała pani o cyklonach, które wieją na morzach południowych? Tworzą, o ile dobrze zrozumiałem swoje lektury, rodzaj koła, na którego obrzeżach szaleją burze, a środek jest nieruchomy do tego stopnia, że ptak czy motyl, który znajdzie się w sercu nawałnicy, w ogóle nie ucierpi, jego skrzydła nawet nie zostaną zgniecione, podczas gdy wokół rozciągać się będzie straszliwe spustoszenie. Proszę popatrzeć na ten dom! Proszę popatrzeć na nas pijących wino z Frontignan i jedzących ciasteczka i przypomnieć sobie, co się dzieje na świecie.

— Wolę o tym nic myśleć — powiedziała ze smutkiem Lucile.

Tymczasem czuła w duszy jakieś nigdy nieodczuwane ciepło. Poruszała się znacznie lżej, zręczniejsz niż zwykle, a własny głos dźwięczał jej w uszach jak głos obcej osoby. Był niższy niż zawyczaj, bardziej głęboki i wibrujący, nie rozpoznawała go. A najbardziej zachwycające było to odizolowanie w nieprzyjaznym domu, to niepojęte poczucie bezpieczeństwa; nikt nie przyjdzie, nie będzie ani listów, ani odwiedzin, ani telefonu. Nawet zegar, który zapomniała rano nakręcić (co powie stara pani Angellier: „Naturalnie, jak mnie nie ma, wszystko schodzi na psy”), nawet zegar, którego poważne i melancholijne bicie budziło jej lęk, teraz milczał. Poza tym burza po raz kolejny zniszczyła centralę elektryczną i cała okolica przez kilka godzin była pozbawiona światła i radia. Milczące radio... co za ulga... Nie można było ulec pokusie. Nie szukało się już Paryża, Londynu, Berlina czy Bostonu na ciemnej skali. Nie posłucha się tych głosów przeklętych, niewidzialnych, pogrzebowych mówiących o zatopionych okrętach, spalonych samolotach, zburzonych miastach, głosów liczących trupy, zapowiadających przyszłe masakry... Szczęśliwe zapomnienie... Aż do wieczora tylko wolno płynące godziny, ludzka obecność, lekkie i pachnące wino, muzyka, długie chwile ciszy, szczęście...

Miesiąc później w deszczowe popołudnie podobne do tamtego, które Niemiec i Lucile spędzili wspólnie, Marthe zaanonsowała gości do pań Angellier. Wprowadziła do salonu trzy kobiety z twarzami ukrytymi za woalką ubrane w długie czarne palta i żałobne kapelusze. Kir spadający od czoła niemal do ziemi zamykał je w rodzaju klatki, żałobnej i nieprzeniknionej. U Angellierów nieczęsto przyjmowano gości, toteż kucharka była na tyle poruszona, że zapomniała wziąć od odwiedzających parasolki; więc każda z pań trzymała swoją w ręku, niedomkniętą na kształt pucharu, do którego spływały ostatnie krople deszczu z woalek, tak jak płaczki wylewają łzy do kamiennych urn na grobach bohaterów. Pani Angellier z pewnym trudem rozpoznała trzy czarne postacie. Stwierdziła z wyraźnym zaskoczeniem:

— Ależ to panie Perrin!

Rodzina Perrin (właściciele pięknej posiadłości splądrowanej przez Niemców) była tym, „co najlepsze”. Pani Angellier odczuwała wobec nosicieli tego nazwiska coś, co przypominało wzajemne uczucia członków rodziny królewskiej: spokojną pewność, że jest się między osobami tej samej krwi, o tych samych poglądach na wszystkie sprawy, że przelotne różnice mogą oczywiście naruszyć tęjedność, która jednak mimo wojen czy wybryków ministrów nadal stanowi nierozzerwalną więź, podobnie jak nie może upaść tron w Hiszpanii, żeby równocześnie nie zadrżała monarchia szwedzka. Toteż kiedy notariusz



z Moulins uciekł z całym kapitałem i Perrinowie stracili dziewięćset tysięcy franków, Angellierowie zadrżeli. Kiedy pani Angellier nabyła niemal za bezcen ziemię, która „od zawsze” należała do Montmortów, Perrinowie się ucieszyli. Nie można było porównać tej klasowej więzi z kwaśnym szacunkiem, jaki budziła w burżuazji rodzina Montmortów. Pani Angellier z serdecznym uszanowaniem posadziła z powrotem panią Perrin, która na jej widok lekko uniosła się na krześle. Nie odczuwała tego nieprzyjemnego dreszczu, który nią wstrząsał, kiedy w domu zjawiała się pani de Montmort. Wiedziała, że w oczach pani Perrin wszystko było w porządku: nieczynny kominek, zapach piwnicy, do połowy zamknięte okiennice, pokrowce na meblach, na ścianach oliwkowa materia w srebrne palmy. Wszystko było jak należy, za chwilę poda gościom karafkę oranżady i kruszące się herbatniki. Pani Perrin nie będzie poruszona skromnością tego poczęstunku, dostrzeże w nim kolejny dowód zamożności Angellierów, bo im jest się bogatszym, tym bardziej się skąpi; rozpozna w niej własną troskę o oszczędzanie i owo zamiłowanie do ascetyzmu, właściwe francuskiej burżuazji, które przydaje tajnym i wstydliwym przyjemnościom uspokajającej goryczy. Pani Perrin opowiedziała o bohaterskiej śmierci syna, poległego w Normandii podczas niemieckiego natarcia; otrzymała pozwolenie udania się na jego grób. Długo narzekała na koszty tej podróży, a pani Angellier w pełni ją popierała. Macierzyńska miłość i pieniądze to dwie zupełnie odrębne sprawy. Rodzina Perrin mieszkała w Lyonie.

— W mieście bieda jest wielka. Widziałam kruki sprzedawane po piętnaście franków za sztukę. Matki karmią dzieci bulionem z wrony. I proszę nie sądzić, że opowiadam o robotnikach. Nic podobnego! Chodzi o ludzi takich jak my!

Pani Angellier westchnęła boleśnie; wyobraziła sobie swoich krewnych, swoją rodzinę zajadającą kruka na kolację. W tym pomyśle było coś groteskowego, coś obelżywego (gdyby chodziło o robotników, powiedziałoby się po prostu „nieszczęśni biedacy”, i przeszło nad tym do porządku dziennego).

— Ale przynajmniej jesteście wolni! Nie macie u siebie Niemców, a u nas jeden taki mieszka. Oficer. Tak, proszę pani,

w tym domu, za tą ścianą— pokazała oliwkowe obicie w srebrne palmy.  
— Wiemy o tym — powiedziała pani Perrin z lekkim zażenowaniem. —  
Dowiedziałyśmy się od żony notariusza, która ostatnio do nas napisała.  
Właśnie w tej sprawie przyszły śmy.

Odruchowo wszystkie spojrzenia skierowały się na Lucile.

— Proszę to wytłumaczyć — zażądała zimno starsza pani Angellier.

— Mówiono mi, że ten oficer zachowuje się nadzwyczaj poprawnie.

— Zgadza się.

— Wielokrotnie widziano nawet, jak rozmawia z panią z najwyższym uszanowaniem.

— On się do mnie nie odzywa — oznajmiła wyniośle pani Angellier. —

Nie zniosłabym tego. Przyznaję, że może nie jest to postawa najrozsądniejsza (podkreśliła to słowo), co mi wytknięto, ale jestem matką jeńca i z tego względu za żadne pieniądze świata nikt mnie nie zmusi, bym traktowała tych panów inaczej niż jako śmiertelnych wrogów. Ale niektóre osoby są... jak to powiedzieć...? bardziej życiowe, bardziej realistyczne być może... co szczególnie dotyczy mojej synowej...

— W istocie, odpowiadam mu, kiedy się do mnie zwraca — wtrąciła Lucile.

— Ależ ma pani absolutną rację, po tysiackroć rację — wykrzyknęła pani Perrin. — Drogie dziecko, w pani pokładam wszelkie nadzieje. Chodzi o nasz nieszczęsny dom. Jest bardzo zniszczony, prawda?

— Widziałam tylko ogród... przez bramę...

— Drogie dziecko, czy nie mogłabyś załatwić, by zwrócono nam niektóre przedmioty, szczególnie dla nas cenne?

— Ja? Ależ proszę pani...

— Proszę nie odmawiać! Chodziłoby tylko o pójście do tych panów i przedstawienie naszej prośby. Niewykluczone oczywiście, że wszystko może już zostało spalone, zniszczone, jednak trudno mi uwierzyć, by wandalizm posunął się aż do tego stopnia i że nie da się odzyskać portretów rodzinnych, listów czy mebli mających jedynie wartość pamiątki...

— Niech panie same zwrócą się do Niemców zajmujących dom i...

— Nigdy! — wykrzyknęła pani Perrin, prostując się na krześle. — Nigdy nie przekroczę progu mojego domostwa, dopóki znajduje się tam nieprzyjaciel. To sprawa godności i uczucia. Oni zabili mojego syna, który akurat dostał się na politechnikę w pierwszej szóstce. Do jutra będę z córkami zajmowała pokój w Hôtel des Voyageurs. Jeśli uda się pani zorganizować wyniesienie przedmiotów, których listę pani dam, będę dozgonnie wdzięczna. Gdybym znalazła się twarzą w twarz z Niemcem, to (dobrze znam samą siebie!) gotowa bym zaśpiewać *Marsylianę* — oznajmiła pani Perrin drżącym głosem — i spowodować, że deportują mnie do Prus. Nie byłby *to* żaden dyshonor, wręcz przeciwnie, tylko że mam córki. Muszę się oszczędzać dla rodziny. Błagam więc panią, droga Lucile, żeby zrobiła mi pani tę przysługę.

— Oto lista — dodała druga córka pani Perrin. Rozłożyła kartkę i czytała: „Porcelanowa miednica i dzbanek

na wodę z naszym monogramem i motywem motyli, koszyk na sałatę, biały serwis do herbaty (28 sztuk, cukierni czka nie miała przykrycia), dwa portrety dziadka:

- 1) na kolanach swojej mamki,
- 2) na łożu śmierci.

Rogi jelenia z przedpokoju, pamiątka wuja Adolphe'a, babuni talerzyk do kaszki (porcelana i pozłacane srebro), zapasowa szczeka papy, którą zostawił w łazience, czarno-szara kanapa z salonu. I wreszcie w lewej szufladzie biurka, do której tu jest klucz:

pierwszy tekst napisany przez mojego brata, listy papy do mamusi z kuracji w Vittel w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym (listy są związane różową wstążeczką), wszystkie nasze portrety".

Czytała w żalobnym milczeniu. Jedynie pani Perrin płakała cicho pod woalką.

— Ciężko, ciężko jest patrzeć na niszczenie rzeczy, do których było się tak przywiązany,.. Bardzo proszę, kochana Lucile, niech pani nie szczędzi wysiłków. Niech pani będzie elokwentna, sprytna...

Lucile popatrzyła na teściową.

— Ten... wojskowy — mówiła pani Angellier, z trudem otwierając zaciśnięte wargi —jeszcze nie wrócił. Lucile, nie spotkasz się z nim dziś wieczorem, bo już za późno, ale możesz zwrócić się do niego z samego rana i prosić go o pomoc.

— Dobrze, zrobię to.

Pani Perrin przyciągnęła do siebie Lucile dłońmi w czarnych rękawiczkach.

— Dziękuję! Dziękuję, drogie dziecko... A teraz już pójdziemy.

— Ale najpierw proszę się trochę wzmocnić — powiedziała pani Angellier.

— Och, drogie panie, nie chciałybyśmy przeszkadzać.

— Chyba pani żartuje...

Wokół karafki z oranżadą i herbatników przyniesionych przez Marthe rozległy się szmery cichych, kurtuazyjnych rozmów. Trochę rozpogodzone panie mówiły o wojnie. Obawiały się niemieckiego zwycięstwa, ale nie życzyły sobie także zwycięstwa Anglików. W sumie pragnęły, żeby wszyscy zostali pokonani. O całe zło oskarżały rozbudzoną w narodzie chęć zabawy. Potem rozmowa stała się bardziej osobista. Pani Perrin i pani Angellier opowiadały o swoich chorobach. Pani Perrin długo się rozwodziła nad ostatnim atakiem reumatyzmu, pani Angellier słuchała jej z niecierpliwością, a kiedy tamta zamilkła, by zaczerpnąć tchu, wtrąciła: „to zupełnie jakja”, i mówiła o swoim reumatyzmie.

Córki pani Perrin dyskretnie zajadały herbatniki. Na zewnątrz padał deszcz.

Nazajutrz rano deszcz ustal. Słońce oświetlało ziemię ciepłą, wilgotną i szczęśliwą. Lucile, która nie najlepiej spała, od wczesnego ranka siedziała na ławce w ogrodzie, wypatrując pojawienia się Niemca. Kiedy zobaczyła, że wychodzi z domu, podeszła do niego i wyniszczyła mu swoją prośbę; oboje czuli się szpiegowani przez starą panią Angellier i kucharkę, nie licząc sąsiadek, które zza zamkniętych żaluzji obserwowały parę stojącą pośrodku alejki.

— Gdyby zechciała pani towarzyszyć mi do domu tych dam — powiedział Niemiec — w pani obecności każę poszukać przedmiotów, których się domagają; choć w tym domu porzuconym przez właścicieli stacjonowało wielu naszych towarzyszy, sądzę więc, że wystawiony był na ciężkie próby. Ale chodźmy zobaczyć.

Przeszli przez miasteczko, idąc obok siebie niemal bez słowa.

W jednym z okien Hôtel des Voyageurs Lucile zobaczyła powiewający czarny woal pani Perrin. Na Lucile i jej towarzysza patrzono z zaciekawieniem, ale były to równocześnie spojrzenia porozumiewawcze i niejako aprobujące. Niewątpliwie wszyscy wiedzieli, że Lucile idzie wydrzeć nieprzyjacielowi okruch jego zdobyczy (w postaci sztucznej szczęki, porcelanowego serwisu i innych przedmiotów wartości użytkowej lub sentymentalnej). Stara kobieta, w której niemiecki mundur budził grozę, podeszła jednak do Lucile i powiedziała półgłosem:

— To dobrze... w samą porą... pani przynajmniej się ich nie boi...  
Oficer się uśmiechnął.

— Biorą panią za Judytę idącą stawić czoło Hotofernesowi w jego namiocie. Mam nadzieję, że nie ma pani tak ponurych zamiarów jak tamta dama! Jesteśmy na miejscu. Może zechce pani wejść.

Pchnął ciężką furtkę, która zabrzączała melancholijnie, kiedyś ten dźwięk informował Perrinów o pojawieniu się gościa. W ciągu jednego roku ogród został zdewastowany, jego wygląd Ściskałby za serce, gdyby dzień nie był tak piękny. Ale był majowy poranek, nazajutrz po burzy. Trawa błyszczała, w alejkach rozpanoszyły się margeryfki, bławatki, wszelkie gatunki kwiatów, wilgotnych i dzikich, które lśniły w słońcu. Krzaki rozrosły się bez kontroli, a świeże kiście bzów delikatnie muskały przechodzącą Lucile. Dom zajmowało koło tuzina młodziutkich żołnierzy i wszystkie dzieciaki z miasteczka, które spędzały zaczarowane dni w westybulu (podobnie jak u Angellierów było tu ciemno, unosił się lekki zapach stęchlizny, szyby były zielonkawe, a na ścianach wisiały trofea myśliwskie). Lucile rozpoznała dwie córeczki kołodzieja, siedziały na kolanach jasnowłosego żołnierza o dużych roześmianych ustach. Mały synek stolarza usadowił się na plecach innego żołnierza jak na koniu. Czwórka maluchów w wieku od dwóch do sześciu lat, bękartów krawcowej, leżała na podłodze, splatając wianki z niezapominajek i pachnących białych goździków, które kiedyś tak grzecznie zdobiły brzegi rabatek.

Żołnierze poderwali się i zamarli w bezruchu w przepisowej postawie, broda uniesiona i wysunięta do przodu, ciało tak napięte, że widać było leciutkie drganie żył na szyi.

— Czy zechciałaby pani przekazać mi listę? — zwrócił się oficer do Lucile. — Poszukamy wspólnie.

Przeczytał listę i uśmiechnął się.

— Może zacniemy od kanapy, powinna stać w salonie. Przypuszczam, że salon jest tutaj?

Otworzył drzwi i wszedł do bardzo dużego pomieszczenia zapchanego poprzewracanymi lub połamanymi meblami, obrazy ustawiono pod ścianami na ziemi, niektóre były rozdarte ob-

casami butów. Na podłodze poniewierały się kawałki gazet, słoma (niewątpliwe pozostałości po ucieczce z czerwca czterdziestego) i na pół wypalone cygara zostawione przez najeźdźców. Na postumencie królował wypchany buldog w wianku zwiędłych kwiatów, z pyskiem przełamanym na pół.

— Co za widok! — westchnęła przygnębiona Lucile. Mimo wszystko w tym pomieszczeniu było coś komicznego,

szczególnie w zawstydzonych minach żołnierzy i oficera. Niemiec zauważył pełne wyrzutu spojrzenie Lucile i powiedział pośpiesznie:

— Moi rodzice mieli willę nad Renem; wasi żołnierze zajmowali ją podczas poprzedniej wojny; połamali rzadkie i cenne instrumenty muzyczne, które były w naszej rodzinie od dwustu lat, podarli książki, które należały do Goethego.

Lucile nie mogła się powstrzymać od uśmiechu: on się bronił tonem impertynenckim i urażonym jak mały chłopiec oskarżony o niecny postępek, który odpowiada z oburzeniem: „Ale proszę pani, to nie ja zacząłem, to tamci...”.

Odczuwała bardzo kobiecą przyjemność, rodzaj zmysłowej słodyczy, widząc tę dziecinną minę na twarzy, która mimo wszystko była twarzą nieprzejednanego wroga, twardego wojownika. Bo nic powinniśmy się oszukiwać, pomyślała, wszyscy jesteśmy w jego rękach, bezbronni. Jeśli nasze życie i dobra są bezpieczne, to tylko dlatego, że on tak sobie życzy. Niemal się zlekła uczuć, które się w niej budziły, a przypominały to, co się czuje, pieszcząc dzikie zwierzę, coś szorstkiego i zachwycającego, mieszanka rozczenia i przerażenia.

Chciała przedłużyć tę grę, zmarszczyła brwi.

— Powinniście się wstydzić! Te opuszczone domy były pod opieką niemieckiej annii.

Słuchał jej, lekko uderzając szpicrutą w cholewy butów. Odwrócił się do żołnierzy i potraktował ich brutalnie. Lucile zrozumiała, że kazał im przywrócić w domu porządek, zreperować to, co zostało połamane, umyć podłogę i meble. Kiedy mówił po niemiecku, zwłaszcza tym tonem dowódcy, jego głos stawał się wibrujący i metaliczny, co Lucile sprawiało taką przyjemność jak dość brutalny pocałunek, który kończy się ugryzieniem. Podniosła ręce do rozpalonych policzków i po-

wiedziała sobie: „Uspokój się! przestań o nim myśleć, bo jesteś na niebezpiecznej drodze. Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi.

— Nie zostanę tutaj. Wracam. Ma pan listę: proszę kazać swoim żołnierzom poszukać żądanych przedmiotów.

Jednym susem znalazł się przy niej.

— Błagam, niech pani nie odchodzi rozgniewana. Wszystko /ostanie naprawione w miarę możliwości, daję pani na to moje słowo. Proszę posłuchać: zostawmy im poszukiwania, załadują wszystko na taczki i pójdą złożyć to u stóp pani Perrin, wedle pani rozkazu. Będę pani towarzyszył, żeby wygłosić przeprosiny. Więcej zrobić nie mogę. A tymczasem chodźmy do ogrodu. Chwilę pospacerujemy i narwę pani pięknych kwiatów.

— Nie! Wracam!

— To niemożliwe! Obiecała pani tym damom oddać ich dobra. Powinna pani czuwać nad wykonaniem swoich rozkazów — mówił, biorąc ją pod rękę.

Wyszli z domu. Znaleźli się w alejce wysadzonej kwitnącym bzem. Wokół nich fruwały tysiące pszczoł, os i trzmieli, wchodziły do wnętrza kwiatów, wysysały je, a potem siadały na ramionach i na włosach Lucile; nic czuła się pewnie, śmiała się nerwowo.

— Wyjdźmy stąd. Wystawiam się na kolejne niebezpieczeństwa.

— Chodźmy trochę dalej.

W głębi ogrodu zobaczyli dzieciaki z miasteczka. Niektóre bawiły się pośrodku rabatek, pomiędzy powyrywanych i podeptanych krzewami; inne powchodziły na grusze i łamały gałęzie.

— Mali barbarzyńcy — powiedziała Lucile. — Nie będzie owoców.

— To prawda, ale kwiaty są takie piękne.

Wyciągnął ręce do dzieci, a one rzucały im bukiety o delikatnych płatkach.

— Proszę, niech je pani weźmie, będą pięknie wyglądały w wazonie na stole.

— Nigdy się nie odważę przejść przez miasteczko z gałązkami drzew owocowych — zaprotestowała ze śmiechem. — Poczekajcie, łobuziaki! Zajmie się wami gminny strażnik!



— Nic nam nie grozi — odpowiedziała dziewczynka w czarnym fartuchu. Jadła tartinkę i wspinała się na drzewo, które obejmowała chudymi, brudnymi nogami.

— Nic nam nie grozi... Szko... Niemcy nie pozwolą mu tu wejść.

Trawnik niekoszony od dwóch lat pokryło morze jaskrów. Oficer usiadł na trawie i rzucił na ziemię swój obszerny płaszcz, szarozielony jak kolor migdałów. Dzieci przyszyły za nimi, dziewczynka w czarnym fartuszu zrywała pierwiosniki, robiła z nich wielkie żółte kule, w których zanurzała swój mały nosek, ale jej olbrzymie czarne oczy, przebiegłe i niewinne zarazem, nie odrywały się od dorosłych. Przyglądała się Lucile z zaciekawieniem, ale i krytycznie; spojrzenie kobiety na kobietę. Robi wrażenie, jakby się obawiała, myślała. Zastanawiam się, czego się boi. Ten oficer nie jest zły. Dobrze go znam, daje mi drobniaki, a któregoś dnia zdjął mi piłkę, która została w gałęziach wielkiego cedru. Jaki ten oficer jest piękny! Dużo przystojniejszy niż tata *i* wszyscy miejscowi chłopcy. Pani ma ładną suknię.

Zbliżyła się podstępnie i dotknęła swoim brudnym paluszkiem falbany lekkiej prostej sukni z szarego muślinu, ozdobionej jedynie kołnierzykiem i mankietami z plisowanego lnu. Dość mocno pociągnęła za materiał, Lucile obróciła się gwałtownie; dziewczynka odskoczyła do tyłu, ale Lucile popatrzyła na nią wielkimi wystraszonymi oczami, jakby jej nie poznawała. Dziewczynka zobaczyła, że pani jest bardzo blada i że drżą jej usta. Widocznie bała się zostać tutaj sama z Niemcem. Jakby miał jej zrobić coś złego! Mówił do niej bardzo grzecznie, ale trzymał ją za rękę tak mocno, że nie mogła nawet myśleć o ucieczce. Mała dziewczynka mówiła sobie w pomieszeniu, że chłopcy, duzi czy mali, wszyscy są jednakowi. Lubią dokuczać dziewczynkom i budzić w nich strach. Położyła się w trawie tak wysokiej, że nie było jej widać; czuła się całkiem mała i niewidzialna, trawa łaskotała ją w szyję, w nogi, w powieki, to było cudowne.

Niemiec i ta pani mówili cichutko. On teraz też był blady jak prześcieradło. Chwilami słyszała, jak powstrzymuje swój donoś-

ny głos, jakby chciał krzyknąć czy zapłakać i zabrakło mu odwagi. Jego słowa nie miały w uszach dziewczynki żadnego znaczenia. Miała niejasne przekonanie, że mówi o swojej żonie i o mężu tej pani. Słyszała, jak wielokrotnie powtarzał: „Gdyby pani chociaż była szczęśliwa... Wiem, jak pani żyje... Wiem, że jest pani samotna... że mąż panią zaniedbuje... mówili mi miejscowi ludzie”. Szczęśliwa? Więc ta dama, która miała piękne sukienki, piękny dom, nie była szczęśliwa? W każdym razie nie chciała, żeby się nad nią litowano, chciała sobie pójść. Poleciała mu, żeby dał jej spokój i zamilkł. Coś podobnego, ona już się nie bała, teraz to on mimo swoich butów z cholewami i dumnej miny wydawał się onieśmielony. W tym momencie na rękę dziewczynki usiadła biedronka; dziewczynka przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, miała ochotę ją zabić, wiedziała jednak, że zabicie bożego stworzenia przynosi nieszczęście. Zadowolila się więc dmuchnięciem, najpierw łagodnie, żeby podniosły się delikatne, przezroczyste i ozdobne skrzydełka, a potem już z całych sił, tak że owad musiał się poczuć jak rozbitek na tratwie pośrodku rozszalałego morza. Biedronka odfrunęła. „Siedzi na pani rękę!”, krzyknęła dziewczynka. Oficer i kobieta znowu odwrócili wzrok i popatrzyli na nią, nie widząc jej. Oficer jednak wykonał zniecierpliwiony ruch ręką jakby odganiał muchę. „Nigdzie nie pójde”, mówiła sobie zawiadaczka dziewczynka. „W ogóle co oni tutaj robią Pan i pani; powinni zostać w salonie”. Nadśluchiwała nieżyczliwie. Co oni wygadują? „Nigdy, nigdy pani nie zapomnę”, mówił oficer cichym i ochrypłym głosem.

Wielka chmura zakryła połowę nieba, wszystko przygasło, kwiaty, świeże i jaskrawe kolory trawnika. Kobieta obrywała maleńkie płowe kwiatki koniczyny i rozszarpywała je.

— To niemożliwe. — W jej głosie drżały łzy.

Co jest niemożliwe? zadawała sobie pytanie dziewczynka.

— Ja też myślałam... przyznaję... nie mówię o... miłości... ale chciałabym mieć takiego przyjaciela jak pan... Nigdy nie miałam przyjaciela. Nie mam nikogo. Ale to niemożliwe.

— Z powodu innych? — spytał oficer rozgoryczony. Ona jednak popatrzyła na niego z dumą.

— Jeśli nie miałabym sobie nic do zarzucenia, to co mnie obchodzą inni. Nic. Po prostu między nami nic nie może być.

— Już jest bardzo dużo i nigdy nic uda się pani tego wymazać; nasza droga w deszczu, pianino, ten poranek, nasze przechadzki po lesie...

— Och, nie powinnam była...

— Ale to się stało! Już za późno... nic pani na to nie poradzi. To wszystko było...

Dziewczynka oparła głowę na zgiętych rękach, docierał do niej jedynie odległy szmer jak bzyczenie pszczoły. Ta wielka chmura i przebłycki gorącego słońca zapowiadały deszcz. Gdyby nagle zaczęło padać, co by zrobili ta pani i oficer? Śmiesznie byłoby patrzeć, jak biegną w strugach deszczu, ona w tym słomkowym kapelusiku, a on w pięknym zielonym płaszczu. Mogliby jednak ukryć się w ogrodzie. Gdyby zgodzili się za nią pójść, pokazałaby im grabową alejkę, gdzie znaleźliby się poza zasięgiem wszystkich spojrzeń. Już południe, mówiła sobie, słysząc dzwony na Anioł Pański. Wrócą na obiad? Co jedzą ci bogacze? Białe ser jak my? Chleb? Kartofle? Cukierki? A gdybym ich poprosiła o cukierki? Już się do nich zbliżała, gotowa pociągnąć ich za rękę i poprosić o cukierki — bo mała Rose była odważną dziewczynką — kiedy zobaczyła, że poderwali się jednym ruchem i stoją cali drżący. Owszem, ten pan i ta pani drżą zupełnie jak w szkole, kiedy wejdzie się na czereśnie i z buzią jeszcze pełną owoców słyszy się głos nauczycielki; „Rose, ty mała złodziejko, schodź stamtąd natychmiast”. Ale oni nie widzieli nauczycielki, tylko stojącego na baczność żołnierza, który mówił bardzo szybko w swoim niezrozumiałym języku; słowa w jego ustach dźwięczały jak potok płynący po kamieniach.

Oficer odsunął się od damy, poblądłej, z ubraniem w nieładzie.

— Co się stało? Co on powiedział? — pytała cicho. Oficer wydawał się równie zmieszany jak ona; słuchał, nic rozumiejąc. W końcu jego bladą twarz rozjaśnił uśmiech.

— Że wszystko odnaleziono... ale szczeka starszego pana jest pęknięta, ponieważ bawiły się nią dzieci, chciały ją wtłoczyć do pyska tego wypchanego buldoga.

Obydwoje — oficer i dama — zdawali się stopniowo wyzwalać z jakiegoś rytuału i powracać na ziemię. Opuścili wzrok i tym razem zauważyli małą Rose. Oficer pociągnął ją za ucho.

— Coście tam narobili, łobuziaki?

Ale głos miał niepewny, a w śmiechu damy słychać było rodzaj echa wibrującego jak odgłos przytłumionych szlochów. Śmiała się jak osoby, które przeżyły silny strach, i śmiejąc się, nic mogą jednak zapomnieć, że uniknęły śmiertelnego niebezpieczeństwa. Mała Rose, bardzo znudzona, na próżno usiłowała uciec. „Szczeka... oczywiście, chcieliśmy zobaczyć, czy buldog będzie robił wrażenie, że gryzie pięknymi, białymi, nowiutkimi zębami...”. Bała się jednak gniewu oficera (z bliska wydawał się bardzo duży i przerażający), wołała więc powiedzieć, pochlipując:

— Nic nie zrobiliśmy, nie... tylko nie widzieliśmy szczęki starszego pana...

Zresztą teraz ze wszystkich stron nadciągały dzieci. Mieszały się ich świeże i przenikliwe głosy. Kobieta błagała:

— Nie, nie, uspokójcie się! To nie szkodzi! Dobrze, że znalazła się reszta.

Godzinę później z ogrodu Perrinów wyszła grupa dzieciaków w wysmotruchanych fartuszkach, dwóch niemieckich żołnierzy pchających taczki, na których jechały porcelanowe filiżanki w koszyku, kanapa z czterema nogami w górze, w tym jedną złamaną, album w pluszowej oprawie, klatka na kanarka, którą Niemcy uznali za żądany przez właścicielki koszyk na sałatę, i jeszcze wiele innych przedmiotów.

Konwój zamykali Lucile i oficer. Przeszli przez całe miasteczko odprowadzani zaciekawionym wzrokiem kobiet. Zauważono, że nie rozmawiali, że nawet na siebie nie patrzyli i byli trupiobladni; oficer miał minę lodowatą i nieprzeniknioną. Kobiety szeptały:

— Musiała mu powiedzieć, co myśli... że to wstyd doprowadzić dom do takiego stanu. Jest wściekły. Nie są przyzwyczajeni, żeby ktoś im się stawiał! Ona ma rację. Nie jesteśmy psami. Dzielna jest ta młoda pani Angellier, nie boi się.

Jedna z kobiet, która pasła kozę (niewielka staruszka, która

powiedziała do pań Angellier wracających z niesporów w niedzielę wielkanocną: „Nie ma nic gorszego od tych Niemców”), niewielka szczerą kobieta o siwych włosach i niebieskich oczach, wyszeptała nawet, przechodząc obok Lucilc:

— Dalej, proszę pani! Niech im pani pokaże, że się nic boimy! Jeniec będzie z pani dumny — dodała i zaczęła płakać, nie dlatego że miała własnego jeńca, jako że dawno już przekroczyła wiek, kiedy ma się męża czy syna na wojnie, ale dlatego że przesady trwają dłużej niż namiętności, a ona była sentymentalną patriotką.

Ilekcio starsza pani Angellier i Niemiec spotkali się twarzą w twarz, obydwu odruchowo się cofali; ze strony oficera mogło to uchodzić za przesadną kurtuazję, chęć nienarzucania gospodyni domu swojej obecności, a przypominało raczej ruch konia pełnej krwi, który zobaczył pod nogami zmię. Co do pani Angellier, to nawet nie próbowała opanować dreszczu, jaki mógłby wywołać kontakt z dziką i niebezpieczną bestią, po czym zamierała sztywna ze strachu. Trwało to jednak zaledwie chwilę, dobre wychowanie służy właśnie panowaniu nad odruchami ludzkiej natury. Oficer prostował się jeszcze bardziej, wyraz jego twarzy stawał się bardziej surowy, automatycznie nabierał powagi, pochylał głowę i strzelał obcasami (och, ten pruski salut, mamrotała pani Angellier, nie myśląc o tym, że ze strony człowieka urodzonego we wschodnich Niemczech należało się spodziewać raczej takiego pozdrowienia niż arabskiego ukłonu czy angielskiego *shake-hand*). Pani Angellier natomiast krzyżowała ręce na brzuchu gestem przypominającym ruchy zakonnic, która czuwa przy zmarłym i właśnie podniosła się na powitanie członka rodziny podejrzanego o antyklerykalizm, co wywołuje na jej twarzy rozmaite cienie: oczywisty respekt („to pan tu rządzi”), potępienie („ale świat pana zna, takiego niedowiarka”), poddanie („oferujemy naszą odrazę Panu”) i wreszcie przebłysk dzikiej radości („poczekaj, przyjacielu, będziesz się smażył w piekle, podczas gdy ja odpocznę na sercu Jezusa”). Tę ostatnią myśl u pani Angellier zastępowało

pragnienie, które formułowała w duchu za każdym razem, kiedy widziała członka okupacyjnej armii: „Mam nadzieję, że wkrótce znajdzie się na dnie kanału La Manche”, ponieważ wówczas oczekiwano próby inwazji Anglii, odkładanej stale na następny dzień. Pani Angellier, biorąc pragnienia za rzeczywistość, widziała nawet Niemca jako topielca, trupiobladego, opuchniętego, wyrzuconego przez fale, i jedynie to pozwalało jej przybrać ludzki wyraz twarzy, na jej ustach błędził nawet wąty uśmiezek, jak ostatni promień gasnącej gwiazdy. Godziła się nawet udzielać odpowiedzi na pytania o zdrowie: „Dziękuję Czuję się tak dobrze, jak to możliwe”, przy czym w ostatnich słowach brzmiała żałobna nuta, która oznaczała „tak dobrze, jak na to pozwala katastrofalna sytuacja Francji”.

W ślad za panią Angellier postępowała Lucile. Ostatnio była bardziej niż zwykle zimna, roztargniona i oporna. W milczeniu skłaniała głowę, rozstając się z Niemcem, który również nic nie mówił, tylko wodził za nią wzrokiem w przekonaniu, że nikt tego nie widzi; pani Angellier zdawała się mieć oczy na plecach, przyłapując go na tym. Nie odwracając głowy, szeptała wściekle do Lucile: „Nie zwracaj na niego uwagi. Ciągłe tu jest”. Oddychała swobodnie, dopiero kiedy zamykały się za nimi drzwi, wtedy obrzucała synową morderczym spojrzeniem: „Jesteś dzisiaj jakoś inaczej uczesana” albo: „Włożyłaś nową sukienkę? Niedobrze ci w niej” — kończyła sucho.

A jednak mimo nienawiści, którą chwilami budziła w niej Lucile jedynie z tego powodu, że była tu, na miejscu, podczas gdy jej syn był nieobecny, mimo wszystkiego, czego mogła się domyślić, co mogła przeczuć, nie podejrzewała nawet, by między synową a Niemcem mogło istnieć jakieś czułe uczucie. W końcu osądza się świat według własnego serca. Tylko skąpiec widzi, że ludźmi kieruje interes, rozwiązyły ma obsesję pożąda ma. W oczach pani Angellier Niemiec nie był człowiekiem, a jedynie personifikacją okrucieństwa, perwersji i nienawiści. Niemożliwe, nieprawdopodobne było to, by ktoś mógł sądzić inaczej... Równie trudno byłoby jej wyobrazić sobie Lucile zakochaną w Niemcu, co związek kobiety z jakąś mityczną bestią typu jednoroźca czy smoka. Niemiec też nie wydawał jej się zakochany w Lucile, nie przypisywała mu wszak żadnych

ludzkich uczuć. Sądziła, że swoimi spojrzeniami pragnie jeszcze bardziej znieważać to francuskie domostwo, już przez niego sprofanowane, że odczuwa dziką przyjemność, widząc na swojej lasce matkę i żonę francuskiego jeńca. Ponad wszystko irytowało ją to, co nazywała „obojętnością” Lucile. Próbuje nowych fryzur, zakłada nowe sukienki! Powinna zrozumieć, że Niemiec pomyśli, że robi to dla niego. Jaki to brak godności! Chciałaby ukryć twarz Lucile pod maską i ubrać ją w worek. Cieipiała, widząc ją piękną i zdrową. Serce jej krwawiło: „A tymczasem mój syn, mój rodzony syn...”.

Pewnego dnia zaznała chwilowej radości, kiedy spotkały w westybulu Niemca; zobaczyły, że jest bardzo blady i ma rękę na temblaku.

Ostentacyjnie, uznała pani Angellier. Była oburzona, słysząc, jak Lucile pyta błyskawicznie, niemal mimo woli:

— *Mein Herr*, co się panu stało?

— Spadłem z konia. Narowiste zwierzę, którego dosiadłem po raz pierwszy.

— Nic wygląda pan najlepiej — powiedziała Lucile, patrząc na zmienioną twarz Niemca. — Lepiej mech się pan położy.

— Och, to tylko stłuczenie, a poza tym...

Dał do zrozumienia, że słyszy pułk przechodzący pod oknami. — Ćwiczenia...

— Jak to? Znowu?

— Jest wojna — wyjaśnił.

Uśmiechnął się leciutko, zasalutował i wyszedł.

— Co ty wyprawiasz? — wykrzyknęła kwaśno pani Angellier.

Lucile uniosła zasłonę i patrzyła na oddalających się żołnierzy.

— Czy nie masz żadnego poczucia przyzwoitości? Niemcy mają defilować przed zamkniętymi oknami i okiennicami... jak w tysiąc osiemset siedemdziesiątym...

— Owszem, kiedy wkraczają do miasta po raz pierwszy, ale skoro niemal codziennie przechodzą po naszej ulicy, byłybyśmy skazane na nieustanną ciemność, gdybyśmy tego przestrzegali — odparła zniecierpliwiona Lucile.

Był burzowy wieczór; siarkowa poświata oblewała wszystkie (warze, wszystkie otwarte usta, z których wydobywał się ryt-



miczny śpiew, półgłosem, jakby z rezerwą, nim wybuchnął posepnym i wspaniałym chórem. Mieszkańcy miasteczka mówili:

— Ich pieśni wciągają, zupełnie jak modlitwy.

Na zachodzie przeleciała czerwona błyskawica, która rzuciła krwawe światło na owe głowy w hełmach, zapiętych pod brodą, na zielone mundury i na oficera dowodzącego oddziałem kawalerii. Uderzyło to nawet panią Angellier. Wymamrotała:

— Gdyby to mogło być wróżbą...

Ćwiczenia skończyły się o północy. Lucile słyszała odgłos otwierania i zamykania bramy. Rozpoznała kroki oficera na posadzce westybulu.

Westchnęła. Nie mogła spać. Kolejna niedobra noc! Teraz wszystkie były do siebie podobne: bolesna bezsenność i niezborne koszmary. Wstała o szóstej. Ale to niczego nie zmieniało. Sprawiało jedynie, że dni stawały się dłuższe, bardziej puste.

Kucharka poinformowała panią Angellier, że oficer wrócił chory, że odwiedził go major, stwierdził gorączkę i kazał mu zostać w domu. W południe zjawili się dwaj niemieccy żołnierze z posiłkiem, którego ranny nie chciał zjeść. Zamknął się u siebie, ale nie leżał w łóżku. Słysząc było, jak chodzi po pokoju tam i z powrotem, a to monotonne stąpanie tak zirytowało panią Angellier, że zaraz po obiedzie udała się do siebie, wbrew swoim zwyczajom, bo zazwyczaj do czwartej po południu robiła rachunki lub zajmowała się robotką w pokoju na dole. Latem przy oknie, zimą przy ogniu. Dopiero po czwartej wchodziła na drugie piętro do swojej sypialni, dokąd nie docierał żaden dźwięk. Wtedy Lucile oddychała pełną piersią, aż do chwili, gdy znowu rozlegały się lekkie kroki schodzące ze schodów, które potem błądziły na pozór bez celu, póki nie zgubiły się gdzieś na drugim piętrze. Lucile zastanawiała się czasami, co teściowa robi na górze po ciemku, bo zamykała okna i okiennice i nie zapalała lamp. A więc nie czytała. Zresztą nigdy nie czytała. Może kontynuowała w ciemności robotę na drutach! Robiła szale dla jeńców, wielkie proste pasy, które dziergała na ślepo z pewnością osoby niewidomej. Może się modliła? Spała? Schodziła na dół o siódmej, nienagannie uczesana, wyprostowana i milcząca w czarnej sukni.

Tego dnia i w następne dni Lucile słyszała, jak zamyka na klucz drzwi swojego pokoju, a potem już nic; dom zdawał się martwy, ciszę przerywały tylko regularne kroki Niemca. Ale nie docierały one do uszu starszej pani Angellier, grube mury i obicia tłumiły wszelkie dźwięki. Zajmowała duży ciemny pokój zatłoczony meblami. Pani Angellier zaczynała od tego, że zaciemniała go jeszcze bardziej, zamykając okiennice i zaciągając zasłony, potem zasiadała w dużym fotelu z zieloną tapicerką i krzyżowała na kolanach swoje przezroczyście dłonie. Zamykała oczy, czasami po policzkach płynęło kilka rzadkich, błyszczących łez. Ten starczy płacz zdawał się pojawiać niechętnie, jakby z wiekiem przychodziło nareszcie rozeznanie bczużyteczności, próżności wszelkich skarg. Ocierała łzy niemal wściekłym ruchem. Prostowała się w fotelu, mówiła półgłosem do siebie. „Chodź, Gaston nie jesteś zmęczony? Znowu biegałeś po obiedzie z pełnym żołądkiem, jesteś cały mokry, usiądź na swoim stołeczku. Tutaj, koło mamusi. Poczytasz trochę. Przecież możesz chwilkę odpocząć, możesz położyć główkę na kolanach mamusi", mówiła i delikatnie, czule pieściła wyimaginowane pukle. Nie było to delirium ani początek szaleństwa; nigdy nie czuła się bardziej boleśnie trzeźwa i samoświadoma, raczej celowa komedia, jedyna rzecz, jaka dawała jej pewne pocieszenie, jak wino czy morfina. W ciemności, w ciszy odtwarzała przeszłość, wydobywała momenty, które jej samej wydawały się zapomniane na zawsze; odnajdywała słowa syna, określoną intonację głosu, ruch małych pulchnych rączek niemowlęcia, co na sekundę naprawdę przekreślało czas. Nie chodziło już o wyobraźnię, raczej o rzeczywistość i to, co było w niej niezniszczalnego, nic bowiem nie mogło sprawić, żeby to nie istniało. Nieobecność, a nawet śmierć nie mogły wymazać przeszłości; różowego fartuszka, który nosił jej syn, gestu, jakim — zalany łzami — pokazywał jej rączkę sparzoną pokrzywą; to wszystko istniało i dopóki sama żyła, mogła znowu powołać to do istnienia. Potrzebna była tylko samotność, mrok i te meble i przedmioty, które znał syn. Dowolnie modyfikowała nowe halucynacje. Nie zadowalała się przeszłością układała przyszłość! Teraźniejszość zmieniała według własnej woli, sama

się okłamywała i oszukiwała, ale ponieważ te kłamstwa były jej własnym dziełem, bardzo je ceniła. Przez krótkie chwile była szczęśliwa. Jej szczęście nie znało granic narzucanych przez rzeczywistość. Wszystko było możliwe, wszystko dostępne. Poza tym wojna już się skończyła. To stanowiło punki wyjścia marzenia, trampolinę, z której można było się odbić w bezbrzeżną radość. Wojna się skończyła... Był to taki sam dzień jak inne. Dlaczego nie jutro? Do ostatniej chwili nic będzie wiedziała; nie czytała już gazet, nie słuchała radia. To wybuchnie jak piorun. Pewnego ranka zejdzie do kuchni, zobaczy Marthe wytrzeszczającą oczy: „Pani nie słyszała?”. W ten właśnie sposób dowiedziała się o kapitulacji króla Belgów, o wzięciu Paryża, o przybyciu Niemców, o zawieszeniu broni... Więc dlaczego nie o pokoju? Dlaczego nie miałoby być: „Proszę pani, wydaje się, że to skończone! Chyba już się nie biją już koniec wojny, jeńcy wrócą!”. Zwycięstwo Anglików czy Niemców, jakie to miało znaczenie? Martwiła się jedynie o swojego syna. Pobladała, z drżącymi wargami i zamkniętymi oczami rysowała w myślach obraz z takim bogactwem detali, jakie zawiera zwykle malarstwo szaleńców. Widziała każdą zmarszczkę na twarzy Gastona, jego włosy, ubranie, sznurowadła wojskowych butów; słyszała każde załamanie jego głosu. Wyciągała ręce, szepcząc: „No wejdz, nie poznajesz już własnego domu?”. Lucile usunie się w cień podczas tych pierwszych chwil, kiedy on będzie należał tylko do niej. A ona nie nadużyje pocałunków i łez. Każe mu przygotować dobre śniadanie, kapie!, a zaraz potem powie: „Wiesz, zadbałam o twoje interesy. Ta posiadłość, na którą miałeś ochotę, koło l'Etang-Neui, jest twoja. Kupiłam też łąkę Montmortów, która leży obok naszej, a której wicehrabia za nic na świecie nie chciał nam odstąpić. Poczekaj na odpowiedni moment. Dostałam to, czego chciałam. Jesteś zadowolony? Złożyłam w bezpiecznym miejscu twoje złoto, srebra, rodzinne klejnoty. Wszystkiego dokonałam, wszystkiemu sama stawiałam czoło. Gdybym miała liczyć na twoją żonę... Czyż nie jestem twoją jedyną przyjaciółką? Tylko ja cię rozumiem, prawda? A teraz idź, mój synu, idź do swojej żony. Nie oczekuj od niej zbyt wiele. To istota zimna i uparta.

Ale my we dwójkę potrafimy podporządkować ją swojej woli lepiej, niż mogłam to zrobić sama, kiedy wymykała mi się w te swoje drugie milczenia. Ale ty masz prawo pytać, o czym myślisz. Ty jesteś panem, możesz się domagać odpowiedzi. Idź do niej! Weź od niej wszystko, co należy do ciebie: jej urodę, młodość... Mówiono mi, że w Dijon... Nie trzeba, mój mały! Metresa drogo kosztuje. Ale po tak długiej nieobecności mocniej pokochasz nasz stary dom. Och, te dobre spokojne dni, jakie spędzimy razem!", szeptała pani Angellier. Wstała i powoli szła przez pokój. Trzymała wyimaginowaną rękę, wspierała się na ramieniu ze snu. „Chodź, zejdziemy na dół. Kazałam ci przygotować posiłek, bardzo schudłeś, mój synu. Musisz odzyskać siły, chodź”.

Machinalnie otworzyła drzwi, zeszła po schodach. Postanowiła, że wieczorami będzie wychodziła ze swojego pokoju. Pójdzie zrobić niespodziankę dzieciom. Zastanie Gastona w fotelu przy oknie, żona siedząca obok będzie mu czytać głośno. To jej obowiązek, jej rola, żeby się nim zajmować, dostarczać mu rozrywki. Kiedy był rekonwalescentem po tyfusie, Lucile czytała mu gazety. Miała słodki i miły głos, czasami nawet pani Angellier słuchała jej z przyjemnością. Głos słodki i niski... Ale czy przypadkiem nie słyszy go teraz naprawdę? Przecież tylko marzyła! To znaczy, że pchnęła marzenie poza dozwolone granice. Wyprostowała się, zrobiła kilka kroków, weszła do dużego pokoju i zobaczyła, że w fotelu przysuniętym do okna z chorą ręką na oparciu, z fajką w ustach, z nogami na taborecie, na którym siadał mały Gaston, siedzi teraz w swoim zielonym mundurze najeźdźca, nieprzyjaciel, Niemiec, a koło niego Lucile, która głośno czyta mu książkę. Zapanowała chwila milczenia. Obydwoje wstali. Lucile upuściła książkę na podłogę. Oficer pośpieszył, żeby ją podnieść, położył książkę na stole i powiedział:

— Pani synowa pozwoliła mi przyjść tutaj i dotrzymać jej towarzystwa przez parę chwil.

Stara kobieta, bardzo blada, skłoniła głowę.

— Pan jest tu władcą.

— A ponieważ przysłano mi z Paryża paczkę nowych książek, pozwoliłem sobie...

— Pan jest tu władcą — powtórzyła pani Angellier. Odwróciła się i wyszła. Lucile usłyszała, jak mówi do kucharki:

— Marthe, nie będę opuszczała swojego pokoju. Będiesz mi tam przynosiła posiłki.

— Dzisiaj, proszę pani?

— Dzisiaj, jutro, jak długo będą tu ci panowie.

A kiedy się oddaliła i z głębi domu nie dochodziły odgłosy jej kroków, Niemiec powiedział cicho:

— To będzie prawdziwy raj.

Wicehrabina de Montmort cierpiała na bezsenność, miała wszechogarniający umysł i wszystkie wielkie aktualne problemy odbijały się echem w jej duszy. Kiedy myślała o przyszłości białej rasy, o relacjach francusko-niemieckich, o niebezpieczeństwie wolnomularskim i o komunizmie, sen stawał się niemożliwy. Jej ciało przebiegały lodowate dreszcze. Wstawała. Wychodziła do parku, założywszy najpierw stare futro zjedzone przez mole. Pogardzała toaletą, może z powodu utraty nadziei, że piękna suknia skoryguje dość denerwującą całość — długi czerwony nos, niemal kaleki wzrost, pryszczatą cerę — a może z wrodzonej pychy, która wierzy w swoją uderzającą wartość i nie może sobie wyobrazić, że pozostanie ukryta przed oczami bliźnich, choćby pod poszarpanym futrem czy robionym na drutach wełnianym paltem (szpinakowo-kanarkowym), które ze zgrozą odepchnęłaby kucharka, a może przez brak szacunku dla pozorów. „Mój przyjacielu, jakie to ma znaczenie?“, mówiła słodko do małżonka, który zarzucał jej, że zasiada do stołu w pantoflach nie od pary. Jednak natychmiast schodziła z tych wyżyn, kiedy trzeba było wyegzekwować pracę służby czy dopilnować własności.

W bezsenne noce przechadzała się po swoim parku, recytując wiersze, zbliżała się do kurnika i sprawdzała trzy gigantyczne zamki broniące wejścia do niego; miała oko na krowy, od wybuchu wojny nie sadzono już kwiatów na trawnikach, było spędzało tu noce; w słodkiej poświacie księżycy spacerowała

po ogrodzie warzywnym i liczyła sadzonki kukurydzy. Okradano ją. Przed wojną uprawa kukurydzy była prawie nieznaną w tym bogatym kraju, gdzie karmiono drób żytem i owsem. Teraz agenci od rekwizycji przeszukiwali stodoły, goniąc za workami z ziarnem, a gospodynie nie miały czym karmić swoich kur. Zwracano się do zamku o sadzonki, ale Montmor-towie trzymali je przede wszystkim dla siebie, a potem dla wszystkich swoich przyjaciół i znajomych w okolicy. Chłopi się złościли. „Chcemy dobrze zapłacić”, mówili. Nie zapłaciliby ani grosza, ale nie o to chodzi. Zresztą wyczuwali to podskórnie, domyślali się, że mają do czynienia z rodzajem masonerii, solidarności klasowej, która sprawiała, że oni i ich pieniądze mieli mniejsze znaczenie niż zrobienie uprzejmości baronowi de Montrefaut czy hrabinie de Pignepoule. Nie mogąc kupić, chłopi brali. W zamku nie było już strażników, dostali się do niewoli i nikt ich nie zastąpił, w kraju brakowało mężczyzn. Równie niemożliwe było znalezienie robotników i materiałów do reperacji murów, które popadały w ruinę. Chłopi wchodzili przez dziury w murze, kłusowali, łowili ryby w stawie, zabierali kury, sadzonki pomidorów czy kukurydzy, jednym słowem, brali, co chcieli. Pan de Montmort znalazł się w trudnej sytuacji. Był merem i nie chciał narażać się mieszkańcom, którymi zarządzał. Ale z drugiej strony był w sposób naturalny przywiązany do swojej własności. Pewnie przymknąłby na wszystko oczy, gdyby nie żona, z zasady odmawiająca wszelkich kompromisów, wszelkiej słabości. „Dążysz tylko do pokoju”, wyrzucała cierpko małżonkowi. Sam Bóg powiedział: „Nie przynoszę pokoju, tylko rękawicę”. „Nie jesteś Chrystusem” — odpowiadał zrzędlawie Amaury, choć od dawna przyjęło się w rodzinie, że wicehrabina miała duszę apostoła i profetyczne wizje. Amaury tym chętniej przyjmował sądy wicehrabiny, że to do niej należała małżeńska fortuna i ona trzymała sznureczki sakiewki. Popierał ją więc z całkowitą lojalnością i toczył zażartą wojnę z kłusownikami, złodziejami, z nauczycielką która nie chodziła do kościoła, z pracownikiem poczty podejrzewanym o sympatie do „frontu popularnego”, choć na drzwiach kabiny telefonicznej powiesił ostentacyjnie portret marszałka Petaina.

Wicehrabina przechadzała się więc po swoim parku w piękną czerwcową noc i recytowała wiersze, które jej protegowani w prywatnej szkole mieli deklamować w Dniu Matki. Sama chciałaby pisać wiersze, ale choć bardzo uzdolniona w prozie (kiedy pisała, napływ myśli był tak silny, że często musiała odkładać pióro i moczyć ręce w zimnej wodzie, żeby ściągnąć krew uderzającą do głowy), miała mniejszy talent do poezji. Nieznośne było owo podporządkowanie rymom. Postanowiła więc zastąpić wiersz, jaki chciała napisać na cześć Matki Francuzki, inwokacją prozą: „O matko!”, powie jedna z uczennic młodszej klasy, ubrana na biało, trzymająca w ręku bukiet polnych kwiatów; „O matko! Widok twojej kochanej twarzy pochylonej nad moim łóżeczkiem, podczas gdy na zewnątrz szaleje burza. Niebo nad światem jest czarne, ale wstanie radosna zorza. Uśmiechnij się, o czuła matko! Popatrz, twoje dziecko idzie za Marszałkiem, który prowadzi za rękę pokój i szczęście. Wejdz razem ze mną w pogodny krąg, który tworzą wszystkie dzieci i wszystkie mamy Francji wokół Szacownego Starca, przywracającego nam nadzieję!”.

Pani de Montmort wypowiedziała głośno te słowa, które zadźwięczały w cichym parku. Kiedy czuła natchnienie, przestawała być panią siebie. Chodziła tam i z powrotem wielkimi krokami. Następnie padła na wilgotny mech i otulając futrem szczupłe ramiona, oddała się długiej medytacji. A medytacja szybko przeradzała się u niej w formę namiętnych roszczeń. Dlaczego, choć jest taka zdolna, nie towarzyszy jej ani gorączka podziwu, ani miłość? Dlaczego została poślubiona ze względu na swoje pieniądze? Dlaczego nie cieszyła się sympatią? Kiedy szła przez miasteczko, dzieciaki albo się chowały, albo wyśmiewały za jej plecami. Wiedziała, że nazywano ją „wariatką”. Trudno było znieść nienawiść, a przecież zadała sobie tyle trudu w sprawach chłopów. Biblioteka (a w niej książki wybrane z miłością dobre lektury podnoszące ducha, które jednak spotykały się z obojętnością, dziewczyny domagały się powieści Maurice'a Dekobry, co za pokolenie...), filmy edukacyjne (też niecieszące się wielkim powodzeniem), coroczna feta w parku z przedstawieniem odgrywanym przez dzieci z prywatnej szkoły, bardzo krytycznie oceniana. Ludzie mieli wicehrabinie za złe,



że jeśli pogoda nie pozwalała na zabawę pod drzewami, siedzenia rozstawiano w garażu. Czego właściwie się domagali? Nic miała zamiaru wpuszczać ich do zamku. Przede wszystkim oni sami czuliby się zażenowani. Ach, ten nowy duch, ten pożałowania godny duch unoszący się nad Francją! Tylko ona umiała go rozpoznać i nadać mu nazwę. Ludzie robili się bolszewikami. Sądziła, że klęska okaże się zbawienna, odwróci umysły od niebezpiecznych błędów, ponownie przymusi do szanowania szefów. A tymczasem nic podobnego! Było jeszcze gorzej. Czasami dochodziło do tego, że ona, gorąca patriotka, cieszyła się z obecności nieprzyjaciela, myślała, słuchając kroków niemieckich wartowników na drodze okalającej park. Chodzili po okolicy całą noc, czwórkami; słycać było równocześnie dzwonki z kościoła, odgłos znajomy i miły, który kołysał do snu, i tupot buciorów, szcęk broni jak na więziennym dziedzińcu. Tak, wicehrabina de Montmort zastanawiała się, czy nic należałoby podziękować Bogu, że pozwolił na wkroczenie Niemców do Francji. Nie dlatego, że ich kochała, co to to nic! Nie mogła ich ścierpieć, ale bez nich... kto wie? Amaury mógł jej powtarzać: „Tutejsi ludzie mają być komunistami? Ależ oni są bogatsi od ciebie”. Nie była to jedynie kwestia pieniędzy czy własności, ale także, czy może przede wszystkim, kwestia uczuć. Pewnie mieli niejasne pojęcie o tym, czym naprawdę jest komunizm, ale pochlebiali ich pragnieniu równości; pragnieniu, które posiadanie pieniędzy i gruntów jedynie pogłębiało zamiast zadowalać. Dokuczalo im, jak mówili, to, że ich bydlę było warte było fortunę, że mogli opłacić szkoły dla swoich synów i jedwabne pończochy dla córek, a mimo to czuli się gorsi od Montmortów. Wieśniacy zawsze uważali, że nie okazuje im się wystarczających względów, zwłaszcza odkąd wicehrabia został miejscowym merem. Stary chłop, który był jego poprzednikiem na tym stanowisku, do wszystkich mówił po imieniu, był skąpy, prostacki, twardy, lżył mieszkańców... ale wszystko mu ucho-  
dziło! Jednak wicehrabiemu de Montmort zarzucano wyniosłość, a tego się nie wybacza. Czy chłopci spodziewali się, że będzie wstawał, widząc, że wchodzi do sali merostwa? Że będzie ich odprowadzał do drzwi czy co? Nie znosili demonst-

rowania wyższości, ani z racji urodzenia, ani fortuny. Mimo wszystko trzeba uznać wartości Niemców. To naród potulny, zdyscyplinowany, myślała pani de Montmort, słuchając niemal z przyjemnością oddalających się rytmicznych kroków i ochrypłego głosu wołającego w dali *Achtung...* Musi być przyjemnie mieć wielkie posiadłości ziemskie w Niemczech, bo tutaj...

Gnębiły ją troski. A tymczasem robiło się coraz później i już zamierzała wracać, kiedy zobaczyła — a w każdym razie tak jej się zdawało — cień pod murem, który pochylił się i zniknął po stronie warzywnika. Nareszcie złapie jednego ze złodziei sadzonek kukurydzy. Zadrżała z radości. Tak jak zawsze, ani przez moment nie czuła strachu. Amaury obawiał się, że dostanie po głowie, ale ona nie. Niebezpieczeństwo budziło w niej cechy łowczyny. Poszła za cieniem, kryjąc się za drzewami, ale najpierw sprawdziła u podstawy muru, gdzie znalazła parę sabotów ukrytych w mchu. Złodziej szedł w skarpetkach, żeby nie hałasować. Ustawiła się tak, że wyszedł z warzywnika prosto na nią. Rzucił się gwałtownie do ucieczki, ale krzyknęła z pogardą:

— Mój przyjacielu, mam twoje saboty. Żandarmi bez trudu odkryją, do kogo należą.

Mężczyzna zatrzymał się, wrócił, i wtedy rozpoenała Benoit Sabarie. Stali naprzeciwko siebie w milczeniu.

— Nieźle — powiedziała w końcu wicehrabina głosem drżącym z nienawiści.

Nie znosiła go. Ze wszystkich wieśniaków to on był najbardziej bezczelny, najbardziej nieugięty; z powodu siana, bydła, pastwisk, o wszystko i o nic zamek i ferma toczyły nieustanną, tępą wojnę podjazdową. Powiedziała z niesmakiem:

— I cóż, mój chłopcze, teraz, kiedy mam złodzieja, poinformuję o tym mera. Nie ucieszy się!

— Czy ja mówię do pani po imieniu, co? Ma pani swoje sadzonki — powiedział Benoit rzucając je na ziemię, gdzie oświetlił je blask księżyca.

— Czy odmawiamy płacenia? Sądzi pani, że nie wystarczy nam pieniędzy? Od jak dawna prosimy panią o przysługę... która nic by panią nie kosztowała... Ale nie! Pani woli, żebyśmy zdychali.

— Złodziej! Złodziej! — krzyczała tymczasem wicehrabina przenikliwym głosem. — Mer...

— W nosie mam mera! Pani idzie po niego! Powiem mu to prosto w oczy...

— Ośmiela się pan mówić do mnie takim tonem?

— Bo mamy już tego dosyć, jeśli chce pani wiedzieć. Macie wszystko i wszystko trzymacie, drewno, owoce, ryby, zwierzyne, kury, nie sprzedajecie, nie odstapicie ani za srebro, ani za złoto. Pan mer wygłasza wielkie mowy o wzajemnej pomocy i tak dalej. Mam was gdzieś! Wasz zamek jest pełny od piwnic aż po strych, wiemy o tym, bo widzieliśmy. Czy prosimy o jałmużnę? Ale właśnie to was drażni, jałmużnę byście dali, bo byłoby wam przyjemnie upokorzyć biednych, ale kiedy prosi się o przysługę, jak równy z równym, „płacę i biorę”, to was nie ma.

Dlaczego nie chciała pan mi sprzedać swoich sadzonek?

— To moja sprawa, jestem u siebie, ty bezczelny człowieku!

— Ta kukurydza nie jest dla mnie, to mogę przysiąc! Wolałbym zdechnąć niż prosić o cokolwiek takich ludzi jak wy. To dla Louise, której mąż jest w niewoli, żeby zrobić jej przysługę, bo ja pomagam ludziom!

— Kradnąc?

— A co nam pozostaje? Jesteście twardzi i skąpi! Co innego nam pozostaje? — powtórzył z wściekłością. — Nie tylko ja sobie od was biorę. Wszystko, czego nam odmawiacie bez powodu, z czystej złośliwości, to wszystko sobie bierzemy. I na tym nie koniec. Proszę poczekać do jesieni! Pan mer będzie polował z Niemcami...

— To nieprawda! To kłamstwo! Nigdy nie polował z Niemcami.

Tupała nogą ze złością po prostu szalała z wściekłości. Znowu ta głupia kalumnia! Niemcy zaprosili ich oboje, to prawda, na jedno ze swoich polowań ubiegłej zimy. Odmówili, ale nie mogli nie wziąć udziału w przyjęciu na zakończenie dnia. Chcąc nie chcąc, należało popierać politykę rządu. A poza tym ci niemieccy oficerowie to byli ludzie dobrze wychowani. To, co ludzi łączy lub dzieli, to nie język, prawa,

obyczaję czy zasady, ale jednakowy sposób trzymania noża i widelca! Benoît kontynuował.

— Jesienią pan mer będzie polował z Niemcami, ale ja wrócę do waszego parku i nie będę się kępował, jeśli chodzi o zające czy lisy. Możecie napuścić na mnie rządcę, straż i psy! Nie będą tak przebiegli jak Benoît Sabarie! Wystarczająco się nagonili za mną w zimie, a i to mnie nie złapali.

— Nie będę szukała ani rządcy, ani straży, tylko Niemców. Tych się pan boi, co? Udaje pan zucha, ale na widok niemieckiego munduru pan zmyka!

— Ja to szkopów widziałem z bliska w Belgii i nad Sommą. Nie to co pani mąż! Gdzie walczył na wojnie, co? W biurze, gdzie wszystkich udreńczył.

— Jest pan grubianinem!

— Pani mąż był w Chalon-sur-Saône od września aż do wejścia Niemców. A potem zwiął i tyle tej jego wojaczki.

— Jest pan... obrzydliwy. Proszę się wynosić, bo będę krzyczała. Wynosić się albo krzyczeć!

— O to chodzi, niech pani woła szkopów! Bardzo pani zadowolona, że tu są co? Robią za policję, pilnują pani posiadłości. Niech się pani modli, żeby zostali jak najdłużej, bo dzień, w którym odejdą...

Nie dokończył. Brutalnie wyrwał saboty, dowód rzeczowy, który trzymała w ręku, założył je, przeszedł przez mur i zniknął. Niemal natychmiast rozległy się coraz bliższe kroki Niemców.

Och, mam nadzieję, że go złapali! Mam nadzieję, że go zabili, mówiła wicehrabina, biegnąc w stronę zamku. Co za człowiek! Co za typ! Jacy nikczemni ludzie! To właśnie jest bolszewizm! Mój Boże, co się stało z narodem! W czasach taty, jeśli złapało się w lesie kłusownika, płakał i prosił o wybaczenie. Oczywiście wybaczało się. Papa, który był uosobieniem dobroci, krzyczał, grzmiał, a potem kazał mu dać szklaneczkę wina w kuchni. Niejeden raz widziałam to w dzieciństwie. Ale wtedy chłop był biedny. Można by powiedzieć, że odkąd ma pieniądze, obudziły się w nim wszystkie złe instynkty. „Zamek pełny od piwnic po strych”, powtórzyła ze złością I w porządku! A u nie-

go? Oni są bogatsi od nas. Czego chcą? To zazdrość, powodują, nimi najniższe uczucia. Ten Sabarie jest niebezpieczny. Chwali się, że przychodzi do nas polować! A więc zatrzymał strzelbę! Jest zdolny do wszystkiego. Jeśli zrobi coś złego, jeśli zabije Niemca, cała okolica będzie odpowiadać za zamach, a mer przede wszystkim! To właśnie ludzie tacy jak on sprowadzają na nas wszystkie nieszczęścia.

Zadenuncjowanie go jest obowiązkiem. Przekonam Amaury'ego... a jak będzie trzeba, sama pójdę do Kommandantur. On ugania się nocami po lesie, drwiąc z przepisów, ma broń palną, nieźle za to odpowie!

Wbiegła do sypialni, obudziła Amaury'ego, uraczyła go opowieścią o tym, co się wydarzyło, a na zakończenie powiedziała:

— Oto, do czego doszliśmy! Stawiono mi czoło, okradziono mnie, obrażono na moim terenie! Ale to jeszcze nic! Czy obelgi wieśniaka mogą mnie dotknąć? Tylko że to człowiek niebezpieczny. Gotów na wszystko. Jestem pewna, że gdybym nic wykazała dość przytomności umysłu, by zamilknąć, gdybym wezwała Niemców, którzy chodzili drogą, byłby zdolny rzucić się na nich z pięściami albo...

Wydała okrzyk i zbladła.

— Miał w ręku nóż. Widziałam błysk ostrza, jestem pewna! Możesz sobie wyobrazić, co by się działo później? Zamordowanie Niemca nocą w naszym parku? I udowodnij, że nie miałeś z tym nic wspólnego. Amaury, twój obowiązek jest oczywisty. Trzeba działać. Ten człowiek ma u siebie broń, bo przechwalał się, że przez całą zimę polował w parku. Broń! Chociaż Niemcy powiedzieli i wielokrotnie powtórzyli, że nic będą tego tolerować! Jeśli trzyma w domu strzelbę, to znaczy że przygotowuje coś złego, na pewno zamach! Zdajesz sobie sprawę?

W sąsiednim miasteczku zabito niemieckiego żołnierza, a notabli (w pierwszym rzędzie mera) uwięziono jako zakładników do chwili znalezienia winnego. W małej wiosce oddalonej o jedenaście kilometrów szesnastoletni chłopak po pijanemu uderzył pięścią wartownika, który chciał go zatrzymać po godzinie policyjnej. Chłopaka rozstrzelano, ale na tym się nie skończyło! W końcu gdyby przestrzegał przepisów, do

niczego by nie doszło, jednak mer, który ma odpowiadać za mieszkańców, też o mało nie dał głowy.

— Zdrada — jęknął Amaury, ale ona go nie słuchała. — Zaczynam przypuszczać — powiedział, ubierając się drżącymi rękami (dochodziła ósma) — zaczynam przypuszczać, że nie powinienem był przyjmować tego stanowiska.

— Mam nadzieję, że złożysz skargę w żandarmerii?

— W żandarmerii? Chyba oszalałaś? Cała okolica będzie przeciwko nam. Przecież wiesz, że dla tych ludzi wzięcie tego, czego nie chciano im odstąpić za gotówkę, nie jest kradzieżą. To zupełna farsa. Zatruliby nam życie. Nie, idę od razu do Kommandantur. Poproszę, żeby zachowali sprawę w tajemnicy, co zrobią bez wątpienia, bo są dyskretni i rozumieją sytuację. Zrobi się rewizję u Sabariech, na pewno ukryli broń...

— Jesteś tego pewien? Ci ludzie...

— Ci ludzie mają się za bardzo sprytnych, ale ja doskonale znam ich kryjówki. Chełpią się w barze, po wypiciu kilku głębszych. To strych, piwnica albo chlew. Benoît zostanie nresztowany, wymogę na Niemcach obietnicę, że nie ukarzą go zbyt surowo. Wykręci się kilkoma miesiącami więzienia. A my na ten czas uwolnimy się od niego, a zapewniam cię, że potem będzie siedział cicho. Niemcy potrafią ich poskromić. Ale co w nich takiego tkwi? — wykrzyknął nagle wicehrabia, który w tym momencie był w koszuli, a płócienne poły uderzały w gołe łydki. — Co ich gryzie? Dlaczego nie potrafią usiedzieć spokojnie? Czego się od nich wymaga? Żeby się przymknęli i siedzieli spokojnie. Ale nie! Oni narzekają szykanują udają ehojraków. I co im to daje, pytam? Zostaliśmy pobici, prawda? To teraz trzeba spokojnie. Można by pomyśleć, że robią to na złość mnie. Udało mi się, dzięki wysiłkom, ułożyć sobie dobre stosunki z Niemcami. Pomyśl, że moglibyśmy nie mieszkać w zamku sami. To wielka uprzejmość. A co do okolicy... to przecież robię, co mogę... nie sypiam... Niemcy zachowują się poprawnie wobec wszystkich. Salutują kobietom, pieszczą dzieci. Płacą gotówką. Ale nie! To nie wystarczy! Czego oni by chcieli? Zwrotu Alzacji i Lotaryngii? Awantur w republice pod wodzą Leona Bluma? Czego? No czego?

— Amaury, nie irytuj się. Spójrz na mnie, jestem spokojna. Wykonaj swój obowiązek i nie spodziewaj się nagrody wcześniej niż w niebie. Uwierz mi, że Bóg czyta w naszych sercach.

— Wiem, wiem, ale to jednak trudne — westchną! rozgoryczony wicehrabia.

I nie tracąc czasu na śniadanie (miał tak ściśnięte gardło, że nie przełknąłby nawet kawałka chleba, wyjaśnił żonie), wyszedł i w najgłębszej tajemnicy poprosił o audiencje w Kommandantur.

Armia niemiecka zarządziła rekwizycję koni: klacz była warta wtedy około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu tysięcy franków, a Niemcy płacili (obiecywali zapłacić) połowę tej sumy. Zbliżały się ważne prace polowe i chłopci z goryczą pytali mera, jak mają sobie poradzić;

— Gołymi rękami, co? Jeśli zabiorą konie, miasta pozdychają z głodu.

— Ależ moi przyjaciele, to nie ode mnie zależy — mówił mer.

Chłopi wiedzieli co prawda, że mer istotnie jest bezradny, jednak w głębi duszy mieli do niego pretensję. On sobie poradzi, załatwi, nikt nie tknie jego nieszczęsnych koni! Wszystko szło źle. Od poprzedniego dnia wiał burzowy wiatr. Ogrody nasiąkły deszczem, grad zdewastował uprawy. Kiedy Bruno wyjeżdżał rankiem konno rekwirować konie w sąsiedniej wiosce, obserwował pejzaż zniszczony, naznaczony ulewą. Wielkimi lipami na promenadzie brutalnie wstrząsał wiatr, jęczały i skrzypiały jak maszty statku. Jednak galopując drogą odczuwał radość; to zimne, ostre i czyste powietrze przypominało mu Prusy Wschodnie. Jakże chciałby znowu zobaczyć te równiny, te jasne trawy, te bagna, niezwykle piękno wiosennego nieba... spóźnioną wiosnę północnego regionu...

bursztynowe niebo, perłowe chmury, trzciny, rzadkie kępki brzoź...

Kiedy znów zapoluje na czaple i kuliki? Mijał po drodze konie i towarzyszących im ludzi, którzy ze wszystkich wiosek, miasteczek i okolicznych



posiadłości ciągnęli do miasta. Dobre konie, ale zaniedbane. Francuzi, podobnie jak wszyscy cywile, nie mają pojęcia o koniach, pomyślał. Zatrzymał się na chwilę, żeby ich przepuścić. Trzymali się w niewielkich grupkach. Bruno uważnie przyglądał się zwierzętom, szukając tych, które nadadzą się na wojnę. Większość zostanie wysłana do Niemiec do prac polowych, ale niektóre poznają szaleńcze szarże na piaskach Afryki czy w chmielnikach Kentu. Bóg jeden wie, gdzie powieją wiatry wojny. Bruno przypominał sobie rzenie przerażonych koni w płonącym Rouen. Padał deszcz. Chłopi szli z opuszczonymi głowami, na widok nieruchomego jeźdźca w zielonej pelerynie na chwilę podnosili wzrok. Ich oczy spotykały się na moment. Jacy oni są powolni, jacy niezręczni! Przyjadą z dwugodzinnym opóźnieniem i kiedy będzie czas na obiad? Najpierw trzeba będzie zająć się końmi. No idźcie już, idźcie!, mówił cicho, uderzając niecierpliwie szpicrutą w cholewy butów, z trudem powstrzymując się, by nie wykrzykiwać rozkazów na cały głos jak na manewrach. Defilowali przed nim starcy, dzieci, nawet kilka kobiet; mieszkańcy jednej miejscowości maszerowali razem. Potem następowała pustka. Przestrzeń, ciszę wypełniał jedynie porywisty wiatr. Korzystając z jednej z takich przerw, Bruno ruszył galopem w kierunku miasta. Za nim tworzyła się cierpliwa kolejka. Chłopi milczeli. Zabrano młodych mężczyzn, zabrano chleb, mąkę i pyry, zabrano benzynę i samochody, a teraz jeszcze konie. A co jutro? Niektórzy byli w drodze od północy. Maszerowali z opuszczoną głową, zgarbieni, z nieprzenikniętym wyrazem twarzy. Chociaż powiedzieli merowi, że to koniec, że nie będzie już nic do jedzenia, doskonale wiedzieli, że prace polowe trzeba wykonać, zebrać plony. Trzeba jeść. Pomyśleć tylko, jacy byliśmy szczęśliwi, wspominali. Niemcy... tyle krów... Trzeba być sprawiedliwym... To jednak wojna... Boże, czy to jeszcze długo potrwa? Jak długo?, pytali cicho chłopi, patrząc na burzowe niebo. Pod oknem Lucile przez cały dzień przechodziły konie i ludzie. Zatykała sobie uszy, żeby nie słyszeć. Nie chciała niczego wiedzieć. Dostyc tych widoków wojny, tych ponurych obrazów! Niepokoiły ją, rozdzierały jej serce; nie pozwalały.

by była szczęśliwa. Szczęśliwa, mój Boże! No dobrze, wojna, mówiła sobie, dobrze, jeńcy, wdowy, nędza, głód, okupacja. I co z tego? Nie robię niczego złego. To przyjaciel najbardziej pełen szacunku, książki, muzyka, nasze długie rozmowy, spacery w lasku Maie. Atmosferę winy nadaje im wojna, to powszechne nieszczęście. Ale on nie odpowiada za nią bardziej niż ja! To nie nasza wina. Niech nas zostawią w spokoju... Niech nas zostawią! Czasami odczuwała lęk, zdumiewała się wręcz tym własnym buntem — przeciwko mężowi, teściowej, opinii publicznej, przeciw owemu „duchowi ula”, o którym mówił Bruno. Pomrukujący groźnie rój, posłuszny nieznany celom. Nienawidziła go... Niech idą, dokąd chcą, a ja zrobię to, co będę chciała. Muszę być wolna. W mniejszym stopniu domagam się wolności zewnętrznej, dającej możliwość podróżowania, opuszczenia domu (choć byłoby to niewyobrażalne szczęście!), co wewnętrznej, pozwalającej wybrać własną drogę i trzymać się jej, nie podążając za rojem. Nienawidzę tego ducha wspólnotowego, o którym ciągle nam się opowiada. Niemcy, Francuzi, gaulliści doskonale się rozumieją w jednej sprawie: trzeba żyć, myśleć, kochać razem z innymi, w zależności od państwa, kraju, od partii. O Boże! Ja nie chcę! Jestem nieszczęsną bezużyteczną kobietą, nic nie wiem, ale muszę być wolna! Stajemy się niewolnikami, myślała, wojna pcha nas to tu, to tam, pozbawia nas dobrego samopoczucia, odejmuje chleb od ust; niech mi przynajmniej zostawią prawo decydowania o moim przeznaczeniu, kpienia z niego, stawienia mu czoła, uchylecia się przed nim, jeśli będzie to możliwe. Niewolnik? To lepsze niż pies, który uważa, że jest wolny, kiedy drecze za swoim panem. Nawet nie mają świadomości swojego niewolnictwa, powtarzała sobie, słysząc kroki ludzi i koni, a ja będę ich przypominać, jeśli litość, solidarność i „duch ula” zmuszą mnie do tego, bym odepchnęła szczęście. Ta przyjaźń między nią a Niemcem, ten skrywany sekret, świat ukryty w nieprzyjaznym domostwie, jakże to było słodkie. Mój Boże! Czuła się wtedy istotą ludzką dumną i wolną. Nie pozwalała nikomu deptać tego, co stanowiło jej własną domenę. To nie dotyczy nikogo! Niech się biją niech się nienawidzą! Jeśli jego ojciec i mój ojciec kiedyś walczyli, jeśli on własnoręcznie wziął do

niewoli mojego męża (myśl obsesyjnie prześladowająca moja, nieszczęsną teściową), co to ma do rzeczy? On i ja jesteśmy przyjaciółmi.

Przyjaciółmi? Przeszła przez ponury korytarz, podeszła do lustra w ciemnej drewnianej ramie stojącego na komodzie; popatrzyła na swoje posępne oczy i drżące usta, uśmiechnęła się. Przyjaciele? On mnie kocha, szeptała. Zbliżyła usta do lustra i delikatnie pocałowała swoje odbicie. Ależ tak, kocha cię. Nic nie jesteś winna temu mężowi, który cię zdradził, który cię zawiódł. On jest w niewoli, twój mąż jest jeńcem, a ty pozwalasz Niemcowi zbliżyć się do siebie, zająć miejsce nie obecnego? No tak! Ale co z tego? Nieobecny, jeniec, mąż -nigdy go nie kochałam. Może umrzeć! Może zniknąć! Ale chwileczkę, zastanów się, kontynuowała z czołem opartym

O lustro i zdawało jej się, że naprawdę rozmawia z jakąś niewidoczną dotychczas częścią samej siebie, którą dostrzegła po raz pierwszy, z kobietą o ciemnych oczach, wąskich drżących wargach, zarumienionych policzkach, która była nią ale niezupełnie. Zastanów się... rozum... głos rozsądku... jesteś rozsądny Francuzką... dokąd cię to wszystko zaprowadzi? On jest żołnierzem, jest żonaty, odjedzie, co ci z tego przyjdzie? A choćby jedna chwila szczęścia? Może nawet nie szczęścia, tylko przyjemności? A wiesz przynajmniej, co to jest? Fascynowało ją kontemplowanie własnego odbicia w lustrze, podobało jej się

1 budziło lęk.

Usłyszała kroki kucharki w spiżarni obok korytarza; odskoczyła spłoszona i rozpoczęła bezcelową wędrówkę po domu. Mój Boże, jaki wielki, pusty dom! Teściowa, zgodnie z zapowiedzią nie wychodziła ze swojego pokoju, zanoszono jej na górę posiłki, ale mimo wszystko zdawała się obecna. Ten dom był jej odbiciem, najbardziej prawdziwą częścią jej istoty, tak jak najbardziej prawdziwą częścią Lucile była ta szczupła zakochana młoda kobieta, śmiała, wesoła, zdesperowana, która przed chwilą uśmiechnęła się do niej w lustrze z czarną ramą (zniknęła, zostawiła jedynie zjawę bez życia, ową Lucile Angellier, która błędziła po pokojach, przytykała twarz do szyb, odkładała machinalnie na miejsce brzydkie i niepotrzebne przedmioty, które zdobiły kominki). Co za pogoda! Powietrze było ciężkie, niebo ołowiane. Kwitnącymi lipami wstrząsały

podmuchy zimnego wiatru. Pokój, dom tyfko dla mnie, myślała Lucile, idealny pokój, prawie pusty, piękna lampa. Gdybym tutaj zamknęła okiennice i zapaliła światło, żeby nie widzieć okropnej pogody, Marthe przysłaby zapytać, czy nie jestem chora; powiadomiłaby teściową, która kazałaby pogasić lampy i odsunąć zasłony, bo elektryczność jest droga. Nie mogę grać na pianinie, byłoby to obelgą dla nieobecnego. Mimo deszczu chętnie poszłabym do lasu, ale zaraz wszyscy by się o tym dowiedzieli. Mówiłoby się: „Lucile Angełlier oszalała”. To wystarczy, żeby w kraju takim jak nasz zamknąć kobietę w zakładzie. Roześmiała się, wspominając opowieść o młodej dziewczynie, którą rodzice zamknęli w szpitalu psychiatrycznym, bo w księżycowe wieczory biegała aż nad staw. Chłopcu zarzucono by złe zachowanie. Ale o niej powiedziano by, że jest szalona. Noc... staw w tym ulewnym deszczu. Och, poszłaby wszystko jedno gdzie, byle daleko stąd... zresztą... Te konie, ci ludzie, nieszczęsne plecy przygarbione i zrezygnowane w strugach deszczu. Zdecydowanym ruchem oddaliła się od okna, ale na próżno powtarzała sobie „nie mam z nimi nic wspólnego”, bo czuła obecność niewidocznej więzi.

Weszła do pokoju Brunona. Wślizgiwała się tutaj z bijącym sercem niejednym raz. Zastawała go w pozycji półleżącej na łóżku, całkowicie ubranego, pisał albo czytał, jego blond włosy błyszczały pod lampą. W kącie na fotelu leżał ciężki pas z plaketką na której wygrawerowano słowa *Gott mit uns*, czarny pistolet, płaska czapka i obszerny płaszcz migdałowo-zielony; ten płaszcz kładł na kolanach Lucile, bo noce od ostatniego tygodnia z tymi nieustannymi burzami bardzo się ochłodziły. Byli sami — uważali, że są sami — w wielkim uszpionym domu. Żadnego wyznania, pocałunku, tylko milczenie — a potem gorączkowe i namiętne rozmowy o krajach ojczystych, o muzyce, o książkach... Dziwne szczęście, którego doznawali... ten pośpiech we wzajemnym odkrywaniu własnych serc... pośpiech kochanka, który już jest darem, pierwszym darem ducha poprzedzającym dar ciała. Poznaj mnie, popatrz na mnie. Taki jestem. Tak żyłem, to kochałem. A ty? ty, moja ukochana? Ale dotychczas ani jednego słowa miłości. Po co? One są niepotrzebne, kiedy głos się zmienia, kiedy usta drżą,

kiedy zapadają te długie chwile milczenia. Lucile delikatnie dotknęła książek na stole, książek niemieckich pisanych gotyckim pismem, które wydaje się dziwne i odpychające. Niemieckie, niemieckie... Francuz nie pozwoliłby mi odejść bez dodatkowego miłego gestu poza ucałowaniem mojej dłoni i sukni...

Uśmiechnęła się, lekko wzruszyła ramionami; wiedziała, że nie płynie to ani z nieśmiałości, ani z chłodu, tylko z owej głębokiej i szorstkiej cierpliwości niemieckiej przypominającej cierpliwość dzikiego zwierzęcia, które czeka, że zafascynowana ofiara sama pozwoli się złapać. „Na wojnie — mówił Bruno — przychodziło nam spędzać noc w zasadzce w lesie Moeuvre. Oczekiwanie w takiej sytuacji staje się »erotyczne«" ... Roześmiała się, słysząc to słowo. Teraz wydawało jej się mniej zabawne. Cóż innego robiła dzisiaj? Czekala. Czekala na niego. Krążyła po pomieszczeniach pozbawionych życia. Jeszcze dwie, trzy godziny. A potem samotna kolacja. Potem zgrzyt klucza zamykającego drzwi pokoju teściowej. Potem Marthe idąca przez ogród z lampą żeby zamknąć furtkę. I potem znów czekanie, gorączkowe, niezwykle... i wreszcie rzenie konia na ulicy, brzęk broni, rozkazy wydane stajennemu, który odprowadza zwierzę. Brzęk ostróg na progu... A potem noc, noc burzowa, zimny podmuch w gałęziach lip i przetaczający się w dali grzmot, a ona powie mu wreszcie — och, przecież nie jest hipokrytką powie mu to dobrą francuszczyzną, jasną i wyraźną — że upragniona ofiara należy do niego. „A jutro? Jutro?", wyszeptała, w tym momencie złośliwy, śmiały i zmysłowy uśmiech nagle odmienił ją jak odbicie płomienia oświetla i zmienia twarz. Oświetlone pożarem najłagodniejsze nawet rysy przybierają diaboliczny wyraz, który budzi lęk. Bezszelestnie wyszła z pokoju.

Ktoś pukał do drzwi kuchni; było to pukanie ciche i nieśmiałe, przytłumione odgłosem deszczu. Dzieci, które chcą schronić się przed burzą, pomyślała kucharka. Zobaczyła na progu Madeleine Sabarie z ociekającą parasolką w ręku. Marthe patrzyła na nią przez chwilę, absolutnie zaskoczona: dzierżawcy bywali w mieście tylko na niedzielnej sumie.

— Co się dzieje? Wchodź szybko. U ciebie wszystko w porządku?

— Nie! Zdarzyło się wielkie nieszczęście. Chciałabym zaraz porozmawiać z panią — powiedziała cicho Madeleine.

— Jezu Chryste! Nieszczęście! Chcesz mówić z panią An-gellier czy z panią Lucile?

Madeleine zawahała się.

— Z panią Lucile. Ale spokojnie, żeby ten przeklęty Niemiec nie dowiedział się, że tu jestem.

— Oficer? Pojechał rekwirować konie. Stań przy ogniu, całkiem przemokłaś. Pójdę po panią.

Lucile kończyła samotną kolację. Na obrusie leżała przed nią otwarta książka. Biedna kobieta — pomyślała Marthe w nagłym przebłysku współczucia. — Co to dla niej za życie... od dwóch lat bez męża... A ten... Jakie nieszczęście mogło się przydarzyć? Na pewno kolejna sprawka Niemców!

Powiedziała Lucile, że ktoś na nią czeka.

— Madeleine Sabarie, proszę pani. Przydarzyło jej się jakieś nieszczęście... Nie chciałaby, żeby ktoś ją zobaczył.

— Wprowadź ją *tutaj*. Niemiec... porucznik von Falk nie wrócił?

— Nie, proszę pani. Usłyszę tętent kopyt i uprzedzę panią.

— Dobrze. To idź po nią.

Lucile czekała z bijącym sercem. Do pokoju weszła Madeleine Sabaric, sinoblada, zadyszana. Chłopska wstydlivość i przezorność walczyły w niej z powściąganymi emocjami, uścisnęła rękę Lucile i powiedziała zgodnie z obyczajem: „Nie przeszkadzam?” i „U pani wszystko w porządku?”, a potem mówiła bardzo cicho, z najwyższym trudem powstrzymując łzy, bo nie płacze się publicznie, chyba że przy wezłowskiu nieboszczyka... a poza tym należy się hamować, ukrywać przed innymi zarówno zbyt wielki ból, jak i zbyt wielką radość...

— Och, pani Lucile, co robić? Przyszłam prosić o radę, bo jesteśmy zgubieni. Niemcy zjawili się dziś rano aresztować Benoît.

— Ale dlaczego? — wykrzyknęła Lucile.

— Rzekomo z powodu ukrytej strzelby. Wszyscy ukryli gdzieś broń, sama pani wie. Ale przyszli tylko do nas. Benoît powiedział „Szukajcie”. Poszukali i znaleźli. Była schowana w sianie w starej oborze. Nasz Niemiec, ten, który u nas kwaterował, tłumacz, był akurat w izbie, kiedy ludzie z Kommandantur wrócili ze strzelbą i kazali mężowi iść za sobą. „Chwileczkę — powiedział Benoît. — Strzelba nie należy do mnie. Schował ją sąsiad, żeby mnie zadenuncjować. Pokażcie mi strzelbę, a udowodnię to. Mówił tak naturalnie, że Niemcy niczego nie podejrzewali. Mój Benoît bierze strzelbę, udaje, że ją ogląda i nagle... Och, pani Lucile, dwa strzały padły prawie równocześnie. Jednym zabił Bonneta, a drugim Bubięgo, wielkiego owczarka alzackiego, który był z Bonnetem...

— Wiem — wyszeptała Lucile.

— Potem wyskoczył przez okno i zniknął, a Niemcy za nim... Ale może pani sobie wyobrazić, że Benoît lepiej od nich zna teren. Nie znaleźli go. Tak łało, że nie było widać na dwa kroki, na szczęście. Bonneta przeniesiono na moje łóżko. Jeśli znajdą Benoît, rozstrzelają go. Miałby zginąć za ukrycie zwykłej strzelby. Gdyby się przyznał, można by mieć jakąś nadzieję podczas gdy teraz doskonale wiadomo, co go czeka, prawda?

— Dlaczego zabił Bonneta?

— To na pewno on go zadenuncjował, pani Lucile. Mieszkał u nas. Musiał znaleźć tę strzelbę. Ci Niemcy to sami zdrajcy! A ten jeszcze... zalecał się do mnie, rozumie pani... i mój mąż o tym wiedział! Może chciał go ukarać, a może uznał, że „nie będzie się kręcił koło mojej żony, kiedy mnie zabiorą”. Być może... A poza tym, pani Lucile, on ich nienawidził. Marzył o tym, żeby sprzątnąć chociaż jednego.

— Szukali przez cały dzień? Jest pani pewna, że jeszcze go nie znaleźli?

— Jestem pewna — potwierdziła Madeleine po chwili milczenia.

— Widziała go pani?

— Tak. To sprawa życia i śmierci, pani Lucile. Nie zdradzi mnie pani?

— Och, Madeleine!

— No dobrze. Ukrył się u naszej sąsiadki Louise, żony jeńca wojennego.

— Przeczeszą całą okolicę, będą wszędzie szukać.

— Na szczęście dzisiaj rekwirowano konie, pojechali wszyscy oficerowie. Żołnierze czekają na rozkazy. Jutro będą przeczesywać okolicę. Ale, proszę pani, w posiadłościach nie brak kryjówek. Już przeprowadziliśmy im przed nosem jeńców, którzy uciekli z niewoli. Louise dobrze go schowa, ale ona ma dzieci, a dzieciaki bawią się z Niemcami, nie boją się ich, gadają, a są jeszcze za małe, żeby wiedzieć, czego nie można mówić. Louise mi powiedziała: „Wiem, co ryzykuję. Robię to dla twojego męża ze szczerego serca, tak jak ty byś zrobiła dla mojego, ale lepiej będzie znaleźć inne miejsce, gdzie da się go bezpiecznie przetrzymać”. Rozumie pani, że wszystkie drogi będą strzeżone. Jednak Niemcy nie zostaną tu na wieki. Potrzebny byłby duży dom, w którym nie ma dzieci.

— Tutaj? — spytała Lucile, patrząc na nią.

— Tak, myślałam o tym...

— Wie pani, że kwateruje u nas niemiecki oficer?

— Oni są wszędzie.

— Oficer miałby nie wychodzić od siebie?

— Mówiono mi... przepraszam panią mówiono mi, że on



jest w pani zakochany i robi z nim pani, co chce. Nie obrażam pani? Oczywiście, to mężczyźni tacy jak inni, też się nudzą.. Więc jeśli pani powie „nic życzę sobie, żeby wasi żołnierze robili tu bałagan. Doskonale pan wie, że nikogo nie ukry wałam. Przede wszystkim za bardzo bym się bała...”. Takie rzeczy, które może powiedzieć kobieta. Poza tym w tym pustym i tak dużym domu łatwo znaleźć zakamarek, kryjówkę. Jest to przynajmniej szansa ocalenia. Jedyna! Powie mi pani, że jeśli to się wyda, ryzykuje pani więzienie... może nawet śmierć. Z tymi draniami to możliwe. Ale jeśli Francuzi nic będą sobie pomagali, to kto nam pomoże? Louise ma dzieci i nie bała się. A pani jest sama.

— Ja się nie boję — powiedziała powoli Lucile. Zastanowiła się. U niej czy gdzie indziej Benoît będzie

groziło identyczne niebezpieczeństwo. Dla niej? Dla siebie? Dla własnego życia? Po co to robię?, myślała z mimowolną rozpaczą. Naprawdę to nie miało żadnego znaczenia. Nagle przypomniała sobie te dni w czerwcu czterdziestego (dwa lata, dokładnie dwa lata temu). Wtedy też w całym tym zamieszaniu, zagrożeniu nie myślała o sobie. Dała się nieść jakby szybkiemu prądowi rzeki. Wyszepiała:

— Jest jeszcze teściowa, ale ona już nie wychodzi ze swojego pokoju. Niczego nie zauważy. Jest też Marthe.

— Marthe, proszę pani, należy do rodziny. To kuzynka mojego męża. Z tej strony nie grozi niebezpieczeństwo. Mamy zaufanie do rodziny. Ale gdzie go ukryć?

— Myślałam o niebieskim pokoju koło strychu, dawnym pomieszczeniu na zabawki, w którym jest rodzaj alkowy. Ale moja biedna Madeleine, proszę nie mieć złudzeń. Znajdą go tutaj tak samo jak gdzie indziej, jeśli los nie będzie nam sprzyjał, a jeśli Bóg zechce, to im się wymknie. W końcu zdarzały się we Francji zamachy na niemieckich żołnierzach i nigdy nic nie znaleziono winnych. Trzeba się starać jak najlepiej go ukryć i... nie tracić nadziei. Prawda?

— Tak, proszę pani, nie tracić nadziei — powtórzyła Madeleine, a tymczasem po jej policzkach wolno płynęły łzy, których nie potrafiła powstrzymać.

Lucile wzięła ją w ramiona i ucałowała.

— Proszę go przyprowadzić. Idźcie przez lasek Maie. Ciągłe pada deszcz. Na zewnątrz nie będzie nikogo. Nie ufajcie nikomu, tak samo Francuzom jak Niemcom. Będę czekała przy małej furtce ogrodu. Uprzedzę Marthe.

— Dziękuję pani — szepnęła Madeleine.

— Niech pani idzie. Szybko, proszę się pośpieszyć. Madeleine bezszelestnie otworzyła drzwi i wślizgnęła się do pustego mokrego ogrodu, w którym płakały nawet drzewa. Godzinę później Lucile wpuszczała Benoît przez pomalowaną na zielono małą furtkę, która prowadziła do lasku Maie. Przestało padać, ale wiał jeszcze szalony wicher.

Stara pani Angellier słyszała ze swojego pokoju, jak gminny urzędnik nawołuje na placu przed merostwem:

Obwieszczenie Rozkaz Kommandantur

W każdym oknie pojawiły się zaniepokojone twarze. Co oni znowu wymyślili, zastanawiali się ludzie ze strachem i nienawiścią. Tak bardzo obawiali się Niemców, że nawet kiedy Kommandantur ustami urzędnika gminy zalecała wybitcie szczurów czy obowiązkowe szczepienie dzieci, nawet wtedy nie czuli się pewnie, musiało upłynąć dużo czasu od umilknięcia ostatnich dźwięków bębna, musieli usłyszeć zapewnienia osób wykształconych jak farmaceuta, notariusz czy szef żandarmów potwierdzających treść zarządzenia. Pytali z niepokojem:

— To wszystko? Tylko tyle? Nic więcej nam nie zabierają? Potem stopniowo się uspokajali:

— No dobrze, w porządku. Znow się do czegoś czepiają... Dobrze przynajmniej, że nie dodawali:

— To nasze szczury i nasze dzieciaki. Jakim prawem chcą jedne zniszczyć, a drugie zaszczepić? Czy to ich sprawa?

Znajdujący się na placu Niemcy komentowali rozkazy.

— Wszyscy teraz w dobrym zdrowiu, Francuzi i Niemcy. Z udaną uległością (och, te niewolnicze uśmiechy, myślała stara pani Angellier), chłopci pośpiesznie potwierdzali:

— Na pewno... to bardzo dobrze. To w interesie nas wszystkich.

Doskonale rozumiemy.

Ā po powrocie do domu każdy wrzucał do ognia trutkę na szczury, potem pędził do lekarza z prośbą, by nie szczepić dzieciaka, bo „właśnie wstał po śwince, bo nie ma za dużo siły po tym strasznym odżywianiu”. Inni mówili: „Lepiej by było, żeby rozchorowały się ze dwie osoby, to by pewnie przepędziło szkopów”. Niemcy pozostawali sami na placu, rozglądali się dobrodusznie dokoła, przekonani, że powoli topnieją lody pomiędzy pokonanymi a zwycięzcami.

Jednak tego dnia żaden Niemiec się nie uśmiechał, żaden nie rozmawiał z mieszkańcami miasteczka. Stali wyprostowani, trochę pobladli, ze wzrokiem twardym i nieruchomym. Gminny urzędnik, najwyraźniej uradowany ważnością słów, które miał wypowiedzieć, skądinąd przystojny mężczyzna, pochodzący z południa, zawsze chętnie zwracający na siebie uwagę pań, właśnie zakończył ostatnie uderzenia w bęben; wsunął pod pachy dwie pałeczki z wdziękiem i zręcznością prestidigitatora i pięknym, pełnym, męskim głosem, który rezonował w ciszy, odczytał:

Członek niemieckiej armii padł ofiarą zamachu; oficer Wehrmachtu został tchórzliwie zamordowany przez niejakiego SABARIE Benoît, zamieszkałego w..., gmina Bussy.

Przestępcę zbiegł. Osoby udzielające mu schronienia, pomocy czy wsparcia lub te, które znając jego kryjówkę, nie poinformowałyby o niej Kommandantur w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, podlegają takiej samej karze jak morderca, co oznacza

#### NATYCHMIASTOWE ROZSTRZELANIE

Pani Angeliier uchyliła okno, kiedy urzędnik się oddalił, i wyjrzała na plac. Ludzie szeptali, całkiem oszołomieni. Coś takiego! Jeszcze wczoraj mówiło się tylko o rekwirowaniu koni, a to nowe nieszczęście dodane do poprzedniego wywołało w powolnych umysłach wieśniaków rodzaj niedowierzania: „Benoit? Benoît to zrobił? Niemożliwe!”. Tajemnica była dobrze strzeżona, mieszkańcy miasta nie mieli pojęcia, co się dzieje

na wsi w tych wielkich posiadłościach, zazdrośnie pilnowanych. Niemcy byli lepiej poinformowani, teraz zrozumiano powód owego rumoru, owych gwizdków w nocy, zakazu wychodzenia z domu po ósmej wydanego poprzedniego wieczoru: „Niewątpliwie ściągali więcej wojska i nic chcieli, żebyśmy to widzieli”. W kawiarniach Niemcy rozmawiali cicho między sobą. Oni też odnosili wrażenie nierzeczywistości i koszmaru. Żyli z tymi Francuzami od trzech miesięcy, stykali się z nimi, nie zrobili im nic złego. W wyniku szczególnych względów i dobrego postępowania udało im się wreszcie ułożyć normalne stosunki pomiędzy najeźdźcami a pokonanymi. I oto gest szaleńca zepsuł to wszystko. Zresztą dotknęła ich nie tyle sama zbrodnia, ile ta atmosfera spisku, solidarności, którą wyczuwali wokół siebie (w końcu jeśli człowiek umyka, choć ściga go cały pułk, to cała okolica musi mu pomagać, dostarczać schronienia, dawać mu jeść, chyba że zakopał się gdzieś w lesie, choć spędzono całą noc na przeczesywaniu lasu, lub — co jeszcze bardziej prawdopodobne — wyjechał z tych stron, ale tego też nie mógłby dokonać bez czynnej czy tylko biernej pomocy innych). A co ze mną, myślał każdy z żołnierzy, mnie się przyjmuje, uśmiecha się do mnie, robi mi się miejsce przy stole, pozwala brać na kolana dzieci, ale jeśli jutro jakiś Francuz mnie zabije, nie znajdzie się nikt, kto mnie pożałuje, wszyscy będą pomagać mordercy! Ci spokojni chłopcy o nieprzeniknionych twarzach, te kobiety, które wczoraj się uśmiechały do żołnierzy, rozmawiały z nimi, a dziś przechodzą obok zażenowane i odwracają głowy — są po prostu wrogami! Nie mogli w to uwierzyć; przecież to tacy dobrzy ludzie... szewc Lacombe, który w zeszłym tygodniu dał Niemcom butelkę białego wina, bo jego córka zdała egzamin i nic wiedział, jak wyrazić swoją radość; młynarz Georges, kombatant z poprzedniej wojny, który powiedział: „Jak najszybciej pokój i niech każdy żyje u siebie. Niczego więcej nie chcemy!"; młode dziewczyny, zawsze gotowe śpiewać, śmiać się, całować ukradkiem, no i my. I mamy być na zawsze wrogami?

A tymczasem Francuzi mówili sobie: „Ten Willy, który prosił, by mu pozwolić pocałować moje dziecko, bo ma w Bawarii synka w tym samym wieku; ten Fritz, który pomagał mi opiekować się chorym mężem; ten Erwald, który uważa Francję za

piękny kraj, i tamten żołnierz, który zdjął czapkę przed portretem mojego ojca poległego w piętnastym roku — jeśli jutro dostaną rozkaz, to każdy z nich mnie zatrzyma i własnoręcznie zabije bez najmniejszych wyrzutów...? Wojna... no tak, wiemy, co to znaczy. Ale w pewnym sensie okupacja jest gorsza, bo człowiek się przyzwyczaja do nich, powtarza sobie: »w końcu są tacy jak my«, a tymczasem wcale nie, to nieprawda. Będziemy wrogami na zawsze". Tak myśleli Francuzi.

Pani Angellier tak dobrze знаła chłopów, że zdawała się czytać z twarzy ich myśli. Śmiała się. Ona nie dała się oszukać. Nie pozwoliła się kupić. Bo w małym miasteczku Bussy wszystko było na sprzedaż, podobnie jak w całej Francji. Niemcy jednym dawali pieniądze (handlarze win kazali członkom Wehrmachtu płacić sto franków za butelkę chablis, chłopci odstępowali jajka po pięć franków za sztukę), a innym — młodzieży, kobietom — oferowali przyjemności. Odkąd byli tu Niemcy, nie nudzono się. Nareszcie było z kim porozmawiać. Boże... nawet jej synowa! Przymknęła oczy i zakryła powieki wysmukłą, białą, przezroczystą dłonią, jakby nie chciała patrzeć na nagie ciało. Tak, Niemcy sądzili, że kupują w ten sposób tolerancję i zapomnienie. Udawało im się. Pani Angellier myślała z goryczą o wszystkich miejscowych notablach, wszyscy ulegli, wszyscy dali się uwieść. Montmortowie przyjmowali Niemców, mówiło się, że w parku wicehrabiego wokół stawu Niemcy organizują fetę. Pani de Montmort powtarzała każdemu, kto chciał jej słuchać, że jest oburzona, że pozamyka okna, żeby nie słyszeć muzyki i nie widzieć bengalskich ogni pod drzewami. Kiedy jednak porucznik von Falk i tłumacz Bonnet złożyli jej wizytę w sprawie krzesel, kieliszków i obrusów, zatrzymała ich prawie dwie godziny. Pani Angellier wiedziała to od kucharki, której powiedział rządca. Zresztą ci notable sami byli po części cudzoziemcami, jeśli dobrze się im przyjrzało. Czyż w ich żyłach nie płynęła krew bawarska, pruska (abominacja!) czy reńska? Rodziny szlacheckie łączyły się ze sobą, nie bacząc na granice, ale w gruncie rzeczy wielka burżuazja nie była lepsza. Szeptem powtarzano nazwiska tych, którzy handlowali z Niemcami (wykrzykiwano te nazwiska co wieczór w angielskim radiu), rodzina Maltete z Lyonu, Peri-

candowie z Paryża, bank Corbina i inni. Pani Angellier jako jedyna ze swojej klasy trwała w nienawiści, niezniszczalna jak forteca, niestety, jedyna niezdojta forteca we Francji, której nic nie mogło powalić, bo jej bastiony nie były z kamienia ani z krwi i kości, tylko z tego, co na świecie najbardziej niematerialne i niezniszczalne zarazem — z miłości i nienawiści. Chodziła po pokoju szybko i cicho. Szeptwała; „Przymykanie oczu niczemu nie służy. Lucile gotowa jest wpaść w ramiona tego Niemca”. Co może na to poradzić? Mężczyźni mają broń, potrafią się bić. Ona mogła tylko szpiegować, przypatrywać się, słuchać, nasłuchiwać w nocnej ciszy odgłosu kroków, westchnienia, żeby przynajmniej to nie zostało zapomniane, przebaczone, żeby Gaston po powrocie... Zadrżała z dzikiej radości. Boże, jakże nienawidziła Lucile! Kiedy wreszcie wszystko w domu zasypiało, stara kobieta wyruszała na obchód, jak to nazywała. Nic nie uchodziło jej uwagi. Liczyła w popielniczce niedopałki ze śladami szminki; podnosiła w milczeniu zgniecioną i pachnącą;) chusteczkę do nosa, porzucony kwiat, otwartą książkę. Często słyszała dźwięki pianina albo bardzo cichy i bardzo łagodny głos Niemca, który nucił, podkreślając frazę muzyczną. To pianino... Jak można kochać muzykę? Każda nuta zdawała się grać na je j podrażnionych nerwach i wywoływała jęk. Wołała już ich długie rozmowy, które dochodziły do niej słabym echem, jeśli wychyliła się z okna, położonego dokładnie nad oknem gabinetu, którego nie zamykali w piękne letnie noce. Wołała już nawet chwile milczenia, które zapadało między nimi albo śmiech Lucile. (Śmiech! Kiedy mąż jest w niewoli!... rozwiązała istota, nikczemna dusza!). Wszystko było lepsze od muzyki, bo tylko muzyka usuwa między dwiema istotami różnice języka, obyczajów i sięga do czegoś, co jest w nich niezniszczalne. Czasami pani Angellier podchodziła do pokoju Niemca. Słuchała jego oddechu, lekkiego kaszlu palacza. Przechodziła przez hol, w którym na głowic wypchanego jelenia wisiał wielki oficerski płaszcz, i wsuwała do jego kieszeni żdźbła wrzosu. Ludzie mówili, że przynosi nieszczęście. Nie wierzyła w to, ale zawsze warto spróbować. Od kilku dni, a dokładnie od przedwczoraj, atmosfera w domu zdawała się bardziej pełna zagrożenia niż zwykle. Pianino ucichło. Pani Angellier słyszała, jak Lucile i kucharka długo

rozmawiały przyciszonym głosem. (Ta też na pewno mnie zdradza?). Zaczynały dzwonić dzwony. (A, to pogrzeb zabitego oficera...). Oto uzbrojeni żołnierze, teraz trumna, wieńce z czerwonych kwiatów... Kościół zarekwirowano. Francuzom nie wolno było wchodzić do środka. Słysząc cudowny chór śpiewający pieśń religijną dobiegał z kaplicy Najświętszej Panny. Dzieci uczące się katechizmu wybiły zimą fragment szyby, której nie wprawiono. Śpiew dochodził przez to antyczne otwarte okienko za ołtarzem Najświętszej Panny, częściowo zasłonięte przez wielką lipę na placu. Jak wesoło śpiewają ptaki! Ich przenikliwe głosy zagłuszały chwilami niemiecki hymn. Pani Angellier nie wiedziała, jak się nazywał zmarły, w jakim był wieku. Kommandantur poinformowała tylko „oficer Wehrmachtu”. To wystarczyło. Na pewno był młody. Wszyscy byli młodzi. No, dla ciebie to już skończone. Ale co na to poradzisz, jest wojna. W końcu zrozumie to też jego matka, szeptała pani Angellier, bawiąc się nerwowo swoim żałobnym naszyjnikiem z gagatu i hebanu, który nosiła od śmierci męża.

Do wieczora tkwiła nieruchomo, jak przykuta do miejsca, wodząc wzrokiem za każdym przechodniem na ulicy. Wieczorem... żadnego odgłosu. Nie słysząc cichego skrzypnięcia trzeciego stopnia schodów, które zdradza, że Lucile wyszła od siebie i schodzi do ogrodu, bo drzwi nie skrzypią uprzedza mnie tylko ten stary wiemy stopień, myśli pani Angellier. Nie, nic nie słysząc. Czyżby już byli razem? Czy spotkają się później?

Mijała noc. Panią Angellier opanowała pałaca ciekawość. Wyślizgnęła się ze swojego pokoju. Przytknie ucho do drzwi. Nic. Żaden dźwięk nie dochodzi z pokoju Niemca. Mogłaby przypuszczać, że jeszcze nie wrócił, gdyby wcześniej wieczorem nie słyszała w domu męskich kroków. Jej nie da się wprowadzić w błąd. Obecność mężczyzny, który nie jest jej synem, obraża ją. Czując zapach nieznanego tytoniu, pani Angellier blednie i podnosi ręce do czoła, jak kobieta, która za chwilę zemdleje. Gdzie jest ten Niemiec? Bliżej niż zwykle, gdyż dym dociera przez otwarte okno. Czy obchodzi dom? Wyobraża sobie, że niedługo wyjedzie, że wie o tym i wybiera sobie meble, swoją część łupu. Czyż Prusacy w siedemdziesiątym nie kradli zegarów? Ci obecni na pewno nie zdążyli się aż tak zmienić. Myśli



o świętokradczych rękach przeszukujących strych, spiżarnię z zapasami i piwnicę! Po zastanowieniu to głównie o piwnicę drży pani Angellier. Sama nigdy nie pije wina, pamięta, że wypła łyk szampana na chrzcinach Gastona i na jego weselu. Jednak wino stanowi w jakiś sposób część dziedzictwa i z tego względu jest święte, jak wszystko, co ma przetrwać naszą śmierć. To Chateau-d\*Yquem dostała od swojego męża, żeby przekazać synowi. Najlepsze butelki zakopano w piasku, ale ten Niemiec... kto wie? Może prowadzony przez Lucile?... Chodźmy zobaczyć. Oto piwnica, drzwi założone żelazną sztabą jak wejście do fortecy. A oto kryjówka, którą rozpoznaje tylko ona po znaku na ścianie w formie krzyża. Nie, tu też wszystko wydaje się nienaruszone. A jednak serce pani Angellier bije z niezwykłą gwałtownością. Lucile musiała być przed chwilą w piwnicy, bo w powietrzu unosi się jeszcze zapach jej perfum. Idąc za tym zapachem, pani Angellier wychodzi z piwnicy, idzie przez kuchnię, przez duży pokój i dopiero na schodach spotyka Lucile, która niesie talerz, kieliszek i pustą butelkę, niewątpliwie nakrycia po posiłku z winem. To dlatego była w piwnicy i w spiżarni, gdzie pani Angellier słyszała kroki, a w każdym razie tak jej się zdawało.

— Kolacyjka zakochanych? — spytała pani Angellier głosem cichym i ostrym jak bicz.

— Błagam, proszę zamilknąć. Gdyby mama wiedziała...

— Z Niemcem! Pod moim dachem! W domu twojego nieszczęśliwego męża...

— Niechże mama zamilknie! Niemiec jeszcze nie wrócił, prawda? Może się tu zjawić w każdej chwili. Proszę mi pozwolić przejść i odłożyć to na miejsce. A mama tymczasem może wejść na górę i otworzyć drzwi do dawnego pokoju z zabawkami i zobaczyć, kto tam jest... a potem proszę zejść do mnie do dużego pokoju. Powie mi mama, co chce zrobić dalej. Zrobiłam źle, bardzo źle, działając bez wiedzy mamy, bo nic miałam prawa narażać mamy życia...

— Ukryłaś u mnie tego wieśniaka... oskarżonego o zbrodnię? W tym momencie rozległy się odgłosy maszerującego pułku, ochryple głosy Niemców wykrzykujące rozkazy i niemal natychmiast kroki oficera na podjeździe, niemożliwe do pomylenia z krokami Francuza z powodu tupotu butów, stukania szpady.

a szczególnie z powodu tego, że takim krokiem mógł poruszać się jedynie zwycięzca, dumny z siebie, przytłaczający nogą wrogi bruk, z radością deptający podbitą ziemię.

Pani Angellier otworzyła drzwi do swojego pokoju, wprowadziła tam Lucile, weszła za nią i zamknęła na zasuwkę. Wzięła od Lucile talerz i szklanę, umyła je w łazience, starannie wytarła, ustawiła butelkę po obejrzeniu naklejki. Zwykłe wino? Bardzo dobrze. Gotowa dać się rozstrzelać, myślała Lucile, za ukrywanie w domu człowieka, który zabił Niemca, ale nie poświęciłaby mu butelki starego burgunda. Na szczęście w piwnicy było ciemno i przypadkiem wzięłam litr czerwonego za trzy franki. Milczała, czekając z ogromnym zaciekawieniem na pierwsze słowa pani Angellier. Nie mogła dłużej ukrywać przed nią obecności kogoś obcego, ta stara kobieta zdawała się przeszywać wzrokiem mury. — Sądziłaś, że pójdę wydać tego człowieka w Kommandantur? — spytała wreszcie pani Angellier. Jej wąskie nozdrza drżały, oczy błyszczały. Zdawała się szczęśliwa, podniecona, lekko szalona jak stara aktorka, odnajdująca rolę, w której kiedyś święciła triumfy, jej intonacje i gesty stały się tak znajome jak druga natura.

— Od dawna tu jest?

— Od trzech dni.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Lucile milczała.

— To szaleństwo, żeby ukrywać go w niebieskim pokoju. Powinien zostać tutaj. Skoro przynosi mi się posiłki na górę, nie ryzykujesz, że ktoś cię zaskoczy; masz gotową wymówkę. Będzie spał na sofie w łazience.

— Niech mama się zastanowi. Jeśli znajdą go u mamy, ryzyko jest wielkie. Ja mogę wziąć wszystko na siebie, powiedzieć, że działałam bez wiedzy mamy, co zresztą jest prawdą, podczas gdy w tym pokoju...

Pani Angellier wzruszyła ramionami.

— Wszystko mi opowiedz — zażądała z ożywieniem, jakiego Lucile nie знаła. — Opowiedz mi dokładnie, jak to się stało. Wiem tylko tyle, ile anonsowano na rynku. Kogo zabił? Jednego Niemca? Nie poranił innych? Był to ktoś wyższy rangą... przynajmniej oficer?

Jak ona swobodnie się czuje, jak żywo reaguje na mordci stwo, przelew krwi..., myślała Lucile. Matki i zakochane, bezlitosne samice. A ja nie jestem ani matką, ani zakochaną (Bruno? nie... teraz nie trzeba myśleć o Brunonie, nie trzeba...), więc nie mogę w taki sam sposób podchodzić do tej historii. Jestem bardziej opanowana, bardziej zimna, spokojniejsza, bardziej cywilizowana, przynajmniej uparcie w to wierze. A poza tym..., nie mogę sobie wyobrazić, że wszyscy troje naprawdę nadstawiamy głowy... To się wydaje przesadne, melo dramatyczne, a jednak Bonnet nie żyje... zabity przez tego wieśniaka, który dla jednych będzie zbrodniarzem, dla innych bohaterem... A ja? Muszę zająć stanowisko. Już je zajęłam... wbrew sobie. A sądziłam, że jestem wolna.

— Niech mama sama wypyta Sabarie — powiedziała. -Zaraz go tu przyprowadzę. Nic pozwoli mu mama palić, poruc/ nik może poczuć w domu zapach nieswojego tytoniu. Myślę, że to jedyne niebezpieczeństwo, nie będą przeszukiwać domu, nie wierzą, że ktoś ośmieliłby się ukrywać tego człowieka w samym mieście. Przeszukają farmy. A nam może grozić tylko denuncjacja.

— Francuzi nie sprzedają się nawzajem — powiedziała dumnie stara kobieta. — Zapomniałaś o tym, moja mała, odkąd poznałaś Niemców. Lucile przypomniała sobie zwierzenia porucznika von Falka: „W dniu naszego przybycia czekała na nas w Kommandantur paczka anonimowych listów. Ludzie oskarżali się nawzajem o propagandę angielską i gaullistowską, o spekulowanie produktami żywnościowymi, o szpiegostwo. Gdybyśmy wzięli to pod uwagę, wszyscy siedzieliby w więzieniu! Kazałem wrzucić te listy do ognia. Ludzie nie są wiele wari, a klęska wyzwala w nich to, co najgorsze. U nas było to samo". Lucile jednak milczała i pozwoliła teściowej, pełnej zapału, wesołej, od młodszej o dwadzieścia lat, przygotować pościel na sofie w łazience. Na własnym materacu, na poduszce w najdelikatniejszej powłóczce, pani Angellier z czułością szykowała po śłanie dla Benoît Sabarie.

Niemcy już dawno poczynili wszelkie przygotowania do organizacji zabawy w zamku Montmortów w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego czerwca. Była to rocznica wkroczenia pułku do Paryża, jednak nie uświadamiali Francuzom powodu, który kazał wybrać akurat ten dzień, mając na względzie narodową dumę pokonanych. Ludy doskonale znają swoje własne wady, znają je lepiej niż najbardziej nieżyczliwy obserwator z zewnątrz. W przyjacielskiej rozmowie, jaką Bruno von Falk odbył niedawno z pewnym młodym Francuzem, tamten powiedział:

— My o wszystkim bardzo szybko zapominamy, i to jest zarazem nasza słabość i nasza siła. Po roku osiemnastym zapomnieliśmy, że byliśmy zwycięzcami, i to nas zgubiło; a po czterdziestym zapomnimy, że zostaliśmy pobici, i może to nas ocali.

— A u nas Niemców zarazem największą narodową wadą i największą zaletą jest brak taktu, czyli mówiąc inaczej brak wyobraźni; nie potrafimy się postawić na czyimś miejscu, ranimy bez potrzeby, budzimy nienawiść, ale to nam pozwala działać w sposób sztywny i niezawodny. A ponieważ Niemcy obawiali się tego braku taktu, więc szczególnie uważali na każde swoje słowo w stosunkach z tubylcami, co zyskało im w oczach tychże miano hipokrytów. Nawet kiedy Lucile zapytała, z jakiej okazji ten wieczór, Bruno odpowiedział wymijająco, że mają zwyczaj zbierać się koło

dwudziestego czwartego czerwca, w najkrótszą noc roku, ale na ten dzień zarządzono wielkie manewry, więc przyśpieszono datę zabawy.

Wszystko było gotowe. W parku stanęły nakryte stoły, mieszkańców poproszono, by na kilka godzin pożyczyci swoje najpiękniejsze obrusy. Z największym szacunkiem, z wielką troską żołnierze pod kierunkiem samego Brunona dokonywali wyboru w stosach wzorzystych nakryć wydobytych z głębi szaf. Mieszczki z oczami wzniesionymi do nieba — jakby się spodziewały, myślał złośliwie Bruno, że zejdzie stamtąd święta Genowefa we własnej osobie i spiorunuje niemieckich świętokradców, zdolnych sięgnąć łapą do tych rodzinnych skarbów z najdelikatniejszego płótna z haftem i monogramami wśród wyszywanych kwiatów i ptaszków — mieszczki trzymały straż i liczyły przy żołnierzach serwetki.

— Miałam cztery tuziny, czterdzieści osiem, panie poruczniku, a widzę tylko czterdzieści siedem.

— Pani pozwoli, że razem policzymy. Jestem pewien, że niczego nie zabrano, ponosi panią emocja. Proszę, oto czterdziesta ósma, leżała u pani stóp. Pozwoli pani, że podniosę i pani podam.

— Ach tak, widzę, przepraszam pana, ale — odpowiadała mieszczka ze swoim najbardziej kwaśnym uśmiechem — kiedy wszystko się tak przewraca, rzeczy znikają jeśli się nie uważa.

Znalazł jednak sposób, żeby je ułagodzić, mówił, pięknie salutując:

— Oczywiście, nie mamy prawa o to prosić. Rozumie pani, że to się nie mieści w kontrybucjach wojennych...

Insynuował wręcz, że gdyby generał wiedział...

— Jest taki surowy... mógłby nas zrużać, bo działamy bezczelnie. Ale jest tak nudno. Chciałoby się mieć dobrą zabawę. Prosimy panią o przysługę. Ma pani absolutne prawo odmówić.

Magiczne słowa! Najbardziej nachmurzona twarz od razu się rozpromieniała czymś w rodzaju uśmiechu (blade i niechętnie słońce zimowe na jednym z ich starych domów, zamożnych i popadających w ruinę, pomyślał Bruno).

— Ależ proszę pana, dlaczego nie zrobić wam przyjemności? Tylko niech pan uważa na obrusy, które dostałam w posagu!

— Proszę pani, przysięgam, że oddamy uprane mydłem, uprasowane, nietknięte...

— Nie, proszę oddać bez prania. Dziękuję! Prać moje obrusy mydłem! Proszę pana, my ich nawet nie dajemy do praczki! Służąca robi pranie w mojej obecności. Używamy delikatnego popiołu...

Nie pozostawało nic innego, jak słodki uśmiech.

— Coś podobnego, to zupełnie jak u mojej mamy.

— Naprawdę? Pańska matka też...? Ciekawe. Może potrzebne też serwetki?

— Nie śmiałem pani o to prosić.

— Dam panu dwa, trzy, cztery tuziny. Chce pan sztucce?

Wychodzili z naręczami świeżej i pachnącej bielizny stołowej, z kieszeniami pełnymi nożyków do deseru, z kilkoma antycznymi pucharami na poncz, z dzbankiem do kawy z czasów Napoleona o zdobionym uchwycie, który nieśli przed sobą jak Najświętszy Sakrament. Wszystko czekało w kuchniach zamkowych na dzień festynu.

Młode dziewczyny ze śmiechem zaczepiały żołnierzy.

— A jak będziecie tańczyć bez kobiet?

— Będziemy musieli. Jest wojna, panienki.

Orkiestra miała grać w cieplarni. Przy wejściu do parku postawiono kolumny i maszty obwieszane girlandami, miały tu zawisnąć sztandary; sztandar pułku, który uczestniczył w kampanii w Polsce, Belgii i we Francji i przeszedł jako zwycięzca przez trzy stolice, a także sztandar ze swastyką, ubarwiony, jak by powiedziała Lucile, krwią całej Europy. Niestety tak, całej Europy, w tym także Niemiec, i to krwią najszlachetniejszą, najmłodszą, najbardziej zapalczywą, która leje się pierwsza w bitwach, a potem to, co pozostaje, musi posłużyć do odnowienia świata.

Ciężarówki ze skrzynkami szampana przyjeżdżały codziennie z Chalon-sur-Saône, z Moulins, Nevers, Paryża i Epernay. Skoro nie będzie kobiet, to będzie wino, muzyka i fajerwerki na stawie.

— Przyjdziemy to zobaczyć — odgrażały się młode Francuzki. — Tego wieczoru zapomnimy o godzinie policyjnej. Słyszycie? Skoro wy się wygłupiacie, to przynajmniej my też

trochę się zabawimy. Przyjdziemy na drogę koło parku i popatrzymy na wasze tańce.

Ze śmiechem przymierzały koronkowe kapelusiki, maski, papierowe kwiaty do włosów. Na jakie święto przeznaczone były te ozdoby? Wszystko trochę pogniecione, lekko wyblakłe, już wcześniej używane albo należące do zapasów jakiegoś nocnego lokalu w Cannes czy Deauville, który przed trzydziestym dziewiątym rokiem szykował się na kolejne sezony.

— Ale będziecie w tym śmiesznie wyglądali — mówiły kobiety.

Żołnierze odpowiadali na te komentarze nieco zirytowani.

Szampan, muzyka, taniec, odrobina przyjemności... żeby na kilka chwil zapomnieć o wojnie i przemijaniu czasu. Niepokojono się tylko możliwością deszczu. Ale noce były tak pogodne... I nagle takie nieszczęście! Towarzysz zabity, poległy bez chwały, tchórzliwie zgładzony przez jakiegoś pijanego wieśniaka. Zastanawiano się, czy nie odwołać zabawy. Ale nie! Panował duch wojenny, który po cichu godzi się z tym, że ledwie umrzesz, towarzysze rozdysponują twoje koszule, twoje buty i będą całą noc graли w karty, podczas gdy ty spoczywasz w kacie namiotu... jeśli w ogóle znajdą się jakieś twoje szczątki! Taki duch raczej uznaje śmierć za rzecz naturalną, zwykły los żołnierza, i nie godzi się, by poświęcać z jej powodu choćby najdrobniejszą rozrywkę. Zresztą oficerowie powinni przede wszystkim myśleć o podwładnych, których należało jak najszybciej oderwać od demoralizujących rozmyślań o przyszłych niebezpieczeństwach i krótkości życia. Nie! Bonnet zginął bez zbytnich cierpień. Miał piękny pogrzeb. Nie chciałby, żeby z jego powodu odebrać towarzyszom taką rozrywkę. Zabawa odbędzie się w wyznaczonym terminie.

Bruno oddawał się owej dziecięcej ekscytacji, trochę szalonej i niemal rozpaczliwej, która ogarnia żołnierzy w chwilach, gdy na froncie panuje rozejm i można spodziewać się odmiany w codziennej monotonii. Nie chciał myśleć o Bonnecie, ani o tym, co Francuzi szepczą za zamkniętymi okiennicami tych szarych, zimnych, wrogich domów. Podobnie jak dziecko, które zamiast obiecaney wizyty w cyrku musi zostać w domu z powodu choroby starej i nudnej kuzynki, miał ochotę powiedzieć:

„Ale to mnie nie obchodzi. To wasze problemy. Co ja mam do tego?”. Co ma z tym wspólnego on, Bruno von Falk? Nie był jedynie żołnierzem Rzeszy. Nie poruszały go wyłącznie interesy pułku i ojczyzny. Był najbardziej ludzkim z ludzi. Sądził, że podobnie jak wszystkie istoty szuka szczęścia, swobodnego rozwoju własnych możliwości i że (niestety podobnie jak u wszystkich istot w tym okresie) to uprawnione pragnienie było nieustannie zakłócanie przez jakąś rację stanu, którą nazywano wojną przez bezpieczeństwo publiczne, konieczność zachowania prestiżu zwycięskiej armii. Trochę tak jak dzieci książąt, których egzystencję określają monarsze plany ich rodziców. Czuł ową królewskość, ów refleks wielkości niemieckiej siły, kiedy szedł ulicami Bussy, kiedy przejeżdżał konno przez miasteczko, kiedy dzwonił ostrogami na progu francuskiego domostwa. Ale Francuzi nie mogli zrozumieć, że nie był zarozumiały ani arogancki, tylko autentycznie skromny i przestraszony ogromem swojego zadania.

Ale akurat dzisiaj nie chciał o tym myśleć. Wolał wyobrazić sobie bal i marzyć o sprawach nierealnych, na przykład o bliskości Lucile, o Lucile, która będzie mogła pójść z nim na zabawę. Bredzę, z uśmiechem powiedział do siebie. No, to tym gorzej, w duchu jestem wolny.

W myślach projektował suknię Lucile, nie współczesną ale przypominającą romantyczny sztych, białą suknię z wielkimi muślinowymi falbanami, poszerzającą się na kształt korony, tak żeby tańcząc z nią trzymając ją w ramionach, czuł chwilami wokół nóg muśnięcia piany jej koronek. Zbladł i przygryzł wargi. Ona była taka piękna. Ta kobieta u jego boku w taką noc w parku Montmortów, przy dźwięku fanfar i ogni bengalskich... Przede wszystkim kobieta, która podzielałaby niemal religijny duchowy dreszcz, zrodzony z samotności, ciemności i świadomości istnienia owej ciemnej i strasznej mnogości — pułku, żołnierzy w oddali — a jeszcze dalej całej armii cierpiącej i walczącej, a także armii zwycięskiej biwakującej w miastach.

Przy tej kobiecie byłbym geniuszem, pomyślał. Dużo pracował. Żył w nieustannym twórczym podnieceniu, oszołomiony muzyką jak mówił ze śmiechem. Tak, przy tej kobiecie, mając odrobinę swobody, odrobinę pokoju, mógłby dokonać rzeczy



wielkich. To szkoda, myślał, szkoda... któregoś dnia przyjdzie rozkaz wymarszu i znowu wojna, inni ludzie, inne kraje, zmęczenie fizyczne. Nigdy nie uda mi się skończyć z żołnierskim życiem. A ona wymaga odpowiedniego przyjęcia... Na progu tłoczą się frazy muzyczne, cudowne akordy, subtelne dysonanse... stworzenia skrzydlate i płochliwe, które odstrasza szczęk broni. To szkoda. Czy Bonnet lubił coś poza walką? Nie mam pojęcia. Nigdy do końca nie znamy żadnej istoty. Ale jeśli tak było... to on, który zginął w dziewiętnastym roku życia, zrealizował się w większym stopniu niż ja, który jeszcze żyję.

Zatrzymał się przed domem Angellierów. Był u siebie. W ciągu tych trzech miesięcy przyzwyczał się traktować jak swoją własność tę bramę z żelazną sztabą, ten więzienny zamek, przedpokój pachnący piwnicą i ogrodem, ogród skąpany w blasku księżyca, i lasek w dali. W ten czerwcowy wieczór o boskiej wręcz słodyczy otwierały się pąki róż, ale ich zapach był słabszy od zapachu siana i truskawek, który od poprzedniego dnia unosił się nad całą okolicą, jako że rozpoczęły się wielkie prace polowe. Porucznik mijał po drodze wozy pełne świeżo skoszonej trawy ciągnione przez woły, ponieważ brakowało koni. W milczeniu podziwiał powolny i majestatyczny krok tych zwierząt! poprzedzających pachnący ładunek. Chłopi odwracali głowy na jego widok, zauważał to... ale... Znowu był w wesołym i pogodnym nastroju. Wszedł do kuchni i zażądał jedzenia. Kucharka obsłużyła go z niezwykłym uśmiechem, nie reagując na żarciki.

— Gdzie pani? — spytał w końcu.

— Tu jestem — odezwała się Lucile.

Weszła bezszelestnie, kiedy kończył pochłaniać plaster surowej szynki na wielkiej kromce świeżego chleba. Podniósł wzrok.

— Jaka pani blada — powiedział tonem czułym i pełnym niepokoju.

— Blada? Nie. Ale przez cały dzień było bardzo gorąco.

— A gdzie pani teściowa? — zapytał z uśmiechem. — Chodźmy się przejść. Proszę towarzyszyć mi do ogrodu.

Trochę później, kiedy szedł powoli szeroką alejką pomiędzy drzewami owocowymi, zbliżała się z opuszczoną głową. W od-

ległości kilku kroków zawahała się, a potem, kiedy duża lipa skryła ich przed wzrokiem ciekawych, jak zwykle podeszła do niego i wzięła go pod rękę. Przeszli w milczeniu kilka kroków.

— Skoszono łąki — powiedziała w końcu.

Wdychał zapach z zamkniętymi oczami. Księżyc miał kolor miodu na mętym, mlecznym firmamencie, po którym przemykały niewielkie chmurki. Było jeszcze widno.

— Jutro będzie piękna pogoda na naszą zabawę.

— To już jutro? Myślałam, że... Zamilkła.

— Odwołano zabawę? — spytał, marszcząc brwi.

— Po prostu zastanawiałam się... Nerwowo uderzał w kwiaty szpicrutą.

— Co się mówi w okolicy?

— O czym...?

— Wie pani. O zbrodni.

— Nie wiem. Z nikim się nie widziałam.

— A co pani o tym myśli?

— Że to straszne, oczywiście.

— Straszne i niezrozumiałe. W końcu co takiego im zrobiliśmy, my jako ludzie? Jeśli czasem przeszkadzamy, to nie nasza wina, wykonujemy jedynie rozkazy, jesteśmy żołnierzami. A ja mam świadomość, że pułk zrobił wszystko, co możliwe, żeby zachować się poprawnie, po ludzku. Prawda?

— Z pewnością — odparła Lucile.

— Oczywiście nikomu bym tego nie powiedział. Przyjęło się u nas, że nie należy się rozczulać nad losem poległego kolegi. To sprzeczne z duchem wojskowym, który wymaga, żebyśmy myśleli o sobie jedynie w kontekście całości. Mogą ginąć żołnierze, byle pułk trwał! Dlatego właśnie nie odwołamy jutrzejszej zabawy — kontynuował. — Jednak pani, Lucile, mogę to powiedzieć. Serce mi krwawi na myśl o śmierci tego dziewiętnastoletniego chłopca. Był moim dalekim kuzynem. Nasze rodziny się znały. I jest jeszcze jedna głupia sprawa, która mnie oburza. Dlaczego zabił psa, naszą maskotkę, naszego biednego Bubiego? Jeśli kiedyś odnajdę tego człowieka, z przyjemnością zabiję go własnymi rękami.

— Niewątpliwie od dawna musiał sobie to samo powtarzać — powiedziała cicho Lucile. — Jeśli wpadnie mi w ręce jeden z tych Niemców, a choćby tylko ich pies, zrobią to bez chwili wahania! Spojrzeli na siebie skonsternowani; słowa wyszły z ich ust niemal bez ich udziału. Milczenie jedynie przydało im wagi.

— To stara historia — powiedział Bruno, starając się mówić lekkim tonem. — *Es ist die alte Geschichte*. Zwycięzca nie rozumie, o co te ciągle pretensje. Po tysiąc dziewięćset osiemnastym roku na próżno staraliście się przekonać nas, że jesteśmy zawzięci, bo nie możemy zapomnieć naszej zatopionej floty, straconych kolonii, zniszczonego imperium. Ale jak można porównywać żale wielkiego narodu ze ślepym wybuchem nienawiści wieśniaka?

Lucile zerwała kilka listków rezedy, powąchała je i zgmiotła w dłoni.

— Nie znaleziono go? — spytała.

— Nie. On już jest daleko. Nikt z tych pocziwców nic ośmieliłby się go ukrywać. Zbyt dobrze wiedzą, co ryzykują, a zależy im na życiu, prawda? Prawie tak samo jak na pieniądzech.

Z niemal niewidocznym uśmiechem patrzył na niskie, przysadziste, skryte, uśpione w mroku domy, ze wszystkich stron nacierające na ogród. Widać było, że w jego wyobraźni w domach tych mieszkają stare kobiety, gadatliwe i sentymentalne, mieszcзки ostrożne, pedantyczne i chciwe, a dalej na wsi chłopci przypominający bestie. To była niemal prawda, część prawdy. Pozostawał jednak pewien cień, ciemność, tajemnica, którą pomyślała nagle Lucile, przypominając sobie lekturę szkolną, „największy nawet tyran nigdy nie zawładnie”.

— Chodźmy trochę dalej — zaproponował.

Po obu stronach alejki rosły lilie, długie satynowe pąki rozwinęły się w ostatnich promieniach słońca i teraz dumne, sztywne i pachnące kwiaty wystawiały się na wieczorny wietrzyk. Odkąd się poznali trzy miesiące wcześniej, Lucile i Niemiec odbyli wspólnie wiele spacerów, ale nigdy w tak piękną

pogoda, tak nastrajającą do miłości. Oboje starali się zapomnieć o wszystkim, co nie dotyczyło ich samych. To nas nie obchodzi, to nie nasza wina. W sercu każdej kobiety i każdego mąż-czyzyny istnieje rodzaj Edenu, w którym nie ma ani śmierci, ani wojny, w którym drapieżniki i ofiary bawią się w pokoju. Nie chodzi o odnalezienie tego raju, tylko o zamknięcie oczu na wszystko, co nim nie jest. Jesteśmy mężczyzną i kobietą. Kochamy się.

Mówili sobie, że rozum, a nawet serce mogłoby uczynić ich wrogami, ale istnieje porozumienie zmysłów, którego nic nie rozerwie, milczące porozumienie, wiążące wspólnym pożądaniem zakochanego mężczyznę i przyzwalającą kobietę. W cieniu czereśni uginającej się pod ciężarem owoców, w pobliżu niewielkiej fontanny, skąd dochodziła skarga ropuch, chciał ją pojąć. Porwał ją w ramiona z brutalnością, nad którą nie panował, rozdzierał jej ubranie, przyciskał piersi. Krzyknęła: „Nie! Nie! Nigdy!”. Nigdy nie będzie należała do niego. Nie pragnęła już jego pieszczot. Nie była na tyle zdeprawowana (może za młoda!), żeby z samego strachu zrodziła się żądza. Miłość przyjęta przez nią z taką czułością, że nie mogła uwierzyć, by była uczuciem nagannym, wydała jej się nagle wstydliwym otumanieniem. Kłamała, zdradzała go. Czy to można było nazwać miłością? A czym? Jedyne godziną przyjemności? Ale teraz nie potrafiła jej doznać. To, co czyniło ich nieprzyjaciółmi, to nie był ani rozum, ani serce, tylko te mroczne poruszenia krwi, które miały ich połączyć, nad którymi nie mieli żadnej władzy. Dotykał ją swymi pięknymi delikatnymi dłońmi, ale nie czuła tych rąk, których pieszczoty niegdyś pragnęła. Zimna klamra pasa przyciśnięta do piersi mroziła ją aż do serca. On szeptał coś po niemiecku. Obcy! Obcy! Wróg mimo wszystko i na zawsze wróg w tym zielonym mundurze, z pięknymi włosami w kolorze blond, który nie był stąd, z ustami pełnymi ufności. Nagle to on ją odepchnął.

— Przecież nie wezmę pani siłą. Nie jestem pijanym wieśniakiem. Proszę odejść.

Jednak muślinowy pasek sukni zaczepił się na metalowym guziku oficera. Odplątał go powoli drżącymi rękami. Ona

tymczasem z niepokojem patrzyła na dom. Zapalały się pierwsze lampy. Czy stara pani Angellier będzie pamiętała, że trzeba zasunąć podwójne zasłony, żeby na szybie nie pokazał się cień uciekiniera? Stanowczo zbyt ufano tym pięknym czerwcowym zmierzchom. Wydawały sekrety bezbronych otwartych pomieszczeń, do których wdzierały się spojrzenia. Nie było w ogóle mowy o nieufności. Z sąsiedniego domu wyraźnie słychać było rozgłoszenie angielskiego radia; przejeżdżający ulicą wóz wyładowany był kontrabandą; w każdym domostwie ukrywano broń. Bruno z opuszczoną głową trzymaj w ręku długie, zwiewne końce paska. Nie śmiał się poruszyć ani odezwać. W końcu powiedział ze smutkiem: — Sądziłem...

Nie skończył, po chwili wahania podjął znowu:

— Że ma pani dla mnie trochę czułości...

— Ja też tak sądziłam.

— Ale nie?

— Nie, to niemożliwe.

Oddaliła się i przystanąła kilka kroków od niego. Patrzyli na siebie przez chwilę. Rozległy się rozdzierające dźwięki trąbki: godzina policyjna. Na placu żołnierze niemieccy mijali grupki miejscowych. No dosyć, pora do łóżka, mówili spokojnie. Kobiety protestowały ze śmiechem. Trąbka odezwała się po raz drugi. Mieszkańcy wracali do domów. Niemcy królowali samotnie. Tylko monotonne kroki wartowników będą zakłócały sen. — Godzina policyjna — powiedziała Lucile bezbarwnym głosem. — Muszę wracać. Muszę pozamykać wszystkie okna. Powiedziano mi wczoraj w Kommandantur, że światła w salonie nie są wystarczająco zasłonięte.

— Dopóki ja tu jestem, proszę się niczym nie martwić. Dadzą pani spokój.

Nie odpowiedziała. Podała mu rękę, którą ucałował, po czym skierowała się w stronę domu. Dobrze po północy on jeszcze przechadzał się po ogrodzie. Słyszała krótkie monotonne zawołania wartowników na ulicy i te powolne, odmierzone kroki strażnika więziennego. Chwilami myślała: „On mnie kocha, to nie ulega wątpliwości”, a chwilami: „Nie ufa, wypatruje, czeka”.

Szkoda, pomyślała nagle w gwałtownym przebłysku szczerości. Szkoda, ten piękny wieczór... stworzony był do miłości... nie należało go tracić. Reszta nie ma znaczenia. Nie wykonała jednak żadnego ruchu, nie wstała z łóżka, by podejść do okna. Czuła się skrupowana, uwięziona, solidarna z tym uwięzionym krajem, który cichutko wzdychał z niecierpliwości i marzył; pozwalała płynąć jałowej nocy.

Od wczesnego popołudnia miasto przybrało radosny wygląd. Żołnierze ozdobili liśćmi i kwiatami maszty na placu, a na balkonie merostwa pod flagą ze swastyką łopotały banderole z czerwono-czarnego papieru z gotyckimi inskrypcjami. Pogoda była wspaniała. Lekki świeży wietrzyk rozwiewał sztandary i wstążki. Dwaj młodzi żołnierze o rumianych twarzach ciągnęli wózek pełen róż.

— To na stoły? — pytały zaciekawione kobiety.

— Tak — odpowiadali z dumą żołnierze. Jeden z nich wybra I ledwie zawiązany pączek i ofiarował go z pięknym ukłonem młodej dziewczynie, która oblała się rumieńcem.

— To będzie piękna zabawa.

— *Wir hojjèn so.* Mamy taką nadzieję. Bardzo się staramy — mówili żołnierze.

Kucharze pracowali na świeżym powietrzu, szykując na kolację pasztety i ogromne torty. Ulokowali się z dala od kurzu pod wielkimi lipami otaczającymi kościół. Szef kuchni w mundurze, ale w wysokiej czapce i w fartuchu olśniewającej białości, chroniącym kurtkę mundurową, kończył ciasto. Dekorował je arabeskami śmietanowymi i przetykał kandyzowanymi owocami. Powietrze wypełniał zapach cukru. Dzieci wydawały radosne okrzyki. Szef pękał z dumy, choć nie chciał tego okazać, marszczył brwi i mówił do dzieciaków: „Cofnijcie się trochę, nie można przez was pracować”. Kobiety najpierw udawały, że w ogóle się nie interesują tortem. „U... to będzie prymitywne...”

nie mają odpowiedniej mąki...". Stopniowo jednak podchodziły bliżej, najpierw nieśmiało, w końcu coraz pewniej, potem bezczelnie, i zwyczajem kobiet zaczęły udzielać rad.

— Halo, proszę pana, z tej strony za mało udekorowane. Przydałby się panu dziegieł.

Skończyło się na pełnej współpracy. Odpychając zachwycone dzieci, kobiety uwijały się z Niemcami przy stole, jedna siekała migdały, inna kręciła cukier.

— To dla oficerów? Czy żołnierze też dostaną? — dopytywały.

— Dla wszystkich.

— Prócz nas — kpiły.

Szef podniósł fajansowe półmiski, na których spoczywał gigantyczny tort, i skłoniwszy się lekko, zaprezentował je widzom, którzy ze śmiechem bili brawa. Z niezwykłą ostrożnością postawiono tort na desce, którą nieśli dwaj żołnierze (jeden z przodu, drugi z tyłu) i wszyscy ruszyli do zamku. Tymczasem ze wszystkich stron przybywali oficerowie pułków stacjonujących w sąsiedztwie, których zaproszono na festyn. Poły długich zielonych płaszczy trzepotały na wietrze. Uśmiechnięci kupcy czekali na nich w drzwiach swoich sklepów — już od rana wyciągnięto z piwnic ostatnie zapasy. Niemcy kupowali wszystko co się dało, i dobrze płacili. Jeden oficer zgarnął ostatnie butelki benedyktynki, inny kupił damską bieliznę za tysiąc dwieście franków. Żołnierze tłoczyli się przy wystawach i z rozczuleniem patrzyli na różowe i niebieskie śliniaczki. W końcu jeden z nich nie wytrzymał i kiedy oficer się oddalił, zawołał sprzedawczynię i pokazał jej niemowlęcą wyprawkę. Był to młodziutki żołnierz o niebieskich oczach.

— Chłopiec? Dziewczynka? — pytała sprzedająca.

— Nie wiem — odpowiedział z rozbijającą szczerością. — Żona do mnie napisała; to stało się w czasie mojego ostatniego urlopu przed miesiącem.

Wszyscy dokoła wybuchnęli śmiechem. Zarumienił się, ale wydawał się bardzo zadowolony. Namówiono go do kupienia grzechotki i sukieneczki. Przechodził przez ulicę jak triumfator.

Orkiestra ćwiczyła na placu. Kolo kręgu stworzonego przez bębny, trąbki i flety inny krąg otaczał pocztyliona. Francuzi



przyglądali się z otwartymi ustami, z oczami błyszczącymi nadzieją, kiwali głowami kordialnie i melancholijnie. Wiemy jak to jest, kiedy czeka się na wieści z domu, myśleli. Wszyscy przez to przeszliśmy... A tymczasem młody Niemiec o posturze kolosa, z szerokimi biodrami i wielkim tyłkiem, który zdawał się rozsadzać spodnie do konnej jazdy opięte jak rękawiczka, po raz trzeci wszedł do Hôtel des Voyageurs i poprosił o sprawdzenie barometru. Barometr nadal stał w miejscu oznaczającym pogodę. Niemiec, promieniejąc z zadowolenia, stwierdził: — Nie ma się czego bać. Wieczorem nie będzie deszczu. *Colt mii uns.* — Tak, tak — przyznała pokojówka.

To szczere zadowolenie udzieliło się samemu właścicielowi (który z przekonania był anglofilem) i klientom; wszyscy wstali i podeszli do barometru: „Nie ma się czego obawiać. Absolutnie. To dobrze, udana zabawa”, mówili, starając się wysławiać jak najprościej, żeby Niemiec zrozumiał. Klepał wszystkich po plecach z szerokim uśmiechem i powtarzał:

— *Gott mit uns.*

— Oczywiście, oczywiście. Got miu, bu, bu, szwabe — szeptano za jego plecami nie bez sympatii — wiemy, jak to jest. Od wczoraj oblewał tę swoją fetę... niezły typ... ale niby dlaczego mieliby się nudzić? W końcu to mężczyźni!

Swoim wyglądem i słowami Niemiec wytworzył sympatyczną atmosferę, wypił niemal duszkiem trzy butelki wina i wyszedł rozpromieniony. W miarę upływu dnia wszyscy mieszkańcy czuli się coraz lepiej i coraz bardziej się ekscytowali, jakby oni też mieli uczestniczyć w zabawie. W kuchniach młode dziewczyny leniwie płukały szklanki i co chwilę wychylały się przez okna, żeby obserwować grupki Niemców udających się do zamku.

— Widziałaś podporucznika, który mieszka na plebanii? Jaki jest śliczny i gładko ogolony! A to nowy tłumacz Kommandantur! Ile ma lat według ciebie? Moim zdaniem ten chłopak nic ma nawet dwudziestki. Oni wszyscy są bardzo młodzi. A to porucznik od pań Angellier. Dla niego gotowa bym popełnić każde szaleństwo. Widać, że jest dobrze wychowany. Piękny

koń! Mój Boże, jakie oni mają piękne konie — wzdychały młode dziewczyny.

W pewnym momencie rozległ się zgryźliwy głos starca przycupniętego przy piecu:

— Do licha, przecież to nasze konie!

Stary człowiek splunął w popiół i mamrotał przekleństwa, których młode dziewczyny nie słyszały. Chciały jak najszybciej pozmywać naczynia i pójść zobaczyć Niemców. Wzdłuż parku biegła droga wysadzana akacjami, lipami i pięknymi osikami, których liście nieustannie drżały, stale niespokojne. Między gałęziami można było dostrzec jezioro, trawnik, na którym nakryto stoły, a dalej na wzniesieniu zamek z otwartymi drzwiami i oknami, gdzie zagra pułkowa orkiestra. O ósmej zjawiała się cała okolica, młode dziewczyny przyciągnęły rodziców, młode kobiety nie chciały zostawić w domu dzieci, teraz niektóre spały w ramionach matek, inne biegały, krzyczały i bawiły się kamyczkami, jeszcze inne rozsuwały słodkie gałęzie akacji i z zaciekawieniem oglądały widowisko: muzycy na tarasie, niemieccy żołnierze porozkładani na trawie lub przechadzający się leniwie wśród drzew, stoły nakryte olśniewającymi obrusami, srebra błyszczące w ostatnich promieniach słońca, a za każdym krzesłem żołnierz nieruchomy jak podczas parady; byli to ordynansi, którzy mieli podawać do stołu. Wreszcie orkiestra zagrała szczególnie wesołą i porywającą melodię, oficerowie zajęli miejsca. Zanim usiedli, zarówno ten, który siedział na szczycie stołu („honorowe miejsce... to generał", szeptali Francuzi), jak i pozostali, stojąc na baczność, wydali głośny okrzyk *Heil Hitler!*; długo trwało, nim umilkło jego echo, wibrowało w powietrzu metalicznym dźwiękiem, dzikim i czystym. Potem rozległ się szum rozmów, stuk nakryć i śpiew zapóźnionych ptaków.

Francuzi próbowali rozpoznać z daleka znajome twarze. Niedaleko generała o białych włosach, wyrazistych rysach, z długim orlim nosem umieszczono oficerów Kommandantur.

— Ten, którego widzisz po lewej, popatrz, to ten, co mi zabrał samochód, bydlak! Mały różowy blondynek obok jest uprzejmy, dobrze gada po francusku. A gdzie jest Niemiec od Angellierck? Nazywa się Bruno... Ładne imię. Szkoda, bo zaraz

będzie ciemno i nic nie zobaczymy. Ten szkop od szewca mówił mi, że oświetlą się pochodniami! Och, mamó, to będzie pięknie! Jeszcze poczekajmy. A ciekawe co na to kasz-telaństwo? Nie zasną dziś w nocy! A kto pozjada resztki? Pan mer? Uspokój się, głupia, nie będzie żadnych resztek, oni mają niezłe apetyty.

Stopniowo nad trawnikiem rozciągał się mrok, widać było jeszcze błyski, ale mocno przyćmione, złotych ozdób na mundurach, jasnych włosów Niemców, dętych instrumentów orkiestry na tarasie. Zdawało się, że cała jasność dnia, uciekając z ziemi, schroniła się na moment w niebie; spirala różowych chmur otaczała księżyc w pełni, który miał dziwną barwę bardzo jasnej zieleni jak pistacjowy sorbet o twardej przezroczystości lodu; odbijał się na powierzchni jeziora. Powietrze wypełniał cudowny zapach trawy, świeżo skoszonego siana i leśnych poziomek. Orkiestra ciągle grała. Nagle zapaliły się pochodnie; trzymali je żołnierze, oświetliły bałagan na stołach, puste kieliszki, ponieważ oficerowie stłoczyli się wokół jeziora, śpiewali i śmiali się. Słysząc było korki szampana wyskakujące z żywą i wesołą detonacją

— Ach, dranie — mówili Francuzi, jednak bez głębszej urazy, bo każda wesołość jest zaraźliwa i rozbraja ducha nienawiści — pomyśleć, że wypijają nasze wino...

Zdawało się zresztą że ten szampan tak bardzo Niemcom smakuje (a płacili tak drogo!), że Francuzi w jakiś sposób czuli się mile połączani ich dobrym gustem.

— Bawią się, na szczęście nie cały czas jest wojna. Nic martw się, jeszcze sieje naprzyglądają. Mówią że skończy się w tym roku. Oczywiście, to nieszczęście, że oni wygrywają ale nic na to nie można poradzić, to się musi skończyć. W miastach jest zbyt strasznie... niech nam oddadzą naszych jeńców.

Młode dziewczyny tańczyły na drodze, trzymając się w talii, dopóki grała muzyka, lekka i wibrująca. Bębny i instrumenty dęte nadawały tym melodiom, walcom i operetkom, specyficzne brzmienie, zwycięskie, wesołe, heroiczne i radosne zarazem, co przyśpieszało bicie serca. Czasami pośród tych wesołych nut odzywało się niskie, długie i mocne westchnienie jak odgłos dalekiej burzy.

Kiedy nadeszła noc, rozległy się chóry. Grupy wojskowych odpowiadały sobie z tarasu do parku i z brzegów rzeki na jezioro, po którym pływały łódki ozdobione kwiatami. Francuzi przysłuchiwali się, oczarowani niejako wbrew sobie. Dochodziła północ, ale nikt nie zamierzał porzucić swego miejsca w wysokiej trawie, między konarami drzew.

Tylko pochodnie i ognie bengalskie oświetlały teren. Cudowne głosy wypełniały noc. Nagle zapadła absolutna cisza. Biegający Niemcy wyglądali jak cienie na tle zielonych płomieni i światła księżyca.

— Będą fajerwerki! Na pewno będą sztuczne ognie! Wiem, Szkopy mi powiedziały — krzychało jakieś dziecko.

Jego ostry głos niósł się na drugi brzeg jeziora. Matka je skarciła.

— Milcz. Nie należy mówić o nich szkopy czy szwaby. Nigdy! Oni tego nie lubią. Milcz i przyglądaj się.

Ale nie widać było niczego prócz bieganiny podenerwowanych cieni. Ktoś z tarasu wykrzyknął jakieś niezrozumiałe słowa; odpowiedział mu długi i niski jęk jak przetaczający się grzmot.

— Co oni krzyczą? Słyszałeś? Pewnie *Heil Hitler, Heil Goering! Heil Trzecia Rzesza!* lub coś podobnego. Nic już nie słyszać. Nic nie mówią. Popatrzcie, orkiestra się zbiera! Czyżby dostali jakąś wiadomość? Czy przypadkiem nie wylądowali w Anglii? Moim zdaniem na zewnątrz było im zimno i teraz będą się bawić w zamku — stwierdził przymilnym tonem aptekarz, który z powodu reumatyzmu obawiał się wieczornej wilgoci.

Wziął pod rękę młodą kobietę.

— Linette, może my też wrócimy?

Ale aptekarzowa nawet nie chciała o tym słyszeć.

— Poczekajmy jeszcze trochę. Znowu zaczną śpiewać, mają takie piękne głosy.

Francuzi czekali, ale śpiewu nie podjęto. Żołnierze, nosiciele pochodni, biegali z zaniku do parku jakby przekazywali rozkazy. Chwilami słysząc było krótkie zawołania. Łodzie unosiły się puste na jeziorze w blasku księżyca, wszyscy oficerowie zeszli na ląd. Przechadzali się po brzegu, dyskutując żywo podniesio-

nymi głosami. Słysząc było słowa, ale nikt ich nie rozumiał. Ognie bengalskie gasły jeden po drugim. Widzowie zaczęli ziewać. „Jest późno. Wracajmy. Zabawa na pewno już się skończyła”.

Młode dziewczyny trzymały się pod ręce, za nimi szli rodzice, na końcu zaspane dzieciaki; małe grupki ruszyły z powrotem drogą do miasteczka. Przed pierwszym domem starzec palił fajkę, siedząc na wyplatany krześle na skraju drogi.

— No i co? — zapytał. — Zabawa skończona?

— Tak. Ale dobrze się bawili.

— Już niedługo się pobawią — powiedział stary człowiek łagodnym tonem. — Właśnie podali w radiu, że zaczęli wojnę z Rosją.

Kilkakrotnie stuknął fajką w drewnianą ramę krzesła, by wyrzucić popiół, i wymamrotał, patrząc w niebo:

— Jutro jeszcze będzie susza, taka pogoda w końcu może narobić szkód w ogrodzie!

Odchodzą!

Od wielu dni oczekiwano wymarszu Niemców. Oni sami to zapowiedzieli; wysyłano ich do Rosji. Usłyszawszy tę wiadomość, Francuzi przyglądali się im z zaciekawieniem. („Są zadowoleni? Zaniepokojeni? Przegrajączy wygrają?"). Niemcy ze swojej strony próbowali odgadnąć, co się o nich myśli: czy ci ludzie cieszą się z ich odejścia? Czy w głębi duszy życzą im wszystkim śmierci? Czy niektórzy się nad nimi litują? Będą ich żałować? Niejako Niemców, jako najeźdźców (nie byli na tyle naiwni, by sobie zadawać takie pytanie), ale czy będą żałować Paula, Sigfrieda, Oswalda, którzy przez trzy miesiące mieszkali pod ich dachem, którzy pokazywali im fotografie swoich żon czy matek, którzy wypili z nimi niejedną butelkę wina? Ale i Francuzi, i Niemcy pozostawali nieprzeniknieni, wymieniali kurtuazyjne i ostrożne słowa: „To wojna. Na to nie ma rady, prawda? To nie potrwa długo. Trzeba mieć nadzieję!". Rozstawali się z sobą jak pasażerowie statku w ostatnim porcie. Będą do siebie pisać. Kiedyś się spotkają. Zachowają na zawsze dobre wspomnienie o wspólnie spędzonych tygodniach. Niejeden żołnierz szeptał w mroku do zamyślanej dziewczyny: „Wrócę po wojnie". Po wojnie... Jakże to było daleko!

Odchodzą dzisiaj, pierwszego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. Francuzów zajmowało przede wszystkim pytanie, czy miasteczko będzie musiało przyjąć następnych żołnierzy, bo w takiej sytuacji, myśleli z goryczą nie warto

było niczego zmieniać. Do tych już zdążyli się przyzwyczaić. Kto wie, czy nie wyjdą gorzej na takiej zamianie?

Lucile wślizgnęła się do pokoju pani Angellier, żeby jej oznajmić, że to już zdecydowane, nadeszły rozkazy i Niemcy odchodzą jeszcze tej nocy. Zanim przyjdą nowi, można się chyba spodziewać kilku godzin przerwy, które należy wykorzystać na wyekspediowanie Benoît. Nie da się ukrywać go do końca wojny, równie niemożliwe jest odesłanie go do domu, dopóki trwa okupacja. Pozostaje tylko jedyna nadzieja — przekroczyć linię demarkacyjną, która jest pilnie strzeżona, a podczas ruchów wojsk będzie pewnie strzeżona jeszcze intensywniej.

„To bardzo niebezpieczne, bardzo”, wyszeptała Lucile. Była blada i robiła wrażenie zmęczonej; prawie nie spała w ciągu kilku ostatnich nocy. Popatrzyła na stojącego przed nią Benoît, budził w niej dziwne uczucia, na które składał się lęk, niezrozumienie i zazdrość; onieśmielał ją wyraz jego twarzy, niewzruszony, poważny, niemal twardy. Był to mężczyzna wysoki, muskularny, o ciemnej cerze, chwilami trudno było wytrzymać spojrzenie jasnych oczu patrzących spod gęstych brwi. Opalone i pobrużdżone dłonie były rękami rolnika i żołnierza, które obojętnie poruszały glebę i krew, myślała Lucile. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ani wyrzuty, ani niepokój nie zakłócały mu snu, dla tego człowieka wszystko było proste.

— Dobrze się zastanowiłem, pani Lucile — powiedział cicho.

Mimo szczelnie pozamykanych drzwi i zasłoniętych okien, kiedy spotykali się we trójkę, czuli się szpiegowani i wszystko, co mieli do powiedzenia, wypowiadali bardzo szybko i niemal szeptem.

— Nikt w tej chwili nie zdoła mnie przeprowadzić przez linię. To zbyt ryzykowne. Owszem, trzeba wyjechać, ale chciałbym dostać się do Paryża.

— Do Paryża?

— Podczas służby w pułku miałem kumpli... Zawahał się.

— Razem dostaliśmy się do niewoli. Razem uciekliśmy.

Oni pracują w Paryżu. Gdybym tylko mógł się z nimi skontaktować, pomogliby mi. Jeden z nich nie żyłby dzisiaj, gdyby nie... Popatrzył na swoje dłonie i zamilkł.

— Chodzi tylko o to, żeby dotrzeć do Paryża, nie dać się złapać po drodze, a tam ukryć się w bezpiecznym miejscu na dzień czy dwa, zanim znajdę swoich kumpli.

— Nie znam nikogo w Paryżu — wyszeptała Lucile. — Ale w każdym razie będzie potrzebny dowód tożsamości.

— Jak tylko odnajdę przyjaciół, będę miał papiery, pani Lucile.

— W jaki sposób? Czym się zajmują pańscy przyjaciele?

— Polityką — odparł krótko Benoît.

— Ach, komuniści — szepnęła Lucile, przypominając sobie pewne pogłoski na temat poglądów i działań Benoît, jakie krążyły po okolicy. — Teraz komuniści będą tępieni. Ryzykuje pan życie.

— Nie pierwszy i nie ostatni raz, pani Lucile. Człowiek się przyzwyczaja.

— Ale jak dojechać do Paryża? Kolej odpada, bo wszędzie rozesłano pański rysopis.

— Pieszko. Na rowerze. Po ucieczce szedłem piechotą to mi niestraszne.

— Żandarmi...

— Ludzie, u których spałem przed dwoma laty, na pewno mnie poznają i nie wydadzą. To mniej niebezpieczne niż tutaj, gdzie wiele osób mnie nienawidzi. Gdzie indziej ani mnie kochają ani nienawidzą. To łatwiejsze.

— Taka długa droga piechotą, samotnie,..

Pani Angellier, która dotychczas się nie odzywała, stała przy oknie, obserwując krzątanicę Niemców na placu, teraz podniosła rękę w geście ostrzeżenia.

— Wchodzą.

Wszyscy troje zamilkli. Lucile wstydziła się bicia własnego serca, było tak gwałtowne i pośpieszne, że tamci dwoje na pewno je słyszą myślała. Stara kobieta i wieśniak pozostawali nieporuszeni. Z dołu dochodził głos Brunona, szukał Lucile, otwierał kolejne drzwi.

— Gdzie jest młoda pani? — spytał kucharkę.



— Wyszła — odparła Marthe. Lucile odetchnęła.

— Muszę zejść. Na pewno chce się ze mną pożegnać — powiedziała.

— Wykorzystaj to — wtrąciła niespodziewanie pani Angel-lier — i poproś o talon na benzynę i pozwolenie na poruszanie się. Weźmiesz stary samochód, którego nie zarekwirowano. Powiesz Niemcowi, że musisz zawieźć do miasta jednego ze swoich dzierżawców, który jest chory. Z przepustką z Kommandantur nikt was po drodze nie zatrzyma i możecie bezpiecznie dotrzeć do Paryża.

— Och — westchnęła z odrazą Lucile. — Tak kłamać...

— A co innego robisz od dziesięciu dni?

— A gdzie go ukryć w Paryżu, zanim znajdzie swoich przyjaciół? Gdzie znaleźć osoby wystarczająco odważne, oddane, chyba że...

Nagle coś jej się przypomniało.

— Owszem, to możliwe — powiedziała. — W każdym razie istnieje szansa, którą trzeba wykorzystać. Pamięta mama tych paryskich uchodźców, którzy zatrzymali się u nas w czerwcu czterdziestego roku? Małżeństwo pracujące w banku, ludzie już niemłodzi, ale bardzo dzielni i zdeterminowani. Napisali do mnie niedawno i mam ich adres. Nazywają się Michaud. Tak, Jeanne i Maurice Michaud. Może się zgodzą... Zgodzą się na pewno, tylko trzeba by napisać i poczekać na odpowiedź... albo postawić wszystko na jedną kartę... Sama nie wiem...

— Tak czy inaczej poproś o to zezwolenie — poradziła pani Angellier. I dodała z nikłym i przenikliwym uśmiechem: — To znacznie łatwiejsze.

— Spróbuję — szepnęła Lucile.

Bała się chwili, gdy znajdzie się sam na sam z Brunonem. Jednak pośpiesznie zeszła na dół. Lepiej już mieć to za sobą. A jeśli on się czegoś domyśla? Trudno, w końcu jest wojna. Podda się prawom wojny, Niczego się nie boi. Jej pusta i znużona dusza tęskniła skrycie za jakimś wielkim niebezpieczeństwem.

Zapukała do drzwi jego pokoju. Weszła i zdziwiła się, że nie jest sam. Był u niego nowy tłumacz Kommandantur, chudy

rudzielec o kościstej twarzy, z jasnymi rzęsami, i bardzo młody oficer, niewysoki, przy kości, o różowej karnacji, o spojrzeniu i uśmiechu dziecka. Wszyscy trzej pisali listy i szykowali paczki; wysyłali do domów te bibeloty, które żołnierz kupuje, ilekroć uda mu się spędzić trochę czasu w jednym miejscu, jakby chciał stworzyć namiastkę domu, a które przeszkadzają, kiedy rusza na front; te wszystkie popielniczki, zegary, sztychy, a przede wszystkim książki. Lucile chciała wyjść, ale poproszono, by została. Usiadła w fotelu, który przysunął jej Bruno, i obserwowała trzech Niemców. Przeprosili ją i kontynuowali pakowanie, „bo chcemy wyekspediować to wszystko pocztą 0 piątej”.

Zobaczyła skrzypce, niewielką lampkę, słownik francusko--niemiecki, książki francuskie, niemieckie, angielskie i piękny romantyczny sztych przedstawiający żaglowiec na pełnym morzu.

— Znalazłem to w Autun u handlarza starzyzną — wyjaśnił Bruno. Zawahał się chwilę.

— A jednak nie, nie wyślę go. Nie mam odpowiedniego kartonu. Zniszczy się. Czy zechciałaby pani zrobić mi przyjemność, przyjmując ode mnie ten sztych? Będzie dobrze wyglądał na ścianie tego trochę ponurego pokoju. Temat okolicznościowy. Proszę popatrzeć. Groźna, czarna pogoda, statek, który się oddala... niejasna, biała nadzieja... Proszę przyjąć jako pamiątkę od żołnierza, który odjeżdża i więcej pani nie zobaczy.

— Zachowam go, *mein Herr*, z powodu tej białej linii na horyzoncie — powiedziała cicho Lucile.

Skłonił się i powrócił do wcześniejszych przygotowań. Na stole stała zapalona świeca; zbliżył do płomienia wosk do lakowania, przytknął pieczęć do zawiązanej sznurkiem paczki i przycisnął gorący wosk pierścieniem zdjętym z palca, Ten widok przypomniał Lucile dzień, kiedy grał dla niej na pianinie, a ona trzymała w rękach ten pierścień, jeszcze rozgrzany ciepłem jego ciała.

— Tak — powiedział, raptownie podnosząc wzrok. — Szczęście skończone.

— Sądzi pan, że ta nowa wojna potrwa długo? — spytała

i natychmiast miała sobie za złe, że zadała to pytanie. Zupełnie jakby zapytać kogoś, czy zamierza długo żyć. Co zapowiada, co niesie ta nowa wojna? Serię druzgocących zwycięstw czy klęskę? Długą walkę? Kto to wie? Kto ośmieliłby się zgłębiać przyszłość? Chociaż właściwie wszyscy to robią... i zawsze na próżno...

Zdawał się czytać w jej myślach.

— W każdym razie przyniesie dużo cierpienia, bólu i krwi — powiedział. Jego dwaj towarzysze porządkowali swoje rzeczy, podobnie jak on.

Niewysoki oficer z niezwykłą starannością zawijał raketę tenisową, a tłumacz wielkie i piękne księgi oprawne w żółtą skórę.

— Traktaty ogrodnicze — wyjaśnił Lucile — ponieważ w cywilu jestem architektem ogrodów pochodzących z tej epoki, z czasów Ludwika XIV — dodał lekko napuszonym tonem.

Iluż to Niemców w całym miasteczku, w kawiarniach, w zajmowanych przez nich mieszczańskich domach pisało teraz do swoich żon, narzeczonych, rozstając się ze swoją doczesną własnością, jak w przeddzień śmierci? Lucile odczuwała głęboką litość. Widziała na ulicy konie wracające od kowala i siodlarza, niewątpliwie już gotowe do wymarszu. Dziwne wydawało się, że te zwierzęta, oderwane od prac polowych we Francji, wysyła się na drugi koniec świata. Tłumacz, który zauważył, czemu się przygląda, powiedział niezwykle serio:

— Udajemy się do krainy bardzo pięknej dla koni... Niewysoki porucznik skrzywił się.

— Ale nie tak pięknej dla ludzi.

Lucile uznała, że pomysł tej nowej wojny najwyraźniej przepelnia ich smutkiem, broniła się jednak przed zbytnim zgłębianiem ich odczuć, nie chciała dostrzec niespodziewanie na fali emocji kilku przeblysków tego, co nazywano „morale żołnierza”. To właściwie zadanie szpiega i wstydzilaby się je wypełniać. Zresztą teraz знаła ich już wystarczająco, by wiedzieć, że na pewno będą się dobrze bili!... Poza tym między młodym człowiekiem, którego tu widzę, a jutrzejszym wojownikiem rozciąga się przepaść, powiedziała sobie. Doskonale wiadomo, że istota ludzka jest złożona, wieloznaczna, podzie-

lona, zaskakująca, ale potrzeba wojny czy wielkich wstrząsów, żeby to zobaczyć. To najbardziej pasjonujące i najbardziej straszne przedstawienie, pomyślała jeszcze; najstraszniejsze dlatego, że prawdziwe; nie można się chlubić znajomością morza, jeśli nie widziało się go zarówno w czasie sztormu, jak i spokoju. Tylko ten zna mężczyzn i kobiety, kto obserwował ich w czasach takich jak te, pomyślała. I tylko ten zna siebie samego. Jak mogła przypuszczać, że potrafi zwrócić się do Brunona tym naturalnym, niewinnym tonem, w którym nawet pobrzmiwała szczerłość.

— Przyszłam prosić pana o wielką przysługę.

— Proszę tylko powiedzieć, w czym mogę być użyteczny?

— Czy mógłby pan mnie polecić któremuś z panów w Kommandantur, żebym pilnie otrzymała zgodę na poruszanie się i talon na benzynę.

Powinnam zawieźć do Paryża...

Już kiedy zaczęła mówić, doszła do wniosku, że jeśli powie mu o chorym dzierżawcy, to on się zdziwi, gdyż w sąsiedztwie są dobre kliniki, w Creusot, w Paray czy w Autun...

— Powinnam zawieźć do Paryża jednego z moich dzierżawców. Jego córka jest tam na służbie, ciężko zachorowała i wzywa ojca. Jazda pociągiem zajęłaby temu nieszczęśnikowi zbyt dużo czasu. Wie pan, że to sezon ważnych prac polowych. Jeśli spełni pan moją prośbę, odbędziemy całą podróż w obie strony w jeden dzień.

— Pani Angellier, nie musi pani zwracać się do Kommandantur — wtrącił żywo niewysoki oficer, który obrzucał ją z daleka spojrzeniami nieśmiałymi i pełnymi podziwu. — Mam wszelkie pełnomocnictwa, by dać pani tę zgodę i talon na benzynę. Kiedy chce pani jechać?

— Jutro.

— A, jutro — szepnął Bruno. — To będzie pani przy naszym odjeździe.

— Na którą godzinę wyznaczono wymarsz?

— Na jedenastą. Podróżujemy nocą z powodu bombardowań. Ostrożność ta wydaje się zbyt duża, skoro księżyc świeci jak w dzień. Ale armia żyje tradycją.

— Teraz panów zostawię — powiedziała Lucile, wzięwszy za dwa rogi kartkę, na której Niemiec coś nabazgrał: niewątp-

liwie chodziło o życie i wolność człowieka. Spokojnie złożyła papier i wsunęła pod pasek, przy czym najmniejszym nawet gestem nie zdradziła swojego zdenerwowania.

— Będę przy waszym odjeździe.

Bruno spojrział na nią, zrozumiała jego milczącą prośbę.

— Panie poruczniku, przyjdzie pan się ze mną pożegnać? Teraz wychodzę, ale o szóstej już będę z powrotem.

Trzech młodych ludzi poderwało się, stukając obcasami; chwilami ta przestarzała, trochę sztuczna kurtuazja żołnierzy Rzeszy wydawała jej się komiczna. Teraz pomyślała, że będzie jej brakowało tego lekkiego dzwonięcia ostróg, całowania w rękę, owego podziwu, którym darzyli ją niemal wbrew sobie ci żołnierze bez rodziny, bez kobiety (nie licząc najpodlejszego ich rodzaju). W ich szacunku do niej krył się odcień czulej melancholii, jakby dzięki niej odnajdywali cząstkę dawnego życia, w którym uprzejmość, wykształcenie, rycerskość wobec kobiet należały do wartości bardziej cenionych niż nieumiarkowane picie czy zdobycie w natarciu nieprzyjacielskiej pozycji. W ich stosunku do niej była wdzięczność i tęsknota, ona domyślała się tego i to jęrczowało. Z wielkim zaniepokojeniem czekała nadejścia godziny ósmej. Co on jej powie? Jak się rozstaną? Istniał między nimi cały świat niejasnych, niewypowiedzianych odcieni, coś tak kruchego jak cenny kryształ, który można rozbić jednym słowem. On z pewnością to wyczuwał, ponieważ przebywał z nią zaledwie krótką chwilę. Zdjął czapkę (może jego ostatni cywilny gest, pomyślała Lucile z uczuciem czułości i bólu), ujął jej obie dłonie. Nim je ucałował, na chwilę przytulił do nich policzki, gestem zarazem łagodnym i władcym. Wzięcie w posiadanie? Próba wypalenia wspomnienia na podobieństwo pieczęci?

— Żegnam — powiedział. — Żegnam. Nigdy pani nie zapomnę.

Nie odpowiedziała. Zobaczył, że ma oczy pełne łez. Odwróci! głowę.

— Proszę posłuchać — rzekł po chwili. — Chcę zostawić pani adres jednego z moich stryjów, który też się nazywa von Falk. To brat mojego ojca. Zrobił błyskotliwą karierę i jest w Paryżu przy...

Wymówił bardzo drugie niemieckie nazwisko.

— Do końca wojny jest komendantem wielkiego Paryża, krótko mówiąc, rodzajem wicekróla, i we wszystkim polega na moim stryju. Mówiłem mu o pani i prosiłem, żeby pomógł pani w miarę swoich możliwości, gdyby pani kiedykolwiek miała kłopoty (trwa wojna i Bóg jeden wie, co jeszcze nam wszystkim może się przydarzyć...).

— Bruno, jest pan bardzo dobry — powiedziała cicho.

W tym momencie nie wstydziła się go kochać, ponieważ umarło w niej pożądanie i została jedynie litość i głęboka, niemal macierzyńska czułość. Zmusiła się do uśmiechu.

— Podobnie jak ta chińska matka, która wysyłając syna na wojnę, zalecała mu ostrożność, „ponieważ wojna nie jest wolna od niebezpieczeństw”, tak ja proszę, żeby przez pamięć o mnie starał się pan oszczędzać swoje życie.

— Bo jest ono cenne dla pani? — dopytywał się z niepokojem.

— Tak. Ponieważ jest dla mnie cenne.

Powoli uścisnęli sobie dłonie. Odprowadziła go przed dom. Tu czekał ordynans, trzymając za uzdę konia Brunona. Było późno, ale nikt nie myślał o spaniu. Wszyscy chcieli zobaczyć wymarsz Niemców. W tych ostatnich godzinach jakaś melancholia, jakaś ludzka czułość połączyła jednych i drugich, zwyciężonych i zwycięzców; gruby Erwald o szerokich biodrach, który tak dobrze pił, był zabawny i pełen krzepy; mały Willy, zwinny i wesoły, który nauczył się francuskich piosenek (podobno w cywilu był kłownem); biedny Johann, który stracił podczas bombardowania całą rodzinę oprócz teściowej, bo zawsze „miał pecha”, jak mówił; wszyscy oni będą narażeni na ogień, kule, śmierć. Ilu zostanie pogrzebanych na rosyjskich równinach? Choćby nie wiem jak szybko, jak szczęśliwie zakończyła się wojna, ilu biednych ludzi nie zobaczy tego błogosławionego końca, tego dnia zmartwychwstania? Noc była cudowna, czysta, oświetlona księżycem, nawet cienia wiatru. Nastąpiła pora obrywania gałązek lipy. Mężczyźni i chłopcy wchodzili na konary pięknych drzew o ciężkim listowiu i obrywali gałązki; kobiety i dziewczynki, mając u stóp te pachnące naręcza, zrywały kwiaty, które schły następnie przez całe lato na prowincjonal-

nych strychach, a w zimie robiło się z nich napar. W powietrzu unosił się cudowny, upajający zapach. Było tak dobrze, tak spokojnie! Dzieci bawiły się, goniły; wchodziły na schodki starej kalwarii i patrzyły na drogę.

— Widać ich? — pytały matki.

— Jeszcze nie.

Punkt zborny wyznaczono przed zamkiem i pułk w szyku miał przemaszerować przez miasteczko. Gdzieś w cieniu bramy rozlegały się szepty, odgłosy pocałunków... pożegnania bardziej czułe od innych. Żołnierze byli w mundurach polowych, mieli ciężkie hełmy i maski gazowe na piersiach. Wreszcie rozległ się krótki dźwięk bębna. Pojawili się żołnierze maszerujący ósemkami i w miarę ich zbliżania się spóźnialscy, po ostatnim pożegnaniu, pocałunku wysłanym ruchem warg śpieszyli na wcześniej wyznaczone miejsca, na których dosięgnie ich przeznaczenie. Słysząc było jeszcze pojedyncze śmiechy, widzowie wymienili z żołnierzami jeszcze kilka żartów, ale wkrótce wszystko ucichło. Zjawił się generał. Wyjechał na koniu przed front oddziałów. Zasalutował żołnierzom, zasalutował też Francuzom i odjechał. Za nim szli oficerowie, potem motocykliści pilnujący szarego samochodu, w którym jechała Kommandantur. Potem przeszła artyleria, przejechały armaty na lawetach, a na każdej z nich leżał człowiek z twarzą na wysokości podstawy działa, karabiny maszynowe, wszystkie te lekkie i mordercze urządzenia, których przejazd widywano podczas ćwiczeń i przyzwyczajono się oglądać je bez lęku, obojętnie. Teraz nagle nie można było patrzeć na nie bez dreszczu, tak jak na działka przeciwlotnicze wycelowane w niebo. Za nimi jechała ciężarówka po brzegi wyładowana wielkimi bochnami czarnego chleba, świeżo upieczonego i pachnącego, samochody Czerwonego Krzyża, jeszcze puste... Kuchnia polowa podskakująca na końcu orszaku jak garnek przywiązany do psiego ogona. Mężczyźni zaczęli śpiewać pieśń, poważni) i powolną, która rozpląwała się w mroku. Wkrótce na miejscu niemieckiego pułku unosiło się tylko trochę kurzu na drodze.

# ANEKSY



## I

Odręczne zapiski Irenę Nemirovsky dotyczące sytuacji we Francji i projektowanej *Suity francuskiej*

Mój Boże! Co ze mną robi ten kraj? Ponieważ mnie odrzuca, zastanówmy się nad nim na zimno, przypatrzmy się, jak Francja traci honor i życie. A inne kraje co dla mnie znaczą? Imperia giną. Nic nie ma znaczenia. Czy patrzy się na to z punktu widzenia mistycznego, czy osobistego, na jedno wychodzi. Zachowajmy trzeźwą głowę. Utwardźmy serce. Czekajmy.

**21 czerwca.** Rozmowa z Pied-de-Marmite. Francja pójdzie ręką w rękę z Niemcami. Wkrótce będzie tu mobilizacja, ale obejmie „tylko młodych”. Zostało to powiedziane niewątpliwie z uwagi na Michela. Jedna armia idzie przez Rosję, druga nadchodzi z Afryki. Suez wzięty. Japonia ze swoją wspaniałą flotą bije Amerykę. Anglia prosi o litość.

**25 czerwca.** Niebywały upał. Ogród zdobią czerwcowe kolory: błękit, delikatna zieleń i róż. Zgubiłam pióro. Są jeszcze inne zmartwienia, takie jak groźba obozu koncentracyjnego, status Żydów itd. Niezapomniana niedziela. Rosja jak grom z jasnego nieba spadający na naszych przyjaciół po ich „szalonej nocy” nad stawem. Razem z nimi cały świat jest pijany. Czy opiszę to pewnego dnia?

**28 czerwca.** Odchodzą. Przez 24 godziny byli przygnębieni, teraz są weseli, zwłaszcza kiedy są razem. Pieszczoszek mówi ze smutkiem, że „skończyły się szczęśliwe czasy”. Wysyłają paczki do domu. Widać gołym okiem, że są nadmiernie podekscytowani. Godna podziwu

dyscyplina i, jak mi się zdaje, żadnego buntu w głębi duszy. Przysięgam sobie, że już nigdy nic będę kierowała swojej urazy, choćby najbardziej usprawiedliwionej, na grupę ludzi bez względu na ich rasę, religie, przekonania, przesady czy błędy. Żal mi tych nieszczęsnych dzieci. Nie potrafię przebaczyć jednostkom, które mnie odpychają, rozmyślnie porzucają, zawsze gotowe wymierzyć niespodziewany cios. Niech tylko wpadną mi w ręce... Kiedy się to skończy? Oddziały, które były In zeszłego lata, mówiły „Boże Narodzenie”, potem lipiec. Teraz koniec '41 Mówi się tu o wyzwoleniu terytorium oprócz strefy zakazanej i wybrzeży Wydaje się, że w wolnej strefie mają wojnę w nosie. Ponowna uważna lektura *Dziennika ustaw* przywraca mi nastrój sprzed kilku dni.

*Twój, o Syzyfie, trzeba wskrzesić gest,*

*By taki udźwignąć ciężar.*

*Choć serce słabość zwycięża,*

*Cel jest daleki, a czas krótki jest!*

*Le Vin de solitude*, przez Irenę Nemirovsky dla Irenę Nemirovsky 1942 Francuzi byli zmęczeni republiką jak starą małżonką. Dyktatura była dla nich miłością, cudzołóstwem. Co prawda bardzo chcieli zdradzić żonę, ale nie chcieli jej zamordować. A teraz widzą, że itli republika, ich wolność jest martwa. I oplakują ją.

Wszystko, co od pewnego czasu robi się we Francji w pewnej klasie społecznej, ma jeden motyw: strach. To on wywołał wojnę, klęskę i aktualny pokój. Francuz z tej kasty nie czuje nienawiści do nikogo, nie odczuwa ani zazdrości, ani zawiedzionej ambicji, nie pragnie też naprawdę odwetu. Ma pietra. Kto mniej mu dokuczy (nie w przyszłości, nie abstrakcyjnie, ale natychmiast pod postacią kopów w dupę i policzków)? Niemcy? Anglicy? Rosjanie? Niemcy go pobili, ale lanie już zostało zapomniane, a Niemcy mogą być teraz obrońcami Dlatego właśnie jest „za Niemcami”. Najsłabszy uczeń w szkole woli dokuczliwość jednej osoby od niezależności; tyran go dręczy, ale broni przed tym, by inni go nie okradali, by go nie bili. Jeśli ucieknie tyranowi, zostaje sam w zamieszaniu bitewnym.

---

<sup>1</sup>Parafraza przekładu B. Wieniawy-Długoszowskiego.

Między tą kastą, z której wywodzą się rządzący nami aktualnie, a resztą narodu rozpościera się przepaść. Pozostali Francuzi, posiadając mniej, mniej się boją. Kiedy tchórzostwo nie dławi już w duszy lepszych uczuć, mogą się one narodzić (patriotyzm, umiłowanie wolności itp.). To prawda, ostatnio powstało wiele nowych fortun, ale są to fortuny w zdewaluowanym pieniądzu, którego nie da się zamienić na prawdziwe dobra, ziemię, biżuterię itp. Nasz rzeźnik, który zarobił pięćset tysięcy franków w walucie, której wartość za granicą (dokładnie zerową) zna, jest mniej przywiązany do swoich pieniędzy niż jakiś Pericand czy Corbin<sup>2</sup> do swoich nieruchomości, banków itd. Świat w coraz większym stopniu dzieli się na posiadających i nieposiadających. Ci pierwsi nie chcą niczego porzucić, a ci drudzy chcą wziąć wszystko. Kto zwycięży?

Osoby najbardziej znieawidzone we Francji w 1942 roku to Philippe Henriot<sup>3</sup> i Pierre Laval. Pierwszy jako Tygrys, drugi jako Hiena; wokół pierwszego unosi się zapach świeżej krwi, a wokół drugiego smród padliny.

Mers-el-Kebir bolesne otępienie Syria obojętność

Madagaskar jeszcze większa obojętność. W sumie liczy się tylko pierwszy szok. Można się przyzwyczaić do wszystkiego, zwłaszcza do tego, co dzieje się w strefie okupowanej: masakry, prześladowania, planowy rabunek to jakby strzały wbijające się w błoto!... błoto serc.

Chce się nam wmówić, że żyjemy w epoce wspólnoty, w której jednostka powinna zginąć, aby mogła żyć społeczność, a nie chcemy dostrzec, że to społeczność ginie, by mogli żyć tyrani.

---

<sup>2</sup> Postaci z powieści, z części *Czerwcowo burza*. (Wszystkie przypisy pochodzą od francuskiego wydawcy).

<sup>3</sup> Deputowany katolicki z okręgu Gironde. Philippe Henriot (1889— 1944), był jednym z najbardziej słuchanych i najskuteczniejszych propagandystów reżimu Vichy. Członek milicji od chwili jej powstania w 1943 r., na początku 1944 r. został członkiem rządu Pierre'a Lávála i opowiadał się za pełną kolaboracją. Zgładzony przez ruch oporu w czerwcu 1944 r.

Ten wiek, który uważa się za „wspólnotowy”, jest bardziej indywidualistyczny od renesansu czy epoki wielkich feudalów. Wszystko dzieje się tak, jakby na świecie istniała suma wolności i władzy podzielona albo pomiędzy miliony, albo pomiędzy *jedną osobę* a miliony. „Bierzcie ode mnie resztki”, mówią dyktatorzy. Więc niech mi nikt nie opowiada o duchu wspólnoty. Chętnie zginę, ale jako Francuz i rezoner chcę rozumieć, dlaczego umieram; ja, Jean-Mahe Michaud\*, umieram za Lávala, Henriota i innych panów, tak jak kurczak, któremu podrzyna się gardło, żeby podać go na stół owych zdrajców. A ja utrzymuję, że kurczak jest więcej wart niż ci, którzy go zjedzą. Wiem, że jestem bardziej inteligentny, lepszy, cenniejszy z punktu widzenia dobra od wyżej wymienionych. Oni mają siłę, ale jest to siła tymczasowa i zwodnicza. Czas im ją odbierze, klęska, pech, przypadek, choroba (jak było w przypadku Napoleona). I świat się zdziwi: jak to? powiedzą ludzie, to przed tym tak drżeliśmy! Wykazuję prawdziwego ducha wspólnoty, jeśli bronię swojej części i części wszystkich przed żarłocznością. Jednostka jest cenna tylko wtedy, kiedy odczuwa emocje innych ludzi, to oczywiste. Ale muszą to być „inni ludzie”, nie „inny człowiek”. Dyktatura opiera się na tym pomieszaniu. Napoleon pragnie jedynie wielkości Francji, jak twierdzi, ale woła do Mettemicha: „W nosie mam życie milionów ludzi”. Hitler: „Nie działałem dla siebie, tylko dla Europy” (na początek powiedział: „Nie działałem dla niemieckiego ludu”). Jego myśl jest myślą Napoleona: „Mam w nosie życie i śmierć milionów ludzi”.

### **DO CZERWCOWEJ BURZY**

Przydałoby się:

1. Bardzo szczegółowa mapa Francji albo przewodnik Michelina
2. Komplet kilku gazet francuskich i zagranicznych z okresu od 1 czerwca do 1 lipca.
3. Traktat o porcelanie.
4. Ptaki w czerwcu, nazwy i śpiew.
5. Książka o mistycyzmie (chrzestnego), księdza Bréchara,

#### ***Uwagi o tym, co już zostało napisane:***

1. Testament — za dużo mówi.
2. Śmierć księdza — melodramat.

Postać z powieści.

3. Nîmes? Dlaczego nie Tuluza, którą znam?

4. Ogólnie za mało prostoty!

[Irène Nemirovsky dodała po rosyjsku: „na ogół często są to osoby zbyt wysoko uplasowane”].

**30 czerwca 1941.** Pogłębić postacie rodziny Michaud. Ciągłe obrywają, jedyni naprawdę szlachetni. Ciekawe, że masę, nienawistną masę, tworzą w większości takie porządne typy. Ani masa przez to nie staje się lepsza, ani oni nie stają się gorsi.

Jakie obrazy zasługują na przekazanie potomności?

1. Kolejki o świcie.

2. Przybycie Niemców.

3. W mniejszym stopniu zamachy i rozstrzeliwanie zakładników, raczej głęboka obojętność ludzi.

4. Jeśli chcę zrobić coś uderzającego, nie będę pokazywać nędzy, tylko występujące obok bogactwo.

5. Kiedy Hubert ucieka z więzienia, do którego zaprowadzono nieszczęśników, zamiast opisywać śmierć zakładników, powinnam pokazać zabawę w Operze i po prostu osoby naklejające na murach afisze, jedną z nich rozstrzelano o świcie. To samo po wojnie bez przeciążania Corbina. Tak, to powinno się pokazywać za pomocą przeciwstawięń, słowo o nędzy, dziesięć o egoizmie, tchórzostwie, konfraterni, zbrodni. Nic nigdy nie będzie tak eleganckie! Ale prawdą jest, że oddycham tym powietrzem. Łatwo to sobie wyobrazić: obsesja jedzenia.

6. Pomyśleć też o mszy na ulicy de la Source, rankiem w ciemnej nocy.

Kontrast! Tak, coś w tym jest, coś, co może okazać się bardzo

nowatorskie i bardzo mocne. Dlaczego tak rzadko się tym posługuję w

***Dolce!*** A przecież, zamiast się skupiać na Madeleine — na przykład cały rozdział „Madeleine-Lucile” może zostać wyeliminowany, sprowadzony do kilku wyjaśnień, które przeszłyby do rozdziału „Pani Angellier-Lucile”.

Natomiast należy opisać szczegółowo przygotowania do niemieckiej zabawy. To może ***an impression of ironie contrast, to receive the force of the contrast. The reader has only to see and hear\****.

\* Wrażenie ironicznego kontrastu, dostrzec .siłę tego kontrastu. Czytelnik ma tylko patrzeć i słuchać.

**Osoby w kolejności pojawienia się (tak jak zapamiętałam):**

Pericandowie — Corte — Michaudowie — Właściciele — Lu-cile — Łajdacy? — Chłopi itd. — Niemcy — Szlachta.

Trzeba by przyczepić do początku Huberta, Corte'a i Jules'a Blanca, ale zepsułoby mi to jednolitość tonacji dla *Dolce*.

Zdecydowanie uważam, że trzeba zostawić *Dolce* tak jak jest, za to wprowadzić wszystkich bohaterów *Burzy*, ale w taki sposób, by każdy z nich miał fatalny wpływ na Lucile, Jeart-Marie i innych (także Francję). Sądzę (rezultat praktyczny), że *Dolce* powinno być krótkie. W istocie wobec 80 stron *Burzy Dolce* będzie miało pewnie sześćdziesiąt, nic więcej. *Niewola* natomiast powinna dojść do stu.

Popatrzmy

Dwa pozostałe            50 "

3904, powiedzmy 400 stron pomnożone przez 4. Boże, to 1600 stron maszynopisu. *Well, well, if I live in it!* Wreszcie, jeśli 14 lipca zjawią się ci, którzy obiecali, to jedną z konsekwencji będzie przynajmniej jedna, jeśli nie dwie części mniej.

W istocie to jak w muzyce, czasami słyszymy orkiestrę, a czasami tylko solo skrzypiec. W każdym razie tak powinno być. Połączyć [dwa słowa po rosyjsku...] i uczucia indywidualne. Tutaj interesuje mnie historia świata.

Uwaga na niebezpieczeństwo: zapomnienie o przemianie charakterów. Oczywiście, upłynęło niewiele czasu. W każdym razie trzy pierwsze części obejmą okres trzech lat. Co do dwóch ostatnich, to Bóg jeden wie, a ja wiele bym dała, żeby się dowiedzieć. Jednak z powodu intensywności i wagi przeżyć ludzkie, którym przydarzają się te rzeczy, muszą się zmienić (...)

Mój pomysł polega na tym, żeby to się rozwijało jak film, jednak chwilami pokusa jest wielka, uległam jej w krótkich zdaniach i w epizodzie, który następuje po seansie w szkole prywatnej, i podałam własny punkt widzenia. Czy trzeba to tropić bez litości?

Zastanowiam się też: *the famous „ impersonality” of Flaubert and*

**BURZA DOLCE NIEWOLA**

80 STRON 60 " 100 "

*his kind lies only in the greater fact with which they express their feelings — dramatizing them, embodying them in living form, instead of stating them directly?*

Such... Czasami nie trzeba wiedzieć, co się dzieje w sercu Lucile, ale pokazać je w oczach innych.

### ***Kwiecień 1942***

Trzeba zrobić suitę z ***Burzy, Dolce i Niewoli***. Należy zastąpić fermę Desjours fermą Mounain, Mam ochotę usytuować ją w Montferroux. Podwójna korzyść; wiąże się ***Burzę i Dolce***, pozbywając się tego, co nieprzyjemne w gospodarstwie Desjours. Trzeba zrobić coś wielkiego i przestać sobie zadawać pytanie po co.

Nie robić sobie złudzeń: to nie na teraz. Więc nie trzeba się krępować, tłuc z całej siły, gdzie się chce.

Do ***Niewoli***: Kolejne postawy Corte'a: narodowa rewolucja, potrzeba wodza. Poświęcenie (wszyscy są zgodni co do konieczności poświęcenia, pod warunkiem że będzie dotyczyło sąsiada), później krótka faza, która zasadniczo przyczyniła się do jego chwały, bo początkowo Corte był nie najlepiej przyjmowany; zajął zbyt francuską postawę, ale drobne i groźne oznaki pozwoliły mu zorientować się, że nie tego trzeba. Owszem, jest patriotą, ale ***dziś Ren płynie po górach Uralu, waha się chwilę, ale potem to staje się warte wszystkich geograficznych fantazji, popularnych w ostatnich latach — granica angielska na Renie, a obydwie linie, i Maginota, i Siegfrieda, są w Rosji, ostatni twór Horacego (down him)***.

Co do L. 5 to będzie musiał być on, bo to drań. A w naszych czasach drań jest więcej wart niż porządny człowiek.

***Niewola*** — żadnej sztuczności. Opowiedzieć, czym się stają ludzie, i nic więcej.

Dzisiaj, 24 kwietnia, po raz pierwszy od bardzo dawna trochę spokoju; nasycić się przekonaniem, że sekwencja ***Burzy***, jeśli mogą tak powiedzieć, powinna być, jest arcydziełem. Pracować nad tym usilnie.

Corte należy do tych pisarzy, których użyteczność okazuje się niewątpliwa w latach po klęsce; nie miał sobie równych w znajdowaniu przyzwoitych formułek służących do ozdobienia nieprzyjemnych realiów. Np. armia francuska się nie wycofała, a jedynie przegrupowała! Kiedy liże się buty Niemcom, to oznacza, że ma się poczucie rzeczywistości. Mieć poczucie wspólnoty to znaczy zawładnąć produktami żywnościowymi na użytek nielicznych.

Chyba trzeba będzie zastąpić truskawki niezapominajkami.

Wydaje się niemożliwe, by w tym samym czasie kwitły czereśnie, a truskawki nadawały się do jedzenia.

Znaleźć sposób włączenia Lucile do *Burzy*. Kiedy małżonkowie Michaud odpoczywają jedną noc w drodze, ta oaza, śniadanie i wszystko powinno się wydawać doskonale — porcelanowe filiżanki, róże z kroplami wilgoci ściśnięte w bukietach na stole (róże z czarnymi sercami), maszynka do kawy otoczona błękitną parą itd.

Uderzyć w literatów. Np. A.C. A.R., który napisał artykuł „Czy smutek Olympia jest arcydziełem?”. Nigdy nie uderzano w pewnych literatów typu A.B. itd (wilki wzajemnie się nie zjadają).

W sumie rozdziały napisane do 13 maja 1942:

1) Przybycie, 2) Madeleine, 3) Madeleine i jej mąż, 4) Nieszpory, 5) Dom, 6) Niemcy w miasteczku, 7) Szkoła prywatna, 8) Ogród i wizyta wicehrabiny, 9) Kuchnia, 10) Wyjazd pani Angellier, Pierwszy rzut oka na ogród Perrinów, 11) Deszczowy dzień.

DO ZROBIENIA:

12) Choroba Niemca, 13) Lasek de la Maie, 14) Panie Perrin, 15) Ogród Perrinów, 16) Rodzina Madeleine, 17) Wicehrabina i Benoît, 18) Denuncjacja? 19) Noc, 20) Katastrofa u Benoît, 21) Madeleine u Lucile, 22) Zabawa na wodzie, 23) Kości rzucone.

*Pozostaje do zrobienia: 12, połowa 13, 16, 17 i ciąg dalszy.* Madeleine u Lucile — Lucile u pani Angellier — Lucile i Niemiec — Zabawa na wodzie — Wymarsz.



DO *NIEWOLI* DO OBOZU KONCENTRACYJNEGO  
BLUŹNIER-STWO OCHRZCZONYCH ŻYDÓW „BOŻE, WYBACZ  
NAM NASZE GRZECHY, JAK MY WYBACZAMY TOBIE”. —

Oczywiście nie powiedzieliby tego męczennicy.

Żeby zrobić dobrze, należałoby zrobić 5 części: /. *Burza*

2. *Dolce*

3. *Niewola*

4. *Bitwy?*

5. *Pokój?*

Tytuł całości: *Burza* lub *Burze*, a pierwsza część mogłaby się nazywać *Kłeska*.

Jednak wszystkie te byty łączy epoka, tylko i wyłącznie. Czy to wystarczy? Chodzi mi o to, czy ten związek jest wystarczająco odczuwalny?

A więc Benoît po zabiciu (czy próbie zabicia) Bonneta (bo muszę się jeszcze zastanowić, czy nie lepiej pozostawić go przy życiu ze względu na przyszłość) ucieka; ukrywa się w lesie Maie, a potem, ponieważ Madeleine boi się, że ktoś może ją śledzić, kiedy będzie mu nosiła jedzenie, u Lucile. Wreszcie w Paryżu u Michaudów, dokąd posłała go Lucile. Ścigany, ucieka w porę, ale gestapo przeprowadza u Michaudów rewizję, znajduje notatki Jeana-Marie do jego przyszłej książki, bierze je za ulotki i aresztuje go. W więzieniu spotyka Huberta, który dał się przymknąć za jakieś głupstwa. Hubert mógłby wyjść bez problemu, dzięki poparciu wpływowej rodziny, całkowicie oddanej kolaboracji, ale z dziecinady, z zamiłowania do literatury przygodowej itd. woli ryzykować życie, uciekając z Jeanem-Marie. Pomaga im Benoît i jego towarzysze. Później, znacznie później, bo tymczasem trzeba, żeby Jean-Marie i Lucile się pokochali, ucieczka z Francji. To powinno kończyć *Niewolę* i tak jak mówiłam:

— Benoît komunista

— Jean-Marie mieszczanin

Jean-Marie umiera jak bohater. Ale jak? Czym jest heroizm w dzisiejszych czasach? Równoległe do tej śmierci należałoby pokazać śmierć Niemca w Rosji, obydwie przesyczone bolesną szlachetnością.

Adagio: trzeba odnaleźć te wszystkie terminy muzyczne (*presto, prestissimo, adagio, andante, eon amore itd.*).

Muzyka; Adagio z opusu 106., wielki poemat o samotności — 20. wariacja na temat Diabla, tego sfinksa o ciemnych brwiach, który kontempluje przepaść — Benedictus z *Missa solemnis* i ostatnie sceny *Pars ifata*.

Wywodzi się to stąd, że naprawdę kochają się Lucile i Jean-Mane. Co zrobić z Hubertem? Niewyraźny plan; po zabiciu Bonneta Benoît ucieka. Ukrywają go u Lucile. Po wyjściu Niemców Lucile boi się trzymać go w miasteczku i nagle przychodzi jej do głowy Mi-chaudowie.

Chciałabym, żeby J. Marie i Hubert zostali przez Niemców aresztowani z różnych powodów. W ten sposób można by wprowadzić śmierć Niemca. Lucile może wpaść na pomysł, by zwrócić się do niego o pomoc w ratowaniu J. Marie? To wszystko jeszcze bardzo niesprecyzowane. Do przemyślenia.

Z jednej strony chodziłoby mi o jakąś ogólną ideę, z drugiej...

Tołstoj na przykład taką ideą psuje wszystko. Potrzebni są ludzie, ludzkie reakcje, i nic więcej...

Ograniczmy się do wielkich ludzi interesu i sławnych pisarzy. W końcu to są prawdziwi królowie.

Co do *Dolce* to szanująca się kobieta może przyznać się bez wstydu do „tych niespodzianek zmysłów, które rozum zwycięża”, jak powiedziała by Pauline (Corneille).

2 czerwca 1942: Nie wolno zapominać, że wojna przeminie i tło historyczne zblednie. Starać się wyciągnąć jak najwięcej spraw, rozważań, które będą mogły zainteresować ludzi w 1952 czy w 2052 roku. Przeczytać ponownie Tołstoja. Wyraziste obrazy, ale nie historyczne. Trwać przy tym. Na przykład w *Dolce* Niemcy w wiosce. W *Niewoli* pierwsza komunia Jacqueline i wieczór u Ariette Corail.

2 czerwca 42 — muszę zacząć się zajmować formą, jaką będzie miała skończona powieść! Nie skończyłam jeszcze drugiej części, a już widzę trzecią? Za to czwarta i piąta są zupełnie w lesie, i to w jakim! To wszystko naprawdę w ręku bogów, bo nie wiadomo, co

się wydarzy. A bogowie mogą się zabawiać wprowadzeniem stu albo tysiącletniej przerwy, zgodnie z modnym teraz określeniem, i ja będę już daleko. Jednak bogowie nie zrobią mi tego. Bardzo liczę również na przepowiednię Nostradamusa. 1944! O Boże!

A tymczasem co do formy... czy raczej powinnam powiedzieć rytmu. Rytmu w sensie kinematograficznym... wzajemne relacje pomiędzy częściami. *Burza, Dolce*, słodycz i tragedia. *Niewola?* Coś głuchego, dusznego, możliwie najbardziej nieprzyjemnego. A potem nie mam pojęcia.

Ważne — relacje pomiędzy poszczególnymi częściami dzieła. Gdybym więcej wiedziała o muzyce, pewno by mi to pomogło. A z braku muzyki to, co nazywamy rytmem filmowym. Czyli troska o różnorodność z jednej strony i harmonię z drugiej. Film w kinie powinien mieć jedność, ton, styl. Np. te amerykańskie sceny uliczne, gdzie zawsze odnajdujemy drapacze chmur, czujemy ciepły, przytłumiony klimat nowojorski. A więc jedność całego filmu, ale różnorodność poszczególnych części. Dążenie — zakochani — śmiech, łzy itd. Taki rodzaj rytmu chciałabym osiągnąć.

A teraz bardziej przyziemne pytanie, na które nie mogę znaleźć odpowiedzi: czy nie zapomni się bohaterów pomiędzy jednym a drugim tomem? I aby uniknąć takiego utrudnienia, chciałabym zrobić nie dzieło w kilku tomach, ale jeden gruby tom o 1000 stron.

3 lipca 42 — zdecydowanie, przynajmniej jeśli sprawy nie będą trwały i nie skomplikują się podczas tego trwania! Niech to się skończy dobrze lub źle!

Wystarczą 4 części. W 3., *Niewoli*, losy wspólnoty i przeznaczenie jednostki są mocno powiązane. W 4. bez względu na rezultat (ROZUMIEM, O CO MI CHODZI) indywidualny los oddziela się od tamtego. Z jednej strony los narodu, a z drugiej Jean-Marie i Lucile, ich miłość, muzyka Niemca itd.

A oto, co mi przyszło do głowy:

1) Benoit ginie w rewolucji, bójce czy podczas próby rewolty, w zależności od tego, co przyniesie rzeczywistość.

2) Corte. Myślę, że to może być dobre. Corte bardzo się bał bolszewików. Jest zagorzałym kolaborantem, ale w wyniku zamachu na przyjaciela czy urażonej pychy dochodzi do wniosku, że Niemcy są zgubieni. Więc chce się zasłużyć u lewych goszystów! Najpierw przychodzi mu na myśl Jules Blanc, ale kiedy go zobaczył, uznał, że [nieczytelne słowo rosyjskie], zwrócił się zdecydowanie w stronę młodej, działającej grupy, która założyła... [niedokończone zdanie].

Do *Niewoli*:

Na początek: Corte, Jules Blanc u niego. Potem kontrast: może Lucile u Michaudów. Potem: Pericandowie.

Możliwie jak najwięcej zgromadzeń niehistorycznych, ale tłum, życie światowe, walki na ulicy lub coś w tym stylu. Przybycie.

Ranek. Odjazd.

Te trzy epizody powinny zostać bardziej uwypuklone. Wartością tej książki powinno być zachowanie tłumy.

W czwartej części pewna jestem tylko śmierci Niemca w Rosji.

Żeby zrobić dobrze, trzeba by pięciu części po 200 stron każda.

Książka na 1000 stron. O Boże!

Uwaga. Ukradzenie kolacji Corte'owi przez proletariuszy powinno mieć wielki wpływ na bieg wydarzeń. Normalną koleją rzeczy Corte powinien zostać zagorzałym nazistą, mogą jednak, jeśli zechcą, jeśli będzie mi to potrzebne, sprawić, by powiedział: „Nie należy mieć złudzeń; to jest przyszłość, należy ona do brutalnej siły, która wyrwała mi posiłek. Są więc dwie możliwości: walczyć z nią lub przeciwnie, od zaraz stanąć na czele ruchu. Dać się unosić fali, ale w pierwszym szeregu? Jeszcze lepiej: próbować nią kierować? Oficjalny pisarz partii. Wielki człowiek partii, che, che!", tym bardziej że Niemcy są dobrze z ZSRR i powinny okazywać mu coraz większą tolerancję. Dopóki trwa wojna, byłoby to czyste szaleństwo ze strony Niemców itd. Później będzie inaczej... Ale później się zobaczy. Pobiegnie się na pomoc najsilniejszemu. Czy Corte może mieć tak cyniczne poglądy? Ależ

tak, w pewnych momentach. Kiedy wypił albo kochał się w pewien szczególny sposób, o którym zwykły śmiertelnik może mieć tylko bardzo blade pojęcie, bo gdyby miał wyraźniejsze, wprowadziłoby go jedynie w przerażenie i panikę. Trudna jest jak zwykle praktyczna strona sprawy. Gazeta, jakieś radio. Swoboda, po cichu subwencjonowana przez Niemców. Do przemycenia.

*AU action is a banie, the only business is peace.*

Wzorem jest w mniejszym stopniu koło niż fala, która wznosi się i opada i czasami na jej szczycie znajduje się mewa, a czasami Duch Zła, a czasem martwy szczur. Dokładnie rzeczywistość, nasza rzeczywistość (nie ma powodów do dumy).

Rytm powinien tu być w ruchu masy, we wszystkich miejscach, gdzie w pierwszej części widzimy tłum, ucieczkę, uchodźców, przybycie Niemców do miasteczka.

W *Dolce*: przybycie Niemców, ale to jeszcze trzeba przejrzeć, ranek, wymarsz. W *Niewoli*: pierwsza komunia, manifestacja (11 listopada 41), wojna? Do przemyślenia. Jeszcze tam nie dotarłam, piszę pod dyktando rzeczywistości.

Jeśli pokażę ludzi, którzy „oddziałują” na wydarzenia, to będzie niezręczność. Jeśli pokażę ludzi działających, będzie to niewątpliwie bliskie rzeczywistości, aie kosztem zainteresowania. Jednak trzeba na tym poprzestać.

To dosyć słuszne (i skądinąd banalne, podziwiamy jednak i kochajmy banał), co mówi Percy, że najlepsze sceny historyczne (zobacz *Wojna i pokój*) to te widziane oczami bohaterów.

Próbowałam zrobić to samo w *Burzy*, ale w *Dolce* wszystko, co się odnosi do Niemców, może i powinno być osobno.

Krótko mówiąc, dobrze byłoby (ale czy to realne) pokazywać marsz niemieckiej armii tylko w scenach nieoglądanych oczami bohaterów. Trzeba by więc zacząć *Burzę* od obrazu ataku na Francję. Trudne. Sądzę, że tę ekspansję, o której mówi Forster, *Wojna i pokój* zawdzięcza temu, że w zamyśle Tołstoja jest pierwszym tomem, po którym powinien nastąpić następny *Dekabryści*, ale że zrobił to nieświadomie (być może, bo naprawdę przecież tego nie wiem, tylko

sobie wyobrażam). Zresztą to, co zrobiło się świadomie czy nie, jest bardzo ważne w takiej książce jak *Burza* i nawet jeśli niektóre postacie doprowadzone są do konkluzji, sama książka powinna robić wrażenie jedynie epizodu... czym w rzeczywistości jest nasza epoka, zresztą tak jak wszystkie inne epoki.

**22 czerwca 42.** Już jakiś czas temu odkryłam technikę, która oddała mi wielkie usługi — metodę pośrednią. Ilekroć pojawiają się kłopoty ze sposobem potraktowania materiału, ta metoda mnie ratuje, nadaje świeżość i siłę każdej historii. Posługuję się nią w *Dolce*, ilekroć pojawia się pani Angellier. Ale ten sposób pokazywania, którego jeszcze nie wykorzystałam, pozwala na wprowadzenie niezliczonych komplikacji.

**1 lipca 42,** oto, co znalazłam do *Niewoli*:

W wyniku ujednoczenia, ciągłego upraszczania całości książka powinna się sprowadzać do walki między przeznaczeniem indywidualnym a wspólnotowym. Nie można stawać po żadnej stronie. Moje stanowisko; reżim burżuazyjny reprezentowany przez Anglie, niestety skończony, wymaga co najmniej odnowy, gdyż w swej istocie jest niezmienny; ale niewątpliwie powróci dopiero po mojej śmierci. Pozostają więc dwie formy socjalizmu. Ani jedna, ani druga mnie nie zachwyca, ale *there are fact&l* Jedna mnie odrzuca, a więc. druga.. Ale to nie wchodzi w rachubę. Jako pisarka powinnam prawidłowo stawiać problem.

Owa walka między dwoma przeznaczeniami pojawia się zawsze podczas zamieszania, nie jest to racjonalne, tylko instynktowne, sądzę, że płacimy za to pewną cenę, ale nie do końca. Ocalenie płynie stąd, że zazwyczaj przydzielony nam czas jest dłuższy od czasu przydzielonego kryzysowi. Wbrew temu, co się sądzi, generał przemija, cała partia pozostaje, przeznaczenie wspólnotowe jest krótsze niż los zwykłej jednostki (to niezupełnie prawdziwe. To inna skala czasu, interesujemy się jedynie wstrząsami, a one albo nas zabijają, albo trwają krócej od nas).

Wracając do mojego tematu: początkowo postawa J. Marie wobec tej wielkiej partii szachów jest przemyślana i pełna dystansu.

Oczywiś-

cie chciałby odwetu Francji, ale zdaje sobie sprawę, że to nic może być celem, bo kto mówi odwet, mówi nienawiść i zemsta, wieczna wojna, a chrześcijanin, którego krępuje myśl o piekle i wiecznej karze, odrzuca myśl, że zawsze będą najsilniejsi i najsłabsi, i zmierza do ujednoczenia. To, czego pragnie, na co ma ochotę, to zgoda i pokój. A kolaboracjonizm, jaki się praktykuje obecnie, wprawia go w obrzydzenie, a z drugiej strony widzi komunizm, który odpowiada Benoit, ale jemu nie. Próbuje więc żyć tak, jakby nie było wielkiego i pilnego wspólnego problemu, jakby nie musiał rozwiązywać własnych problemów. Ale oto dowiaduje się, że Lucile kochała, a może nadal kocha Niemca. Nagle staje po określonej stronie, bo abstrakcja przybrała nieoczekiwany kształt znienawidzonej postaci. Nienawidzi jednego Niemca i w nim, za jego pośrednictwem, nienawidzi czy myśli, że nienawidzi pewnego rodzaju ducha. W rzeczywistości zapomina o własnym losie i myli go z losem innej osoby. Praktycznie na zakończenie *Niewoli* Lucile i J. Marie kochają się, jest to miłość bolesna, niedokończona, niewyznana, w pełnej walce! J. Marie ucieka, aby się bić z Niemcami, o ile pod koniec 42 to jeszcze możliwe!

Część czwarta powinna być powrotem, jeśli nie triumfem rozdziału, w którym pojawia się Jean-Marie. Nigdy nie należy zapominać, że publiczność lubi, kiedy opisuje się życie „bogaty”. Podsumowując: walka między losem indywidualnym a losem wspólnym. Na zakończenie akcentuje się miłość Lucile i Jean-Marie i życie wieczne. Arcydzieło muzyczne Niemca.

Potrzebne także przypomnienie Philippe'a. Co w sumie jest zgodne z moim najgłębszym przekonaniem. Pozostaje:

1) Nasze pokorne życie codzienne 2) Sztuka 3) Bóg

Lasek Maie, 11 lipca 42

Sosny wokół mnie. Siedzę na niebieskim swetrze na środku oceanu liści zgniłych i zmoczonych przez ulewę poprzedniej nocy jak na tratwie z nogami podkurczonymi pod siebie. Włożyłam do torby II tom *Anny Kareniny*, *Dziennik* K.M. i pomarańczę. Trzmielce, moi wielcy przyjaciele, cudowne owady, zdają się zadowolone z siebie, a ich

brzęczenie jest głębokie i poważne. Lubię niskie i poważne tony w głosie ludzkim i w przyrodzie. Drażni mnie piskliwe ćwierkanie ptaków na gałęziach... Za chwilę spróbuję odszukać zagubiony staw. *Niewola*:

- 1) Reakcja Corte'a.
- 2) Zamach przyjaciół Benoît, który przeraża Corte'a.
- 3) Corte dowiadyuje się od gadatliwego Huberta...
- 4) Od Ariette Corail itd.
- 5) Jego kokieteria.
- 6) Denuncjacja. Hubert i J. Marie zostają zamknięci wraz z wieloma innymi.
- 7) Hubert dzięki staraniom swej bogatej i prawomyślnej rodziny zostaje zwolniony. J. Marie skazany na śmierć?
- 8) W tym momencie wkracza Lucile, Niemiec. J. Marie ułaskawiony (tu skondensować więzienie lub coś w tym rodzaju).
- 9) Benoit organizuje jego ucieczkę. Głośna sprawa.
- 10) Reakcja J. Marie wobec Niemiec i Niemców.
- 11) Obaj z Hubertem uciekają do Anglii.
- 12) Śmierć Benoît. Dzika i pełna nadziei.

Przez to wszystko powinna przenikać miłość Lucile do Jeana-Marie. Najważniejsza i najciekawsza jest tu rzecz następująca: fakty historyczne, rewolucyjne itp. powinny być muśnięte, a pogłębione życie codzienne, uczuciowe, i przede wszystkim wynikająca z tego komedia.



## II

### Korespondencja 1936—1945

7 października 1936

Irenę Nemirovsky do Albina Michela

Dziękuję Panu za czek na 4000 F. Pozwoli Pan, że przypomnę wizytę, jaką złożyłam ubiegłej wiosny, podczas której pytałam, czy mógłby Pan zaaranżować coś na przyszłość, gdyż sam Pan rozumie, że moja sytuacja stała się teraz bardzo trudna.

Odpowiedział mi Pan wówczas, że dołoży wszelkich starań, bym się czuła usatysfakcjonowana i prosił, bym mu zaufała. Nie chciał Pan wówczas powiedzieć mi, jak zamierza rozwiązać sytuację, obiecał jedynie załatwić moją sprawę najpóźniej za dwa miesiące. Niemniej jednak nic Pan do mnie w tej sprawie nie napisał od tamtego spotkania, od którego upłynęło już niemal cztery miesiące. Pragnę więc zapytać, jakie są Pańskie zamiary, bo chyba rozumie Pan, jakie wymagania stawia życie przed istotą taką jak ja, nieposiadającą żadnego majątku i utrzymującą się z pisania.

10 października 1938

Wydawnictwo Genio (Mediolan) do Albina Mtchela Będziemy niezwykle wdzięczni za informację, czy pani I. Nemirov-sky należy do rasy izraelskiej. Według włoskiego prawa nie należy zaliczać do rasy izraelskiej osoby, jeśli jedno z rodziców, ojciec czy matka, należy do rasy aryjskiej.

28 sierpnia 1939

Michel Epstein<sup>6</sup> do Albina Michela

Żona przebywa aktualnie z dziećmi w Hendaye (Villa Ene Exea, Hendaye-Plage). Martwię się o nią w tych ciężkich czasach, bo nie ma nikogo, kto w razie potrzeby przyszedłby jej z pomocą. Czy mogę liczyć na Pańską życzliwość i prosić o list polecający, którym mogłaby się ewentualnie posłużyć w kontaktach z władzami i prasą tamtej okolicy (Basses-Pyrénées, Landes, Gironde)?

28 sierpnia 1939

Albin Michel do Michela Epsteina

Nazwisko Irène Némirovsky powinno jej otwierać wszystkie drzwi! Mimo to z największą przyjemnością prześlę Pańskiej żonie liścik polecający do znanych mi dzienników, musiałbym jednak uzyskać pewne szczegóły, których jedynie Pan może mi dostarczyć. Proszę więc, żeby odwiedził mnie Pan dziś wieczorem.

28 września 1939

Robert Esménard<sup>7</sup> do Irène Némirovsky

Przeżywamy teraz niepokojące chwile, które w każdym momencie mogą się przerodzić w tragedię. Jest Pani Rosjanką i Izraelitką i może się zdarzyć, że osoby nie znające Pani — raczej nieliczne, zważywszy na Pani reputację jako pisarki — mogą przysporzyć Pani kłopotów, a wszystko należy przewidywać, więc pomyślałem, że moje świadectwo jako wydawcy może się okazać przydatne. Jestem gotów potwierdzić, że jest Pani pisarką o wielkim talencie, o czym świadczy zresztą sukces Pani dzieł zarówno we Francji, jak i za granicą, gdzie wydano niektóre z nich w przekładach. Jestem również gotów oświadczyć, że od października 1933, kiedy to zgłosiła się Pani do mnie po wydaniu u mojego kolegi Grasseta kilku książek, z których jedna, *David Golder*, okazała się rewelacyjna i posłużyła za uciek przed rewolucją bolszewicką do Paryża, gdzie zosłał prokurentem w Banque des Pays du Nord. Aresztowany w październiku 1942, przewieziony najpierw do Drancy. zginął w Oświęcimiu.

---

<sup>6</sup> Mąż Irène Némirovsky. Był tak jak ona rosyjskim uchodźcą, który

<sup>7</sup> Dyrektor w wydawnictwie Albin Michel i zięć Albina Michela. który w tamtym okresie z uwagi na stan zdrowia nie zarządza! samodzielnie wydaw nictwem.

podstawą do nakręcenia doskonałego filmu, utrzymuję z Panią i jej mężem bardzo serdeczne stosunki towarzyskie, nie ograniczając się jedynie do spraw wydawniczych.

21 grudnia 1939

Tymczasowa przepustka ważna od 24 maja do 23 sierpnia 1940  
(dla Irène Némirovsky)

Narodowość: rosyjska

Ma prawo udać się do Issy-l'Évêque

Dozwolony środek transportu: kolej

Cel podróży: spotkanie z ewakuowanymi dziećmi

12 lipca 1940

Irène Némirovsky do Roberta Esménarda

Dopiero od dwóch dni w miasteczku, w którym się znalazłam, zaczęła jako tako działać poczta. Na wszelki wypadek piszę na Pana paryski adres. Mam głęboką nadzieję, że przetrwał Pan szczęśliwie te straszne chwile i że nie ma Pan powodów, by martwić się o swoich bliskich. Jeśli chodzi o mnie, to operacje wojskowe, choć toczyły się w pobliżu, jednak nas oszczędziły. Aktualnie moim największym problemem jest zdobycie pieniędzy.

9 sierpnia 1940

Irène Némirovsky do panny Le Fur<sup>8</sup>

Mam nadzieję, że dostała Pani mój list potwierdzający otrzymanie 9000 F. A oto dlaczego zwracam się dzisiaj do Pani. Proszę sobie wyobrazić, że w regionalnej gazetce znalazłam następującą wzmiankę:

„W wyniku niedawnej decyzji żaden cudzoziemiec nie może współpracować z nową gazetą”.

Chciałabym otrzymać dokładniejsze informacje na temat tego zarządzenia i pomyślałam, że Pani mogłaby mi w tym pomóc.

Sądzi Pani, że dotyczy to także cudzoziemców, którzy tak jak ja mieszkają we Francji od 1920 roku? Czy dotyczy to pisarzy politycznych, czy także twórców literatury pięknej? Wie Pani, że jestem całkiem odizolowana od świata i nie mam pojęcia o zarządzeniach wprowadzonych ostatnio w prasie.

---

<sup>8</sup> Sekretarka Roberta Esménarda.

Jeśli uzna Pani, że coś mogłoby mnie zainteresować, uprzejmie proszę o poinformowanie mnie o tym. Ale to nie wszystko. Chciałabym jeszcze Panią wykorzystać, wiedząc, jak bardzo jest Pani uczynna i wyrozumiała. Chciałabym wiedzieć, którzy pisarze przebywają w Paryżu i czyje nazwiska pojawiają się w wydawanych gazetach. Mogłaby się Pani dowiedzieć, czy „Gringoire” i „Candide”, a takie wielkie magazyny zamierzają powrócić do Paryża? A wydawnictwa? Które są czynne?

8 września 1940

Irène Némirovsky do panny Le Fur

Jeśli chodzi o mnie, to uparcie krążące tu pogłoski każą mi przypuszczać, że pewnego dnia możemy się znaleźć w wolnej strefie, i zastanawiam się, jak będą wtedy odbierała swoje tantiemy.

4 października 1940

Prawa dotyczące obywateli pochodzenia żydowskiego „Obywatele innych krajów pochodzenia żydowskiego od chwili ogłoszenia niniejszego prawa mogą być internowani w specjalnych obozach w wyniku decyzji prefekta departamentu, w którym zamieszkują. Obywatele pochodzenia żydowskiego mogą zostać w każdej chwili przesiedleni do miejsca zamieszkania wskazanego przez prefekta departamentu, w którym mieszkają”.

14 kwietnia 1941

Irène Némirovsky do Madeleine Cabour<sup>9</sup>

Znasz już wszystkie kłopoty, które mnie dopadły. Ponadto od kilku dni mieszka u nas znaczna liczba tych panów. Odczuwa się to na każdym kroku. Z radością myślę o miejscowości, którą polecasz, chciałabym jednak poprosić o kilka dodatkowych informacji.

- 1) Wielkość Jailly wyrażona liczbą mieszkańców i dostawców.
- 2) Czy jest tam lekarz i aptekarz?
- 3) Czy stacjonują wojska okupacyjne?

---

<sup>9</sup>Madeleine Cabour, z domu Avot, bliska przyjaciółka Irène Némirovsky, z którą w młodości prowadziła obfłą korespondencję. Jej brat. René Avot, zajmie się Elisabeth, w chwili gdy prawna opiekunka obu siostr wróci do Stanów Zjednoczonych. Dziewczynka zostanie u nich aż do swojej dorosłości.

4) Czy łatwo o aprowizację? Czy można kupić masło i mięso? To dla mnie teraz szczególnie istotne ze względu na dzieci; jak wiesz, jedna z dziewczynek niedawno przeszła operację.

10 maja 1941

Irenę Nemirovsky do Roberta Esmenarda Szanowny Panie, pamięta Pan, że 30 czerwca zgodnie z naszą umową powinnam dostać 24 000 F. W tej chwili nie potrzebuję tych pieniędzy, wyznaję jednak, że ostatnie zarządzenia dotyczące Żydów budzą moją obawę, że mogą wyniknąć trudności — co byłoby dla mnie katastrofą — z wypłaceniem tej sumy, które powinno nastąpić za sześć tygodni. Odwołuję się więc do Pańskiej uprzejmości, prosząc, by zechciał Pan przyśpieszyć tę wypłatę, przekazując już teraz czek wystawiony na mojego szwagra Paula Epsteina. Zresztą poprosiłam go, żeby zatelefonował do Pana w tej sprawie. Oczywiście podpisane przez niego pokwitowanie będzie dla Pana równoznaczne z moim podpisem. Przykro mi, że znowu Panu zawracam głowę, ale jestem pewna, że zrozumie Pan powody mojego niepokoju. Mam nadzieję, że wiadomości od A. Michela są niezmiennie bardzo dobre.

17 maja 1941

Irenę Nemirovsky do Roberta Esmenarda Szanowny Panie Esmenard, szwagier poinformował mnie, że przekazał mu Pan 24 000 F, które należały mi się 30 czerwca. Bardzo dziękuję za niezwykle uprzejmość, jaką Pan mi okazuje.

2 września 1941

Michel Epstein do podprefekta Autun\*

Donoszą mi z Paryża, że osoby pochodzenia żydowskiego nie mogą opuszczać terenu gminy bez zgody prefekta.

Dotyczy to mnie i mojej żony, bo choć jesteśmy katolikami, jesteśmy też pochodzenia żydowskiego. Pozwalam sobie poprosić, by zezwolił Pan mojej żonie, z domu Irenę Nemirovsky, i mnie na sześciotygod-

\* Przez departament Saône-et-Loire przebiegała linia demarkacyjna. Funkcje prefekta części okupowanej, w której znajdowała się gmina Issy-l'Évêque, pełnił podprefekt Autun.

niowy pobyt w Paryżu, gdzie również mamy mieszkanie pod numerem 10 przy avenue Constant-Coquelin, w okresie od 20 września do 5 listopada 1941.

Powodem tej prośby jest konieczność uregulowania spraw mojej żony z wydawcą, wizyta u okulisty, który ją od dawna leczy, a także lekarzy, którzy się nami zajmują, profesora Vallery-Radot i prof. Delafontaine. Zamierzamy zostawić w Issy nasze dwie córki w wieku 4 i 11 lat i oczywiście chcielibyśmy mieć pewność, że kiedy już załatwimy sprawy w Paryżu, nasz powrót do Issy nie napotka żadnych przeszkód.

Nasz lekarz w Issy: A. Bendit-Gonin.

8 sierpnia 1941

W „Progres de l'Allier” nr 200

Obowiązek osobistego stawiennictwa obywateli sowieckich, litewskich, estońskich i łotewskich.

„Wszyscy obywatele płci męskiej, którzy skończyli 15 lat, narodowości radzieckiej, litewskiej, estońskiej i łotewskiej, podobnie jak osoby pozbawione obywatelstwa, które miały wcześniej obywatelstwo radzieckie, litewskie, estońskie i łotewskie, mają się zgłosić w Kreiskommandantur w swojej dzielnicy najpóźniej do soboty 9 sierpnia 1941 (do południa) wraz z dowodem tożsamości, Osoby, które się nic zgłoszą, zostaną ukarane zgodnie z dekretem o obowiązku osobistego stawiennictwa.

Fel dkom mandant”.

9 września 1941

Irène Némirovsky do Madeleine Cabour

Wreszcie wynajęłam tu odpowiedni dom, wygodny, z dużym ogrodem. Mam się wprowadzić 11 listopada, jeśli ci panowie nas nic wyprzedzą, bo znowu są spodziewani.

13 października 1941

Irène Némirovsky do Roberta Esménarda

Z największą przyjemnością przeczytałam dziś rano Pański list; stanowi on przede wszystkim potwierdzenie tego, że ze wszystkich sił będzie Pan się starał mi pomóc; niesie zapewnienie, że ktoś o mnie myśli, co stanowi wielką pociechę.

Jak Pan się może domyślać, życie tutaj jest bardzo smutne i gdyby nie praca... Ale nawet praca robi się nieprzyjemna, kiedy nie jest się pewnym jutra.

14 października 1941

Irène Némirovsky do André Sabatiera<sup>10</sup>

Drogi Przyjacielu, bardzo mnie wzruszył Pana miły list. Proszę nie przypuszczać, że nie doceniam życzliwości Pana czy pana Esménarda; a z drugiej strony doskonale wiem, jakie trudności stwarza sytuacja. Wykazywałam dotychczas tyle cierpliwości i odwagi, na ile mogłam się zdobyć. Ale nastąpiły bardzo trudne chwile. A fakty są następujące: niemożność pracy i konieczność zapewnienia egzystencji czterem osobom. Do tego dochodzą najbardziej idiotyczne utrudnienia: nie mogę jechać do Paryża; nie mogę sprowadzić tutaj najpotrzebniejszych rzeczy, typu kołder, łóżeczek dzieciennych itd. ani moich książek. Wydano ogólny i całkowity zakaz dotyczący wszystkich apartamentów zajmowanych przez takich jak ja. Nie opowiadam tego, żeby wzbudzić litość, jedynie by wytłumaczyć, że mogę mieć wyłącznie czarne myśli [...]

27 października 1941 Robert Esménard do Irène Némirovsky

Przedstawiłem mojemu teściowi Pani sytuację i przekazałem mu też ostatnie listy, jakie dostałem od Pani.

Jak już mówiłem, pan A. Michel pragnie jedynie okazać Pani jak największą uprzejmość i proponuje Pani w roku 1942 miesięczne raty w wysokości 3000 F, co odpowiadałoby honorarium, jakie wypłacał Pani, kiedy mógł publikować Pani dzieła i regularnie je sprzedawać. Proszę przekazać mi tylko swoją zgodę.

Muszę jednak uprzedzić, że zgodnie z bardzo szczegółowymi wskazówkami, jakie otrzymaliśmy od Związku Pisarzy w sprawie interpretacji wytycznych płynących z niemieckiego zarządzenia z 26 kwietnia, paragraf 5, wszelkie honoraria należne autorom izraelskim mają być przekazywane na „zablokowane konto”.

Zgodnie z tym założeniem „wydawcy powinni płacić prawa autorskie autorom Izraelitom na ich konto w banku, otrzymawszy wcześniej zapewnienia banku, iż to konto jest zablokowane”.

---

<sup>10</sup> Dyrektor literacki wydawnictwa Albin Michel.

Równocześnie odsyłam list, który otrzymała Pani z Films GIBF (zachowując kopię). Z informacji, jakie uzyskałem z kompetentnych źródeł, wynika, że tego typu sprawa może zostać zrealizowana jedynie wtedy, gdy autor, którego książka ma być przeniesiona na ekran, jest aryjskiego pochodzenia, co obowiązuje zarówno w jednej, jak i w drugiej strefie. Nie mogę więc załatwić tej sprawy, dopóki autor utworu, który ma być przeniesiony na ekran, nie dostarczy mi najbardziej oficjalnych wyjaśnień w tym zakresie.

30 października 1941

Irène Némirovsky do Roberta Esménarda

Dostałam właśnie Pański list z 27 października z propozycją miesięcznych tantiem w wysokości 3000 F w 1942. W pełni doceniam stosunek pana Michela do mnie. Dziękuję najserdeczniej obu Panom. Wasza wierna przyjaźń jest dla mnie równie cenna, jak pomoc materialna, którą też mnie wspieracie. Jednak rozumie Pan chyba, że jeśli te pieniądze mają być zablokowane w banku, nie będę miała z nich żadnego pożytku.

Zastanawiam się, czy w tych warunkach nie byłoby prościej uczynić beneficjentką tych tantiem moją przyjaciółkę, pannę Dumot\*, która mieszka ze mną i jest autorką powieści pod tytułem *Les Biens de ce monde* (rękopis ma pan Sabatier) [...]

Panna Dumot jest bez wątpienia aryjką i może Panu dostarczyć wszelkich dowodów w tej sprawie. Znam ją od dzieciństwa i gdyby udało się jej ułożyć z Panem w sprawie tych tantiem, wzięłaby mnie na utrzymanie [...]

13 lipca 1942

Telegram Michela Epsteina do Roberta Esménarda i André Sabatiera Dziś nagły wyjazd Irène do Pithiviers (Loiret) — czy możecie

pilnie interweniować — bezskutecznie próbowałam dzwonić.

Michel

Epstein

\* Irène Némirovsky i jej mąż Michel Epstein sprowadzili Julie Dumot do Issy-l'Évêque na wypadek, gdyby zostali aresztowani. Panna Dumot była damą do towarzystwa u dziadków dziewczynki ze strony matki.



Lipiec 1942

Telegram Roberta Esménarda i André Sabatiera do Michela Epsteina Telegram doszedł. Natychmiast podjęte wspólne kroki przez Moran-da, Grasseta, Albina Michela. Ukłony.

Dwa ostatnie listy Irène Némirovsky\*

Toulon n. Arroux, 13 lipca 1942 — godzina 5 [napisane ołówkiem, bez pieczętki]

Mój kochany, na razie jestem na posterunku żandarmerii, najadłam się czarnych i czerwonych porzeczek, czekając, aż przyjdą mnie zabrać. Przede wszystkim zachowaj spokój, jestem przekonana, że to nie potrwa długo. Pomyślałam, że można by też się zwrócić do Caillaux i do księdza Dimneta. Co o tym myślisz? Obsypuję pocałunkami moje ukochane córeczki, niech Denise będzie rozsądna i grzeczna. Przyciskam Cię do serca razem z Babet i niech dobry Bóg ma Was w swojej opiece. Co do mnie, to czuję się spokojna i silna.

Gdybyście mogli mi coś przysłać, zdaje mi się że druga para okularów została w tamtej walizce (w pokrowcu). Proszę o książki, a jeśli to możliwe także o trochę solonego masła. Do widzenia, mój skarbie!

Czwartek rano — lipiec 1942, Pithiviers [napisany ołówkiem, bez pieczętki]

Mój kochany, moje najdroższe, wydaje mi się, że dzisiaj wyjeżdżamy. Odwaga i nadzieja. Jesteście w moim sercu, najmilsii. Niech Bóg wspiera nas wszystkich.

14 lipca 1942

Michel Epstein do André Sabatiera

Bezskutecznie usiłowałam wczoraj dodzwonić się do Pana. Wysłałam telegram do Pana i do p. Esmenarda. Żandarmi zabrali wczoraj moją żonę. Celem, jak się wydaje, był obóz koncentracyjny w Pithiviers (Loiret). Powód: zarządzenie dotyczące Żydów bezpieczeństwa

\* Pierwszy list został niewątpliwie przekazany przez życzliwego żandarma, a drugi przez podróżnego napotkanego na dworcu w Pithiviers.

w wieku od 16 do 45 lat. Moja żona jest katoliczką, a dzieci mają obywatelstwo francuskie. Czy można coś dla niej zrobić?

Odpowiedź André Sabatiera

W każdym przypadku potrzeba będzie kilku dni. Pański Sabatier.

15 lipca 1942

André Sabatier do J. Benoist-Méchina, sekretarza stanu w Vice-présidence du Conseil.

Nasza autorka i przyjaciółka, Irène Némirovsky, została skierowana z Issy-l'Évêque, gdzie mieszkała, do Pithiviers. Poinformował mnie o tym jej mąż. Biała Rosjanka (Izraelitka, jak wiesz), nigdy nie zaangażowana aktywnie w politykę, bardzo utalentowana powieściopisarka, zawsze dająca powody do dumy swojej przybranej ojczyźnie, matka dwóch dziewczynek w wieku 5 i 10 lat. Błagam, żebyś zrobił wszystko, co w Twojej mocy. Z góry dziękuję, zawsze Ci oddany.

16 lipca 1942

Telegram Michela Epsteina do Roberta Esménarda i André Sabatiera Zona powinna już być w Pithiviers, chyba warto interweniować

u prefekta regionu w Dijon, zastępcy prefekta Autun i władz Pithiviers.

Michel Epstein.

16 lipca 1942

Telegram Michela Epsteina do André Sabatiera

Dzięki drogi przyjacielu — liczę na Pana. Michel Epstein.

17 lipca 1942

Telegram Michela Epsteina do André Sabatiera Liczę na przekazanie mi nowin dobrych lub złych. Dzięki drogi Przyjacielu.

17 lipca 1942

Lebrun11 do Michela Epsteina. Telegram.

Wysyłanie paczek bezużyteczne — nie widziałem pańskiej żony.

18 lipca 1942

Telegram Michela Epsteina do André Sabatiera

Żadnych wiadomości od żony. Nie wiem gdzie jest. Może pan spróbuje się dowiedzieć i telegraficznie powie mi prawdę — o każdej porze można do mnie dzwonić z przywołaniem. 3e ISSY-L'ÉVEQUE.

20 lipca 1942

Telegram od wuja Abrahama Kalmanoka\* do Michela Epsteina

Czy wysłałeś zaświadczenia lekarskie Irène — trzeba to zrobić natychmiast telegraficznie.

22 lipca 1942

Michel Epstein do André Sabatiera

Dostałem od żony z obozu w Pithiviers list z datą ostatniego czwartku zapowiadający prawdopodobny wyjazd do nieznanego miejsca przeznaczenia, które jak sądzę, jest daleko. Wysłałem do komendanta obozu telegram z opłaconą odpowiedzią, ale nie nadeszła. Pański przyjaciel może będzie miał więcej szczęścia, może jemu uda się zdobyć informacje, których mnie odmówiono? Dziękuję za wszystko, co Pan robi. Proszę mnie informować na bieżąco, nawet jeśli wiadomości będą złe. Z poważaniem.

Odpowiedź:

Widziałem się z moim przyjacielem\*\*. Zrobimy wszystko.

Sobota 24 lipca 1942

André Sabatier do Michela Epsteina

Nie pisałem, ponieważ w tej chwili nie mam nic konkretnego do przekazania, mojejedyne uspokajając Pańskie obawy. Zrobiono wszystko, co było konieczne. Ponownie widziałem się z moim przyjacielem; twierdzi, że nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Po otrzymaniu pierwszego listu poinformowałem o francuskim obywatelstwie dwójki Pańskich dzieci, a po otrzymaniu drugiego — o możliwym wyjeździe z obozu w Loiret. Czekam i proszę mi wierzyć, że to oczekiwanie jest

\* Cioteczny dziadek Denise i Elisabeth Epstein. \*\* Treść listu z 15 lipca pozwala się domyślać, że chodzi o Jacques'a Benoist-Méchin.

dla mnie, jako przyjaciela, bardzo bolesne, więc zapewniam, że doskonale Pana rozumiem! Miejmy nadzieję, że wkrótce będę mógł zakomunikować Panu konkretną i szczęśliwą nowinę. Całym sercem jestem z Panem.

26 lipca 1942

Michel Epstein do André Sabaticra

Może w sprawie mojej żony należałoby wspomnieć o tym, że jest białą Rosjanką, która nigdy nie chciała przyjąć radzieckiego obywatelstwa; że uciekła z Rosji po wielu prześladowaniach wraz z rodzicami, a cały majątek rodziny skonfiskowano, /a jestem w podobnej sytuacji i chyba nie przesadzam, oceniając na sto milionów przedwojennych franków to, co tam odebrano mnie i mojej żonie. Mój ojciec był prezesem Związku Rosyjskich Banków i członkiem rady administracyjnej jednego z największych rosyjskich banków, Banku Komercyjnego Azowsko-Donieckiego. Toteż odpowiednie władze mogą mieć pewność, że nie żywimy najmniejszej sympatii do aktualnego rosyjskiego reżimu. Mój młodszy brat Paul był przyjacielem wielkiego księcia Dymitra, a przebywająca we Francji rodzina cesarska była często przyjmowana u mojego teścia, szczególnie dotyczy to wielkich książąt Aleksandra i Borysa. Poza tym informuję Pana, jeśli nie pisałem o tym wcześniej, że podoficerowie niemieccy, którzy spędzili u nas w Issy kilka miesięcy, odchodząc, zostawili nam następujący dokument: O.U. den [.VII, 41

***Kameraden. Wir haben längere Zeit mit der Familie Epstein zusam-mengebelt und Sie als eine sehr anständige und zuvorkommende Familie kennengelernt, Wir bitten Euch daher, sie damitsprechend zu behandeln. Heil Hitler!***

***Hammberger, Feldw. 23599 A***

Nadal nie wiem, gdzie jest moja żona. Dzieci są zdrowe, a ja jeszcze trzymam się na nogach. Drogi Przyjacielu, dziękuję za wszystko. Może byłoby dobrze, gdyby opowiedział Pan o wszystkim hrabiemu de Chambrun \* i Morandowi. Szczerze oddany Michel.  
\* Hrabia René de Chambrun, adwokat, był zięciem Picrc'a Lávála, poślubił jego jedyną córkę Josée.

27 lipca 1942

? do Michela Epsteina

Czy w utworach Pańskiej żony poza sceną z *Vin de solitude* są fragmenty, w powieściach, opowiadaniach czy artykułach, które można by wskazać jako wyraźnie antyradzieckie?

27 lipca 1942

Michel Epstein do André Sabatiera

Dziś rano otrzymałem Pański list z soboty. Tysiącrotne podziękowania za wszystkie wysiłki. Wiem, że Pan robi wszystko, żeby mi pomóc. Mam odwagę i cierpliwość. Żeby tylko mojej żonie starczyło sił fizycznych do przetrzymania tego ciosu! Okropne jest to, że na pewno strasznie się niepokoi o dzieci i o mnie, a ja nie mam żadnej możliwości porozumienia się z nią, bo nawet nie wiem, gdzie ona jest.

Posyłam w załączeniu list i bardzo mi zależy, żeby dotarł do ambasadora niemieckiego, i to w trybie PILNYM. Gdyby udało się Panu znaleźć kogoś, kto mógłby go doręczyć osobiście (może hrabia de Chambrun, który, jak sądzę, zechce się zainteresować losem mojej żony), byłoby to idealnie. Ale jeśli nie zna Pan nikogo, kto mógłby to zrobić SZYBKO, może zechce Pan spowodować, by dostarczono list do ambasady lub po prostu wyśle go Pan pocztą. Z góry dziękuję. Oczywiście, jeśli ten list mógłby pokrzyżować dotychczas poczynione starania, proszę go podrzeć, w przeciwnym razie bardzo mi zależy, żeby dotarł do adresata.

Obawiam się, że spotka mnie podobny los. Aby zapobiec kłopotom materialnym, może mógłby Pan spowodować wysianie pannie Dumot zaliczki na miesięczne tantiemy 43? Boję się o dzieci.

27 lipca 1942

Michel Epstein do ambasadora Niemiec Otto Abetza Wiem, że zwracanie się bezpośrednio do Pana to wielka śmiałość. Niemniej jednak podejmuję ten krok w przekonaniu, że tylko Pan może uratować moją żonę, w Panu pokładam ostatnią nadzieję.

Pozwoli Pan, że przedstawię, co następuje: przed wyjazdem z Issy niemieccy żołnierze zostawili mi z wdzięczności za nasze starania o ich wygodę i dobre samopoczucie taki list:

*OU. den 1 — VII, 41 Kameraden!*

*Wir haben längere Zeit mit der Familie Epstein zusammengehe!i une Sie als eine sehr anständige und sworkommende Familie Kennen-gelert. Wir bitten Euch daher, Sie damitsprecherndt zu behandeln.*

*Hammerberger. Feldw, 23 599 A.*

W poniedziałek 13 lipca zatrzymano moją żonę. Zawieziono ją do obozu koncentracyjnego w Pithiviers (Loiret), a stamtąd skierowano w nieznane mi miejsce. Powiedziano mi, że to aresztowanie jest wynikiem ogólnych zarządzeń władz okupacyjnych w sprawie Żydów. Moja żona, pani Epstein, jest bardzo znaną powieściopisarką I. Némirovsky. Jej książki przetłumaczono w bardzo wielu krajach, a co najmniej dwie — *David Golder* i *Le Bai* — także w Niemczech. Żona urodziła się w Kijowie (Rosja) 11 lutego 1903. Jej ojciec był znanym bankierem. Mój był prezesem Centralnego Komitetu Banków Komercyjnych Rosji i członkiem zarządu Banku Azowsko-Doniec-kiego. Obie nasze rodziny postradały w Rosji znaczne fortuny, mojego ojca aresztowali bolszewicy i uwięzili w twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu. Z wielkim trudem udało nam się uciec z Rosji w 1919, wtedy schroniliśmy się we Francji, gdzie mieszkamy do tej pory. To wszystko daje pewność, że reżim bolszewicki budzi w nas jedynie nienawiść. We Francji nikt z naszej rodziny nigdy nie zajmował się polityką. Ja byłem dyrektorem banku, a żona została cenioną powieściopisarką. W żadnej z jej książek (które zresztą nie są zakazane przez władze okupacyjne) nie znajdzie się ani jednego słowa skierowanego przeciwko Niemcom, a choć żona jest Żydówką, w swoich utworach nic okazuje Żydom żadnej czułości. Dziadkowie żony, podobnie jak moi, byli wyznania mojżeszowego, nasi rodzice nie wyznawali żadnej religii, a co do nas, to jesteśmy katolikami, tak jak nasze dzieci, które urodziły się w Paryżu i mają obywatelstwo francuskie. Pozwalam sobie także zauważyć, że żona zawsze trzymała się z daleka od wszelkich ugrupowań politycznych, nigdy nie korzystała z żadnych przywilejów rządowych, ani na lewicy, ani na prawicy, i że pismo „Gringoire”, z którym współpracowała jako powieściopisarka, a którego dyrektorem jest H. de Carbuccia, z pewnością nigdy nie było przychylnie ani Żydom, ani komunistom.

I na koniec, moja żona od wielu lat cierpi na chroniczną astmę (o czym może zaświadczyć jej lekarz, profesor Vallery-Radot) i zamknięcie w obozie koncentracyjnym może być dla niej śmiertelnym zagrożeniem. Mam świadomość, Ekscelencjo, że jest Pan jednym z najważniejszych członków rządu swojego kraju. Jestem przekonany, że jest Pan również człowiekiem sprawiedliwym. A wydaje mi się niesprawiedliwe i nielogiczne, żeby Niemcy doprowadzali do aresztowania kobiety, która choć z pochodzenia jest Żydówką, nie żywi — o czym świadczą jej książki — żadnych sympatii ani dla judaizmu, ani dla reżimu bolszewickiego. 28 lipca 1942

André Sabatier do hrabiego de Chambrun

Właśnie dostałem list od męża autorki *David Goldera*, którego kopię pozwalam sobie Panu przesłać. W tym liście znajdują się interesujące szczegóły. Miejmy nadzieję, że pozwolą Panu podjąć szczęśliwą decyzję. Z góry dziękuję za wszystko, co zechce Pan przedsięwziąć w obronie naszej przyjaciółki.

28 lipca 1942

André Sabatier do pani Paulowej Morand

Napisałem wczoraj do p. Epsteina zgodnie z tym, co ustaliliśmy, sądziłem bowiem, że to lepsze niż telegram. Dziś rano znalazłem w swojej poczcie kopię. Zawiera niewątpliwie interesujące szczegóły.

28 lipca 1942

Michel Epstein do André Sabatiera

Mam nadzieję, że dostał Pan mój wczorajszy list i że list do ambasadora został mu przekazany przez Chambruna lub przez kogoś innego, a może bezpośrednio. Z góry dziękuję.

Odpowiedź na Pana wczorajsze zapytanie: sądzę, że rozdział, w którym David Golder pertraktuje z bolszewikami o odstąpienie szybu naftowego nic jest dla nich korzystny, ale nie mam tu egzemplarza książki, zechciałby Pan sprawdzić? Książka *Les Echelles du Levant*, której maszynopis jest u Pana, a która ukazała się w „Grin-goire”, jest raczej bezlitosna wobec bohatera, lekarza szarlatana pochodzącego ze wschodu, nie pamiętam jednak, czy żona napisała, że jest on Żydem. Wydaje mi się, że tak.

W rozdziale XXV *La Vie de Tchékhev* jest następujące zdanie:  
„*JSala nr 6* bardzo się przyczyniła do stawy Czechowa w Rosji, z tego powodu ZSRR uważa go za swojego i twierdzi, że gdyby żył, należałby do partii marksistowskiej. Pośmiertna chwałą pisarza kryje różne niespodzianki...”. Niestety, nie przychodzi mi do głowy nic innego, a to niewiele.

Czy naprawdę nie ma żadnego sposobu, żeby władze francuskie dowiedziały się, czy moja żona nadal przebywa w obozie w Pithiviers? Przed dziesięcioma dniami wysłałem do komendanta obozu telegram z opłaconą odpowiedzią, ale nie uzyskałem żadnej wiadomości. Czy możliwe, żeby zabronione było samo tylko przekazanie informacji, gdzie ona przebywa? Dowiedziałem się, że mój brat Paul jest w Drancy, dlaczego nie wolno mi wiedzieć, gdzie jest moja żona? W końcu... Do zobaczenia, drogi Przyjacielu. Nie wiem dlaczego, pokładam nadzieję w liście do ambasadora. — Michel. 29 lipca 1942 André Sabatier do pani Paulowej Morand Oto list, o którym mówiłem przez telefon. Sądzę, że Pani lepiej niż ktokolwiek inny może ocenić, czy powinien on dotrzeć do adresata, tak jak sobie życzy jego autor. Co do całości nic potrafię się wypowiedzieć, a co do szczegółów, to niektóre zdania nie wydają mi się najszcześniejsze.

29 lipca 1942

Mavlik\* do Michela Epsteina

Mój drogi. Mam nadzieję, że otrzymałeś moje listy, choć boję się, czy nie zaginęły, bo adresowałam do Julie, a ciotka źle zrozumiała jej nazwisko przez telefon. Mój kochany, jeszcze raz Cię proszę, żebyś się trzymał ze względu na Irène, na dziewczynki i na innych. Nie mamy prawa tracić odwagi, ponieważ jesteśmy wierzący. Szalałam z rozpacz, ale wzięłam się w garść, całe dni biegam za nowinami, spotykając się z tymi, którzy są w identycznej sytuacji. Germaine\*\* wróciła wczoraj, powinna jechać do Pithiviers, jak tylko zgromadzi to,

\* Siostra Michela Epsteina, która zostanie aresztowana równocześnie z nim i wywieziona do Auschwitz, gdzie oboje zostaną zagazowani. \*\* Francuska przyjaciółka Samuela Epsteina, starszego brata Michela.



co potrzeba. Ponieważ wydaje się, że Sam jest w Beaune-la-Rolande, koło Pithiviers, ona chce zrobić wszystko, żeby udało się przekazać wiadomości i jemu, i Irène. Mieliśmy wieści tylko od Ani, która jest w Drancy i prosiła o bieliznę i książki. Przyszło wiele listów z Drancy, w których ludzie piszą, że są dobrze traktowani i odżywiani. Mój drogi, błagam Cię, nie upadaj na duchu. Pieniądze się spóźniły z powodu źle napisanego nazwiska. Jutro spotkam się z Joséphine<sup>12</sup>. Germaine widziała się z człowiekiem, którego służąca jest w Pithiviers. Też muszę się zobaczyć z Germaine, nim wyjedzie. Dostała wiadomość od Sama, ale to było jeszcze z Drancy. Napiszę w dniu jej wyjazdu, ale chciałabym, mój drogi, żebyś przysłał mi choć słowo. Co do mnie, to sama nie wiem, jak się trzymam na nogach i jak zwykle nie tracę nadziei. Ściskam Cię z nieskończoną czułością i dziewczynki też.

3 sierpnia 1942

Pani Rousseau (francuski Czerwony Krzyż) do Michela Epsteina Doktor Bazy<sup>13</sup> wyjechał dziś rano na kilka dni do wolnej strefy, zajmie się tam na miejscu sytuacją pani Epstein i zrobi wszystko, by doszło do interwencji w jej sprawie. Nie miał czasu odpisać Panu przed wyjazdem, więc prosił, bym poinformowała Pana, że otrzymał list i nie zaniedba żadnej możliwości, by przyjść Panu z pomocą. 6 sierpnia 1942 Michel Epstein do pani Rousseau Uszczęśliwiła mnie wiadomość, że doktor Bazy czyni starania w sprawie mojej żony. Zastanawiam się, czy nie byłoby korzystnie zgrać je z działaniami podjętymi dotychczas przez;

- 1) wydawcę mojej żony, pana Albina Michela (szczególnie zajmuje się tym pan André Sabatier, jeden z dyrektorów wydawnictwa)
- 2) Pani Paulowej Morand
- 3) Henri de Régniera
- 4) Hrabiego de Chambrun.

Pan Sabatier, któremu wysyłam kopię tego listu, będzie mógł udzielić Pani wszystkich niezbędnych informacji (tel. DAN 87 54). Szczególnie bolesne jest dla mnie to, że nie wiem, gdzie jest moja

---

<sup>12</sup>Joséphine była pokojówką Irène Némirovsky.

<sup>13</sup> Prezes Czerwonego Krzyża.

żona (była w obozie Pithiviers w Loiret w czwartek 17 lipca i od tamtej pory nie mam od niej żadnej wiadomości). Chciałbym, żeby wiedziała o tym, że dotychczas ani mnie, ani naszych dzieci nie dotknęły ostatnie zarządzenia i że jesteśmy zdrowi. Czy Czerwony Krzyż może jej przekazać taką informację? Czy można jej wysłać paczki?

6 sierpnia 1942

Michel Epstein do André Sabatiera

Dołączam kopię listu, który wysłałem do Czerwonego Krzyża. Nadal bez żadnych wiadomości od żony. Ciężko. Czy udało się dotrzeć do pana Abetza i przekazać mu mój list? — Michel.

PS Czy mógłby mi Pan podać adres hrabiego de Chambrun?

9 sierpnia 1942 Michel Epstein do André Sabatiera

Dowiedziałem się z bardzo poważnego źródła, że kobiety (zresztą mężczyźni i dzieci również) internowane w obozie w Pithiviers zostały wywiezione na granicę niemiecką, a stamtąd skierowane na wschód — pewnie do Polski lub do Rosji. Miało się to wydarzyć mniej więcej przed trzema tygodniami.

Dotychczas wierzyłem, że żona przebywa w jakimś obozie we Francji pod strażą francuskich żołnierzy. Świadomość, że znalazła się w dzikim kraju, prawdopodobnie w koszmarnych warunkach, bez pieniędzy i żywności wśród ludzi, których językiem nie włada, jest nic do zniesienia. Teraz nie chodzi już o wyciągnięcie jej możliwie szybko z obozu, ale o ratowanie jej życia.

Zapewne dostał Pan już mój wczorajszy telegram; zwracam w nim uwagę na książkę żony *Les Mouches d'automne*, wydaną najpierw jako luksusowa publikacja w wydawnictwie Kra, a potem przez Grasseta. To książka wyraźnie antybolszewicka i bardzo mi przykro, że nie pomyślałem o niej wcześniej. Mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno, by z tym nowym dowodem w rękę naciskać na niemieckie władze. Wiem, drogi Przyjacielu, że robi Pan wszystko, by nas uratować, ale błagam, proszę wymyślić jeszcze coś innego, proszę znowu poradzić się pani Morand, Chambruna, Pańskiego przyjaciela, a zwłaszcza doktora Bazy, prezesa Czerwonego Krzyża, 12 rue Newton, tel. KLE

84 05 (szefową jego sekretariatu jest pani Rousseau, ten sam adres), podając im ten nowy argument w postaci *Les Mouches d automne*. Aż trudno sobie wyobrazić, że my, którzy straciliśmy wszystko przez bolszewików, mamy być skazani na śmierć przez tych, co z nimi walczą. Drogi Przyjacielu, to ostatni apel z mojej strony. Wiem, że niewybaczalne jest takie nadużywanie Pana i tych przyjaciół, którzy nam jeszcze zostali, ale, powtarzam, to sprawa życia i śmierci nie tylko mojej żony, ale także naszych dzieci, o mnie nawet nie wspominając. Sam tutaj z dziećmi jestem prawie jak w więzieniu, bo nie wolno mi się ruszać, nie mogę więc nawet szukać pociechy w działaniu. Nie mogę ani spać, ani jeść, niech to posłuży za usprawiedliwienie tego niezbornego listu.

10 sierpnia 1942

Ja, niżej podpisany hrabia W. Kokovtsoff, były prezes Rady, minister finansów Rosji zaświadczam niniejszym, że znałem nieżyjącego pana Efima Epsteina, członka zarządu banku w Rosji, członka komitetu banków działającego w Paryżu pod moim przewodnictwem. Miał on reputację finansisty o nieskazitelnym uczciwości, a jego odczucia i działania były wyraźnie antybolszewickie.

[poświadczane przez komisariat policji]

12 sierpnia 1942

André Sabatier do Michela Epsteina

Otrzymałem Pański telegram i listy. Odpowiadam, zanim na kilka tygodni wyjadę z Paryża. Jeśli będzie Pan musiał pisać do mnie w okresie od 15 sierpnia do 15 września, proszę to robić na adres wydawnictwa, które natychmiast zapozna się z treścią listu i załatwi to, co będzie niezbędne, informując mnie o wszystkim. A oto aktualna sytuacja: jak na razie wiele starań bez rezultatu.

1 ) Żadnej odpowiedzi od hrabiego de Chambrun, do którego pisałem. Ponieważ go nie znam, nie mogę pisać ponownie, nie wiem bowiem, czy jego milczenie nie oznacza niechęci do interweniowania. Jego adres: 6bis, place du Palais-Bourbon, Paris Vile.

2) Natomiast pani Paulowa Morand wykazuje niestrudzone poświęcenie. Nie zaprzestaje starań, Pański list jest w jej rękach i to, co w nim najważniejsze, powinno w tych dniach zostać przekazane wraz

z zaświadczeniem lekarskim przez jej przyjaciela, który równocześnie przyjaźni się z ambasadorem. Pani Morand czytała *Les Mouches d'automne*, ale twierdzi, że nie tego szuka; ta książka jest antyrewolu-cyjna, ale nie antybolszewicka. Sugeruje, żeby nie czynił Pan nieskoordynowanych i jej zdaniem bezużytecznych starań. Jedyne drzwi, do których jej zdaniem powinien Pan pukać, to Związek Żydowski, bo jedynie oni, dzięki licznym oddziałom, mogą Pana poinformować, gdzie przebywa żona, a może także przekazać jej wiadomość o dzieciach. A oto adres: 29, rue de la Bienfaisance, Paris Ville.

3) Mój przyjaciel poinformował mnie bez ogródek, że wszystkie jego starania doprowadziły go jedynie do wniosku, że jest bezsilny.

4) Ta sama, niemniej kategoryczna odpowiedź od mojego ojca po kontaktach z francuskimi władzami regionalnymi.

5) Na moją prośbę przyjaciel zwrócił się do autora *Dieu est-il français* (Friedrich Sieburg), który obiecał, że się zorientuje nie w sprawie uwolnienia, jego zdaniem wątpliwego, tylko zdobycia wiadomości.

6) Wczoraj zadzwoniłem do Czerwonego Krzyża, rozmawiałem z zastępczynią pani Rousseau, osobą bardzo sympatyczną i znającą sprawę. Doktor Bazy jest aktualnie w strefie nieokupowanej i zdobywa informacje na wysokich szczeblach, co da się uzyskać w naszej sprawie. Powinien wrócić w czwartek, więc zadzwonię do niego przed wyjazdem. Moje prywatne zdanie jest następujące: 1) Zarządzenie, które dotknęło Pańską żonę, ma charakter ogólny (wydaje się, że w samym Paryżu dotknęło wiele tysięcy bezpaństwowców), co przynajmniej częściowo zdaje się wyjaśniać niemożność uzyskania specjalnych względów, a jednocześnie pozwala mieć nadzieję, że Pańskiej żonie nie przytrafi się nic specjalnego. 2) Zastosowany środek został wprowadzony przez odpowiednie władze niemieckie, wszechmocne w tej dziedzinie, a wobec nich zarówno inne wojskowe czy cywilne władze niemieckie, podobnie jak władze francuskie, nawet najwyższe, zdają się mieć niewielkie możliwości działania. 3) Według pani Morand wyjazd do Niemiec jest możliwy, ale nie do obozu, tylko do polskich miast, gdzie gromadzi się bezpaństwowców.

To wszystko jest bardzo przykre, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Jedyne Pana obowiązkiem jest teraz myślenie o dzieciach

i trzymanie się ze względu na nie, choć może Pan powiedzieć, że łatwo udzielać takiej rady. Niestety! Zrobiłem wszystko, co mogłem. Bardzo Panu oddany. André.

14 sierpnia 1942

Michel Epstein do pani Cabour

Niestety Irène wyjechała. Dokąd? Nie mam pojęcia. Zdaje Pani sobie sprawę z mojego niepokoju! Została zabrana 13 lipca i od tamtej pory nie miałem od niej żadnych wiadomości. Jestem tu sam z dwiema dziewczynkami, którymi zajmuje się Julie. Może pamięta ją Pani z Avenue du Président-Wilson. Jeśli dostanę jakieś wieści o Irène, natychmiast je Pani przekażę. Proponuje nam Pani swoją pomoc. Korzystam z niej, choć nie wiem, czy nie wkracza to w dziedzinę niemożliwą do realizacji. Czy mogłaby nam Pani zdobyć nici i bawełnę, a także papier do maszyny do pisania? Odda nam Pani wyjątkową przysługę.

20 sierpnia 1942

Michel Epstein do pani Cabour

Irène zabrała 13 lipca żandarmeria działająca na rozkaz policji niemieckiej. Zawieziono ją do Pithiviers, a to z powodu tego, że jest bezpaństwowcem pochodzenia żydowskiego; nie wzięto pod uwagę, że jest katoliczką, że jej dzieci mają francuskie obywatelstwo i że schroniła się we Francji, uciekając przed bolszewikami, którzy zresztą zabrali majątek jej rodzicom. Przybyła do Pithiviers 15 lipca. Według jedynego listu, jaki od niej dostałem, miała stamtąd wyjechać 17 w nieznanym kierunku. Od tamtej pory nic. Żadnej wiadomości, nie wiem, gdzie ona jest, nawet nie wiem, czy żyje. A że nie mam prawa się stąd ruszać, poprosiłem o interwencję różne osobistości, co jak dotąd nie przyniosło rezultatu. Jeśli może Pani zrobić cokolwiek, to błagam, proszę to zrobić, bo ten strach jest nie do wytrzymania. Pomyśleć, że nawet nie mogę jej wysłać nic do jedzenia, że nie ma ani bielizny, ani pieniędzy... Mnie tutaj zostawiono, bo mam powyżej czterdziestu pięciu lat...

15 września 1942

Michel Epstein do André Sabatiera

Nadal najmniejszego znaku życia od Irène. Zgodnie z radą pani

Paulowej\* nie podjąłem żadnych nowych starań. Liczę tylko na nią. Nie sądzę, bym mógł długo wytrzymać tę niepewność. Oczekiwał Pan wiadomości od dra Bazy. Przypuszczam, że nie odezwał się do Pana? Gdyby Czerwony Krzyż mógł przynajmniej przed nastaniem zimy dostarczyć Irène ubrań, pieniędzy i żywności.

Jeśli spotka Pan panią Paulową, może zechce jej Pan powiedzieć, że otrzymałem kartkę od monsignora Ghika\*\*, który przynajmniej pół roku temu cieszył się dobrym zdrowiem w Bukareszcie.

17 września 1942

André Sabatier do Michela Epsteina

Po powrocie zatelefonowałem do pani Paulowej. Przekazałem jej wyrazy wdzięczności w Pana imieniu i poinformowałem, że posłuchał Pan jej rady. Wszystkie starania, nie wyłączając tych związanych z osobą, do której napisał Pan list, nie mogły jeszcze przynieść rezultatów. „Natykamy się na mur”, powiedziała mi pani Paulowa. Ona myśli, że trzeba poczekać, aż to wielkie kotłowanie na świecie trochę się ustabilizuje i ukierunkuje.

19 września 1942 Michel Epstein do André Sabatiera

Nasze listy się minęły. Dziękuję za wiadomości, nawet tak przykre. Może zechciałby Pan sprawdzić, czy nie mógłbym się z żoną zamienić miejscami, może bardziej bym się przydał tam, gdzie ona przebywa, a dla niej lepsze miejsce byłoby tutaj. A jeśli to niemożliwe, to czy nie mogliby mnie zabrać do niej, razem byłoby nam lepiej. Oczywiście konieczna byłaby osobista rozmowa z Panem na ten temat.

23 września 1942

André Sabatier do Michela Epsteina

Od 14 lipca powtarzam sobie, że gdyby podróż do Issy była konieczna, odbyłbym ją bez wahania. Ale nie sądzę, by nawet teraz mogła ona doprowadzić do podjęcia konkretnej i istotnej decyzji. A oto powody:

\* Żona Paula Moranda. Ze względu na bezpieczeństwo należało unikać nazwisk.

\*\* Książe biskup rumuński, który często odwiedzał Irinę Nemirovsky.

Zamiana miejsc jest aktualnie niemożliwa. Powiększyłaby jedynie liczbę internowanych, choć podawane przez Pana powody nie są pozbawione podstaw. Dopiero kiedy się dowiemy, gdzie konkretnie przebywa Irène, to znaczy kiedy wszystko zostanie „zorganizowane”, wtedy i tylko wtedy postawienie tego pytania może się okazać użyteczne.

Razem w jednym obozie! Kolejna niemożliwość, ponieważ rygorystycznie przestrzegane jest pełne odseparowanie mężczyzn i kobiet.

Czerwony Krzyż poprosił mnie o sprecyzowanie pewnych szczegółów, których nie znam, więc ja z kolei poprosiłem o nie Pana w porannym telegramie. Natychmiast je przekażę. Jest nadzieja, że nadejdą wiadomości. 29 września 1942

Michel Epstein do André Sabatiera

Obiecałem, że zasypię Pana prośbami i dotrzymuję obietnicy. A oto przyczyna. Mój dowód tożsamości cudzoziemca, ważny do listopada, musi zostać przedłużony. Zależy to od prefekta Saône-et-Loire, Mâcon, i w tych dniach muszę złożyć u niego podanie o przedłużenie. Nie chciałbym, żeby spowodowało to nowe kłopoty. Proszę więc o interwencję u prefekta Mâcon. Jestem absolutnie w porządku pod każdym względem, ale okoliczności niezbyt sprzyjające osobom mojej kategorii każą mi się obawiać różnych biurokratycznych utrudnień. Czy mogę na Pana liczyć? Nie podejmę żadnych kroków, zanim dostanę Pańską odpowiedź, ale czas nagli. 5 października 1942

André Sabatier do Michela Epsteina

Dostałem Pański list z dwudziestego dziewiątego. Przeczytałem, dałem innym do poczytania. Nie ma żadnych wątpliwości, moja odpowiedź jest jednoznaczna: proszę powstrzymać się od jakiegokolwiek kroku, wszelkie starania wydają mi się skrajną nieostrożnością. Oczekuję wizyty kanonika Dimnet i chętnie z nim porozmawiam. 12 października 1942

André Sabatier do Michela Epsteina

Dostałem rano list z ósmego, wraz z kopią listu, który wysłał Pan do Dijon. Chcę Panu powiedzieć, co następuje:

Nasza przyjaciółka była absolutnie w porządku i niczemu to nie zapobiegło.

A jeśli chodzi o dzieci, to zważywszy na to, że mają francuskie obywatelstwo, nie odnoszą wrażenia, by — używając Pańskiego sformułowania — zmiana klimatu była nieodzowna, ale to tylko sposób wypowiedzi. Wydaje mi się, że w tej sprawie Czerwony Krzyż poinformuje Pana dokładniej i bezpieczniej.

19 października 1942

Michel Epstein do André Sabatiera (więzienie w Creusot) [list napisany ołówkiem]

Jestem nadal w Creusot, bardzo dobrze traktowany i w doskonałym zdrowiu. Nie mam pojęcia, kiedy podejmiemy naszą podróż i dokąd pojedziemy. Liczę na Pańską przyjaźń wobec moich bliskich. Będzie im niezbędna. Jestem pewien, że Pan się nimi zajmie. Nie mam nic więcej do powiedzenia poza tym, że nie tracę ducha i ściskam Panu dłoń.

1 października 1944

Julie Dumot do Roberta Esménarda

Spieszę Panu podziękować za zapłacenie dalszych miesięcznych rat. Zrozumiał Pan, że się niepokoiłam. Od siedmiu miesięcy muszę znowu je izolować w różnych miejscach. Mam nadzieję, że teraz ten koszmar dobiegł końca. Pojechałam po dzieci, żeby je umieścić w internacie. Starsza jest w trzeciej, a Babet na średnim kursie pierwszego roku, są szczęśliwe, że w końcu mogą być wolne, bo Denise będzie spokojniejsza i będzie mogła się uczyć, chodzi przecież także o jej przyszłość.

10 października 1944

Julie Dumot do André Sabatiera

Otrzymałam 15 000 F. Od końca lutego bardzo się niepokoiłam o moje dzieci. Znowu musiałam je ukryć. Z pewnością dlatego siostra Gabriela Panu nie odpowiedziała. Przez siedem miesięcy nie mogły chodzić do szkoły. Teraz mam nadzieję, że będziemy spokojniejsze, a one będą mogły się uczyć. Znowu umieściłam je na pensji. Denise poszła do trzeciej, a Babet na średni kurs pierwszego roku. Są bardzo szczęśliwe z powodu spotkania z koleżankami i siostrzyczkami, które



bardzo mi pomogły w trudnych chwilach. Mam nadzieję, że teraz już nic nie będzie nas dręczyć w trakcie oczekiwania na powrót naszych wygnańców. Czy można już sprzedawać dzieła wszystkich autorów, czy też handel nie jest jeszcze wolny?

30 października 1944

Robert Esmenard do Julie Dumot

Dziękuję za list z 1 października. Widzę, że przeżyła Pani kolejne okrutne i przerażające dni. Teraz może Pani być spokojna o los dziewczynek, które mogą kontynuować naukę; trzeba mieć nadzieję, że ten niewyobrażalny koszmar wkrótce się skończy i że w najbliższej przyszłości otrzyma Pani nowiny od rodziców dziewczynek. Jak Pani wie, to jedno z moich najgorętszych życzeń.

9 listopada 1944

Andre Sabatier do Julie Dumot

Nie bez zgrozy dowiedziałem się, że ostatnio znowu przeżyła Pani szczególny niepokój o dzieci. Naprawdę się cieszę, że nie grożą już Pani niebezpieczeństwa, o których Pani wspomina. Nie pozostaje już nic innego jak oczekiwać możliwie szybkiego powrotu tych, których zabrano.

Pan Esmenard wydał niezbędne polecenia dotyczące sprzedaży pozostałych egzemplarzy książek p. I. Nemirovsky. Tymczasem zadaję sobie pytanie, czy powinno się opublikować teraz jej dwa rękopisy, które mam u siebie, powieść *Les Biens de ce monde* i biografię Czechowa. Obaj z panem Esménardem uważamy, że lepiej wstrzymać się z publikacją, bo może być niebezpieczne zwracanie uwagi w chwili, gdy sytuacja autorki nie chroni jej przed ewentualnymi represjami, których ciągle należy się obawiać.

27 grudnia 1944

Robert Esmenard do Julie Dumot

Oby rok 1945 przyniósł nam upragniony pokój i oddał Pani drogich nieobecnych.

1945

Albin Michel do Julie Dumot

9000 F (czerwiec — lipiec — sierpień 1945)

8 stycznia 1945

Odpowiedź Roberta Esmenarda Raisie Adler

Doszła do nas kartka z 13 października 1944 adresowana na nazwisko pani Nemirovsky. Niestety jednak nie mogliśmy jej przekazać adresatce. Pani Nemirovsky została zatrzymana 13 lipca 1942 w Issy, gdzie mieszkała od 1940, i wywieziona do obozu koncentracyjnego w Pithiviers, a następnie deportowana w tym samym miesiącu. Męża aresztowano kilka tygodni później i także deportowano. Wszystkie kroki podjęte w ich sprawie okazały się bezskuteczne, do nikogo nie dotarły żadne od nich wiadomości. Dwie dziewczynki na szczęście ocalały dzięki poświęceniu przyjaciółki, która mieszka z nimi na prowincji. Proszę mi wierzyć, że przekazujemy te wiadomości z prawdziwą przykrością.

16 stycznia 1945

Albin Michel odpowiada na kartkę A. Shal

Dziękuję za kartkę z 6 listopada 1944 zaadresowaną do pani 1. Nemirovsky. Niestety, nie mogliśmy przekazać tej kartki adresatce, ponieważ nasza autorka i przyjaciółka zarazem została nam zabrana w 1942 roku i wysłana do jakiegoś obozu w Polsce. Od tamtej pory, mimo podejmowania rozmaitych kroków, nigdy nie udało nam się niczego dowiedzieć. Jej męża spotkał taki sam los kilka miesięcy później. Dzieci szczęśliwie w porę powierzono opiece osoby zaprzyjaźnionej z rodziną i aktualnie mają się dobrze. Przykro mi, że muszę przekazać tak smutne nowiny. Jednak nie traćmy nadziei...

5 kwietnia 1945

Marc Aldanov (Fundusz Pomocy Pisarzom i Uczonym Rosyjskim),  
Nowy Jork, do Roberta Esmenarda

Od pani Raisy Adler otrzymaliśmy tragiczną wiadomość dotyczącą Irenej Némirovsky. Pani Adler powiadomiła nas również, że dwie córeczki uratowała dawna pielęgniarka ich dziadka. Owa pielęgniarka, panna Dumot, jest podobno osobą godną najwyższego zaufania, niestety jednak pozbawioną wszelkich środków, toteż nie może łożyć na edukację dzieci. Przebywający w Nowym Jorku przyjaciele i admiratorzy pani Nemirovsky zastanawiali się, jak mogą pomóc dzieciom. Nie ma ich tu jednak zbyt wielu i nie są zbyt zamożni. A nasz komitet ma obecnie setkę pisarzy i uczonych. Nie mogliśmy zrobić wystarczająco dużo.

Dlatego właśnie zwracamy się do Pana, by zapytać, czy nie należą się pani Némirovsky jakieś pieniądze od wydawców francuskich z tytułu honorariów, a jeśli tak, to czy nie mógłby Pan, i Pańscy koledzy, oddać części tych honorariów do dyspozycji dwójki jej dzieci. Przesyłamy ich adres.

11 maja 1945

Odpowiedź Roberta Esménarda Marcowi Aldanovi Niestety, pani Némirovsky rzeczywiście została aresztowana w lipcu 1942, zawieziona do obozu w Pithiviers, a następnie deportowana. Kilka tygodni później jej męża spotkał taki sam los. Nigdy nie dotarły do nas żadne wiadomości od nich i ich los bardzo nas niepokoi.

Wiem, że panna Dumot, która uratowała obie dziewczynki, wychowuje je doskonale. Muszę Panu przy okazji powiedzieć, że aby jej to umożliwić, wypłaciłem pannie Dumot od momentu aresztowania Irène Némirovsky znaczne sumy, które sięgają 151 000 F, a nawet teraz wysyłam jej miesięcznie 3000 F.

1 czerwca 1945

André Sabatier do Julie Dumot

Wiele myślę o Pani i o Pani dzieciach, odkąd deportowani i jeńcy zaczęli wracać do Francji. Przypuszczam, że nie mogła się Pani jeszcze niczego dowiedzieć, gdyż niewątpliwie od razu by mnie pani o tym poinformowała. Ja nie natrafiłem na najdrobniejszą nawet wskazówkę. Poprosiłem panią J.J. Bernard<sup>14</sup>, która знаła panią Némirovsky, a aktualnie pracuje w Czerwonym Krzyżu, żeby poczyniła niezbędne kroki w celu zdobycia jakichś informacji.

Oczywiście, jeśli dowiem się czegokolwiek, najpierw powiadomię o tym Panią. Chcę Pani zadać jedno pytanie: co się stało z papierami, które były w Issy w chwili aresztowania pani Némirovsky?

Słyszałem, że była tam duża, skończona powieść. Czy ma Pani jej tekst? Jeśli tak, to czy mogłaby mi Pani ją przekazać i może udałoby się ją opublikować w naszym piśmie „La Nef”?

16 lipca 1945

André Sabatier do księdza Engleberta

Piszę w dość nieoczekiwanej sprawie. A oto ona: z pewnością zna

---

14 Żona pisarza Jcana-Jaequcs'a Bernarda, syna Tristana Bernarda.

ksiądz nazwisko i reputację I. Némirovsky, jednej z najlepszych kobiet powieściopisarek w przedwojennej Francji. I. Némirovsky, Izraelitka i Rosjanka, została deportowana w 1942, podobnie jak jej mąż, niechybnie do obozu w Polsce; nigdy nie mogliśmy się niczego na ten temat dowiedzieć. Jeszcze teraz trwa to milczenie i straciliśmy, niestety, wszelką nadzieję, że jeszcze zobaczymy ją żywą.

í. Némirovsky zostawiła we Francji pod opieką osoby zaprzyjaźnionej dwie córeczki, Denise i Elisabeth Epstein. Właśnie widziałem się z panią, która się nimi opiekuje, opowiedziała mi, że obydwie dziewczynki miały iść na pensję do Dames de Sion. Sprawa została uzgodniona i nagle w ostatnim momencie matka przełożona wymigała się pod pretekstem braku miejsc, co sprawiło wielki zawód i kłopot dzielnej kobiecie, która opiekuje się dziewczynkami. Czy ksiądz mógłby się dowiedzieć, o co naprawdę chodzi? A gdyby miał ksiądz jakieś wpływy u tych sióstr, mógłby ksiądz załatwić, żeby przynajmniej na początku roku w październiku Denise i Elisabeth zostały przyjęte na pensję? Rozumie ksiądz, że bardzo się interesujemy tymi dziećmi; toteż bez względu na to, czy uda się księdzu coś załatwić, z góry dziękuję za uwagę, z jaką potraktuje ksiądz naszą prośbę. 23 lipca 1945  
Rozmowa telefoniczna: Chautard (Union Européenne Industrielle et Financière) z André Sabatierem

Pan de Mézières w U.E.\* gotów jest zrobić coś dla dzieci Irène Némirovsky we współpracy z nami.

[odręczna notatka: poczekać, aż się z nami skontaktuje]

Gotowi byliby przekazywać 3000 F miesięcznie.

Znaleziono pensję u zakonnic pod Paryżem za 2000 F miesięcznie od dziecka. 7 sierpnia 1945 Omer Englebert do Roberta Esménarda Mam przyjemność zawiadomić, że dziewczynki rosyjskiej pisarki Izraelitki (nie przypominam sobie nazwiska!), którymi państwo się interesują i które polecał mi pan Sabatier, zostały przyjęte do Dames de

\* Bank Unit Europejskiej (dawny Bank Krajów Północnych, w którym pracował Michel Epstein).

Sion w Grandbourgu koło Evry-Petit-Bourg. Matka przełożona poinformowała mnie, że mogą się zgłosić w dniu rozpoczęcia roku szkolnego. 29 sierpnia 1945 Julie Dumot (46, rue Pasteur w Marmande) do André Sabatiera Nie wiem, jak dziękować za dowody takiego zainteresowania. Bardzo się cieszę ze względu na dzieci, szczególnie Babet, która ma dopiero 8 lat i całe kształcenie jeszcze przed sobą. Denise ma się teraz bardzo dobrze, w tej pierwszorzędnej instytucji będzie mogła się udoskonalić, zgodnie z pragnieniem matki. Właśnie dlatego jestem Panu bardzo wdzięczna, że realizuje Pan życzenia rodziców. Jeśli Denise nie będzie mogła kontynuować nauki, musi mieć świadectwo ukończenia szkoły, żeby mogła podjąć pracę, ale to wszystko się wyjaśni w ciągu kilku dni. Pana miły list zastał mnie tutaj, gdzie dzieci spędzają wakacje. Denise całkowicie wyzdrowiała. Miała robione prześwietlenie, które wykazało, że zniknęły wszystkie cienie po zapaleniu opłucnej. Babet w przyszłym tygodniu będzie miała operację migdałków. Nie mogłam tego załatwić wcześniej, bo doktor był na urlopie, co opóźnia o osiem dni mój powrót do Paryża. Tak, panie Sabatier, powstała kwestia tego, żeby Stowarzyszenie Ludzi Pióra zrobiło coś dla dzieci. Pan Dreyfus, któremu przedstawiłam moją sytuację, że nie wystarczy mi 3000 F miesięcznie, kiedy Denise potrzebowała leczenia przez pół roku, miał porozmawiać ze swoim przyjacielem p. Robertem, żeby zrobić coś dla dzieci. Od razu poinformowałam o tym p. Esménarda, który zna sprawę. A jeśli chodzi o wiadomości na mój temat, to Tristan Bernard zna mnie od szesnastego roku życia. 3 października 1945 Wydawnictwo Albin Michel do Julie Dumot 12 000 F: wrzesień — październik — listopad — grudzień 45 7 grudnia 1945 Robert Esménard (notka dla panny Le Fur) W piątek po południu udałem się do p. Simone Saint-Clair, należącej do komitetu pomocy dzieciom I. Némirovsky. Pewne osoby i ugrupowania będą przekazywały co miesiąc jakąś sumę pieniędzy na ręce specjalnie wyznaczonego notariusza w zasadzie aż do chwili, gdy obie dziewczynki zdadzą maturę. Myślę, że kiedy starsza Denise będzie po maturze, cata sprawa zostanie ponownie rozważona.

Poza tym darowizny zostaną potraktowane w taki sposób, by mógł powstać kapitał dostępny dla córek I. Nemirovsky po osiągnięciu przez nie dojrzałości. Istnieje już pewna suma, na którą składa się wpłata Banku Krajów Północnych, gdzie pracował p. Epstein, około 18 000 F, co odpowiada 3000 F miesięcznie z pewnym wyrównaniem wstecz.

Panna Dumot za pośrednictwem notariusza będzie mogła od razu dysponować sumą X w ramach rekompensaty za wydatki, jakie poniosła, plus co miesiąc określoną sumę. Co do naszego wydawnictwa, to od dnia ostatniej miesięcznej wypłaty, 31.12.45 — będzie wypłacana miesięczna suma 2000 F, naturalnie bez potrącania jej z praw autorskich I. Nemirovsky. Poza tym zrzekam się z praw pani Nemirovsky sumy 2000 F miesięcznie, poczynając od miesiąca, w którym zacząłem wypłacać regularne raty, co oznacza, że te wypłaty liczą się wstecz od dnia dokonania pierwszej. W prasie będą ogłoszone obszernie komunikaty, by dopomóc w stworzeniu tego funduszu.

24 grudnia 1945

W. Tideman do Irene Nemirovsky

Jestem dziennikarzem w gazecie w Leydzie (Holandia), której zaproponowałem przetłumaczenie powieści lub noweli francuskiej do druku w odcinkach. Zgodzili się drukować to, co im poradzę lub przyślę. Poinformowałem ich, że trzeba będzie zapłacić prawa autorskie, bez wątplenia dużo wyższe w przypadku powieści już wcześniej tu publikowanej — jako że wydawcy domagają się swojej części — niż w przypadku nowelki, która jeszcze nie ukazała się drukiem, gdyż pertraktacje trzeba prowadzić jedynie z autorem. I pomyślałem o Pani, choć znam jedynie Pani powieści.

29 grudnia 1945

Odpowiedź Albina Michela W. Tidemanowi

Przeczytałem list przysłany na adres naszego biura dla I.

Nemirovsky, nie mogąc, niestety, przekazać go adresatce.

Pani I. Nemirovsky została aresztowana w lipcu 1942, a potem, jak się przypuszcza, deportowana do Polski. Od dnia aresztowania nie było od niej żadnej wiadomości.